

Jackson Lisa

NOC TAJEMNIC

Prolog

Pomocy!

Nie mógł się ruszyć.

Ból rozsadzał czaszkę, nie pozwalał zebrać myśli.

Obraz rozmywał się przed oczami.

W głowie chaos i zamęt. Kompletny bezład.

Działo się coś złego... bardzo złego.

Gdyby tylko mógł myśleć, skupić się na czymkolwiek. Na czymś innym niż ten ostry ból szatkujący mózg.

Umieram. Niech mi ktoś pomoże!

Nie zdołał wydobyć z siebie nic prócz potwornego jęku. Leżał rozciągnięty na swoim biurku... a przynajmniej wydawało mu się, że to jego biurko. Z wysiłkiem zmrużył oczy, próbując zobaczyć wyraźniej, ale światło było słabe i ciemne, obrazy rozmywały się, kontury zacierały.

Jak się tu znalazł?

Nie pamiętał dokładnie, chyba właśnie się obudził...

Nie... nie tak... przyszedł tu popracować... tak... a potem... a co potem?

Caitlyn. To miało związek z Caitlyn i z rozwodem! Ale dlaczego nie mógł ruszać głową? Ani nogą? Ani... Ani żadną inną cholerną częścią ciała? Ogarnęła go panika. Zebrał wszystkie siły i spróbował jeszcze raz. Żaden mięsień nie drgnął. Jezu Chryste, co się dzieje?

Muzyka. Delikatna, klasyczna. Barokowa. Coś, czego nie rozpoznawał. Sączyła się z głośników.

Co tu się, do diabła, dzieje?

Weź się w garść. Nie panikuj. Jesteś w swoim gabinecie w domu w Savannah... przy biurku. Telefon stoi na brzegu biurka, tam gdzie zawsze...

To dlaczego, do cholery, nie mogę się ruszyć?

Wstrząsnął nim strach, ale jednocześnie ogarnęła go niemoc, jakby uległ ciemności czającej się wokół. Na brwiach zebrały mu się kropelki potu, ale nie mógł podnieść ręki, aby je zetrzeć. Z tyłu usłyszał kroki... a może tylko mu się zdawało. Świetnie. Ktoś tu jest i pomoże mu.

Albo i nie.

Przeszły go ciarki. W żyłach buzowała adrenalina.

Chociaż próbował, wciąż nie mógł przekręcić głowy. Ale dlaczego? Jest chory? Na prochach? A może to tylko koszmarny sen? Ogarnęły go mdłości. Co to wszystko znaczy? Co on takiego zrobił? I kto tu z nim jest?

Nikt. Nikogo nie ma. Nikt nie chce zrobić ci krzywdy, na miłość boską. Świrujesz. Uspokój się! Telefon! Gdyby mógł sięgnąć do telefonu i wykręcić numer pogotowia... Ale nie mógł ruszyć ręką. Mięśnie odmówiły posłuszeństwa.

- Josh?

Serce mu zabiło, ale ciało nawet nie drgnęło.

Głos był stłumiony. Specjalnie? A może to tylko wyobraźnia podpowiada mu najgorsze?
Znów spróbował przekręcić głowę.

I znów się nie udało.

- Josh? Słyszysz mnie? - Ktoś go wołał. Miętko. Kusząco. I złowieszczo. Może ktoś przyszedł mu na ratunek? Nie, nie ma się co łudzić. Gdyby ktoś chciał mu pomóc, działałby dużo energiczniej. Więc jeśli naprawdę ktoś tu jest - i nie jest to wytwór jego wyobraźni - to z pewnością ma złe zamiary.

Boże, pomocy!

Na nadgarstku poczuł chłodne palce. Wstrząsnął nim dreszcz.

Ktoś masował mu przedramię. Sprawdzał puls? Kto to jest u licha? Czy ja wyglądam na trupa? Nie mógł ruszyć głową. Gdyby chociaż kątem oka zdołał zobaczyć, kto przy nim stoi. Lekarz? O, tak, Boże.

Nagle poraził go mocny strumień światła skierowany prosto w oczy, jakby ktoś chciał sprawdzić reakcję źrenic. Rozpaczliwie próbował coś zobaczyć, mimo rażącego światła wwiercającego się w mózg. Miał nadzieję, że uda mu się cokolwiek dostrzec. Niestety, nic z tego. Zobaczył jedynie rozmazany zarys palców w gumowych lekarskich rękawiczkach i smugę dymu z papierosa.

Na miłość boską, przestań mnie straszyć i zabierz do szpitala!

Latarka zgasła i zapanowała ciemność. Przed oczami zostały mu świetlne kręgi. Pusta szklanka potoczyła się po biurku i spadła miętko na dywan. Widocznie ją potracił bezwładną ręką. Czyjeś chłodne palce wciąż masowały mu nadgarstek, ale ledwie czuł ich dotyk, z trudem usiłując zachować przytomność.

Żyję, idiotko, nie widzisz? Zabierz mnie do szpitala. Chciał krzyknąć, ale słowa uwięzły mu w krtani. Słyszał tykanie zegara w holu, szept wiatru dochodzący zza oszklonych drzwi - pamiętał, że zostawił otwarte - i bicie własnego serca. O dziwo, nie łomotało ze strachu jak oszalałe. Biło ciężko, leniwie. Może to jednak sen? Cała ta sytuacja wydawała się surrealistyczna. Trochę jak film puszczany w zwolnionym tempie.

Teraz palce w rękawiczkach podciągały rękaw jego koszuli. Materiał przesuwiał się powoli, odsłaniając przedramię. Co u diabła? Spojrzał w bok, ale dostrzegł tylko ruszające się cienie, ciemną postać i błysk... metalu?

O Boże!

Ostrza cienkie jak żyłki. Dwa ostrza. Nożyczki. Chirurgiczne? Ale... Strach wzburzył mu krew. Z całych sił spróbował poruszyć ręką. Stopami. Jakąkolwiek cholerną częścią ciała. Ale nie mógł. Mógł tylko leżeć tak z głową na biurku, czekając, co przyniesie mu los.

Los zjawiał się pod postacią cienia z nożyczkami.

To jakieś szaleństwo. Po co te nożyczki? Na pewno nie wróżą nic dobrego.

Usłyszał metaliczne szczęknięcie i zobaczył guzik odpadający od mankietu. Ze strachu omal nie zabrudził spodni. Rękaw podciągnięto jeszcze wyżej, odsłaniając całe ramię. Błysk ostrza i...

Ciach!

Serce mu zamarło. Nożyczki zgrabnie obcięły jeden włos na przedramieniu. Bezwładne ciało przeszył dreszcz. Mózg wysyłał impulsy, ale najwyraźniej nie docierały tam gdzie trzeba. Josh nie mógł wyrwać ręki, mógł tylko patrzeć, jak nożyczki zbliżają się do żył i

tętnic rysujących się tuż pod skórą. Jakaś jego cząstka patrzyła na to obojętnie. Reszta wydawała z siebie niemy krzyk paniki.

- Wiesz kim jestem, prawda?

Głos brzmiał znajomo. Nieprzyzwoicie kusząco.

Nie mógł wykrztusić słowa.

- Możesz mnie nazywać Atropos.

Atropos? Dlaczego Atropos, do cholery?

- A, jasne. Nie słyszałeś pewnie o trzech boginiach losu? To z mitologii - trzy boginie odpowiedzialne za los człowieka. Były córkami Zeusa, nazywały się Mojry. Trzy siostry kierujące ludzkim przeznaczeniem.

Mitologia? Co u diabła? Nożyczki błysnęły w świetle lampy stojącej na biurku. Znowu dreszcz.

- Jedna z nich to Kloto. Jest najmłodsza, przedzie nić życia; starsza siostra dokonuje pomiarów. Decyduje o długości życia.

Nożyczki zbliżyły się, ich czubek dotknął skóry pod okiem.

Spróbował uchylić się, ale był jak przyklejony do biurka.

- Trzecia, najstarsza, to Atropos. Najsilniejsza. To ona kończy życie, przecina cenną nić.
- Szczęknięła nożyczkami. - To imię wybrałam.

Jezu! Nie!

Ciach!

Nożyczki zagłębiły się w policzku.

Nic nie czuł. Żadnego bólu.

Przytrzymała jego nadgarstek.

Ciach!

Wezbrały pierwsze krople krwi.

Nie, nie, nie! Rozpaczliwie próbował się wyrwać. Na próżno. Udało mu się tylko wydobyć jakiś nieartykułowany dźwięk. Nożyczki znów ciachnęły, krew rozmasowała się na ostrzu, a on nawet nie mógł się skulić. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że ten ktoś, kogo wciąż nie mógł zobaczyć, zabija go, powoli, metodycznie i bez wahania.

To nie może być prawda! To na pewno zły sen. Koszmar. Tylko szaleniectwo mógł coś takiego wymyślić. O Boże... teraz krew wypływała szybko, po nadgarstku, na dłoń, po palcach, i rozlewała się w kałużę na biurku. Przestań! Na miłość boską, przestań!

Może chciała go nastraszyć, może wcale nie miał umrzeć. Może chciała mu dać bolesną nauczkę. Wielu ludzi w tym mieście życzyło mu śmierci.

Ale wystarczyłaby przecież kulka w głowę.

Albo trucizna w drinku.

Albo nóż w cholerne serce.

Chyba że ona znajdowała w tym przyjemność... że nie chodziło o śmierć, ale o umieranie. O to, żeby patrzył bezradnie, jak wycieka z niego życie. Może ją to podniecało, tę chorą sukę! Dysząc i myśląc o tym, że wkrótce wykrwawi się na śmierć, Josh spojrzał na szklany humidor na cygara. W gładkiej wypukłej powierzchni zobaczył swoje słabe odbicie i zarys pochylającej się nad nim postaci, groteskowo zniekształconej.

Na ułamek sekundy jego oczy spotkały się z oczami prześladowczyni. Zobaczył jej twarz. Na jej ustach błąkał się triumfalny uśmiech.

Opuściła go nadzieja.

Rozpoznał zniekształconą twarz. Teraz już miał przerażającą pewność, że został skazany

na patrzenie na własną powolną śmierć.

Rozdział 1

Ból rozsadzał jej głowę. Jakby tysiąc koni tratowało mózg. Miała opuchnięty język i nieprzyjemny posmak w ustach. Było coś jeszcze... coś niedobrego, jakieś uczucie przymusu, które przykuło ją do łóżka. Serce biło jak oszalałe, ciało spływało potem, do świadomości docierały niewyraźne obrazy ze snu... Josh... idący kamienną ścieżką w kierunku domu.

Szła, krusząc suche liście. Wiatr grzechotał gałęziami dębów i bujał girlandami hiszpańskiego mchu. Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies, w powietrzu unosił się zapach dymu papierosowego. Nie powinno cię tu być. Idź stąd, uciekaj! W górę, schodami wiodącymi do murowanego domu, który kiedyś był jej domem. Przez uchylone drzwi strużka światła rozlała się na ganek. Niczym zaproszenie pośród tej ciemnej, parnej nocy. Nie rób tego. Nie wchodź do środka! Caitlyn otworzyła nieco jedno oko. Strasznie chciało jej się pić... wszystko ją bolało. Za dużo alkoholu... Zdecydowanie za dużo. Leżała w swojej sypialni. Pod sufitem obracał się wentylator, a przez firanki przedzierał się świt. Obrazy poprzedniej nocy były niewyraźne, chaotyczne. Wyszła, żeby spotkać się z siostrą... tak, tak, musiała wyjść, żeby się uspokoić.

Wczoraj były urodziny Jamie.

Dziwne, zdawało jej się, że słyszy fałszujący śpiew gromadki dzieci.

Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam...

Poczuła ukłucie w sercu. Jej córeczka miałaby teraz pięć lat.

Gdyby żyła.

Serce jej się ścisnęło, znów zamknęła oczy. Jamie. Kochane, kochane dziecko. Odeszła, gdy miała zaledwie trzy lata - maleństwo o twarzy cherubinka. O Boże, Caitlyn tak bardzo tęskniła za swoim dzieckiem. Tak bardzo, że czasami wydawało jej się, że nie potrafi dalej żyć. Teraz, leżąc w łóżku, wróciwszy do rzeczywistości, poczuła znajomy ból po stracie; głęboki, raniący duszę.

To twoja wina, Caitlyn. Gdybyś była lepszą matką, nigdy by do tego nie doszło.

W głowie huczały jej oskarżenia Josha; złe, toksyczne słowa budzące w niej wyrzuty sumienia. Gdyby niczego nie zaniedbała, gdyby bardziej się postarała, może uratowałyby córkę.

Nawet o tym nie myśl. Nie słuchaj go, na litość boską. Nie wierz w to, co mówi! Pamiętaj, zrobiłaś wszystko, żeby ją uratować.

Powoli wypuściła powietrze i znów wzięła głęboki wdech, pamiętając, co doktor Wade mówiła o uwalnianiu negatywnej energii, odnajdywaniu siebie i nowego celu w życiu.

Stopniowo rozpacz ustępowała, pozostały tylko żal i potworny ból głowy.

O matko, ból rozsadzał czaszkę. Rzeczywiście musiała za dużo wypić.

Kolejny obraz przemknął jej przed oczami.

Josh w swoim gabinecie. Leżał rozciągnięty na biurku, z głową przekrzywioną w stronę drzwi. Z nadgarstków płynęła krew, płamiąc dywan. Otwarte usta, blada skóra, oczy nieruchomo wpatrzone w nią.

Nagle usiadła na łóżku. Boże, co to za sen? Serce waliło jej w piersi. Obrazy z sennego koszmaru przesuwały się i znikwały.

- O Boże, Boże, Boże!

Spokojnie, Caitlyn. Oddychaj głęboko. To tylko sen. Nie denerwuj się!

Rozpaczliwie łapała powietrze. Mając w pamięci to, czego nauczyła się na terapii,

próbowała zapanować nad emocjami.

Nigdy więcej - poprzysięgła sobie. Cokolwiek to było, nigdy już nie wypije więcej niż jeden łyk... ale co to było? Zamrugła oczami. Próbowała sobie przypomnieć. Ale pojawiały się jedynie kruche i wyszczerbione obrazy z koszmarnego snu.

- Jezu - wyszeptała. Znów film jej się urwał, kolejna luka w życiorysie. Nawet nie pamięta, jak dostała się do domu. W podświadomości czaiło się przecucie, że stało się coś bardzo, bardzo złego. Nie potrafiła tego nazwać, ale było na tyle silne, że przeszły ją ciarki.

Miałaś zły sen. To wszystko. Otrząśnij się. Wzięła kolejny głęboki wdech. Jesteś w swoim łóżku. W domu. Bezpieczna.

Głowa pulsowała ostrym bólem. Gardło też bolało, a włosy śmierdziały dymem po zbyt wielu godzinach spędzonych w barze. O Boże, naprawdę wczoraj przesadziła. Wzdrygnęła się, gdy pierwsze promienie poranka zajrzały przez otwarte okno. Pachnący jaśminem delikatny wiatr niósł odgłos deszczu bulgoczącego w rynnach. Drzwi balkonowe były nieco uchylone; firanki, pokryte smugami, cieniami i plamami, falowały lekko.

Dlaczego balkon jest otwarty? Czyżby otworzyła go wczoraj, zanim poszła do łóżka? Koszarne obrazy atakowały jej świadomość, mieszając się z niewyraźnymi wspomnieniami poprzedniej nocy. Wypiła kilka drinków w barze... gdzieś na nadbrzeżu. A może to też fragment chaotycznego snu? Chyba grał jakiś zespół, pamiętała tłum ludzi i wiszącą w powietrzu chmurę starego dymu papierosowego. Wypiła trochę za dużo, cóż, dużo za dużo, ale udało jej się jakoś dotrzeć do domu. Jak? W tym miejscu miała w pamięci lukę.

Pulsowanie za okiem jeszcze się wzmogło. Nawet parę opakowań apapu nie byłoby w stanie ukoić tego bólu. Spojrzała na zegar. Czerwone świecące cyfry wskazywały dwunastą. Pomoc? Południe? Niemożliwe. Ptaki dopiero zaczynały śpiewać. Musiało być wcześniej. Piąta lub szósta. Paskudna pora na pobudkę. Na pewno była przerwa w dostawie prądu, dlatego zegar się późni. Obudził ją ten sen, poszarpane, chaotyczne obrazy.

Czuła nieprzyjemny posmak. Usta wyschnięte na wiór, w brzuchu ssąca pustka. Wytarła ręką spocone czoło, odgarnęła wilgotne włosy i wyczuła coś twardego. Miała brudne palce albo... albo... Co to był, do diabła, za zapach? Przez chwilę myślała, że zwymiotowała, ale zapach był raczej metaliczny niż kwaśny i... i... o mój Boże... Spojrzała na rękę i zobaczyła ślady na przedramieniu. Ciemnoczerwone, wypukłe i stwardniałe, rozchodzące się od nacięć na nadgarstkach.

Co jest?!

Gwałtownie mrugając oczami, przesunęła się ku wezgiłowiu łóżka i wsparła na poduszce. W panice odnalazła kontakt. Włączyła światło i zobaczyła krew.

Rozlaną na prześcieradłach.

Rozpryskaną na zagłówku.

Rozsmarowaną na firankach.

Rozmazaną po ścianach.

Wszędzie krew.

- Nie... o Boże, nie! - Caitlyn wyskoczyła z łóżka, nogi zaplątały jej się w koszulę nocną i runęła twarzą na morelowy dywan, również poplamiony.

- Jezu! O Boże, co to? - Przemknęła niczym krab po dywanie pokrytym zakrzepłą krwią. Wyglądało to tak, jakby kogoś zaszlachtowano w tym pokoju cztery na cztery i pół metra.

A ty w tym czasie spałaś!

Serce jej zamarło, gdy zobaczyła odcisk dłoni na futrynie i kolejny na drzwiach. Z trudem opanowała nudności. Potwornie przerażona dotarła do łazienki.

Czyja to krew?

Twoja. Spójrz na siebie!

Spojrzała w lustro nad umywalką. Na twarzy miała czerwone ślady, w nozdrzach zaschniętą krew. Włosy były matowe i zmierzwiłone. Może dostała okropnego krwotoku z nosa, takiego jak w dzieciństwie, i w jakiś sposób udało jej się go przespać i nic nie zauważyć? Nie... to nie wyjaśniało naciec na nadgarstkach. Ani krwi rozmazanej po całym pokoju.

A te otwarte drzwi... Czy ktoś jej to zrobił? Ze strachu żołądek podszedł jej do gardła. O Boże... ale dlaczego? Kto? Nie, to nie mogła być tylko jej krew. Przecież żyła. Gdyby straciła tyle krwi, z pewnością byłoby po niej. Nikt nie mógłby przetrwać takiej jatki.

Oparła się o umywalkę i spróbowała zebrać myśli. Kręciło jej się w głowie i szumiało w uszach, a migrena zżerała mózg.

O Boże, a jeśli ten ktoś wciąż tu jest?

Nie, to nie miało sensu. Gdyby ktoś próbował ją zabić, to przecież już dawno by to zrobił. Krew we włosach, na ścianach, pod prysznicem zdążyła zaschnąć. Minęło trochę czasu. Albo coś go wystraszyło, albo po prostu poszedł sobie.

Albo ty to zrobiłaś i zostawiłaś otwarte drzwi.

Nie... Nic nie pamiętała, nie miała pojęcia, co się wydarzyło.

Jeśli krew nie jest twoja, to czyja?

- Nie wiem - wyszeptała.

Może ofiara gdzieś tu jest.

Spojrzała w kierunku prysznica, mleczone szkło z krwawym odciskiem dłoni było pęknięte.

Boże, pomóż!

Zebrała się na odwagę i dotknęła kabiny prysznicowej. Spodziewała się znaleźć trupa z oczami wbitymi w sufit i krwawe ślady ściekające do odpływu. Nerwowo popchnęła drzwi.

Nikt się na nią nie rzucił. Żaden trup nie leżał pod prysznicem. Zobaczyła krew rozpryskaną po ścianach i zaschniętą w nierówne strumyki. Zrobiło jej się niedobrze. Co tu się stało? Co?! Cała się zatrzęsła, gdy podniosła dłoń i zobaczyła, że pasuje do odcisku na szybie.

- Matko Boska - wyszeptała. Myśl, Caitlyn, myśl. Nie panikuj.

Znów zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Jak to się stało? Gdzie była, kiedy to się stało? Czyja to krew? Nogi się pod nią ugięły. Oparła się o brzeg umywalki i ochlapała twarz zimną wodą, żeby zachować przytomność.

Może nie jesteś sama. Może ktoś tu jest. Gdzieś na dole. Może ktoś się tu ukrył. Jeszcze raz spojrzała w lustro. Biała twarz, potargane włosy sterczące na wszystkie strony, strach czający się w piwnych oczach. Drzwi na werandę były otwarte, a ty nie pamiętasz, żebyś je otwierała. Przesunęła wzrok i zobaczyła odbicie otwartych drzwi i falujące zaplamione firanki. O mało nie zwymiotowała.

Czy to możliwe, że do domu dostał się morderca, a ona nic nie słyszała, ogłuszona bólem głowy, który odebrał jej świadomość? Ale przecież nie było żadnego trupa... Tylko jej poharatane nadgarstki i zakrwawiony nos... Przecież morderca nie przychodziłby tu tylko

po to, żeby pociąć kogoś na kawałki, a potem zabrać ciało ze sobą. W głowie huczało jej od szalonych myśli.

A jeśli ktoś dostał się do domu, to dlaczego alarm się nie włączył?

Idiotko, drzwi na werandę nie są zamknięte. Najwyraźniej alarm nie został ustawiony.

Oparła się biodrem o blat i zamknęła oczy. To wszystko nie miało sensu. A ona była śmiertelnie przerażona.

Może kogoś zaprosiła? Ale kogo? I po co? A jeśli był to nieproszony gość, dlaczego Oskar nie szczekał i nie obudził sąsiadów?

Oskar!

Gdzie on jest?

Zdjęta strachem, jeszcze raz spojrzała z przerażeniem na plamy na podłodze. Tylko nie pies... nie Oskar! Pokonawszy strach, wytarła twarz rękawem zakrwawionej koszuli i ruszyła w kierunku schodów. Zagwizdała cicho.

Nic.

Coś ścisnęło ją za gardło.

Lepiej znajdź sobie coś do obrony. Tak na wszelki wypadek.

Nie miała w domu broni, nigdy nie wierzyła, że pistolet zapewni jej bezpieczeństwo. Przygryzając wargi, chwyciła hantle, z którymi ćwiczyła zwykle przed telewizorem.

Wolno posuwała się korytarzem i wyteżyła słuch. Starła się usłyszeć coś poza szaleńczym biciem własnego serca. W domu panowała cisza. Spokój. Tak jakby nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Weź się w garść. Postaraj się, Caitlyn. Nie pozwól, żeby sparaliżował cię strach! Zaciskając mocniej palce na swojej broni, zajrzała do drugiej łazienki. Pusto.

Spocona ze zdenerwowania, powoli otworzyła drzwi kolejnej sypialni i serce zabiło jej mocniej. Jak zawsze, gdy zaglądała do pokoju córki. Ulubiony pluszak Jamie, króliczek z klapniętymi uszami, leżał oparty o poduszki na szerokim łóżku przykrytym ręcznie szytą narzutą w pastelowych kolorach. Sufit wciąż pokrywały świecące gwiazdy i chmurki, które namalowała dla Jamie. Ale pokój był pusty i pomyślała ze smutkiem, że zaczyna pachnieć stęchlizną i starością, przypominając o odejściu dziecka.

Sto lat, Jamie... znów zabrzmiały jej w uszach fałszujące dziecięce głosy.

Nie wchodź tam. Nie teraz.

Zacisnęła na hantlach spocone palce. Pełna niepokoju wśliznęła się do swojego gabinetu. Biurko, stół kreślarski, komputer stały jakby nigdy nic, na biurku panował niewielki bałagan. Ale nikt nie czaił się w kącie ani w szafie. Odwróciwszy się, dostrzegła w ciemności jakąś postać. Nie! Straciła na chwilę oddech, zanim zdała sobie sprawę, że to jej własne odbicie w dużym lustrze wiszącym na drzwiach.

Omam nie zemdlą.

No, Caitlyn. Weź się w garść!

Po cichu zeszła po schodach, palce lewej ręki przesuwając po poręczach, a prawą zacisnęła mocno na hantlach. Ale gdy zeszła na dół, nikt nie wyskoczył na nią z nożem. Nikt nie strzelał. Nie...

Usłyszała krótkie głośnie skrzypnięcie.

Podeszwa skózanego buta?

Zamarła.

Oszalałe bicie serca nie zagłuszyło szumu lodówki i tykania zegara w holu. Chciała zawołać psa, ale powstrzymała się. Posuwała się wolno do przodu, omiatając wzrokiem

pokoje. Salon wyglądał tak, jak go zapamiętała, wciąż unosił się w nim zapach róż, które ścięła i włożyła do wazonu na stoliku. Żadnych śladów krwi.

Zaczęła się uspokajać. Dom wydawał się pusty. Zajrzała do pralni i do kuchni, gdzie przez okno wdzierało się poranne słońce. Wszystko było na swoim miejscu.

Dziwne.

Wszystko w porządku, poza tym, że sypialnia wygląda tak, jakby Charles Manson urządził sobie w niej przyjęcie. A ty w tym czasie spokojnie spałaś.

Usłyszała głośnie szczeknięcie.

Oskar!

Zobaczyła go przez okno w wykuszu. Rozczochrany kundel skrobał do drzwi. Poczła niewysłowioną ulgę.

- Jak się tam dostałeś? - łagodnie zbesztła pokracznego, terierowatego mieszańca, który stał na tylnych łapach i skrobał zawzięcie w szybę. To właśnie ten dźwięk słyszała wcześniej. Otworzyła drzwi i pies rzucił jej się w ramiona. Mierzwiąc szorstką łaciatą sierść, zastanawiała się, czy zostawiła go na dworze przez pomyłkę. Przyszła do domu, wypuściła psa, a potem, ponieważ wypila jeden czy dwa drinki za dużo, poszła na górę i zapomniała o nim?

Mało prawdopodobne. Tak samo jak to, że pocięła sobie nadgarstki i przeżyła najpotężniejszy w życiu krwotok z nosa. Wiesz, Caitlyn, Kelly może mieć rację. Tracisz kontrolę nad sobą. I to w zaskakującym tempie.

- Co się stało w nocy? - zapytała Oskara. Otworzyła puszkę i gdy wykladała jedzenie do miski, psiak zaczął kręcić młynka.

- Twoja radość z naszego spotkania nie jest nawet w połowie tak wielka jak moja - zapewniła go, stawiając miskę na podłodze. Wywijając nieprzytomnie ogonem, wpakował nos do miski. To pies Jamie, nazwany na cześć jej ulubieńca z *Ulicy Sezamkowej*.

- Widzisz... wszystko w porządku - powiedziała, ale sama w to nie wierzyła.

Zapach psiego żarcia przyprawił ją o skurcz żołądka. Zachwiała się. Co, u diabła, zrobiła zeszłej nocy? Skąd ta krew? Jej sypialnia wyglądała jak rzeźnia, a ona nie pamiętała nic, oprócz tego, że wieczorem poszła do baru. Jak on się nazywał? A tak, The Swamp. Długo siedziała przy stoliku, czekając na Kelly - swoją siostrę bliźniaczkę.

Zauważyła, że barman od czasu do czasu spogląda na nią. Prawdopodobnie wydało mu się dziwne, że zamówiła dwa drinki - cosmopolitana dla siebie i wytrawne martini dla Kelly. W końcu sama je wypila, kiedy Kelly, jak często się zdarzało, znów nie przyszła na spotkanie.

Pamiętała jedynie, że opróżniła oba kieliszki, zjadła oliwki, a przedtem wysssała z nich paprykę, i to wszystko. Bardzo niewiele.

Było głośno... głośna hiphopowa muzyka, a z drugiej strony odgłosy rozmów, śmiech gości i...

Niczym ostrze rozcinające ciało przemknął jej przez głowę pewien obraz. Była w holu domu, który sama urządziła - na ścianach wisiały obrazy przedstawiające konie czystej krwi, na straży schodów stał zegar szafkowy. Kierując się ku otwartym drzwiom gabinetu, stuknęła obcasami po marmurowej podłodze. Zwabił ją tam dźwięk muzyki, łagodnej muzyki klasycznej. Zajrzała i zobaczyła męża, z którym była w separacji, patrzącego na nią niewidzącym wzrokiem. I kałużę krwi pod krzesłem przy biurku.

Złapała głęboki oddech. Dlaczego myśli teraz o Joshu? Obraz jego białej, martwej twarzy znów przemknął jej przed oczami. Dlaczego wyobrażała go sobie martwego?

Ponieważ wczoraj były urodziny twojej córki.

Ponieważ gnojek rozwodzi się z tobą.

I ponieważ zamierza oskarżyć cię o przyczynienie się do śmierci dziecka. Twojego dziecka.

Przestań. To tylko sen. Nic wielkiego. Nie ma w tym nic złego. Wyciągnęła z lodówki butelkę z wodą, otworzyła ją i wypila do połowy. Woda od razu podeszła jej z powrotem do gardła. Caitlyn pochylila się nad zlewem.

Zwymiotowała. Kilka razy. W końcu nie miała już czym wymiotować, ale wciąż wstrząsały nią drgawki. Oblał ją zimny pot.

Powinnaś zadzwonić do swojego psychiatry. Tracisz panowanie nad sobą.

Ale nie miała do kogo zadzwonić. Doktor Wade wyprowadziła się niedawno i Caitlyn została pozbawiona jej wsparcia. Nie próbowała znaleźć innego terapeuty. Nie chciała.

Aż do dzisiaj.

Policja. Zadzwoń na policję.

Dlaczego? Bo miałam krwotok z nosa? Ponieważ być może... po pijanemu... chciałam podciąć sobie żyły?

Znowu. Może znowu próbowałaś - odezwał się natrętny głos w głowie.

Jeśli zadzwonię na policję, zabiorą mnie. Trafie na oddział psychiatryczny.

Może tam właśnie jest moje miejsce.

- Nie! - spojrzała na swoje ręce i skrzywiła się. To było dawno temu.

Wtedy omal nie straciłaś życia.

Nie chciała o tym myśleć. Nie teraz.

Spokojnie. Po kolei. Przede wszystkim musi się uspokoić. Potem musi sprawdzić, czy drzwi są zamknięte, umyć się i posprzątać bałagan na górze. Ale najpierw musi zadzwonić do Kelly. Dowiedzieć się, co się stało.

Może ta krew na górze to jej?

Ogarnęła ją kolejna fala strachu i nerwowo wystukała numer do domku Kelly nad rzeką. Jej azylu, jak sama nazywała to miejsce. Sygnał. Jeden, drugi...

- No, odbierz. Odbierz! - Trzeci sygnał. Caitlyn oparta o blat niemal modliła się, żeby siostra odebrała telefon. Czwarty dzwonek. „Cześć, dodzwoniłeś się, ale nie ma mnie w domu. Zostaw wiadomość”.

- Kelly? Kelly? Jesteś tam? Jeśli tam jesteś, podnieś słuchawkę. Odbierz... tu Caitlyn... muszę z tobą porozmawiać... o wczorajszej nocy. Proszę, oddzwoń jak najszybciej. - Odłożyła powoli słuchawkę, próbując opanować panikę. Drżącą ręką odgarnęła z oczu włosy. Czy Kelly znów wyjechała z miasta? Może służbowo?

Serce Caitlyn waliło jak oszalałe. Szybciej, szybciej. Myśl, Caitlyn, myśl.

Komórka Kelly! Wystukała numer i czekała po cichu, licząc dzwonki i znów modląc się, żeby siostra odebrała. Jeden. Dwa. Trzy...

- Odbierz, proszę!

Włączyła się poczta głosowa: „Dodzwoniłeś się na komórkę Kelly. Zostaw wiadomość”.

Cholera!

Uspokój się.

- Kelly, tu Caitlyn. Oddzwoń. To ważne. - Rozłączyła się i pomyślała, czy nie pojechać do domku Kelly. Tylko po co? Jeśli Kelly tam jest, to oddzwoni.

Ale czy na pewno?

Caitlyn wcale nie była tego pewna.

Rozdział 2

Kim, do diabła, jest Josh Bandeaux? - zapytał Pierce Reed. Jego partnerka, Sylvie Morrisette, pędziła właśnie East Bay jak na jakimś pieprzonym wyścigu Formuły 1.

- Poza tym, że jest niezłym palantem? - Morrisette zerknęła na niego kątem oka.

- Tak, poza tym.

Westchnęła, wciągając powietrze przez nos.

- Czasami zapominam, jakim jesteś głuptasem. Uroczy, ale głuptas. - Sylvie, z nastroszonymi blond włosami, sportową sylwetką i ciętym językiem, była twarda jak jej buty z wężowej skóry i kłująca jak olbrzymi kaktus. Od kiedy została partnerką Reeda, koledzy z pracy posyłali mu współczujące spojrzenia. - Żyjesz w pieprzonej próżni - dodała, przeciągając samogłoski z teksaskim akcentem. Przeflancowana z El Paso, od piętnastu lat służyła w policji w Savannah. On sześć miesięcy. Poza jednym zadaniem, nad którym pracował w tych okolicach, Reed spędził większość swego dorosłego życia na zachodnim wybrzeżu, ostatnio w San Francisco. Odszedł z San Francisco w niesławie, ale tutaj udało mu się dostać pracę na stanowisku starszego detektywa. Jeśli Sylvie nisko oceniała jego pozycję, miała na tyle rozsądku, żeby tego nie okazywać.

Z błyskiem świateł i piskiem opon zbyt szybko ścięła zakręt i omal nie zjechała na przeciwny pas.

- Lepiej, żebyś dowiozła nas w jednym kawałku.

- Dowiozę. - Udało jej się zapanować nad samochodem. Minał ich pikap; kierowca podniósł rękę z wyraźnym zamiarem pokazania im środkowego palca. Zorientował się jednak, że ma do czynienia z policją, i darował sobie.

- No dobra, oświeć mnie.

- To jeden z najbogatszych sukinsynów w mieście, a może nawet w całym stanie. Pochodzi z Georgii, w czepku urodzony, wżenił się w niezłe pieniądze. Wielki hazardzista. Zarabiał i tracił pieniądze, ale z każdego śmierdzącego interesu wychodził czysty jak łąza.

- Aż do wczoraj - przypomniał jej Reed.

- Tak. Wczoraj w nocy chyba opuściło go szczęście. - Przejechała na czerwonym świetle.

- Mężczyzna, czterdzieści dwa lata. Możliwe samobójstwo - wycedziła z sarkazmem.

- Nie wierzysz?

- Ani trochę. Miałam nieszczęście spotkać tego palanta. Parę razy przekazał darowiznę na rzecz policji. Zawsze gdy organizowaliśmy zbiórkę, pojawiał się w garniturze od Armaniego z czekiem na sporą sumę. - Wykrzywiła usta. - Potem wypijał kilka drinków i wiedział już, że zaraz zacznie zarywać laski. Cholerny Casanová! - Uśmiechnęła się bez cienia wesołości i przejechała na żółtym świetle. - Fakt, że był żonaty, nie powstrzymał go od latania za spódniczkami.

- To żona znalazła jego ciało?

- Nie, są w separacji. Cholera! - Nacisnęła gwałtownie na hamulec i w ostatniej chwili ominęła parkującą na jezdni furgonetkę. - Dupek!

- Więc Bandeaux nie był rozwiedziony?

- Jeszcze nie. Teraz już nigdy nie będzie. - Zakręciła kierownicą i wpadli w boczną ulicę. Cudem nie zderzyli się z kontenerem na śmieci, rozdmuchali tylko walające się wokół papiery. Podskakując, wpadli w kolejną boczną uliczkę i z przechyłem wjechali do centrum jednej z najstarszych dzielnic w mieście. - Pomyśl o tych wszystkich pieniądzach, jakie Caitlyn Bandeaux zaoszczędzi na prawnikach. Nie, żeby musiała oszczędzać.

- Mówiłaś, że jest bogata.

- Bogata? Mało powiedziane! Pochodzi z Montgomerych, tych od Montgomery Bank and Trust, Montgomery Cotton, Montgomery Estates, Montgomery coś tam. Zdaje się, że są dalekimi potomkami jakiegoś bohatera wojny secesyjnej. Tak przynajmniej twierdził przed śmiercią jej dziadek, stary Benedict Montgomery.

- Cholera. - Nawet Reed słyszał o tych Montgomerych.

- No właśnie.

Gdy tak pędzili ulicami miasta, przemknęła Reedowi przez głowę pewna myśl. Porzucone żony są zawsze podejrzane. Nawet te bogate.

- Czy ona mieszka gdzieś w pobliżu?

- Niedaleko.

Bardzo dogodnie.

- Jakież dzieci? - zapytał.

- Jedno. Nie żyje. Zmarło kilka lat temu. Myślę, że miało wtedy trzy czy cztery lata. To było straszne. - Sylvie skrzywiła się. - Z tego co wiem, Caitlyn, żona Bandeaux, omal wtedy nie oszalała. Słyszałam nawet plotki, że próbowała odebrać sobie życie. W każdym razie ta rodzina skrywa wiele sekretów i wydano wiele pieniędzy, żeby nie wyszły na jaw. Wierz mi - prychnęła drwiąco.

- Dużo wiesz o Montgomerych.

- Też mi się tak wydaje. - Wsunęła w bok dolną szczękę i spojrzała w lusterko wsteczne.

- To twoje hobby?

- Niezupełnie. Ale przeprowadziłam kiedyś małe dochodzenie. Bandeaux zawsze starał się obchodzić prawo. Przyjrzałam się dokładnie jego życiu zawodowemu i prywatnemu, ponieważ krążyły pogłoski, że ma powiązania z mafią.

- I co, miał?

- Niczego nie znalazłam, ale wiele się o nim dowiedziałam.

Milczał wyczekująco. Sięgnęła po zapalniczkę i znalazła na desce rozdzielczej zmiętą paczkę marlboro.

- Reed, masz swój rozum. Savannah może i wygląda na duże miasto, ale klimat jest tu małomiasteczkowy. - Nie odpowiedział. Zdążył się już nauczyć, że najlepiej wyciągnie z Sylvie, milcząc. A czuł, że to jeszcze nie koniec historii.

Miał rację.

- Do diabła, i tak się dowiesz. - Z zimnym niewesołym uśmiechem dodała: - Mój były, Bart, pracował przez jakiś czas dla Bandeaux.

Morrisette wytrząsnęła z paczki papierosa i jednym zręcznym ruchem wyprzedziła furgonetkę dostawczą.

- Dlaczego się rozwiedliśmy? - Zawahała się przez moment. Uchyliła okno i zapaliła papierosa, prowadząc jedną ręką i ani na moment nie zwalniając. - Były setki powodów. Setki. Ale jest jeden, w który wszyscy wierzą, taki, że miałam romans z Joshem Bandeaux. - Wypuściła dym. - Wyjaśnijmy sobie, to nieprawda. Może mam kiepski gust, jeśli chodzi o facetów, ale nie aż tak kiepski.

Reed nie odezwał się. Nie wiedział, co o tym myśleć. Niezbyt dobrze rozumiał kobiety - a kto, u diabła, je rozumiał? - ale instynkt podpowiadał mu, że ta twarda sztuka Morrisette naciąga fakty. I jakoś nie bardzo mu się to podobało. Wcale mu się nie podobało.

- Cholera! - Kelly wyłączyła magnetofon, odsłuchawszy wiadomość od przerażonej Caitlyn. Co jest z tą Caitlyn? Zawsze pakuje się w kłopoty. Wielkie kłopoty. I zawsze oczekuje, że Kelly ją z nich wyciągnie. Boże, co za wariatka!

Ze złością znów włączyła magnetofon, aby jeszcze raz posłuchać przerażonego głosu Caitlyn. „Kelly? Kelly? Jesteś tam? Jeśli tam jesteś, to podnieś słuchawkę”.

Do diabła!

Westchnęła i skasowała wiadomość.

„Muszę z tobą porozmawiać o wczorajszej nocy”.

- No jasne - zamruczała Kelly. Nie była zdziwiona. Nie trzeba wielkiego geniuszu, żeby wiedzieć, że Caitlyn, zdana sama na siebie, wpakuje się w kłopoty. Nic nowego.

Nagle zrobiło jej się przeraźliwie zimno, choć w pokoju panował ponad trzydziestostopniowy upał. Wyglądała przez okno, pocierając ramiona. Prędzej czy później Caitlyn skończy w wariatkowie. Niestety, tym razem zostanie tam już na zawsze. Kelly nie może jej wciąż ratować z opatów. Problem w tym, że Caitlyn jest słaba. Tak jak wielu innych członków przeklętego klanu Montgomerych. Tak, wiele osób z jej rodziny miało nierówno pod sufitem... bardzo nierówno.

Kłątwa Montgomerych.

Odgarnawszy włosy z oczu, Kelly ruszyła przez pokój w kierunku oszklonych drzwi wychodzących na nieduży pomost nad rzeką. Na dworze było gorąco i parno, tak jak lubiła. Przez chwilę przyglądała się czapli szybującej wzdłuż brzegu nad wolno płynącą wodą. Poczula na twarzy promienie późnego poranka. Oparła się o poręcz i znów pomyślała o siostrze. W pierwszej chwili chciała wsiąść w samochód i popędzić prosto do niej, uspokoić ją, ukoić, tak jak zawsze do tej pory. Ale przecież to nie rozwiąże problemu. Nie sprawi, że Caitlyn stanie się nagle silna i odważna. Mogła spróbować rozwiązać jej obawy, pomóc jej... ale prawdę mówiąc, miała już tego naprawdę dość.

Bo Caitlyn jest taka niepozbita. Zawsze taka była. Zresztą trudno ją za to winić. Kelly zsunęła okulary słoneczne na nos, aby przyrzeć się łódce płynącej powoli w górę rzeki. Caitlyn wiele przeszła. Również w dzieciństwie... wszystkie leje tajemnice, które Kelly świetnie znała. Caitlyn nawet nie zdawała sobie sprawy, jak dobrze Kelly ją rozumie. Jak dobrze zna dręczące ją demony. Czy nie przestrzegala jej przed ślubem z Joshem? Chyba z milion razy. Ale czy Caitlyn chciała słuchać? O, nie! Była zakochana. Tak bardzo zakochana! Szkoda tylko, że w łotrze. No i w dodatku była w ciąży.

Z początku wszystko się jakoś układało. A potem urodziło się dziecko. Kelly poczuła ukłucie żalu, gdy przywołała w pamięci figlarną twarzyczkę Jamie. Jakie to smutne! Wciąż oparta o poręcz patrzyła na startującą czaplę, machającą śnieżnobiałymi skrzydłami.

Boże, jak Caitlyn kochała to dziecko! Nic dziwnego. Jamie była urocza. Piękna jak matka i czarująca jak ojciec. Kelly zmarszczyła brwi i popatrzyła na ciemną, leniwą wodę uderzającą o pale. Musiała niestety przyznać, że Josh potrafił kusić jak sam diabeł. Pośpiesznie zawarte małżeństwo Caitlyn było początkowo dobre, nie idealne, ale co najmniej poprawne. Nawet w czasie separacji. Aż do chwili, gdy Jamie zachorowała... Biedna mała. Kelly przełknęła z trudnością ślinę, a oczy piekły ją od powstrzymywanych łez. Do diabła, kochała to dziecko. Prawie tak bardzo jak Caitlyn. Prawie tak bardzo jak własne. Może dlatego, że sama nie miała dzieci. Pociągnęła nosem i weszła z powrotem do domu, poszukać w torebce papierosów. Nic z tego. Paczka była pusta. Wrzuciła ją do kosza przy biurku i natrafiła wzrokiem na fotografię swojej siostrzenicy. Jamie siedząca w

cieniu magnolii, z szerokim uśmiechem, błyszczącymi niebieskimi oczami, pulchnymi rączkami splecionymi z przodu. Miała wtedy dwa i pół roku. Kelly podniosła zdjęcie w srebrnej ramce i do oczu znów napłynęły jej łzy.

Caitlyn nigdy nie otrząsnęła się po śmierci Jamie, nie pomogła nawet psychoterapia u Rebeki, jak jej tam było? Rebeka Wade. Kelly zmarszczyła brwi i odstawiła zdjęcie. Przypomniła sobie, jak wkrótce po śmierci Jamie Caitlyn omal nie przedawkowała proszków nasennych.

Celowo?

Bardzo możliwe.

Josh, ten cholerny łajdak. Facet nie potrafił trzymać łap przy sobie. Miał nawet czelność przystawiać się do niej - siostry własnej żony! Ciekawe po co, przecież ona i Caitlyn były identyczne. No, chyba że fascynowała go różnica charakterów. Bo faktycznie, w ich przypadku podobieństwo kończyło się na wyglądzie. Poza tym były zupełnie różne. Jak dzień i noc. Caitlyn bardziej nieśmiała, spokojna, skupiona, a Kelly - fajerwerki energii, milion szalonych pomysłów na minutę. Zresztą Josh Bandeaux żadnej dziewczynie nie przepuścił.

Kelly spojrzała na telefon. Głos Caitlyn był pełen desperacji. Czy tego chciała, czy nie, Kelly musiała pojechać do siostry i uspokoić ją. Opadła na zamszową kanapę i gapiała się w otwarte drzwi. Teraz nie miała na to siły. Wiedziała, o czym Caitlyn będzie chciała rozmawiać. Najpierw pozwoli jej ochłonąć. Co można było powiedzieć o ostatniej nocy? Caitlyn po prostu wypila o jednego drinka za dużo, może więcej niż jednego.

To wszystko.

No, niezupełnie.

Ale nikt nie musi wiedzieć nic więcej.

Morrisette zgmiotła papierosa i nacisnęła ostro na hamulce. Samochód zatrzymał się kilka centymetrów od policyjnej blokady wokół domu Bandeaux. Kilka policyjnych samochodów i furgonetka stały bezładnie na ulicy i podjeździe.

Wysoki murowany dom z dużymi oknami, zielonymi okiennicami i obszernym patio był otoczony ogrodzeniem z kutego żelaza i bujnym żywopłotem. Dwóch policjantów w mundurach stało przed domem, żółta taśma otaczała miejsce zbrodni, ciekawscy sąsiedzi patrzyli zza zasłonek, a ci bezczelniejsi stali przed domami.

Reed wyszedł z samochodu, zanim Sylvie wyłączyła syrenę. Na zewnątrz panował upał, powietrze było bardzo wilgotne. Jeszcze zanim otworzył furtkę i machnął odznaką, zdążył poczuć piekące kropelki potu na czole. Gdy Morrisette dogoniła go, przed dom zajechała furgonetka lokalnej telewizji.

- Sępy na drugiej! - ostrzegła.

- Trzymaj ich z daleka - warknął Reed do jednego z policjantów, pokazując brodą na reportera i kamerzystę wysiadających z białego samochodu.

- Jasne. - Młody policjant skrzyżował ręce na piersi i spojrzał surowo na reporterów.

Reed wszedł przez otwarte frontowe drzwi i rozejrzał się po olbrzymim, starym, ale odnowionym domu. Uważając, żeby niczego nie dotknąć, skierował się w stronę głosów. Drogie dywany, którymi wyłożono marmurowe posadzki holu, tłumiły kroki. Obrazy przedstawiające konie czystej krwi zdobiły ściany, szerokie, podwójne schody zapraszały na górę. Przez uchylone drzwi zajrzał do gabinetu. Ścisnęło go w żołądku na widok tego, co zobaczył.

Bandeaux leżał na biurku, ręce zwisały po bokach, na grubym białym dywanie zebrała się ciemna kałuża krwi. Policjant w rękawiczkach ostrożnie wyjął spod prawej ręki ofiary coś, co wyglądało jak scyzoryk. Ostrze było ciemne od zaschniętej krwi.

- Chryste - wyszeptała Morrisette.

Kryminolodzy dokonali wstępnych oględzin i sporządzili notatki, a fotografowie i kamerzysta obfotografowali miejsce zdarzenia. Rysownik sporządził szkic, który mógł się przydać w dalszym postępowaniu lub w sądzie, gdyby okazało się, że popełniono morderstwo. Teraz cała ekipa rozpoczęła dokładne profesjonalne poszukiwania i zbieranie dowodów.

- Podciął sobie żyły? - zapytał Reed. Długopisem podciągnął rękaw ofiary, odsłaniając paskudne nacięcia na przedramieniu.

Morrisette wyraźnie pobladła.

- Tak mi się wydaje, ale nie jestem koronerem - powiedział fotograf. Reed rozejrzał się po pokoju i odnotował, że drzwi na werandę są otwarte, żaluzje zaciągnięte, a na dywanie widać ślady po odkurzaczu.

- Wciąż nie wierzysz w samobójstwo? - Reed zapytał Morrisette, a ta wolno potrząsnęła głową i cmoknęła.

- Po prostu uważam, że to nie w jego stylu.

Wkrótce przybył lekarz. Gerald St. Claire, obcesowy, niski, łysiejący mężczyzna dobiegał już siedemdziesiątki, ale wciąż był sprawny; resztki białych włosów przycinał krótko, zyskując wygląd - jak to określiła Sylvie - supermodnej szczoteczki do zębów.

- Nikt niczego nie ruszał? - zapytał jak zawsze.

- Nie, czekaliśmy na pana - automatycznie odpowiedziała Diane Moses. Zawsze padały te słowa. Byli zmuszeni razem pracować i gładko wymieniali zawodowe uprzejmości, ale nie przepadali za sobą. - Właśnie dokonaliśmy wstępnych oględzin, aby zorientować się w sytuacji. Kiedy zrobi pan swoją robotę, rozniesiemy to miejsce na strzępy. - Jak zwykle była sarkastyczna. Dowodziła tutaj i była tego świadoma. Apodyktyczna, bystra Murzynka nie cackała się z ludźmi. Nawet z St. Clairem. Spojrzał na nią chłodno i natychmiast odwzajemniła spojrzenie. - Na pierwszy rzut oka wygląda to na samobójstwo.

- Niemożliwe - mruknęła Sylvie. Piętrzące się dowody nie zdołały jej przekonać. Przesunęła ciemne okulary na czubek głowy, jeszcze bardziej strosząc włosy.

- Może miał kłopoty finansowe - zasugerował Reed. - Wiemy przecież, że jego małżeństwo się rozsypało.

- Bandeaux był zbyt zakochany w sobie, żeby się tak pociąć - upierała się Sylvie. - Mówiłam ci, że trochę o nim wiem, pamiętasz? Przystojny skurczybyk, nie? - Westchnęła, patrząc na silną szczękę, wysokie czoło i niewidzące brązowe oczy. - Szkoda.

- Więc uważasz, że został zamordowany? - zapytał Reed.

Morrisette skinęła głową, przygryzając wargi.

- Mogę się założyć. Niewiele osób w tym mieście będzie po nim płakać. - Podniosła szczupłe ramię zmarłego. - Jedno jest pewne, nikt nie miał tylu wrogów co Josh.

- Znaleźliśmy list pożegnalny - powiedział jeden z policjantów. - Jest w drukarce, o tutaj.

- Wskazał na szafkę za biurkiem. Reed rzucił okiem na list, nie dotykając.

Znikąd pomocy.

- Och, daj spokój - mruknęła Sylvie. - Jakby był w sytuacji bez wyjścia? Niemożliwe. Bandeaux nie miał skłonności do dramatyzowania.

- Może cierpiał na depresję.

Sylvie przewróciła oczami.

- Tak, jasne, bo życie tutaj jest nie do zniesienia. Facet miał wprawdzie tylko jedno bmw. Ale miał też range rovera, corvette, kilka koni wyścigowych, ten mały pałac i dom w St. Thomas z okazałym kawałkiem ziemi i prywatną zatoką. Tak, jasne, świetny kandydat do kuracji prozakiem.

Diane powstrzymała uśmiech i popatrzyła na martwe ciało Bandeaux. Morrisette, wciąż potrząsając głową z powątpiewaniem, rozglądała się po pokoju. Luksusowe meble - wiśniowe drewno i skóra, najnowocześniejszy komputer, drogi sprzęt grający, szklany humidor na cygara... same cygara pewnie kosztowały więcej, niż posterunkowy zarabia przez cały tydzień.

- Trudno mi przełknąć tę bajeczkę o biednym Joshu.

Reed uniósł brwi.

- Tak dobrze go znałaś?

- Sporo o nim wiem. Naprawdę sporo. I nie uwierzę, że zniszczył sobie koszulę od Brooks Brothers tym cholernym scyzorykiem. - Spojrzała pogardliwie na zakrwawiony nóż.

Reed zastanowił się. Miała rację. Z pozoru życie Josha Bandeaux wyglądało bajecznie; ale to jeszcze nie znaczy, że nie popełnił samobójstwa. Reed nie wykluczał żadnej możliwości.

- Co już wiemy? - zapytał jednego z policjantów.

- Niewiele. Zdaje się, że Bandeaux pracował nad tym. - Wskazał na dokumenty wystające z papierowej teczki i za pomocą ołówka otworzył ją.

- Co to jest?

- Pozew o spowodowanie śmierci - powiedziała Moses, marszcząc brwi i przyglądając się dokumentowi. - Wygląda na to, że Bandeaux zamierzał oskarżyć żonę o spowodowanie śmierci ich dziecka.

- Urocze. - Morrisette przewróciła oczami. - To już bardziej do niego podobne.

- Jak zmarło dziecko? - zapytał Reed.

- Nie mam pojęcia - mruknęła Diane, oglądając uważnie ramię denata.

Reed spojrzął na Sylvie.

- Nie wiem - przyznała i zmarszczyła brwi, próbując przypomnieć sobie, co się stało z dzieckiem Bandeaux.

- Musimy się tego dowiedzieć. Coś jeszcze? - Reed zwrócił się do policjanta.

- Nie było włamania. Frontowe i tylne drzwi zamknięte na klucz, okna pozamykane, z wyjątkiem dwóch okien na górze i tych drzwi. - Wskazał na drzwi balkonowe w gabinecie. - Prowadzana werandę.

- Sprawdźcie odciski.

- Tak jest, detektywie - wycedziła Diane Moses. - Innymi rzeczami też się zajmujemy. Wiemy, jak wykonywać naszą pracę.

- Olała! - zamruczała Sylvie, gdy Diane odeszła od biurka. - Ktoś tu jest bardzo drażliwy. Ktoś komuś nadepnął na zawodowe odciski.

- Słyszałam, Morrisette - syknęła Moses, nie przerywając rozmowy z fotografem.

- Co jeszcze wiadomo? - zapytał Reed policjanta.

- Radio było włączone i ustawione na jakąś stację z muzyką klasyczną. Rozmawialiśmy ze sprzątaczką, Estello Pontiac - naprawdę się tak nazywa, jak samochód - to ona zadzwoniła dzisiaj rano na policję. Weszła do domu i znalazła ciało. Doznała niezłego szoku. Gdy przyjechała ekipa, facet był już zimny, zmarł w nocy. Oficer Spencer rozmawiał z jednym z sąsiadów. - Policjant zajrzał do notatek. - Nazywa się Stanicy Hubert, mieszka obok, od północnej strony. Hubert mówi, że koło jedenastej wieczorem zauważył nieduży biały samochód, który odjechał pół godziny później. Nie odczytał numerów rejestracyjnych, ale wydaje mu się, że już kiedyś widział ten samochód. Twierdzi, że wygląda jak ten, którym jeździ pani Bandeaux.

- Żona, z którą denat się rozstał? - upewnił się Reed.

- Tak. Otoczyliśmy cały teren taśmą i sprawdzimy samochody stojące w okolicy i auta jego znajomych.

- A co z żoną?

- Od niej zaczniemy.

Reed jeszcze raz spojrzął na ręce Bandeaux, gdy lekarz podwinął ostrożnie rękawy koszuli. Brakowało jednego guzika przy mankiecie, co wydawało się dziwne i nie pasowało do Bandeaux. Fryzurę miał idealnie ułożoną, tylko kilka zagnieceń na ubraniu, buty wyczyszczone na błysk. I do tego urwany guzik?

Reed przyjrzał się przedramionom zmarłego. Nacięcia na nadgarstkach zrobione były pod dziwnym kątem... Cholera, może Morrisette miała rację z tym zabójstwem. Może upozorowanie samobójstwa nie do końca mordercy wyszło. Jeśli tak, to jest szansa, że będą mieli szczęście i znajdą jakieś ślady, jeżeli zabójca był nieostrożny.

- Poza tym w zmywarce były dwa kieliszki do wina. Służąca opróżniła wczoraj zmywarę przed swoim wyjściem, więc albo Josh miał gościa, albo sam zabrudził oba kieliszki. Sprawdzamy odciski palców. Wydaje się, że na jednym kieliszku jest ślad po szmince. Weźmiemy próbkę i zobaczymy, może w laboratorium zdołają określić producenta i markę.

Gdy lekarz skończył oględziny, Reed wyszedł z pokoju, a cała ekipa zabrała się do zbierania odcisków, mierzenia plam krwi i szukania dowodów w całym pokoju i domu.

- Coś jest na automatycznej sekretarce?

- Ma pocztę głosową, właśnie sprawdzamy.

- A poczta elektroniczna?

- Jak tylko skończymy zbierać odciski z komputera, przejrzymy pliki.

- Gdzie on pracuje?

- Ma własną firmę - odpowiedziała Morrisette. - Inwestycje. Konsulting. Taka finansowa złota rączka. Miał kłopoty z Komisją Papierów Wartościowych. Wydaje mi się, że jego biuro mieści się na Abercorn, tuż przy Reynolds Square.

- Byłaś tam?

- Po co miałabym tam chodzić? - zapytała.

- W ramach swojego śledztwa.

- Nieoficjalnego śledztwa - poprawiła go, mrużąc groźnie oczy.

- Mam tu adres - wtrącił policjant. - Znalazłem go na papierze firmowym. Rzeczywiście Abercorn.

- Sprawdź to. - Reed zwrócił się do Morrisette. - Porozmawiaj z pracownikami. Zorientuj się w sytuacji. Może będą wiedzieli, czy Josh cierpiał na depresję. Będą nam potrzebne billingi telefoniczne, dokumenty finansowe, zeznania sąsiadów, rodziny i przyjaciół.

- O ile w ogóle miał przyjaciół - odezwała się Morrisette. - Nie potrzebuję pouczeń. Znam procedurę. Pracuję tu już jakiś czas, pamiętasz?

Wystarczająco długo, by zebrać masę informacji o Joshu Bandeaux.

- Porozmawiam jeszcze raz z tym sąsiadem, jak on się nazywał? Hubert? Może zauważył, kto wsiadł do białego samochodu.

- Miejmy nadzieję - powiedziała Morrisette bez entuzjazmu, a Reed jeszcze raz spojrzął na ofiarę.

Może uda mu się coś jeszcze wyciągnąć od tego sąsiada. Przy odrobinie szczęścia...

Jednak zbytnio na to nie liczył.

Rozdział 3

Caitlyn źle się czuła, tak źle, że musiała się zdrzemnąć, a teraz usiłowała nadrobić stracony czas... stracony czas... zawsze ten sam problem, pomyślała, wyciskając gąbkę nad wiadrem. Spieniona woda była czerwona od krwi, którą wytarła ze ścian, luster, zagłówek i dywanu w sypialni. Wyczyściła wannę i prysznic, wycierała, szorowała, skrobała, aż połamała paznokcie, a dłonie poczerwieniały i szczypały od środków czyszczących. Zdjęła firanki, wrzuciła do pralki i nastawiła płukanie. Oskara musiała zamknąć w garażu, bo zaczął węszyć i zlizywać krew z dywanu.

Nie mogła znieść tego bałaganu. Przypominał jej o tym całym koszmarze. Powtarzała sobie, że wcale nie chodzi o usuwanie śladów. Nie było żadnego przestępstwa. Miała krwotok z nosa i chociaż wiedziała, że cała ta krew nie może należeć do niej, to jednak nie mogła wezwać policji.

Czego się boisz?

Nie odpowiedziała sobie, wylała brudną wodę do brodzika i ostatni raz przetarła kafelki.

W pamięci znów odżył ten obraz.

Zamarła.

Papiery, dokumenty. Pozew leżący na biurku Josha. I krew... sącząca się, gęsta, czerwona krew i jego oskarżające, niewidzące oczy.

- Jezu! - wyszeptala i przeszedł ją dreszcz. To był sen. Nocny koszmar. Popędziła na dół, wstawiła szczotkę i wiadro do szafki w garażu. W łazience przy gabinecie umyła ręce, nie wiadomo który już raz. Obejrzała skaleczenia, posmarowała je maścią i owinęła bandażem. Rany nie były głębokie, zwykle niewielkie nacięcia. Boże, czemu nie pamięta, jak się okaleczała?

O to chodzi, prawda? To jakaś poważna psychoza. Sama się tak zamecza, aby zagłuszyć poczucie winy po śmierci Jamie. Czy nie tak powiedziałyby doktor Wade?

Chciałyby porozmawiać z doktor Wade. Opowiedzieć jej o wczorajszej nocy. Ona by zrozumiała. Spróbowałyby pomóc. Ona...

Ale jej nie ma. Opuściła cię. Wzięła urlop na badania naukowe i porzuciła cię. Zostawiła na pastwę demonów i duchów.

- Nie! - krzyknęła, waląc pięścią w ścianę. Z garażu dobiegło ją ostre, zaniepokojone szczeknięcie Oskara.

Spokój. Bądź silna. Na miłość boską, opanuj się albo znów skończysz w psychiatryku.

Wzięła kilka głębokich oddechów, a potem powoli, starając się zapanować nad sobą, natarła ręce kremem i spojrziała na swoje odbicie w lustrze wiszącym nad umywalką. Była blada. Piegi stały się wyraźniejsze niż zwykle. Spociała się z wysiłku, a wilgotne kasztanowe włosy skręciły się. Poczwała w głowie narastający ucisk, resztki migreny pulsującej za okiem. I ten niepokój, wciąż czający się w ukryciu. Nie mogła pozwolić,

żeby zawładnął nią strach, nie mogła pozwolić, żeby ogarnęła ją panika, bo to groziło szaleństwem. Czyż nie zapewniała doktor Wade, że potrafi stawić czoło światu?

- Jesteś pewna? - zapytała ją terapeutka podczas ostatniej sesji. Drobna kobieta z krótko przyciętymi rudymi włosami nie potrafiła ukryć wątpliwości. - Mogę cię z kimś skontaktować. Mam znajomych lekarzy, którzy chętnie się tobą zajmą. Pozwól, że dam ci kilka telefonów.

- Poradzę sobie. Myślę, że już najwyższa pora samodzielnie zająć się własnym życiem - zapewniała Caitlyn.

Doktor Wade bezskutecznie próbowała zwalczyć sceptycyzm. W końcu wręczyła Caitlyn kartkę z kilkoma nazwiskami.

- Wszyscy od czasu do czasu potrzebujemy wsparcia - powiedziała. - Nawet my, psychiatrzy.

- Może powinnam zająć się psychologią, rzucić robienie grafiki i projektowanie stron internetowych - mruknęła wtedy Caitlyn.

Tamtą listę zaraz zgubiła. Szkoda, teraz przydałby się jej jeden z tych lekarzy od głowy.

Myśłami powędrowała znów do wydarzeń poprzedniej nocy.

Jak to się stało, że nic sobie nie może przypomnieć?

Skąd ta dziura w pamięci?

Co takiego zrobiła?

Gdzie, do diabła, jest Kelly? Nawet jeśli nie ma jej w mieście, musiała przecież zadzwonić do domu, żeby sprawdzić wiadomości... Dlaczego nie oddzwoniła?

Bo nie chce z tobą rozmawiać. Przyjmij to do wiadomości, dobrze? Twoja siostra cię unika. Uważasz, że niesłusznie? Dzwonisz zawsze, gdy masz problem, kolejny kryzys, nowe tarapaty.

Głos zdawał się dochodzić z każdego kąta łazienki. Nie rozumiesz? Ma dość słuchania o twoich kłopotach, dość ciągłego wspierania cię, po prostu ma cię dość!

Nie, to nie tak. Kelly była jej siostrą; były bliźniętami jednojajowymi. Były sobie bliższe niż ktokolwiek inny. Kelly widocznie miała dużo pracy... Złana potem, nie zwracając uwagi na szalone bicie serca, Caitlyn ochlapała twarz zimną wodą.

- Opanuj się - powiedziała do swojego odbicia, osuszając policzki i czoło ręcznikiem. - Weź się w garść, i to już! Nie możesz się załamać.

Z garażu dochodziło zawodzenie i skrobanie Oskara.

- Już idę - powiedziała, rzucając ręcznik, zrobiła głęboki wdech i skierowała się ku drzwiom. Potrzebowała pomocy. Koniecznie. Zanim straci grunt pod nogami. Otworzyła drzwi garażu, do domu wpadł Oskar i zaczął kręcić młynka. - No dobrze już, dobrze, pójdziemy na spacer, chcesz? - Pies czekał, nieprzytomnie szczęśliwy, i wirował w szalonym tańcu. - Uspokój się na chwilę. - Zmierzyła mu sierść na grzbiecie. - Mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Możesz mi pomóc.

Pośpieszyła na górę do gabinetu, a Oskar podreptał za nią. Włączyła komputer, odnalazła numer telefonu do doktor Rebeki Wade i szybko wykręciła go z rozpaczliwą, ale niewielką nadzieją, że terapeutka już wróciła. Albo zostawiła numer kontaktowy. Albo informację, do jakiego psychiatry mogą zwrócić się jej pacjenci.

Ręce zaczęły jej się pocić, gdy usłyszała sygnał w słuchawce. Bądź w domu, modliła się po cichu, ale zaraz bezosobowy głos z taśmy poinformował ją, że abonent zmienił numer i nie podał nowego.

- Świetnie. - Odłożyła telefon i zaczęła obgryzać paznokcie. Na jak długo doktor Wade

miała wyjechać? Trzy miesiące? Sześć? Na czas nieokreślony? Czy miała pojechać do Los Angeles? A może do San Francisco? Dlaczego tego nie pamięta?

Spojrzała na kalendarz i zmarszczyła brwi. Kiedy miały ostatnie spotkanie? Nie w czerwcu. Przewróciła kartkę na maj... też nie... albo po prostu zapomniała zapisać w kalendarzu. Objęła głowę rękami i spróbowała się zastanowić. Jak nazywali się psychiatrzy, których poleciła jej doktor Wade? Albo przynajmniej ci, którzy pracowali z doktor Wade w tym samym starym budynku przerobionym na gabinety? Był tam chyba jakiś doktor Nash czy Nichols, a może Newell, jakoś tak... Może mogłaby do niego zadzwonić. Siedziała wpatrzona w telefon i nagle zdała sobie sprawę, że nie może wziąć ot tak, z powietrza czy z książki telefonicznej jakiegoś nazwiska. Musi to być ktoś, komu zaufa, zanim zdecyduje się opowiedzieć o swoim życiu. Strasznie pokreconym życiu.

Oskar szczechnął cicho. Zerknęła w okno. Przez zielone gałęzie sasafrasu dojrzała samochód policyjny skręcający w uliczkę za jej domem. Serce jej zamarło. A to co? Popędziła do sypialni, w której brakowało firanek i pościeli, a na podłodze leżał mokry dywan. Oskar podreptał za nią i przekrzywił łeppek, a ona patrzyła przez szklane drzwi na policyjny samochód, który właśnie zatrzymał się na tyłach domu, przy pojemnikach na śmiecie. To nie wróżyło nic dobrego... nic a nic. Znów obrzuciła wzrokiem sypialnię. Czy będą chcieli tu zajrzeć? Czy zniszczyła dowody?

Dowody czego?

Z trudem przełknęła ślinę. Z samochodu wysiadły dwie osoby: wysoki, tyczkowaty mężczyzna o ciemnych włosach i ponurej twarzy, i kobieta, szczupła, ze sterczącymi platynowymi, prawie białymi, włosami, w okularach słonecznych. Caitlyn wydawało się, że zna tę policjantkę. Nonsens, skąd miałyby ją znać?

Policjantka spojrzała na dom, a Caitlyn ukryła się za ścianą, żeby nie zostać przyłapaną na gapieniu się. Jak morderca w starym czarnym kryminale. Tak jakby rzeczywiście miała coś na sumieniu. Popadasz w paranoję. Uspokój się.

Nie mogła jednak powstrzymać łomotu serca. Nagle zauważyła, że na futrynie drzwi do garderoby pozostał ślad krwi. Wspaniale. Po prostu... wspaniale. Oskar warczał i gdy wzięła go na ręce, spostrzegła, że przez bandażę na nadgarstkach zaczęła przesączać się krew. Z rozmysłem obciągnęła rękawy bluzy. Lepiej, żeby wścibscy policjanci nie zobaczyli czerwonych śladów i opatrunków na rękach.

Nie, żeby musiała coś ukrywać.

Poza litrami krwi rozsmarowanymi po całej sypialni.

No dobrze miała niewielki krwotok. Albo nawet całkiem spory. Krwotok z nosa. I próbowała podciąć sobie żyły. No i co z tego? To nie zbrodnia. A to jest jej własny dom, jej własne miejsce na ziemi.

Więc nie ma się czego bać. Wszystko w porządku?

Tylko ta krew... tak jej dużo... jak mogła nic nie zapamiętać? Za dużo alkoholu? Kolejny urwany film? Boże, nie! Cokolwiek się tu stało, było przerażające. Cholernie przerażające. A przypuszczenie, że sama się tak okaleczyła, było wręcz potworne.

Policjanci obeszlili dom i gdy Caitlyn przeszła do gabinetu, zobaczyła, że stoją przy furtce przed domem. Przed chwilą łudziła się jeszcze, że przyjechali do któregoś z sąsiadów, ale teraz...

Do ciebie przyjechali. Przez ten cały bałagan w sypialni. Przyjechali, ponieważ coś zrobiłaś. Oni skądś wiedzą, co się stało. A ty nie wiesz.

Zacisnęła szczęki, głucha na rodzące się wątpliwości. Włożyła klapki i pośpieszyła na

dół. Na dźwięk dzwonka u drzwi Oskar z głośnym szczekaniem wpadł do holu.

- Bądź grzeczny - ostrzegła Caitlyn, odetchnęła głęboko i zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi. Policjanci stali na ganku. Wysoki mężczyzna pokazał odznakę. Jego partnerka z bliska wydała się Caitlyn jeszcze drobniejsza. Twarz miała ponurą i też trzymała w ręku legitymację policyjną.

Złe wieści. Złe, złe wieści.

- Pani Bandeaux? - zapytał mężczyzna.

- Tak. - Skinęła głową, serce jej zamarło, a połamane paznokcie wpiły się w drzwi. - Nazywam się Caitlyn Bandeaux.

Wykrzywił usta w uśmiechu, ale jego oczy pozostały poważne.

- Jestem detektyw Reed, a to moja partnerka, detektyw Morrisette. Czy możemy na chwilę wejść?

Odznaki wyglądały na prawdziwe, zdjęcia nie wypadły zbyt dobrze, ale można było rozpoznać twarze. Zawahała się. Pomyślała o bałaganie na górze i krwi na drzwiach do garderoby. Pozbierała się jakoś, otworzyła szerzej drzwi i zauważyła, że kobieta mierzy ją wzrokiem.

- O co chodzi? - zapytała Caitlyn, ale w głębi serca wiedziała, że przyszli ze złą nowiną.

Odsunęła się na bok, wpuszczając ich do środka, i chociaż przez otwarte drzwi wtargnął do domu podmuch gorącego powietrza, niemal trzęsła się z zimna.

- Obawiam się, że mamy złe wieści, pani Bandeaux - powiedział mężczyzna, wskazując Caitlyn krzesło. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, chwyciła się oparcia.

- Co się stało?

- Chodzi o pani męża.

- Josha? - wyszeptała i poczuła zaciskające się na szyi lodowate palce. Nagły huk w głowie, jak odgłos fal morskich uwieczonych w grocie, niemal ją ogłuszył. Znów pojawił się obraz Josha leżącego na biurku. - Co z nim? - Przełknęła ślinę, usta miała suche jak Sahara. Wiedziała, co zaraz usłyszy.

- Nie żyje - odpowiedział Reed.

Huk w głowie Caitlyn spotęźniał jeszcze, kolana się pod nią ugięły.

- Ale jak...?

- Jeszcze nie wiemy na pewno, co się stało. Badamy różne hipotezy i czekamy na raport koronera.

- Nie! - Gwałtownie potrząsnęła głową. - Nie wierzę. - Wierzyła jednak. Wiedziała. Jakimś cudem wiedziała.

- Przykro mi - powiedział Reed. Kobieta też wymruczała kondolencje, których mózg Caitlyn już nie zarejestrował. Zaciśnęła palce na oparciu krzesła, nogi trzęsły się jej tak, że z trudem mogła ustać.

- Wiem, że to dla pani szok. - Głos kobiety dobiegał jakby z daleka. Caitlyn ledwo go słyszała. W głowie przewijał jej się kalejdoskop obrazów. Josh jako młody mężczyzna za sterami swego jachtu, w Neapolu, gdzie się jej oświadczył... Josh usiłujący ukryć rozczarowanie, że urodziła mu się córka, a nie syn... Josh ukradkiem wracający nocą do domu, jak twierdził, z pracy... Josh wściekły, gdy inwestycje mu nie szły... poblady i zdruzgotany na pogrzebie córki.

- Czy pani mąż miał wrogów? - zapytała policjantka, jak ona się nazywała?

Caitlyn wróciła do rzeczywistości.

- Nie wiem... tak, wydaje mi się, że tak.

- Będą nam potrzebne nazwiska.
- Oczywiście... ale... on... on prowadził interesy w mieście. Niektóre z nich zakończyły się fiaskiem. - Głowa jej pękała, jakby nagle mózg przestał mieścić się w czaszce.
- Cierpiał na depresję?
- Josh? Na depresję? Nie wiem. Byliśmy... byliśmy w separacji... ale przecież na pewno to już wiecie, skoro tutaj jesteście. Nie mieszkaliśmy... nie mieszkaliśmy razem od jakichś trzech lat. - Cała zdrętwiała, próbowała zachować spokój. Bez powodzenia. Nagle zrobiło jej się słabo... ciemno przed oczami.
- Proszę usiąść, pani Bandeaux. - Dobiegł ją daleki głos. Kobieta chwyciła ją za ramiona i zaprowadziła do salonu. Caitlyn miała nogi jak z waty.
- Mój mąż... chciał wystąpić o rozwód. - Gdyby tylko udało jej się zachować spokój do odjazdu policji, gdyby tylko dali jej czas na zastanowienie się. Pozwoliła posadzić się na kanapie.
- A pani?
- Co ja?
- Czy chciała pani rozwodu?
- Nie wydaje mi się, żeby mogła teraz na to odpowiedzieć - powiedziała cicho policjantka.
- Ale Caitlyn chciała odpowiedzieć. Chciała mieć już to przesłuchanie za sobą, jak najszybciej.
- Ja... ja myślałam, że znów możemy być razem, ale... - Poczowała łzę na policzku. Josh. Nie żyje? Zdrowy, energiczny, chwytający życie za jaja, Josh? Nie... nie mogła uwierzyć. To niemożliwe. Rozplakała się na dobre. Ktoś, pewnie ta kobieta, podał jej chusteczkę, stłumiła szloch, ale łzy wciąż spływały strumieniami po twarzy.
- Czy miał kłopoty finansowe?
- Nic mi nie wiadomo. Nic konkretnego. - Ale zawsze brakowało mu pieniędzy. Zawsze cierpiał na chwilowy brak gotówki, zawsze przecież pożyczał od ciebie.
- Czy był z kimś związany?
- Wiedziała, że o to zapytają. Nie wiedzieć czemu wspomnienie niewierności męża przywróciło jej zdolność logicznego myślenia.
- Tak - przyznała i poczuła ból. Czym innym było żądanie rozwodu, a czym innym afiszowanie się z kochanką. - Nazywa się Naomi Crisman.
- Jak ją poznał?
- Nie jestem pewna, ale myślę, że spotkali się na jakiejś imprezie dobroczynnej. - Powoli przychodziła do siebie, złowieszczą ciemność rozplątywała się. - Josh jest... był filantropem.
- Zobaczyła, jak policjanci wymieniają się spojrzeniami, i nagle zdała sobie sprawę, że przyjechali tutaj nie tylko, żeby przekazać złe wieści, ale żeby wyciągnąć od niej informacje.
- Zna ją pani?
- Ona spotykała się z moim mężem, detektywie - powiedziała i pociągnęła nosem, oplakując męża, który jej nie kochał. - To nie sprzyja nawiązywaniu przyjaźni. - Potarła oczy i wyczuła bandaż ukryte pod rękawami bluzy. - Dziękuję, że przyszedliście powiedzieć mi o mężu... Będę chciała go zobaczyć, jeśli to możliwe... ale zadajecie mi tyle pytań, a wspomnieliście, że to może być morderstwo, prawda?
- Nie mamy jeszcze pewności.
- Czy jestem podejrzana? - Wydawało jej się to nieprawdopodobne, ale patrząc na

nieruchome twarze policjantów, wiedziała już, że jest na liście podejrzanych. To było niedorzeczne. Absurdalne. - Jak zginął mój mąż?

Dostrzegła pewne wahanie.

- Wciąż był moim mężem - zauważyła z nagłą złością. Chciała się na kimś wyładować. Na kimkolwiek. Choćby na tych wścibskich ludziach nachodzących ją w domu i przynoszących okropne wieści. - Sądzę, że mam prawo wiedzieć.

Detektyw Morrisette skinęła głową.

- Możliwe, że pani mąż sam odebrał sobie życie, ale tak jak mówiliśmy, nasuwa się wiele pytań i wciąż nie znamy odpowiedzi. Znaleźliśmy go w jego gabinecie. Miał pocięte nadgarstki.

Skuliła się. Znów zobaczyła Josha leżącego na biurku. Skąd wiedziała?

- Samobójstwo - wyszeptła z niedowierzaniem Caitlyn i pomyślała o nacięciach na własnych nadgarstkach. - Niemożliwe. Nie zrobiłby tego. - Potrząsała głową, próbując odegnąć od siebie obraz Josha wykrwawiającego się na śmierć. - On... on użyłby broni albo włączył silnik w zamkniętym garażu i zatrzał się spalinami, albo... - Zamilkła, zauważywszy, że słuchają jej z wielką uwagą.

- Albo? - zapytał Reed.

- Nie wiem.

Nie naciskał, ale jego spokojne oczy mówiły: Oczywiście, że wiesz. Żyłas z tym facetem. Znałas go. I to ty mogłaś go zabić. Rozwodził się z tobą. Dybał na twoje pieniądze. Miał inną kobietę. Groził ci pozwem o spowodowanie śmierci dziecka. Do tego cała ta krew w sypialni. Ale nie, o tym policjanci nie wiedzą. Przynajmniej na razie.

- Jeśli już państwo skończyli, myślę... chciałabym się położyć.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to chcielibyśmy zadać jeszcze kilka pytań - naciskała Morrisette z cieniem uprzejmego, choć Caitlyn była pewna, że nieszczerego uśmiechu. - A potem sobie pójdziemy.

Zadali kilka ogólnych pytań na temat Josha, jego rodziny i interesów, o których Caitlyn niewiele wiedziała, a potem wstali gotowi do wyjścia.

- Jeszcze tylko jedno pytanie - powiedział Reed. - Gdzie pani była ostatniej nocy?

Zastygła.

- Byłam poza domem.

- Całą noc?

O Boże!

- Wyszłam około wpół do dziewiątej lub o dziewiątej, a wróciłam koło północy. Nie wiem dokładnie - przyznała, czując na sobie nieustępliwe, świdrujące spojrzenie Reeda, który starał się wyłowić najmniejsze kłamstwo.

- Czy była pani wczoraj u męża?

Zrobiło jej się słabo.

- Nie, tak jak mówiłam, byliśmy w separacji - odpowiedziała, powtarzając sobie, że te przerażające obrazy to tylko sen. Więc czemu były tak realne? Czemu akurat Josh leżący na biurku z zakrwawionymi nadgarstkami? - Czy potrzebuję adwokata? - zapytała zaskakująco ostro.

- Po prostu próbuję się dowiedzieć, co zaszło wczorajszej nocy.

Ja też!

- Kiedy już się to panu uda, proszę i mnie poinformować - powiedziała, czując jak oblewa ją fala gorąca.

- Oczywiście - wtrąciła się Morrisette. Rzuciła swemu partnerowi ostrzegawcze spojrzenie. - Wolałabym, żeby nie była pani sama - powiedziała, delikatnie dotykając jej ręki i niechętnie uciskając rany.

Caitlyn zacisnęła zęby z bólu. Ostatnia rzecz, której pragnęła, to być teraz z kimś. No, może poza Kelly.

- Mogę zadzwonić do którejś z moich sióstr lub do brata.

- Obiecujecie pani?

- Tak. Dam sobie radę. - Kłamczucho! Nigdy nie dajesz sobie rady!

Reed popatrzył sceptycznie, ale policjantka spojrzała na niego surowo, dając mu do zrozumienia, żeby nie protestował.

Marszcząc brwi, Reed zatrzasnął notatnik.

- Moglibyśmy zadzwonić w pani imieniu. Do kogoś z rodziny. - Podrapał się w brodę i zamyślił, patrząc przez okno na wiszący na magnolii, wolno obracający się karmnik dla ptaków. Na cienkiej gałęzi siedział kardynał, skubiąc zawzięcie małe nasionka. - Będzie pani kogoś potrzebowała. Gdy wyjeżdżaliśmy, w domu pani męża pojawiło się już kilku dziennikarzy.

Serce jej zamarło.

- Dziennikarze?

- Szybko zorientują się w sytuacji i przyjadą tutaj - zauważył trzeźwo.

- Cudownie. - Spotkanie z policją było już wystarczająco trudne; nie wyobrażała sobie rozmowy z prasą. Nie teraz.

- Na pani miejscu nie rozmawiałbym z nimi.

Nie ma obawy.

Detektyw Morrisette przytaknęła i założyła okulary.

- Potrafią być okropni. Niech pani pozwoli nam do kogoś zadzwonić. Do przyjaciółki, siostry czy brata. Nie powinna pani zostawać teraz sama.

- Nie, wszystko w porządku... - Idiotyczne zdanie. Już nigdy nic nie będzie w porządku. I pewnie nigdy nie było. Josh nie żyje, sypialnia ledwo doszorowana z krwi i do tego ten sen... Czy to był sen? Gdyby tylko mogła dodzwonić się do Kelly. Może ona wie, co się u diabła stało zeszłej nocy. Zmusiła się do uprzejmego, ale smutnego uśmiechu.

- Zadzwonię do brata, do Troya. Pracuje w centrum, w banku. - Gdy odprowadzała ich do drzwi, na twarzach policjantów malował się sceptycyzm.

- Jest sobota - zauważył Reed. - Banki są chyba nieczynne.

- Ale nie Montgomery Bank and Trust - powiedziała, spoglądając na zegar. Będzie czynny jeszcze przez kilka godzin. Takie zasady wprowadził jej dziadek wiele lat temu. - Mogę zadzwonić do brata. Dam sobie radę. - Sama nie wierzyła w to, co mówi. - Pozbieram się, potrzebuję tylko trochę czasu.

Wydawało się, że Reed chce coś jeszcze powiedzieć, ale dostrzegł, że Morrisette szybko potrząsa głową, więc ugryzł się w język. Caitlyn patrzyła za nimi przez chwilę. Zaskrzypiała stara brama. Oskar wypatrzył kota sąsiadów czającego się na gałęzi sasafrasu i zaczął ujadać jak wściekły.

Zanim udało mu się wybiec, Caitlyn przekręciła zamek i oparła się o chłodne drzwi. Musi się dowiedzieć, co wydarzyło się zeszłej nocy.

Josh nie żyje. Nie żyje.

Prawdopodobnie zamordowany.

A ona nawet nie może przysiąc, że tego nie zrobiła.

Rozdział 4

Dzisiejszego ranka duchy wciąż były niespokojne.

Złe.

Kpiące.

Syczały, miotając się w ciemnościach.

Tak jak przez całą noc.

Ich niespokojne ruchy nie pozwalały Lucille spać, prześladowały ją, atakowały jej umysł, gdy tylko udało jej się na moment zasnąć. Pojawiły się koło północy, wzdychając w gałęziach dębów i poruszając girlandami hiszpańskiego mchu. Zjawy szemrały przy starym kole młyńskim, które obracało się, skrzypiąc, napędzane strumieniem płynącym przez sad. Chowały się za krokwiemi na drugim piętrze wspaniałej, starej, podupadającej już rezydencji, za oknem Lucille. Myślała, że odejdą wraz z ciemnością, gdy nadejdzie świt. Myliła się. Nękały ją nawet teraz, gdy sprzątała szeroki ganek Oak Hill, posiadłości Montgomerych. Wymiotła z kąta gniazdo pajaków przypominające kłaczki waty.

- Hej, wy tam, zabierajcie się stąd. Idźcie sobie, zostawcie mnie - wymruczała i zacisnęła usta, obserwując syna ogrodnika obcinającego zwiędłe kwiaty róż. Nie spojrział na nią spod daszka swojej czapki, ale wiedziała, że ją usłyszał. Musiała być ostrożna.

Chociaż niektórzy myśleli, że jest trochę stuknięta, że dotknęło ją szaleństwo Montgomerych, Lucille była zupełnie normalna. Nawet normalniejsza niż inni ludzie. Tylko, jak klątwa, ciążyła na niej zdolność słyszenia głosów zmarłych. A ten stary, dwupiętrowy dom z kryształowymi szybami w oknach, kryształowymi żyrandolami i ceglany ganek był nawiedzony. Znała imiona wielu z tych duchów, nieraz widziała je na walących się nagrobkach. Niektóre z tych złych, bezcielesnych zjaw to dusze niewolników zmarłych ponad sto lat temu, były też dusze dzieci, biedne małe duszyczki, którym nie dane było dorosnąć. Jedną cechą miały wspólną - wszystkie te złe istoty urodziły się z domieszką krwi Montgomerych w żyłach.

Chciała tylko, żeby się uciszyły. By wśliznęły się z powrotem do grobów, tam gdzie ich miejsce. Ale one nie mogły, bo coś okropnego, coś bardzo złego stało się wczoraj w nocy. Lucille nie wiedziała co. Jeszcze nie wiedziała.

Otarła czoło rękawem fartucha i spojrziała na długi podjazd, jakby spodziewając się posłańca złych wieści, choćby samego szatana. Ale późny poranek był zwodniczo spokojny. Zbyt spokojny. Głosy w głowie nie zagłuszyły szumu płynącej wody ani brzęczenia owadów.

Zamiatła wokół kwietników z terakoty, w których kwitły obficie petunie i nagietki, sprawdziła, czy na palmie nie ma szkodników, i wsłuchiwała się w skrzeczące głosy. Lucille je słyszała, podejrzewała nawet, że inni też je słyszą; jednak za bardzo się boją, aby przyznać, że duchy zmarłych naprawdę istnieją.

Caitlyn... na niej to dopiero ciążyła klątwa, biedne dziecko. Jak na jej babce Evelyn... kolejna umęczona dusza. Machając miotłą, Lucille szybko nakreśliła na piersi znak krzyża, nawet na moment nie wypadając z rytmu. Mogłaby się założyć o miesięczne zarobki, że Caitlyn też słyszy głosy, że słyszy w głowie szepty zmarłych. Tak jak Evelyn.

Przerwała zamiatanie. Nadstawiła uszu. Warczała kosiarka, ogrodnik ścinał trawę przy stajniach. Piszcziała wiewiórka siedząca na dębie, a z daleka dochodził szum samochodów, i mimo tych wszystkich hałasów, Lucille wciąż słyszała głosy duchów - ciche i pełne złości. Czuła, jak się ruszają, wirują, mącąc gorące powietrze, które owiewało jej policzki. Zło wydawało się zbliżać, nie potrafiła go jednak nazwać; nie wiedziała, skąd przychodzi.

Zaczął się zeszłej nocy.

Poszła spać jak zwykle o jedenastej. Wcześniej podała pani Bernedzie ostatnią dawkę leków i trochę ciepłego mleka z miodem. Kiedy Berneda zasnęła i zaczęła chrapać, Lucille zaciągnęła zasłony wokół łóżka i po cichu opuściła pokój. Weszła tylnymi schodami na drugie piętro; wdrapując się po wąskich stopniach, czuła w kolanach artretyzm i zasapała się z wysiłku. Robiła się za stara i za gruba na ciężką pracę, i chociaż dobrze jej płacili i kochała rodzinę Montgomerych jak własną, wiedziała, że wkrótce pójdzie na emeryturę i być może zamieszka wtedy na Florydzie ze swoją siostrą Mabel.

Ale dopiero po śmierci Bernedy Montgomery. Lucille obiecała mężowi Bernedy, że będzie zajmować się jego żoną do końca jej dni. Z błogosławieństwem łaskawego Boga, dużymi dawkami silnych środków przeciwbólowych, kieliszkiem brandy co noc, rozrusznikiem pilnującym regularnego bicia zmęczonego serca, Lucille zamierzała dotrzymać przysięgi złożonej Cameronowi Montgomery'emu, chociaż okazał się sukinsynem, jakich mało. Ale żadne z dzieci Bernedy nie było w stanie zająć się schorowaną matką. Wszystkie myślały, że rozrusznik serca i tabletki nitrogliceryny jeszcze długo będą trzymać matkę przy życiu, ale Lucille wiedziała swoje. Śmierć wzywała Bernedę Montgomery, a kiedy już zaczęła przyzywać swą ofiarę, nijak nie można było suki powstrzymać.

Podniosła szufelkę, prychnęła i popatrzyła na gorące słońce leniwie przemierzające bezchmurne niebo. Tyle dzieciaków i wszystkie nic niewarte.

Ale kimże była, żeby krytykować? Tak jakby jej własna córka była dużo lepsza. Nie, Marta, niech Bóg błogosławi jej nieczułe serce, należała do pokolenia, które robiło tylko to, na co miało ochotę. Zajmowała się swoimi sprawami, nie oglądając się za siebie. Nawet teraz. Miała odwiedzać Lucille, ale nigdy nie przyjeżdżała. Podobno chodziła z jakimś ważnym gliną o nazwisku Montoya z Nowego Orleanu, ale musiało się to rozlecieć, skoro dzwonił tutaj, szukając jej. Na tym polegał problem z Martą. Była dziwna. Ale przecież to nic nowego. Lucille spędziła ponad trzydzieści lat na rozpamiętywaniu swoich nieprzemyślanych decyzji. Nawet teraz czuła się winna wobec swojej jedynaczki, dręczyły ją wyrzuty sumienia. Kochała Martę całym sercem i była dla niej jedynym wsparciem od czasu, gdy ta skończyła pięć lat. Czasami jednak wydawało się, że zło zwycięża.

Można by oczekiwać, że wśród tych wszystkich dzieci, które Berneda i Cameron Montgomery wydali na świat, chociaż jedno wykaże się wystarczającą przyzwoitością. Lucille wysypała zawartość szufelki przez poręcz, na kupkę śmieci piętrzącą się pod grubymi pędami wisterii. Jaki los czeka wszystkich potomków Montgomerych? W ich żyłach krąży zła krew. Marny los i tyle.

Spojrzała na szklany dzbanek z herbatą, stojący na balustradzie w promieniach słońca. W bursztynowym płynie pływały i wirowały herbaciane torebki, jak martwe ciała w ciepłym morzu.

W głębi domu usłyszała dzwonek telefonu.

Serce jej na chwilę zamarło.

Nikt nie musiał jej mówić, że to złe wieści.

- Uporządkujmy fakty. - Troy powiesił marynarkę na oparciu krzesła w kuchni Caitlyn. - Josh nie żyje. Mogło to być samobójstwo albo morderstwo. Policja wciąż się nad tym zastanawia. Wszystko do tej pory się zgadza, tak?

- Tak. - Caitlyn nalala świeżej wody do miski Oskara, mając nadzieję, że nie wygląda na tak wyżętą, jak się czuje. Zadzwoiła do brata i zostawiła mu wiadomość zaraz po wyjściu policji. Zjawił się dwie godziny później, jak tylko odsłuchał jej wiadomość, oddzwonił i utorował sobie drogę przez tłum reporterów krążących przy frontowej bramie. Wyglądał raczej na wkurzonego niż zasmuconego śmiercią szwagra.

Tak jak przewidział detektyw Reed, ekipy telewizyjne i reporterzy lokalnych gazet pojawili się wkrótce po odjeździe policji. Dzwonili do drzwi, a kiedy Caitlyn nie otwierała, zajęli pozycje na chodniku przed domem. Kamerzysta filmował stojącą przed bramą domu szczupłą kobietę w eleganckiej fioletowej bluzce z czarną apaszką. Poczowała ucisk w żołądku. Znowu. Żadnych kamer. Żadnych reporterów. Żadnych pytań o intymne szczegóły z jej życia.

- Nie potrafia powiedzieć, czy sam się zabił, czy ktoś mu w tym pomógł? - zapytał Troy, a jego wibrujący głos sprawił, że wróciła do rzeczywistości. Boże, musi się pozbierać; nie pozwoli, żeby ktokolwiek, nawet Troy, dowiedział się o jej lękach.

- A... tak, znaczy... Jestem pewna, że potrafia. To tylko musi potrwać.

Troy prychnął pogardliwie.

- Najlepsi w Savannah. Nic im nie powiedziałaś, prawda? - Nieustępliwe, niebieskie oczy przyglądały jej się badawczo, szukały jakiejś skazy, kłamstwa.

- Nie mogłam. Ja nic nie wiem.

Poza tym, że na piętze było pełno krwi. Cholernie dużo krwi. To nie była krew Josha. Nie mogła być! Caitlyn osunęła się na krzesło wyczerpana i śmiertelnie przerażona.

- Ale na pewno jesteś jedną z głównych podejrzanych. - Troy zmarszczył brwi. Stał wyprostowany jak struna, szerokie ramiona, wąskie biodra, ciemne włosy, tylko na skroniach pojawiło się kilka siwych pasemek. Miał trzydzieści trzy lata i był w świetnej formie. - Wszyscy wiedzą, że Josh miał romans i zamierzał się z tobą rozwieść.

- Jak to miło z twojej strony, Troy - mruknęła. - Nie owijasz w bawełnę.

- Właśnie. Znalazłaś się w trudnej sytuacji.

- Ja? - zapytała. - Co chcesz powiedzieć? Że zabiłam Josha?

- Oczywiście, że nie.

Wciąż była wzburzona.

- Wiesz, przydałoby mi się trochę wsparcia. To był fatalny dzień i jeszcze się nie skończył. - W jej oczach błysnęły łzy. Ale nie podda się. Oskar, czując nadchodzącą awanturę, wśliznął się na swoje ulubione miejsce pod stołem.

Troy stał zapatrzony na ogród, pobrzękując kluczami.

- Przepraszam. Nie... nie nadaję się na psychoterapeutę.

- Nie ulega wątpliwości.

- Ale musisz spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że bez wątpienia jesteś podejrzana. - Przechesując palcami włosy, westchnął jak człowiek mocno zmęczony życiem. Tak jakby los ostatniego żyjącego mężczyzny z klanu Montgomerych był czasami nie do udźwignięcia.

- Może powinnaś wyprowadzić się na jakiś czas.

- Ale to jest mój dom.

- Wiem, wiem, ale może byłoby lepiej, gdybyś wyjechała teraz z miasta, zatrzymała się u mamy w Oak Hill.

- Chcesz powiedzieć: ukryła się?

- Tego nie powiedziałem.

- Nie jestem przestępcą, Troy. - Nie ustępowała, wzięła się w garść i z uporem próbowała rozwiązać własne wątpliwości.

- Tylko ofiarą. - Usta zacisnęły mu się w powstrzymany gniewie. - Jezu, zawsze ofiarą!

- Wiedziała, że nie powinnam do ciebie dzwonić - odparowała.

- Więc dlaczego to zrobiłaś?

Sięgnęła do lodówki po butelkę wody i odkręciła korek.

- Policja nie chciała, żebym została sama.

- Więc zadzwoniłaś do brata?

- Byłeś najbliżej. - Czasami Troy zachowywał się niezdalnie, tak jak i reszta rodzeństwa. Jak tylko wykrciła numer do jego biura, wiedziała, że robi bład. - Powiedzmy to sobie jasno. Zadzwoniłam do ciebie, ale nie dlatego, że jesteś jedynym facetem w rodzinie, rozumiesz?

- Posłuchaj Caitlyn...

Gwałtownie uniosła do góry rękę, jakby chciała odeprzeć atak.

- Nieważne, zostawmy to. Chciałam zadzwonić do Kelly.

- Kelly? Na miłość boską, Caitlyn. Nawet o tym nie wspominaj!

- Ale... - Znów popełniła bład, wspominając o Kelly.

- To byłoby szaleństwo i doskonale o tym wiesz! - Zmarszczył ciemne brwi. - A, już rozumiem! Twoja linia obrony będzie opierać się na nieczytelnosci. Kelly! - cmoknął.

- Przestań! Nie jestem winna. Nie jestem szalona. A... a... Josh nie żyje. - Głos jej się załamał. - Był sukinsynem, w porządku, wiem o tym, le... kiedyś naprawdę go kochałam. - Czują, jak policzki ją palą przy tym wyznaniu. - Był moim mężem. Ojcem Jamie.

- Który ożenił się z tobą tylko dla pieniędzy.

Słowa spadły na nią lodowatym deszczem. Były ohydne, ale prawdziwe. Oskar zaskomlał spod stołu.

- Troy, proszę cię, ocal moją godność i nie rozwiewaj moich złudzeń, dobrze?

Ku jej zaskoczeniu podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu. Zrobił to jednak z widocznym wahaniem, jakby obawiał się, że Caitlyn zaraz przyjdzie do głowy coś głupiego, na przykład odwróci się i wtuli twarz w jego ramiona. Zawsze wolał trzymać ludzi na dystans. Nigdy nie pozwolił Caitlyn ani nikomu innemu zbliżyć się do siebie. Dwa lata młodszy od Caitlyn i Kelly, jedyny żyjący syn Montgomerych... Od dziecka musiał dźwigać na swoich barkach nie lada ciężar.

- To nie takie proste, Caitlyn. Twoje złudzenia wpędzają cię w tarapaty. I to nie po raz pierwszy. Za to pierwszy raz w tak wielkie.

- Masz rację - przyznała, żałując swojego wybuchu. - Troy, dzięki, że przyszedłeś. Musiałam z kimś porozmawiać i myślałam, że mogę na ciebie liczyć. Mogłam zadzwonić do Amandy. Też ma niedaleko z biura, ale nie jestem pewna, czy dziś nie pracuje w domu. Zresztą wiesz, jaka z niej pracoholiczka, wiecznie zajęta.

- A ja nie?

Caitlyn zdobyła się na uśmiech, zniknęły resztki jej wściekłości.

- Jesteś szefem banku.

- To dodatkowy powód, żeby siedzieć w pracy. Nawet w sobotę. - Ścisnął delikatnie jej ramię. - Wiesz, że przyjechałem tu do ciebie... Tylko nie potrafię cię wesprzeć.

- Bo zawsze musisz odgrywać takiego macho. Gdzieś od dwunastego roku życia, prawda? Jesteś jak jeżozwierz. Kłujący z wierzchu, miękki w środku.

- A Amanda cała ze stali? - spojrzął na zegarek i skrzywił się. - Muszę koniecznie wrócić do banku. Mam spotkanie z klientem.

- W porządku. Poradzę sobie.

Nie był przekonany.

- Może pojedziesz na kilka dni do mamy? Policja tymczasem zorientuje się, co jest grane, a te sępy - wskazał kciukiem w stronę frontowych okien - znajdą sobie inne ścierwo do rozszarpania.

- Ładnie powiedziane - mruknęła. Przez firanki zobaczyła, że dziennikarka w fioletowej bluzce idzie do furgonetki. Kamerzysta pakował sprzęt do futerałów.

- Nie daj się zwieść. Jak ci wyjadą, przyjadą nowi, i to jeszcze więcej.

- Nic mi nie będzie.

- Na pewno? - Pytanie odbiło się echem po całym domu.

Nie powiedział, co naprawdę o tym sądzi. Bo naprawdę, tak jak cała rodzina, uważał, że Caitlyn nigdy nie będzie zupełnie normalna, że zawsze będzie ją prześladować przeszłość. Ta tragedia też zostanie z nią już na zawsze. Caitlyn widziała wiele razy, jak siostry i Troy wymieniają znaczące spojrzenia, a potem pośpiesznie odwracają wzrok, by ich nie przyłapała.

- Caitlyn?

- Tak?

- Jesteś pewna, że możesz tu zostać?

- Mam Oskara. Jest świetnym towarzyszem i ochroniarzem i mogę mu płacić psim zarciem - powiedziała swobodnie, ale zobaczyła troskę w oczach brata. Westchnęła i dodała poważniej: - Troy, naprawdę nie musisz się martwić.

- Tak, jasne.

- Wierz mi. - Wysunęła szczękę i wyprostowała się, żeby wyglądać na silną.

Troy uniósł sceptycznie brwi i sięgnął po marynarke.

- O ciebie nie można się nie martwić.

- Spróbuj, dobrze?

Zdobył się na cień uśmiechu.

- Wiesz, że zawsze możesz do mnie zadzwonić.

- I wpasujesz mnie gdzieś w swój napięty terminarz - odgryzła się.

- Aj!

- Prawda rani?

- Przyjechałem tu, może nie?

- Tak, przyjechałeś - przyznała ze słabym uśmiechem. - Doceniam to. Naprawdę.

- Obiecuj mi jedno. - Wpatrywał się w nią z uwagą, wkładając marynarkę i wygładzając ją na ramionach.

- Mmm?

- Jeśli znów przyjedzie policja, nie rozmawiaj z nimi. Nie mów nic bez adwokata.

Dobry nastrój prysł. Uczucie osaczenia znów ją dopadło. Czowała, że się dusi. Nie powinna była ufać Troyowi. Popełniła błąd.

- Myślisz, że go zabiłam, tak? - wyszeptwała z niedowierzaniem. - Myślisz, że zabiłam swojego męża. - Skuliła się w sobie. A ty, Caitlyn, co myślisz?

- Nie ma znaczenia, co ja myślę, Caitlyn, ale wyjaśnijmy to sobie - myślę, że nie. Nie sądzę, żebyś była zdolna do morderstwa. Masz problemy - do diabła, wszyscy je mamy - ale nie sądzę, że mogłabyś zamordować z zimną krwią.

- Dzięki za zaufanie - powiedziała urażona.
- Po prostu przestrzegam cię, to wszystko. - Poprawił krawat. - Na litość boską, nie wyzywaj się na mnie.
- Nawet mi to nie przyszło do głowy. - Założyła ręce na piersi i odprowadziła go do drzwi. Dzięki Bogu, dziennikarze rozjechali się. Wiedziała jednak, że pusty ogród z koliberkami trzepoczącymi się przy karmniku i ważką pomykającą między pnączami długo nie pozostanie tak spokojny.
To była cisza przed burzą.
Spojrzała na niebo.
Czyste, niebieskie.
Zwodnicze.
Gdy Troy wsiadł do range rovera, pomachała mu i poczuła pieczenie ściągniętej skóry na nadgarstkach - gojące się rany... Skąd, u licha, się wzięły? I te potworne obrazy eksplodujące z hukiem w jej głowie.
Chaotyczne fragmenty snu?
Coś w rodzaju percepcji pozazmysłowej?
Przypadek?
Czy może potworne wycinki wspomnień tak przerażających, że nie chciała ich dopuścić do świadomości.

Rozdział 5

Adam Hunt zręcznie poradził sobie z zamkiem. Zasuwa odskoczyła z taką łatwością, że gdyby ktoś go obserwował, mógłby pomyśleć, że otworzył te grube, drewniane drzwi kluczem. Zachował jednak wszelką ostrożność. Był sam. W holu stu pięćdziesięcioletniego domu przerobionego na budynek biurowy nie było nikogo. Nikt nie widział, jak wszedł po cichu, zamykając za sobą drzwi.

W pokoju było gorąco. Parno. Wszystko przykrywał kurz, kwiatek stojący pod oknem usechł, a ziemia w doniczce zamieniła się w popiół. Rozejrzał się i otworzył okno, do niewielkiego gabinetu ze zniszczoną drewnianą podłogą i niedbale rzuconymi chodnikami wśliznął się zapach starej części Savannah.

Skórzana leżanka, kanapa i fotel na biegunach stały koło siebie. Po przekątnej stała wysoka szafka ze sprzętem wideo. Pod oknem w niskiej oszklonej biblioteczce znajdowały się książki traktujące o psychozach, seksualności, etyce, hipnozie oraz wszystkich słabościach i deprawacjach znanych ludzkości. Niektóre z tych książek należały do niego. Tak samo jak kiedyś ten fotel. Ale to było dawno temu.

Zacisnął szczęki i podszedł do biurka. Miało z boku szafkę z drewnianą żaluzją.

Była zamknięta.

Oczywiście.

Dla niego nie stanowiło to jednak żadnego problemu.

Fotel stojący przy biurku zaskrzypiał pod jego ciężarem. Zobaczył ślady kółek na dywanie, niewielki łuk powstały od ciągłego zaglądania do notatek lub do komputera. Jeszcze mocniej zacisnął szczęki, otworzył zamek i podniósł żaluzję. Przegródki i szufladki na znaczki, spinacze, koperty i podobne drobiazgi były we wzorowym porządku. Poukładane.

Tak jak kobieta, która niedawno siedziała w tym podniszczonym fotelu.

Więc gdzie, do cholery, jesteś, Rebeko? Odruchowo pomasaował kolano. Wciąż mu

dokuczało po niedawnym wypadku na motorze.

Włączył komputer, zabębnił nerwowo palcami o poręcz fotela i wpatrywał się w zakurzony ekran, czekając, aż się rozjaśni. Przejrzał pliki. Czy to tylko jego wyobraźnia, czy wyczuł zapach jej perfum unoszący się w stęchłym powietrzu gabinetu?

Pobożne życzenia.

Zręcznie przebierał palcami po klawiaturze, przejrział kartotekę pacjentów, zapoznając się pobieżnie z nerwicami, depresjami i psychozami ludzi, których nie znał. Nic nie zwróciło jego uwagi i nie natknął się na żaden szczególny przypadek.

Spojrzał na zegarek. Był tu już prawie czterdzieści pięć minut, słyszał odgłosy kroków i przesuwanych mebli dobiegające z góry. Sprawdził, jeszcze raz, czy zaryglował drzwi, wołał mieć pewność, że nikt nie wejdzie tu przez pomyłkę. Podszedł do okna. Z drugiego piętra zobaczył uliczkę w dole i sąsiedni dom. Starsza kobieta w słomkowym kapeluszu i podomce podlewała geranium. Gdyby spojrzała w górę, zauważyłaby go, więc wołał się odsunąć; nie chciał się potem tłumaczyć. Jeszcze nie teraz. Najpierw musi uzyskać odpowiedzi na swoje pytania.

Prawdopodobnie będzie musiał kłamać.

A, niech tam!

Adam wierzył, że kłamstwa mają różne odcienie. Są poważne kłamstwa i niewinne kłamstewka, i cały wachlarz odmian pomiędzy. Niektóre są ciężkie, kleiste, a inne lekkie jak mgiełka, ale o ile się orientował, nie ma dobrych kłamstw. A mimo to, gdy z nadspodziewaną wprawą otwierał zamek szafki, stwierdził, że czasami kłamstwa sanie do uniknięcia.

Zamek szuflady otworzył się ze szczękiem.

Jeśli kłamstwo było konieczne, aby dotrzeć do prawdy... to czy naprawdę było takie złe? „Nie ma niewinnych kłamstewek - pouczała go babcia. - Kłamstwo to kłamstwo, i jeśli nie możesz powiedzieć prawdy, to źle z tobą”. Patrzyła na niego nieugiętym wzrokiem jastrzębia, szukając w jego oczach błysku oszustwa, a on wytrzymał jej spojrzenie bez zmieszania, choć oboje wiedzieli, że bezczelnie kłamię.

Babcia Hunt była sprawiedliwa. Jeśli nie potrafiła udowodnić, że Adam kłamię, udawała, że mu wierzy.

Zastanowił się, co by teraz pomyślała o swym jedynym wnuku.

Otworzył górną szufladę z kartotekami i przerzucił karty palcami, wdychając suchy, stęchły zapach nieużywanych dokumentów. Przejrzał nazwiska pacjentów, zamknął szufladę i otworzył kolejną, w połowie wypełnioną papierami, które mogły mu pomóc w poszukiwaniach. Gruba kartoteka pełna zapisków i informacji. BANDEAUX, CAITLYN MONTGOMERY.

Czemu nie odnalazł tych danych w komputerze?

Szybko wrócił przed migający ekran i jeszcze raz przejrział pliki, ale Caitlyn zdecydowanie tam nie było. Powtórzył poszukiwania i odnalazł kartoteki innych pacjentów, ale na temat Caitlyn Bandeaux nie znalazł ani słowa. W komputerze było niewiele plików, przeszukał nawet komputerowy kosz na śmieci, jednak nie wrzucono tam ostatnio nic, co dotyczyło Bandeaux.

Jakby nigdy tu nie przychodziła.

Ale gruba papierowa kartoteka, którą miał na kolanach, przeczyła temu. Poza tym Rebeka w rozmowie z nim wymieniła kiedyś nazwisko Montgomery.

Odchylił się w fotelu. Dlaczego informacje z papierów nie zostały przeniesione do

komputera? Przejrzał dokumenty i zobaczył fotografię, amatorskie zdjęcie pięknej kobiety po trzydziestce, z długimi ognistokasztanowymi włosami opadającymi na oczy. Trzymała na biodrze dziecko, dziewczynkę. Mała zanosila się śmiechem, z ciemnych kręconych włosów wysuwały się różowe wstążki. Kobieta, najprawdopodobniej Caitlyn Bandeaux, wyglądała na beztroską i szczęśliwą. Miała na sobie taką samą jak córka białą sukienkę bez rękawów, którą wiatr owinał jej wokół nóg. Stała na ogromnym trawniku przed domem sprzed wojny secesyjnej, zbudowanym z malowanego na biało drewna i cegieł. Niebo złowieszczo pociemniało, ale matka z dzieckiem zdawały się nie bać nadchodzącej burzy.

Adam patrzył na zdjęcie przez dłuższą chwilę.

Kolejna tajemnica do rozszyfrowania.

Wsunął fotografię do kieszeni.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz na temat Josha Bandeaux - powiedział Reed i rzucił na biurko Morrisette cienką teczkę. Żując gumę, odwróciła się od komputera i spojrzała przez ramię. Migający ekran pokazywał zdjęcia bezwładnego i zdecydowanie martwego ciała Josha Bandeaux. - Możesz pominąć to, że był kutasem. To już wiem.

- Chciałam dodać, że miał gadane i potrafił wzbudzić zaufanie, a potem to wykorzystać. Kolejny przykład zwyrodniałej południowej szlachetności. - Otworzyła papierową teczkę. - Co to jest?

- Wstępny raport z autopsji. Bardzo wstępny. Nie ma tam nic, czego byśmy nie wiedzieli. Śmierć nastąpiła w przybliżeniu o pomocy. Na pierwszy rzut oka wygląda, że zmarł z wykrwawienia, być może od ran, które sam sobie zadał. Więcej dowiemy się, gdy już zakończą sekcję zwłok. - Opadł na zniszczony fotel stojący w boksie Morrisette i nie po raz pierwszy zauważył, jaki ma tu porządek. Wszystko na swoim miejscu. Na biurku rodzinne zdjęcia, w kącie paprotka, w starym kubku z wyblakłym napisem JEŚLI NIE LUBISZ GLIN, NASTĘPNYM RAZEM GDY WPADNIESZ W KŁOPOTY, DZWOŃ PO HIPISÓW długopisy i ołówki. Na wieszaku wisiała dzinsowa kurtka ozdobiona sztucznymi brylancikami, a nad nią zatknięta czapeczka bejsbolowa drużyny Atlanta Braves.

- Naprawdę nie wiem o nim zbyt wiele. - Zauważyła jego sceptyczne spojrzenie i dodała: - Naprawdę. Nie byłam z nim związana, ale poznałam go. Wiem, że dwa razy był żonaty. Reed nadstawił uszu.

- Caitlyn Montgomery nie była jego pierwszą żoną?

- Nie. - Morrisette odchyliła się na fotelu, bawiąc się ołówkiem. - Pierwsza miała na imię Maude. Maude Havenbrooke. Potem związał się z Caitlyn, która została żoną numer dwa. Potem najwyraźniej zamierzał się z nią rozwieść.

- Z powodu planowanej żony numer trzy?

Wzruszyła ramionami.

- To plotki. Tylko razem mieszkali.

- Skąd o tym wiesz?

- Sprawdzałam go. Pamiętasz? W imieniu przyjaciółki, która potrzebowała informacji.

- Jak ona się nazywa?

Zawahała się.

- To przesłuchanie w sprawie domniemanego morderstwa - przypomniał Reed i dostrzegł, jak Sylvie zaciska usta.

- Millie. Millicent Torme. Jest mężatką, więc bądź dyskretny.

- Dyskrecja to moje drugie imię.
- Akurat!
- Znasz Maude Havenbrooke?
- Nigdy jej nie spotkałam.
- Ale wciąż gdzieś tu mieszka? - zapytał niedbale, myśląc jednocześnie, że Morrisette mocno zainteresowała się Joshem i jego prywatnym życiem. Być może nie kłamała, mówiąc, że jej nie pociągał. Ale z drugiej strony, pewnie umiałaby trochę nagiąć fakty, jeśli miałoby to uchronić jej reputację.
- Tak mi się wydaje. Prowadzi pensjonat niedaleko Forsyth Park. Nazywa się Mocking Manor czy jakoś tak. Jeden z tych starych okazałych domów umeblowanych antykami, gdzie zatrzymują się bogaci turyści. Podobno jej rogaliki przyprawiając zawrót głowy. Smaruje je mieszanką miodu i domowego dżemu z malin.
- Reed postanowił porozmawiać z pierwszą panią Bandeaux.
- Utrzymywała kontakty z byłym mężem?
- Maude? Nie mam pojęcia. Wyszła powtórnie za męża. Wydaje mi się, że za faceta o nazwisku Springer.
- Zapamiętał sobie i to nazwisko.
- Miała jakieś dzieci z Joshem?
- Nie jestem pewna... - powiedziała Morrisette. Nagle strzeliła palcami i wyprostowała się na fotelu. - Nie. Nie wydaje mi się, żeby mieli dzieci, ale Maude była trochę od niego starsza i miała dziecko z pierwszego małżeństwa.
- Skomplikowane to wszystko.
- Powiązania rodzinne zawsze są skomplikowane. Być może Josh adoptował dziecko. Nie wiem. Tak jak mówiłam, nie interesowałam się tym tak bardzo. - Zarumieniła się lekko. - Nie patrz tak na mnie. Po prostu sprawdzałam go dla Millie, która rozstała się z mężem.
- Więc Millie związała się z Joshem?
- Nie do końca, a nawet jeśli, był to raczej skok w bok. Ona była od jakiegoś czasu w separacji z mężem, a Bandeaux rozwodził się. Wątpię, czy Millie, jeśli się z nim związała, znalazła akurat to, czego szukała. Bandeaux lubił kobiety bogate, piękne i chętne zrobić mu łaskę, gdy tylko miał na to ochotę.
- Reed przełknął ślinę.
- Skąd wiesz...?
- Dobra, nie wiem. Ale Josh Bandeaux to wirażka. Przesiadywał w lokalach ze striptizem. Szastał pieniędzmi. To wiem na pewno. Natknęłam się na niego, gdy zajmując się prostytutką, hazardem i narkotykami, brałam udział w nalotach na nocne kluby, takie jak Silk Tassel i Pussies In Booties. W każdym razie Josh związał się z Caitlyn Montgomery i po kilku miesiącach nie byli już zwykłą parą, ale małżeństwem, na miłość boską! Millie wróciła do męża i nie pisnęła ani słówka. Chyba czuła się upokorzona tym, że ją porzucił. Ale na pewno nie była w nim zakochana. Zdaje się, że czar starego Josha pryskał, jak tylko poznało się go lepiej. Nowa kobieta, w krótkim czasie dziecko - i zapomniał o przeszłości.
- Reed założył stopę na kolano i powiedział:
- Sprawdziłem panią Bandeaux. Nienotowana.
- Więc teraz i ty myślisz, że Bandeaux został zamordowany?
- Nie wiem. Jestem otwarty na wszystkie możliwości.

Morrisette wciąż żuła gumę, teraz w dodatku zaczęła mlaskać.

- Ty? Akurat.

- Zobaczymy, co koroner powie po sekcji zwłok. Czekam też na raport ekipy badającej miejsce zbrodni. Do tej pory wiemy, że ciało najprawdopodobniej nie było przenoszone. Umarł na swoim biurku. Ostatnią osobą, o której wiemy, że widziała go żywego, jest służąca, pani Pontiac. Widziała go przed swoim wyjściem, ale później Josh mógł jeszcze urządzić jakieś cholerne przyjęcie.

- Raczej prywatne spotkanie. W zmywarce stały tylko dwa kieliszki, a nie czterdzieści. - Głośno myślała Morrisette.

- Więc wiemy, że miał towarzystwo. Pani Pontiac przysięga, że wszystko umyła, a nawet opróżniła zmywarę przed wyjściem.

- Jakież odciski na kieliszkach? - zapytał Reed.

- Nie. Poza śladem szminki, wszystko wytarte.

- Dlaczego ktoś miałby wytrzeć odciski, a zostawić szminkę?

- Przez nieuwagę, albo nie wiedząc, że szminka może doprowadzić nas do osoby, która jej użyła. Na dywanie w gabinecie było też kilka innych śladów, prawdopodobnie po winie. Nie wiemy, jak stare są te plamy, ale możliwe, że wino zostało rozlane właśnie tej nocy. Kieliszki wstawiono do zmywarki.

- Schludny zabójca.

- Lub gość. Nie mamy pewności, że facet został zamordowany - przypomniała mu.

- Tak, wiem. - Reed zdjął nitkę z ciemnej skarpetki. - Ale zastanówmy się przez chwilę nad morderstwem. Masz jakiś pomysł? Kto mógł życzyć mu śmierci?

- Co najmniej pół miasta. Po pierwsze, zmieniał kobiety jak rękawiczki. To nas czasem drażni. Po drugie, jego partner w interesach, Al Fitzgerald. Myślę, że Josh go wykiwał i pozbawił udziałów w firmie. I to nie byłby jego pierwszy konflikt z prawem. Wcześniej był zamieszany w jakąś aferę z papierami wartościowymi, ale rozdał w Atlancie wystarczająco dużo łapówek, udało mu się z tego wywinąć i nigdy nie stanął przed sądem.

Zmrużyła oczy i jeszcze energiczniej zaczęła żuć gumę.

- Jestem pewna, że ludzi, u których Josh figurował na liście najbardziej nienawidzonych osób, jest wielu i można znaleźć wśród nich bardzo szacowne nazwiska.

- Chciałbym ją zobaczyć. Możesz podać kilka tych nazwisk?

- Z przyjemnością. - Rozparła się na biurku, omal nie potracając łokciem kubka z kawą, i powiedziała: - Chcesz się dowiedzieć, co wiem o Caitlyn Bandeaux?

Reed przechylił głowę, zastanawiając się, czy za zainteresowaniem Morrisette była żoną Josha nie kryło się coś więcej.

- Mów.

- Po pierwsze, jest dość niezrównoważona. Od dzieciństwa kilka razy przebywała na oddziale psychiatrycznym. Nie wiem, jaka jest diagnoza i czy w ogóle ją postaviono. Mogła to być lekka depresja lub psychoza maniackalna albo jak to teraz nazywają? Zaburzenia afektywne dwubiegunowe. Może w dzieciństwie doznała jakiejś traumy lub wpadła w narkotyki, niektóre mogą wpięprzyć człowieka w prawdziwą psychozę. Słyszałam też, że choroba psychiczna jest dziedziczna w tej rodzinie. Jest przenoszona w genach Montgomerych.

- Czy nasza wdowa zachowywała się kiedyś agresywnie?

Morrisette wzruszyła szczupłymi ramionami i wypluła gumę do kosza przy biurku.

- Z pewnością nie aż tak, żeby ją za to aresztować.

- Skąd masz te informacje?
- Od znajomego znajomego.
- Plotki - powiedział rozczarowany.
- Takie same jak te, za które płacimy codziennie naszym informatorom.
- Pogłoski nie mają żadnego znaczenia w sądzie.
- Nawet nie wiemy na pewno, czy to morderstwo. Po prostu dzielę się z tobą informacjami, które udało mi się zebrać. Sprawdzę je i dowiem się, jaka jest prawda. - Uśmiechnęła się. - Na wypadek, gdybyśmy jednak mieli z tym trafić do sądu.

Spojrzał na jej nastroszone włosy i ciemniejsze odrosty.

- Nie usłyszałaś tego w salonie piękności?
- Cholera, nie. - Jeden kącik jej ust się uniósł. - Nie chodzę do salonów piękności. Boże, nie znoszę tej nazwy. Zakład kosmetyczny też nie jest dużo lepszy. To - wskazała na sztywne blond włosy - może się zdziwisz, ale to nie jest robota profesjonalisty. Pewnie myślisz, że zapłaciłam czterdzieści, sześćdziesiąt albo i sto dolarów jakiejś fryzjerce, ale do diabła, nie. To powstało dzięki staremu dobremu Clairolowi i nożyczkom, które odziedziczyłam po babci. Co sześć tygodni poświęcam mojej fryzurze około dwóch godzin i voila, oto główne clou programu!

- Po prostu clou.
- Tak, wiem. - Wstała i znów pokazała na swoje włosy. - Tanio, szybko, nowocześnie!
- Skoro tak mówisz...
- Bo tak jest - powiedziała, grzebiąc w torebce. Wyciągnęła paczkę marlboro. - Czas na krótką przerwę. Chcesz jednego?
- Raczej nie. Lepiej sprawdzę znajomych i rodzinę Josha Bandeaux. Skoro naprawdę był tak nie lubiany...

- Niektórzy nazywali go Josh Bandyta Bandeaux.
- Uroczo.
- Świetnie do niego pasowało. Myślę, że nazwała go tak któraś z jego byłych kobiet. Prasa to podchwyciła...

- W to akurat nie wątpię.
- Nie kochasz czwartej władzy, co, Reed?
- Ani trochę.

Spytała:

- Myślisz, że mogłabym sprzedać to zdjęcie? - Wskazała ekran komputera. Josh leżał na swoim drogim biurku, tak jak go znaleźli, z zaschniętą krwią na palcach. Widać było nawet kałużę na dywanie. - Każdy, kto zapłaci, będzie mógł zrobić sobie z tego tapetę, wygaszacz ekranu lub coś w tym rodzaju.

- Śmieszne - powiedział bez cienia uśmiechu.
- Myślałam, że docenisz mój żart.

Nagle spoważniała. Reed przypuszczał, że Morrisette była bardziej związana z tym draniem, niż chciała się przyznać.

Mógłby się założyć, że nie zapominała tak łatwo swoich mężów czy kochanków. Wyglądała na twardą sztukę, ale wcale nie była taka silna. Raczej udawała. Z tego, co słyszał, dorastała bez ojca. Krążyły plotki, że ojciec porzucił matkę dla młodszej kobiety zaraz po narodzinach Morrisette. Ale tak tylko gadali ludzie. Miejscowe ciemniaki.

Reed nie znał prawdy i niewiele go ona obchodziła. A raczej do tej pory go nie obchodziła.

- Nie zrobiłabyś nic, co zaszkodziłoby śledztwu? - zapytał.
- Co takiego? - zapytała gwałtownie.
- Słyszałaś, co powiedziałem.
- Pieprz się, Reed. Wiesz, jaka jestem.
- W tym właśnie problem. - Wstał i poczuł, jak Sylvie zmraża go swoim spojrzeniem. -
Naginasz zasady bardziej niż ja.

Spojrzała na zegarek.

- Muszę wyjść. Jest sobota. Przegapiłam mecz piłki nożnej, w którym gra moja córka.
Nie pierwszy raz.

- Głina nie ma weekendów.

- Za to ma bajeczną pensję, wysokie premie i jest sławniejszy niż gwiazdy rocka -
odparowała. - Dzwoniła do mnie Madonna, chciała się zamienić. Właśnie się nad tym
zastanawiam. Powiedziałam, że oddzwonię.

Reed roześmiał się. Poszedł do swojego gabinetu, zastanawiając się, co psychiatra
powiedziałby o jego partnerce.

Albo o pani Bandeaux, jeśli to, co mówiła Morrisette, było prawdą. Próbował nie myśleć
o Caitlyn Bandeaux jak o głównej podejrzanej, ale przecucie, że jest w tę sprawę
zamieszana, nie chciało go opuścić.

Od służącej Bandeaux dowiedział się, że Caitlyn, porzucona przez męża czy nie, była
częstym gościem w jego domu. Kiedyś tam mieszkała i pewnie wciąż miała klucze, bo
Bandeaux nie zmienił zamków. Jeśli wierzyć kieliszkom w zmywarce, tamtej nocy w
domu Bandeaux była kobieta;

różowa szminka przypominała tę, którą miała dzisiaj na ustach Caitlyn, ale może to
zwykły zbieg okoliczności. Bez dokładnego badania trudno stwierdzić. Istnieją setki
odcieni różowych szminek, albo nawet tysiące. Najważniejsze, że nie miała wiarygodnego
alibi. Dzisiaj rano wydawało mu się, że jest w szoku i przeżywa stratę męża, ale też że coś
ukrywa, jakąś tajemnicę. Pracując w policji w San Francisco, wiele razy widział, jak
ludzie kłamią, i umiał to rozpoznać.

Ale to mogło być samobójstwo, mimo wszystko. Włączył lampkę na biurku. Postawiłby
swoją miesięczną pensję na to, że Caitlyn Montgomery nie przeszłaby pozytywnie testu na
wariografie.

Kłamała na temat tego, co wydarzyło się zeszłej nocy; Reed był tego pewien.

Musiał tylko dowiedzieć się, dlaczego.

Rozdział 6

Zadzwoił telefon.

Caitlyn pomyślała, że to może Kelly, i popędziła do kuchni. Omal nie wpadła na Oskara,
chwyciła słuchawkę i zauważyła, że na ekranie nie wyświetliło się żadne imię ani numer
dzwoniącego.

- Słucham?

- Dzień dobry. Czy rozmawiam z Caitlyn Bandeaux? - zapytał nieznajomy kobiecy głos.

Caitlyn wyprostowała się, czujna i spięta.

- Tak, słucham.

- Cieszę się, że panią zastałam. - Głos brzmiał przyjaźnie. Wesoło. Podejrzanie. To nie
był odpowiedni dzień ani na wesołość, ani na podlizujące się nieznajome głosy.

- Nazywam się Nikki Gillette, pracuję dla „Savannah Sentinel”. Wiem, przez co pani
teraz przechodzi, proszę przyjąć moje kondolencje z powodu śmierci męża.

Ach, tak.

- Niech zgadnę - powiedziała Caitlyn, próbując pohamować wzburzenie. - Chciałaby pani przeprowadzić ze mną wywiad. Może nawet na wyłączność?

- Myślałam, że miałaby pani ochotę przedstawić swoją wersję wydarzeń. - Teraz głos Nikki był ostrzejszy.

- To są różne wersje? Poza tym myślę, że nie ma o czym mówić.

- Oczywiście, że jest o czym. Pani mąż był bardzo wpływowym człowiekiem, a policja zdaje się podejrzewa morderstwo lub samobójstwo. Miałam nadzieję, że zechce pani wyjaśnić pewne kwestie.

- Byliśmy w separacji. - Caitlyn ugryzła się w język. Jej życie osobiste nie powinno nikogo obchodzić.

- Ale wciąż byliście małżeństwem.

Nie odpowiedziała.

- W każdym małżeństwie są lepsze i gorsze chwile - powiedziała Nikki Gillette przymilnie, tonem zachęcającym do zwierzeń.

Pułapka nie zadziałała. Caitlyn była wkurzona.

- Zgadza się, i są to prywatne sprawy, więc pozostanmy przy „bez komentarza”.

- Ale...

Najwyższa pora to skończyć.

- Niech pani posłucha, pani Gillette. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Proszę więcej nie dzwonić. - Z trzaskiem odłożyła słuchawkę, zanim tamta zdążyła zaprotestować. Natychmiast znów rozległ się dzwonek.

- Cholera! - Podniosła słuchawkę, odłożyła ją i włączyła automatyczną sekretarkę. Jeśli zadzwoni Kelly, to zostawi wiadomość, a jeśli nie, to Caitlyn pojedzie do domu nad rzeką i spróbuje ją odnaleźć. Była coraz bardziej zdesperowana. Na miłość boską, Kelly, oddzwoń. Nalała sobie do szklanki herbatę z lodem, upiła łyk, opadła na krzesło przy kuchennym stole i objęła głowę rękami. Co się stało wczorajszej nocy? Jak to możliwe, że śniła jej się śmierć Josha? Skąd ta krew w sypialni? Głowa jej pulsowała, lód topił się w prawie nietkniętej herbacie. Pamięta, że pojechała do centrum i zaparkowała na River Street przy parku Emmet. Tak... to na pewno. Zamknęła oczy, próbując przeżyć jeszcze raz wczorajszą noc. Ból rozsadzał jej głowę. Zniekształcone obrazy miasta nocą wirowały jak szalone.

Światła neonów.

Łódki na rzece.

Tłum ludzi na ulicy.

Z trudem usiłowała poskładać skrawki wspomnień, jak przez mgłę pamiętała, że przeszła przez ulicę na czerwonym świetle, a wyjeżdżająca zza rogu taksówka zatrąbiła wściekle. Minęła Cotton Exchange, stary budynek giełdy bawełny, a potem brukowanym chodnikiem poszła nad rzekę. Pamiętała jej zapach i widok wolno płynącej wody. Minęła tłum ludzi, sklepy i weszła do baru. Dlaczego Kelly umówiła się z nią na spotkanie, a potem nie przyszła? A może wcale się nie umawiała? Czemu Caitlyn nic nie pamięta?

Czy jakimś cudem znalazła się w domu Josha?

Dobry Boże, gdzie wczoraj była?

Najpierw dolna warga, a potem powoli całe jej ciało zaczęło drżeć. Czowała, że zaraz się rozplacze, jednak udało jej się pohamować. Jak to Troy powiedział? Że zawsze odgrywa rolę ofiary? Teraz już nie. I nigdy więcej. Zacisnęła szczęki, kiedy pomyślała o zmarłym

mężu.

- A niech to, Josh - wyszeptała. - Co, do diabła, się stało? - Na stole zauważyła wizytówkę, którą zostawił detektyw Reed. Może powinna do niego zadzwonić?

I co mu powiesz, że śni ci się Josh w swoim gabinecie? Albo że w ogóle nie pamiętasz, co robiłaś? Że pamięć masz w strzępach - pamiętasz tylko urywki, które nie składają się w żadną sensowną całość. A może powinnaś mu powiedzieć, że jesteś szurnięta jak babcia Evelyn... pamiętasz ją, prawda... pamiętasz, co stało się w domku łowieckim?

Wzdrygnęła się, w głowie huczało jej od pytań, którymi z pewnością zarzuciłaby ją Kelly. Znów chcesz skończyć w psychiatryku, tak? Bo tak się to skończy. I jak, do diabła, wyjaśnisz, skąd wzięła się ta krew? Jezu, Caitlyn, tak czy inaczej zamkną cię, tym razem na dobre! Więzienie albo szpital psychiatryczny. Wybieraj.

- Ale ja nic nie zrobiłam - powiedziała i uderzyła pięścią w stół. Z trudem łapiąc oddech, poczuła, że traci panowanie nad sobą. Przecież nie jest nienormalna. Nie... przecież doktor Wade zapewniała ją, że nie. Gdyby tylko przestała się wreszcie trząść. Nie chciała się nad sobą użalać. Kiedy porozmawia z Kelly, pozna prawdę. Choćby najgorszą. Ach, tak? Paranoja jest dziedziczna...

Zerwała się na równe nogi, potrącając szklanekę z herbatą. Kostki lodu potoczyły się po stole, a rany na nadgarstkach znów dały o sobie znać. Nie może myśleć w ten sposób... nie może pozwolić sobie na wątpliwości. Chwyciła szybko zmywak leżący na zlewie, zaczęła ścierać rozlaną herbatę i wrzuciła do zlewu wymykające się z rąk kostki lodu. Traci nad sobą kontrolę. To pewne. Wrzuciła ręcznik do miski. Musi wyjść z domu, wziąć Oskara na spacer albo pobiegać w parku, aż do utraty tchu, aż złana potem, z mocno bijącym sercem odzyska wreszcie jasność myślenia. Tak właśnie robiła od czasów dzieciństwa.

Wtedy życie było o wiele prostsze.

Czy na pewno?

Patrząc przez okno, wróciła myślami do swojego dzieciństwa w starym domu na plantacji. Przypomniała sobie, jak biegała z Kelly i ich przyjacielem Griffinem po lesie i wśród starych przycupniętych domów, w których mieszkali kiedyś niewolnicy; jak wszyscy troje ganiłi się po zrujnowanych pokojach z klepiskiem zamiast podłogi, z sypiącymi się ścianami i stęchłym zapachem starego potu i niespełnionych marzeń. Między krokwiami brzęczały osy, w kątach pełno było pajęczych sieci z wyschniętymi owadami.

Caitlyn i Kelly nie miały wtedy nawet dziesięciu lat, raczej osiem czy dziewięć; Kelly uwielbiała bawić się w chowanego w labiryncie pokoiów i znikać w ciemnościach.

- Nie znajdziecie mnie... - drażniła się, a Griffin zawsze biegł w kierunku, z którego nadchodził głos, nie zdając sobie sprawy, że dźwięk odbijał się od gnijącego drewna i połamanych drzwi. W niektórych miejscach dach się zapadł, a naruszone zębem czasu ściany były upstrzone ptasimi odchodami.

Kelly chowała się w najokropniejszych miejscach, w starych alkowach i ciemnych wnękach, od których Caitlyn cierpła skóra. W miejscach, gdzie mogły się kryć szczury, robaki i węże. W miejscach ciemnych i złych.

- Macie cykora - drażniła się Kelly, prowadząc Caitlyn i Griffina w ciasny kąt z ciemną plamą na ścianie. - Widzicie, to tutaj... to tutaj Maryland, niewolnica, o której opowiadała nam prababcia, ta, której imię nadano od stanu, w którym się urodziła, to tu stara Maryland przykucnęła i urodziła dziecko. Zaraz potem zmarło. Dokładnie tutaj. - Kelly wskazała na podłogę pod zaplamioną ścianą i Caitlyn wzdrygnęła się.

Nie wiadomo, skąd Kelly czerpała swoją wiedzę o niewolnikach, ale zaklinała się, że praktykowali oni wudu, zabijali kurczaki i Bóg wie co jeszcze, a wszystko to odbywało się w pokojach i szafach, do których zaglądali. Jej historie nigdy nie były takie same, zmieniały się zależnie od pory roku lub jej nastroju, a mimo to upierała się, że wszystkie te okropności zdarzyły się naprawdę.

- Jeśli mi nie wierzycie, spytajcie Lucille, ona wam powie. - W oczach Kelly igrały psotne ogniki. Słońce tańczyło pomiędzy liśćmi powyginanych dębów, rzucając na ziemię dziwaczne niespokojne cienie. Było parno, żar lał się z nieba, ale Caitlyn poczuła chłód jak w kostnicy.

- Maryland wciąż nawiedza ten dom - powiedziała Kelly. - Widziałam ją. Szuka swojego zmarłego dziecka.

- Nieprawda. - Caitlyn gwałtownie potrząsnęła głową. Nie znosiła, gdy Kelly zaczynała te swoje opowieści o duchach.

- Widziałam. Przysięgam na Boga.

- Nie wierzę ci - skłamała Caitlyn, ale Griffin, jak zawsze łatwowierny, zadrzał i wyszeptał:

- Myślę, że to prawda. Słyszałem kiedyś w nocy, jak zawodziły i jęczały.

- Dlaczego miałabym kłamać? - zapytała Kelly z uśmiechem satysfakcji. Wiedziała, że wyprowadziła ich z równowagi.

Bo to lubisz, pomyślała Caitlyn, ale nie powiedziała tego na głos. Nigdy by się nie odważyła. Nie chciała narażać się siostrze. Kelly miała cięty język. Albo, co gorsza, potrafiła milczeć całymi dniami i dopiero gorliwe przeprosiny Caitlyn przerywały jej chłodne milczenie.

- To prawda. - Kelly powtórzyła to więcej razy, niż Caitlyn była w stanie spamiętać. - Przysięgam na Boga, a jeśli kłamię, niech tysiące igieł przebiją mi oko.

Na samą myśl Caitlyn skuliła się w sobie, ale Kelly tylko się zaśmiała i zerwała do biegu, a jej śmiech niósł się za nią i cichł powoli, jak muzyka na zakończenie filmu. Caitlyn zwróciła się do Griffina.

- Nigdy nie słyszałeś tych niewolników.

- Właśnie, że słyszałem - upierał się Griffin, kiwając głową, aż brązowe włosy wpadały mu do oczu.

- Kiedy?

- Tysiące razy. To jest... straszne.

Caitlyn wolała skończyć tę rozmowę. Griffin, chłopak z sąsiedztwa, którego Caitlyn i Kelly miały unikać, któremu nie było wolno wchodzić na teren posiadłości Montgomerych, zawsze się tu zakradał. Przyjeżdżał rowerem przez las po ścieżkach wydeptanych przez samy i chował go w krzakach nad strumieniem.

Dwa lata młodszy od bliźniaczek i bardzo naiwny wierzył we wszystko, co powiedziała Kelly. Caitlyn podejrzewała po cichu, że zauroczony jej siostrą bał się jej sprzeciwić. Prawda była taka, że niestety Griffin był głuptasem.

Caitlyn pilnowała się, żeby nie wymieniać jego imienia w domu, bo wtedy twarz matki zmieniała się, jakby ze zmartwienia lub złości. Tak jakby Griffin zrobił coś nagannego. Amanda, starsza siostra, kiedy Caitlyn zapominała się i zaczynała o nim mówić, wymownie przewracała oczami. Lucille, wierna służąca, kiedy Berneda nie widziała, przykładła gruby palec do ust, bezgłośnie ostrzegając Caitlyn, żeby nie denerwowała chorowitej matki swoimi opowieściami o tym chłopaku. Caitlyn nigdy nie zrozumiała,

dlaczego matka nie lubiła Griffina, ale przypuszczała, że chodzi o „złą krew”, bo zwykle z takiego właśnie powodu Berneda Pomeroy Montgomery odtrącała ludzi.

Ale to było dawno temu. Dlaczego przyszedł jej do głowy Griffin? Nie widziała go od czasu, kiedy byli dziećmi; nie miała pojęcia, co się z nim dzieje. Dzisiaj miała inny problem. Spojrzała ponuro na telefon, spragniona kontaktu z siostrą. Rozejrzała się za komórką, której od wczoraj nie mogła znaleźć. Nie ma jej w torebce. Nie ma w samochodzie... Ani w sypialni... nigdzie. Może wzięła ją Kelly... albo sama zostawiła ją u Kelly w domu...

Dlaczego sądzisz, że Kelly ci pomoże? - zapytała samą siebie i poczuła nagle, jak spada na nią przytłaczający ciężar.

- Bo musi. Wie, co się stało! - Powiedziała to tak głośno, że aż zaszczekał Oskar. Boże, dostaję pomieszania zmysłów. Fiksuję. Jak babcia Evelyn. Oczami wyobraźni zobaczyła leżącą na łóżku starą kobietę o nienaturalnie bladej cerze, szklistych oczach i zimnych dłoniach.

Przeszły ją ciarki, obraz ten prześladował ją prawie od trzydziestu lat, czasami tylko blakł i przygasał nieco. Ale zawsze czaił się niedaleko, gotów pojawić się w każdej chwili.

- Kiedyś zrozumiesz - ostrzegła ją stara kobieta.

Nagle Caitlyn poczuła, że musi wyjść, uciec, uwolnić się od tych zakrwawionych ścian.

- Chodź, pójdziemy na spacer - powiedziała do psa i wbiegła na górę, przeskakując dwa stopnie naraz. Oskar podreptał za nią. Zlekceważyła piętzące się na biurku papiery, którymi powinna się zająć, starała się nie zwracać uwagi na niepokój, który ogarnął ją, gdy znów weszła do sypialni, nie patrzyła na ściany, z których starła krew. Ominęła wzrokiem okna bez firanek, próbowała nie widzieć odbarwienia na dywanie. Szorowała zaplamione włókna czym się tylko dało, ale na próżno. Plama wciąż była widoczna.

I co z tego? To twoja krew, Caitlyn. Tylko twoja! Z pewnością nie Josha. Musi w to wierzyć.

Musi.

Te plamy to złudzenie optyczne. Tylko ci się wydawało, że krwi jest tak dużo.

Więc dlaczego woda w wiadrze była ciemnoczerwona?

Po prostu straciłam dużo krwi.

Pocięłaś sobie nadgarstki, ale nie pamiętasz tego.

To nie ma znaczenia. Ważne, że to nie jest krew Josha.

Skąd wiesz?

Wiem i już. Więc przestań! Po prostu przestań! Huczało jej w głowie. Sama już nie wiedziała, co jest prawdą, a co nie.

- Trzymaj się - powiedziała do siebie. Musisz pójść na daleki spacer, oczyścić umysł. Uciec z tego miejsca, uciec od tego napięcia. I wszystko będzie dobrze. Znów będzie mogła jasno myśleć. O Boże, proszę... Drżącymi rękami złapała się za głowę. Na próżno próbowała zagłuszyć natrętne głosy. Rozebrała się i włożyła biustonosz do joggingu, bluzę z długim rękawem, spodenki i sportowe buty. Potem weszła do gabinetu i sprawdziła pocztę elektroniczną. Może dostała wiadomość od Kelly... Dziwne, że wcześniej o tym nie pomyślała. Otworzyła pocztę, ale znalazła tam tylko same śmiecie, jak zwykle: ofertę taniego kredytu hipotecznego, reklamę viagry i adres strony pornograficznej. Żadnej wiadomości od Kelly.

Cholera. Wyłączyła komputer, pospieszyła na dół, Oskar za nią. Zerknęła przez żaluzje, nie zauważyła żadnych dziennikarzy. Woląla jednak być ostrożna. Niczym znana gwiazda

ukryła się za okularami słonecznymi i naciągnęła czapkę bejsbolową. Wzięła Oskara na smycz, przeszła przez żelazną bramę z tyłu domu i szybkim krokiem wyszła na ulicę.

Później pomyśli o rodzinie.

Później pomyśli o dziennikarzach.

Później pomyśli o policji.

Później dowie się, co naprawdę się stało wczorajszej nocy.

Adam spojrzął na zegarek i zmarszczył brwi. Zamierzał zabawić tu godzinę, a minęły już prawie trzy. Bał się zostać dłużej. Niedługo policja zorientuje się, że Rebeka była psychoterapeutką Caitlyn Montgomery Bandeaux. To nawet dobrze. Potem zaczną jej szukać, co oczywiście wkrótce doprowadzi ich do niego. Nie miał wiele czasu.

Ostrożnie wziął teczkę i włożył do plecaka, który znalazł w szafie. Rozpoznał go. Kiedyś, dawno temu, plecak wisiał na wieszaku przy tylnych drzwiach. Myślał, że pewnie go wyrzuciła, ale oto był, zakurzony, oblepiony pajęczynami, pusty, nie licząc starego kwitu z parkometru, listy zakupów i opakowania po szmince.

Przez głowę przemknęło mu wspomnienie: Rebeka w ich nędznym mieszkaniu na piętrze dopija resztki kawy i spogląda na zegar. „O Boże, spóźnię się. Doktor Connaly mnie zabije!” Muska jego policzek ustami pachnącymi kawą, łapie plecak wiszący przy drzwiach i wybiega. „Nie zapomnij nakarmić Rufusa!” - rzuca jeszcze przez ramię, zatraskując drzwi.

Rufus był ich nowym kotkiem. Śnieżnobiały urwis. Ściskając w dłoniach kubek, Adam podszedł wtedy na bosaka do drzwi i patrzył przez poszarpaną siatkę, jak Rebeka zgrabnie wskakuje na rower i wyjeżdża na ulicę. Bez kasku, z rozwianymi włosami pojechała w stronę uniwersytetu, a mały kociak przypuścił atak na jego bosa stopy.

Teraz, gdy siedział w jej opuszczonym gabinecie, poczuł ucisk w gardle, wspominając wydarzenia sprzed piętnastu lat. Dużo czasu upłynęło. Ich drogi się rozeszły. Beztroska dziewczyna wydorosła i zmieniła się w dojrzałą kobietę, którą jednocześnie kochał i której nienawidził. Uwielbiał i pogardzał.

Zabawne, jak czas potrafi zgasić nawet najbardziej świetlaną przyszłość.

Rebeka... Gdzie ona, u diabła, jest?

Ostatni raz rozejrzał się po pokoju, chociaż i tak miał zamiar tu wrócić. W górnej szufladzie biurka znalazł pęk kluczy i włożył go do kieszeni.

Nie sądził, żeby Rebeka miała coś przeciwko temu.

Rozdział 7

Spacer dobrze jej zrobił.

Umysł miała jaśniejszy niż rano, ale wspomnienia wciąż były poszatkiwane i niewyraźne. Ciemne obrazy wydarzeń wczorajszej nocy malowane na odłamkach mlecznego szkła przesuwwały się w zwolnionym tempie. Gdy weszła do kuchni, zauważyła, że na sekretarce jest szesnaście nowych wiadomości, żadnej jednak nie odsłuchiwała. Najprawdopodobniej wszystkie zostawili dziennikarze. Sprawdziła numery na wyświetlaczu. Niektóre były zastrzeżone, innych nie знаła, żaden nie był numerem telefonu Kelly.

Poszła na górę, przebrała się w bawełnianą sukienkę na ramiączkach i cienki, ale z długim rękawem sweter, i przeszła przez korytarz do gabinetu.

Chwyliła klucze leżące na biurku i pomyślała, że włosy zdążą jej wyschnąć w drodze do

Oak Hill. Zatrzymała się jednak, gdy spojrzała na zegarek stojący w gabinecie. Pokazywał właściwą godzinę, w przeciwieństwie do zegara w sypialni. Późnił się nie więcej niż minutę. A więc nie było przerwy w dostawie prądu?

Obejrzała pozostałe zegary w domu. Wszystkie pokazywały dobrą godzinę. Nic nie świadczyło o przerwie w dostawie prądu.

Przeszedł ją dreszcz.

Jeśli to nie awaria w elektrowni... może wyciągnęła wtyczkę z kontaktu? Ale przy sprzątanii zauważyła, że wtyczka jest włączona do gniazdka. Gniazdko na pewno nie było popsute, bo lampka działała.

Ktoś wyciągnął wtyczkę celowo lub przypadkiem i, śpiesząc się, zapomniał przestawić budzik.

Kto? Dlaczego? I na litość boską, jaki to miało związek z krwią w sypialni?

Kolejny ulotny obraz przemknął jej przed oczami.

Bar. Głośna muzyka. Śmiech, głosy stłoczonych ludzi. Siedzi przy stoliku, przed nią dwa drinki; czeka, patrzy na zegarek, czuje na sobie wzrok barmana. Wypija jednego drinka... potem drugiego... Kelly, czekam na ciebie. Kelly, gdzie, do diabła, jesteś?

Obraz znikł równie szybko, jak się pojawił, i Caitlyn nie dowiedziała się nic więcej na temat wydarzeń wczorajszej nocy. Ale nie będzie się nad tym teraz zastanawiać. Rodzina czeka.

Sprawdziła dokładnie wszystkie drzwi, wsiadła do samochodu i wyjechała z miasta, kierując się na wschód. Spojrzała we wsteczne lusterko, żeby upewnić się, czy nie jadą za nią dziennikarze lub policja.

- To już jest paranoja - mruknęła pod nosem, gdy zatrzymała się na światłach i zobaczyła swoje odbicie w lusterku. Żaden samochód nie wyglądał podejrzanie, nie zauważyła ani jednej furgonetki czy wozu terenowego z przyciemnionymi szybami. Na wszelki wypadek skrzyła parę razy w wąskie uliczki i zganiała się za swój strach. Gdy wyjechała z Savannah i znalazła się na głównej drodze, dodała gazu, aby jak najszybciej uciec od tego miasta, policji, prasy i ciemności spowijającej wydarzenia ostatniej nocy.

Przekroczyła dozwoloną prędkość, myśli jej wirowały tak szybko jak koła lexusa. Dlaczego Kelly nie zadzwoniła? - zastanawiała się, opuszczając daszek przeciwsłoneczny.

Może dzwoniła, kiedy byłaś na spacerze z Oskarem. Albo gdy brałaś prysznic. Wyłączyłaś przecież dzwonek telefonu. Być może jeden z tych szesnastu telefonów był od Kelly.

Przygryzła dolną wargę i uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Powinna była odsłuchać wiadomości i skontaktować się z Kelly, zanim spotka się z matką. Teraz będzie musiała poczekać jeszcze kilka godzin, bo w Oak Hill nie odważy się nawet wspomnieć o Kelly.

Zacisnęła spocone dłonie na kierownicy. Minęła przedmieścia i jechała teraz wśród pól i mokradeł. Wrzuciła do odtwarzacza płytę Springsteena i próbowała zatopić się całkowicie w muzyce, ale okazało się to niemożliwe. Nie mogła zapomnieć o zabójstwie Josha i o tym, że według policji najprawdopodobniej jest w nie zamieszana, ani o tym, że nie może wyjaśnić, gdzie była i co robiła, gdy zginął Josh.

Do tego ta krew w pokoju... Skąd się tam wzięła? Krwotok? Daj spokój. Gdybyś straciła tyle krwi, leżałabyś teraz w szpitalu i przetaczaliby ci nową.

Z trudem przełknęła ślinę, omal nie wypadła z zakrętu, koła ześliznęły się na żwirowe poboczne. Serce jej załomotało i zwolniła trochę.

Więc czyja to krew? Josha? Ale on był daleko, w swoim domu.

Może przeniosłaś ciało.

Może przewiozłaś je swoim samochodem.

Ścisnęło ją w żołądku, pot wystąpił na czoło. Spojrzała na tylne siedzenie. Nie zauważyła żadnych ciemnych plam. Siedzenie pasażera też było czyste. Oczywiście, że nie zabiła Josha i nie przewiozła ciała do jego domu. Skąd te myśli? To obłąd. Szaleństwo.

Tak jak u babci Evelyn.

Przeszedł ją dreszcz. Najpierw poczuła go w brzuchu, potem w łydkach.

Nie rób tego... nie myśl w ten sposób. Skoncentrowała się na drodze, Wstażka asfaltu z przerywaną linią pośrodku wiła się w górę i w dół, wspinając się na nieduże wzniesienia i opadając w płytkie doliny. Caitlyn oddychała płytko, nierówno. Przez głowę przelatywały jej najróżniejsze obrazy. Josh przy biurku, krew. Na brzegu biurka kopia cholernego pozwu o przyczynienie się do śmierci ich dziecka przez zaniedbanie.

Zaniedbanie! Tak jakby Jamie nie była dla niej całym światem; głównym celem w życiu.

- Łajdak! - krzyknęła. Łzy popłynęły jej, gdy przypomniła sobie, jak godzinami siedziała przy łóżeczku córki, jak gnała do szpitala, jak ogarnął ją paraliżujący strach, gdy lekarze i pielęgniarki na ostrym dyżurze bez powodzenia próbowali ocalić jej ukochane dziecko, a potem... potem... ta straszna wiadomość, że Jamie odeszła. Współczujące spojrzenie, miłe gesty, delikatne dotknięcia ręki.

- Przykro mi, pani Bandeaux - powiedział cicho doktor Vogette w szpitalnej poczekalni. Z głośników sączyła się muzyka, w pokoju stały palmy i kanapy w kojących błękitach i zieleniach. Twarz miał spokojną, zza drucianych okularów spoglądały zatroskane oczy. - Czasami tak jest z wirusami. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy...

- Nie - krzyknęła i omal nie wypadła z drogi. - Nie zrobiłeś, ty draniu. Mogliście bardziej się postarać!

Nadjeżdżająca ciężarówka zaryczała klaksonem, kierowca gestem dał jej do zrozumienia, że jest idiotką, i cały ładunek benzyny na osiemnastu kołach przetoczył się z hukiem obok niej.

- Tak, tak wiem - mruknęła pod nosem, próbując odzyskać panowanie nad samochodem i nad sobą. Spojrzała w lusterko i zobaczyła, jak ciężarówka znika za zakrętem.

Tracisz kontrolę, Caitie-Did. Zupełnie tracisz kontrolę. Niemal słyszała pełen wyrzutu głos Kelly.

- Weź się w garść - nakazała sobie.

Zwolniła na moście i zobaczyła plantację.

Oak Hill.

Symbol bogactwa Montgomerych.

Wspomnienie długiej, pełnej blasku historii rodu.

Resztki świetności starej Georgii i dystyngowanego Południa.

Fasada. Cholerne oszustwo. Za solidnymi dębowymi drzwiami, kryształowymi szybami w oknach i grubymi białymi deskami czaiły się sekrety i kłamstwa, kryły się tragedia i wielki ból.

Nie myśl o tym teraz. Nie wolno. Nie po to tu przyjechałaś. Weź się w garść.

Zacisnęła zęby i skręciła w długą prostą alejkę wysadzaną dębami. Dębów było trzydzieści dziewięć, jeden przewrócił się w czasie burzy i nigdy nie posadzono nowego na jego miejsce. Razem z Griffinem często je liczyli. „Spotkamy się pod siedemnastym” - szeptał do niej często. Siedemnasty był ich ulubionym.

Zbliżając się do starego domu, zwolniła. Trzy poziomy, dwa pierwsze z werandami i

balustradami, trzeci z oknami mansardowymi w spadzistym dachu. Biała farba poszarzała, zaczęła się kruszyć i łuszczyć.

Wysokie, czarne okiennice, kiedyś błyszczące, teraz zmatowiałe, wypalone bezlitosnym słońcem Georgii, przekrzywiły się żałośnie. Nikt już nie dopieszczał żywopłotów, które wybijały i rozrosły się, mimo zabiegów zatrudnionego na stałe ogrodnika. Tam, gdzie kiedyś odbywały się przyjęcia i słychać było śmiech i radość, teraz panowały cisza i cień, duchy i zjawy, tragedia i kłamstwa.

Mieszkały tu już tylko matka i siostra Caitlyn. Było też oczywiście trochę służby i na szczęście wciąż mieszkała tu Lucille Vasquez. Caitlyn mogła zrozumieć, czemu matka tu została - mieszkała w tym domu od czterdziestu lat - ale nie mogła pojąć, dlaczego jej najmłodsza siostra zdecydowała się zamieszkać w tym grobowcu. Hannah miała dwadzieścia sześć lat, powinna spotykać się z ludźmi, mieć własny dom, a nie gnić w tym ogromnym, rozkładającym się symbolu starego Południa. Ale Hannah zawsze była trochę dziwna, inna, oderwana od rzeczywistości.

Tak jak ty?

Caitlyn zignorowała ten irytujący głos i zatrzymała się pod domem. Serce jej zamarło. Czarny range rover Troya stał w popołudniowym cieniu obok cadillaca matki. A więc był szybszy. Popędził tu pewnie, jak tylko skończył to swoje ważne spotkanie. A ona miała nadzieję, że sama opowie o tym co się stało. Cholera!

Wysiadła z lexusa.

W powietrzu unosiła się woń kwitnącego wiciokrzewu. Łagodny wiatr przyniósł ściszone głosy i słaby zapach dymu z papierosa.

- ...zawsze jakieś kłopoty... od czasu tego wypadku... nie może dojść do siebie... - Cichy, spokojny głos matki. Caitlyn zeszywniała. Więc rozmawiali o niej. Znowu. Chociaż dzisiaj akurat było to pewnie usprawiedliwione.

- Potrzebuje pomocy. - Usłyszała głos Troya i brzęk kostek lodu. - Prawdziwej pomocy.

- Myślałam, że po śmierci Jamie... chodziła do jakiegoś lekarza... O Boże, kłopoty nigdy się nie kończą... bliźniaczki zawsze... - Głos matki był teraz mniej wyraźny, jakby odwróciła się w drugą stronę. - ...nie wiedziałam, co robić... delikatne dziewczynki, nie takie silne jak reszta dzieci... czasami trudno być matką.

Caitlyn zatrzęsała się z oburzenia. Dlaczego wszyscy obchodzą się z nią jak z jajkiem?! Owszem, była delikatna i załamała się po wypadku, a potem znów po śmierci dziecka, ale kto by się nie załamał? Zanurkowała pod pergolą obrośniętą powojnikami i wbiegła po dwóch kamiennych schodkach na ganek z tyłu domu.

Rozmowa ucichła. Matka siedziała tyłem do schodów, przy stole ze szklanym blatem. Małymi łykami piła herbatę z lodem i wachlowała się ręką. Ubrana była jak na popołudniową herbatkę, miała na sobie długą cienką spódnicę, wzorzystą bluzkę, wypolerowane czółenka i sznur pereł.

Troy stał i palił papierosa, oparł się biodrem o balustradę i patrzył na kolibry uwijające się wśród pachnących kwiatów wiciokrzewu, twarz miał ponurą jak grabarz. Przez uchylone okno Caitlyn dostrzegła Lucille, pokojówkę matki. Lucille wychowała tutaj swoją córkę, Martę. Dawno temu Marta, Kelly i Caitlyn bawiły się razem.

- Caitlyn! - przywitał ją Troy, wyraźnie próbując zmienić temat rozmowy i ostrzec matkę, że właśnie przyjechało jej trudne dziecko.

- Myślałam, że masz ważne spotkanie - odpowiedziała Caitlyn.

- Bo miałem. Ważne, ale krótkie.

- Jasne.

Błede policzki Bernedy zaróżowiły się lekko.

- Och, Caitlyn, tak mi przykro z powodu Josha - powiedziała z trudem, i łzy zabłyśły w jej oczach. - Wiem, że go kochałaś.

- Kiedyś - przyznała Caitlyn, starając się panować nad sobą.

- To trudne. - Poklepała córkę po ręce, gdy ta musnęła ustami jej błady, zapadnięty policzek. Berneda od lat toczyła walkę z chorobą serca i powoli przegrywała.

- Nic mi nie będzie.

- Lucille! - Matka zawołała przez otwarte okno. Jej wyrazista twarz zdradzała ślady dawnej urody. W młodości Berneda była piękną kobietą o intensywnie zielonych oczach i ognistobrazowych włosach. Nosiła się z godnością, ale i z wdziękiem, a lekka skłonność do snobizmu dodawała jej tylko uroku. Kiedyś pracowała jako modelka i często powtarzała swoim dorosłym dzieciom, że gdyby nie wyszła za ich ojca i nie urodziła siedmiorga dzieci, co kompletnie zepsuło jej zgrabną talię, mogłaby znaleźć się na okładkach amerykańskich i europejskich czasopism. Dawała jasno do zrozumienia, że wybrała ważniejsze sprawy, poświęciła się dzieciom, a mimo to, za każdym razem, gdy któreś z nich coś narozrabiało, rzucała na stół swoje zdjęcie. „Patrz, co dla ciebie poświęciłam! Sławę i fortunę, którą mogłam sama zarobić. Mogłam nawet grać w filmach. Złożono mi propozycję...” Teraz jednak odgrywała rolę zatroskanej matki.

- Lucille, daj Caitlyn trochę herbaty z lodem.

- Nie chce mi się pić, mam - zapewniła Caitlyn.

- Bzdura. Doznałaś potężnego szoku. - Posłała jej zmęczony, wymuszony uśmiech. - Och, Caitlyn, tak mi przykro. - Wyciągnęła ramiona i zapraszająco zatrzepotała palcami. Gdy Caitlyn znalazła się w jej objęciach, wyczuła zapach perfum, zapach, który towarzyszył jej, odkąd sięgała pamięcią. Tkwiły tak przytulone przez chwilę, aż Caitlyn usłyszała odgłos zamykanych siatkowych drzwi. Zjawiała się Lucille z tacą.

- Myślę, że moglibyśmy napić się czegoś mocniejszego. - Troy spojrział na szklany dzbanek i szklanki ustawione wokół talerzyka z biszkoptami, winogronami i babeczkami orzechowymi.

Lucille nie zmieniła wyrazu twarzy, ale jakby lekko zeszywniała, a oczy jej pociemniały. Postawiła tacę na stole i napełniła szklanki. Podała Caitlyn herbatę z listkiem mięty.

- Przykro mi z powodu twojego męża.

- Dziękuję. - Znów ścisnęło ją w gardle, chociaż dobrze wiedziała, jakim był kłamcą i oszustem. Kiedyś nie wierzyła, ale teraz była już pewna, że ożenił się z nią dla nazwiska i pieniędzy. Co gorsza, aby dopiąć celu, zrobił jej dziecko.

Tak, poczucie Jamie było częścią pokrętnego planu Josha. Chciał po prostu położyć łapę na jej pieniądzach. I pomyśleć, że chciał ją oskarżyć o śmierć córki... tak jakby mogła ją skrzywdzić.

- Caitlyn? - Z oddali usłyszała swoje imię. - Caitlyn?

Zamrugła.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? - zapytała Lucille.

Caitlyn, wyrwana z zamyślenia, wpatrywała się w krople ściekające po szklance, która nie wiadomo jak znalazła się w jej dłoni.

- W życiu nie czułam się lepiej - powiedziała z sarkazmem. Nie mogła nie zauważyć, jak Troy posyła Bernedzie szybkie znaczące spojrzenie. Ta wariatka nieprędko dojdzie do

siebie, zdawał się mówić.

- Przepraszam. - Caitlyn zdobyła się na uśmiech. - Wyłączyłam się na moment.

- To nie był łatwy dzień - powiedziała Berneda.

- Nie musisz mnie, mamó, tłumaczyć. Przyjechałam po prostu powiedzieć ci o Joshu. Matka kiwnęła głową i westchnęła.

- Troy uważa, że mogłabyś zostać tu kilka dni.

Caitlyn zmierzyła brata morderczym wzrokiem.

- Raczej nie.

- Wspomniał, że policja może cię nachodzić.

- Chcą po prostu zadać parę pytań.

- Ale chyba... chyba nie podejrzewają, że masz coś wspólnego ze śmiercią Josha?

Szklanka omal nie wyśliznęła jej się z rąk. Więc o tym też już rozmawiali. Cudownie. Posłała Troyowi kolejne wściekłe spojrzenie.

- Nie wiem, mamó, co podejrzewają.

- Ale to niedorzeczne... - Berneda urwała, słysząc warkot silnika na podjeździe. - A to co znowu?

Samochód zahamował z piskiem i Caitlyn pomyślała, że to policja. Po nią. Wyobraźnia podsunęła jej scenę jak z filmu. Wysiedli, wyciągnęli broń i biegną ją aresztować jak groźnego przestępcę. Pot wystąpił jej na czoło. Już chciała uciekać, ale się opanowała. Pociągnęła duży łyk herbaty i wtedy usłyszała szybkie głośnie kroki na tyłach domu.

Zza rogu wyszła Amanda Montgomery Drummond, najstarsza siostra Caitlyn, ubrana w czarną spódnicę i żakiet. Jej krótkie włosy wyglądały na nieuczesane, jedwabna bluzka była pognieciona. Podobne niedbalstwo prawie nigdy się Amandzie nie zdarzało.

- Próbowałam się do ciebie dodzwonić - zwróciła się do Caitlyn. Weszła szybko po schodkach. - Co się, do diabła, dzieje? Widziałam w wiadomościach, że Josh nie żyje. Czy to prawda?

Troy przytaknął i zgasił papierosa w popielniczce stojącej na balustradzie ganku.

- I nikomu nie przyszło do głowy, żeby do mnie zadzwonić?! - Powiedziała z furią, patrząc na brata zmrużonymi oczami.

- Caitlyn zadzwoniła do mnie - wyjaśnił, przeczesując włosy sztywnymi palcami.

- Świetnie! A ja sobie siedzę w biurze i nagle Rob Stanton - jeden ze współników - zagląda do pokoju i mówi, żebym poszła do sali konferencyjnej i obejrzała wiadomości o dwunastej. Jezu, czy nikt nie mógł chwycić za cholerny telefon i powiedzieć, co się dzieje? - Policzki jej pałały, a usta zacisnęły się w wąską kreskę.

- Powinniśmy byli tak zrobić - przyznał Troy.

- Potem próbowałam się do ciebie dodzwonić - zwróciła się do Caitlyn. - Ciągle włączała się sekretarka.

- Nie odbierałam telefonów. Wiesz, dziennikarze.

- Pewnie. Ohydni padlinożercy. Zwęszą najmniejszy ślad skandalu i zaraz wypęłzają na światło dzienne. - Zaczerpnęła powietrza i potrząsnęła głową, jakby chciała uporządkować myśli; głos jej złagodniał. - Boże, Caitie, jak się czujesz?

- Bywało lepiej.

- Policja ją przesłuchiwała - wtrąciła Berneda.

- Tylko wpadli powiedzieć mi o Joshu.

- Ale przecież nie jesteś podejrzana? - Twarz Bernedy przybrała kolor sponiewieranych pogodą ścian domu.

- Powiedziała, że nie wie, co podejrzewa policja - wyjaśnił Troy najstarszej siostrze. - Josh popełnił samobójstwo albo... albo ktoś mu w tym pomógł, prawda Caitlyn? Czy nie tak ich zrozumielaś?

- Cholera - wymamrotała Amanda.

- Jeśli okaże się, że to zabójstwo, zaczną się nam baczniej przyglądać. - Troy dostrzegł przerażone spojrzenie matki. - Daj spokój, mamó, wiesz, jaka jest procedura. Rodzina i znajomi ofiary zawsze są najbardziej podejrzani. Już przez to przechodziliśmy.

- Zbyt często - zgodziła się, obserwując motyla przemykającego wśród bzów.

- Ale nie są pewni, że to morderstwo. To dobrze - myślała na głos Amanda.

- Nie ma w tym nic dobrego - zauważyła Berneda.

Twarz Amandy była ponura, jej mózg pracował na najwyższych obrotach.

- Marty z księgowości zna kogoś w policji. Może mógłby się od niego dowiedzieć, co policja naprawdę myśli.

- O Boże, widzę, że naprawdę się martwisz. - Gdy Berneda próbowała poprawić się w fotelu, natychmiast zjawiła się przy niej Lucille. Zaczęła strzepywać i układać poduszki.

- Po prostu nie wierzę, że Josh popełnił samobójstwo - upierała się Caitlyn.

- Nie wiesz, jak było. - Amanda opadła na krzesło. - Nikt nie wie, co się dzieje w głowie drugiego człowieka. Weźmy Billa Blacka. Z pozoru miał wszystko - był współnikiem w jednej z najlepszych firm prawniczych na wschodnim wybrzeżu, miał młodą piękną żonę, dwójkę uroczych i zdrowych dzieciaków, dom wart fortunę i drugi w Catskills. Życie nie umierać. I pewnego dnia, bez żadnych widocznych powodów, idzie do garażu, zakłada wąż na rurę wydechową swojego mercedesa i kończy z tym wszystkim. Nikt nie wiedział, że był szantażowany, nikt nie wiedział, że oskarżano go o gwałt na nieletniej klientce, w wyniku którego dziewczyna zaszła w ciążę. Nikt, nawet jego najlepszy przyjaciel, nie wiedział, że Bill miał jakiegokolwiek problemy. Nie mieli pojęcia.

Caitlyn potrząsnęła głową i spojrzała na wzgórza i zachodzące słońce.

- Znam Josha.

- Znałaś - poprawił ją Troy. - A Amanda ma rację. Po prostu poczekajmy, co powie policja.

Berneda zwróciła się do starszej córki:

- Jeśli Caitlyn będzie potrzebowała prawnika, pomożesz jej?

- Nie jestem adwokatem w sprawach kryminalnych - odpowiedziała Amanda głosem pełnym napięcia. - Rzuciłam to dawno temu. Zajmuję się podatkami i nieruchomościami. Wiesz o tym.

- Wiem, wiem, ale się martwię. Pracowałaś dla prokuratora okręgowego.

- I nienawidziłam tej pracy, nie pamiętasz? Użeranie się z tymi wszystkimi kryminalistami i głupkami i... w każdym razie, cieszę się, że już tego nie robię.

- Możesz kogoś polecić? - zapytała Berneda, szarpiąc naszyjnik z pereł.

- Jezu, nie zastanawiajmy się nad tym! - Troy sięgnął do kieszeni koszuli po papierosy. - Caitlyn i ja już to omówiliśmy. Uważam, że nie powinna rozmawiać z policją bez prawnika, ale nie zachowujmy się, jakby była podejrzana. - Znalazł zapalniczkę i pstryknął kilka razy, zanim się zapaliła. - W porządku? - zapytał, wydmuchując dym.

- Oczywiście, że nie.

- Tak jak myślałem.

- Po prostu lepiej być przygotowanym - powiedziała Berneda.

- Zostaniecie na kolacji? - Lucille uśmiechnęła się łagodnie, jakby nie zdawała sobie

sprawy z wagi tej rozmowy.

Berneda skinęła głową.

- Naturalnie, że zostaną.

- Ja nie. - Amanda spojrzała na zegarek. - Mam mnóstwo pracy. Mnóstwo. Nie dotrę do domu przed północą. - Dostrzegła urażone spojrzenie matki i westchnęła. - Przyjechałam sprawdzić tylko, czy dobrze się czujesz. Wiem, że takie rzeczy wyprowadzają cię z równowagi. Kiedy skończę pracować nad tą sprawą, przyjadę na weekend. Zgoda?

- Tak, choć wiem, że i tak nie przyjedziesz - mruknęła Berneda, ale twarz jej odrobinę pojaśniała.

- Przyjadę. Jesteśmy umówione. Obiecuję.

Ledwie to powiedziała, zadzwonił jej telefon komórkowy. Pogrzebała w torebce, wyciągnęła telefon i przyłożyła do ucha. Rozmawiając przyciszonym głosem, odeszła w drugi koniec ganku i odwróciła się tyłem do wszystkich.

- Tak, wiem, wiem... ale to poważne sprawy rodzinne. Przyjadę. Tak, Powiedz mu, że za dwadzieścia minut, góra pół godziny... tak, rozumiem, w porządku. Powiedz mu, że dzisiaj sobota. Ma szczęście, że w ogóle pracuję. - Rozłączyła się, westchnęła głęboko i spojrzała na rodzinę. - Naprawdę muszę już lecieć. Ale wrócę, obiecuję. - Wrzuciła telefon do torebki i cmoknęła matkę w policzek. - Przyjadę z Ianem - obiecała. Uśmiech Bernedy zastygł na wspomnienie szwagra. Mąż Amandy pracował jako pilot w firmie zajmującej się handlem drewnem. Często nie było go w domu, rzadko pojawiał się na uroczystościach rodzinnych. Przystojny, wysportowany, zdolny rzucić czar nawet na najdziksze zwierzęta. Problem jednak w tym, że gdy zauroczone zwierzę odważyło się podejść bliżej, strzelał do niego i zabijał je. Na śmierć. I sprawiało mu to ogromną przyjemność. Tak, Ian Drummond miał swoją ciemną stronę. Rzadko ją pokazywał. Caitlyn miała raz okazję ją poznać, choć nigdy nikomu o tym nie powiedziała. I nigdy nie powie.

Amanda lekko chwyciła ją za rękę, dotykając ukrytego pod swetrem opatrunku. Caitlyn wstrzymała oddech. A jeśli Amanda wyczuje bandażę na nadgarstkach? Wyrwała się.

- Zadzwon, jeśli będziesz chciała. - Na twarzy Amandy pojawił się cień uśmiechu. - A jeśli nie zamierzasz odbierać telefonu, to przynajmniej włącz cholerną komórkę. Na nią też nie mogłam się dodzwonić.

- Włączę.

Amanda znów złapała ją za rękę i ścisnęła tak mocno, że Caitlyn omal nie zawyła z bólu.

- Nie zapomnij. - Założyła okulary słoneczne na nos i popędziła ścieżką. Z rykiem silnika odjechała tak szybko, jak się pojawiła.

- No, to tyle - powiedział Troy, marszcząc się i mocno zaciągając papierosem. - Spełniła swój obowiązek.

- Co to ma znaczyć? - Berneda wyprostowała się na fotelu.

- To, że Amanda poświęca rodzinie wyjątkowo mało czasu.

- Nie rozumiesz, że jest zajęta? - Berneda potrząsnęła głową i Caitlyn zauważyła kilka srebrnych włosów, które miały czelność pojawić się wśród mahoniowych loków. - Wy nigdy nie potrafiliście się dogadać.

To była prawda. Caitlyn pamiętała wrogość panującą między starszą siostrą a bratem. Wydawało się, że trwa to od narodzin Troya aż do dzisiaj, ponad trzydzieści lat.

- Gdzie jest Hannah? - Caitlyn postanowiła zmienić temat.

- Wyszła. - Matka odwróciła wzrok. - Wyszła wczoraj wieczorem.

- Dokąd?

- Nie wiem. Była wściekła.
- Na co? - naciskała Caitlyn.
- Na cały świat. Na mnie. Na Lucille, na wszystkich. - Berneda machnęła lekceważąco ręką. - Wiesz, jaka ona jest. Uparta. Tak jak ojciec. Nie wiem... nie wiem nawet, czy wie już o Joshu, ale na pewno się dowie. - Spojrzała na zegarek. - Na pewno powiedzą w wieczornych wiadomościach. Myślę, że powinniśmy je obejrzeć.

Caitlyn nie miała najmniejszej ochoty patrzeć, jak reporterzy roztrząsają, analizują, wyjaśniają i snują hipotezy dotyczące śmierci jej męża. Ale musiała. Wcześniej czy później trzeba zmierzyć się z prawdą o śmierci Josha. Jutro, ani nawet za kilka dni, wcale nie będzie łatwiej.

Rozdział 8

Prawdziwe świry. Szalony kapelusznik to przy nich betka. - Sylvie weszła do gabinetu Reeda, roztaczając zapach piżmowych perfum i niedawno wypalonych papierosów. Poszła do domu sprawdzić co u dzieci i najwyraźniej znalazła nową nianię, wróciła więc na posterunek.

- O kim ty mówisz?
- O Montgomerych, a niby o kim? Pieprzone świry! - Oparła się o parapet i objęła rękami.

- Pieprzone?
- Staram się hamować. - Przewróciła wymownie oczami. - Mam dzieciaki w wieku siedmiu i trzech lat. Nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak przeklinasz, dopóki przekleństwa nie wracają do ciebie, wypowiedziane niewinnymi ustami dzieci. Tak, to prawda. Któregoś dnia zmywam naczynia, dzieciaki siedzą w dużym pokoju, tuż obok. I słyszę, jak Toby zwraca się do siostry: pierdolony kutas... pewnie słyszał, jak mówiłam o jego ojcu. - Sylvie wzruszyła ramionami. - Priscilla roześmiała się i powiedziała mu, że jest głupi, bo dziewczynki nie mogą być kutasami i że nie mówi się pierdolony tylko pierdolony... No, rozumiesz, o co mi chodzi - wykrzywiła usta. - Powiedziałam im, żeby przestali, ale wtedy Priscilla wytknęła mi, że ja też się wyrażam, więc wszyscy zawarliśmy umowę. Za każde przekleństwo wrzucamy do świnki ćwierćdolarówkę... Nie patrz tak na mnie!

- Nic nie rozumiem. Do jakiej świnki?
- No, do świnki skarbonki. Zapomniałam, że żyjesz na innej planecie.
- O czym ty mówisz?
- Nieważne. Nie masz dzieci, nic nie rozumiesz. Chodzi o to, że nie powinnam była się na to zgodzić. Teraz nie odstępują mnie na krok i tylko czekają, kiedy coś pier... powiem. Cholera! O, nie... - Przewróciła oczami. - Wygląda na to, że uda mi się w tym roku nazbierać tyle pieniędzy, że starczy dla całej rodziny na wycieczkę do Disneylandu.

Odchylił się na krześle, aż zatrzeszczało.
- Zaczęłaś coś mówić o Montgomerych.
- Ja nie mogę! - potrząsnęła głową. - Tyle świrów. Całe pokolenia. I do tego tyle wypadków. Wypadki na polowaniach, na łodzi, w samochodzie, afery, skandale... Jerry Springer miałby niezłą pożywkę. Jak w jakiejś pier... pieprzonej operze mydlanej! Wiedziałeś, że istnieje jeszcze drugi pień drzewa rodowego Montgomerych? I nie chodzi tu o jednego czy dwóch bękartów. Nie, to jakieś zboczenie!

- Więc Cameron Montgomery - podjęła - ojciec Caitlyn i dziedzic fortuny zbitej na

bawelnie i przewozie towarów miał drugą rodzinę. Tu niedaleko. - Machnęła ręką. - Miał nie tylko siedmioro dzieci ze swoją żoną, ale jeszcze jedno, dwoje albo i więcej z niejaką Copper Biscayne. Á propos, ona już nie żyje, tak jak i wielu innych związanych z Montgomerymi. Josh Bandeaux jest ostatni na długiej liście ofiar.

- Czy któraś poprzednia śmierć też wyglądała na samobójstwo? - zapytał Reed.

- Znów myślisz, że popełnił samobójstwo?

Potrząsnął głową.

- Nic nie myślę. Po prostu głośno się zastanawiam. Wiemy, że ktoś z nim był tej nocy; nie wiemy tylko, czy ten ktoś go zabił.

- Myślisz, że ktoś upozorował samobójstwo.

- To jedna z możliwości. - Pomasował kark. - Będziemy wiedzieć więcej, gdy dostaniemy raport z sekcji zwłok i z miejsca zbrodni. Przeczucie mi mówi, że będą tam dowody wskazujące na żonkę. Miała możliwości, motyw, okazję i nie może przedstawić nawet najmarniejszego alibi.

- Wydaje mi się, że nie dałeś jej szansy.

- Zapytałem, gdzie była zeszłej nocy, a ona odpowiedziała, że poza domem. To wszystko.

- Nie wypytałeś jej dokładnie.

- Nie mieliśmy pewności, że chodzi o morderstwo.

- Nadal nie mamy.

- Ale wiemy, że byli w separacji, że była inna kobieta w życiu Josha, że chciał rozwodu i jej pieniędzy, że chciał oskarżyć ją o przyczynienie się do śmierci dziecka. Sąsiad widział jej samochód na miejscu zdarzenia.

- Ale? - ponagliła go Sylvia. - Słyszę to w twoim głosie, Reed, jest jakieś ale.

Chwycił długopis i pstryknął w zamyśleniu.

- Ale musiałyby być głupia, żeby zostawić tyle śladów na miejscu zbrodni. Nie wygląda na głupią.

- Może się zdenerwowała. Nie zamierzała go zabić, ale wpadła w szal.

- Nie zamierzała go zabić? A te nacięcia na nadgarstkach? Widziałaś, jego rękę? Ktokolwiek to zrobił - i nie wykluczam tu samego Bandeaux - chciał, aby wykrwawił się na śmierć. - Zmrużonymi oczami popatrzył na Sylvie. - Coś tu nie gra.

- Coś? A może wszystko - powiedziała Sylvie, sięgając do kieszeni po pager. Skrzywiła się, spoglądając na wyświetlacz, i ruszyła w stronę drzwi. - Nic tu nie gra. Na razie. Ale będzie grało. Rozwiążemy to.

- Jesteś pewna?

Spojrzała przez ramię i uśmiechnęła się.

- Jak cholera.

- Jaka szkoda - wycedziła sarkastycznie Sugar Biscayne, wpatrując się w ekran. Na jej ustach pojawił się zjadliwy uśmieszek. Ściągnęła spodnie i majtki. - Kolejny łajdak gryzie ziemię. - Kopnęła spłowiałe lewisy w kąt sypialni, włożyła czerwone stringi i spodenki ledwie zakrywające pupę. Dziennikarz wciąż mówił i mówił, jakby Josh Bandeaux był co najmniej bożyszczem Savannah. Tak, racja. Dopija drinka i poczuła lekki zawrót głowy. Pewnie od wódki. Wcale nie było jej żal, że kolejny z klanu Montgomerych kopnął w kalendarz. Bandeaux był najgorszy, wkręcił się do rodziny, próbując dobrać się do pieniędzy. Co za gówna. Wzniosła kieliszek. - Powodzenia w piekle, ty chory sukinsynu!

Wentylator przeganiał gorące powietrze z jednego końca sypialni w drugi, hałasując tak głośno, że ledwie słyszała telewizor, w którym właśnie pokazali Josha Bandeaux na dorocznym balu policjantów. Wpatrywała się w ekran. Przystojny kutas. Diabelnie seksowny. Tak, i martwy jak Bella Lugosi. Ta myśl sprawiła jej przyjemność.

Ubrany w czarny smoking od znanego projektanta i koszulę, która nie wymagała krawata, Bandeaux trzymał w ręce kieliszek i uśmiechał się uwodzicielsko do kamery. Jezu, jak on lubił światła reflektorów. Niewiele kobiet w Savannah zdołało się oprzeć temu uśmiechowi. Sugar pomyślała, że miał w sobie coś szatańskiego.

Nalała sobie kolejnego drinka. Czowała jak zimna wódka spływa do gardła i wybucha płomieniem w żołądku. Wzdrygnęła się na myśl, że Caitlyn Montgomery poślubiła to monstrum. A wszystko dlatego, że Caitlyn była naiwna i na tyle głupia, żeby pozwolić zrobić sobie dziecko. W tych czasach!? Jak to możliwe?

Zgadnij!

Bandeaux był diabelnie seksowny i wiele kobiet, ona również, chętnie by się z nim zabawiło, ale żadna nie była tak głupia, by za niego wychodzić. Związać się z tym kutasem znaczyło wpakować się w niezłe kłopoty. No i się Caitlyn wpakowała. Nie, żeby Sugar się przejmowała. Zawsze uważała, że Caitlyn nie grzeszy rozumem. Jeśli chodzi o urodę, natura okazała się hojna, ale rozumu to jej poskapiła.

Gładka, biała skóra ślicznotek z Południa, wydatne usta, duże piwne oczy. Caitlyn była wysoka i miała sportową sylwetkę. I do tego świetne cycki. Wspaniałe cycki. Sugar zawsze zwracała uwagę na biust, nie dlatego, że gustowała w kobietach, ale dlatego, że chciała dobrze znać konkurencję. Wszystkie kobiety, nawet te bogate i wysoko postawione, rywalizowały ze sobą.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Bandeaux z żoną i córką. Dziecko miało wtedy jakieś półtora roku. Gdyby nie sztuczny uśmiech Caitlyn na tym wyraźnie pozowanym zdjęciu, wyglądałoby na idealną rodzinę.

- Gówno, nie idealną! - Sugar wychyliła resztkę wódki. Pogryzła kostkę lodu i zaczęła grzebać w szufladzie komody, gdzie znalazła wystrzałową obcisłą bluzkę bez rękawów. Włożyła ją i wygładziła kilka zmarszczek.

Reporter mówił właśnie o podejrzanych okolicznościach śmierci Bandeaux, gdy usłyszała samochód zajeżdżający na podjazd. Furgonetka, sądząc po odgłosie silnika. Kogo diabli niosą? Gderając i zrzędząc, pomyślała, że to pewnie brat złożył jej wizytę. Dickie Ray, ostatnia osoba, którą chciała widzieć.

Wyłączyła stary, kiepsko już działający telewizor, przeszła do pokoju gościnnego i zanim brat zaczął się dobijać, otworzyła drzwi.

Pod nogami usłyszała ciche warczenie - w połowie pit buli, w połowie labrador, ale za to w stu procentach suka.

- Cześć - powiedział Dickie, zezując na psa. Caesarina nie lubiła go. Nigdy go nie lubiła. Znała się na ludziach.

- Jest już prawie siódma wieczorem, spóźnię się do pracy. Ja pracuję - przypomniała mu, ostentacyjnie spoglądając na zegarek. Żeby tylko nie wszedł do środka. Gdy już zwali się na kanapę, to będzie tam siedział, godzinami gapiąc się w telewizor, aż wydoi cały sześciopak piwa. Kijem go trzeba będzie wyganiać. Nie był złym facetem, tylko leniwym jak diabli.

- I ty to nazywasz pracą?

- To uczciwa praca - odpowiedziała.

Patrzył na nią z kamienną twarzą. On uważał, że pobieranie zasiłku to z praca.

- Świadczę usługi.

Dickie Ray parsknął.

- To teraz podniecanie śliniących się frajerów nazywa się świadczeniem usług?
- Ja tańczę.
- Nago. Spójrz prawdzie w oczy, jesteś striptizerką. Koniec i kropka. Możesz to nazywać jak chcesz, ale zwyczajnie pokazujesz cycki i dupę, żeby tym facetom w barze stanął.
- To ich sprawa.
- Oni myślą inaczej.
- Ja też. Zostawmy to już. - Nie znosiła tych jego złośliwości. Kiedy był „w złym humorze”, jak mawiała mama, potrafił naprawdę niezłe dokuczyć. A dziś akurat trafił w jej czuły punkt. Nie była dumna z tego, co robi, ale uważała, że całkiem dobrze wykonuje swoją pracę. Miała klasę. Kiedy zaoszczędzi wystarczająco dużo pieniędzy lub jeśli dostanie obiecany spadek, rzuci to wszystko, pójdzie do szkoły, nauczy się obsługiwać komputer zostanie recepcjonistką w jakiejś dużej firmie. Ale jeszcze nie teraz.
- Słyszałaś o Bandeaux? - zapytał Dickie, wchodząc do kuchni. Otworzył szafkę i znalazł pół paczki krakersów serowych.
- Właśnie oglądałam wiadomości.
- Szkoda go. - Dickie wrzucił do ust garść krakersów. Gdyby przyciął tę swoją małą bródkę, pozbył się piwnego brzuchala i długich straków zwisających do ramion, byłby całkiem przystojny. Boki ścinał na krótko, ale jasnym lokom z tyłu pozwalał rosnać swobodnie, pewnie w nadziei, że odciągną uwagę od łysiejącego czubka. W tym samym celu nosił zawsze czapkę bejsbolową. Naciągał ją na czoło tak głęboko, że daszek niemal dotykał stale obecnych na nosie okularów słonecznych. Okulary miały pewnie ukryć zaczerwienione oczy, bo Dickie, gdy tylko miał okazję, nie stronił od używek - alkoholu i kokainy. - Myślisz, że go ukatrupili? - W jednej z szafek Dickie znalazł plastikowy kubek po dużej coli. Otworzył lodówkę i uwiesił się na drzwiach. Chłodny podmuch powietrza owiewał mu twarz, gdy przyglądał się nędznej zawartości. W końcu zdecydował się na Dr. Peppera.
- Zamordowali? - zapytała Sugar.
- A niby co oznaczają „podejrzane okoliczności”?

Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

- Tak, pewnie masz rację. Bandeaux wkurzył wielu ludzi w tym mieście.
- Ciekawe, kto to zrobił. - Pociągnął łyk i zmarszczył nos. - W tym w ogóle nie ma gazu.
- To nie moje, to Cricket - wyjaśniła Sugar.
- Gdzie ona jest? - Dickie rozejrzał się jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że młodszej siostry nie ma w domu.
- Pracuje. No wiesz, za-ra-bia na utrzymanie. Kończy o ósmej.

Spojrzał na zegarek, a potem zajrzał do szafki nad lodówką w poszukiwaniu butelki.

- Masz gdzieś whisky?
- Nie.
- Każdy facet umarłby u ciebie z pragnienia.
- I o to chodzi - powiedziała poważnie. Jej ostatni chłopak pasożytował na niej przez rok. Jej były wciąż ją nachodzi i żebrze. Chce albo pieniędzy, albo seksu. Nie dostaje. Nic dziwnego, że zraziła się do mężczyzn; zawsze trafiała na patalachów. Przez moment pomyślała o swoim obecnym związku. Związku, o którym tylko Cricket cokolwiek

wiedziała. Ale i przed nią Sugar skrywała większość szczegółów. Związek był potajemny. Gorący. Zakazany.

Dickie Ray przeszukał jeszcze raz szafkę i natknął się na prawie pustą butelkę po Jacku Danielsie. Skrzywił się, jak mało zostało, ale nalał sobie tę resztkę do kubka.

- Tyle, że właściwie nie oplaca się nalewać. - Zamieszał miksturę palcem.

- Nikt ci nie przystawiał pistoletu do głowy.

- Dzisiaj nie - powiedział tajemniczo. Mrugnął i podniósł kubek. - Wypijmy za tego, co miał jaja, żeby sprzątnąć Bandeaux. - Skinął głową, pociągnął duży łyk i wytarł usta rękawem.

- Rozmawiałaś ostatnio z Donahue? - zapytał, przechodząc wreszcie do celu swojej wizyty.

- Nie, od naszej ostatniej rozmowy, nie.

Dickie prychnął.

- Ważniak z pana adwokata. - Nastrój Dickiego szybko się pogarszał.

- Robi, co do niego należy.

- Mijają miesiące - zawarczał, a Sugar wzięła pustą puszkę i wrzuciła do przepelnionego kosza. Caesarina poszła obwąchać kosz, potem usiadła na żółtym linoleum i podrapała się za uchem tylną łapą. - Myślę, że nas zwodzi.

- Nie zwodzi. - Sugar też irytowały te wszystkie kłopoty, przeszkody i opóźnienia, ale nie poddawała się. Flynn Donahue, adwokat, obiecał Sugar, Dickiemu i Cricket, że znajdzie sposób, aby dostali należną im część majątku Montgomerych. Byli przecież wnukami Benedicta Montgomery'ego, tak samo jak jego prawowici spadkobiercy. To, że ich babka, Mary Lou Chaney, była sekretarką Benedicta, a nie jego żoną, nie miało znaczenia. Liczą się więzy krwi, mówił Donahue prawie rok temu, gdy zajęli się ich sprawą.

„Podobno stary wujaszek Cameron jest twoim ojcem”. Te wstrętne plotki prześladowały Sugar przez całe życie. Ale teraz wreszcie sobie odbije.

- Nie ma to jak w rodzinie - dokuczał jej pryszczaty Brad Norton w ósmej klasie. - Musicie się tam wszyscy lubić. I to bardzo. - Uniósł jasne krzaczaste brwi i zachichotał. Dołączyli do niego koledzy, banda półgłówków, śmiali się i wytykali ją palcami.

- Jak to jest, Sugar? Fajnie, gdy wujek jest jednocześnie ojcem? - Przyłączył się Bill Quentin, podciągając spodnie, które ciągle opadały mu z dużego brzucha. Był tłustym, głupim chłopakiem, jego ojciec hodował psy myśliwskie, kłusował na samy i pędził whisky. Nikt nie lubił Billa, więc ciągle zmieniał paczki, żeby wszystkim się przypodobać. Tego upalnego wrześniowego popołudnia Bill miał nadzieję, że wyzywając Sugar od hołoty, zyska w oczach Brada i jego kumpli i awansuje z dołów społecznych.

- Zawsze to lepiej niż mieć ojca dupka i matkę dziwkę tak jak ty. Na twoim miejscu zastanowiłabym się, dlaczego twój ojciec tak bardzo lubi te swoje psy. To mogłoby wyjaśnić, czemu jesteś tak głupi. - Odwróciła się na pięcie i odeszła, a Brad i jego kumple zarykiwali się ze śmiechu. Słyszając to, zawróciła i dodała:

- Na twoim miejscu, Brad, też bym uważała. Twój tata jest pastorem i pewnie nie chciałbyś, żeby się dowiedział, że pod materacem ukrywasz świńskie pisemka.

- Nie ukrywam! - krzyknął oburzony, ale Sugar tylko się uśmiechnęła.

- Więc kłamałeś wtedy na stacji benzynowej? - zapytała, a szczeka Brada opadła do podłogi. Nie miał pojęcia, że Sugar była wtedy w łazience, stała za pękniętymi drzwiami i słyszała, jak Brad przechwalała się przed swoimi żalonymi kumplami.

Sugar przez lata znosiła te raniące śmiechy, chichoty i pogardliwe spojrzenia. Ale teraz,

do diabła, miała wreszcie odzyskać to, co jej się należy. Jeśli te cholerne plotki nie były tylko plotkami, to ma prawo do części fortuny Montgomerych.

Ale sprawiedliwość nie była rychliwa, co doprowadzało Sugar do szału. Dość już miała tego nędznego domu, a właściwie przyczepy, dość wszystkich tych „porządniejszych”, prawowitych członków rodziny, którzy traktowali ją jak śmieć. I rzygać jej się chciało od tego tańczenia dla bandy podstarzałych, wstawionych facetów, którzy spuszczaali się w spodnie, gdy tylko zamachała nogami. Tak jakby któryś z nich miał u niej jakiegokolwiek szansę. Była striptizerką. Nie dziwką. Żaden z tych frajerów nie mógł liczyć, że za parę dwudziestek wetkniętych do majtek pójdzie z nim do samochodu i zrobi mu loda.

Więc lepiej, żeby Flynn szybko doprowadził sprawę do końca. Wraz z rodzeństwem podważyła testament Camerona, żądając połowy tego, co odziedziczyła Berneda i jej dzieci. Cholerna kupa szmalu! Nie wiedziała dokładnie ile, ale szło to w miliony. Miliony! Nawet jeśli podzielić to na siedem części, między wszystkich potomków, to było tego więcej, niż mogłaby zarobić przez całe życie jako striptizerka. Ile mogłaby zdziałać, mając choćby część tych pieniędzy! Nie tylko ona, ale i Cricket, i Dickie.

- Też ich pragniesz - zauważył Dickie, jakby czytał w jej myślach. - Już czujesz ich smak.

- Flynn powiedział, że to może potrwać latami.

- Pieprzenie. Nie mam zamiaru tyle czekać.

- Robi, co może.

- Ten tłusty dupek? - Dickie prychnął pogardliwie.

- Nie słyszałaś, że cierpliwość jest cnotą?

- Nie wierz w to. Jeśli bardzo się czegoś chce, można to dostać. Wiem to już od dawna - powiedział.

Sugar spojrzała wymownie na zegar nad lodówką.

- Muszę iść do klubu - powiedziała, sięgając po torebkę.

- W porządku. - Dickie naciągnął czapkę na głowę i ruszył po porysowanym linoleum w stronę drzwi. - Powiedz temu Donahue, żeby się przyłożył, bo inaczej sam będę się tym musiał zająć. - Mrugnął do niej i opanowało ją złowrogie przeczucie, że już zaczął działać.

- Nie rób nic głupiego, Dickie. - Wzięła torebkę i zaczęła szukać kluczyków do samochodu.

- Ja? - zapytał, unosząc ręce w geście absolutnej niewinności.

Sugar miała coraz gorsze przeczucia. Znalazła wreszcie breloczek z kluczami.

- Cokolwiek robię, robię dla nas. - Mrugnął do niej, otwierając drzwi. - Pamiętaj!

Gdy drzwi zatrzasnęły się za nim, Sugar przeszedł dreszcz, jakby sam diabeł chuchnął na nią lodowatym oddechem. Dickie Ray był niebezpieczny. I nieprzewidywalny. Jeśli nie będzie ostrożny, schrzani wszystko... nie mogła na to pozwolić. Zniosła pusty kubek do kuchni, wrzuciła do zlewu i usłyszała ryk silnika furgonetki.

- Nie rób tego - wyszeptała i ogarnęła ją panika. - Cokolwiek to jest, Dickie, proszę... nie rób tego.

Josh Bandeaux.

Intruz.

Kłamca.

Oszust.

Trup.

Sztywny trup.

I tak powinno być. Atropos włożyła klucz do zamka i weszła do piwnicy, w której pod ścianami piętrzyły się zapomniane butelki starego wina. Przeszła szybko kilka kroków, znalazła ukrytą zapadkę i nacisnęła. Regał odsunął się, odsłaniając tajemne drzwi. Wśliznęła się bezszelestnie, zamknęła je za sobą i poczuła, jak ogarniają spokój emanujący z tego sekretnego miejsca.

Ściany pomalowano na śnieżnobiałe, w wypolerowanych na błysk sprzętach można by się przeglądać. Na podłodze wyłożonej płytkami nie było śladu kurzu, w kącie stało białe plastikowe krzesło i matowe metalowe biurko. W pokoju znajdowały się też chromowana lampa, biały skórzany fotel, wieża stereo i równo ułożona sarta płyt CD. Dźwiękoszczelne panele izolowały piwnicę od reszty budynku. Wszystko w tym pokoju sprawiało wrażenie nieskazitelnego.

Było to jej prywatne zacisze. Odcięte od świata. Z dala od miasta, ale w dogodnej od niego odległości. Ukryte i odizolowane. Idealne. Gdyby jeszcze mogła uciszyć ten hałas w głowie.

Włożyła buty ochronne i czepek, wyjęła z pojemnika rękawiczki chirurgiczne i włączyła stereo. Pokój wypełniła cicha, kojąca muzyka barokowa. Nawet gdyby ktoś znalazł jej kryjówkę, nie byłby w stanie odgadnąć jej tożsamości, chociaż to, co by tu zastał, dałoby mu do myślenia.

Ostrożnie wyjęła z torebki plastikowe zawiniątko i ruszyła w stronę biurka. Otworzyła kluczem górną szufladę i popatrzyła z zadowoleniem na swoje skarby: przezroczystą torbę ze zdjęciami i futerał zamykany na suwak.

Nucąc cicho, Atropos otworzyła plastikową torbę i wysypała zdjęcia na biurko. Przejrzała je szybko, przerzucając błyszczące, podniszczone fotografie ze zrećnością krupiera w Las Vegas. Przyglądała się niewyraźnym obrazom znanych twarzy i zatrzymała na zdjęciu Josha Bandeaux.

- Ajajaj! Co za niegrzeczny chłópiec. - Odwinęła z folii nożyczki chirurgiczne. Nierdzewna stal błyszczała, jedynie na czubkach ostrzy widać było ciemne plamy. Krew Josha Bandeaux zakrzepła na narzędziu zbrodni.

Atropos przypomniała sobie wyraz twarzy Bandeaux, gdy przez moment miał szansę zobaczyć swoją oprawczynię, jego przerażenie, gdy uświadomił sobie, że oto nadszedł jego koniec, jego osobisty Armagedon. To było takie łatwe. Niezwykle łatwe. Obowiązek, ale jakże podniecający. Nie zabijanie ją podniecało, ale świadomość, że Bandeaux zdawał sobie ze wszystkiego sprawę. Na jego pięknej, przystojnej twarzy wyraźnie malował się śmiertelny lęk. Nawet teraz, przypominając sobie strach w jego oczach, poczuła słodki przyływ adrenaliny, który uciszył hałas w głowie.

Niestety, nie miała czasu, żeby pławić się w rozkoszy zabijania. Musiała szybko działać. Przyjrzała się dokładnie zdjęciu Josha. Opalony, miał na sobie jedynie spodenki, jedną ręką obejmował piękną kobietę ubraną w żółte bikini. Tło stanowiły palmy i niesamowity zachód słońca, kobieta nie była oczywiście żoną Bandeaux. Nie, ta prawie naga opalona blondynka - czy nie nazywa się Millicent? - nie była nikim ważnym. Nawet dla Josha. Była dziwką. Ni mniej, ni więcej. Kimś niepotrzebnym.

Czas się jej pozbyć.

Ciach!

Nożyczki zabłysły we fluorescencyjnym świetle. Zdjęcie zostało równo przecięte na pół i uśmiechnięta ślicznotka poleciała na podłogę, w zapomnienie.

- Sayonara - powiedziała cicho Atropos.

Na drugiej połowce zdjęcia Josh stał sam, w ręku trzymał drinka. Niedługo.

Ciach!

Spieniony koktajl zniknął i, och, dłoń też. Jaka szkoda!

Ale Josh wciąż się uśmiechał. Ach, ten szeroki, seksowny, zniewalający uśmiech.

Ciach!

Uśmiech zniknął. Głowa Josha opadła na podłogę i dołączyła do pozostałych części ciała.

A co z jego kutasem?

O, to najważniejsza część! Nie można jej zostawić.

Ciach!

Nie ma. Nogi i krocze zostały zgrabnie oddzielone od tego, co pozostało z Josha - od nagiej, owłosionej klatki piersiowej i szyi. Nie wyglądał zbyt pięknie. Już nie.

Teraz dołączył do innych. Spojrzała na swoje dzieło, duże drzewo genealogiczne przykryte plastikową szybką.

Drzewo rodowe Montgomerych.

Wszyscy członkowie rodziny zostali umieszczeni na rozrośniętych gałęziach drzewa. Byli wśród nich i ci, którzy zdążyli się już rozwieść, i nieślubne dzieci, i wszyscy, którzy wżenili się w rodzinę. Tak jak Bandeaux. Przy niektórych gałęziach widniały fotografie. Przedstawiały tych, którzy spotkali się już ze swym przeznaczeniem.

Ostrożnie zdjęła tablicę ze ściany, położyła na biurku. Z zamykanego na suwak futerału wyjęła śrubokręt i odkręciła ramkę. Zdjęła plastikową szybkę i obok imienia Josha położyła to, co pozostało z jego zdjęcia - owłosioną klatkę piersiową. Znalazła jego nić życia... precyzyjnie splecione czerwone i czarne nitki, odmierzone przez jej siostrę Lachesis. Atropos przykleiła nić delikatnie do pnia drzewa i poprowadziła wzdłuż odpowiedniej gałęzi... uschniętej gałęzi, należącej do Josha tylko dlatego, że udało mu się wżenić w rodzinę Montgomerych. Spojrzała na swoje dzieło.

Wspaniale.

Josh Bandyta Bandeaux nigdy nie wyglądał lepiej.

Rozdział 9

Gdy Caitlyn wróciła do domu, dziennikarze koczowali pod drzwiami. Skręcając w uliczkę za domem, zauważyła reportera i kamerzystę siedzących w białej furgonetce i palących papierosy. Właśnie włączyły się latarnie, zapadał zmierzch, a oni wciąż na nią czekali.

Boże, co za dzień! Z każdą minutą coraz gorszy. W bocznym lusterku zobaczyła, jak gaszą papierosy i otwierają drzwi samochodu. Świetnie. Caitlyn nacisnęła pilota od garażu, skręciła i czekała, aż brama się otworzy.

- Szybciej, szybciej - zaczęła ponaglać powolny mechanizm, gdy zobaczyła, że uliczką pędzi w jej kierunku dziennikarz.

Gdy brama podniosła się na tyle, żeby wjechać, nie rysując dachu, Caitlyn nacisnęła pedał gazu. Lexus wyrwał do przodu. Wyłączyła silnik i znów nacisnęła pilota. Brama zaczęła opadać, ale reporter, wysportowany mężczyzna o kwadratowej szczęce, z nieprawdopodobnie gęstą czupryną, szybko wszedł do garażu i postawił nogę na linii czujnika, blokując bramę.

- Pani Bandeaux, jestem Max O'Dell z WKAM - powiedział.

- Wiem, kim pan jest. - Zdążyła już wysiąść z samochodu. Rozpromienił się, jakby

usłyszał komplement.

- Chciałbym porozmawiać z panią o pani mężu. Przepraszam, że panią nachodzę, ale mam kilka pytań.

- Bez komentarza. - Caitlyn chwyciła torebkę. Na podjeździe pojawił się facet z kamerą na ramieniu.

- Proszę, to zajmie tylko kilka minut - nalegał O'Dell.

- Nie teraz.

- Ale...

- Jest pan w moim garażu i proszę, żeby pan wyszedł. Nie mam panu nic do powiedzenia.

- Kątem oka zobaczyła, że kamerzysta zaczyna ją filmować. - Nie chcę wzywać policji, ale zrobię to.

- Była pani z mężem w separacji.

- Wszedł pan do prywatnego domu. - Za drzwiami zawzięcie ujadł Oskar. - Wchodzę do środka. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... albo nawet jeśli pan ma. - Nacisnęła guzik i brama garażowa znów ruszyła, tym razem w górę. Spojrzała na reportera zza okularów słonecznych. - Zanim wypuszczę psa i zadzwonię po policję, zamknę bramę, więc na pana miejscu zwiewałabym, gdzie pieprz rośnie. - Nie czekając na odpowiedź, nacisnęła guzik i weszła do domu, gdzie przywitał ją Oskar, skacząc do góry jak na sprężynach.

Caitlyn uśmiechnęła się i wzięła na ręce rozradowany kłębek futerka. Długi różowy jęzor liznął ją po twarzy.

- Ja też za tobą tęskniłam - powiedziała cicho, gdy mokry nos przejechał po jej policzku.

- Bardzo. - Obawiała się, że natarczywy reporter pójdzie za nią, ale usłyszała głosy po drugiej stronie ogrodzenia i zorientowała się, że Max O'Dell i jego kolega z WKAM odpuścili już na dzisiaj. Dzięki Bogu.

Nakarmiła psa i odsłuchiwała nagrane wiadomości. Trzech dziennikarzy, w tym Nikki Gillette, zostawiło numery swoich telefonów z prośbą o oddzwonienie. Caitlyn skasowała. Dwie osoby zadzwoniły, ale nie zostawiły żadnej wiadomości. Była też wiadomość od detektywa Reeda z prośbą o telefon. Serce jej nagle zabiło. W głowie zadźwięczał ostrzegawczy dzwonek. Czego może od niej chcieć? Co już wie? Troy mówił, żeby nie rozmawiała z policją. Ale przecież nie może ich zignorować! Boże, a nawet nie zaczęła jeszcze szukać adwokata.

Wyprostowała się i wystukała numer, który podał jej Reed. Telefonistka powiedziała, że detektyw Reed ma dzisiaj wieczorem wolne. Caitlyn rozłączyła się i zabębniła nerwowo palcami po blacie.

Kelly wciąż nie dzwoniła. Może wyjechała z miasta. Pracowała w dziale zaopatrzenia jednego z największych domów towarowych w mieście, często wyjeżdżała... ale zwykle sprawdzała nagrane wiadomości. Caitlyn przeszła przez pokój i wyjrzała przez okno od frontu. Furgonetki WKAM nie było już na ulicy. Na szczęście do Maksa O'Della dotarło, co powiedziała.

Ale wróci. I inni też.

Caitlyn miała już do czynienia z dziennikarzami i wiedziała, że jeśli wywęszą temat, będą uparcie szli tropem i nie zrezygnują. Jak świetnie wyszkolone psy myśliwskie.

Wzięła telefon i weszła do salonu. Róże w wazonie zaczęły już więdnąć i gubić płatki. Opadła na miękką kanapę i spojrzała na błyszczący fortepian. Stało na nim zdjęcie Jamie. Kochane dziecko.

Kręcone włosy, oczy tak przejrzyste i jasne jak czerwcowe niebo, piegowaty nos jak

guzik - pulchny, uroczy skrzat. Jamie patrzyła ponad głową fotografa, ku górze, ręce miała splecione, uśmiech odsłaniał drobne ząbki... strasznie grymasiła, kiedy się wyrzynały... Caitlyn ścisnęło w gardle. Czy to możliwe, że odeszła... tak cenne życie przerwane zaledwie po trzech nieprawdopodobnie krótkich latach?

Caitlyn przypomniała sobie, jak szybko do kataru dołączyła wysoka gorączka, a wirus atakował w zastraszającym tempie. Zaczęło się w piątek wieczorem, a w sobotę rano Jamie była już bardzo słaba. Caitlyn zadzwoniła do przychodni, ale okazało się, że jest zamknięta. Po południu stan Jamie jeszcze się pogorszył i Caitlyn zawiozła ją do szpitala. A tam, mimo wysiłków lekarzy, jej jedyne dziecko zmarło. Nieznany wirus. Caitlyn nigdy nie wybaczyła Bogu.

- ...zostaw wiadomość. - Sygnał sekretarki Kelly wyrwał ją z zamyślenia. Spostrzegła, że po policzkach ciekną jej łzy. Serce przygniatał ogromny ciężar, a w piersi czuła dotkliwy, dławiący ból. Rozłączyła się. Kelly wyjechała, pewnie służbowo. Częściej bywała w rozjazdach niż w domu. Fakt, że rodzina za nią nie przepadała, chyba nie był tu bez znaczenia. Zresztą i Kelly nie miała najlepszej opinii o klanie Montgomerych.

Caitlyn zmarszczyła brwi. Więc co powinna teraz zrobić?

Josh nie żył.

Morderstwo albo samobójstwo.

Josh, którego kochała tak szalenie.

Josh, który ją zdradzał.

Josh, który był ojcem jej jedyne dziecko.

Josh, który w przypiływie złości i żalu mówił, że Caitlyn nie nadaje się na matkę, krzyczał, że powinna stanąć przed sądem za zaniedbanie albo za coś jeszcze gorszego. Powtarzał to publicznie i w cztery oczy.

Josh, który zamierzał spełnić te groźby, pisząc pozew o spowodowanie śmierci. Drżąc, potarła energicznie ramiona, aż skóra na zabandażowanych nadgarstkach zaczęła piec i swędzieć.

Patrząc na zimny kominek, próbowała zebrać myśli. Wczoraj wieczorem Kelly zostawiła jej na sekretarce wiadomość i poprosiła o spotkanie w centrum miasta. Tak, to się zgadzało. Caitlyn była już śmiertelnie znudzona projektowaniem strony internetowej, praca doprowadzała ją do szału, więc skorzystała z okazji, żeby wyrwać się z domu. Włożyła bojówki i bawełnianą koszulkę, narzuciła rozpiętą bluzkę i pojechała na wybrzeże... a potem... potem weszła do baru. Do baru, który odkryła Kelly. Nazywał się The Swamp.

Odchyliła się i poczuła jakieś wybrzuszenie na kanapie. Sięgnęła między poduszki i znalazła swoją komórkę, jak zwykle wyłączoną. Nie mogła zrozumieć, skąd wzięła się w salonie. Zresztą wszystko jedno. Włączyła telefon. Bateria była prawie rozładowana, ale udało jej się jeszcze odczytać na wyświetlaczu numery osób, które dzwoniły. Amanda, tak jak mówiła w Oak Hill, zostawiła wiadomość.

Druga wiadomość była od Kelly.

Nacisnęła guzik, żeby odsłuchać obie wiadomości, i usłyszała poirytowany głos Amandy.

- Jezu, Caitlyn, czy ty tego nigdy nie włączasz? Próbuję się z tobą skontaktować. Słyszałam o Joshu i naprawdę mi przykro. Powiedz, czy mogę ci jakoś pomóc. Oddzwoń.

Caitlyn skasowała wiadomość, a potem usłyszała wyraźny głos Kelly.

- Caitlyn, to ja. Dostałam wiadomość, ale masz wyłączony ten cholerny telefon, jak

zwykle. Oddzwon. Może mnie nie być w domu, muszę na parę dni wyjechać w interesach, ale odezwę się jeszcze. Trzymaj się. Wiem, że czujesz się okropnie po śmierci Josha, ale daj spokój, wiesz jak jest, śmierć tego sukinsyna to żadna strata.

- Może powtórzmy jeszcze raz - odezwał się Reed, gdy Gerard St. Claire ściągnął lateksowe rękawiczki i wrzucił je do kosza na śmieci. Ponury asystent ze słuchawkami na uszach wycierał stalowy stół do sekcji zwłok, przygotowując go na przyjęcie następnego ciała. - Twierdzi pan, że Bandeaux zmarł z powodu utraty krwi, zgadza się?

- Stracił dużo krwi. - Lekarz zdjął czepek i wrzucił go do kosza z brudną bielizną. Mimo niskiej temperatury, w sali panował zaduch. Środki dezynfekujące, formaldehyd, śmierć i pot. Błyszczące zlewy, stoły i narzędzia ze stali nierdzewnej kontrastowały ze starymi kafelkami i wyblakłą farbą. - Z raportu ekipy badającej miejsce zdarzenia wynika, że brakuje części krwi.

Reed przerwał mu gwałtownie.

- Brakuje? Jak to możliwe?

- Na miejscu zdarzenia nie znaleziono takiej ilości krwi, która odpowiadałaby ilości, jaką stracił. Nawet jeśli uwzględnimy parowanie. Więc jeśli Bandeaux nie oddał wcześniej w miejscowym szpitalu czterech litrów albo nie miał spotkania z wampirem, albo nie ma psa, który żywi się krwią, to mamy problem. Część krwi zniknęła.

- Ktoś ją ukradł? - To bez sensu. - A może ciało zostało przeniesione?

- Nie zostało. Diane Moses i ja zgadzamy się co do tego, a wie pan, że nigdy się ze sobą nie zgadzamy.

- Więc mógł stracić część krwi gdzie indziej... wrócić do domu... i stracić jeszcze trochę krwi.

- Nie ma żadnych śladów kapiącej krwi. Nie sądzę, żeby tak to się odbyło. Biorąc pod uwagę zeszywnienie ciała, sposób, w jaki krew rozłożyła się w organizmie, i problemy z funkcjonowaniem niektórych organów - na podłodze znaleźliśmy przecież mocz - założę się, że zginął na biurku. - St. Claire potarł czoło rękami. Na jego białych, sterczących włosach pojawiły się kropelki potu. - Większość krwi stracił z powodu przecięcia niewielkich tętnic na obu nadgarstkach. Te rany wyglądają zupełnie inaczej od pozostałych, które są raczej powierzchowne i zostały zrobione później.

- Żebyśmy myśleli, że to samobójstwo.

- Tak mi się wydaje. - Potarł w zamyśleniu brodę. - Ale to nie jedyna zagadka. Wydaje się, że Josh miał alergię, prawdopodobnie na siarczyny obecne w domowym winie. Reakcja na alergen była bardzo gwałtowna, doznał wstrząsu anafilaktycznego. Właściwie mógł od tego umrzeć, ale niewykluczone, że zażył antidotum. Ciągłe jeszcze badamy obecność związków chemicznych w jego krwi. Znaleźliśmy pewien związek, GHB, gammahydroksymaślan, który mógł pozbawić Bandeaux przytomności.

- Narkotyk gwałtu?

- Jeden z wielu - przytaknął St. Claire.

- Co oznacza, że nawet jeśli miał zestaw przeciwwstrząsowy, być może nie mógł z niego skorzystać.

- Ani pojechać do szpitala, ani też zadzwonić na pogotowie.

- Zgadza się. Ostateczne badania powiedzą nam więcej.

- Dlaczego GHB? - spytał Reed.

- Narkotyk dość łatwo kupić, zwłaszcza jeśli ma się odpowiednie kontakty. Można dodać

go do drinka. Jeśli tak się stało, to Josh był bezwolną marionetką w rękach zabójcy. Nie jestem w stanie orzec, jak podziałał narkotyk. Być może Bandeaux był bliski śpiączki, ale jest też duże prawdopodobieństwo, że niemal do końca zachował świadomość.

W drugim końcu sali otworzyły się drzwi i krępy pielęgniarz wprowadził wózek z ciałem zapakowanym w worek. Zanim drzwi się zamknęły, Reed zauważył zaparkowany na betonowej rampie ambulans.

- Czy ktoś mógłby podpisać odbiór? - zapytał pielęgniarz.

Asystent St. Claire'a pokiwał głową i wytarł ręce. Wprawnym ruchem odrzucił włosy, słuchawki spadły mu na ramiona. Dudnienie basów rozeszło się po całym pomieszczeniu.

St. Claire powiedział:

- Moim zdaniem on nie popełnił samobójstwa. Wydarzyło się coś innego i... zresztą niech pan spojrzy. Dołączę to do raportu. - Podeszedł do chłodni i wyciągnął szufladę z ciałem Josha Bandeaux. Odchylił prześcieradło. Reed zobaczył martwe, sine ciało ze śladami cięć zrobionych podczas sekcji. St. Claire podniósł delikatnie rękę Josha. - Proszę spojrzeć na ślady na nadgarstkach. Większość z nich wygląda, jakby powstała w wyniku samookaleczenia dokonanego przez praworęczną osobę. Pasują do ostrza noża z odciskami palców ofiary - tego scyzoryka, który znaleźliście na dywanie. Ale jeśli spojrzy pan tutaj... Nacięcia zrobiono pod innym kątem, jakby nóż ustawiony był pionowo. Tak jak mówiłem, nacięcia są głębokie, naczynie równo przecięte czymś bardzo ostrym. Jakby nożem chirurgicznym lub nożem myśliwskim. To z powodu tych ran Josh umarł. Sam raczej by ich sobie nie zadał.

- Więc twierdzi pan, że samobójstwo zostało upozorowane.

- Stawiam na to moje ferrari.

- Nie ma pan ferrari.

- Tak, ale gdybym miał, tobym postawił. - Opuścił prześcieradło i wsunął szufladę z powrotem. - Rodzina chce, żebym wydał ciało. Czy ma pan coś przeciwko temu?

- Nie, jeśli pan ma już wszystko, czego potrzebujemy.

- Mam - powiedział St. Claire, opierając się o stół i schylił się, żeby zdjąć z butów zielone ochraniacze.

Zapisał pager. Reed spojrzął na wyświetlacz i rozpoznał numer Morrisette.

- Muszę lecieć. Dzięki za szybkie załatwienie sprawy.

- Nie ma za co.

Reed pchnął ramieniem grube drzwi i wyszedł na korytarz. Wywoskowana podłoga błyszczała, ściany pomalowano na uspokajający zielony kolor. Detektyw wspinał się schodami do wyjścia. Owiąło go gorące, gęste jak smoła powietrze. Miejscowym prawie to nie przeszkadzało, ale dla kogoś, kto dorastał w Chicago i większość swojego dorosłego życia spędził w San Francisco, upał był piekielny. Nawet niedawny przelotny deszcz nie przyniósł ulgi, a jedynie zmył kurz i pozostawił kilka kałuż na ulicach.

Próbując nie myśleć o tym, że już zaczyna się pocić, wybrał numer posterunku i poprosił o połączenie z Morrisette, ale zgłosiła się tylko jej poczta głosowa. Cholerna technika. Zirytowany zostawił krótką wiadomość i ruszył na komisariat. Miał do przejścia zaledwie kilka ulic. Kiedy stanął przed biurkiem Sylvie, akurat kończyła rozmowę, od której pałały jej policzki.

- Pierdo... pieprzony były - warknęła, gdy Reed przesunął nogą krzesło i usiadł.

- Dostałem twoją wiadomość na pager. Rozmawiałem z lekarzem.

Uniosła brwi.

- W sprawie Bandeaux?
- Tak.
- Coś ciekawego?
- Nawet bardzo. - Krótko streścił jej, czego dowiedział się od St. Claire'a. - Szybko się z tym uwinął. Jutro będziemy mieli gotowy pisemny raport.
- GHB? Jezu, o co tu chodzi? Przecież nie o gwałt na randce.
- Może o morderstwo na randce. Chyba że Josh chciał sobie poeksperymentować.
- Z narkotykiem gwałtu? Musiałby mieć nierówno pod sufitem. - Wstała i przeciągnęła się, jakby kręgosłup ją bolał. - Więc sądzisz, że ktoś go zabił.
- To bardzo możliwe. Na to wygląda.
- Tylko po co upozorował samobójstwo? - zapytała Morrisette.
- Dobre pytanie. I dlaczego tak spieprzył sprawę? A co z tym winem? Czy to morderca popełnił błąd? Czy nie zdawał sobie sprawy, że Josh jest uczulony, i podał mu narkotyk z alkoholem?
- Ale przecież Bandeaux uważałby, co pije.
Reed wzruszył ramionami.
- Może nie wiedział, że to wino zawiera siarczyny. Poza tym może to nie było wino. Musimy skontaktować się z lekarzem Bandeaux i dowiedzieć się, na co dokładnie był uczulony.
- W porządku, ale na razie założmy, że to jednak wino.
- Dobra.
- Gdyby twoje życie zależało od tego, jakie pijesz wino - powiedziała, marszcząc wyskubane brwi - nie sprawdziłbyś, co pijesz?
- Jasne, że tak, ale pewnie tylko butelkę, a nie samo wino.
- A to oznacza?
- Że butelka mogła być sfalszowana, zamieniono etykiety albo ktoś nalał wino w innym pokoju i przyniósł je Bandeaux.
- Ktoś, komu ufał - dodała.
- Czy znaleźliśmy w domu jakąś butelkę z winem?
- Tylko ze dwie setki w piwnicy, ale wszystkie pełne - powiedziała, pochylając się nad biurkiem i sięgając po teczkę. - Wydaje mi się, że w śmieciach była jakaś butelka; zobaczmy... Mam tu listę wszystkich znalezionych rzeczy... - Wyciągnęła wydruk komputerowy i przesunęła srebrnym paznokciem wzdłuż pierwszych kilku stron. - Jest... butelka po winie Pinot Noir. Z importu. Z Francji.
- Korek?
Spojrzała jeszcze raz na spis.
- Tak, jest.
- Nic podejrzanego?
- Nic więcej tu nie napisali. A o co ci chodzi?
- W laboratorium sprawdzili, czy coś zostało w butelce? Chcę zobaczyć, co to było i czy ktoś majstrował przy korku. Czy zawartość odpowiada etykietce... A co ze szminką na kieliszku?
- Jeszcze nic nie wiadomo.
Reedowi nie podobało się to wszystko. Niektóre elementy układanki w ogóle tu nie pasowały. Morderca zupełnie spartaczył robotę. Z pośpiechu? Z głupoty?
- A ty co myślisz? - spytał Morrisette. - Samobójstwo czy morderstwo? - Opadła na fotel,

potrącając komputer. Ekran zamigotał i pojawiło się na nim zdjęcie leżącego na biurku, martwego Josha Bandeaux.

- Po co ktoś miałby próbować go zabić dwa razy?

- Może to samobójstwo. Tak, wiem, wiem, nie wierzę, że Josh Bandeaux chciał popełnić samobójstwo, ale założmy, że tak, i zobaczymy, dokąd nas to doprowadzi - tylko teoretycznie. Może biedny Josh cierpiał na depresję, a wino i GHB działały zbyt wolno, więc chwycił za nóż.

- I pociął się? Rany, od których zginął, zostały zrobione innym narzędziem, nożem chirurgicznym lub myśliwskim. - Reed nie kupował tej teorii.

- Którego nie znaleźliśmy. - Przygryzła dolną wargę, studiując raport.

- No i GHB. Czy to pasuje nam do układanki?

- Nie. - Potrząsnęła głową i popatrzyła na ekran. - Nic nie pasuje. Jeśli został zamordowany, dlaczego morderca, który poświęcił czas, żeby upozorować samobójstwo, zostawił kieliszki, butelki, ślady po winie?

- To może świadczyć albo o głupocie - odezwał się Reed - albo o bezczelności morderczynie, która gra nam teraz na nosie zadowolona, że się tak łatwo wywinęła.

- Morderczynie? - powtórzyła Morrisette. - Na przykład pani Bandeaux?

- Niewątpliwie jest na liście podejrzanych.

- Razem z połową mieszkańców Savannah. Wygląda na to, że każdy, kto znał Bandeaux, miał z nim na pieńku - mruknęła. - Josh Bandyta był powszechnie znany.

Reed nie mógł się nie zgodzić. Morrisette miała rację; byli jeszcze inni podejrzani, których trzeba zbadać. Ale mimo to wina Caitlyn Bandeaux wydawała mu się coraz bardziej oczywista. Przeczytał kopię pozwu Josha oskarżającego żonę o spowodowanie śmierci dziecka. Ohydna sprawa. Bandeaux oskarżał Caitlyn o zaniedbanie i brak odpowiedzialności. Sąsiedzi widzieli, jak wielokrotnie przychodziła do Josha; nawet pokojówka, która znalazła ciało, przysięga, że Caitlyn była regularnym gościem w jego domu. Chociaż wiedziała, że Bandeaux miał przyjaciółkę.

- Czy znaleziono już Naomi Crisman?

- Jeszcze nie. Jeden ze znajomych Josha mówi, że nie ma jej w kraju. Pewnie nie wie nawet o jego śmierci.

- A co z wiadomościami na sekretarce i z pocztą elektroniczną?

- Albo nie było żadnych wiadomości, albo zostały skasowane.

- A poczta?

- Wciąż szukamy, przeszukujemy także śmieci. Do tej pory wiele nie znaleźliśmy. Tylko guzik na podłodze koło biurka. Wygląda jak guzik od koszuli Bandeaux.

- Urwany?

- Nie, odcięty. Nitka jest równo przycięta, a nie poszarpana. Ktoś celowo go odciął i musiał to zrobić tamtej nocy. Niemożliwe, żeby Josh włożył koszulę bez guzika.

- Po co ktoś miałby ucinać guzik?

- Może nie udało mu się wcelować w żyłę.

- A może nie - powiedział Reed, tknięty nagłą myślą. - Może ten, kto to zrobił, chciał coś wyrazić.

- Na przykład? Hej, Josh, lepiej by ci było ze spinkami do mankietu?

- Nie, raczej: Hej, Josh, zobacz, co mogę z tobą zrobić.

Reed próbował wyobrazić sobie tę scenę. Zobaczył sparaliżowanego Bandeaux leżącego na biurku, dwa kieliszki wina i otwarte drzwi na werandę. Sytuacja wydała mu się jakaś

taka intymna. - Myślę, że morderca chciał zwiększyć napięcie. Bandeaux był sparaliżowany, nie mógł się ruszać. Więc może ktoś chciał mu pokazać, jak ostrą bronią dysponuje? Może poświęcił trochę czasu, żeby go porządnie nastraszyć?

Rozdział 10

Pogrzeb był dla Caitlyn wstrząsającym przeżyciem. Czowała na sobie ciężar spojrzeń dziesiątków par oczu. Nie tylko w kościele, ale i tu, na cmentarzu, kiedy pastor zakończył ceremonię modlitwą, a między chmurami zabłyśły promienie słońca. Żałobnicy stali rozproszeni wokół grobu, z pośepnymi twarzami, spuszczonej oczami i schyłonymi w modlitwie głowami. I cały czas szeptali między sobą.

Minęły trzy dni, odkąd znaleziono ciało Josha, a zainteresowanie mediów jeszcze wzrosło. Policja najwyraźniej podejrzewała morderstwo, w każdym razie spekulacje na temat samobójstwa ucichły, choć wciąż go nie wykluczono.

Na pogrzeb przyszli dziennikarze, a nieco na uboczu, oparty o pień starego dębu, stał detektyw Pierce Reed w ciemnych okularach. Caitlyn była pewna, że bacznie przyglądał się ludziom, którzy przyszli pożegnać jej męża. A może to ją obserwował?

Cała ceremonia w kościele wydawała jej się surrealistyczna. Muzyka organowa, modlitwy, świece i mowa pożegnalna zdawały się nie na miejscu, podobnie jak kondukt żałobny, który przeszedł ulicami miasta na odległy stary cmentarz.

Poza dwiema byłymi żonami Josh nie miał innej rodziny. Zepsuty jednak, urodził się, gdy rodzice byli już starsi. Jego matka umarła prawie dziesięć lat temu, wkrótce po śmierci ojca. Caitlyn nie poznała nigdy nikogo z rodziny Josha. Tylko jego pierwszą żonę Maude i pasierba Gila, którzy również przyszli na pogrzeb. Nie zabrakło też Naomi Crisman ubranej w elegancką czerń. Nie zjawił się żaden wujek, żadna ciotka czy kuzyni; Caitlyn nigdy też o nich nie słyszała. Jako żona, to ona poprosiła o wydanie ciała.

Przyjrzała się tym, którzy przyszli.

Pierwsza żona Josha, Maude, wyglądała bardzo elegancko w luksusowym kostiumie. Twarz skryła za okularami słonecznymi i kapeluszem z szerokim rondem. Jej syn wyglądał, jakby właśnie wygrzebał się z łóżka po ciężkiej nocy zaprawionej alkoholem i prochami. Przyszedł na pogrzeb w dżinsach i koszulce firmowanej przez Ozziego Osbournę, a jego mina zdawała się mówić „odwalcie się”. Przyczesał wprawdzie włosy, ale nie przyszło mu do głowy, żeby się ogolić. Nawet nie starał się ukryć, że wolałby być gdziekolwiek, byle nie tutaj. W przeciwieństwie do matki, wiotkiej jak trzcina, Gil miał już sporą nadwagę. Brzuch wylewał mu się ze spodni.

Kilka metrów dalej stała samotnie Naomi Crisman, ostatnia zdobycz Josha. Miała chyba nadzieję zostać kolejną panią Bandeaux. Wyraźnie unikała ludzkich spojrzeń, wzrok wbiła w ziemię. Miała ledwie dwadzieścia pięć lat. Ubrała się stosownie do okoliczności w czarną, wąską sukienkę, długie włosy z pasemkami spięła luźno czymś w rodzaju błyszczących chińskich pałeczek. Często wzdychała, trudno powiedzieć, ze smutku czy z nudy.

Kilka metrów dalej, na tyle blisko, żeby uważać ich za żałobników, ale jednocześnie na tyle daleko, żeby podkreślić swoją odrębność, stali Biscayne'owie. Sugar, Dickie Ray i Cricket. Wszyscy ubrani w najlepsze ciuchy. Montgomery chętnie wyparliby się pokrewieństwa, ale twarze nieprawowitych wnuków Benedicta wyraźnie świadczyły o jego zdradzie - geny dziadka odcisnęły na nich swoje piętno. Biscayne'owie mieli jaśniejsze włosy, odziedziczone po prababce, ale ich okrągłe oczy, proste i mocno zarysowane nosy oraz wydatne kości policzkowe z pewnością pochodziły od Benedicta

Montgomery'ego.

A co z twoim ojcem? Nie pomniejszaj jego zasług, na miłość boską.

Możliwe, że któreś z nich jest nie tylko twoim kuzynem, ale przyrodnią siostrą lub bratem.

Caitlyn zrobiło się niedobrze. Pamiętała, jak kiedyś, bawiąc się z Griffinem w wozowni, usłyszała jęk i skrzywienie sprężyn starego metalowego łóżka na strychu. Później, ukryta za traktorem, zobaczyła dwoje ludzi wymykających się tylnymi schodami. Światło księżyca wpadające przez okno pozwoliło jej rozpoznać własnego ojca i kobietę z potarganymi włosami. Zatrzymali się na dole schodów i kobieta pocałowała go długo i namiętnie, ich usta zwały się, a jego ręce objęły pośladki ukryte pod krótką letnią sukienką.

- Później - zawarczał.

- Nie zapomnij. - Głos miała niski i ochrypy. Zapaliła papierosa, a wtedy, w świetle zapalki, Caitlyn rozpoznała Copper Biscayne. Caitlyn wydała stłumiony okrzyk zaskoczenia, przez drzwi wyleciał nietoperz.

- Ktoś tu jest - szepnęła Copper, ale ojciec Caitlyn tylko się roześmiał.

- To tylko nietoperze. Jesteś cykor, idź już, głuptasie, zanim ktoś tu naprawdę przyjdzie. - Poklepał ją po tyłku i poszła, zgrzytając wysokimi obcasami, po żwirowej ścieżce prowadzącej do szopy i do drogi.

Cameron obejrzał się, jakby chciał się upewnić, że nikt nie czai się w ciemnościach. Caitlyn wstrzymała oddech. Griffin patrzył na nią okrągłymi ze strachu oczami. Ojciec wyszedł i zamknął za sobą drzwi na zasuwę.

Gdyby nie weszła schodami na strych, gdzie wciąż czuć było dym papierosowy, alkohol i zapach piżma, gdyby nie wymknęła się przez okno i nie zeszła po dębie, nie wydostaliby się z wozowni.

Udało jej się wyjść, ale nigdy nie zapomniała tej nocy i zdrady ojca. Miała wtedy jedenaście lat, ale wspomnienie było tak żywe, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj.

Caitlyn nie wiedziała, jak długo Copper i jej ojciec byli kochankami, ale z pewnością wystarczająco długo, żeby począć jedno czy dwoje dzieci.

Bękartów upartych jak jej ojciec.

Wspomnienie ojca nawet jej nie zabolalo. Nienawidziła go za życia i mogła równie dobrze nienawidzić go po jego śmierci, już dawno się z tym pogodziła. Nie winała Biscayne'ów za to, że chcą dostać swoją część majątku. Uważała, że w pewnym sensie zasługują na nią.

- Jezu, mają tupet - wyszeptała Amanda, podążając za spojrzeniem Caitlyn. - Wiesz, kim jest ten facet z nimi? To ich adwokat. Pochodzi z Nowego Orleanu, a jego interesy są tak ciemne, jak cień rzucany przez te dęby.

Caitlyn nie odpowiedziała. Kiedy Sugar spojrzała w jej kierunku, szybko odwróciła wzrok i próbowała skoncentrować się na ostatnich słowach pastora. Stała przy grobie, mając po jednej stronie Troya, a po drugiej Amandę. Jej matka i Lucille siedziały na krzesłach ustawionych na sztucznej trawie, otoczonej kwiatami, które w tym upale zaczęły już więdnąć. Obok Troya stała Hannah, w ciemnych okularach, z ponurą twarzą i wzrokiem wbitym w ziemię.

Caitlyn, Amanda i Kelly odziedziczyły po matce szczupłość i gibkość, ognistokasztanowe włosy i piwne oczy. Hannah i Troy byli bardziej podobni do ojca. Rysy mieli ostrzejsze, prawie czarne włosy, oczy wyraziste, intensywnie niebieskie, tak jak oczy starszego brata, Charlesa. Często mówiło się, że Charles to wykapany ojciec.

Wysoki, szczupły, wysportowany, ambitny, od początku przygotowywany do przejścia ogromnej spuścizny po Cameronie.

Aż nagle umarł.

Wystarczyło spojrzeć nieco dalej, aby zobaczyć grobowiec rodzinny Montgomerych. Początkowo Montgomerych chowano na starym cmentarzu niedaleko majątku Oak Hill. I tak przez kilka pokoleń. Później wybrali na miejsce swojego spoczynku cmentarz w mieście. Pochowano tutaj Benedicta, a później jego żonę. Spoczywał tu też Charles i mały Parker, który zmarł, nie dożywszy roku. Nagła śmierć łóżeczkowa, tak przynajmniej twierdził doktor Fellers.

- Amen - wyszeptał tłum na zakończenie ostatniej modlitwy. Pastor podniósł głowę i skinął na Caitlyn. Na chwiejnych nogach zrobiła krok do przodu i rzuciła na trumnę białą różę. Wciąż nie mogła do końca uwierzyć, że Josh, facet zawsze pełen energii, nie żyje.

Przez ostatnie dni zajmowała się przygotowaniem do pogrzebu, rozmawiała trochę z policją, unikała dziennikarzy i starała się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło tamtej nocy. Nie była w stanie spać we własnej sypialni - wspomnienie krwi rozmazanej po całym pokoju przerażało ją - więc spędziła dwie ostatnie noce na sofie, przykryta narzutą. Ale i tak nie mogła zasnąć bez środków uspokajających przepisanych przez doktora Fellersa.

- Wiem, że nie znosisz pigułek - powiedziała Berneda, ściskając w rękę kolorową fiolkę - ale te ci pomogą. Byłam u lekarza i poprosiłam przy okazji o coś dla ciebie.

- Nie sądzisz, że powinnaś była mnie zapytać? - odpowiedziała Caitlyn, ale i tak wzięła ciemną fiolkę. Lorazepam rzeczywiście się przydał, pomógł jej się uspokoić i przetrwać kolejne dni i noce.

Wciąż jeszcze nie rozmawiała z Kelly; wciąż się rozmijały, ale Kelly obiecała zadzwonić po pogrzebie, gdy prasa zajmie się innymi sprawami, gdy plotkarze znajdą sobie inne tematy.

- Wiesz, że nie mogę przyjść na pogrzeb - powiedziała. - Nie jestem aż taką hipokrytką, a poza tym mama dostałaby szału. Wściekłyby się, więc nie zamierzam prowokować. Nie teraz. Spotkamy się, gdy już zakopią Josha. Trzymaj się...

Caitlyn starała się nie poddawać, ale było jej naprawdę trudno. Zaniedbała pracę, klienci ślali kondolencje połączone z pytaniami o termin realizacji zleceń. Jutro, myślała, jutro zaczną odpowiadać na telefony i wrócę do normalnego życia.

Jeśli policja jej pozwoli.

Jeśli pozwoli jej sumienie.

- Chodź - powiedział Troy i poprowadził ją do samochodu zaparkowanego w cieniu drzew. Kierowca, krępy, poważny mężczyzna zatrudniony przez dom pogrzebowy, czekał oparty o zderzak. Caitlyn zagapiła się na niego i nie zauważyła, kiedy podszedł do niej jakiś nieznajomy.

- Pani Bandeaux? Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Caitlyn spięła się w sobie, gotowa odeprzeć atak natrętnego dziennikarza. Pewnie zaraz podetkna jej pod nos mikrofon, a gorliwy fotograf zacznie pstrykać zdjęcia.

- Nie teraz - powiedział Troy.

- Wiem, że to trudna chwila. Przyszedłem, bo jestem znajomym Rebeki Wade. - Usłyszała męski, głęboki głos i przyjrzała się nieznajomemu. Był wysoki i poważny. Miał na sobie spodnie khaki, luźny niebieski sweter, ciemne włosy, dłuższe, niż nakazywała moda, i cień zarostu na brodzie.

Troy odwrócił się w stronę intruza.

- Nie obchodzi mnie, kim pan jest. To bardzo prywatna uroczystość. Wybacz pan...

- Nie. Proszę poczekać. - Caitlyn spojrzała znad ciemnych okularów. - Zna pan doktor Wade?

- Studiowaliśmy razem, a potem przez lata razem pracowaliśmy. Nazywam się Adam Hunt. - Wyciągnął dłoń. - Poprosiła mnie o skontaktowanie się z kilkoma swoimi pacjentami.

- Rozmawiał pan z nią?

- Ostatnio nie. Ale byłem trochę uziemiony. - Dopiero teraz zauważyła, że mężczyzna ma zabandażowaną kostkę. - Drobne starcie z motocyklem. Przegrałem. - Szeroki uśmiech złagodził chłód szarych oczu. - Nie powinienem był tu dzisiaj przychodzić, ale nie odpowiedziała pani na żaden mój telefon, a Rebeka prosiła mnie, żebym szczególnie z panią się skontaktował. Przepraszam... przepraszam, że panią zatrzymuję. Wiem, że to dla pani bardzo trudny okres, więc jeśli będzie pani chciała z kimś porozmawiać, to proszę do mnie zadzwonić. - Wcisnął jej wizytówkę. - Nie chcę pani zatrzymywać. Proszę jeszcze raz przyjąć moje kondolencje.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pokuśtykał w dół zbocza, w kierunku starego jeepa.

- O co tu, do diabła, chodzi? - spytał Troy, poprawiając krawat.

- Nie jestem pewna.

- Mówię ci, on mi się nie podoba. Pewnie ma w tym jakiś osobisty interes.

- A ja ci mówię, że tobie nikt się nie podoba. - Caitlyn zobaczyła, jak oczy brata ciemnieją. - W porządku, cios poniżej pasa. Przepraszam - powiedziała. - Mam dziś ciężki dzień.

- Codziennie masz ciężki dzień? - zapytał, gdy kierowca otworzył im drzwi. Kątem oka Caitlyn zauważyła Adama Hunta siadającego za kierownicą jeepa. - Kim, do diabła, jest Rebeka Wade?

- Moją psychoterapeutką.

- Aha. - Troy spojrzał za odjeżdżającym jeepem. - W takim razie może powinnaś z nim porozmawiać, ale najpierw go sprawdź. To może być reporter, który chce napisać artykuł. Niektórzy z nich nie są do końca uczciwi. Posuną się do wszystkiego, żeby zdobyć materiał.

- Popadasz w paranoję.

- Nie. Ja tylko twardo stąпам po ziemi. - Usiedli na rozgrzanych fotelach, a kierowca uruchomił silnik i włączył klimatyzację. Matka, Lucille, Amanda i Hannah wsiadły do drugiego ciemnego samochodu. Jechali do Oak Hill.

- Pamiętaj, że to dziedziczne - zażartowała ponuro.

- Bardzo śmieszne. Mnie to nie dotyczy. Ja jestem ten normalny, pamiętasz?

Miała wątpliwości. Powoli zaczynała we wszystko wątpić. Normalny? Och, Troy!

Jeśli chodziło o klan Montgomerych, to chyba nie ma w nim ani jednej normalnej osoby.

Atropos obserwowała ich wszystkich. Żałobników Josha Bandeaux. Tak jakby kogoś naprawdę obchodziło, czy Bandeaux żyje, czy nie. Przyglądała się ceremonii, powadze pastora, zmęczonej i nieszczęśliwej twarzy teściowej zmarłego, skrytej za woalką. Byli też inni, nieprawowici, chciwi Biscayne'owie, którzy zamanifestowali publicznie swoją przynależność do rodziny Montgomerych.

Sugar. Cricket. Dickie Ray... ich imiona mówiły za siebie. Sugar - cukier, a tak naprawdę

zwykła dziwka; Cricket - hałaśliwy świerszcz; i Dickie - siurek z pretensjami do sławy, jedyny wśród bękartów obdarzony penisem. A i to pewnie niedużym.

Atropos obserwowała ich twarze pełne determinacji, ich żądę stania się częścią klanu Montgomerych, ich pragnienie dorwania się do fortuny, na którą sami nie musieli zapracować. Cieszyło ją, że nigdy nie dostaną tych pieniędzy, podobnie jak pozostali, prawowici członkowie rodziny.

Nie było im to pisane, miał ich spotkać zupełnie inny los.

Nici życia zostały już splecione i odmierzone.

Teraz należało je tylko przeciąć w odpowiednim momencie.

Muszą być cierpliwi, aż wreszcie poczują ból ostrych nożyc Losu... Śmierć będzie odpowiednia, a cierpienie dotkliwe i konkretne. Ponieważ Atropos wie, że nie chodzi o śmierć, lecz o umieranie.

Rozdział 11

Czasami ci, którzy wyglądają na najbardziej niewinnych, okazują się najgorsi.

Ile razy w swojej karierze przekonał się, że to prawda? Reed spojrział w lusterko wsteczne i zobaczył rząd czarnych samochodów wracających z cmentarza. W jednym z nich jechała wdowa po Bandeaux. Czuł, że ona wie o śmierci męża więcej, niż powiedziała. Ale nie mógł jej rozgryźć. Była piękna i seksowna, czasami wyglądała jak wystraszony królik, a czasami okazywała się agresywna i zajadła jak zraniony kot. Kot o bardzo ostrych pazurkach.

Miał wrażenie, że coś mu umknęło. Coś bardzo ważnego.

Wracając z cmentarza, opuścił w samochodzie daszek przeciwsłoneczny. Niewiele pomogło, refleksy odbite od maski raziły go w oczy, mimo ciemnych okularów. Na szczęście prawie nie było ruchu. Przekroczył dozwoloną prędkość, pojechał na skróty bocznymi ulicami, kierując się do centrum. Nad całym miastem unosił się zapach rzeki.

Caitlyn Bandeaux musiała zabić swego męża, stwierdził, mijając dorożkę konną pełną tury słów. Pociągowe konie rasy palomino, w ciężkiej uprzęży, człapały po zabytkowej części miasta, a przewodnik pokazywał stare domy najznamienitszych obywateli. Myśli Reeda zaprzętała jednak Caitlyn Montgomery Bandeaux i jej związek ze śmiercią męża. Wszystkie dowody - nie, prawie wszystkie - wskazywały wyraźnie na panią Bandeaux. Nie mógł tego zlekceważyć.

Motyw. Mąż chciał się z nią rozwieść dla młodszej kobiety. Poza tym planował wniesienie pozwu przeciwko niej o przyczynienie się do śmierci dziecka. Sól na niezagojoną ranę. Kolejna seria publicznych upokorzeń.

Sposób. Caitlyn Bandeaux sprawiała czasami wrażenie bardzo słabej i delikatnej, ale Reed gotów był się założyć, że była wystarczająco sprytna i silna, by uśpić Bandeaux narkotykami i pociąć mu nadgarstki. Szminka na kieliszku wskazywała na obecność gościa, prawdopodobnie kobiety. Zdobycie GHB nie stanowiło trudności - narkotyk łatwo kupić na mieście.

Sposobność. Caitlyn nie miała niepodważalnego alibi, przynajmniej nic takiego nie przedstawiła. Rozmawiali przez telefon kilka razy i wciąż twierdziła, że nie pamięta dokładnie, co robiła tamtej nocy. Więc albo była zalana, albo kłamie.

Stawiałby na to drugie.

Kłamie, żeby uchronić własną skórę, czy też kryje kogoś innego? A jeśli tak, to kogo?

Jej samochód lub inny bardzo podobny był widziany tej nocy przez sąsiada przed domem

Bandeaux. Tak. Caitlyn figurowała na samym początku listy podejrzanych. Coraz mniej wierzył w samobójstwo Bandeaux. Wszystko wyglądało na zaplanowane. Nieporadnie. Nieudolnie.

Więc Caitlyn Bandeaux miałyby zamordować z zimną krwią? Z pozoru nie wydawała się do tego zdolna.

Ale przecież trudno rozpoznać zabójcę na pierwszy rzut oka.

Poza tym, Reed, spójrz prawdzie w oczy, łatwo ulegasz pięknej buzi i oszałamiającej figurze.

Zatrzymał się na światłach i zmarszczył czoło. Twarz mu stężała. Zaczął bębnić palcami na kierownicy.

Może by ją aresztować? Albo zdobyć nakaz przeszukania domu? Może ci się poszczęści i znajdziesz narzędzie zbrodni?

Jednak trzeba działać ostrożnie. Caitlyn przynajmniej raz leczyła się na oddziale psychiatrycznym, więc każdy prawnik mógłby bez trudu dowieść jej niepoczytalności i żądać uniewinnienia. Reed zastanawiał się nad domniemaną chorobą psychiczną pani Bandeaux. Jak to się świetnie złożyło, że Rebeka Wade zabrała manatki i wyjechała nie wiadomo dokąd. Dziwny zbieg okoliczności. Musi koniecznie odnaleźć tę kobietę. I to szybko.

Światła zmieniły się, więc ruszył. Postanowił jeszcze raz porozmawiać z Caitlyn Bandeaux i dowiedzieć się, gdzie spędziła tamtą noc. Później będzie ją śledzić. Obserwować. Nikt nie robi tego lepiej niż on.

Niechętnie się przyznawał, ale lubił śledzić piękne kobiety. Choć czasem wynikały z tego poważne problemy.

Gdy skręcał w ulicę Habersham, przypomniała mu się pewna noc w San Francisco. Był akurat na służbie, obserwował kobietę podejrzaną o sprzedaż narkotyków.

Mieszkała na poddaszu, niedaleko Fisherman's Wharf. Zacisnął zęby, wspominając, jak się rozbierała. Zupełnie jak tancerka w nocnym klubie, jakby wiedziała, że ktoś jej się przygląda. Powoli zdejmowała ubranie, wysunęła się ze spódnicy, rozpięła bluzkę, podeszła do okna i odsłoniła jeszcze więcej ciała, rozpinając stanik i obnażając piersi. Dotknęła ciemnych sutków i przeszła się po pokoju w skąpych majtkach i apaszcze. Potem znów podeszła do okna, oblizała wargi i opuściła roletę.

Reed obserwował. Dostrzegł jej drobny cień, a potem drugi, dużo większy. Cienie zwały się w strasznej walce - a może w uścisku? Czyżby ten kuszący występ był nie dla niego? Reed postanowił nie ryzykować i wezwał wsparcie, potem wyskoczył na ulicę. Wbiegł na czwarte piętro do jej mieszkania, wyważył drzwi i znalazł ją leżącą na podłodze pod oknem. Na szyi miała zaciśniętą apaszkę, tę, którą uwodziła swego zabójcę.

Morderca uciekł i jakby zapadł się pod ziemię.

Nigdy go nie odnaleziono.

Krytykowano Reeda, że źle ocenił sytuację.

Zwątpiono w jego umiejętności.

Wziął urlop, a potem złożył rezygnację i przyjął pracę tutaj, w Savannah, opuszczając miasto nad zatoką i zaczynając wszystko od nowa. Tutaj. W miejscu oddalonym prawie o pięć tysięcy kilometrów.

Może po prostu uciekłeś?

Zatrzymał się na parkingu za posterunkiem. Próbował nie myśleć o tym, co porzucił: bystrą, seksowną nauczycielkę, która twierdziła, że go kocha, miasto, które znał i lubił,

ciekawą pracę i nadszarpniętą reputację. A co miał tutaj, w Savannah? Dwa nieudane związki, kilka przygód na jedną noc i pracę nie lepszą od tej, którą zostawił na zachodnim wybrzeżu. Teraz miał jednak szansę zrehabilitować się i rozwiązać sprawę Josha Bandeaux... odnaleźć jego zabójczynię.

Zaparkował na parkingu głównego posterunku policji, wcisnął kluczyki do kieszeni i wszedł do chłodnego budynku. Odgonił od siebie resztki wspomnień z San Francisco, poszedł schodami do wydziału zabójstw, do swojego biura. W pokoju panował zaduch. Otworzył okno i wpuścił świeże powietrze, przejrzał zostawione wiadomości, sprawy do załatwienia i sprawdził pocztę elektroniczną. Zadzwoił do pani Bandeaux, ale nie było jej jeszcze w domu. Pewnie spotkała się po pogrzebie z rodziną. Żałobnicy zwykle tak robią, razem wspominają zmarłego i opowiadają same kłamstwa, jakim to świetnym był facetem i tak dalej.

Kręcąc się na fotelu, Reed patrzył na budynek z czerwonej cegły po drugiej stronie placu; stary, odrestaurowany dom w stylu wiktoriańskim. Miał też inne sprawy do rozwikłania. W zeszłym tygodniu na nadbrzeżu zadźgano kogoś nożem, poza tym była jeszcze sprawa ciężko, niemal śmiertelnie pobitej kobiety i jej zastrzelonego męża. Kobieta zarzekała się, że to nie ona pociągnęła za spust. Były też inne sprawy, ale najbardziej dręczyła go zagadka Josha Bandeaux.

Chociaż czuł, że Caitlyn Montgomery wie więcej, niż mówi, nie była jedyną podejrzaną. Nawet przez moment nie wykluczył innych członków rodziny. Historia klanu Montgomerych naprawdę przypominała scenariusz kiepskiej opery mydlanej.

Dowiedziawszy się, co o tym wszystkim sądzi Morrisette, Reed przeprowadził własne śledztwo. Miała rację, jeśli chodzi o pieniądze. Plotki o chorobach psychicznych i o kazirodztwie też się zgadzały. W kartotece policyjnej znalazł gromadzone przez lata skargi, wezwania do sądu, oskarżenia... Aresztowań było jednak podejrzanie mało, pewnie dlatego, że rodzina Montgomerych regularnie sponsorowała kampanie prokuratora okręgowego, szeryfa, kilku sędziów i prawie każdego urzędnika, który kiedykolwiek ubiegał się o jakieś stanowisko. Nawet kampanię gubernatora.

Teraz będzie inaczej. Jeśli ktoś z Montgomerych zabił Josha Bandeaux, zapłaci za to. Koniec i kropka.

Wyczuł obecność Morrisette, jeszcze zanim ją usłyszał. Na sekundę czy dwie, nim rozległy się jej kroki na progu pokoju, poczuł jej perfumy i papierosy. Pchnęła uchylone drzwi. Zostawiła je szeroko otwarte. Odgłosy rozmów, telefonów, kroków, urzędzeń biurowych dochodzące z boksów stały się wyraźniejsze. Przeszła przez niewielki zagracony pokój i oparła się biodrem o biurko.

- Jak było na pogrzebie?
- A jak miało być? Pastor pomodlił się, trochę rozminął się z prawdą, wspominając Bandeaux, a potem wsadził go do ziemi.
- Ze mną możesz być szczery - powiedziała, przeciągając samogłoski. - Żonka była?
- Z całą rodziną. Przyszli też inni pogrążeni w smutku po odejściu Josha.
- Wszyscy trzej? - spytała Morrisette, strzelając gumą.
- Bardzo zabawne. W kościele była ponad setka osób, a na cmentarzu z pięćdziesiąt.
- Ktoś się śmiał?
- Nie. - Czuł, że uśmiecha się mimowolnie. - Naprawdę nie lubiłaś tego skurwiela, co?
- Ależ skąd.

Odchylił się na fotelu i podniósł brew z powątpiewaniem.

Morrisette przewróciła oczami.

- Nie podobało mi się, że moja przyjaciółka się z nim związała. Próbowałam wybić jej to z głowy. Był takim gogusiem. Znasz ten typ. Zepsuty, bogaty i rozpustny, a wszystko to w pięknym opakowaniu. Byłby świetnym komiwojażerem.
- Mówisz o swojej przyjaciółce Molly?
- Millie, i nie próbuj mnie podchodzić, dobrze? - Jej twarz nagle stężała. - Nie lubię, gdy ktokolwiek mnie sprawdza. A zwłaszcza ty!
- Ja tylko zapytałem o Bandeaux.
- Millie przechodziła ciężki okres. Bandeaux okazał jej trochę zainteresowania. Z tego, co słyszałam... można było się z nim świetnie zabawić. Nie doświadczyłam tego osobiście, więc daj mi spokój.
- W porządku.
- Jeśli skończyłeś już z tymi chorymi insynuacjami, przejdźmy do rzeczy. Dzisiaj rano rozmawiałam z sekretarką Bandeaux. Twierdzi, że nie zauważyła nic niezwykłego.
- Wierzysz jej?
- A czemu miałyby kłamać? Przecież jej nie zwolnią. - Morrisette podniosła długopis z biurka Reeda i pstryknęła nim kilka razy. - Nie wyglądała na załamana. Powiedziała, że już stara się o inną pracę. Nie rozmawialiśmy długo. Spieszyła się na pogrzeb.
- Więc i ty mogłaś przyjść, gdybyś tylko chciała.
- Niezupełnie. Zadzwoiła do mnie Diane Moses. Wygląda na to, że w laboratorium odkryli coś ciekawego w tych plamach na dywanie.
- Co takiego?
- Drugą grupę krwi. - Uśmiechnęła się szeroko.
- Drugą grupę?
- Bandeaux miał B Rh- . Dość rzadką. Większość krwi należała właśnie do tej grupy, ale były też ślady innej krwi. Ludzkiej. 0 Rh+. Rozejrzałam się więc trochę, zadzwoniłam do miejscowego szpitala i wiesz, czego się dowiedziałam?

Już się domyślał.

- Nasza biedna wdowa ma krew 0 Rh+.
- Bingo!
- Ktoś jeszcze?
- Tu sytuacja się komplikuje. 0 Rh+ to popularna grupa krwi. Szczególnie w rodzinie Montgomerych. Prawie wszyscy, poczynając od prababki, a na zmarłym niemowlaku kończąc, mają 0 Rh+. I pewnie spora część mieszkańców Savannah. Zrobimy badania DNA i zawężymy nieco pole poszukiwań.
- Porównamy je z DNA wszystkich osób związanych z ofiarą. Kazałaś im zrobić to badanie?
- Yhy. Teraz... będziemy potrzebowali tylko czegoś od pani Bandeaux - jakiś włos, trochę płynu ustrojowego - i już jesteśmy w domu.
- I tak miałem się z nią spotkać.
- Więc teraz masz jeszcze jeden powód.
- Jeszcze jeden?
- Daj spokój, detektywie, nie piep... nie wciskaj mi kitu. - Morrisette przechyliła głowę i przyjrzała mu się badawczo. Masz to wypisane na tym swoim paskudnym pysku. Podoba ci się wdówka.
- Jest pociągająca - przyznał ostrożnie.

- No, ciebie na pewno pociąga. Gdyby nie była główną podejrzaną, chętnie byś się z nią umówił, co?

- Nie sądzę - skłamał Reed. - Jak dla mnie jest zbyt szalona.

- Mówiłam ci, żebyś mi nie pieprzył. Cholera, kolejna ćwierćdolarówka. - Zeskoczyła z biurka. - Lubisz, jak są trochę szalone. Albo lekko perwersyjne. Albo nawet bardziej niż lekko. Lubisz, jak są inne. Czy nie na tym polegał problem z tą nauczycielką? Z Helen? Była zbyt konserwatywna.

Reed nie odpowiedział, zacisnął tylko szczęki.

- No dobra! - Morrisette podniosła ręce, jakby się poddawała. - Jestem ostatnią osobą, z którą można rozmawiać o uczuciach. Jeśli w promieniu tysiąca kilometrów znajduje się jakiś nieudacznik, to pewnie właśnie ja umówię się z nim na randkę.

Nie skomentował tego. Nie chciał ciągnąć tej rozmowy. Nie chciał też myśleć o Helen ani zastanawiać się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby został w San Francisco, uległ jej naciskom i ożenił się z nią. A co do Caitlyn Bandeaux, nie ma o czym mówić: była podejrzaną. Koniec i kropka. Uważał, że hipoteza z samobójstwem jest już nieaktualna, choć jeszcze nie powiedziała by tego ani prasie, ani rodzinie Bandeaux.

- Może uda ci się namierzyć tę jej terapeutkę, Rebeke Wade. Wyjechała z miasta jakiś miesiąc temu i nie podoba mi się to. Za wszelką cenę spróbuj ją znaleźć. Jak najszybciej. Chcę wiedzieć, dlaczego wyjechała, gdzie jest i co może nam powiedzieć o Caitlyn Bandeaux.

- A słyszałeś o tajemnicy lekarskiej?

- Obejdź to jakoś. Dziwny zbieg okoliczności, że pani doktor właśnie zniknęła.

- Myślisz, że została zabita przez swoją pacjentkę?

- Nic nie myślę, dopóki jej nie znajdziemy. Tymczasem sprawdzę dokładnie alibi Caitlyn Bandeaux.

- To dobry początek - powiedziała, uderzając dłonią w biurko - cholernie dobry początek.

- A to kolejna ćwierćdolarówka. W takim tempie do Bożego Narodzenia zbierzesz na studia dla dzieciaków.

- Bardzo śmieszne - mruknęła. Chyba miała ochotę skłąć go od ostatnich, ale ugryzła się w język. - Dam ci znać, kiedy odnajdę doktor Wade. A ty otrząśnij się z tych swoich mrzonek i wykombinuj, jak udowodnić, że Caitlyn Bandeaux zabiła męża.

- Widzę, że chrzaniś zasadę domniemanej niewinności...

- Myślę, że to kompletne... bzdury. Postawię wszystkie oszczędności na studia dzieciaków na to, że pani Bandeaux jest winna bez dwóch zdań.

Sen znów powrócił. Usłyszała głos brata odbijający się echem od skał.

- Pomocy! - krzyczał, a jego wołanie gasło wśród szalejącej burzy. - Niech mi ktoś pomoże!

Caitlyn biegła przez gąszcz wiotkich sosen, ślizgała się na cienkiej warstwie śniegu pokrywającej leśną ściółkę.

- Gdzie jesteś? Charles! - krzyknęła na całe gardło, drapiąc się przez zwalony pień. Czy zbliżała się do niego, czy oddalała? - Charles!

O Boże, o Boże, Boże! Gdzie on jest? Padał śnieg i nadciągała noc, las pogrążał się w ciemności.

Przedzierając się przez gęsty zagajnik, dostrzegła brata leżącego w krzakach; z piersi sterczała mu strzała, a na sztruksowej koszuli miał ciemną czerwoną plamę.

- O nie! - Potknęła się i zaraz podniosła, ale nogi miała jak z ołowiu. Suche liście zaszeleściły pod stopami, gdzieś w oddali zawył pies.

- Charles? Już idę! - Biegła przed siebie, zdyszana, obłoczki jej oddechu unosiły się w mroźnym powietrzu. Gdy dotarła do brata, upadła na kolana i zacisnęła palce na drzewcu strzały.

- Nie! - ostrzegł ją przerażony głos. Odwróciła się i zobaczyła bladą i wyczerpaną twarz Griffina stojącego między młodymi drzewami. Na kołnierzu i potarganych włosach zebrał mu się śnieg.

- Pomóż mi! - zawołała.

Griffin nie ruszył się. Wpatrywał się w strzałę.

- Nie wyciągaj jej!

- Ale on umiera! - Jej głos odbił się echem po lesie i zawirował razem ze śniegiem.

- Zabijesz go, jeśli wyciągniesz strzałę.

Nigdy nie było z niego żadnego pożytku. Żadnego.

- Na litość boską, biegnij! - wrzasnęła, próbując zmusić go do działania. - Sprowadź pomoc! Biegnij do domu!

Charles zajęczał. Z kącików ust sączyła się krew. Patrzył na nią zamglonymi oczami, ale chyba jej nie widział. Śnieg zaczął przykrywać mu twarz.

- Biegnij! - wrzasnęła na Griffina, ale zniknął za gęstniejącą kotarą śniegu. Po prostu zniknął. Przestrzeń między dwoma drzewami nagle pociemniała i opustoszała.

Nie było czasu do stracenia. Musiała coś zrobić. Przewyciężyła strach, chwyciła mocno strzałę i pociągnęła. Palce ześliznęły się po śliskim drzewcu, strzała nawet nie drgnęła. Caitlyn jeszcze raz zacisnęła palce. Zamknęła oczy i pociągnęła z całej siły. Usłyszała chrzęst i zorientowała się, że trzyma w górze strzałę z grotem błyszczącym czerwono w świetle wschodzącego księżyca.

Charles złapał ostatni chrapliwy oddech.

Wydał przeraźliwy jęk, a potem zaległa cisza.

Martwa cisza.

Był taki spokojny. Nieruchomy. Odsunęła się od niego, zerwała na równe nogi i zaczęła biec.

Szybciej. Między brzoźami.

Szybciej. Przez zamarzniony strumień.

Szybciej. W górę, do domku łowieckiego.

W płucach czuła ogień, jej stopy ślizgały się po oblodzonej ziemi. Las był ciemny. Złowieszczy. Napierał na nią, a niebo bombardowało ją śniegiem i lodem. Śnieg przykrył znajome ścieżki, przykleił się do rzęs, kłuł w policzki i przemaalował krajobraz tak, że nie wiedziała, gdzie jest i dokąd iść.

- Pomocy! - krzyknęła, wciąż trzymając strzałę. - Błagam! Pomocy!

- Caitlyn? - Głos Bernedy był kruchy jak zmarznięta gałązka.

Caitlyn nie widziała matki przez śnieżną zamieć.

- Mama? Gdzie jesteś?

- Caitlyn? Chodź tutaj natychmiast! - syknęła matka.

Caitlyn wydostała się z lasu. Dysząc, z bijącym sercem, zobaczyła wreszcie starą, dużą chatę, z ciepłymi plamami światła w oknach, dymem unoszącym się z komina i soplami lodu błyszczącymi pod okapem. Przez otwarte drzwi niosła się muzyka. Sylwetka matki wyraźnie odcinała się na ciemnym tle. Wyglądała jak wysoki, czarny anioł patrzący

groźnie na Caitlyn wbiegającą na ganek.

- Pomocy! Musimy sprowadzić pomoc. Charles, on jest ranny!

Berneda dostrzegła strzałę w ręce córki, jej twarz przybrała kolor padającego śniegu, oczy zapłonęły oskarżycielsko. Przyłożyła dłoń do piersi.

- O Boże, Caitlyn - wyszeptała - coś ty zrobiła?

Caitlyn raptownie otworzyła oczy.

Leżała na łóżku przykrytym narzutą. Kiedyś to był jej pokój i jej łóżko. Kwiecista narzuta wyblakła, a koc, który naciągnęła pod brodę, pachniał pleśnią i starością. Była zmęczona po pogrzebie i za radą matki zdrzemnęła się w swoim starym pokoju.

Przelknęła z trudem ślinę. Sen jeszcze całkiem nie odszedł, wciąż słyszała chrzęst strzały wyciąganej z piersi Charlesa, zimny świst wiatru, potworne oskarżenia kryjące się w głosie matki. Ten powracający koszmar prześladował ją od dziecka, od tego dnia, gdy znalazła brata umierającego na śniegu.

Gdyby posłuchała Griffina. Gdyby nie wpadła w panikę i nie wyrwała tej cholernej strzały.

Ale zrobiła to. Wiele lat temu.

To było dzień przed Świętem Dziękczynienia. Większość rodziny zjechała się do domku łowieckiego w górach, w Wirginii Zachodniej. Ojciec żył wtedy jeszcze, a Charles wyszedł samotnie na polowanie. Caitlyn, Kelly i Griffin bawili się w chowanego w lesie. Caitlyn zgubiła się i odeszła od domu, w głąb lasu. Szukając Kelly, potknęła się o przyprószone śniegiem ciało brata. Sen i rzeczywistość nie całkiem się pokrywały. A przynajmniej tak jej się wydawało, bo od momentu, kiedy zobaczyła Charlesa leżącego na śniegu, nic już nie pamiętała. Tylko tyle, że jakimś cudem znalazła się z powrotem w chacie, na kurtce i spodniach miała krew, w rękę trzymała śmiertelną strzałę. Potem popadła w katatonię... przez wiele dni nie mówiła, całkiem zamknęła się w sobie.

- Boże, pomóż - wyszeptała, próbując się pozbierać. Nerwy miała rozedrgane, pamięć dziurawą jak sito, życie wymykało się jej spod kontroli. Nie, nie pozwolić na to. Nie tym razem. Włączyła lampkę i zauważyła sztywny kartonik - wizytówka wypadła jej z torebki.

DR ADAM HUNT

LECZENIE DEPRESJI I PROBLEMY RODZINNE

I numer telefonu.

Może to jej nadzieja na powrót do normalności?

Na podłodze znalazła torebkę, przechyliła się na łóżku, sięgnęła do środka i wyciągnęła telefon. Bateria znów była prawie wyczerpana. Nie namyślając się długo, wykręciła numer Adama Hunta. Potrzebowała pomocy. Dłużej już tego nie zniesie, załamie się. Tak jak babka Evelyn.

Przeszedł ją dreszcz, gdy usłyszała sygnał w telefonie.

Zimna, zimna babcia.

Szalona babcia.

Niedobra babcia.

Rozdział 12

Adam czekał w gabinecie Rebeki.

Zawarł niezbyt legalny układ z firmą wynajmującą biura. Poszli mu na rękę, bo podając

się za przyjaciela Rebeki, zgodził się uregulować jej dwumiesięczne zaległości w płaceniu czynszu. Na szczęście zarządca budynku nie interesował się zbytnio legalnością transakcji, a jedynie gotówką. Adam dorzucił mu jeszcze dodatkowe pięćset dolarów i obiecał, że wyniesie się, kiedy doktor Wade wróci; a padalec przymknął na wszystko swoje chytre, zielone oko.

To tyle, jeśli chodzi o etykę na rynku nieruchomości.

Jednak Adam nie miał prawa się czepiać. Sam działał teraz nie całkiem legalnie, a ostatnie trzy dni spędził na czytaniu dokumentacji Caitlyn Montgomery. Przejrzał dokładnie notatki Rebeki, ale części kartek wyraźnie brakowało. Albo zaginęły, albo Rebeka schowała je gdzie indziej. Dziwne. A może wzięła je ze sobą? Może właśnie tutaj tkwi klucz do zniknięcia Rebeki.

Jeśli rzeczywiście zniknęła.

Może wybrała się w jedną z tych swoich „podróży w poszukiwaniu siebie”.

A może znalazła jakiegoś faceta, kochanka.

Przecież zdarzało jej się to już wcześniej.

Jednak nie mógł pozbyć się uczucia, że coś jest nie tak. Coś tu nie gra. Rebeka wspomniała o jakimś przełomie w pracy z jednym ze swoich pacjentów, naprawdę ważnym przełomie, a potem zniknęła. Prawda, mówiła, że chce wziąć sobie trochę wolnego, pojechać na zachód i zobaczyć miejsca, w których nigdy jeszcze nie była, ale wyjechać tak bez pożegnania, nie zadzwonić, nie przysłać pocztówki? Nie, coś tu nie gra. Mimo wszystko nie poszedł na policję. Najpierw musi się upewnić. Zdażył już pójść do jej domu i sforsować zamki. Dom był opuszczony, ale nie pusty. Zostało w nim zbyt wiele rzeczy osobistych... warto by porozmawiać z dozorczynią, ale najpierw sam chciał się rozejrzeć.

Usłyszał delikatne stukanie i do pokoju zajrzała Caitlyn Montgomery Bandeaux. Ognistokasztanowe włosy otulające twarz, wystające kości policzkowe, ładnie zarysowane łuki brwi i inteligentne, niespokojne oczy.

Natychmiast poderwał się z miejsca.

- Proszę wejść.

Ostrożnie wśliznęła się przez drzwi.

- Dziwnie się czuję - powiedziała, rozglądając się po pokoju.

- Bo spotykamy się w gabinecie Rebeki? - Boże, ależ była piękna. Zauważył to już na cmentarzu, ale wydawało się, że dzisiaj jest jeszcze ładniejsza, było w niej więcej życia. Jakby to miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

- Tak. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Bo to gabinet Rebeki.

- Czy to będzie panią krepować?

- Nie wiem. - Uśmiechnęła się i wygładziła niewidoczne zmarszczki na spódnicy khaki. Włosy miała luźno związane, kilka pasemek wymknęło się i opadało na ramiona. Wyglądała na zdenerwowaną. Niespokojną. Wyczerpaną. Ale przecież wiele przeszła w ciągu tych kilku dni.

- Zmienił pan wystrój - zauważyła, obciągając rękawy jasnego swetra.

- Trochę. - Faktycznie, wymienił dwie lampy, rzucił na podłogę dwa nowe chodniki, powiesił tanie reprodukcje, które kupił na wyprzedaży, a za biurkiem w widocznym miejscu powiesił swoje dyplomy. Przetawił kanapę i fotele, wyrzucił uschnięte kwiaty i wstawił dwie paprotki.

- To wydaje się takie nierzeczywiste - westchnęła. Usiadła w fotelu na biegunach i

postawiła torebkę na podłodze.

- Domyślam się.

- Trochę jak w kiepskim filmie. Bardzo kiepskim filmie.

Uśmiechnął się i oprócz napięcia zobaczył w jej oczach cień rozbawienia. Więc miała poczucie humoru. Świetnie.

- Przychodziłam tu przez dwa i pół roku, ostatni raz byłam kilka miesięcy temu i zawsze zastawałam Rebeke, to znaczy doktor Wade, siedzącą w tym fotelu. - Caitlyn wskazała na fotel stojący przy biurku, wzdrygnęła się i potarła ramiona, jakby przeszył ją chłód niepokoju. Zakładając nogę na nogę, bezwiednie odsłoniła na moment kawałek łydki. Z pewnością musiała zdawać sobie sprawę, że jest uderzająco piękną kobietą... A może jednak nie była tego świadoma?

- Dzisiejsze spotkanie powinniśmy chyba poświęcić na zapoznanie się ze sobą - zaproponował, zbierając myśli. - Co pani na to? Najpierw ja się pani przedstawię, a potem pani opowie mi o sobie.

- Tak jak w tej starej dziecięcej zabawie? Ty mi pokażesz, to i ja ci pokażę? - spytała i nagle umilkła, zawstydzona podtekstem tych słów.

- Nie posuniemy się tak daleko. W każdym razie nie dzisiaj.

- Całe szczęście. Nie jestem pewna, czy byłabym w stanie posunąć się tak daleko. - Odgarnęła włosy z twarzy i uśmiechnęła się słabo.

Nie tak to sobie zaplanował. Przesunął się na fotelu w stronę małego stolika, na którym stał dzbanek z mrożoną herbatą i czajnik elektryczny.

- Kawa? Mam rozpuszczalną. A może herbata? - zapytał, a Caitlyn potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. Chociaż może poproszę o herbatę. Ale gorącą.

Nalał do kubka wrzątku i podał jej wraz z łyżeczką i torebką herbaty.

- Przepraszam, ale właśnie skończył mi się miód, cytryna, śmietanka i cukier, a nawet słodzik.

- W porządku. Jestem ascetką. - Zanurzyła torebkę i odchyliła się na krześle. Znow zachwyił się jej urodą. Cerę miała jasną, ciało zgrabne i gibkie. Na prostym nosie kilka bladych piegów, duże, piwne oczy, ocienione długimi rzęsami, przez moment, pewnie za sprawą światła, wydawały się zupełnie zielone. Zmarszczyła brwi, jakby pograżyła się w niespokojnych myślach. Wreszcie popatrzyła na niego. - Myślałam, że opowie mi pan trochę o sobie.

- Jasne. - Uśmiechnął się. - Ale obawiam się, że panią zanudzę. Urodziłem się i wychowałem w Wisconsin, studiowałem w Madison, potem doktoryzowałem się w Michigan. Przez kilka lat wykładałem na uniwersytecie, a potem założyłem prywatną praktykę. Pracowałem w dystrykcie Kolumbii i właśnie zastanawiałem się nad przeprowadzką, kiedy Rebeka zaproponowała, żebym przyjechał tutaj. Savannah wydało mi się interesujące. To prawdziwa odmiana. Więc zdecydowałem się zaryzykować.

- A co z pańskimi pacjentami?

Uśmiechnął się szeroko.

- Stanęli na własnych nogach.

- Wszyscy wyleczeni? Ot, tak? - zapytała, pstrykając palcami. - Psychozy, depresje i wszystko inne?

- Wyleczeni? Hm. To pojęcie względne, ale tak, większość z nich jest w dość dobrym stanie. Kilku z nich skierowałem do moich kolegów po fachu.

- Jak długo jest pan tutaj?

- Około dwóch tygodni.
- Jestem pana pierwszą pacjentką?
- W Savannah tak.
- Ma pan referencje? - spytała i spojrzała na dyplomy i nagrody, które powiesił nad kominkiem. - Och...
- Może pani zadzwonić do Michigan. Porozmawiać z panem Billingssem, dziekanem wydziału psychologii. Niewykluczone, że wciąż tam jeszcze pracuje, ale mógł już przejść na emeryturę.
- Dlaczego przyszedł pan na pogrzeb Josha? To trochę dziwne. Wiedział pan o mnie.
Uśmiechnął się szeroko.
- No dobrze, poddaję się. Szukałem pani. Wiele rozmawiałem z Rebeką - z doktor Wade. Wspomniała o niektórych swoich pacjentach, między innymi o pani. A potem, kiedy przeczytała w internetowym wydaniu „Savannah Sentinel” o śmierci Josha, od razu do mnie zadzwoniła. Pomyślała, że może pani potrzebować pomocy.
- Powinna była raczej do mnie zadzwonić.
- Na pewno próbowała. Tyle że nikt nie odbierał telefonu.
- Faktycznie, nie odbierałam przez kilka dni... nie byłam w stanie. Wydzwaniali do mnie dziennikarze, nie chciałam z nimi rozmawiać. - Zmarszczyła brwi. - Ale dlaczego nie zostawiła żadnej wiadomości?
- Może zadzwoni jeszcze - skłamał, patrząc tej pięknej, wrażliwej kobiecie prosto w oczy. Czuł się podle, ale stłamsił to uczucie.
Caitlyn nie odezwała się, pogrążona w myślach.
Pewnie się zastanawia, czy dobrze zrobiła, przychodząc na to spotkanie. Może właśnie wszystko popsulem. Adam odchylił się na fotelu i złączył dłonie czubkami palców.
- Proszę teraz opowiedzieć mi coś o sobie.
Wzdrygnęła się.
- Zdaje się, że po to tu jestem, prawda? - Spojrzała w okno, najwidoczniej zmagając się ze sobą. - Od czego mam zacząć?
- Od czego pani chce. - Gdy nie zareagowała od razu, powiedział delikatnie:
- Może od tych problemów, które sprawiły, że zgłosiła się pani do doktor Wade? A potem może się pani cofnąć w przeszłość, choćby do samego dzieciństwa. - Posłał jej uspokajający uśmiech. - Zresztą możemy zacząć od czegokolwiek. Chcę po prostu, żeby czuła się pani swobodnie.
- To raczej trudne, gdy się dokonuje wivisekcji swojego życia.
- To nie jest wivisekcja.
- Więc analiza.
Pochylił się do przodu, oparł podbródek na splecionych dłoniach.
- Proszę posłuchać, nie wiem, jak wyglądały pani spotkania z doktor Wade, ale zacznijmy od nowa. I proszę nie traktować mnie jak kogoś, kto chce dokonać wivisekcji czy analizy lub wdrzeć się na terytorium. Możemy zacząć od zwykłej rozmowy. Możemy zacząć od rozmowy o pani rodzinie.
- Moja rodzina - zaczęła i westchnęła głęboko. - Dobrze, w porządku. Zacznijmy od tego, że Montgomery nie potrafią śmiać się ze swoich ułomności - powiedziała, nie patrząc na niego i pocierając palcem brzeg kanapy. Gdy wspominała pierwsze lata swojego życia, kiedy to świat wydawał jej się bezpieczny i wspaniały, rozluźniła się trochę. Opowiedziała o swojej siostrze bliźniaczce, z którą były bardzo związane, opisała krótko resztę liczego

rodzeństwa. Starsza siostra Amanda była „ambitna”, brat Troy „kontrolował”, a młodsza siostra Hannah „zamartwiała się”. Najmłodszy braciszek, Parker, zmarł w niemowlęctwie, najstarszy - Charles zginął w dziwnym wypadku na polowaniu. Caitlyn przyznała, że do dziś dręczy ją sen, w którym znajduje w lesie rannego brata. Myśliwy, od którego pochodziła strzała, nigdy nie został odnaleziony.

Mówiła prawie przez dwie godziny. Żadne z jej wyznań nie było dla Adama nowością, choć udawał, że jest inaczej. Robił notatki, zadawał pytania i potakiwał z uwagą. Zażartował nawet kilka razy, a w nagrodę i otrzymał jej czarujący uśmiech.

Jednak cały czas była czujna, patrzyła mu prosto w oczy. Chwilami szybko odwracała wzrok, jakby w nagłym przypływie wstydu.

- ...i potem wyszłam za Josha. - Wzruszyła ramionami. - Nikt nie był tym zachwycony.

- Nikt z pani rodziny.

- Tak.

- Dlaczego? Mieli mu coś do zarzucenia?

- Josh był już wcześniej żonaty. Nawet adoptował dziecko Maude z poprzedniego małżeństwa.

- Rozwód to chyba żaden grzech?

- Tak, ale były jeszcze inne powody. Josh uchodził za... uważano, że angażuje się w niepewne interesy. Rodzina myślała, że chodzi mu o moje pieniądze. Hm, mam oszczędności w funduszu powierniczym. - Odchrząknęła. - Ale nie obchodziło mnie, co inni mówią o Joshu. Byłam zakochana. - Przewróciła oczami, potrząsnęła głową i zawahała się, zanim dodała: - Poza tym... byłam w ciąży. - Popatrzyła na swoje dłonie. - Jamie urodziła się siedem miesięcy później i miałyby teraz pięć lat, gdyby... - Przełknęła ślinę. - ...gdyby przeżyła. Ona umarła. - Kiwając głową, dodała matowym głosem: - Była moim jedynym dzieckiem... i całym moim życiem. - Zamrugnęła nerwowo, próbując odegnać łzy.

Tak bardzo starała się zapanować nad swoimi emocjami... Adam szczerze jej współczuł. Bez słowa przesunął się na fotelu w stronę biblioteczki, wziął pudełko chusteczek i podał je Caitlyn.

- Przepraszam - wyszeptała.

- Proszę nie przepraszać. Strata dziecka to ciężkie przeżycie.

- To piekło. - Osuszyła chusteczką kąciaki oczu. - Czy ma pan dzieci, doktorze Hunt?

- Nie. - Rebeka nigdy nie chciała mieć dzieci. To również przyczyniło się do rozpadu ich małżeństwa.

- Więc nawet nie może pan sobie wyobrazić, co wycierpiałam. Ból, rozpacz, poczucie winy. Codziennie rano budzę się, myślę o niej i żałuję, że to nie ja umarłam. Chętnie oddałabym za nią swoje życie. - Oczy miała już zupełnie suche, w zaciśniętej pięści trzymała zmiętą chusteczkę. - Ale los nie dał mi wyboru, a mój mąż... - Wypuściła powietrze i wyraźnie się napięła. - Mój mąż zamierzał oskarżyć mnie o przyczynienie się do śmierci dziecka. Wyobraża pan sobie? Tak jakbym... jakbym zabiła córkę, naszą córkę.

- Nie rozumiem.

- Ja też! - Poderwała się. - Twierdził, że dopuściłam się zaniedbania... że nie pojechałam do szpitala na czas, że byłam zbyt zaabsorbowana sobą. To niedorzeczne. Miałam wtedy skręcony nadgarstek, ale nie przeszkadzało mi to, mogłam normalnie opiekować się córką. Tylko że... to wyglądało na zwykłą gripę i... gdy dotarłam do szpitala... - Zamilkła. Utkwiła spojrzenie w oknie, jakby zahipnotyzowana przez gołębia siedzącego na dachu

sąsiedniego budynku. Słońce ślizgało się po jej ciemnych lokach, podkreślając ich czerwony odcień. - Było za późno. Josh mnie obwiniał. Sama się obwinałam. Powinnam była przywieźć ją wcześniej, ale nie wiedziałam. - Oderwała wzrok od okna. - Umarł przekonany, że celowo naraziłam życie naszego dziecka. Rozmawiałam o tym wszystkim z doktor Wade, o wszystkim... z wyjątkiem tego oskarżenia. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że Josh przygotowuje pozew. - Opadła na kanapę, spojrzała na zegarek i powiedziała. - Chyba powinnam już iść.

- Nie mam jeszcze wielu pacjentów.

- Może powinnam tu przysłać resztę swojej rodziny. Pan i jeszcze pięciu innych psychologów miałyby zajęcie do końca życia!

Uśmiechnął się niby z niedowierzaniem. Zdjął okulary i przetarł szkła.

- Jeśli zadzwoni doktor Wade, proszę ją pozdrowić. - Wrzuciła zmiętą chusteczkę do kosza.

- Jeśli tylko zadzwoni - obiecał. Zrobiło mu się głupio, że tak ją oszukuje. Zresztą ostatnio nic innego nie robił, tylko wciąż rozmijał się z prawdą, naciągał, kręcił. Ale trudno, cel uświęca środki.

Caitlyn wypełniła czek i podała mu.

- Zwrócę pieniądze, jak tylko przyjdzie wypłata z ubezpieczenia - zapewnił, dręczony wyrzutami sumienia.

- W porządku. - Jej nieśmiały uśmiech przyprawił go o szybsze bicie serca. - Dziękuję, doktorze Hunt.

- Adamie - poprawił. - Po co te formalności.

- Zatem dziękuję, Adamie. - Skinęła szybko głową. Stał w drzwiach gabinetu i patrzył, jak zbiega po schodach, nie oglądając się ani razu. Boże, co za intrygująca kobieta. Piękna, bystra i tak udręczona!

Spojrzał na czek, na jej podpis. Zaczynała mu ufać.

Sumienie przypuściło kolejny ostry atak. Może babcia miała rację. Może nic nie usprawiedliwia kłamstwa. Teraz miał do wyboru: albo od razu podrzeć czek, albo wykorzystać go do zdobycia kolejnych informacji na temat Caitlyn Montgomery, a przy okazji dowiedzieć się czegoś o Rebecce. Nie wahał się nawet przez moment, złożył czek i wsunął do portfela.

Atropos siedziała z zamkniętymi oczami przy stole w swoim zaciszu. Potrzebowała spokoju. Odpoczynku. Wściekłość dopadła ją jak dzikie zwierzę, szarpała, drapała pazurami. Atropos musiała się uspokoić. Myślała o lodzie i śniegu. O tej chwili, kiedy jej ciężka praca zostanie wreszcie zakończona. Spokojnej, słodkiej chwili. Powoli, począwszy od palców u nóg, zaczęła rozluźniać wszystkie mięśnie, nogi, ręce i ramiona stały się wiotkie, twarz odprężona, a umysł czysty.

Musi być opanowana. Nieludzko opanowana. Nie może pozwolić sobie na błąd. Nie teraz... Nie po tylu latach przygotowań.

Odzyskawszy jasność umysłu, wstała i popatrzyła na sporządzone przez siebie drzewo genealogiczne. Jedna z silnych gałęzi należała do Camerona.

Syna.

I ojca.

A teraz również ducha, ale niezbyt świętego.

Zginał za kierownicą swojego porche. Cóż, nie wyrobił się na zakręcie, wjechał w bagno

i utonął. Jechał do Copper Biscayne, swojej kochanki. Los sprawił, że w tym dziwnym wypadku Cameron stracił nie tylko życie, ale także jedno jądro. Wyglądało na to, że utracił je, przelatując przez przednią szybę, bo w jego mosznie tkwiły odłamki szkła. Ta informacja nigdy nie przedostała się do prasy; w żadnym z artykułów donoszących o śmierci Camerona, które Atropos tak pracowicie wycinała z gazet, nie wspomniano o utracie jądra. Zdjęcie Camerona zostało pocięte, a potem przyklejone do drzewa. Kolory nieco wyblakły, fotografia przedstawiała Camerona z trójką jego bękartów... Sugar, Dickie Ray i Cricket. Atropos nie miała pewności, czy wszystkie są jego, ale było to możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne.

Tak, Cameron zasłużył na taki koniec.

Kolejna gałąź należała do Charlesa. Najstarszego syna. Cudowny, zawsze grzeczny chłopiec. Sportowiec, absolwent college'u, kształtowany na podobieństwo swego dumnego ojca. Charles od małego był przygotowywany do prowadzenia rodzinnych interesów. Niestety, zginął w przeddzień Święta Dziękczynienia od strzały nieznanego myśliwego. Atropos uśmiechnęła się, patrząc na spreparowaną fotografię Charlesa. Na zdjęciu Charles stał nad swoim trofeum - martwym niedźwiedziem, pierwszym zwierzęciem, które zabił z łuku. Zdjęcie zostało oczywiście pocięte, a potem starannie sklezione. Ale teraz wydawało się, że to niedźwiedź zabił Charlesa.

Idealnie. Oto właściwy porządek rzeczy.

Było wiele innych gałęzi, ale Atropos nie miała czasu delektować się wszystkimi morderstwami. Jeszcze tyle do zrobienia... Zastanawiała się, czy policja lub ktoś z Montgomerych odkrył, że zabójstwa nie były przypadkowe, że były perfekcyjnie zaplanowane i że w każdym z nich kryła się odrobina ironii. Jak łatwo kupić kradziony pistolet i zabijać ofiary z zaskoczenia! Ale przecież nie o to chodziło. Nie chodziło o odebranie życia, ale o sztukę zabijania, o to, by ofiary zdawały sobie sprawę z tego, że giną z jej ręki. Tak, skazani musieli wiedzieć, że ich los został przypieczętowany. Że nie mają żadnych szans. Że już nie uciekną.

To podniecało.

To była sztuka.

To była magia.

To był talent.

Patrząc na drzewo śmierci, poczuła się lepiej. Krew tańczyła jej w żyłach. Serce biło równo i mocno. Drżała z podniecenia w oczekiwaniu na kolejne morderstwo.

Spojrzała jeszcze raz na obcięty tułów Josha Bandeaux. Ziemia nie nosiła nigdy gorszego łajdaka. Zasługiwał na coś dużo gorszego niż to, co go spotkało. A głupi policjanci nawet nie wiedzą jeszcze, czy został zabity, czy popełnił samobójstwo. Jednak to irytujące. Trochę rozgłosu zaspokoiliby jej potrzebę uznania... potrzebę, która zawsze ją napędzała. Ale te nędzne wycinki, które zebrała, nie były warte jej czynów.

Znów spojrzała na drzewo. Wkrótce zapełnią się jego powyginane, złowieszcze gałęzie. Czas mijał. A jeszcze tyle do zrobienia. Cicho, miękko podeszła do biurka i wyjęła z szuflady fotografię. Ostrożnie, jakby to była delikatna talia tarota, potasowała je i rozłożyła na biurku zdjęciem do dołu.

- Pałka zapalka, dwa kije... kto się nie schowa, nie żyje, kto nieschowany, ten zamordowany.

Ostrożnie wybrała jedno zdjęcie i odwróciła.

Amanda.

Urodzona jako druga. Bystra, piękna, odnosząca sukcesy.

Amanda Montgomery Drummond. Ze swoimi małymi demonami... czy też demonkami. Tak, nadeszła kolej na najstarszą córkę.

Na zdjęciu Amanda ubrana w strój do tenisa opierała się o wypolerowany błotnik małego sportowego samochodu. Wiśniowy triumph TR-6 rocznik 1976, jej duma i radość. Ojciec, zanim zginął przedwcześnie, zdążył jej podarować ten wóz. Uśmiechała się szeroko, oczy skryła za okularami słonecznymi, a mahoniowe włosy związała w koński ogon. Wysoka, wysportowana, utalentowana... dwa fakultety ukończone z wyróżnieniem i do wyboru kariera lekarza lub prawnika.

Nie była wrażliwa z natury, jej celem było głównie zarabianie pieniędzy, więc wybrała prawo. No i bardzo dobrze. Byłaby okropnym lekarzem.

- Nadszedł twój czas - wyszeptała Atropos do uśmiechającej się ze zdjęcia Amandy. - Czy rodzina się zdziwi? A może po prostu poczują ulgę? Jesteś suką, wiesz o tym. - Nić życia Amandy była już przycięta, gotowa i przyklejona w odpowiednim miejscu drzewa rodowego.

To, co zaplanowała dla Amandy, na pewno przyciągnie uwagę rodziny. Zaczęła zbierać fotografie, ale w pośpiechu upuściła dwie na podłogę. Zafurkotały i upadły na kafelki.

Dwie fotografie. Pierwsza - zdjęcie Caitlyn z dzieciństwa. Roześmiana dziewczynka huśta się na starej linie przywiązanej do potężnej gałęzi dębu, którego korona zwiesza się nad wodą. Drugie zdjęcie przedstawiało Bernedę - matkę. Ręce miała przyciśnięte do piersi, stała nad tortem urodzinowym z siedemdziesięcioma pięcioma jasno świecącymi świeczkami. Tuż za nią - Lucille, w cieniu, tak jak zawsze. Zawsze doglądająca, nigdy niedoglądana.

Cóż, nadszedł czas, żeby pozwolić Lucille odejść.

Matka będzie musiała spotkać się ze swoim przeznaczeniem. Odnalazła nić życia Bernedy... była idealnie przycięta.

A co z Caitlyn?

Atropos spojrzała na czerwono-czarną nić jej życia i westchnęła.

Na razie oszczędzi Caitlyn. Ale tylko na razie.

Nie na długo. Atropos jeszcze raz spojrzała na zdjęcie, na poszarpaną linę, której niczego niepodejrzewająca Caitlyn trzymała się tak kurczowo, jakby chodziło o jej życie. Cóż za zbieg okoliczności. Atropos dotknęła palcem nici życia Caitlyn... była tylko nieznacznie dłuższa od nici jej matki.

Dziecko na zdjęciu zdawało się do niej uśmiechać.

Głupia, głupia dziewczynka.

Rozdział 13

Gdzie pani była tej nocy, kiedy zmarł pani mąż?

Caitlyn machinalnie głaskała Oskara. Spodziewała się tego pytania, ale i tak wytrąciło ją z równowagi. Siedziała przy kuchennym stole, a naprzeciwko niej policjanci, Reed i Morrisette.

- Przecież mówiłam już, że wyszłam z domu - wyjaśniła. Chyba jednak źle zrobiła, godząc się na tę rozmowę. Kiedy zadzwonił Reed i zapytał, czy może przyjść, nie protestowała. Teraz pomyślała, że może powinna była domagać się obecności adwokata. - Miałam się spotkać z siostrą na nadbrzeżu w barze The Swamp, ale coś ją zatrzymało i spędziłam tam wieczór sama.

- Więc nie była pani tej nocy w domu swojego męża?

- To był kiedyś również mój dom - wyrwało się jej. Czują, że ją podejrzewają. A dlaczego by nie? Czy nie jest zwykle tak, że zabójcą okazuje się ktoś z rodziny? - Proszę posłuchać - powiedziała. - Myślę, że powinnam zadzwonić do adwokata.

Policjantka o nastroszonych włosach wzruszyła ramionami.

- Skoro uważa pani, że potrzebuje adwokata... My tylko zadajemy pytania.

Caitlyn przeszły ciarki.

- Prawda jest taka, wydaje mi się, że już o tym wspominałam, że niezupełnie pamiętam, co robiłam tamtej nocy.

- Dlaczego?

Chciała opowiedzieć o swoich chwilowych utratach przytomności, zanikach pamięci, kłopotach z poczuciem czasu, ale bała się, że zabrzmiałoby to podejrzanie. Rutynowani policjanci jej nie uwierzą.

- Czasami zdarza mi się wypić zbyt dużo - odpowiedziała.

- I tamtej nocy była pani tak pijana, że pani nie pamięta?

- Myślę, że powinnam skontaktować się z adwokatem. - Zepchnęła Oskara z kolan i wstała. Czas to skończyć.

Reed odsunął krzesło.

- Skoro potrzebuje pani adwokata...

- Niech pan mi powie, czy potrzebuję, detektywie. To pan zadaje tu pytania.

- My tylko próbujemy dowiedzieć się, co się stało. - Reed wykrzywił usta w grymasie, który miał uchodzić za uśmiech.

- W porządku. Ale w obecności mojego prawnika - powiedziała i podeszła do drzwi, Oskar pobiegł za nią, stukając pazurkami o podłogę.

- Pani Bandeaux, czy widziała pani swojego męża w dniu jego śmierci? - zapytała detektyw Morrissette.

Czy widziała? Boże, co miała im powiedzieć? Że nie jest pewna?

- O pomocy sąsiad zauważył na podjeździe pani samochód. Albo inny, bardzo podobny.

Zesztywniała. Serce zaczęło jej łomotać ze strachu. A więc była tam...

- Na miejscu oprócz krwi Bandeaux znaleźliśmy też inną krew.

- Inną? - Kolana się pod nią ugięły, a rany na nadgarstkach znów dały o sobie znać.

- O Rh+. Będziemy robić badanie DNA, więc potrzebujemy również próbki pani krwi.

- Myślicie, że zabiłam Josha.

- Chcemy po prostu zawęzić krąg podejrzanych. - Reed patrzył na nią zimnymi oczami, a ta Morrissette była bardziej ponura niż zwykle. Nie bawili się w dobrego i złego policjanta. Karty na stół, droga pani.

- Mój adwokat się z wami skontaktuje - powiedziała, gdy wychodzili. Zamknęła za nimi drzwi. Cała się trzęsła, pulsujący ból za okiem ciął mózg na kawałki. Ból taki jak ten, który zwykle poprzedzał chwilowe utraty świadomości sięjące spustoszenie w jej pamięci.

Po raz pierwszy zorientowała się, że miewa zaniki pamięci, gdy była dzieckiem. Dochodziła wtedy do zdrowia po ciężkiej infekcji zatok. Miała sześć czy siedem lat, ale do dziś pamiętała to uczucie zaskoczenia: ocknęła się nagle na szkolnym boisku, było już zupełnie ciemno. Kiedy wreszcie wróciła do domu, nie potrafiła wytłumaczyć przerażonej i rozgniewanej matce, co się stało. Nikt nie wiedział, dlaczego nie wsiadła po szkole do autobusu, nawet Griffin, który widział ją ostatni i który zaproponował, żeby drogę do domu, prawie pięć kilometrów, pokonali pieszo.

Dziwne, że przypomniało jej się to właśnie teraz. Weszła po schodach, przeszła przez

sypialnię do łazienki i zauważyła odbarwienie na dywanie. Co się, do diabła, stało tej nocy, kiedy zginął Josh? Skąd ta krew w jej pokoju... i skąd krew jej grupy w domu Josha?

To jeszcze nie dowód na to, że była w domu Josha. Mnóstwo ludzi ma grupę 0 Rh+. W tym większość członków jej rodziny. Jednak na nowo zdjął ją strach, przemożny i mroczny. Czy mogła... czy byłaby w stanie zabić męża?

Nawet tak nie myśl! Przytrzymała się umywalki i poczekała, aż atak paniki minie. Opanuj się. Zrób coś! Zaczynj działać, na litość boską! W szafce łazienkowej znalazła buteleczkę z proszkami od bólu głowy, wzięła dwie tabletki, poszła do gabinetu, usiadła przy biurku i podniosła słuchawkę telefonu. Potrzebowała adwokata, i to szybko.

A co z alibi? Czy nie tego naprawdę potrzebujesz?

- Och, zamknij się - warknęła. Usiadła na fotelu przy biurku i szybko przejrzała pocztę elektroniczną. Żadnej wiadomości od Kelly ani od nikogo innego. Zastanawiając się jak skontaktować się z Kelly, wykreśliła numer do biura Amandy. Ale było już późno i nikogo nie zastała.

- Świetnie - mruknęła i rzuciła słuchawkę. Gdzie, do diabła, podziewały się jej siostry, kiedy ich potrzebowała? Kelly wiecznie w rozjazdach, a Amanda prawie zawsze pochłonięta pracą. Cóż, tak czy inaczej, trzeba działać. Nie ma czasu do stracenia. Kto wie, jakiego asa kryje policja w rękawie.

Kiedyś przez kilka lat Amanda pracowała w biurze prokuratora okręgowego, zanim doszła do wniosku, że mama płaca, długie godziny pracy i „kontakty z najmniejszymi szumowinami, którym przypadkiem udało się wypłynąć na powierzchnię”, to nie dla niej. Bez trudu zmieniła działkę i zajęła się prawem cywilnym. Teraz tym samym szumowinom pomagała się rozwodzić. Powinna jednak znać jakiegoś dobrego adwokata w sprawach karnych.

Caitlyn wykreśliła numer do domu Amandy, odchyliła się na fotelu i czekała, przygotowana na kolejne połączenie z automatyczną sekretarką.

- No, szybciej - ponagliła szeptem i usłyszała za sobą jakiś hałas. Zamarła. Przeszły ją ciarki, ale zebrała się na odwagę i odwróciła. To Oskar wszedł do pokoju. Odetchnęła z ulgą, ale w lustrze wiszącym na uchylonych drzwiach zobaczyła swoje odbicie. Wyglądała strasznie. Wyczerpana. Zanedbana. Włosy miała potargane, cerę bladą i cienie pod oczami.

- No, odbierz - wyszeptała, poklepując się ze zniecierpliwieniem po kolanie. Włączyła się automatyczna sekretarka i głos Amandy poprosił o zostawienie wiadomości po sygnale.

Oskar wskoczył na jej kolana.

- Amanda? Tu Caitlyn - powiedziała, niezadowolona, że musi rozmawiać z maszyną. Podrapała psa za uszami. - Potrzebuję twojej pomocy. W przeciwieństwie do mamy dobrze wiem, że nie jesteś obrońcą w sprawach karnych, ale mam nadzieję, że możesz mi kogoś polecić...

Trzask.

- Caitlyn? - głos Amandy brzmiał niespokojnie. - Jesteś tam jeszcze? Dopiero weszłam. Co się dzieje?

Caitlyn odetchnęła z ulgą.

- Właśnie była u mnie policja.

- O rany.

- No, niezła afera. Chcą ode mnie próbkę DNA. - Desperacko pragnęła ukryć ogarniający

ją strach. Mocno zacisnęła palce na słuchawce. - Myślę, że byłam tej nocy u Josha. Nie mówili zbyt wiele, ale zdaje mi się, że nie wierzą w samobójstwo. Uważają, że ktoś go zabił. Chociaż tego nie powiedzieli, dałabym głowę, że jestem główną podejrzaną i... i... potrzebuję prawnika, Boże, nic nie pamiętam i...

- Caitlyn! Weź się w garść! - warknęła Amanda, a potem dodała łagodniej: - Przepraszam, ale śmiertelnie mnie przeraziłaś i nie bardzo rozumiem, o co chodzi. Weź kilka głębokich wdechów i zacznij jeszcze raz, dobrze? Od początku. Powiedz, co się dzieje. Zacznij od przyjazdu policji.

Opowiedziała wszystko po kolei. Gdy przypomniała sobie zimny, przenikliwy wzrok detektywa Reeda i swoje mętne odpowiedzi, obezwładnił ją porażający strach. Ten sam, który towarzyszył jej, odkąd obudziła się w sypialni wymazanej krwią, tyle że teraz uderzył z całą siłą. Zadygotała. Boże, oskarżając śmierć Josha, a ona nawet nie pamięta, co robiła tej nocy.

- Nie powiedzieli wprost, ale... jestem pewna, że mnie podejrzewają.

- Przecież myśleli, że to samobójstwo? Podobno Josh zostawił list pożegnalny... chyba tak było?

- Policji to jakoś nie przekonało... może myślą, że zabójca zostawił list... O Boże, sama nie wiem.

- Może nie jest tak źle, jak nam się wydaje - zauważyła trzeźwo Amanda.

- No to mnie pocieszyłaś, bo dla mnie wygląda to cholernie źle.

- Wiem i skłamałabym, gdybym powiedziała, że na pewno nie jesteś podejrzana. Może i jesteś główną podejrzaną, ale na pewno nie jedyną. Prawdę mówiąc, nie wierzę w to, co powiedział Reed o zawężaniu kręgu podejrzanych. Myślę, że koncentrują się na tobie.

- Przed chwilą powiedziałaś, że nie jest tak źle.

- Musimy po prostu przypomnieć im, że są jeszcze inni podejrzani. Przygotuj swoją wersję wydarzeń i alibi.

- Alibi? - zapytała z niedowierzaniem. - Chcesz, żebym kłamała?

- Oczywiście, że nie. Nie dorzucamy do możliwych oskarżeń jeszcze krzywoprzysięstwa. Znam kilku dobrych obrońców w sprawach kryminalnych, takich, których nie chciałam spotkać na swojej drodze, gdy pracowałam w biurze prokuratora okręgowego. Cenią się, ale są warci pieniędzy, jakich żądają.

- Obrońcy w sprawach kryminalnych - powtórzyła Caitlyn, jeszcze nie dowierzając, że będzie musiała skorzystać z ich usług. Znów zerknęła w lustro i zobaczyła swoje odbicie - zmęczona, wyczerpana, śmiertelnie przerażona kobieta. - W porządku, podaj mi ich nazwiska.

- John Ingersol. Jest fantastyczny. - Caitlyn zanotowała nazwisko na odwrocie koperty. - I Marvin Wilder. A jeśli wolałabyś kobietę, to Sondra Prentiss z Atlanty też jest świetna. Wszystko zależy od tego, czy będą mieli czas. Wiesz co? Ty nic nie rób, strzel sobie kielicha, może ci trochę ulży, a ja zadzwonię do nich jutro rano. I na razie nie rozmawiaj z policją, dobrze?

- A jeśli tu wrócą?

- Nie rozmawiaj z nimi. Powiedz, że nie będziesz odpowiadać na pytania bez adwokata.

- Dobrze. - Poczowała się trochę lepiej.

- Chcesz, żebym przyjechała dzisiaj do ciebie? - zapytała Amanda. - Ian wyjechał, miałam właśnie przejrzeć zeznania, ale mogę to zrobić później.

- Dziękuję, ale nic mi nie będzie.

- Na pewno? A może pojedziesz do Oak Hill? Troy uważa, że powinnaś tam zostać, aż wszystko ucichnie, i to wcale nie jest zły pomysł. Zresztą, nawet jeśli nie dla ciebie, tak byłoby lepiej dla mamy. Przydałoby jej się towarzystwo.

- Ma Hannah.

Amanda prychnęła.

- Wielka z niej pociecha! Mama nie ma Hannah - powiedziała z rozgoryczeniem. - Nikt jej nie ma.

- Może po prostu nikt nikogo nie ma.

- Pesymizm, Caitlyn, ponury pesymizm! O, drugi telefon, ktoś próbuje się dodzwonić, a ja czekam właśnie na wiadomość od Iana. Zadzwoń rano, jak już skontaktuję się z jakimś adwokatem. Do tego czasu unikaj policji.

- Spróbuję.

- Nie próbuj, tylko rób, co ci mówię! Nie musisz odpowiadać na ich pytania. Jeśli będziesz chciała z kimś porozmawiać, zadzwoń do mnie albo do tego psychologa, ale do nikogo w mundurze. Jasne?

- Jasne.

- Dobrze. A teraz spróbuj się uspokoić.

O, tak. Pewnie. Caitlyn wiedziała, że jeszcze przez długi czas nie będzie mogła się uspokoić.

- Ona kłamie. - Reed zmrużył oczy, patrząc przez przednią szybę samochodu. Był pewny, że Caitlyn Bandeaux coś ukrywa, coś, co dotyczy śmierci jej męża.

- Tak. - Morrisette siedziała za kierownicą; z zawrotną prędkością, jak zawsze, gnała wąskimi cienistymi uliczkami na posterunek.

- Odnalazłaś tę doktor Wade?

- Jeszcze nie, ale jej gabinet został podnajęty innemu psychologowi, Adamowi Huntowi.

- Więc Rebeka Wade już nie wróci?

- Nie wiadomo. Nie w najbliższym czasie. Rozmawiałam z zarządcą budynku, taki neandertalczyk albo potomek Attyli. Oczywiście nie chciał mi nic powiedzieć, więc przycisnęłam go trochę, postraszyłam, że zajrzemy w jego akta i sprawdzimy, czy kontaktuje się z kuratorem nadzorującym jego zwolnienie warunkowe. Mimo to trzymał się swojej wersji, upierał się, że pani Wade nie zostawiła żadnego adresu. Skontaktowałam się też z firmą telekomunikacyjną. Wisi im za dwa miesiące, a do tej pory była idealną klientką i w terminie płaciła wszystkie rachunki. Zadzwołam też do firmy zajmującej się wynajmem domu. To samo. Nie zapłaciła czynszu za dwa miesiące. Nigdy wcześniej nie spóźniła się z zapłatą. Zwykle robiła to nawet z wyprzedzeniem. - Morrisette postukała palcami o kierownicę. - Kobieta z biura pośrednictwa nieruchomości powiedziała, że Rebeka Wade miała wyprowadzić się pierwszego czerwca, ale wyjechała wcześniej. Połowa jej rzeczy jest spakowana, połowa nie.

- Więc co, do diabła, się z nią stało?

- Właśnie. Musimy się dowiedzieć. Pojechałam do jej domu i rozmawiałam z sąsiadką. Jest zaniepokojona jej nieobecnością.

- Czy zgłoszono zaginięcie?

- Przecież nie wiadomo, czy zginęła.

- A co z jej krewnymi?

- Sąsiadka mówi, że była samotna, chyba rozwiedziona. Prawdopodobnie ma ciotkę w

Kansas lub Wisconsin albo gdzieś na środkowym zachodzie. - Morrisette przejechała skrzyżowanie na żółtym świetle. - Sprawdzę to. Najwyraźniej pani psycholog jest bardzo skrytą osobą. Wiesz, mam pewną teorię na ich temat.

- Ich?

- No, psychologów. Wydaje mi się, że zajęli się psychologią, bo sami mieli ze sobą problemy.

Reed uśmiechnął się szeroko.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. - Sięgnęła po paczkę papierosów. - W biurze pośrednictwa nieruchomości powiedzieli też, że pani Wade wyjechała już kiedyś z miasta na sześć miesięcy, ale wtedy zapłaciła czynsz z góry.

- Myślisz, że to może mieć coś wspólnego ze śmiercią Josha Bandeaux? - zapytał Reed. Byłby to dziwny zbieg okoliczności. Zniknięcie Rebeki Wade wiązałoby się ze sprawą, w której centrum znajdowała się Caitlyn Bandeaux. Ale przecież nie takie rzeczy się zdarzają.

- Pewnie nie. - Zapaliła zapalniczkę. - Zapytałeś o nią, więc ci powiedziałam. W biurze nieruchomości dostałam numer ubezpieczenia społecznego Rebeki Wade, to powinno przyspieszyć poszukiwania. Włączyłam go już do bazy danych.

- Świetnie. Jedźmy do baru The Swamp. Sprawdźmy, czy ktoś pamięta panią Bandeaux.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - zadrwiła Morrisette i popędziła w stronę nadbrzeża.

- I tak powinno być.

Caitlyn przeszył dojmujący chłód. Przemarzła do szpiku kości, choć letni upał przypiekał chodniki Savannah. Może powodem była wcześniejsza wizyta policji, może kolejny telefon od Nikki Gillette z „Sentinela”, cokolwiek to było, zmroziło ją przenikliwym zimnem. Może faktycznie powinna odpocząć? Nie było jeszcze ciemno, więc nie poszła do sypialni, tylko położyła się na kanapie. Naciągnęła na ramiona robiony na drutach wełniany pled i wydawało jej się, że w zawiłych splotach wciąż czuje perfumy babci. Babcia Evelyn bez przerwy machała drutami, dbając, aby ścieg był równy, i pilnując się, żeby nie pomylić wzoru; siedziała przed telewizorem, w którym oglądała wszystko jak leci, od muzycznego show Lawrence’a Welka po wieczorne wiadomości, dzięki czemu jej myśli nie mogły powędrować w zakazane rejony.

Rząd prawych oczek, dwa rzędy lewych, a może na odwrót? Babcia próbowała nauczyć Caitlyn i Kelly robić na drutach, ale bliźniaczki były mało pojętne. Ostatnia lekcja odbyła się w domku łowieckim, w Boże Narodzenie... Caitlyn przeszły ciarki, podciągnęła koc pod szyję. Była dzieckiem. Miała pięć, może sześć lat. Ponieważ cały dzień bawiła się na dworze, jej kombinezon i rękawiczki suszyły się koło kominka. Nadchodziła noc, a ona miała spać w jednym pokoju z babcią. Zimną babcią. Babcią robiącą na drutach. Dziwną babcią.

- Nie chcę tam spać - powiedziała matce.

- Marudzisz. Kiedy tu przyjeżdżamy, ty i Kelly zawsze śpicie z babcią.

- Dzisiaj nie będę - powiedziała cicho. Babcia przez cały dzień nie odzywała się i, machając drutami, wodziła wzrokiem za Caitlyn bawiącą się na dworze, a potem rozgrzewającą ręce przy kominku.

- Nie wygłupiaj się. - Berneda nie chciała słuchać i obie, Caitlyn i Kelly, zostały

zapakowane do piętrowego łóżka stojącego w dużym pokoju. Babcia miała własne duże łóżko z ciemnymi kotarami. Gdy nie spała, patrzyła przez fałdy materiału, gdy spała, słychać było jej chrapanie.

Jednak tej nocy babcia nie zasunęła kotar. Leżała wsparta o poduszki i udawała, że śpi, ale oczy miała półprzymknięte. Nie chrapała, nie odzywała się; ogień w kominku wygasł i zrobiło się ciemno. Caitlyn dobrze wiedziała, że babcia nie śpi, i sama starała się nie zasnąć, w końcu jednak zmorzył ją sen.

A potem poczuła czyjaś dłoń na ramieniu i rękę obejmującą ją w pasie. Zaspana otworzyła jedno oko i zobaczyła babcię. Chciała coś powiedzieć, ale babcia przycisnęła kościsty palec do ust.

- Nie obudź Kelly - powiedziała, a Caitlyn spojrzała na skotłowaną pościel siostry. Pokój oświetlało słabe światło księżyca i Caitlyn zobaczyła, że łóżko siostry jest puste.

- Gdzie Kelly?

- Ciii! Mówiłam, że masz być cicho. Bądź dobrą dziewczynką, Caitlyn - wyszeptała babcia, niosąc ją do swojego łóżka. - Babci jest zimno. - Rzuciła Caitlyn na łóżko, położyła się obok i zaciągnęła zasłony.

Caitlyn zapłakała.

- Kochanie, musisz być cicho. Nie wiesz, że jesteś ulubienicą babci? - Lodowata ręka odgarnęła jej włosy z twarzy. Lodowate usta pocałowały ją w czoło. - O tak, przysuń się bliżej. Ogrzejesz starą babcię...

Teraz, prawie trzydzieści lat później, zatrzęsła się i odrzuciła babciny koc.

Wstrętna stara kobieta z zimnymi oczami, zimnymi dłońmi i ciemnymi, zimnymi sekretami.

- Tak, pamiętam tę kobietę. - Barman przyglądał się czarno-białej fotografii Caitlyn Bandeaux. Był krzepkim mężczyzną, miał na sobie koszulkę polo i luźne spodnie, w uchu błyszczał mu kolczyk, a siwiejący kucyk nie był w stanie odciągnąć uwagi od początków łysiny.

Było wczesne popołudnie. Do tej szczęśliwej godziny, kiedy drinki sprzedawane są po niższych cenach, pozostało jeszcze piętnaście minut. Bar The Swamp świecił pustkami, jeśli nie liczyć wypchanych aligatorów, czapli, sztucznych żab i sumów zawieszonych u sufitu. Nad kontuarem wisiał kajak z wiosłami. Na ścianach kurzyły się kołowrotki wędkarskie i kapoki. W kącie za perkusją upchnięte były pulpity na nuty, wzmacniacze, kable, mikrofony i stołki.

Przy automatach do gry dwóch stałych klientów sączyło piwo, a korytarzem prowadzącym do pozostałych sal i tylnego wyjścia przebiegał dzieciak, który nie wyglądał na dwadzieścia jeden lat.

- Zapamiętałem ją, bo zamówiła dwa drinki naraz. Dwa różne, inaczej niż większość ludzi. Zniosła je do tego stolika. - Wskazał na kanapę z przepikowanej czarnej skóry otoczoną lustrami, chwycił za ścierkę i przetarł blat. - Wydaje mi się, że zamówiła cosmopolitana i... martini. Tak. Usiadła tam i czekała na kogoś... tak mi się wydaje, że czekała na kogoś... siedziała tam, piła, paliła, spoglądała na drzwi lub w lustro... potem zrobiło się tłoczno i przestałem jej się przyglądać. Wyszła po jakimś czasie.

Reed spojrzął na stolik.

- Pamięta pan, o której godzinie przyjechała?

Barman skrzywił się. Zaczął mocniej polerować dzwonek na kontuarze.

- Niech pomyślę. Chyba po tym, jak przyjechał zespół, czyli po dziewiątej... może nawet już po kilku piosenkach... nie jestem pewien. Tak jak powiedziałem, zrobiło się tłoczno, ale wydaje mi się, że siedziała jeszcze przez chwilę. Nie jestem pewien jak długo... Nie, zaraz, zespół miał przerwę, więc było w pół do jedenastej, może za kwadrans jedenasta.

- Czy z kimś rozmawiała?

- Nie wiem. Ładna z niej babka. Myślę, że ktoś mógł mieć ochotę ją poderwać, ale przecież nie śledzę takich rzeczy. Pamiętam tylko, że kilka razy spojrzałem w jej kierunku i zobaczyłem jej odbicie w lustrze. Paliła papierosa. Więcej nic nie wiem. Tej nocy był tu straszny kocioł. Jak zawsze w piątek wieczorem.

- Jeśli coś jeszcze pan sobie przypomni, proszę do mnie zadzwonić. - Reed wręczył barmanowi wizytówkę. Potem razem z Morrisette wyszedł z baru na zalane słońcem wąskie uliczki.

- Więc była tutaj. - Morrisette otworzyła drzwi samochodu.

- Przez jakiś czas.

- Ale zdążyłyby go zabić i wrócić.

- Na to wygląda. - Usiadła za kierownicą, Reed zapiął pasy.

- Dom Bandeaux jest niedaleko. Sprawdźmy, ile czasu potrzeba, by tam dojechać - zaproponował Reed. - I nie spiesz się zbyt. Caitlyn Bandeaux wypija dwa drinki i pewnie była na tyle rozsądna, żeby nie narażać się policji. Raczej nie chciała zwracać na siebie uwagi, więc zakładam, że przestrzegała ograniczeń prędkości. Potem wypija z mężem jeszcze kieliszek lub dwa, żeby go oszołomić.

- Albo wywołać wstrząs anafilaktyczny. Potem odurzyła go narkotykiem, pocięła nadgarstki i popędziła z powrotem do baru, aby zapewnić sobie alibi.

- Tak... - Reed nie był przekonany. Morrisette ruszyła. Jakoś udało jej się nie przekraczać dozwolonej prędkości i nie przejeżdżać na żółtym świetle. - Ale jeśli chciała wykorzystać to alibi, to dlaczego przyznała się, że nic nie pamięta?

- Asekuje się na wypadek, gdybyśmy odkryli, że czas się nie zgadza, i obalili jej alibi. - Morrisette prowadziła jak na niedzielnej przejażdżce. Do domu Bandeaux w starej dzielnicy miasta dotarli w niecałe dwadzieścia minut. - Nocą ruch na pewno był mniejszy. Mogła zdążyć w piętnaście. - Morrisette zaparkowała na podjeździe, a Reed zauważył żółtą taśmę policyjną wciąż przymocowaną do żelaznego ogrodzenia. Wisiała luźno, w jednym miejscu była naderwana, wkrótce pewnie ją zdejmą. W przeciwieństwie do pętli, która zaciska się na długiej szyi pani Bandeaux. A z każdym jej kłamstwem zaciska się coraz mocniej.

- I co o tym sądzisz? - zapytała Morrisette.

- Skoro nie była z nami zupełnie szczerą, myślę, że pora zdobyć zezwolenie na pobranie od pani Bandeaux próbki krwi.

- Też tak myślę. A przy okazji poprosimy o nakaz przeszukania domu. Jeśli będziemy mieli szczęście, może uda nam się znaleźć narzędzie zbrodni.

Adam oparł się o podniszczoną poręcz werandy i zamieszał drinka. Z domu, który wynajął, miał widok na plac Waszyngtona. Zmierzchało już, światło dnia przygasało z każdą sekundą. Ruch był nieduży, w dole przetoczyło się zaledwie kilka samochodów, nadciągała noc. Czuł się podle. Okłamywanie Caitlyn kosztowało go więcej, niż się spodziewał. Powinien wyznać jej wszystko. Pociągnął duży łyk. Wiedział, dlaczego dręczą go wyrzuty sumienia. Podobała mu się. To było głupie. Mógł stracić licencję,

gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli. Musiał być ostrożny.

To dlatego, że od dawna nie miał kobiety.

Nie. To tylko połowa prawdy. Dawno nie spotkał kobiety, która by go pociągała. To pewnie z powodu byłej żony. Czy kiedykolwiek o niej zapomniał?

Może wreszcie teraz się uda.

Przynajmniej znalazł kogoś, o kim mógł fantazjować.

Tyle tylko, że ona jest twoją pacjentką.

- Do diabła - mruknął.

Pod drzewami spacerowała jakaś para, na ławce siedział wychudzony mężczyzna z laską, w zabawnie przekrzywionym kapeluszu. Dwie wiewiórki tańczyły na drzewie, śmigały wśród gałęzi, szeleszcząc liśćmi.

Co powiedziała Rebeka, gdy dzwonił do niej ostatni raz?

- To prawdziwy przełom, nie uwierzysz. To jest to, Adamie. Pamiętasz, chciałam napisać książkę o tym przypadku? Wreszcie mam materiał. Wezmę kilka miesięcy wolnego na uporządkowanie notatek i jeśli pacjentka się zgodzi, napiszę tę książkę. Będziesz zazdrosny!

Śmiała się niemal zalotnie i poczuł, że może istnieje jeszcze jakaś szansa na ocalenie ich związku. Od bardzo dawna nie słyszał w jej głosie radości. Zastanawiał się, ile w tym było jego winy.

Brakowało mu jej wesołego przekomarzania się.

Dzwonił jeszcze w nadziei, że znów usłyszy ten odmłodzony, pełen zapału głos.

Nie usłyszał. Nie oddzwoniła, a kiedy wreszcie przyjechał, okazało się, że zniknęła bez śladu, zostawiając niezapłacone rachunki.

A potem spotkał Caitlyn Bandeaux.

Piękna, seksowna, niedawno owdowiała.

Lód w szklance zastukał cicho.

Dzwoniła dzisiaj, wydawało mu się, że jest zdenerwowana, chciała się umówić na jutro. Zgodził się.

I nie mógł się doczekać tego spotkania.

Więc znów zagrasz rolę psychologa?

Wykrzywił usta, sumienie nie dawało mu spokoju. Powinien zakończyć już te podchody; powinien po prostu pójść na policję. Ale nie mógł. Jeszcze nie teraz. Jeszcze raz spróbuje działać na własną rękę, obiecał to sobie. I urok Caitlyn Bandeaux mu w tym nie przeszkodzi.

Był pewien, że czar, jaki na niego rzuciła, mógł mieć zgubne skutki. Powinien coś postanowić.

Niestety wiedział, że cokolwiek postanowi, będzie tego żałował. Pociągnął kolejny duży łyk starej whisky.

Czy mu się to podobało, czy nie, znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Teraz mogło być już tylko gorzej.

Rozdział 14

Chłodna woda spłukiwała z jej ciała brud, dym, pot i grzech. Sugar stała w strumieniu wody z zamkniętymi oczami. W głowie pobrzmiwała jej głośnie muzyka, której musiała słuchać przez trzy godziny, mięśnie bolały ją od tańca i wygibasów przy tej cholernej rurze. Boże, jaką czuła ulgę, gdy kończyła się noc.

Gdyby nie pieniądze, rzuciłaby to. Dickie Ray miał czelność sugerować, że Sugar lubi

tańczyć nago, że podniecają ją pożądliwe spojrzenia, gwizdy i krzyki tłumu facetów, ale się mylił. Robiła to tylko dla pieniędzy. W żadnym innym miejscu w tym mieście nie zarobiłaby tyle co w klubie. Ale ten prostak nie rozumiał. On w ogóle niewiele rozumiał. Jasne, nęciła go forsa, ale spodziewał się, że sama zapuka mu do drzwi. Dziwne, że Sugar jeszcze go tolerowała. Należał do rodziny. Wiadomo, więzy krwi i te sprawy. Takie tam pieprzenie.

Wtarła we włosy szampon, umyła twarz, ramiona i plecy. Potem nałała na dłoń żelu o zapachu fiołków i zaczęła starannie masować piersi i brzuch.

Choć nie podniecało jej obnażanie się przed anonimowymi facetami w klubie, lubiła pokazywać swoje wklęsłości i wypukłości, a szczególnie biust, jednemu wybranemu mężczyźnie... temu, który obiecał przyjść dzisiaj. Myśl o spotkaniu z kochankiem podniecała ją. Drżała na samo wspomnienie. Nie myślała, że ten związek ma jakąś przyszłość. Ale przecież nie wiesz, jak to się skończy. Dlaczego nie miałabyś sobie trochę pomarzyć?

Czuła się seksowna, nieprzyzwoita i trochę zła, lubiła się tak czuć. Ten nowy kochanek bardzo ją podbudowywał, nabierała przy nim pewności siebie. Cała śmietanka towarzyska Savannah niech się pocałuje gdzieś. Miasto uchodziło za przyrodnią siostrę Atlanty - wyniosłej damy w przybrudzonej sukni sprzed wojny secesyjnej. Jeśli to prawda, Sugar Biscayne wcale nie miała ochoty na wizytę w Atlancie. W Savannah snobizmu było aż nadto. Ale ona się wreszcie odegra na tych nadętych bufonach.

Zakręciła prysznic, wytarła się i wmasowała we włosy perfumowaną piankę. Wklepała żel i balsam do ciała, włożyła czarne stringi, luźno upięła włosy, pozwalając, by jeden niesforny wilgotny kosmyk opadł na ramię. Trochę różu na sutki, pociągnięcie rzęs tuszem, błyszczak - lubił, gdy wyglądała młodo, niewinnie i podniecająco. Chciał, żeby odgrywała rolę kuszącej dziewicy, niewinnej dziewczyny, która pragnęła właśnie jego... Marzenie każdego faceta! Ale dla niego była gotowa na wszystko.

Jesteś niewolnicą jego miłości, a on cię zwodzi. Zignorowała wewnętrzny głos, bo właśnie usłyszała za oknem rasowy warkot silnika i zgrzyt opon na żwirze. Uszczypnęła się jeszcze w sutki, żeby nabiegły krwią, nałożyła białe, krótkie, ledwie przykrywający tyłek szlafrok, który dostała od niego w prezencie.

Ścianę zalały światła reflektorów, wybiegła z sypialni i przeszła krótkim korytarzem, zatrzymując się na chwilę pod drzwiami do pokoju Cricket. Były uchylone, Sugar otworzyła je szerzej i zobaczyła skotłowane łóżko, porozstawiane wszędzie szklanki i talerzyki, rzucone byle gdzie ciuchy, walające się na dywanie buty, pokruszone chipsy.

Chlew.

Niech Cricket lepiej posprząta u siebie i w ogóle uważa na to, co robi, jeśli nie chce stąd wylecieć. To Sugar płaci rachunki, więc to ona ustala zasady. Młodsza siostra mogłaby, do cholery, ich przestrzegać. Niedoczekanie, żeby Sugar po niej sprzątała. Cricket jest wystarczająco dorosła - na Boga, ma prawie dwadzieścia cztery lata! Sugar zastanawiała się, czy siostra w ogóle się dzisiaj pojawi. Już prawie trzecia nad ranem.

Zamknęła drzwi do pokoju Cricket. Reszta domu lśniła czystością. Z wyjątkiem sfatygowanej kanapy noszącej ślady pazurów kota Cricket i dwóch plam, którym nie dał rady żaden detergent i żadne szorowanie, przyczepa była czysta, tylko trochę zniszczona.

Mruczenie silnika ucichło.

Caesarina warczała gardłowo.

- Przestań! - rozkazała Sugar. - Bądź grzeczna - ostrzegła i otworzyła drzwi. Był już na

schodach, jego ręce niecierpliwie i poufale wsunęły się pod szlafrok i objęły ją w talii.

- Ładnie pachniesz - wymruczał, przyciskając usta do jej karku, rękami objął jej pośladki i przyciągnął ją mocno do siebie. Poczowała jego nabrzmiąły członek, podnieciło ją to, a pożądanie rozpałiło krew. Dobrze. O, jak dobrze. Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała.

Jęknął cicho, popchnął ją do środka i kopnął drzwi. Powoli przesunął palcami w górę i ujął w dłonie jej piersi.

- Kochaj się ze mną - mruzczał, kęsając ją w ucho.

- Nie chcesz najpierw się napić?

- Później.

- Więc chodźmy do sypialni...

- Po prostu kochaj się ze mną. - To był rozkaz. Położył jej ręce na głowie i popchnął na podłogę, tak że klęczała przed nim. - Tak maleńka, to jest to, czego tatuś potrzebuje.

To i jeszcze dużo więcej, pomyślała trochę rozczarowana, gdy skierował biodra w jej stronę. Wiedziała jednak, że rozczarowanie zaraz minie. To była część ich rytuału. Najpierw obsługiwała go jak jakaś dziwka, potem dostawała klapsy, ale w końcu zawsze i niezawodnie przemieniał się w wyuzdanego kochanka, który zaspokajał każde jej pragnienie.

Jeśli najpierw jego zostały zaspokojone.

Powtarzała sobie, że naprawdę nie ma co narzekać.

Traktował ją lepiej niż mężczyźni, których знаła do tej pory.

Spojrzała w górę na jego przystojną twarz. Gdy ich oczy spotkały się, posłała mu niegrzeczny uśmiech, oblizwała usta i powoli, powoli, przesuwał paznokciami po metalowych ząbkach, rozsunała rozporek.

Atropos stała ukryta w cieniu. Wciąż panowała noc, ale na wschodzie czyhał już świt. Niedługo szare światło zakradnie się między suche chwasty i splątane gałęzie, które służyły jej za kryjówkę. Samochód zostawiła ponad pół kilometra stąd.

Patrzy.

Czeka.

Wysłuchuje się w dzikie, zwierzęce odgłosy i jęki dochodzące z przyczepy. Wykrzywia usta z obrzydzeniem.

Jak skończy się to całe pieprzenie, będzie musiała zapalić papierosa. Spojrzała na zegarek. Prawie piąta nad ranem, a kochanek Sugar Biscayne wciąż tam jest, wciąż to robi. Oboje są siebie wari. Sukinsyn zakradał się nocą do tej żalostnej blaszanej puszki i pieprzył się z tą nędzną dziewczyną.

Odgłosy parzenia się ucichły i kilka minut później drzwi przyczepy się otworzyły. Sylwetki kochanków były oświetlone od tyłu jaskrawym światłem żarówek migających na niebiesko. On miał wymięty garnitur, z tyłu ze spodni wyszła mu koszula; Sugar stała boso, skąpy szlafrok nie skrywał dobrze tego, co tak dumnie prezentowała w klubie Pussies In Booties; włosy miała zmierzwiłone... żalostna cipa. Nędzna dziewczyna, która za kilka wszawych dolców wystawia na pokaz swoje błyszczące od potu ciało. Była kobietą najpodlejszego gatunku.

A jej kochanek świetnie do niej pasował.

Bo też był mężczyzną najpodlejszego gatunku. Dał się złapać w pułapkę seksu i pożądania, wpadł w nią na całego. Pocałował kochankę na pożegnanie, ścisnął jej tyłek i popędził do swojego drogiego samochodu i do swojego drugiego życia. Co powie żonie?

Jaką poda wymówkę? Jak ukryje zapach seksu, alkoholu i innej kobiety? Skurwiel, zanim wróci do domu, zatrzyma się pewnie w motelu, ogoli, weźmie prysznic i obmyśli jakieś kłamstwa. Zresztą niewykluczone, że żona już wie. Może tylko nie chce spojrzeć prawdzie w oczy, nie dopuszcza myśli, że mąż zrobił skok w bok.

Dwa snopy światła zalały zarośla i Atropos zamarła z bijącym sercem. Ale on jej nie widział, uciekał w pośpiechu. Zawarczał silnik i luksusowy samochód ruszył z kopyta, mężczyzna zacisnął dłonie na kierownicy, cofnął pośpiesznie i zazgrzytał kołami na zwirze.

Sugar stała w drzwiach w rozchylonym szlafroku, z resztkami szminki na ustach. Uniosła rękę i zastygła w daremnym oczekiwaniu na jakiś gest z jego strony. Może pośle jej całusa? Żałosna, niedopieszczona cipa. Nie wiedziała, że jego już tu nie ma, że właśnie obmyśla alibi, gotów natychmiast zmyć z siebie najmniejszy ślad jej zapachu i dotyku.

Cała ta scena przyprawiła Atropos o mdłości.

Ale niedługo to się skończy.

Dni i miłosne noce Sugar są już policzone. Atropos sięgnęła do kieszeni i poczuła nic - życie Sugar jest odmierzone i wkrótce zostanie przecięte. To tylko kwestia dni. Atropos, zadowolona z siebie, już chciała wracać do samochodu, kiedy usłyszała głos Sugar.

- Chcesz wyjść?

Atropos przeszły po plecach ciarki.

- No, chodź... - Sugar otworzyła szerzej drzwi i z przyczepy wyskoczył pies. Ogromna bestia o mocnym karku i potężnej piersi.

Cholera! Atropos zamarła. Pies uniósł nos i zaczął węszyć. Wstrzymała oddech. Pies zawarczał. Gapił się w jej stronę.

O, nie, tego nie było w planie. Atropos sięgnęła powoli do kieszeni i zacisnęła palce na nożyczkach chirurgicznych.

- Caesarina! Szybko! Wysikaj się i chodź! - Sugar stała niecierpliwie w drzwiach, przytrzymując ręką poły szlafroka.

Bestia spojrzała na Sugar, pochyliła głowę, znów warknęła i ruszyła w stronę krzaków.

- Caesarina, stój!

Serce uciekło Atropos w pięty. Niedobrze... Cała spocona znów sięgnęła do kieszeni. Znalazła komórkę i wcisnęła klawisz z zaprogramowanym numerem.

Pies był coraz bliżej, szczyrzył białe zębiska i gapił się błyszczącymi ślepiami prosto w krzaki.

- Na miłość boską, chodź! - wołała Sugar, wpatrując się w zarośla, które zaczynał rozjaśniać świt. Niedługo Atropos straci swoją kryjówkę. - Coś ty tam znalazła?

Szybciej, szybciej. Dzwon, cholera.

- Caesarina?

W przyczepie głośnie zadzwonił telefon.

- Kto, do diabła...? - zapytała Sugar i weszła do środka, a Atropos zaczęła się powoli cofać. Wyszła z krzaków, zeszła po łagodnym pagórku i przeskoczyła przez ogrodzenie, aby dostać się do swojego samochodu. Przez cały czas nie spuszczała z oczu zbliżającego się psa. Wrzuciła telefon do kieszeni i zaczęła w niej grzebać... na pewno tu jest... przecież nie zapomniała...

- Halo? - usłyszała w telefonie głos Sugar. Atropos cofała się coraz szybciej, pies zaczął biec. Już ją doganiał.

- Halo? Kto mówi? - Sugar powtarzała pytająco imię swojego kochanka. Głupia! Atropos

skierowała nożyczki w stronę kundla, drugą ręką namacała wreszcie gaz łzawiący.

Pies rzucił się z rozdziawioną paszczą. Zęby miał jak ostrza. Atropos nacisnęła przycisk pojemnika z gazem.

- Halo? Kto to? Halo? Halo?! - wściekała się Sugar, jej przytłumiony głos dochodził z kieszeni Atropos.

Gaz trysnął psu prosto w oczy.

- Giń, suko! - Atropos rzuciła się do ataku. Dźgnęła nożyczkami jak sztyletem. Śmiertelna broń zagłębiła się w szyi zwierzęcia. Raz. Drugi.

Caesarina zawyła i wycofała się.

- Co się dzieje? - krzyknęła Sugar.

Pies, skomląc i brocząc krwią, zawrócił, a Atropos pobiegła do samochodu.

- Caesarina? O, Boże... co się stało? - Głos Sugar był pełen troski i niepokoju. - Poszarpałaś się z oposem? Jezu, ty krwawisz! O, Boże... muszę cię zabrać do weterynarza! Tak jakby to miało pomóc.

Gdy pierwsze promienie świtu rozlały się po polach, Atropos wspięła się na ostatni pagórek i zobaczyła swój samochód. Udało się jej. Pies pewnie nie żył, no i dobrze. Da to tej suce Biscayne do myślenia.

Caitlyn zebrała się na odwagę i zastukała lekko do drzwi gabinetu Adama. To konieczne, powtarzała sobie, musisz omówić pewne sprawy. Przyszła tu, bo potrzebowała pomocy, a nie dlatego, że Adam Hunt wydał jej się przystojnym, interesującym facetem.

- Proszę!

Weszła do środka i zobaczyła, że biurko jest odsunięte, a Adam klęczy na podłodze. Uśmiechnął się jak dzieciak przyłapany z rękaw słoju z ciasteczkami.

- Przepraszam. - Wstał i otrząpał spodnie. - Coś się stało z komputerem. Myślałem, że może rozłączyła się listwa zasilająca. Niestety to coś innego. - Przesunął biurko z powrotem. Caitlyn spojrzała na jego pośladki. Ładne. napięte. Cholera, o czym ona myśli?

- Zanim zaczniemy, napij się czegoś? - Machnął energicznie w stronę stolika z dzbankiem.

- Kawy, jeśli masz. Może być rozpuszczalna.

- Świetnie.

Po kilku sekundach siedziała w rogu kanapy, ściskając ciepły kubek. Adam założył okulary i odchylił się w fotelu, oparł notatnik na kolanie.

- Zadzwoiłam do ciebie, bo mam złe sny. - Podmuchała na kawę, starając się nie patrzeć na niego. Ale i tak zauważyła wysokie czoło, proste czarne włosy, badawcze spojrzenie ciemnych oczu.

Czekał. Pstryknął długopisem.

- Czasami powracają te same. Czasami pojawiają się nowe, ale zawsze są przerażające, koszmarne. - Wzdrygnęła się. - Potworne. Wykańczają mnie.

- Jak często je miewasz? Co noc? - Zaczął notować.

- Prawie. Czasami budzę się w środku snu, złana potem, zupełnie dezorientowana. Czasami śnię cały sen do końca i rano mam tylko takie niejasne wrażenie, że coś mi się śniło. A potem w ciągu dnia koszmar powraca i dręczy mnie. - Uśmiechnęła się blado. - Zawsze pojawia się w nich ktoś z mojej rodziny... jakaś walka między życiem a śmiercią i... zawsze wiem, że wydarzy się coś złego. Próbuję pomóc, ale nigdy mi się nie udaje.

Czasami mam tyle lat, co teraz, czasami jestem małą dziewczynką. Ostatnim razem śnił mi się Charles.

- Twój starszy brat?

- Tak.

- On nie żyje, prawda? - Zmarszczył brwi.

- Tak. Śni mi się dzień, w którym zmarł. To ja go znalazłam. - Łyknęła trochę kawy i starała się zapanować nad głosem i emocjami. - Taki straszny wypadek! - Przeszedł ją dreszcz. Opowiedziała Adamowi wszystko, co pamiętała. O tym, jak zgubiła się, biegając po lesie z Griffinem i Kelly, o tym, jak znalazła umierającego Charlesa i jak wyrwała tę okropną strzałę z jego piersi.

- Chyba nie należało jej ruszać. Byłam tylko dzieckiem i nie miałam pojęcia, czym to grozi, ale Griffin, mój przyjaciel, który przybiegł za mną, powiedział, żebym jej nie wyciągała. Nie posłuchałam go. Myślałam, że uratuję Charlesowi życie. - Głos jej się załamał, wzięła więc głęboki wdech. To było dawno. Dawno temu. Musi wreszcie sobie z tym poradzić. - W każdym razie - powiedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę - mój brat umarł. Lekarz zapewniał matkę i mnie, że Charles i tak by nie przeżył, ale myślę... to znaczy zastanawiam się... - Westchnęła i potrząsnęła głową. - Myślę, że doktor Fellers mógł tak powiedzieć, żeby mnie chronić.

- Dlaczego miałyby to robić?

- Bo miałam wtedy tylko dziewięć lat i... i zawsze czułam się za wszystko odpowiedzialna... ale może to część klątwy Montgomerych.

Adam robił notatki. Spojrzał znad okularów.

- Klątwy?

Zarumieniła się. Nie miała zamiaru o tym wspominać.

- To pewnie tylko... takie gadanie. Przesady. Ale słyszałam o niej od zawsze. Lucille - pokojówka mojej mamy i nasza niania - przysięga, że to prawda. Ale Lucille wierzy w duchy.

- A ty nie?

Caitlyn wzruszyła ramionami.

- Nie wierzę i każdemu, kto o to zapyta, przysięgnę, że nie, ale... czasami... sama nie wiem. To tak samo jak z Bogiem. - Oparła się o miękką skórę kanapy i przymknęła oczy. - Tak nie powinno być. To znaczy, chcę wierzyć w Boga, ale nie jestem pewna, czy naprawdę wierzę. Niekoniecznie chcę wierzyć, że wokół nas spacerują sobie duchy, które nie zdecydowały się jeszcze stąd odejść, ale czasami myślę... to znaczy czuję, że nie jestem sama.

- Wydaje ci się, że czujesz czyjąś obecność?

- Tak - wyszeptwała, kiwając głową. - Tak mi się właśnie wydaje. - Zaśmiała się krótko. - Wiesz, dla mnie samej to brzmi nedorzecznie. Duża część mojej rodziny sądzi, że tracę kontakt z rzeczywistością, porównują mnie do mojej babki... - Urwała, gdy przed oczami stanął jej obraz babci, tak jak ją widziała ostatni raz - woskowa twarz i niewidzące oczy. Dostała gęsiej skórki i wciągnęła mocno powietrze.

Adam przyjrzał się jej badawczo.

- Dobrze się czujesz?

- Tak... nie... to znaczy myślę, że nie byłoby mnie tutaj, gdybym się dobrze czuła. - Spojrzała mu prosto w oczy i dodała: - Jesteś moim terapeutą.

- Więc wróćmy do klątwy Montgomerych.

- A, tak. - Postawiła kawę na stole, wstała i podeszła do okna. Na niebie kłębiły się chmury, zanosilo się na deszcz. Niebo było tak złowieszcze i ciemne, jak ta diabelna kłątwa rodzinna. Na werandzie domu po drugiej stronie ulicy kobieta w ogromnym kapeluszu sypała nasiona do karmników dla ptaków.

- Tak, kłątwa. - Caitlyn zawahała się. Czuła, że to nie w porządku zdradzać tajemnice rodzinne. Raz już wyznała wszystko doktor Wade i wtedy też miała skrupuły. Machinalnie potarła nadgarstki. Nacięcia zaczynały się goić. Tylko skąd one się u diabła wzięły? Niektórzy sami się okaleczają, zadają sobie ból, ale z pewnością - o Boże, proszę - z pewnością nie ona. - Moją rodzinę prześladowają choroby psychiczne... no więc... mówię ci o tym, ale myślę, że i tak już wiesz.

Uśmiechnął się lekko.

- Opowiedz mi o tym.

- Nie wiem, ilu pokoleń wstecz to sięga, ale babka Evelyn cierpiała na coś w rodzaju... nazwijmy to demencji. Jej choroba nigdy nie została zdiagnozowana, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. A nawet jeśli, rodzina skrzętnie skrywała tajemnicę. Bo moja rodzina jest z tych, co trzymają trupy w szafie. - Spojrzała przez ramię i uniosła brwi. - Biedna szafa, chyba jest już całkiem pełna. Montgomery powinni wynająć kolejną, a jeszcze lepiej jakiś magazyn lub strych. W każdym razie babka i dziadek Benedict mieli dwoje dzieci, Camerona - to mój ojciec, i Alice Ann. Z Alice Ann, jak to rodzina ładnie ujmuje, „zawsze coś było nie w porządku”. Nie wiem, dziś pewnie nazwano by to zaburzeniem afektywnym dwubiegunowym czy jakoś tak. Nie pamiętam jej, bo zamknęli ją w zakładzie. Evelyn...

- To twoja babcia, tak?

- Tak, babcia. - Ścierpła jej skóra, jak zawsze na myśl o babce. - Ona też była szalona, jeszcze zanim pojawiły się objawy demencji. Ale może to dlatego, że musiała żyć z moim dziadkiem, który... No cóż, był kobieciarzem. Mało powiedziane! Nie było drugiego takiego. - Patrzyła przez okno na pierwsze krople deszczu uderzające o szyby. Ile to razy w dzieciństwie słuchała konspiracyjnych szeptów starszego rodzeństwa lub Lucille i Bernedy. - Nazywał się Benedict Montgomery, to on stworzył Montgomery Bank and Trust. Miał długoletni romans ze swoją sekretarką. Mary Lou Chaney. Ona zaszła w ciążę i urodziła nieślubne dziecko, w tamtych czasach był to wielki skandal. A w dodatku, zamiast zniknąć po cichu w jakimś domu dla samotnych matek, mieszkała sobie spokojnie tuż za miastem. Córkę nazwała Copper Montgomery Chaney. Stało się to na wiele lat przed moim narodzeniem, ale nie wątpię, że babcia była zdruzgotana. Z tego, co mówi rodzina, wtedy właśnie zaczęły się problemy.

- Wierzysz w to?

- Sama nie wiem. Odkąd pamiętam babcia zawsze była... dziwna. Zgorzkniała. - Wyrzała przez okno. Na parapecie schroniły się przed burzą gołębie. Deszcz łomotał w okna, kobieta, która krzątała się na tarasie po drugiej stronie ulicy, zniknęła w swoim mieszkaniu.

- Skandal nie zakończył się w momencie narodzin Copper. Rodzina mówi, że wyrosła ona na twardą i nieokielznaną kobietę i wyszła za faceta, który nazywał się Earl Dean Biscayne. Mieli trójkę dzieci. Te dzieci są chyba moimi kuzynami, ale nie wiadomo na pewno. Copper zginęła kilka lat temu w pożarze w swoim domu.

- Dlaczego nie wiadomo, czy jej dzieci są twoimi kuzynami?

Boże, to było trudne. Patrzyła na kroplę deszczu ściekającą po szybie.

- Chyba powinnam zmienić zeznania. Wszyscy jesteśmy pewni, że oni są naszymi kuzynami. A może nawet kimś więcej. - Odwróciła się, przekonana, że dostrzeże w jego oczach potępienie lub cień obrzydzenia albo przynajmniej surowy osąd, ale nie, nie zmienił wyrazu twarzy. - Widzisz, mój ojciec poszedł w ślady swojego ojca. Poznał Copper przez Benedicta, który kochał Mary Lou aż do jej śmierci, i mój ojciec, który był już żonaty z moją matką, zrobił skok w bok z Copper. Swoją siostrą przyrodnią. - Na samą myśl zrobiło jej się niedobrze. - Po mieście krąży plotka, że przynajmniej jedno z trójki dzieci Copper, a może nawet wszystkie zostały splodzone przez mojego ojca. - Caitlyn oparła się biodrami o parapet i próbowała wymazać z pamięci scenę, którą widziała kiedyś przez okno - cienie na trawie, sylwetki ukradkowych kochanków, miłosne jęki niesione wiatrem tarłującym trawę. - Myślę, że babka miała powód, żeby zwariować - powiedziała. - Najpierw zdradził ją mąż, a potem jedyny syn dopuścił się kazirodztwa. Często mówiła o „złej krwi”, przekleństwie naszej rodziny.

- Co się z nią stało?

Caitlyn zobaczyła w wyobraźni trumnę babki opuszczaną do grobu i przypomniała sobie niesamowite uczucie ulgi, które ją ogarnęło, gdy stała na cmentarzu, obejmując Kelly i nie roniąc ani jednej łzy.

- Mieszkała w Oak Hill, tak nazywa się rodzinna posiadłość. To duży dom i jedna z niewielu plantacji znajdujących się w pobliżu Savannah. Wszyscy tam dorastaliśmy, babcia też tam z nami mieszkała. Umarła, gdy miałam pięć lat. W wigilię Bożego Narodzenia. W naszym domku łowieckim w Wirginii Zachodniej. - Chętnie by na tym zakończyła. Ale przecież nie po to tu przyszła. Skoro już zaufała nowemu terapeutce, powinna otworzyć się przed nim do końca. - Doktorze Hunt, czasami mam kłopoty z pamięcią.

- Adam, dobrze? Nie bądźmy tacy oficjalni. Będę się do ciebie zwracał Caitlyn, a ty do mnie Adamie, jeśli ci to nie przeszkadza.

- W porządku. Adamie. - Przetestowała jak brzmi jego imię, uśmiechnęła się słabo i zdecydowała się mówić dalej, zanim emocje wymkną się jej spod kontroli. - Tak jak mówiłam, mam kłopoty z pamięcią. Są okresy, których nie tylko nie pamiętam wyraźnie, ale w ogóle nie pamiętam. Dziury w życiorysie. To irytujące, a właściwie przerażające. To... to zdecydowanie ponad moje siły. Głównie dlatego spotykałam się z Rebeką... z doktor Wade.

- Wiem - powiedział z uprzejmym uśmiechem, który wydał jej się zaskakująco seksowny. - Przeczytałem o tym w jej notatkach.

- Tak? - zapytała zdziwiona. - A powiedziałeś, że nie masz żadnych notatek. - Nie bądź podejrzliwa, nie bądź podejrzliwa, nie bądź tak cholernie podejrzliwa! Ten facet chce ci pomóc.

- Musiałeś mnie źle zrozumieć. - Patrzył jej spokojnie prosto w oczy. - Powiedziałem, że nie ma żadnych notatek w komputerze. Pliki komputerowe, jeśli kiedykolwiek istniały, zostały skasowane.

- To niemożliwe. Widziałam, jak prowadziła zapiski w komputerze... może nagrała je na dyskietki.

- Nie znalazłem żadnych dyskietek.

- Ale skoro chciała, żebyś zajął się jej pacjentami, to chyba powinna ci udostępnić wszystkie notatki.

- Myślę, że masz rację. Może są gdzieś na dyskietkach. - Powiedział to swobodnie, ale

zauważyła, że zrobił się spięty. - Znalazłem jej odręczne notatki, ale niekompletne.

- Dziwne. Wyglądała na bardzo skrupulatną... zawsze wszystko wyjaśniała i uściślała...

- Zapytam ją o to.

- Będzie do ciebie dzwonić?

- Mam nadzieję - powiedział, ale przez jego oczy przemknął cień. Caitlyn wyczuła kłamstwo.

Nagle zrobiło jej się nieswojo. Co o nim wiedziała?

- Notatki są chaotyczne i chciałbym wyrobić sobie własne zdanie. - Położył notatnik na biurko, pochylił się do przodu, splecione ręce zwiesił między kolanami. Patrzył na nią przyjaźnie i uwodzicielsko.

Znów ten problem. Zawsze pociągali ją mężczyźni wprost stworzeni do tego, by ją ranić. Tak było z Joshem Bandeaux.

- Posłuchaj, Caitlyn, jeśli nie odpowiada ci to, co tutaj robimy, myślę, że powinienem skierować cię do kogoś innego. Może będziesz się czuła swobodniej z kobietą.

- Dlaczego?

- Bo przyzwyczaiłaś się do Rebeki.

Nie, nie będzie zaczynać od nowa. To takie trudne. Zresztą, czy chciała się do tego przyznać, czy nie, lubiła Adama. Czuła się przy nim bezpiecznie i pewnie. Idiotyczne, bo na dobrą sprawę, co o nim wiedziała? Aby się uspokoić, spojrzała na dyplomy wiszące na ścianach.

Musiał zauważyć niezdecydowanie w jej oczach.

- Chciałbym wiedzieć, o czym chcesz rozmawiać, co uważasz za ważne. Wiele się wydarzyło od czasu, kiedy ostatni raz widziałaś się z doktor Wade.

Miał rację. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak prawdziwe były jego słowa.

- Ale jeśli chcesz spotykać się z kimś innym... - zaproponował.

- Nie - powiedziała szybko. Kolejny nieznany psychoterapeuta mógł być przecież gorszy, dużo gorszy i co wtedy? Potem następny, a potem jeszcze jeden. Prawie rok zajęło jej znalezienie Rebeki. Zdecydowała się na nią, bo wyczuła w niej autentyczne ciepło i życzliwość. Od razu na wiązała się między nimi nic porozumienia. Teraz Caitlyn czuła coś w rodzaju przywiązania do Adama. Wytrzyma. Przynajmniej na razie.

- Kontynuujmy - powiedziała. - Chcę zrzucić z siebie ten ciężar.

- Jeśli jesteś pewna...

- Jestem - powiedziała, ale było to bezczelne kłamstwo. Już niczego nie była pewna. Ani jednej cholerniej rzeczy.

- W porządku, więc opowiedz mi o swojej babce, Evelyn.

Adam uśmiechnął się uspokajająco, spojrzał na zapiski i podniósł notatnik.

- Wspomniałaś o niej i o swoich zanikach pamięci niemal jednym tchem.

- Tak - przyznała. - Miałam zamiar powiedzieć, że choć czasami nie pamiętam wielu rzeczy, to noc, kiedy umarła babcia, na zawsze pozostanie mi w pamięci. Byłam z nią wtedy w pokoju i spałam w jej łóżku. Obudziłam się, a ona leżała z otwartymi oczami, lodowato zimna. Patrzyła na mnie. Wpadłam w szal, dziki szal. Wrzeszczałam, płakałam i waliłam w drzwi, ale jej pokój znajdował się nad garażem, z dala od innych pokojów. Nikt mnie nie słyszał. - Ścisnęło ją w gardle i głos jej się załamał, gdy przypomniała sobie, jak kuliła się w pobliżu szafy, ssąc kciuk. - Przez długi, długi czas nikt się nie zjawił.

Rozdział 15

Ta cholerna sprawa... „cholerny” to nie jest przekleństwo, za które trzeba wrzucać forsy

do skarbonki - zastrzegła się Morrisette, zarzucając na ramię torebkę i pędząc schodami w dół. Reed szedł tuż przed nią. - Ta cholerna sprawa coraz bardziej się chrzani.

- Zgadza się. - Myślał dokładnie to samo. Zbyt wielu ludzi znało Josha Bandeaux. Zbyt wielu ludzi go nienawidziło. Zbyt wiele kobiet było z nim związanych. Zbyt wiele dowodów nie pasowało do siebie. Rozmawiał już z Diane Moses, ale miał się jeszcze z nią spotkać, żeby przeanalizować dowody, jakie jej zespół znalazł na miejscu zbrodni.

Pchnął ramieniem drzwi na parking. Było późne popołudnie, cień budynku wydłużał się na mokrym od deszczu asfalcie i choć niedawno padało, temperatura wciąż przekraczała trzydzieści stopni. I ta przekłeta wilgoć w powietrzu. Zanim dotarł do samochodu, koszulę miał mokrą od potu.

- Powiedz, czego się dowiedziałas, ja poprowadzę.

- Ja poprowadzę.

Reed otworzył drzwi i posłał jej uśmiech.

- Następnym razem, Andretti.

Skrzywiła się lekko na to złośliwe porównanie do legendarnego rajdowca.

- Trzymam cię za słowo.

- Nie wątpię. - Przekręcił kluczyk, włączył wycieraczki, aby wytrzeć krople deszczu. Wyjechali z parkingu. Morrisette oparła się o drzwi. - Wiemy, że żona miała powody, żeby nienawidzić Bandeaux, ale facet miał jeszcze kilku innych wrogów. Ci, z którymi robił interesy, cały tłum jego byłych dziewczyn... - Spojrzał na nią.

- Daj spokój, dobrze? Nie byłam jego dziewczyną. A Millie nie jest podejrzana. Boże, Reed, żałuję, że ci o tym powiedziałam!

- I tak bym się dowiedział.

- Jasne - powiedziała z sarkazmem - taki as jak ty!

Reed skrzywił się. Sylvie Morrisette była jedną z niewielu osób w wydziale zabójstw, które wiedziały o jego spartaczonym robocie w San Francisco.

- Czy wzywanie Boga zalicza się do przekleństw?

- Po prostu modliłam się.

- Nie wątpię.

- Do diabła! Żałuję też, że powiedziałam ci o skarbonce. Jesteś gorszy od moich dzieciaków.

- Czy to w ogóle możliwe?

- Strasznie śmieszne. Mam świetne dzieciaki.

- Jeszcze są małe.

- A ty co o tym wiesz? - Prychnęła i przewróciła oczami. - Mam cholernie dość wszystkich tych pier... głupich glin w wydziale. Wszyscy mi mówią, jak wychowywać dzieci. Wielkie dzięki! Świetnie sobie z nimi radzę.

- Skoro tak mówisz...

- To świetne dzieciaki - powtórzyła.

- Nie przeczę - powiedział z nadzieją, że jej gniew wkrótce minie. Mieli dzisiaj spędzić ze sobą w jednym samochodzie jeszcze sporo czasu, więc lepiej, żeby nie zaczęli od sprzeczki. Reed chciał sprawdzić jeszcze raz alibi kilku osób i zeznania świadków. Zaczną od Stanleya Huberta, sąsiada, który powiedział, że widział na podjeździe biały samochód. Potem może uda im się złapać Naomi Crisman, nieuchwytną dziewczynę Josha, i wreszcie powinni pojechać do Oak Hill, porozmawiać z Montgomerymi. Ciekawe, co oni mają do powiedzenia o człowieku, którego poślubiła Caitlyn.

Reed wiele sobie obiecywał po tych spotkaniach.

- Wykluczyłeś już samobójstwo? - zapytała Morrisette, grzebiąc w torebce.

- Właściwie tak.

- Więc ten, kto go zabił, spartaczył robotę, próbując zatrzeć ślady?

- Na to wygląda. - Reed skręcił w wąską uliczkę, przy której stał dom Bandeaux. Zaparkował przy krawężniku. - Ale pozory mogą mylić. - Wysiadł i skierował się w stronę domu Stanleya Huberta; Morrisette wygrzebała wreszcie z torebki wymiętą paczkę gumy do żucia i pospieszyła za nim.

Ledwie nacisnął dzwonek, usłyszał zachrypnięte szczekanie. Drzwi otworzyły się szeroko.

- Widziałem was przez okno - przyznał mężczyzna o wyprostowanej sylwetce. Pokazali mu odznaki. Obok stał najeżony, siwiejący buldog.

- Szukamy Stanleya Huberta.

- To go znaleźliście. Wchodźcie do środka. - Hubert miał koło osiemdziesiątki, nosił grube okulary, kapelusz panamę i prążkowany garnitur. Pies warknął chrapliwie i ponuro. - Spokój, General - rozkazał Hubert i dźgnął psa laską. - Nie zwracajcie na niego uwagi - zwrócił się do gości. - Zdenerwował się, że przerwaliście mu drzemkę. Chodźmy na werandę. Tam porozmawiamy.

Zagwizdał na psa i podpierając się laską, poprowadził ich do drzwi w głębi domu, niemal doszczętnie odrapanych z farby. Wyszli na werandę. Ogród był otoczony wysokim, dwumetrowym murem, porośniętym bluszczem. Z gałęzi ogromnego dębu w rogu ogrodu zwisały karmniki dla ptaków.

- Siadajcie - poprosił Hubert i wszyscy usiedli wokół stołu ze szklanym blatem. Na gładkiej powierzchni wciąż leżało kilka kropel deszczu. - W czym mogę pomóc?

Reed powiedział:

- Chcemy jeszcze raz wysłuchać pańskich zeznań dotyczących piątkowej nocy.

Hubert, szczęśliwy, że może opowiedzieć swoją historię, powtórzył wszystko słowo w słowo. Około jedenastej trzydzieści, po lokalnych wiadomościach, wyszedł z psem. Zobaczył białego lexusa; od razu rozpoznał markę, bo Caitlyn Bandeaux jeździła takim samochodem, jeszcze zanim się stąd wyprowadziła. Hubert stał na ulicy, paląc cygaro, i czekał, aż pies się załatwi. Nie widział wprawdzie kierowcy, ale gotów był przysiąc, że samochód był taki sam jak ten należący do żony Bandeaux, jeśli nie ten sam.

- Przykro mi, że moje zeznania świadczą przeciwko niej - przyznał, sięgając do kieszeni po cygaro. - Lubię ją. To... udęczona kobieta, można tak powiedzieć, ale przyzwoita. Kiedy mieszkała tutaj, zawsze do mnie machała i uśmiechała się. A jak ona kochała tę dziewczynkę! Szkoda małej Jamie. - Hubert westchnął smutno. - Córeczka sklejała ich małżeństwo, ale w końcu i to nie wystarczyło. - Poprawił rondo kapelusza, zasłaniając się od słońca. - Nie rozumiem tego. Byłem żonaty przez czterdzieści lat, zanim Pan zabrał mi moją Aggie. Dałbym sobie uciąć prawą rękę, i pewnie lewą też, żeby przeżyć z nią jeszcze kilka lat, a dzisiaj... większość małżeństw od razu się rozlatuje. Szkoda, cholerna szkoda. - Odciał końcówkę cygara i się skrzywił. Reed dostrzegł kątem oka, jak czterokrotnie rozwiedziona Morrisette sztywnieje.

- Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z panem Bandeaux? - spytała, kryjąc irytację. - Czy myśli pan, że był w depresji?

Hubert oburzył się.

- To znaczy, czy myślę, że popełnił samobójstwo? Wątpię. Naprawdę wątpię. Różne

rzeczy się zdarzają, ale on nie wyglądał na człowieka, który chciałby ze sobą skończyć. Josh Bandeaux? Nie. Za bardzo mu zależało na życiu.

- Sądzi pan, że żona mogłaby go zabić? - naciskała Morrisette.

- Tego nie powiedziałem.

- Ale tak pan uważa?

Zmarszczył brwi, wpatrzony w czubek niezapalonego cygara. Pstryknął cienką złotą zapalniczką.

- Nie, myślę, że nie. Ale... czasami... Człowiek doprowadzony do ostateczności może posunąć się do wszystkiego i zrobić coś, o co nikt by go nie podejrzewał. Widziałem to wiele razy. Byłem kiedyś wojskowym. Widziałem, jak z pozoru słabi mężczyźni pokonują niewyobrażalne przeszkody, a z kolei ci silni, ci twardziele załamują się w trudnych sytuacjach. To cholernie trudno przewidzieć.

Hubert razem z prychającym buldogiem odprowadził ich do drzwi. Obiecał zadzwonić na policję, jeśli jeszcze coś sobie przypomni.

- Więc Caitlyn tu była - mruknęła Morrisette, żując w zamyśleniu gumę. - Tylko nic nie pamięta.

- Na to wygląda.

- Jak dla mnie to zbyt słaba i zbyt wygodna wymówka.

Reed, chcąc nie chcąc, musiał się z nią zgodzić. Myślał podobnie.

Przeszli przez żelazną furtkę prowadzącą do domu Bandeaux. Żółta taśma została już zdjęta, a przed garażem stał srebrny jaguar.

- Ktoś jest w środku - zauważyła Morrisette. Nagle frontowe drzwi otworzyły się z hukiem.

Po schodach zbiegła dziewczyna w rozwianej sukience, z włosami w nieładzie i zmartwioną miną. Naomi Crisman. Omal nie wpadła na Morrisette.

- Och! - Zatrzymała się gwałtownie. - Przepraszam, nie zauważyłam pani... - Spostrzegłszy, że są z policji, natychmiast zmarszczyła pięknie zarysowane brwi i nachmurzyła się.

- Detektyw Reed.

Skinęła głową i poprawiła pasek torebki, starając się opanować.

- Czy mogę coś dla pana zrobić?

- Proszę odpowiedzieć na kilka pytań.

- Myślałam, że mamy to już za sobą.

- Chcę tylko jeszcze coś sprawdzić. - Reed posłał jej obezwładniający uśmiech. - Czy możemy porozmawiać w środku?

Naomi ostentacyjnie spojrzała na zegarek i zawróciła do drzwi, już bez tej energii, z jaką kilka minut temu wybiegła.

- Ciarki mnie przechodzą, gdy jestem w tym domu - przyznała, prowadząc ich do przytulnego pokoju naprzeciw gabinetu Josha.

Naomi Crisman miała idealną figurę, duży biust, szczupłą talię i ładnie zaokrąglone biodra. Zadbana, modnie ostrzyżona miała na sobie różową sukienkę i sandały na diabelnie wysokich obcasach. Nie był to strój pogrążonej w żałobie narzeczonej. Najwyraźniej Naomi nie oglądała się wstecz i żyła dalej własnym życiem.

Gdy weszli do pokoju, wskazała im dwa krzesła obite materiałem w kolorze szafwii. Stała w drzwiach na korytarz, założyła ręce na piersi i zacisnęła usta z irytacji.

- Odpowiedziałam już na setki pytań - warknęła, gdy Reed wyjął swój notatnik, a Morrisette włączyła magnetofon i postawiła go na stole.

- Wiem, ale będzie ich jeszcze kilka. Żeby wyjaśnić pewne sprawy - powiedział Reed. - Zaczniemy od żony pani narzeczonego.

- Której?

- Tej, z którą wciąż był żonaty, Caitlyn Montgomery.

- A, o nią chodzi. - Naomi prychnęła niecierpliwie. - To wariatka.

- Dlaczego tak pani sądzi?

- Bo jest szalona. Nie ma wątpliwości. Dajcie spokój, przecież wiecie. - Przewróciła oczami. - Sprawdźcie w miejscowych szpitalach. Josh mówił, że kilka razy lądowała na oddziale psychiatrycznym. Przynajmniej raz, może nawet kilka razy, próbowała popełnić samobójstwo. A kiedy już się wydawało, że jej się poprawia, no, wiecie, psychicznie - nie wiem, czy to w ogóle możliwe, nie znam się - za każdym razem choroba wracała. Przegrana sprawa. Wariatem jest się całe życie.

- A co pani wie o jej stosunkach z denatem?

- Denatem? Na miłość boską, czy to jakiś kiepski dramat sądowy? Denat! Joshowi by się spodobało. - Na sekundę złagodniała, a przez jej twarz przemknął cień smutku, tak jakby naprawdę obeszła ją śmierć Josha Bandeaux. - Ich stosunki nie były najlepsze. Rozwodził się z nią i chciał ją oskarżyć o spowodowanie śmierci ich dziecka, więc jakie mogły być? - Przewróciła oczami, jakby mówiła do głupków.

Reed starał się zachować spokój, ale czuł, jak z każdym jej sarkastycznym słowem narasta wzburzenie Sylvie. Był zadowolony z tyrady Naomi, lubił takie spontaniczne wypowiedzi. Doświadczenie nauczyło go, że ludzie potrafią wtedy więcej powiedzieć, czasem niechęć.

- Czy mieliście się pobrać?

- Oczywiście! A jak pan myśli, dlaczego była taka wkurzona?

- Wciąż go kochała?

- A kto ją tam wie? Może i tak. Jej spytajcie. - Naomi uśmiechnęła się nieznacznie. - Wiele kobiet go kochało. - Spojrzała na Morrisette, a Reed poczuł wyraźnie, jak w jego partnerce wzbiera złość.

- Gdzie pani była w noc jego śmierci? - Głos Morrisette brzmiał spokojnie.

- Już mówiłam. Byłam u przyjaciół na wyspie.

- Na wyspie St. Simons?

- Tak. Mają tam dom. Trochę za dużo wypiałam, nie chciałam ryzykować i wracać samochodem, więc przenocowałam w ich pokoju gościnnym.

- I może pani udowodnić, że spędziła tam całą noc?

- O Boże, tak! Wydawało mi się, że już to wyjaśniłam. Nazywają się Chris i Frannie Heffinger. Mogę wam podać numer telefonu, jeśli chcecie. - Przyjrzała im się uważnie. - Czy ja potrzebuję adwokata, czy jak? Jestem podejrzana?

- Po prostu próbujemy się dowiedzieć, co się stało.

- To aresztujcie Caitlyn. Wszyscy wiemy, że ona to zrobiła. Wciąż ma klucze do tego domu, na miłość boską, Josh chciał się z nią rozwieść. Już wam mówiłam, że jest psychiczna. Naprawdę, to żadna filozofia domyślić się, co tu naprawdę zaszło.

Morrisette prawie uniosła się na krześle.

- A co pani wie o filozofii?

- Skończyliśmy? Naprawdę jestem umówiona. I, wiecie, właśnie się stąd wyprowadzam. To miejsce mnie przeraża. Gdy pomyślę o Joshu... zamordowanym w tamtym pokoju... - Wskazała głową na gabinet i nerwowo podrapała się po szyi. - Nie, nie mogę...

- Więc według pani nie popełnił samobójstwa? - Znow zapytał Reed, choć sam już nie wątpił, że Bandeaux został zamordowany.

- Josh? Pan żartuje? Miał po co żyć. Było jeszcze tyle pieniędzy do zarobienia, tyle alkoholu do wypicia i tyle kobiet do poderwania. - Musiała zauważyć, jak Morrisette sztywnieje, bo spojrzała prosto na nią i powiedziała: - Oczywiście wiem, że Josh w ostatnim roku... miał na koncie kilka wybryków. Ale on mnie nie zdradzał. Nie byliśmy wtedy jeszcze ze sobą. - Wzruszyła szczupłymi ramionami. - To się miało skończyć po naszym ślubie.

- Naprawdę? - zapytała Morrisette. - Skąd pani wie?

- Bo mi obiecał. Miał świra na moim punkcie.

- Albo po prostu sam był świrem - mruknęła pod nosem Morrisette, a Reed posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Słuchajcie, ja naprawdę muszę iść. Coś jeszcze?

- Na przykład nazwiska kobiet, z którymi sypiał. Zna je pani.

- Nie znam. To były tanie dziewczyny na jedną noc.

- Niech pani jeszcze pomyśli, dobrze? - Morrisette nie dawała za wygraną. - Czasami najbardziej podejrzana jest poniżona kobieta.

- No więc już macie swojego zabójcę, prawda? Nikt nie mógł być bardziej poniżony niż Caitlyn. To naprawdę żałosne. I w pewnym sensie smutne.

- Myśli pani, że byłaby w stanie zabić Josha? - zapytał Reed.

- Nie wiem, myślę, że jest wystarczająco ześwirowana, żeby to zrobić. I nie pytajcie o dowody, bo nie mam żadnych, ale ona jest... dziwna.

Naomi poprawiła pasek torebki. Reed wstał i schował notatki do kieszeni.

- Jeśli jeszcze coś się pani przypomni - wręczył jej wizytówkę - proszę zadzwonić.

Z uśmiechem mówiącym, żeby się za wiele nie spodziewał, wrzuciła wizytówkę do torebki.

Morrisette wyłączyła magnetofon i wszyscy troje poszli do wyjścia. Na dworze zrobiło się jeszcze goręcej. Gęste wilgotne powietrze kleiło się do skóry. Reed zdążył się spocić, jeszcze zanim usiadł za kierownicą. Naomi zamknęła drzwi, wsiadła do swojego jaguara i ruszyła ostro, prawie nie zwalniając przed wyjazdem na ulicę. Zanim dojechała do następnego skrzyżowania, na pewno przekroczyła dozwoloną prędkość o jakieś dwadzieścia kilometrów.

- Arogancka dziwka. - Morrisette patrzyła w ślad za samochodem. - Nic nie mów. Wolno mi bezkarnie przekląć raz dziennie i właśnie to robię. Co ona wyczynia? Sześćdziesiąt pięć, osiemdziesiąt, przy ograniczeniu do czterdziestu? Aż się prosi, żebyśmy ją zatrzymali! Jakby chciała nam napluć w nasze wszawe gliniarskie mordy.

- I ty to mówisz, Andretti!

Reed wrzucił bieg i ruszył z zacienionego postoju.

- Nie, mówię tylko o tym, jak prowadzi. Mówię o tej jej postawie pod tytułem: jestem od was lepsza, bystrzejsza i tak dalej. Nie podobało mi się to.

- Mnie też - zgodził się Reed.

- Chciałabym utrzyć jej nosa.

- Kto by nie chciał! Ale najpierw bądź ze mną szczerą w sprawie Bandeaux. Jeśli byłaś z nim związana, chcę o tym wiedzieć, żeby odsunąć cię od śledztwa. Musimy być czysti. Nie możemy pozwolić, żeby obrońca miał się do czego przyczepić.

Pogrzebała w torebce i wyciągnęła paczkę marlboro.

- O to się nie martw - powiedziała, strzelając gumą. - Mówiłam ci, nie byłam z nim związana, nie osobiście.
- A jeśli odkryję co innego?
- Nie odkryjesz.
- Mam nadzieję, że nie kłamiesz. Myślę, że jesteś profesjonalistką i nie zrobiłabyś takiego głupstwa.
- Dobrze myślisz.
- Nie chciałbym potem tłumaczyć prokuratorowi okręgowemu, że spieprzyliśmy sprawę, bo jedna z policjantek pracujących nad nią miała romans z denatem.
- Nie gadaj, tylko jedź - warknęła, zakładając okulary słoneczne i zapalając papierosa. - I przestań mnie denerwować. Oboje dłużej pożyjemy.

Caitlyn wjechała do garażu, powtarzając sobie, że nie może, absolutnie nie może zakochać się w swoim psychoterapeucie. To byłoby szaleństwo. Weszła do domu i przywitała się z Oskarem, tarmosząc go za uchem, a potem odsłuchiwała otrzymane wiadomości. Ani słowa od Kelly.

- Nagle przestała się odzywać - zamruczała do siebie, poszła w kierunku schodów i zatrzymała się w korytarzu. Coś było nie tak... coś się nie zgadzało. Zapach. Czyjeś perfumy.

A może tylko jej się zdaje?

Zaniepokojona, powtarzając sobie, że to tylko wyobraźnia, weszła na górę do gabinetu. Wszystko na swoim miejscu... na pewno? Zawsze zostawia myszkę z boku, a teraz myszka leżała z przodu, kilka centymetrów dalej.

A może sama ją tam zostawiła w roztargnieniu?

- Dziwne - wyszeptła i zaczęła przeglądać pocztę elektroniczną.

Wreszcie jakaś wiadomość od Kelly.

Caitlyn usiadła i przeczytała.

Przepraszam, że do ciebie nie przyjechałam. Nie było mnie w mieście. Praca, praca, praca! Chciałabym powiedzieć, że jest mi przykro z powodu Josha, ale obie wiemy, jaki był z niego kutas. Dobrze się stało. Mam nadzieję, że cię nie uraziłam. Buziaki, Kelly.

I wszystko. Uraziłam? Od kiedy to Kelly martwi się, czy kogoś nie uraziła? Caitlyn wyłączyła komputer, przesunęła myszkę na właściwe miejsce, pomyślała, że pewnie coś jej się pomyliło ze zmęczenia.

Nikogo tu nie było.

Była tego prawie pewna.

Prawie.

Rozdział 16

Caitlyn! Caitlyn Bandeaux!

Kelly wzdrygnęła się i zapłaciła dziewczynie za barem dwa dolary za kubek mrożonej kawy.

- Reszty nie trzeba. - Może kobieta, która wzięła ją za Caitlyn, odkryje swoją pomyłkę i da jej spokój.

Nic z tego.

- Pamięta mnie pani?

Kelly spojrzała przez ramię. Nie pamiętała.

- Przykro mi.

- Nikki Gillette. - Kobieta koło trzydziestki, o ostrych rysach i jasnych włosach z różowawym połyskiem, wyglądała na bardzo pewną siebie i śmiało wyciągnęła na powitanie rękę. - Pracuję w „Savannah Sentinel”. Dzwoniłam parę dni temu, pamięta pani? Prosiłam o wywiad na wyłączność. Naprawdę chciałabym z panią porozmawiać.

- Rozmawia pani z niewłaściwą osobą - powiedziała Kelly. Była w okularach słonecznych, a włosy miała zaczesane do tyłu. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby się uśmiechnąć, wzięła kawę i pomaszerowała do wyjścia.

- Zabiorę pani tylko chwilkę. - Kobieta szła za nią.

- Już pani powiedziałam, nie jestem Caitlyn Bandeaux. - Biodrem popchnęła szklane drzwi i kątem oka dostrzegła niedowierzanie na twarzy Nikki Gillette.

- Nie? Chwileczkę. Ale...

- Powiedziałam, nie jestem Caitlyn Bandeaux.

- To musi być pani jej krewną. - Przerwała i zmarszczyła brwi. - Jest pani tak podobna... Pewnie jest pani jej siostrą bliźniaczką!

Kelly posłała jej uśmiech mówiący coś w rodzaju „nie pierdziel, Sherlocku”.

- A pani jest pewnie wścibską dziennikarką. Proszę posłuchać, jestem siostrą Caitlyn, która przechodzi teraz ciężki okres, więc niech pani wyświadczy nam przysługę i zostawi nas w spokoju, dobrze? Może kiedy... otrząśnie się z żałoby, czy jak to tam nazwać, to spotka się z panią. Ja bym tego nie zrobiła, ale ona może się zgodzi.

- Więc chciałabym porozmawiać z panią lub z kimś z rodziny.

Nie zatrzymując się, Kelly posłała jej mordercze spojrzenie. Napastliwa reporterka nie rezygnowała, wciąż deptała jej po piętach. Kelly postanowiła ją zgubić. Skreśliła w następną ulicę i szybko wśliznęła się do sklepu ze starociami. Sprzedawczyni o zdumiewających włosach przypominających niebieską watę cukrową rzuciła jej ostre, niezadowolone spojrzenie, patrząc znacząco na kubek z kawą. Na szczęście była zajęta klientką, zachwalała właśnie tandetną kopię rzeźby Bird Girl, symbolu Savannah. Kelly wyceniła nędzną figurkę na mniej niż połowę żądanej sumy. Niebieskowłosa zerknęła na Kelly badawczo. Świetnie. Po prostu świetnie. Kątem oka spoglądając w kierunku okna wystawowego, przez które mogła obserwować, co się dzieje na ulicy, Kelly udała zainteresowanie imitacją zabytkowego telefonu i zegarem z Elvisem kręcącym biodrami. Niebieskowłosa dobiła tymczasem targu.

Kiedy przyjmowała od klientki kartę kredytową, Kelly zapytała:

- Przepraszam, czy jest tutaj łazienka?

W pierwszym odruchu sprzedawczyni chciała chyba burknąć, że nie, ale nie chciała ryzykować sprzeczki w obecności klientki, a może bała się pomylić przy kasie, bo powiedziała:

- Chwileczkę.

- Proszę się nie fatygować. Sama znajdę.

- Ale ona nie jest dla klientów.

Kelly zdążyła tymczasem wparować na zaplecze. Tuż obok łazienki, pomiędzy półkami zawalonymi towarem znalazła tylne drzwi. Wyszła na zewnątrz, na niewielki plac z parkingiem.

To śmieszne: uciekać przed dziennikarzami. Wszystko przez to cholerne podobieństwo do Caitlyn.

W dzieciństwie zdarzało jej się dla kawału udawać Caitlyn, ale już jako nastolatka nie znosiła, gdy ludzie je mylili. Teraz takie pomyłki doprowadzały ją do szału. Wkurzające,

że ktoś może ją brać za Caitlyn, tę naiwną ofiarę losu.

Zapaliła papierosa. Co, do diabła, zrobić z tą Caitlyn? Czekać, aż ją aresztują? Albo aż rozwiąże jej się język i zacznie zwierzać się policji? Zrobi to. Kelly wiedziała, czuła, że Caitlyn znów się załamie. Jasne, udaje, że nad sobą panuje, spotyka się z psychoterapeutą, może nawet będzie brała jakieś leki na depresję, coś na uspokojenie, coś, co ją otepi. Może prozac? A może podda się lobotomii czołowej?

Boże.

Zaciągnęła się papierosem i spróbowała zebrać myśli. Nie miała czasu zajmować się kłopotami Caitlyn. Miała własne życie, własne plany. Ale po kolei. Na razie musi uważać, żeby znów nie wpaść na tę cholerną dziennikarkę albo na policjanta, albo jakiegoś znajomego Caitlyn, który nie potrafi ich odróżnić.

Ostrożnie cofnęła się kawałek.

Zdaje się, że Nikki Gillette dała jednak za wygraną, więc Kelly wróciła do samochodu, zgasiła papierosa i usiadła za kierownicą. Skórzane obicie paliło ją w nogi. Przekręciła kluczyk, włączyła klimatyzację i otworzyła dach. Chodnikiem przeszła kobieta z wózkiem i Kelly poczuła ukłucie w sercu. Sama pewnie nigdy nie będzie miała dzieci. Widać nie było jej pisane.

Żeby mieć dziecko, najpierw potrzebny jest mężczyzna, a Kelly nie miała ochoty na żadnego. Przeżyła już swoją porcję rozczarowań. Większość facetów, których знаła, to nieudacznicy albo dranie. Weźmy Josha Bandeaux. Niech spoczywa w spokoju. Cha, cha! Dobrze! Nie ma spokoju dla takich jak on, a w każdym razie nie powinno być. Trudno o większego sukinsyna. Miał nawet czelność przystawiać się do niej. Do niej! Siostry własnej żony, na miłość boską. W dodatku odniosła wrażenie, że najchętniej zaciągnąłby do łóżka ją i Caitlyn jednocześnie. Co on sobie wyobrażał, do diabła? Że tylko marzą o uroczym rodzinnym trójkącie?! Chore męskie fantazje. Dostyć już, zapomnij o tym, Kelly!

Wrzuciła bieg i włączyła się do ruchu. A swoją drogą, czy Caitlyn zawsze była taka dziwna? Może trochę. Ale po wypadku na łódce zaczęło być coraz gorzej. Kelly zacisnęła szczęki, przypominając sobie wydarzenia sprzed lat. Wybuch silnika, przerażony krzyk Caitlyn, pęknięta łódka i woda. Długie, ciemne fale.

Ścisnęło ją w gardle, zatrzymała się na czerwonym świetle.

Wypadek na łódce.

To wtedy wszystko zaczęło się psuć.

Adam czuł, że coś przeoczył. Coś istotnego. A czasu miał coraz mniej. Jeszcze długo po wyjściu Caitlyn tkwił w fotelu i gapił się w róg kanapy, gdzie wcześniej siedziała. Ta niezwykła kobieta, delikatna i silna zarazem, zaufała mu i otworzyła się przed nim. Dręczyło go sumienie. Wykorzystywał ją. Przyszła po pomoc i wsparcie, a on wykorzystywał ją do własnych celów.

- Do diabła - wymruczał.

Musiał się pośpieszyć.

Sesje z Caitlyn przebiegały dobrze, ale nie dowiedział się jeszcze niczego, co było mu potrzebne. Miał wrażenie, że drecze w miejscu. Albo raczej dryfuje w wodzie, która robi się coraz głębsza i ciemniejsza. W wodzie wzburzonej emocjami. W wodzie, w której łatwo utonąć. Spojrzał na ścianę z dyplomami i skrzywił się.

Czy cel uświęca środki?

W tym przypadku tak. Ale... przypomniał sobie, jak siedziała skulona na kanapie,

obejmując rękami kolana i studiując wzór na dywanie. Jak opowiadała o swojej rodzinie. Było w niej jeszcze tyle tajemnic. Nieodgadniona, fascynująca i pełna sprzeczności...

I pociągająca jak diabli. Ale może nie jest tą, której szuka.

Obrócił się i spojrzął na komputer Rebeki. Na dyskietkach nie było żadnych kopii plików oznaczonych imieniem Caitlyn. Mimo to Adam przejrzał wszystkie. Na twardym dysku też nic nie znalazł. Ale był sposób, żeby odzyskać skasowane pliki, słyszał o tym od znajomego komputerowca. Podobno można odzyskać dane nawet wtedy, gdy dysk się zepsuje. Potrzebował pomocy. Gdyby istniała książka *Hakerstwo dla opornych*, chciałby ją mieć.

Prawie nietknięta kawa przypomniawszy mu znów o Caitlyn, o tym, jak otulała kubek dłońmi, zupełnie jakby chciała się ogrzać. A w pokoju było gorąco, co najmniej trzydzieści stopni. Jeszcze raz odtworzył w pamięci przebieg dzisiejszego spotkania. Opowiedziała mu dużo o swojej rodzinie. Wszystko to bardzo ważne, oczywiście, dobry początek terapii, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że tak naprawdę pragnęła porozmawiać o Joshu, o jego śmierci. Widocznie jeszcze nie była na to gotowa.

Jutro miała znowu przyjść. Splótł dłonie i oparł na nich brodę. Sam namawiał ją na to spotkanie. Musiał zwiększyć tempo.

Poza tym nie miał odwagi się przyznać, nawet przed sobą, ale był też inny powód. Najzwyczajniej w świecie chciał znów się z nią spotkać, i to niekoniecznie jak terapeuta z pacjentem, ale raczej jak mężczyzna z kobietą.

Zdawał sobie sprawę, że to zupełnie niestosowne.

Niebezpieczne dla ich obojga.

Gdyby zaangażował się uczuciowo w związek ze swoją pacjentką, mógłby stracić licencję.

Gdyby ona zaangażowała się uczuciowo w związek z nim, mogłaby stracić wszystko.

Zadzwonił telefon.

Sugar przerwała ścieranie kurzu z telewizora, wcisnęła szmatkę do tylnej kieszeni i chwyciła słuchawkę.

- Halo?

Cisza.

- Halo?

Żadnej odpowiedzi. Pomyślała o niezmordowanych telemarketerach usiłujących sprzedać przez telefon najróżniejsze rzeczy, od usług telekomunikacyjnych po wibratory.

- Słuchaj, rozłączam się! - warknęła, bo przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl. Może to jakiś zboczeniec, napalony facet, który widział ją w klubie. Miewała już takie telefony.

- Idź do diabła! - krzyknęła.

- To ty idź do diabła - usłyszała w słuchawce szept.

Zmroziło ją. Rzuciła słuchawkę.

- Cholera! - Kto zdobył jej numer telefonu? Zapłaciła sporo pieniędzy, żeby go zastrzec, a i tak dzwonią do niej akwizytorzy. Albo jakieś czubki. - Cholera. - I jeszcze ten dziwny telefon nad ranem, na chwilę przedtem, nim wróciła poraniona Caesarina. Najpierw nikt się nie odzywał, potem wydawało jej się, że słyszy „Giń suko”. Przeszedł ją dreszcz. Czy jest między tymi telefonami jakiś związek?

Drzwi frontowe otworzyły się i zatrzasnęły.

Sugar podskoczyła.

Cricket wyglądała jak przepuszczona przez wyżymaczkę. Weszła do pokoju i rzuciła plecak koło stołu.

- Gdzie, do diabła, byłaś? - spytała Sugar, wciąż roztrzęsiona.

Spod kuchennego stołu wyszła Caesarina i zaczęła zawzięcie machać ogonem. Przeciągnęła się, ziewnęła i podeszła wolno do Cricket, dopraszając się pieszczot.

- Jezu! Co jej się stało? - zapytała Cricket, patrząc na pokrytą szwami ogoloną szyję psa. Skóra była zabrudzona zaschniętą krwią i żółtą maścią antyseptyczną. - Pogryzł ją niedźwiedź?

- Nie wiem. Stało się coś dziwnego. Wypuściłam jarano i wróciła pocięta, przerażona jak diabli, a to, jak wiesz, do niej niepodobne. Popędziłam z nią do weterynarza, powiedzieli, że miała szczęście... Myślałam, że pożarła się z oposem albo szopem, ale lekarka twierdzi, że obrażenia wyglądają, jak zadane jakimś ostrzem. Dziwnie mi się przyglądała. Pewnie podejrzewała, że poranne dźganie nożem własnego psa to moje ulubione zajęcie. Powiedziała też, że Caesarina musiała mieć kontakt z jakąś toksyczną substancją. Do diabła, sama dobrze nie wiedziała.

- To konowały - powiedziała Cricket, poklepując sukę po głowie.

- W każdym razie żyje i chociaż wygląda paskudnie, nie jest z nią źle. Wszystko to było dziwne. Najpierw ten telefon, potem ranny pies... - Sugar wciąż jeszcze dygotała ze strachu.

- Więc - wróciła do tematu. - Gdzie byłaś?

- Co cię to obchodzi? - Włosy Cricket domagały się szczotki, makijaż wyblakł, marszczona bluzka była poplamiona. Spod dzinsów, którym też przydałoby się trochę vanisha, wystawał fragment tatuażu. Przeciągnęła się, odsłaniając płaski brzuch, w pępku zabłysnął koleczyk.

- Nie zaczynaj ze mną, dobrze? Póki tu mieszkasz, opowiadasz się mnie. Od zmysłów odchodziłam, zamartwiałam się o ciebie.

- Nie mam już dziewięciu lat.

- Taa, dorosła panna jesteś.

- Jezu, co cię napadło?

Sugar postanowiła najpierw się uspokoić i dopiero wtedy powiedzieć o telefonach. To pewnie jakiś palant z klubu. Nie ma powodu siać paniki. Najpierw musi opanować te głupie nerwy.

- Po prostu jestem dzisiaj zdenerwowana.

- A to mój problem? Raczej nie. Ochłoń najpierw.

- Mogłaś zadzwonić.

- A ty mogłabyś przestać zrzędzić - odszczeknęła Cricket. - Daj mi spokój, dobrze?

Sugar wzięła głęboki wdech. Wreszcie ustąpił strach, który na moment ją sparaliżował.

- Nie chciałam na ciebie naskoczyć.

- To dobrze. Więc już daj spokój. Przestań odgrywać rolę matki. - Cricket ziewnęła. - Jest jakaś kawa? - Przeciągnęła ręką po krótkich włosach. Ufarbowane na czerwono z niebieskawo-czerwonymi pasemkami wyglądały dziwnie, ale nie najgorzej. Kiedy były uczesane. A dziś rano nie były.

- Jest, ale zimna.

- Wszystko jedno, byle z kofeiną. - Poszła do kuchni, wzięła kubek i nalała sobie gęstniejącego płynu ze szklanego dzbanka. Ziewając, wstawiła kubek do mikrofalówki.

- Mogłabyś zrobić sobie świeżej.

- Taka może być.
- Gdzie byłaś?
- Poza domem. - Spojrzała chłodno i nie powiedziała nic więcej.
- Tyle to ja wiem. Z kim byłaś?

Cricket tylko na nią patrzyła. Była tak drobna i zmęczona, śmiertelnie zmęczona, że Sugar poczuła wyrzuty sumienia. Nie spisała się najlepiej, nie dała rady. Kiedy ich matka zginęła, Sugar obiecała sobie zająć się młodszym rodzeństwem, ale schrzaniła wszystko. Dickie Ray wyrósł na drobnego cwaniaczka i oszusta, a Cricket, fryzjerka, która spóźniała się na umówione z klientkami wizyty, nigdy w pełni nie rozwinęła swoich możliwości. Ale... jeśli uda im się zgarnąć część majątku Montgomerych, to wszystko się zmieni.

A jeśli nie? Może już za późno? Cholerny Flynn Donahue. Czas kopnąć tego leniwego prawnika w tyłek. Zadzwoni do niego dzisiaj. Gdy pomyślała o telefonie, przypomniał jej się zaraz ten szept w słuchawce.

„To ty idź do diabła”.

Kto to, do cholery, był?

- Zgadnij, kto wczoraj przyszedł do zakładu - powiedziała Cricket, zupełnie nieświadoma przerażenia Sugar. Zrzuciła z nóg sandały i podeszła do mikrofalówki.

- Kto?

- Pieprzona Hannah Montgomery.

Sugar poczuła ucisk w żołądku, jak zawsze, gdy myślała o Montgomerych.

Cricket zachichotała, chwyciła kubek i boso poczłapała w stronę tylnych drzwi.

- Chyba nie wiedziała, że pracuję teraz w tym salonie.

Sugar chwyciła butelkę dietetycznego Dr. Peppera, zagwizdała na psa i poszła za Cricket na werandę. Kilka lat temu Dickie Ray zainstalował na suficie wentylator, Sugar włączyła go. Pies zszedł po drewnianych schodach, obwąchał ogrodzenie i wypłoszył kilka ptaków.

Popijając kawę, Cricket usiadła na chwiejnym szezlongu przytarganym z jakiejś wyprzedazy.

- Na mój widok omal nie spadła z fotela Donny.

- Jak zareagowałaś?

- Przez cały czas stroiłam do niej głupie miny w lusterku. - Cricket spojrzała na siostrę, żeby sprawdzić, czy dała się nabrać. Nie dała się. - No dobra, powiedziałam „cześć” i przez następne dwie godziny nie zwracałam na nią uwagi. A co miałam zrobić?

- Stroić głupie miny - zażartowała Sugar.

- Powinam, ale nie chcę, żeby mnie wywalili z pracy. I tak pewnie Donna straciła przeze mnie ważną klientkę. Masz papierosa?

- Myślałam, że rzuciłaś palenie.

- Rzuciłam. Prawie. Ale jestem zmęczona i muszę postawić się na nogi.

- Napij się jeszcze kawy.

Cricket skrzywiła się.

- To nie to samo.

- Nie marudź. - Sugar spojrzała na zachwaszczone podwórko. Taczki do połowy wypełnione chwastami stały tam, gdzie je zostawiła dwa dni temu, warstwa pokruszonej kory wokół krzaków wymagała uzupełnienia.

Cricket usiadła na podkulonej nodze i zapytała:

- Widziałaś się z nim wczoraj?

- Z kim?

- Wiesz z kim. Nie udawaj zdziwionej. Domyśliłam się. - Cricket pociągnęła duży łyk, nie spuszczając wzroku z siostry. - On cię wykorzystuje - dodała. - Jeśli liczysz na to, że przyjdzie tutaj, porwie cię i ożeni się z tobą, to jeszcze raz dobrze to sobie przemyśl.

Sugar nie była naiwna.

- Przynajmniej spędziłam noc w domu.

- Tym gorzej dla ciebie. Wezmę prysznic i idę do pracy. Nikt do mnie nie dzwonił?

- Nikt, kto miałby ochotę się przedstawić.

- Co masz na myśli?

- Głuche telefony.

- Pomyłki?

- Może tak... niektóre, ale... - Sugar wzruszyła ramionami i postanowiła nie martwić młodszej siostry. - Pewnie to nic takiego.

- Założę się, że to jakiś czubek z klubu. Klienci... tak ich nazywasz? Więc klienci Pussies In Booties nie są najwyższej próby.

Sugar zjeżyła się. Znów załatają fala wstydu, ale zdławiła to uczucie.

- Płacę nasz czynsz i jeszcze trochę zostaje na koncie.

- Tak, tak, wiem, już to słyszałam. - Cricket dopiła kawę i wstała. - Kiedyś będę miała klientów, którzy będą mi dawali studolarowe napiwki, i nie będę musiała za to zdejmować ciuchów.

- Już to widzę - powiedziała Sugar i natychmiast tego pożałowała. Cricket zakłęta cicho i weszła do domu. Po chwili dał się słyszeć szum wody płynącej starymi rurami.

Sugar odchyliła się na krześle i zamknęła oczy. Jak ta szczeniara śmie traktować ją z góry? Gdyby nie Sugar, po śmierci matki Cricket tułałaby się po domach dziecka. Albo jeszcze gorzej. Pewnie wylądowałaby w więzieniu za posiadanie marihuany i inne takie. Miewała do czynienia z policją.

Ale Sugar też. Miała znajomego policjanta, swoje prywatne źródło informacji. Za jego plecami nazywała go nawet Wtyka. Przynosił jej nowiny w nadziei, że kiedyś dorwie się do jej majątek, czy raczej stringów. Informował ją nawet o sprawie Josha Bandeaux. Uważał, że policjanci prowadzący śledztwo obstawiają morderstwo, a nie samobójstwo, co wydało się Sugar interesujące. Przydałoby się więcej szczegółów, ale informator był małomówny, pewnie chciał tym sposobem zaciągnąć ją do łóżka. Marne szanse.

Powiodła wzrokiem po okolicy. Suche zachwaszczone pola. Ten dwuhektarowy skrawek ziemi nie był najpiękniejszy w całej Georgii. Ale należał do niej. Splącała Dickie Raya i Cricket. Dogryzali jej, że pracuje w klubie, ale w trzy miesiące zarabiała więcej niż oni razem przez cały rok. Może to i nie było wielkie osiągnięcie, zważywszy, że Cricket trudno było utrzymać się w pracy, a Dickie Ray większość czasu poświęcał na wyludzanie renty i zasiłków od pomocy społecznej. Wydawał te marne grosze na łatwe kobiety, alkohol, walki kogutów, hazard i kokainę. Nie miała pojęcia, dlaczego jeszcze go toleruje.

Bo ważne są więzy krwi.

Tak, idź i powiedz to Montgomerym.

Sugar skrzywiła się na samą myśl. Pociągnęła duży łyk coli. To zabawne, jak Montgomery i Biscayne'owie byli ze sobą związani. Zabawne i chore. Sugar była tak podobna do Amandy, bliźniaczek i Hannah, że z powodzeniem mogły uchodzić za prawdziwe rodzeństwo. Dickie Ray i Cricket też. Może przez to cholerne kazirodztwo Dickie Ray nie grzeszy bystrością. Zawsze brakowało mu piątej klepki. Żeby tylko! Sugar miała czasem wrażenie, że ktoś zwinął mu cały parkiet.

Od lat słyszała plotki, że jej matka, która była nieślubną córką Benedicta, romansowała z Cameronem Montgomerym, swoim bratem przyrodnim. Boże, jakie to chore! Na samą myśl, że może pochodzić z tego związku, robiło jej się niedobrze. Oznaczałoby to, że w jej żyłach krąży więcej krwi Montgomerych niż w żyłach prawowitych członków rodziny.

Prawowici! A to dobre. Jeśli chodziło o Montgomerych, to według niej nic w tej rodzinie nie było prawowite. Wszyscy tylko udawali, że pracują, i żyli z cholernych funduszy powierniczych, a Biscayne'ów traktowali jak śmieci lub jeszcze gorzej, jak trędowatych.

Czy Cameron był jej ojcem? Sugar nie miała pojęcia. Druga możliwość też jej nie zachwycała, bo Earl Dean Biscayne był gnojkiem najgorszego sortu, kłamcą i strasznym chamem. Trzymał ich wszystkich krótko, a za nieposłuszeństwo karał biciem. Sugar nie rozpaczała, że zniknął bez śladu. Mniej więcej w tym samym czasie zginęła matka, tu, w tym miejscu, w płonącej przyczepie. Straż pożarna stwierdziła, że przyczyną pożaru było zaproszenie ognia od papierosa, ale Sugar wiedziała, że matka nie zasnęłaby z papierosem w łóżku. Prawie nigdy nie paliła w domu, a jeśli już, to tylko w kuchni. Earl Dean nawet nie pojawił się na pogrzebie. Ale on nigdy nie dbał o pozory, więc nikt się specjalnie nie zdziwił. Tyle że Earl Dean nie pojawił się nigdy więcej. Niektórzy gadali, że dowiedział się o zdradzie Copper, zabił ją i zwiął. Może i tak.

Ale jeśli nie Earl Dean był jej ojcem, to musiał nim być Cameron. Wolą się nad tym nie zastanawiać, wolą też nie myśleć o chorobach psychicznych nękających klan Montgomerych, bo sama miała być może podwójną liczbę złych genów. Czasami nie potrafiła zebrać myśli, szwankowała jej pamięć, świat zdawał się walić, miała wrażenie, że przez jej głowę biegną druty elektryczne. Ogarniało ją wtedy śmiertelne przerażenie. Ale teraz wszystko działało jak trzeba, wszystko było w najlepszym porządku.

Trzeba zadzwonić do tego prawnika. Niech się wreszcie przestanie objąć i mocniej naciska na zawarcie ugody. Czas, żeby zaczął zarabiać na te swoje dwieście dolarów za godzinę. Jeśli Flynn Donahue nie da rady, to jest jeszcze jeden sposób na wyciągnięcie pieniędzy od Montgomerych. Jeśli nie da się legalnie, pójdą inną drogą. Dickie Ray z ochotą zajmie się nimi „bardziej osobiście”, jak to określił. „Pozwól mi zająć się tymi bogatymi snobami po mojemu”, mawiał ze złym uśmiechem.

To ją niepokoiło.

Do tej pory powstrzymywała go.

Ale może trzeba będzie popuścić nieco smycz.

Jeszcze raz rozejrzała się po podwórku, pociągnęła z prawie pustej butelki. Rury zajęczały przeraźliwie: to Cricket zakręciła wodę w łazience. Sugar wstała i znów przypomniał się jej ten telefon. Może to nic takiego, zwykły głupi żart.

Ale czuła, że to coś więcej.

Coś czaiło się w pobliżu, skrywało w długich cieniach kładących się na bagnach, przemykało wśród trzciny i pałek wodnych. Coś złego. Przerazającego.

Caesarina też to czuła. Podniosła łeb i zajęczała niespokojnie. Może to tylko szwy na szyi dały o sobie znać, ale Sugar zadygotała przerażona. Gdzieś tu czaiło się zło. Znów usłyszała ten głos: „To ty idź do diabła”.

Atropos pędziła jak szalona. Wiatr rozwiewał jej włosy. Adrenalina buzowała w żyłach. W głosie Sugar Biscayne wyczuła strach, przerażenie. Boże, ale odlot! Mała bękartica dostaje za swoje, i to nieźle!

Drogę zatarasował samochód z przyczepą pełną kurczaków, więc Atropos zjechała na

przeciwny pas. Dodała gazu i minęła klatki, w których cisnęły się nieszczęsne ptaki, gubiąc po drodze pióra. Gdy zrównała się z kabiną ciężarówki, kierowca, wieśniak z kurzej farmy, uśmiechnął się do niej szeroko i zatrąbił, próbując ją poderwać.

Akurat!

Atropos uśmiechnęła się nieprzyzwoicie i zepchnęła skurwiela na pobocze, gdy nagle zobaczyła nadjeżdżający z przeciwka samochód. Bezczelnie zajęchała ciężarówkę drogę, za co znów została obtrąbiona.

Odwal się, pomyślała, przyspieszając. Przypomniała sobie przerażenie Sugar Biscayne. Dziewczyna zaczyna odchodzić od zmysłów, już jej się miesza w głowie. I dobrze! Całe życie pragnęła należeć do Montgomerych, niech teraz pozna, co znaczy być jedną z nich. Atropos nie żywiła do niej szczególnych uprzedzeń. Po prostu wymierzy sprawiedliwą karę każdemu, kto ma jakikolwiek związek z pieniędzmi Montgomerych... Czy nie tego Sugar zawsze chciała? Żeby traktować ją jak prawowitego członka rodziny?

Wreszcie jej marzenie się spełni. Dostanie dokładnie to, co inni.

Atropos włączyła radio... leciała akurat piosenka... kto to śpiewa? Def Leppard... tak, to oni. *Pour Some Sugar On Me*. Posyp mnie cukrem?

Tak, to jest pomysł.

Cholernie dobry pomysł.

Rozdział 17

Opowiedz mi o wypadku na łodzi - zaproponował Adam, gdy Caitlyn usadowiła się na kanapie. Już nie czuła się tak bardzo nieswojo przy nowym terapeutę, choć jeszcze nie całkiem swobodnie. Ale na pewno nie dlatego, że Adam jest przystojny i cholernie seksowny, przekonywała samą siebie. I nie dlatego, że kryje się w nim jakaś tajemnica.

- Co się wtedy stało?

Wróciła pamięcią do tamtych wydarzeń, przypomniawszy sobie gładkie morze i kłęby chmur, ale daleko na horyzoncie. Wydawały się odległe. Było tak spokojnie. Tak cicho.

- Wybrałam się na łódkę z moją siostrą, Kelly. Popłynęłyśmy tylko we dwie. Skończyłyśmy właśnie dwadzieścia pięć lat i mogłyśmy wreszcie zacząć korzystać z pieniędzy zgromadzonych w funduszach inwestycyjnych. Kelly kupiła sobie tę łódź w prezencie.

Caitlyn przywołała wspomnienie gorącego, parnego dnia. Zapowiadał się wspaniale.

- Dokąd pojedziemy? - dopytywała się, a Kelly tylko pokręciła głową.

- To niespodzianka.

- Nie jestem pewna, czy lubię niespodzianki.

- Przestań psuć zabawę. Przynajmniej raz się wyluzuj. No chodź. - Udało się jej zaciągnąć Caitlyn do samochodu. Pojechały na przystań. Na miejscu Kelly wepchnęła jej do ręki torbę plażową i wyjęła z bagażnika łódkę turystyczną.

- Wynajęłaś łódkę? - spytała Caitlyn, gdy szły po rozgrzanym od słońca molo.

- Nie wynajęłam.

- Co to znaczy?

- Kupiłam sobie prezent urodzinowy. - Zatrzymała się przy wyciągu, gdzie stała przycumowana łódź motorowa z kabiną.

- To ten prezent? - zdziwiła się Caitlyn. - Ona jest ogromna.

- Wcale nie jest taka wielka.

- Czy ty w ogóle potrafisz tym kierować?

- Sterować. Oczywiście. Wzięłam lekcje. Pośpiesz się, bo spóźnimy się na przyjęcie.

- Przyjęcie? Jakie przyjęcie?
- To, które dla nas wydają.
- Nic mi nie mówiłaś o żadnym przyjęciu - powiedziała Caitlyn, przyglądając się błyszczącej łodzi.
- Oczywiście, że mówiłam. Już dawno temu! No chodź, weźmiemy ją w dziewiczy rejs, tylko ona i my dwie. Mam szampana na tę okazję. - Weszła na łódź, otworzyła lodówkę i pokazała owinięte aluminiową folią dwie długie szyjki zielonych butelek. - Dom Perignon - powiedziała, jakby chciała ją tym skusić. Z gracją zdjęła spodenki, pod którymi miała żółte bikini. Popłyniemy do Hilton Head i zacumujemy tam. Wynajęłam salę bankietową na nasze przyjęcie.
- Mówisz poważnie?
- Cholernie poważnie. Musimy jakoś uczcić dwudzieste piąte urodziny. To nasz łabędzi śpiew przed wejściem w prawdziwe dorosłe życie.
- Myślałam, że już jesteśmy dorosłe.
- Mów za siebie, Caitlyn. No chodź. - Kelly uśmiechnęła się łobuzersko, jej włosy zabłysły czerwienią w promieniach słońca. - Zasługujemy na to. Wreszcie dostałyśmy naszą część pieniędzy dziadka Benny'ego. Od jak dawna o nich słyszałyśmy? - Stała na pokładzie, wypięła biodra i przyglądała się z uznaniem nowemu nabytkowi. - Wiesz, co myślę?
- Aż się boję zgadywać.
- To ci powiem. Ten stary łajdak na pewno by się cieszył, że jego ulubione wnuczki poświęcają sobie trochę.
- Myślisz, że byliśmy jego ulubienicami?
Kelly zaśmiała się i puściła do niej oko.
- A kto inny? Amanda? Hannah? Albo ci cholerni Biscayne'owie? Daj spokój, jestem pewna, że byliśmy jego ulubienicami. Zresztą, czy to ważne? No chodź, Caitie-Did! Chodźmy.
Oczywiście nie mogła jej się oprzeć. Entuzjazm Kelly był jak zawsze zaraźliwy.
Caitlyn wyraźnie pamiętała ten dzień. Prawie nigdy z nikim nie rozmawiała o wypadku, nawet z rodziną, ale teraz zwierzyła się Adamowi. Opowiedziała o ciemnej wodzie, zbierających się chmurach, rodzinie i przyjaciółach, którzy przyszli świętować razem z nimi. Grała muzyka, był tort urodzinowy i szampan, bawili się do późna w nocy. Kiedy wróciły na łódkę, zerwał się wiatr. Kelly piła, ale uparła się, że da sobie radę przy sterze, a Caitlyn nie miała siły się z nią spierać. Zresztą jej też szampan uderzył do głowy.
W drodze powrotnej zaczęło padać, ale Kelly włączyła światła pozycyjne i stała nieustraszenie za sterem, nie przejmując się pogodą ani perspektywą kaca. Caitlyn, oszołomiona szampanem, dała się ponieść uczuciu euforii. Migrena już szykowałą się do ataku, ale nawet to nie popsuło Caitlyn nastroju. Nagle silnik prychnął i zamarł, a łódź zatrzymała się.
- Co do diabła? - mruknęła Kelly, próbując uruchomić silnik. - Jezu... to nie miało prawa się stać. Mechanik zrobił przecież przegląd. Jeśli go spotkam, to obiecuję skrócić mu ten tłusty kark! - Nagle zrobiło się jakby ciemniej, jeśli to w ogóle było możliwe. Światła na łodzi wydawały się strasznie odległe, wiatr złowieszczo przybierał na sile. - Cholera!
- Skończyła się benzyna?
- Chyba nie. Boże, jak tu ciemno. - Kelly znalazła w schowku latarkę i włączyła ją. Łódź kołysała się na falach, a noc wydawała się straszna i pusta... jakby były same na świecie.

- Może powinniśmy wezwać kogoś na pomoc - powiedziała Caitlyn, nie kryjąc zdenerwowania.

- Kogo?

- Nie wiem. Może straż wybrzeża. - Wiatr nagle osłabł, zrobiło się cicho. Śmiertelnie cicho. Za cicho... łagodnemu kołysaniu łódki towarzyszył jedynie delikatny plusk wody uderzającej o kadłub. Caitlyn wpatrywała się w wodę i wydawało jej się, że widzi w niej przemykające cienie.

- Z silnikiem jest wszystko w porządku - stwierdziła Kelly, wciąż próbując go uruchomić. Wreszcie zaskoczył. - Widzisz! Nic się nie stało! - Spojrzała z satysfakcją na Caitlyn. Ale coś wisiało w powietrzu, Caitlyn to czuła. Rozpoznała słaby zapach dymu... Czy może palących się przewodów...

- A ty chciałaś wzywać pomoc! - zaśmiała się Kelly.

- Wciąż uważam, że powinniśmy...

BUM!

Łodzią wstrząsnęła eksplozja. Buchnął dym i ogień. Drewno pękało z trzaskiem, strzelały płomienie. Caitlyn upadła. Uderzyła głową o pokład. Poczowała potężny ból.

Gdzieś daleko usłyszała przerażony krzyk Kelly.

Dziób motorówki zanurzył się ostro.

Caitlyn starała się nie stracić przytomności. Kurczowo zacisnęła palce na relingu.

- Kelly! - chciała krzyknąć, ale nie udało się jej wydać żadnego dźwięku. - Kelly! - Miotła nią po pokładzie.

Z leniwym, złowieszczym jękiem pękł kadłub, rozlane paliwo wciąż płonęło. Łódź rozpadła się na kawałki.

- Kelly! - Z gardła Caitlyn wydobył się tylko szept. Boże, gdzie ona jest? - Kelly! - Ogarnęła ją panika, a czarna otchłań wciąż próbowała ją wciągnąć. Wpatrując się w dym i ciemność, widziała, jak szczątki wymarzonej łodzi Kelly toną w odmętach. Załatają zimna woda i pociągnęła w dół, ale Caitlyn rozpaczliwym wysiłkiem zdołała utrzymać się na powierzchni. Boże, nie pozwól, żebym straciła przytomność, nie pozwól mi utonąć. Kelly! Kelly, gdzie jesteś? Zobaczyła unoszący się na wodzie kawał styropianu i złapała się go kurczowo, obejmując ramionami. - Kelly! - krzyknęła, kaszląc i krztusząc się. - Kelly! - Nie mogła złapać tchu. Nagle pochłonęła ją ciemność. Poczwała, jak zimna woda wciąga ją w głąb, a gdzieś w oddali usłyszała rozdzierający jęk.

Nie miała sił walczyć. Woda wdarła się do jej płuc.

Zamknęła oczy i zaczęła modlić się do Boga, któremu nie ufała.

Wciąż nie mogła spokojnie myśleć o tym strasznym wypadku. Teraz, dziesięć lat później, znów poczuła tamten przejmujący chłód i tamtą grozę. Zadrzała.

Adam z brodą opartą na dłoni, z notatnikiem na kolanach patrzył na nią w skupieniu.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Dopiero teraz łzy napłynęły jej do oczu. Zamrugła nerwowo. Usłyszała skrzypnięcie fotela, gdy Adam wstał po pudełko chusteczek. Usiadł koło niej i podał jej jedną.

- Wszystko w porządku. - Wzięła chusteczkę i wytarła głupie łzy, zirytowana, że nie potrafi nad sobą zapanować. Ale przecież Adam nieraz widział ludzi w takim stanie. Na miłość boską, to jego praca. Tym się właśnie zajmował. Albo nawet jeszcze gorszymi przypadkami, o ile to w ogóle możliwe. Mimo to czuła się jak idiotka.

- Chcesz o tym mówić? - zapytał Adam łagodnie, z troską w głosie.

- Nie ma już nic więcej do powiedzenia. - Próbowała powstrzymać potok przeklętych łez.

- Straciłam przytomność, znalazła mnie jakaś łódź. Ocknęłam się trzy dni później.

- A Kelly?

- Kelly zawsze się udaje - powiedziała Caitlyn. - Ją też ktoś znalazł i zawiózł do szpitala jeszcze przede mną. Myślę, że najbardziej zmartwiła ją utrata łodzi. Pluła sobie później w brodę, że jej nie ubezpieczyła. - Uśmiechnęła się i dodała: - Ale jakoś nigdy nie wspomniała, że chce kupić nową.

- Czy możesz mi coś jeszcze o niej opowiedzieć?

Caitlyn przewróciła oczami.

- Mnóstwo rzeczy. Jest szalona i odważna. Bystra. W dzieciństwie ciągle pakowała nas w kłopoty, mnie i mojego przyjaciela Griffina. Teraz pracuje w Maxxellu jako zaopatrzeniowiec. Często wyjeżdża, za często... Nie układa jej się z resztą rodziny.

- Dlaczego?

- Przez ten wypadek na łodzi. Nie tylko przepuściła sporą część pieniędzy zgromadzonych w funduszu, ale też omal nas nie zabiła. - Caitlyn skubała chusteczkę.

Czekał. Przygryzła wargę. Tak trudno mówić o pewnych sprawach.

- Caitlyn? - Głos Adama zmienił rytm jej serca. To było beznadziejnie głupie. Poczula zapach mydła i płynu po goleniu, zapach, który drażnił jej zmysły. - Jest jeszcze coś, prawda? - zapytał i przez moment miała ochotę wtulić się w niego i przywrzeć do niego całym ciałem.

- Nie wiem, czy powinnam o tym mówić - przyznała, strzepiąc chusteczkę.

Czekał.

- Jak uważasz. To twoja decyzja.

Myślała, że dotknie jej, poklepie po ramieniu, obejmie. Chciała tego. Chciała poczuć dotyk zatroskanego mężczyzny. Zobaczyła wahanie w jego oczach. Nagle wstał z kanapy, jakby zdał sobie sprawę, że nie powinien siedzieć tak blisko niej, że to niebezpieczne. Wrócił na swój fotel.

Caitlyn uznała, że skoro zabrnęła tak daleko, nie może już się cofnąć. Potrzebuje pomocy. Za wszelką cenę musi odzyskać równowagę, a Adam ma jej w tym pomóc. Wzięła głęboki oddech.

- Kilka lat temu Kelly oskarżyła Charlesa. To było zaraz po wypadku na łodzi. Oskarżyła mojego starszego brata, że... że przychodził do jej pokoju i... - wypuściła powietrze. Na samo wspomnienie zadrżała i zrobiło jej się niedobrze. - ...że ją molestował.

Adam się nie poruszył.

- Wierzysz jej?

Powoli skinęła głową. Przypomniała sobie Charlesa. Dziesięć lat starszy. Budził zaufanie. Ulubieniec ojca. Ścisnęło ją w żołądku.

- Dlaczego?

Zapieкло ją pod powiekami, ale postanowiła być dzielna. Nie uroni ani jednej łzy.

- Bo mnie też molestował.

Znów załapała ją fala wspomnień, odgłos kroków za drzwiami sypialni, przerażenie na widok ruszającej się kłamki, śmiertelny strach, gdy niemal bezszelestnie szedł przez pokój. Ale ona słyszała każdy stłumiony krok, czuła jego zapach - kwaśny zapach whisky pomieszaney - teraz już wiedziała - z brudnym zapachem męskiego potu. Czasami, gdy świecił księżyc, a zasłony były odsłonięte, widziała jego wyciągnięty cień, ciemny, kanciasty, złowróźbny, skradający się po dywanie i po ścianach. Zamykała mocno oczy, sztywniała i udawała, że śpi. Trzymała kurczowo kołdrę i modliła się. Nie, Boże, nie... nie

pozwól mu!

Potem dotykał ją, ręce mu drżały, oddychał chrapliwie. Kulila się, błagała i płakała, ale on nie przestawał.

- Caitlyn?

Zaskoczona otworzyła oczy. Klęczał przy niej Adam, z twarzą tuż przy jej twarzy. Byli w jego gabinecie. To wszystko wydarzyło się dawno, dawno temu. Wiele by dała, żeby uciec od tych wspomnień. Policzki miała mokre, trzęsła się cała.

- Przepraszam - wyszeptwała, pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę.

- Nie musisz. To, co ci zrobił, jest przestępstwem.

Znów w kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

- To... to wydarzyło się dawno temu. Miałam siedem... może osiem lat. On był dziesięć lat starszy.

- Ten ból nigdy nie mija - powiedział łagodnie, siadając obok niej na kanapie. Tym razem objął ją mocno ramieniem. - Myślę, że na dzisiaj wystarczy.

Przełknęła z trudem ślinę, oparła się o niego i wyczuła lekki zapach wody po goleniu. Pewnie popełnia błąd, nie powinna pozwalać jemu ani sobie na takie gesty. Tłumaczyła sobie jednak, że może mu zaufać. Te wszystkie dyplomy wiszące na ścianach... Poza tym Rebeka nigdy nie poleciłaby jej kogoś, kto mógłby ją wykorzystać.

Skąd wiesz, że Rebeka rzeczywiście go poleciła? Masz przecież tylko jego słowo.

Tak, to prawda. Ale na razie jej to wystarczało.

- Zanim znów zapukam do drzwi Caitlyn Bandeaux, powtórzmy jeszcze raz, co już wiemy. - Reed usiadł naprzeciwko Morrisette. W powietrzu wisiał gęsty dym, dobiegały ich stłumione głosy i rozmowy przerywane śmiechem. W głębi dwóch facetów grało w bilard, w telewizji leciał mecz Bravesów. Atlanta wygrywała trzy do jednego z Cincinnati, ale to dopiero początek trzeciej zmiany.

Podeszła kelnerka, żeby przyjąć od nich zamówienie. Morrisette wzięła grillowaną kanapkę z dietetyczną colą, a Reed wybrał cheesburgera z frytkami. Nie był na służbie, więc zamówił też piwo.

- No więc, czego się dowiedziałas? Po kolei, co się dzieje w tej przeklętej rodzinie?

- Dowiedziałam się całkiem sporo. I naprawdę nie wygląda to najlepiej. Przeczucie mi mówi, że cała rodzinka to pieprzone szajbusy. Co do jednego. To nie są lekko stuknięci pomyleńcy, ale prawdziwe świry. Pierwsza liga! Cięży też nad nimi jakieś fatum. Tak to przynajmniej wygląda. Jedna tragedia za drugą. Ojciec, Cameron, zginął w wypadku jakieś piętnaście lat temu. Był porządnie wstawiony, stracił panowanie nad samochodem w drodze na wyspę St. Simons i wpadł w bagno. Wyleciał przez przednią szybę. Pasy bezpieczeństwa zawiodły i zrobił straszne bum. Nieźle go potrzaskało, połamane żebra, kość udowa, szczeka, miednica i przebite płuco i - wyobrażasz sobie - obcięte prawe jądro.

- Coś takiego!

- Tak. Nigdy go nie znaleziono. Dziwne, nie?

- Jak to się mogło stać?

- Widocznie przelatywał przez szybę i... ciach!

- Przecież przednia szyba jest z klejonego szkła.

Kelnerka przyniosła napoje i obiecała wrócić za chwilę z kanapkami. Morrisette włożyła do kubka słomkę i upiła tyk coli.

- Stary Montgomery był pasjonatem. Kochał stare samochody i jechał właśnie jednym ze

swoich cacek. Starym modelem jaguara. Wtedy nie było jeszcze klejonych szyb.

- To miał pecha - zauważył Reed, popijając piwo. Coś mu się w tym wszystkim nie podobało.

- A to dopiero wierzchołek góry lodowej. - Morrisette pociągnęła duży łyk coli, Bravesi właśnie zdobyli punkt, aż facet przy barze krzyknął z radości. Morrisette rzuciła okiem na telewizor i mówiła dalej. - Kilka lat później najstarszy syn. Kolejny „dziwny wypadek”. Ile dziwnych wypadków może się wydarzyć w jednej rodzinie? Było tak: wszyscy pojechali do Wirginii Zachodniej, do domku łowieckiego. Na Święto Dziękczynienia. Charles poszedł na polowanie. A skończył ze strzałą w piersi. Zgadnij, kto go znalazł? Caitlyn.

- Pani Bandeaux?

- Tak. Biegała po lesie i w pewnym momencie się zgubiła. Mówi, że wpadła na niego, gdy już umierał. Wyciągnęła strzałę, a biedny Charles wykitował.

- Ile miała wtedy lat?

- Jakies dziewięć czy dziesięć.

- Jezu!

- Wezwano lekarza, jakiegoś konowała, nazywa się Fellers. To ich lekarz od wielu lat. Twierdzi, że nic już nie mógł zrobić, bo strzała została wyrwana. Obrażenia były zbyt poważne. Chłopak stracił dużo krwi. - Bez zbytniego entuzjazmu kelnerka postawiła przed nimi jedzenie. Reed dostał zapiekana kanapkę Morrisette, a Morrisette dostał się jego cheeseburger.

Sylvie zamieniła talerze.

- Do diabła, zawsze się muszą pomylić. Jak oni to robią? - zapytała głośno, żeby znudzona kelnerka usłyszała. - Nie przyszliśmy tu całą paczką. Jest nas tylko dwoje, na miłość boską, i nie ma tu żadnego ruchu.

- Może zrobiła to specjalnie, żeby cię zirytować.

- No to jej się udało. - Wzięła ze stołu plastikową butelkę z keczupem i wycisnęła na frytki długą czerwoną wstęgę. Reedowi skojarzyło się to z nadgarstkami Bandeaux. Nacięcia zrobione pod dziwnym kątem, struga krwi. Morrisette podkrađła mu jedną frytkę i ugryzła kawałek. - Uwielbiam je, ale nigdy nie zamawiam. Tuczące.

- Poczęstuj się - powiedział.

- Wiedziałam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu. W ten sposób żadne z nas się nie utuczy.

- A ja zapłacę.

- Tym lepiej. - Chwyciła kolejną frytkę, unurzała ją w kałużę keczupu i powiedziała: - Jest jeszcze coś, o czym mało kto mówi. Może to nic takiego, ale jedno z dzieci umarło na zespół nagłej śmierci łódeczkowej niemowląt. Dziecko, które urodziło się między Troyem a Hannah... dobrze mówię? Tak, Parker. Miałby teraz dwadzieścia kilka lat.

- Myślisz, że został zamordowany?

- Pojęcia nie mam. Licho ich wie, tych Montgomerych. A ten cały doktor Fellers, ten konował, na pewno by im pomógł ukryć rodzinne sekrety. Nie zapominaj też, że w rodzinie jest choroba psychiczna. Ciotka Caitlyn miała mocno nie po kolei i - tak, wiem, że to nie jest poprawne politycznie - była tak nienormalna, że zamknięto ją w jednym z tych luksusowych domów wariatów. Któregoś dnia spadła ze schodów i złamała sobie kark. Nikt nie widział, jak to się stało. Stwierdzono nieszczęśliwy wypadek, ale jedna z jej przyjaciółek - też wariatka oczywiście - upierała się, że to samobójstwo. Biedna ciotka cierpiała na depresję - a kto by w takiej sytuacji nie cierpiał, nie? - i często mówiła o

śmierci.

Morrisette zjadła połowę kanapki. Reed jeszcze nawet nie tknął swojego cheesburgera.

- A co z Caitlyn?

- Myślisz, że zepchnęła ciotkę ze schodów?

- Nie, ale przyszło mi coś do głowy. Zastanawiam się, czy nie moglibyśmy zdobyć nakazu sądowego i przejrzeć notatki jej psychoterapeuty. Znalazłaś ją już, tę doktor Wade?

- Nie. - Morrisette skrzywiła się. - Też dziwna historia. Doktor Wade zaplanowała wycieczkę, a potem zrezygnowała. Poprosiłam o jej rachunki za telefon, komórkę i spis transakcji kartą kredytową. Dostałam też wyciąg z banku. Zrobiła rezerwację w drogiej miejscowości wypoczynkowej w stanie Nowy Meksyk i nigdy się tam nie pojawiła ani nie zadzwoniła. Straciła wpłaconą zaliczkę. - Reed słuchał, gryząc cheeseburgera. - Ostatnie zakupy zrobiła w sklepie sportowym w Savannah. Kupiła buty turystyczne i sprzęt sportowy. Przez internet zamówiła książki i mapy. Zostały dostarczone już po jej zniknięciu. Są teraz u właścicielki domu.

- Mapy czego?

- Arizony, Nowego Meksyku i południowej Kalifornii, w tamte strony miała właśnie pojechać.

- Gdzie jest jej samochód?

- Zniknął.

- A co z jej gabinetem?

- Jeszcze nie wiem, sprawdzam. - Podwędziła kolejną frytkę. - Myślisz, że ma to związek ze śmiercią Bandeaux?

- Trudno powiedzieć. Ale zniknęła akurat wtedy, kiedy bardzo by nam się przydała. Zbieg okoliczności?

- Naprawdę chcesz przyszpilić panią Bandeaux?

- Chcę to po prostu wyjaśnić. - Ugryzł kanapkę i popił piwem. Był prawie pewien, że Caitlyn zabiła męża, ale coś jeszcze budziło jego wątpliwości. Coś mu się nie zgadzało.

- Pani prokurator dobrała mi się do tyłka.

- Każdemu się dobiera. Tej jesieni czekają ją powtórne wybory. Musimy być ostrożni z Montgomerymi. Opłacają nie tylko sędziów i senatorów. To dzięki łapówkom ich kartoteki są czyste. Słyszałeś, że dziadek posuwał swoją sekretarkę, Mary Lou Chaney? Miała z nim córkę, Copper Chaney. Więc ta Copper wyszła za miejscowego łobuza, Earla Deana Biscayne'a i urodziła trójkę dzieci. - Morrisette wytarła kąciki ust serwetką i dokończyła colę. - I wiesz co? Zasnęła z papierosem i zginęła w płonącej przyczepie, bo oni mieszkali w przyczepie. Jakoś w tym samym czasie zniknął Earl Dean. Niektórzy mówią, że to on podpalił przyczepę, inni twierdzą, że zniknął dużo wcześniej, ale wiesz, co w tym jest najciekawsze? Copper miała romans z prawowitym synem Benedicta, Cameronem.

- Ojcem Caitlyn?

- Tak. - Morrisette pomachała w kierunku kelnerki pustą szklanką. - Pieprzyła się z przyrodnim bratem.

- Jeśli to prawda.

- Witaj na Południu, kotku.

- Daj spokój.

- Masz rację. Nie jesteśmy wylęgarnią kazirodców.

Reed zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Morrisette, ta wygadana cwaniara, była świetną policjantką i znała się na swojej robocie.

- Czy Montgomery miał alibi na noc pożaru?

- Niepodważalne. Był w domu z Bernedą, tak przynajmniej zeznał.

- A ona co mówiła?

- Potwierdziła jego słowa, ale to schorowana kobieta. Chodząca apteka. Pewnie już z nim wtedy nie spała. Wiesz co myślę? Powiedziała, co musiała. Zamknęła prasie usta i uratowała męża przed krzesłem elektrycznym. Wątpię, czy kiedykolwiek dowiemy się prawdy.

- Jeszcze jedną colę? - Kelnerka podeszła do nich, lawirując między pustymi stolikami.

- Tak.

- A pan? - zwróciła się do Reeda. - Jeszcze jedno piwo?

- Tak, poproszę.

- Zaraz przyniosę. - Uśmiechnęła się do Reeda.

- Leci na ciebie - zauważyła Morrisette, patrząc za długonogą kelnerką odchodzącą w kierunku baru, gdzie właśnie usiedli dwaj mężczyźni w czapczkach bejsbolowych, koszulkach roboczych, niebieskich dzinsach i kowbojkach.

- Skąd wiesz, że to nie na ciebie leci?

- Chyba stąd, że gdy spojrzała na ciebie, jej oczy mówiły „bierz mnie”.

- Może tylko odgrywa przed tobą trudną do zdobycia.

Sylvie uśmiechnęła się, dwaj faceci sprawdzili wynik w telewizorze, zabrali drinki, poszli do stołu bilardowego i zaczęli grać.

- Nie jest w moim typie. Lubię duże blondyny z wielkimi cyckami. - Mrugnęła do Reeda.

- Zawsze podobały mi się silne kobiety.

- Jesteś chora.

- Niewykluczone, ale nie tak chora jak rodzinka Montgomerych. Zapamiętaj to sobie. Myślę, że Hannah, najmłodsza siostra, też spotykała się z Bandeaux. Może nawet dała mu jakieś pieniądze. Nie wolno jej ruszyć funduszu powierniczego, dopóki nie skończy dwudziestu pięciu lat, ale i tak ma kupę forsy. Próbowalam z nią porozmawiać, ale jak dotąd bez powodzenia. Nagrałam się tylko kilka razy na sekretarkę. Nie jest jedyną osobą z rodziny, która miała interesy ze zmarłym. Na przykład Dickie Ray Biscayne, jeden z dzieciaków Copper, pracował dla Bandeaux. Nieoficjalnie - w papierach nie ma na to żadnego dowodu. Był gorylem tego kutasa, takim lewym ochroniarzem.

- Nie spisał się najlepiej - zauważył Reed, marszcząc brwi. Coś za dużo tych związków między przekłętymi Montgomerymi i Biscayne'ami. - To gorsze niż wieczorny serial w telewizji.

- Żartujesz? To gorsze niż przedpołudniowa telenowela. - Morrisette dokończyła kanapkę, drużyna Redsów zdobyła punkt, a mężczyzna przy barze zaklął i zamówił kolejne piwo.

Drzwi baru otworzyły się i do środka wparowała Diane Moses. Idealna fryzura i jak zawsze surowy wyraz twarzy. Spojrzała w ich kierunku.

- Popatrz, ale mamy szczęście! Może nasza ekspertka badająca miejsca zbrodni rzuci światło na sprawę.

Morrisette pomachała.

Diane skinęła głową, zatrzymała się na chwilę przy barze, wzięła kieliszek wina i podeszła do ich stolika.

- Pewnie oczekujecie ode mnie jakiejś wskazówki, która pomoże wam rozgryźć sprawę Bandeaux - powiedziała, sadowiac się koło Morrissette.

- To by nam bardzo pomogło. - Reed dokończył piwo.

- Rozmawialiście z Jego Wysokością?

- St. Claire'em?

- Jasne, a z kim? - Diane upiła łyk wina i skrzywiła się. - Chwileczkę. Wlali mi tu octu, a ja nie jestem dzisiaj w najlepszym humorze. - Podeszła do baru, wdała się w ostrą dyskusję z barmanem i wróciła z nowym kieliszkiem. - Dużo lepsze - stwierdziła, upijając łyczek.

- Dowiedzieliście się czegoś nowego? - zapytał Reed.

- Właśnie dostałam wyniki badań substancji chemicznych w jego krwi. Przesłałam je do was faksem. Był tam alkohol, GHB, śladowe ilości ecstasy i uważajcie... ślady epinefryny. Tak jakby udało mu się dotrzeć do zestawu przeciwwstrząsowego i wstrzyknąć sobie lekarstwo.

- Zanim podciął sobie albo zanim ktoś mu podciął żyły.

- Zgadza się.

- Więc tak: Josh odleciał po ecstasy, napił się z kimś trochę wina, wino okazało się uczulające i wywołało wstrząs. Facet zrobił sobie zastrzyk z epinefryny, a jak doszedł do siebie, wiedział już, że nic mu nie będzie, że nie umrze, to napisał na komputerze list pożegnalny i podciął sobie żyły.

- Albo ktoś to zrobił za niego.

- Zupełnie jakby ktoś chciał go dwa razy zabić. - Reed spojrział badawczo. - Raz za pomocą wina, ale Bandeaux miał leki i zdołał się uratować. Potem zabójca uderzył ponownie i tym razem dokończył dzieła.

Reed odsunął talerz, gdy kelnerka przyniosła colę i piwo.

- Coś jeszcze? Co ze szminką na kieliszku?

- To szminka marki New Faces, nazywa się „W różowym nastroju”. Jak na ironię, jeśli weźmiemy pod uwagę, co przydarzyło się panu Bandeaux. - Oczy Diane błysnęły. - Można ją kupić w każdym większym luksusowym sklepie. Na szczęście to dość nowy kolor, jest na rynku dopiero od dwóch lat.

Reed spojrział na Morrissette.

- Zajmę się tym - powiedziała. - Sprawdzimy w miejscowych sklepach i w internecie.

Diane Moses powiedziała:

- Wiecie już, że na dywanie znaleźliśmy krew nienależącą do Bandeaux, oprócz tego w odkurzaczu natknęliśmy się na obce włosy. Porównaliśmy je z włosami Caitlyn, Naomi Crisman i zwierzęcą sierścią. Wyglądają na psią sierść. Sprawdzamy to jeszcze.

- Bandeaux i jego dziewczyna nie mieli zwierząt - zauważył Reed.

- Była żona ma. - Morrissette skończyła drugą colę. - Może bawiła się z psiakiem, oblała sierścią, potem odwiedziła Josha i kilka włosów spadło na dywan.

- Możliwe, że mieli tego psa, kiedy jeszcze razem mieszkali, i zabrała go ze sobą w odwiedziny. Sąsiad twierdzi, że często tam bywała. - Reed wytarł usta serwetką. - A może to jakiś inny pies. Tak czy inaczej, myślę, że czas zdobyć nakaz przeszukania domu Caitlyn Bandeaux. Zobaczymy, czy żonka nie ukrywa tam narzędzia zbrodni.

Nie powinni mieć kłopotów ze zdobyciem nakazu. Na miejscu zbrodni znaleziono krew tej samej grupy co krew Caitlyn, samochód taki jak jej widziano tej nocy koło domu Bandeaux, rozwodziła się ze zmarłym w nieprzyjemnych okolicznościach, a Bandeaux

odgrażał się, że oskarży ją o przyczynienie się do śmierci dziecka. W dodatku miała problemy ze zdrowiem psychicznym. Naprawdę trudno nie zauważyć, że Caitlyn Bandeaux jest w samym centrum całej tej sprawy. Trzeba się tylko dowiedzieć, jaką odegrała rolę.

To był długi tydzień.

Ale już się kończył.

Dzięki Bogu.

Amanda wcisnęła pedał gazu i nieduży kabriolet wyrwał do przodu, mijając szybko bagna, gdzie w wysokiej trawie brodziły białe czaple, a w mętnej wodzie czały się krokodyle. Wiatr targał jej włosy. Napięcie spowodowane pracą i całym tym bałaganem z Joshem Bandeaux powoli ją opuszczało.

Zmieniła bieg i wyprzedziła faceta w bmw, co dodało jej animuszu. Za to jego zamurowało. Spojrzała w tylne lustro i uśmiechnęła się szeroko do siebie, Ian będzie dzisiaj w domu, a ona coś ugotuje. Coś z homarem, mąż uwielbia homary. I do tego chrupiące francuskie pieczywo. I wino.

Dobrze będzie go zobaczyć, pomyślała, wypatrując zjazdu z autostrady. Jej małżeństwo nie było idealne, Ian był takim samym głupkiem, jak inni faceci, ale i z nią niełatwo było żyć. Dzisiaj jednak wybaczyła mu wszystko.

Zmieniła pas, żeby zjechać z autostrady, i przed skrzyżowaniem nacisnęła hamulce.

Nie zadziałały.

Wzięła głęboki wdech. Adrenalina buzowała jej w żyłach. Jeszcze raz nacisnęła pedał, zakręt zbliżał się z zawrotną prędkością.

- Cholera! - Zmieniła bieg, nacisnęła niesprawne hamulce, zjechała na pobocze. Samochód wyrwał się jej spod kontroli. Mocując się z kierownicą, minęła znak stopu, z piskiem wpadła w zakręt i zjechała na przeciwny pas. Serce waliło jej jak oszalałe. Na szczęście nikt nie jechał z naprzeciwka.

- Boże, pomóż. - Z całych sił pociągnęła hamulec ręczny i zmieniła bieg. Samochód zjechał z pobocza, stoczył się z pagórka prosto na drzewo, które mijiała codziennie w drodze do pracy. Zebrała się w sobie. Zaraz się to stanie, pomyślała z furją, trzymając mocno kierownicę w oczekiwaniu na zderzenie. To jedyne drzewo w pobliżu szosy. Nieduże. Na pewno przeżyję, powiedziała sobie. Jeśli tylko nie uderzę centralnie.

Bum!

Szarpnęło samochodem.

Rzuciło ją do przodu, głową uderzyła w kierownicę.

Pas bezpieczeństwa naprężył się gwałtownie.

Szyba potłukła się, metal powyginał.

Za oczami poczuła silny ból. Jęknęła i spojrzała w popękane lustro wsteczne, gdzie wydawało jej się, że widzi... zbliżającą się kobietę, kobietę, którą знаła.

Potem ogarnęła ją pustka, żadnej kobiety, żadnego bólu, nic, tylko czarna otchłań utraconej przytomności.

Rozdział 18

Zdaje się, że ktoś majstrował przy hamulcach - powiedział przez telefon zastępca szeryfa Fletcher. - Mechanik obejrzał już pobieżnie podwozie sportowego samochodu Amandy Drummond, stojącego teraz na naszym parkingu, gdybyś chciał mu się przyjrzeć.

- Majstrował? - powtórzył Reed, wkładając marynarkę i zonglując telefonem. Siedział w biurze po godzinach, gdy zadzwonił telefon. - Przewód hamulcowy został przecięty? To brzmi jak scenariusz starego filmu. Kiepskiego starego filmu.

- Przyjedź i sam obejrzyj.

- Będę za pół godziny.

Wyszedł z komisariatu, wsiadł do samochodu i pojechał za miasto. Na parking dojechał w ciągu dwudziestu pięciu minut. Zastępca szeryfa zaprowadził go do garażu. Wewnątrz na podnośniku stał rozbity triumph Amandy Montgomery. Przód miał wgnieciony, wiśniowa karoseria była pognięta, koła przekrzywione.

- Wygląda na to, że miała szczęście - zauważył Reed, chociaż samochód najbardziej ucierpiał od strony pasażera.

- Tak. Gdyby uderzyła centralnie, to marne szanse. - Zniszczenia po stronie kierowcy były raczej niewielkie. - Spójrz! - Fletcher postukał w długą rurę pod silnikiem. Podwozie było brudne od błota i smarów. - Popatrz tutaj, to przewód hamulcowy. - Wskazał długopisem wyjętym z kieszeni. - Tutaj wychodzi ze zbiornika, a tu został przecięty.

- Przecięty?

- Tak.

- Czy to nie mógł być przypadek?

- Nie wydaje się. Raczej ktoś go przeciął, a kiedy płyn wyciekł, hamulce przestały działać. Przecięcie przewodu to żadna sztuka. - Twarz miał poważną. - Ktoś chciał rozwalić ten samochód i jego kierowcę. Miała cholerne szczęście, że tylko tak się to skończyło.

- Gdzie ona jest?

- W szpitalu Matki Boskiej Niezawodnej Nadziei. Straciła przytomność, ma kilka zadrapań i pewnie siniaki od pasa bezpieczeństwa, ale gdy wsadzali ją do karetki, odzyskała przytomność i była mocno zdziwiona tym, co się wokół niej działo. Nie chciała jechać do szpitala, ale przekonaliśmy ją, że jednak powinna. Trzeba przecież zrobić badania i tak dalej.

- Kto zgłosił wypadek?

- Kobieta, która widziała całe zdarzenie. Jechała za nią i nagle zauważyła, że pani Drummond ma jakieś kłopoty. Kiedy triumph walnął w drzewo, zadzwoniła na pogotowie. Czekala na miejscu wypadku, a potem wydarzyło się coś dziwnego. Pani Drummond obudziła się, zobaczyła ją i zaczęła na nią krzyczeć.

- Kim ona jest?

- Nazywa się Christina Biscayne, używa imienia Cricket.

Reed nadstawił uszu.

- Jechała za Amandą Drummond?

- Tak, jechała do przyjaciółki. - Reed postanowił koniecznie spotkać się z Cricket Biscayne. Porozmawiał jeszcze chwilę z Fletcherem, ale nie dowiedział się już niczego więcej. Z policyjnego parkingu pojechał do szpitala Matki Boskiej Niezawodnej Nadziei. Był to mały prywatny szpital, najbliższy miejsca wypadku. Amandę właśnie wypisywano. Siedziała przy drzwiach na wózku. Jej włosy były w lekkim nieładzie, a na twarzy miała kilka zadrapań.

- Na co czekamy?

- Lekarz musi się jeszcze podpisać - powiedziała pielęgniarka.

- Myślałam, że już to zrobił.

- Ja też.
- Tak trudno zdobyć jego podpis? Powiedział, że mogę wyjść ze szpitala, prawda? - Naciskała Amanda, a jej ładna buzia mówiła „nie wciskaj mi tu kitu”.
- Tak powiedział. Jestem pewna, że za kilka minut wszystko będzie gotowe. Mamy tu dzisiaj duży ruch. Są jeszcze inni pacjenci - odpowiedziała pielęgniarka z wyrozumiałym, ale mocno wymuszonym uśmiechem. Potem spojrzała na pager przy pasku. - Proszę tu poczekać. - Podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę. Amanda gotowała się ze złości.
- Pani Drummond? - zapytał Reed, otwierając portfel i pokazując odznakę. - Pierce Reed z policji w Savannah.
- Wiem, kim pan jest - powiedziała niecierpliwie. - Co pan tu robi?
- Słyszałem, że miała pani nieszczęśliwy wypadek.
- Nieszczęśliwy wypadek? Tak się to nazywa? Jezu, mój przewód hamulcowy został przecięty, tak powiedział ten policjant, kiedy zadzwonił do mojego męża. Jeśli to prawda, to znaczy, że ktoś próbował mnie zabić. - Odgarnęła włosy z oczu. - Znowu. Wie pan o tym, prawda? Sześć miesięcy temu ktoś chciał zepchnąć mnie z drogi. Nikogo to wtedy nie interesowało. Dopiero teraz się pojawiacie, gdy omal nie zginęłam. - Założyła ręce na piersi. - To nie był nieszczęśliwy wypadek, detektywie. To w ogóle nie był wypadek. - Zaczęła podnosić się z wózka. - Ktoś próbował mnie zabić!
- Pani Drummond, proszę nie wstawać z wózka. Takie są zalecenia szpitala - powiedziała pielęgniarka.
- Nie potrzebuję żadnego wózka, chcę stąd wyjść - warknęła Amanda. Wstała, nie spuszczać wzroku z Reeda. - I potrzebuję ochrony policji. Ktoś strzela do naszej rodziny jak do kaczek i zdaje się, że jestem następna w kolejce.
- Domyśla się pani, kto to może być?
- Czy to nie pańskie zadanie? To pan jest detektywem.
- Chciałbym dowiedzieć się od pani, co się wydarzyło - powiedział, zastanawiając się, dlaczego dotknęły go jej docinki. Rozpuszczona, bogata suka.
- Świetnie. Czas, żebyście się tym poważnie zajęli. Zanim wszyscy skończymy jak Josh Bandeaux! - Przed szpital zajechał samochód. - Wybacz pan, ale przyjechał mój mąż. - Spojrzała lekceważąco na pielęgniarkę. - Wychodzę, z wypisem czy bez.
- Już po problemie. Doktor Randolph właśnie go podpisał. - Pielęgniarka podała jej kopertę, a do holu wszedł wysoki chudy mężczyzna w mundurze pilota.
- Co się stało? - zażądał wyjaśnień, a potem, już ciszej, dodał: - Wszystko w porządku?
- To się stało, że ktoś chciał mnie zabić, skończyło się na rozwaleniu samochodu. I... nie... nic mi nie jest. - Amanda złagodniała, zamrugła kilka razy i odchrząknęła, jakby zebrało jej się na płacz. Opanowała się jednak i odzyskała swój zwykły sarkastyczny ton. - To jest detektyw Reed. Złapie tego sukinsyna, zanim znów uderzy. Prawda, detektywie?
- No cóż, zrobimy wszystko, co w naszej mocy.
- Pani Drummond, proszę usiąść. - Pielęgniarka była nieustępliwa i Amanda z ociąganiem usiadła na wózku.
- Mam nadzieję, detektywie Reed - rzuciła Amanda przez ramię. - Bo następnym razem mogę nie mieć tyle szczęścia i będziecie mieli kolejne niewyjaśnione morderstwo.

Caitlyn nie mogła się pozbyć wrażenia, że ktoś ją obserwuje. Siedziała w gabinecie przed komputerem. Pracowała nad projektem, który odkładała już prawie od tygodnia. Z głośników sączył się delikatny jazz. Wstała, spojrzała czujnie przez firanki. Była noc,

latarnia przed domem rzucała dziwne niebieskie światło. W powietrzu połyskiwała delikatna mgiełka zasnuwająca okna i rozmywająca cienie. Kątem oka zauważyła jakiś ruch, jakiś cień w zaroślach.

Serce jej załomotało.

Liście poruszyły się. Zdawało się jej, że słyszy szelest kroków.

Popadasz w obłąd. Nikogo tam nie ma. Nikogo.

Przełknęła z trudem ślinę i nisko nad ziemią zauważyła dwa błyszczące paciorki oczu.

Zesztywniała. Krzaki zakołysały się i spomiędzy liści wyjrzał spiczasty pyszczek. Och, to tylko opos. Odetchnęła zawstydzona.

Wciąż jednak czuła na sobie obce spojrzenie. Opuściła żaluzje i odchyliła się na krześle. Może to policja ją obserwuje. Wcale by się nie zdziwiła. Detektyw Reed nie musiał tego mówić. I tak widziała, że uważa ją za główną podejrzaną. A ona nawet nie miała jak się bronić. A jeśli to nie policja? Może to ten ktoś, kto był w jej sypialni wtedy, kiedy zginął Josh? Ten ktoś, kto wymazał jej pokój krwią?

To ty, Caitie. Ty to zrobiłaś.

- Nie - wyszeptwała, odganiając tę okropną myśl. Może powinna zadzwonić do Adama. Rozmowa z nim na pewno by jej pomogła.

Chcesz rozmawiać jako kobieta czy jako pacjentka? Spójrz prawdzie w oczy, Caitlyn, chcesz po prostu znów się z nim spotkać.

- Cholera! - Miała już dość wysłuchiwania tych połajanek. Brzmiały zupełnie jak zarządzenie Kelly.

Spojrzała na ekran komputera. Machający skrzydłami nietoperz wampir zdawał się z niej szydzić. Termin przedstawienia projektu zarządowi zoo mijał za tydzień, a ona wciąż była z robotą w lesie.

Skoncentrowała się, poprawiła ruchy skrzydeł nietoperza. Przelatywał na tle srebrzystego księżyca przez żelazną bramę. Miała nadzieję, że animacja przyciągnie uwagę zaglądających na stronę internetową zoo. Wymyśliła sobie, że strona główna będzie nawiązywać do starych mitów i przesądów, zwłaszcza tych, które mają naukowe uzasadnienie.

Caitlyn była już zmęczona, bolały ją plecy, nerwy miała napięte. Wstała i przeciągnęła się, wciąż spoglądając na monitor. Siedzący u jej stóp Oskar zaszczekał.

- No i czego chcesz? - zapytała.

Pies znów zaszczekał, skoczył na nią, a potem przywarował na podłodze.

- Wszystko w porządku? - Zakręcił młynka. - Chcesz wyjść?

Kolejne szczeknięcie i szorowanie ogonem po podłodze.

- Dobrze, już dobrze - powiedziała. - Rozumiem. Teraz rozumiem. No to chodź.

Pies natychmiast zbiegł po schodach.

- Ej, chyba mnie nabierasz. Też widziałeś tego oposa i masz na niego chętkę, co? - mruzczała, schodząc na dół.

Zanim weszła do kuchni, Oskar skakał już na tylne drzwi. Kiedy odsunęła zasuwę, wystrzelił na dwór, szczekając jak opętany, i pognał w stronę fontanny. Caitlyn stanęła na skraju werandy. Było ciepło. Parno. Słuchała brzęczenia owadów i łagodnego szemrania fontanny. Nagle zauważyła w powietrzu delikatną smugę dymu z papierosa.

- Caitie? - usłyszała.

- Jezu! - Serce omal jej nie wyskoczyło z piersi. Rozpoznała ten głos.

- Kelly?

Nic.

Caitlyn wpatrywała się w ciemność. Nikogo tu nie było... cisza. Nikt się nie odezwał. Pies węszył w rabatkach i nawet nie podniósł łba, nie przybiegł przywitać się z Kelly.

Widocznie jej się zdawało. Jest przewrażliwiona i tyle.

Odetchnęła głęboko, próbowała uspokoić rozdygotane nerwy. Może faktycznie przestaje nad sobą panować. Traci kontrolę. Boże, tylko nie to!

- Chodź! - zawołała psa. - Oskar! Do nogi. - Zawahała się, spojrzała w ciemny kąt, z którego dobiegł ją głos Kelly i jęknęła cicho. Spojrzała jeszcze raz. Pusto. Nikogo nie ma... to tylko jej wybujała wyobraźnia.

- Weź się w garść - powiedziała do siebie, ale gdy tylko weszła do domu, w popłochu zamknęła za sobą zasuwę. Popatrzyła przez okno i znów naszyły ją wątpliwości. Czy ktoś tam był? Obserwował jej dom, czaił się w ciemnościach... śledził ją, na litość boską?

Wyszła z kuchni, próbując pozbyć się uczucia, że coś jest nie w porządku. W połowie schodów usłyszała dzwonek telefonu.

Wbiegając po dwa stopnie naraz, wpadła do gabinetu. Na ekranie wciąż fruwał nietoperz wampir. Wyłączyła komputer. Policzyła w myślach do dziesięciu, zanim podniosła słuchawkę. Oby to nie był żaden dziennikarz!

- Słucham.

- Caitlyn? - Usłyszała w słuchawce głos Troya. Poczowała ogromną ulgę, że to on. - Czy możesz przyjechać do Oak Hill? - Głos miał poważny. Ponury.

- Teraz? - Spojrzała na zegarek elektroniczny świecący w półmroku. Dochodziła dziesiąta.

- Tak.

- Po co? - zapytała Caitlyn, a serce załomotało jej ze strachu. - Co się stało?

Troy zawahał się przez moment i powiedział:

- Amanda miała wypadek samochodowy. Kilka godzin temu.

- O Boże! - Caitlyn przygotowała się na najgorsze. - Co jej jest?

- Chyba nic. Ian właśnie po nią pojechał. Zjechała z drogi i uderzyła w drzewo, nic więcej nie wiem. Zdaje się, że straciła przytomność. Przyjechało pogotowie i zabrało ją do szpitala. Obejrzał ją lekarz, zrobili jakieś badania i uparła się, żeby ją wypuścić. Miała szczęście. Ale mama źle to zniosła. Lepiej przyjeźdź.

- Już jadę. - Caitlyn odłożyła słuchawkę, sięgnęła po torebkę, chwyciła klucze i zbiegła na dół.

Duchy znów ze sobą rozmawiały. Szeptały niespokojnie między sobą, tłukły się po starym domu, wałęsały po okolicy. Lucille zadrżała. Potarła ramiona, bezskutecznie próbując odegnąć chłód.

Nadchodziło zło.

Pędziło na czarnym koniu z rozgrzаныmi kopytami.

Prosto do niej.

Szkoda, że obiecała staremu zostać tutaj z Bernedą. Chciałaby wyjechać. Ale przysięgła opiekować się Bernedą Montgomery aż do śmierci. Musiała zostać. Modląc się, nakreśliła znak krzyża na obfitej piersi i usłyszała, jak duchy się z niej śmieją.

Nie było ucieczki.

Rozdział 19

Zaraz, moment. Opowiedzcie wszystko po kolei. - Caitlyn przyjechała do Oak Hill, gdzie

zebrała się już cała rodzina. Nie zabrakło również Amandy. Była bledsza niż zazwyczaj, ale wyglądała dobrze. Spacerowała po pokoju, a jej mąż, Ian, siedział na wysokim stołku przy zimnej kracie kominka.

Berneda odpoczywała na szezlongu, słaba i wyczerpana. Obok niej siedziała Lucille, przyjechał też doktor Fellers. Przy oknie stał zdenerwowany Troy, spoglądał przez okno na ciemną drogę, jakby spodziewał się bandy złoczyńców przybywającej w obłoku kurzu, jak na starym westernie. Przyszła nawet Hannah, siedziała teraz zgarbiona na wyścielanym krześle. Była opalona, we włosach miała jasne pasemka, a na znudzonej twarzy mocny makijaż. Dżinsowa mini i wysokie buty na dwunastocentymetrowym obcasie sprawiały, że jej zgrabne, smukłe nogi wydawały się jeszcze dłuższe.

- Co się stało?

- Ktoś przeciął przewód w moim samochodzie - powiedziała Amanda, przeczesując włosy sztywnymi palcami. Zdenerwowana przemierzała pokój w tę i z powrotem. - Kilka miesięcy temu ktoś próbował zepchnąć mnie z drogi, ale policja nie potraktowała mnie poważnie. Lepiej, żeby tym razem nie popełnili takiego błędu.

- Ktoś chciał cię zepchnąć z drogi? - Berneda próbowała się podnieść.

Lucille dotknęła jej ramienia.

- Spokojnie. Połóż się.

- Tak! - powiedziała Amanda z naciskiem. - Ktoś chciał zepchnąć mnie z tej cholernej drogi. Mogłam się zabić! Policja wcale się tym nie przejęła. Wspomniałam o tym dzisiaj detektywowi Reedowi.

- Był tam? - zapytała nerwowo Caitlyn. Ten facet wciąż krążył wokół jej rodziny. Oczywiście, chciała, żeby odnalazł mordercę Josha, ale jego ciągła obecność niepokoiła ją.

- Przyszedł do szpitala, jak już wychodziłam. Powiedziałam mu, żeby ruszył tyłek i znalazł tego, kto to zrobił.

- Amanda myśli, że jej wypadek i śmierć Josha mogą być ze sobą powiązane - wtrącił Ian.

- Dam sobie za to głowę uciąć - dodała Amanda.

- Powiązane? Jak to?

- Tylko pomyśl: ktoś majstruje przy moich hamulcach w tydzień po tym, jak zamordowano Josha. Dziwny zbieg okoliczności.

- To mogło być samobójstwo - powiedział Ian.

- Daj spokój! Wszyscy znaleźmy Josha. Nawet nie ma się co zastanawiać. Samobójstwo! Co za bzdura! Mam szczęście, że dzisiaj nie zginęłam!

- Nic ci się nie stało - przypomniał jej mąż. Napięte kąciki ust mówiły, że dość już ma jej hysterii. Chociaż przekroczył czterdziestkę, włosy miał wciąż kruczoczarne. Wyglądał jak dwudziestopięciolatek, tyle że nieszczęśliwy, zgorzkniały i mocno znudzony życiem.

- To nie ma znaczenia, Ian. Ktoś chciał mnie zabić zeszłej zimy, tuż przed Bożym Narodzeniem, pamiętasz? I dziś znów próbował! Następnym razem może mu się udać!

Berneda jęknęła cicho.

- Chyba powinniście porozmawiać gdzie indziej. - Lucille rzuciła im ostrzegawcze spojrzenie. Amanda była jednak innego zdania.

- Myślałam, że najlepiej będzie, jeśli dowiecie się o wszystkim ode mnie. Pewnie podadzą dziś w wieczornych wiadomościach albo w jutrzejszych gazetach. Wolałam sama wam o wszystkim opowiedzieć.

- A co na to detektyw Reed? - zapytała Caitlyn.
- Niewiele. To samo co pozostali idioci. Od czasu, kiedy ten cholerny czarny explorer usiłował zepchnąć mnie w bagno, rozmawiałam z nimi trzy razy. Raz tego dnia, kiedy to się stało, drugi raz tydzień później i dzisiaj znowu. Ale wiesz co? Myślę, że nic ich to, do cholery, nie obchodzi.
- Ale przecież detektyw Reed przyjechał dzisiaj do ciebie, choć do niego nie dzwoniłaś - przypominał jej Ian.
- Ale jeszcze zadzwonię. Jeśli myśli sobie, że skończy się na tej dzisiejszej rozmowie, to mnie najwyraźniej nie zna.
- Może policja ma coś pilniejszego do roboty. Nic ci się przecież nie stało - odezwał się Troy, wsadzając ręce do kieszeni.
- Coś pilniejszego? Na przykład sprawę Josha Bandeaux?
- Wydawało mi się, że wciąż się zastanawiają, czy to nie było samobójco - powiedziała Berneda.
- Mówiłam już, że to na pewno nie było samobójstwo. - Amanda nie potrafiła ukryć irytacji.
- A ty jak myślisz? - Hannah zwróciła się do Caitlyn.
- Nie wiem, chyba zgadzam się z Amanda. Nie wierzę, że Josh mógłby popełnić samobójstwo.
- Też tak myślę. - Niebieskie oczy Hannah pociemniały lekko, a Caitlyn drgnęła. Słyszała plotki na temat Josha i Hannah, ale przecież słyszała też plotki na temat Josha i niemal każdej kobiety w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów. Zdażyła już przywyknąć do jego romansów. Nawet nie czuła się zraniona, raczej zażenowana. Ale myśl, że jej własna siostra... - Josh zbyt był w sobie zakochany, żeby ze sobą skończyć.
- Musimy to rozstrząsać? - zapytała Berneda, pocierając usta drżącą ręką.
- Oczywiście, że nie, mamó. Może pójdziesz na górę? - zaproponowała Caitlyn.
- Żebyście zaczęli mnie obgadywać?
- Nie będziemy cię obgadywać.
- Oczywiście, że będziemy - powiedziała Hannah, wstając z krzesła. - To jest to, co świetnie nam wychodzi. Plotki. Wszyscy plotkują o wszystkich. - Hannah zawsze była brutalnie szczera. Najmłodsza w rodzinie, rozpieszczana i zepsuta, uważała, że ma święte prawo mówić, co myśli. - Muszę się napić. - Przeszła do jadalni, w której stał antyczny kredens. - Ktoś jeszcze chce się napić? - zawołała, a jej głos odbił się echem od sklepionych sufitów.
- Zepsuty bachor - mruknął Ian, na tyle głośno, żeby wszyscy w pokoju usłyszeli.
- To za dużo jak na mnie. - Berneda nerwowo splatała dłonie.
- Zdenerwowałaś mamę - oskarżył Troy Amandę.
- Tak, wiem, nie powinnam była tu przyjeżdżać, ale myślałam, że jeśli przyjadę, mama przekona się na własne oczy, że nic mi nie jest. Chyba lepiej tak, niż gdyby miała zobaczyć migawkę w wiadomościach o jedenastej, prawda? - Amanda spojrzała na matkę.
- Mamó, nic mi nie jest, naprawdę - powiedziała, ale jej głos nie brzmiał pewnie. - Wszystko dobrze się skończyło. Tylko triumph, którego dostałam od taty, jest kompletnie rozbity.

Hannah wróciła do pokoju, popijając z niskiej szklanki.

- Tyle się wydarzyło w ciągu jednego tygodnia - drżącym głosem powiedziała Berneda i dotknęła ręki Amandy. - To trochę za wiele. Najpierw Josh, a teraz ty. Przysięgam,

czasami wydaje mi się, że nad tą rodziną ciąży fatum.

- Fatum? Boże, mamó. Zaczynasz gadać jak ona. - Hannah obrzuciła Lucille ostrym spojrzeniem. - Widziałaś ostatnio jakieś duchy?

- Hannah! - krzyknęła Berneda.

- Ja ich nie widzę, ja je tylko słyszę - powiedziała Lucille głosem tak lodowatym, że Caitlyn przeszedł dreszcz.

- A ty? - Hannah odwróciła się na pięcie i popatrzyła na Caitlyn. - Wydawało mi się, że i ty słyszysz duchy.

- Dość tego! - zatrzęsła się Berneda.

Doktor Fellers stanął między Hannah i matką.

- Nie denerwujmy się. Podałem pani matce środek uspokajający.

- Jak to miło z pana strony. - Hannah uśmiechnęła się ironicznie. - Ja też wezmę coś na uspokojenie. - Podniosła pustą szklankę i zakręciła nią w powietrzu.

- Przestań - ostrzegł ją Troy.

Lucille zacisnęła usta. Ciemne oczy patrzyły obojętnie i chłodno.

- Chodź, mamó, pójdziemy na górę, położysz się. Ian, pomożesz mi? - zapytała Amanda. Wcale nie było po niej widać, że miała dzisiaj wypadek.

Lucille poderwała się.

- Zaprowadzę ją do pokoju.

Ale Amanda już pomagała Bernedzie wstać z kanapy.

- Chodź mamó... Ian?

- Ja ją zaprowadzę - powiedział Ian, podtrzymując Bernedę. Tuż za nim szła Amanda. Lucille, która nigdy nie oddalała się od swojej podopiecznej, wchodziła wolno po schodach, trzymając się poręczy.

- Myślę, że nic jej nie będzie - powiedział doktor Fellers, zasuwając torbę. - To był dla niej ciężki tydzień. Zostawiłem receptę na lek uspokajający, trzeba go podać, jeśli znowu się zdenerwuje.

- Mama bardzo się zdenerwowała? - dopytywała się Caitlyn.

- Była trochę niespokojna - wyjaśnił Troy.

- Możecie do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy - powiedział doktor.

Jak zawsze. Od kiedy Caitlyn sięgała pamięcią, zawsze w nagłych wypadkach dzwoniło do Henry'ego Fellersa. Czasami jechali do niego do szpitala albo na pogotowie, ale najczęściej to on przyjeżdżał tutaj, jak jakiś poczciwy pan doktor z minionego stulecia. Zupełnie jakby nie istniały ubezpieczenia medyczne, nowoczesne szpitale z rezonansem magnetycznym, tomografią, zabiegami laserowymi. W czasach, gdy lekarze specjaliści odbywali telekonferencje z udziałem ekspertów z całego kraju, do nich przyjeżdżał stary doktor Fellers ze swoją nieodłączną torbą.

Co dziwniejsze, Caitlyn dałaby głowę, że są teraz jego jedynymi pacjentami. Od piętnastu lat był właściwie na emeryturze, ale zawsze, dniem czy nocą, spieszył do Oak Hill, jeśli zaszła taka potrzeba. Migreny Bernedy czy jej kłopoty z sercem, zapalenie zatok Caitlyn, złamany obojczyk Charlesa, wstrząs mózgu Amandy, aborcja Hannah...

To on przyjął Caitlyn do szpitala psychiatrycznego po śmierci Jamie i to on kilka tygodni później namówił lekarzy, żeby ją wypisali.

- Zajrzę tu jutro. - Idąc do drzwi, zatrzymał się na chwilę przy Caitlyn. - A ty, jak się czujesz? Bardzo mi przykro z powodu Josha. Nigdy go zbyt nie lubiłem, wiesz o tym, uważałem, że źle cię traktował, ale zdaję sobie sprawę, że mimo wszystko to strata.

- W porządku - odpowiedziała.
- Jesteś pewna? - przyjrzał się jej spod krzaczastych brwi.
- Tak pewna, jak to tylko możliwe - odpowiedziała, a Fellers wcisnął na głowę kapelusz i wyszedł. Zamknęła drzwi i odwróciła się. Hannah mieszała drinka palcem, gapiąc się na nią.
- Wiecie, jesteśmy żalosi - mruknęła.
Caitlyn nie miała dziś zdrowia na czarny humor siostry. Chciała jeszcze przed wyjazdem iść na górę i pożegnać się z matką.
- Mów za siebie.
- To tylko taka obserwacja. Takie jest moje zdanie.
- Więc zatrzymaj je dla siebie.
- Ho, ho, patrzcie no, kto to pyskuje - powiedziała pogardliwie Hannah. Posłała Caitlyn uśmiech niegrzecznego bachora i upiła duży łyk. - Strrasznie się boję.
- To dobrze. - Caitlyn wzięła torebkę i spojrzała na Hannah morderczym wzrokiem. - To już coś. Zaczynasz robić postępy.

Reed kombinował i kombinował, i jakkolwiek kombinował, zawsze wychodziło mu, że to Caitlyn Bandeaux jest główną podejrzaną. Czekał, aż sędzia wyda nakaz przeszukania domu. Prokurator okręgowy, Katherine Okano, zaczynała już tracić cierpliwość. Naciskała. To jest właśnie problem z kobietami na wysokich stanowiskach. Robią się niecierpliwe i jędzowate. Dodajmy do tego menopauzę i mamy prawdziwe piekło.

Przemawia przez ciebie niechęć do kobiet, skarcił go wewnętrzny głos. Zadzwoił telefon i Reed podniósł słuchawkę.

- Mówi detektyw Reuben Montoya z wydziału zabójstw policji w Nowym Orleanie. Szukam zaginionej osoby, która może mieć związek zjedna z badanych przez was spraw.

- W czym mogę panu pomóc?

- Nazywa się Marta Vasquez. Zaginęła w grudniu. Ma trzydzieści trzy lata, wzrost sto sześćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt osiem kilo. Latynoska. Ostatnio widziano ją z przyjaciółmi w barze przy Bourbon Street. Przefaksuję zdjęcie i dokładny opis.

- Ma związek z jakąś naszą sprawą?

- Otóż to. Marta jest córką Lucille Vasquez, która mieszka w Oak Hill, niedaleko Savannah. Wiem, że teoretycznie Oak Hill to nie pana teren, ale rozmawiałem już z tamtejszym szeryfem i skierował mnie do pana. Czytałem „Savannah Sentinel” i wiem, że pracuje pan nad sprawą Josha Bandeaux. Lucille Vasquez znała go. Poza tym jest pokojówką teściowej ofiary.

- I według pana te sprawy mogą być powiązane? Ale jak? - Reed pstrykał długopisem, myśląc intensywnie.

- Nie wiem. Nie wiem, czy jest między nimi związek, ale wszystkie inne tropy urywają mi się, a kilku znajomych zaginionej przypuszcza, że pojechała do matki w odwiedzinach. Nie wiem, czy to prawda, bo Marta i Lucille nie były w dobrych stosunkach, ale chcę to sprawdzić. Dzwoniłem do jej matki, ale gada się do niej jak do ściany. Nic nie można się od niej dowiedzieć.

To samo mówili policjanci, którzy przesłuchiwali mieszkańców Oak Hill. Reed odchylił się na krześle i spojrzał na ekran komputera, na którym wyświetlona była lista nazwisk wszystkich znajomych Josha Bandeaux.

- Wspomniał pan, że pracuje w wydziale zabójstw. Myśli pan» że Marta nie żyje?

Po drugiej stronie zapanowało przez chwilę niezręczne milczenie, Reedowi wydawało się, że słyszy trzask zapalniczki, a potem gwałtowny wydech.

- Czy nie żyje? Do diabła, to jest pytanie. Mam nadzieję, że żyje. Szukam odpowiedzi. - Zanim Reed zdążył zadać kolejne pytanie, Montoya dodał: - Jestem osobiście zainteresowany tą sprawą. Każda pomoc z pańskiej strony będzie mile widziana.

Brzmiało to szczerze.

- Nie ma sprawy. Chociaż nie wiem, w czym mogę być pomocny.

- Po prostu niech pan mnie informuje na bieżąco. Wyślę zdjęcie, jej dane i najważniejsze informacje.

- W porządku. Podam panu numer faksu.

- Już go mam. Dzięki. Dziękuję panu - powiedział Montoya.

Reed odłożył słuchawkę. Jaki związek może mieć zniknięcie Marty Vasquez z morderstwem Josha Bandeaux? Przypadek czy kolejny trop?

Zrobił notatkę i usłyszał zbliżające się znajome kroki. Morrisette. Spieszyła się. Sekundę później wpadła do pokoju.

- Zgadnij, co się stało? - wypaliła, sadowiąc swój drobny tyłeczek na biurku.

- Nie mam pojęcia.

- Ej, nie umiesz się bawić.

- Już to słyszałem. Wiele razy.

- Znów pisząc naszej ulubionej rodzinie. - Oczy Morrisette błysnęły. Naprawdę była podekscytowana. Za to Reed poczuł ucisk w żołądku.

- Montgomery?

- I kto śmiał przypuszczać, że nie jesteś superdetektywem?

- Na przykład ty.

Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając zęby.

- Jeśli chodzi o wczorajszy wypadek Amandy Drummond, to już o nim słyszałem i nawet rozmawiałem z nią w szpitalu. Twierdzi, że ktoś próbował ją zabić. Właśnie miałem do ciebie dzwonić i zapytać, czy chcesz jechać ze mną. Trzeba spisać jej zeznania.

- Cholera, powinnam była się domyślić, że już o wszystkim wiesz - powiedziała trochę zawiedziona. - Jasne, jadę, nie chciałabym przegapić tej rozmowy.

Zadzwoił telefon i Reed przełączył rozmowę na głośnik.

- Reed, słucham?

- Jest kilka faksów do pana - powiedziała sekretarka.

- Zaraz je odbiorę. - Właśnie się rozłączał, gdy zobaczył Amandę Drummond pędzącą jak burza prosto do jego pokoju.

- Wygląda na to, że przeprowadzimy tę rozmowę tutaj - powiedział szeptem, gdy Amanda wparowała przez otwarte drzwi.

- Powiedział pan, że będzie potrzebne zeznanie - powiedziała, nie witając się - więc pomyślałam, że załatwię to formalnie. Pewnie powinnam rozmawiać z tym gburowatym zastępcą szeryfa, ale wydawało mi się wczoraj w szpitalu, że dostrzega pan jakieś powiązania między śmiercią Josha a moim wypadkiem. Dlatego postanowiłam spotkać się z panem.

- W porządku. To moja partnerka. Detektyw Morrisette. Zostanie z nami. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, będę nagrywał pani zeznania. - Sięgnął do szuflady po dyktafon i zauważył, że Morrisette wyciągnęła z kieszeni mały notatnik i długopis.

- Dobrze. - Amanda spojrzała na Morrisette, przyjrzała się uważnie jej włosom,

odwróciła się do Reeda i usiadła na krześle koło biurka. Morrisette oparła się biodrem o parapet. - Wie pan, myślę, że ktoś uwziął się na naszą rodzinę. Pół roku temu ktoś próbował zepchnąć mnie z drogi. Jeśli sprawdzi pan w archiwum, to znajdzie pan tam moje zeznanie. Potem zginął Josh, a wczoraj ktoś znów na mnie zapolował! - Z zaciśniętymi szczękami i błyszczącymi oczami pochyliła się nad biurkiem. Nie wyglądała na przerażoną. Raczej na wściekłą. Taki już miała charakter. - Niech pan posłucha, detektywie, chcę, żebyście złapali tego drania, zanim opuści mnie szczęście. - Skierowała wymanikiowany palec między jego oczy. - Oczekuję, że przygwoździecie skurwiela, zanim znów zaatakuje.

- Pani Drummond, zapewniam panią, że robimy wszystko co w naszej mocy, żeby zamknąć tę sprawę.

- Jasne. Standardowa odpowiedź. Wielkie dzięki, będę spać spokojnie. - Wypuściła głośno powietrze i wreszcie trochę ochłonęła. - Wyjaśnijmy coś sobie. Nie lubię, gdy wychodzi ze mnie jęcza. Tak... tak nie musi być. Ale czasami czuję, że jest to konieczne. - Nachyliła się znów nad biurkiem, przez co rozmowa przybrała bardziej osobisty charakter. Reed przypomniał sobie, że Amanda Drummond jest prawnikiem, w sali sądowej musiała nabrać wprawy w urządzaniu przedstawień i występowaniu przed publicznością. - Niech pan posłucha - powiedziała. - Znam Kathy Okano. Wiele lat temu, zanim znudziła mi się ta praca, obie byłyśmy asystentkami prokuratora okręgowego. Jestem pewna, że Kathy przyznałaby mi rację.

- Gdzie pani zwykle trzyma samochód?

- W garażu, w moim domu. Mieszkam w Quail Run. To ogrodzone osiedle z ochroną.

- Kiedy ostatnio prowadziła pani ten samochód?

- Trzy tygodnie temu. To sportowy wóz i korzystam z niego tylko od czasu do czasu - odparła rzeczowo i spokojnie. - Zwykle jeżdżę mercedesem. Triumph to taka zabawka, kabriolet.

- Kto jeszcze nim jeździ?

- Tylko ja.

- A pani mąż? - zapytała Morrisette.

Amanda potrząsnęła głową.

- Nigdy. Tylko ja.

- Ale ma do niego dostęp. - Morrisette nie dawała za wygraną.

- Tak, ma nawet kluczyk, żeby mógł go w razie czego przestawić albo umyć. Ale wierzcie mi, Ian nie majstrował przy moim samochodzie!

- Więc kto? - zapytał Reed.

- Nie wiem. I to mnie martwi.

- Czy ktoś ostatnio odwiedzał panią w domu?

- Nie... właściwie nie.

- Właściwie nie? Co znaczy „właściwie”? - napierała Morrisette. - Albo ktoś u pani był, albo nie.

- To znaczy nie było nikogo, komu bym nie ufała. Mój brat Troy i moje siostry Caitlyn i Hannah... i moja przyjaciółka Elisa.

- A od czasu, kiedy pani jechała ostatni raz tym samochodem? Kiedy to było?

- Dwa... nie, raczej dwa i pół tygodnia temu. Musiałam zabrać dokumenty, które zostawiłam w pracy, pojechałam więc do miasta i zaraz wróciłam do domu.

- Więc kto był u pani w domu ód tamtej pory?

Amanda zmarszczyła brwi.

- Nie wiem. Znajomi, sąsiedzi, robotnicy. Był ktoś naprawić klimatyzację, przyszedł kominiarz, żeby przeczyścić przewody kominowe...

- Czy ktoś z nich zaglądał do garażu, w którym stał pani triumph?

- Chyba tak. Ale naprawdę nie wiem.

Reed powiedział:

- Dobrze by było, gdyby sporządziła pani spis miejsc, w których stał samochód, i spis osób, które miały dostęp do pani garażu przez ostatnie dwa i pół tygodnia. Chciałbym też zobaczyć kopie ostatnich dwóch faktur z warsztatu, nawet jeśli była tam pani tylko wymienić olej.

- Załatwione.

- Świetnie. - Reed i Morrisette zadawali kolejne pytania, a Amanda przedstawiła dokładny przebieg wypadku.

Podawała też nazwiska osób, które regularnie u niej bywają - ogrodnicy, pokojówka i sąsiad, który ma klucze - i obiecała, że dostarczy im pozostałe informacje. Nie była jednak zadowolona.

- Na waszym miejscu sprawdziłabym tę Cricket Biscayne.

- To ona wezwała pomoc.

- Podobno tak. Ale wiecie już, że nasze rodziny się nie lubią?

- Z tego co słyszałem, jesteście jedną wielką rodziną.

Amanda najeżyła się.

- Ja tak nie uważam. Moim zdaniem to dziwny zbieg okoliczności, że właśnie Cricket widziała, jak tracę panowanie nad samochodem. Biscayne'owie to biała hołota i nic mnie nie obchodzi, że nie powinno się tak mówić, bo to niepoprawne politycznie! Nic mnie nie obchodzi, że mój dziadek dokazywał z jej babką. To hołota, wyciągają łapy po zasilek. I nie przypadkiem Cricket za mną jechała.

Na zakończenie Amanda zostawiła swoją wizytówkę z telefonem do domu i do pracy.

- Może pan dzwonić pod dowolny numer - powiedziała, a Reed wyłączył magnetofon. Amanda zarzuciła torebkę na ramię. - Przefaksuję te faktury razem z listą osób, które u mnie pracują lub które były u mnie w domu i widziały samochód. Dostanie pan też ich adresy i numery telefonów.

- Będę czekał - zapewnił Reed. Ta kobieta była niesamowicie zorganizowana.

- Świetnie. - Ruszyła do drzwi, ale zawahała się przez moment. - Dziękuję - dodała jakby po namyśle, opuściła pokój i przeszła przez hol.

- Dzięki niej słowo „suka” nabiera nowego znaczenia - zauważyła Morrisette, nie dbając o to, czy Amanda ją usłyszy. - Jezu, przecież ona weszła nam na głowę. - Morrisette patrzyła przez otwarte drzwi. - Przez nią omal nie przeszłam do obozu wroga.

Reed uniósł brwi.

- No, słowo, zastanawiam się, czy nie przyłączyć się do drużyny przeciwnej. Facet, który próbuje jej się pozbyć, musi być w moim typie.

- Facet albo kobieta - pomyślał na głos. - Odwiedziła ją jej siostra.

- Zaraz, moment. Wiem, do czego zmierzasz. Myślisz, że Caitlyn wczółgała się pod triumph i przecięła przewody? Oszalałeś? Widziałeś kiedy taki samochód? Nadwozie jest kilka centymetrów nad ziemią, a nie sądzę, żeby pani Bandeaux znała się na mechanice. Ten, kto to zrobił, musiał się znać. Nie, Reed, tym razem pudło.

Wcale nie był przekonany.

- Chcę, żeby zdjęto odciski palców z tego wraka. Musimy też obejrzeć miejsce, w którym stał. Sprawdzimy, czy na podłodze w garażu, czy gdzie indziej nie ma śladów płynu hamulcowego. I musimy zobaczyć te dokumenty z warsztatu.

- Coś jeszcze?

- Tak, myślę, że Amanda ma rację. Na początek porozmawiamy z Cricket Biscayne, a potem utniemy sobie pogawędkę z naszą ulubioną wdówką.

- Dobra, weźmy się za Cricket. Jezu, co jest z tymi ludźmi? Nazwałbyś swoje dzieci Cricket i Sugar? Wprowadźcie to tylko przezwiska, bo Cricket ma na imię Christina, a Sugar - Sheryl, ale i tak... Są już dorosłe, mogłyby zacząć używać normalnych imion. Chociaż co ja się czepiam, Sugar to striptizerka, a Cricket fryzjerka, fiu bzdziu w głowie, nie potrafi utrzymać się w pracy dłużej niż miesiąc czy dwa.

Zapisał jej pager.

- Cholera, jeśli to opiekunka do dzieci... - Wycelowała w Reeda palcem. - Nic nie mów - wiem. Już przygotowałam dwudziestopięciocentówkę. - Spojrzała na pager. - O Kur...kurka. To Bart. Pewnie znów powie, że nie może zapłacić alimentów. Ciekawe, co wymyśli tym razem. Samochód mu się zepsuł? Stracił kolejną pracę? Cienko przedzie? Cholera! I tak miesiąc w miesiąc! - Ruszyła korytarzem, cały czas pomstując. Reed wciąż zastanawiał się nad Amandą i jej teorią. Postanowił odebrać faksy.

Było ich kilka, ale Amanda jeszcze nic nie przysłała. Jego uwagę zwrócił faks od Montoi, detektywa z Nowego Orleanu. Zawierał zdjęcie i opis Marty Vasquez. Fotografia była ziarnista, czarno-biała, przedstawiała ładną kobietę z krótkimi, ciemnymi włosami, z lekko zadartym, szerokim nosem i zmysłowymi ustami. Co się z nią stało? Jaki to ma związek ze sprawą Bandeaux? Z opisu wynikało, że Marta ma bliznę na brzuchu po operacji wyrostka robaczkowego i tatuaż przedstawiający kolibra na kostce lewej nogi. Studiowała, potem rzuciła studia i znów podjęła, ostatnio pracowała w firmie ubezpieczeniowej, ale zrezygnowała nagle bez podania przyczyny.

To tak jak Rebeka, psychoterapeutka Caitlyn Bandeaux.

Zbieg okoliczności?

Mało prawdopodobne.

Marta Vasquez, córka Lucille Vasquez, pokojówki, gospodyni i opiekunki potomków rodu Montgomerych. Więc Marta знаła dzieci Camerona. Zmarszczył brwi. Zniknęła... tylko tyle wiadomo. Nikt jej nie widział od sześciu miesięcy. Przyglądając się fotografii, wrócił do swojego pokoju, z którego dobiegał dzwonek telefonu.

- Detektyw Reed - powiedział, rzucając faksy na ogromną stertę spraw do załatwienia. Wszystko po kolei.

Cricket została sama w salonie. Ostatnia klientka, bogata kobieta, która zarzekła się, że umrze, jeśli nie będzie miała nowej fryzury dzisiaj wieczorem, odjechała nowym cadillakiem, zadowolona wreszcie ze swoich pasemek w siedmiu kolorach i skomplikowanej fryzury, której ułożenie zajęło prawie trzy godziny. Cricket spojrzała na brudne ręczniki piętrzące się na pralce, ale pomyślała o Misty. Ta dziewczyna zaczyna pracę o nieprzyzwoitej godzinie - ósma? Dziewiąta? Nieważne. Pełna energii, nieustannie chichocząca Misty może chyba, do diabła, uprać i wysuszyć te ręczniki.

Cholera, ta praca zaczyna ją wykańczać. Cały czas na nogach i jeszcze trzeba wysłuchiwać jędzowatych babsztyli. W kółko tylko gędzą o tych swoich mężach i dzieciach.

Niby się skarżą, niby narzekają, ale takie są dumne z tych swoich mężów i bachorów, że o Jezus! Cricket znosiła to cierpliwie i zwykle dostawała napiwki, choć niektóre babsztyłe były nieużytkami kutwami.

Bolały ją wszystkie mięśnie. Rozprostowała plecy, zamiotła wokół swojego fotela, przetarła umywalkę i powiesiła fartuch na wieszaku przy drzwiach. Jej cola stała tam, gdzie ją zostawiła, przy umywalce, gdzie mieszało się farby. Wzięła kubek i pociągnęła przez słomkę. Kofeina - tego potrzebowała. I może jeszcze kieliszek czy dwa tequili... albo trochę marychy. Albo wszystko naraz. Napiwki z całego tygodnia wystarczyłyby na kilka drinków i może jeszcze na trochę ziele.

Wyszła na schodki, gdzie zwykle paliła z dziewczynami. Wbrew zaleceniom Maribelle, właścicielki zakładu, zostawiała tylne drzwi otwarte i wybiegały sobie na kilka machów.

Teraz zamknęła drzwi na klucz i poszukała w torebce papierosów i zapalniczki. W zmiętej paczce znalazła tylko jednego złamanego papierosa z filtrem. Cholera. Zapaliła go i wąską uliczką, na której walały się kosze na śmiecie i skrzynki, ruszyła do samochodu. Maribelle kazała dziewczynom parkować przecznicę dalej, żeby było więcej miejsca na samochody klientek.

Cricket jakoś niewiele obchodziło, gdzie zaparkuje.

Ale Maribelle sugerowała też, że dziewczyny powinny dzielić się z nią napiwkami. Chytre babsko! Cricket kusilo, żeby rzucić tę robotę. Dokończyła colę i wrzuciła pusty kubek do kosza. Noc była parna, niebo ciemne, bez gwiazd i księżyca. W świetle latarni krążyły roje owadów. Jakiś natrętny komar bzycał jej nad uchem.

Pacnęła komara i skręciła tuż za stacją benzynową. Ból, który dokuczał jej przez większość dnia, wydawał się ustępować. Nogi zrobiły jej się jak z waty, ledwo nad nimi panowała. Oczy zaszyły jej mgłą. Zbyt długo pracowała. Zdecydowanie zbyt długo.

Z większym niż zazwyczaj trudem Cricket znalazła swój samochód. Stał pod latarnią, która coś dzisiaj szwankowała, na przemian włączała się i wyłączała. Ulica była opustoszała, ale to nic nie szkodzi, pomyślała Cricket. Głowa zaczęła jej ciążyć. Boże, co się z nią dzieje? Otworzyła samochód i usłyszała czyjeś kroki, wyczuła czyjaś obecność. Bez strachu obejrzała się i zobaczyła jakąś postać - mężczyzna czy kobieta? - przyczajoną w cieniu.

Wśliznęła się do samochodu i zaczęła obcasem o ramę drzwi.

- Cholera - zamruczała, ale zauważyła, że tak naprawdę mało ją to obchodzi. Widziała jak przez mgłę i... i nie mogła usiąść prosto za kierownicą, nie mogła trafić kluczykiem do stacyjki. Jezus, co się dzieje? Czuła się jak pod wpływem jakichś prochów, jakby ktoś... dosypał jej czegoś do coli?

Usłyszała kroki, ktoś biegł w jej stronę... kobieta, wyglądała znajomo... pewnie jej pomoże. Cricket chciała coś powiedzieć, próbowała zachować trzeźwość umysłu. Proszę mi pomóc, usiłowała krzyknąć, ale nie wydała żadnego dźwięku. Słowa uwięzły jej w gardle, gdy rozpoznała zbliżającą się kobietę.

Co ona tu robi? Dlaczego? Czy czekała na nią? Spodziewała się jej? O Boże. Nagle jak grom z jasnego nieba spadła na nią cała prawda. Zauważyła ciasne rękawiczki i białe zęby odsłonięte w szerokim uśmiechu.

Uśmiech jak u kota z Cheshire z *Alicji w Krainie Czarów*.

Albo jeszcze gorszy. Uśmiech był zimny, a oczy błyszczały niecierpliwie. Kobieta sięgnęła do torebki, wyciągnęła szklany słoik i w świetle samochodowej lampki Cricket zobaczyła owady: przeróżne, kłębiące się, wspinające po ściankach słoja, ruszające

cienkimi nogami, skrzydełkami i czułkami. Wdrapywały się jedne na drugie, próbując dostać się na górę i uciec.

- Twoi przyjaciele? - zapytała kobieta, obrzucając ją złowieszczym spojrzeniem. - Myślę, że tak.

Cricket wiedziała już, że zginie.

Rozdział 20

Nie powinnaś tu przyjeżdżać.

Usłyszała własny drwiący głos. Przekreśliła kluczyk w stacyjce i wsłuchała się w dźwięk gasnącego silnika. Orzeźwiający wiatr kołysał gałęziami dębów i szeleścił w gęstych zaroślach.

- Wiem, ale to urodziny Jamie - powiedziała głośno. Dom był taki spokojny, ciepłym światłem rozjaśniał ciemność.

Dom Jamie. Ścisnęło ją w gardle, gdy wyobraziła sobie śliczną buzię trzyletniej córeczki. Nie rozplakała się. Dawno temu zdążyła już wypłakać rzekę łez. Szybko, zanim opadły ją złe myśli, schowała kluczyki do kieszeni i wysiadła z lexusa.

Noc była ciepła, wiatr delikatnie muskał jej policzki. Poszła w stronę kutej żelaznej bramy. Myślała, że będzie zamknięta, ale klamka ustąpiła, zaskrzypiały stare zawiasy. Z ziemi niczym dym podniosła się osobliwa mgiełka, zatańczyła wokół jej stóp i przeleciała między koronkowymi gałęziami. Kiedy tak stała przed domem, który był niedawno również jej domem, obudziły się w niej wątpliwości. Czy podjęła słuszną decyzję? Była sama. Ale przecież zawsze była sama, prawda? Jedna z siedmiorga rodzeństwa, a mimo to samotna. Bliźniaczka - samotna. Mężatka - samotna. Matka - teraz samotna.

Wiatr rozwiewał jej włosy, gorący jak w południe. Ledwie słyszała przejeżdżający samochód i szczekanie psa sąsiada, tak głośno i boleśnie biło jej serce.

Teraz albo nigdy.

Albo porozmawia z Joshem, albo pozwoli umrzeć ich małżeństwu.

Zebrawszy się na odwagę, ruszyła kamienną ścieżką. Trzy stopnie prowadzące na werandę, gdzie wisiały koszyki z petuniami i odurzająco pachniał wiciokrzew. Już miała zapukać, ale drzwi były uchylone.

Zapraszająco.

Nie rób tego! Nie wchodź tam! Usłyszała głos Kelly tak wyraźnie, jakby siostra stała tuż obok.

Skuszona srebrną smugą światła weszła do środka, a jej kroki odbiły się echem w wysokim holu. Zegar zaczął wybijać godzinę, z głośników sączyła się delikatna muzyka... melancholijna, klasyczna - dochodziła z gabinetu Josha.

Przeszła przez próg i zobaczyła go leżącego na biurku. Jedna ręka zwisała z biurka, z nadgarstka kapłała krew, tworząc kałużę na miękkim dywanie.

- Josh! - krzyknęła. Zadzwoił telefon.

Jeden dzwonek. Telefon stał na biurku tuż przy głowie Josha.

Drugi dzwonek. Boże, czy powinna odebrać?

Trzeci dzwonek.

Caitlyn usiadła gwałtownie, zlana potem. Serce biło jej jak szalone. Była we własnym domu. W swoim łóżku. Ale wciąż miała przed oczami ten przerażający obraz.

Martwy Josh leżący na biurku w swoim gabinecie. Otwarte drzwi na werandę, pozew o spowodowanie śmierci córki. Nie musiała oglądać zdjęć z miejsca zbrodni, żeby wiedzieć,

że to wszystko prawda. Skąd to wie? Może tam była? Może była świadkiem zbrodni? Nie, niemożliwe. To nie może być prawda.

Zadzwoił telefon. Sięgnęła po słuchawkę.

- Słucham - wyszeptała.

Cisza.

Dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Halo? Kto mówi?

Cisza.

Przerażona rzuciła słuchawkę. Boże, co się dzieje? Trzęsącą się ręką potarła czoło.

To tylko zły sen. Bardzo zły sen.

Kto mógł dzwonić o trzeciej piętnaście nad ranem?

Kto zadzwonił i nie odezwał się ani słowem?

Pomyłka?

Starając się opanować, zaczerpnęła głęboko powietrza. W nogach łóżka leżał Oskar, ziewał, przeciągał się.

- Chodź tutaj. - Poklepała poduszkę obok, Oskar powoli przysunął się do niej i zwinął w kłębek. Głaskanie jego nastroszonego futerka i szum wentylatora pod sufitem uspokajały ją.

Znów zadzwonił telefon.

Wymacała kontakt, włączyła światło i podniosła słuchawkę.

- Halo?

Żadnej odpowiedzi.

- Halo?

Czekała z bijącym sercem, w słuchawce słyszała tylko czyjś płytki oddech.

- Kto to?

Nic. Żadnej odpowiedzi.

Dostała gęziej skórki... czy jej się wydaje, czy w tle słychać muzykę? Dlaczego nikt nie odpowiada? Odłożyła słuchawkę i sprawdziła numer na wyświetlaczu. Numer nieznany. Tyle to sama już wiedziała. Potarła czoło ręką. Telefon znów zadzwonił.

Cholera! Podskoczyła na łóżku. Zanim odebrała, spojrzała na wyświetlacz. Dzwonił Troy. Odebrała.

- Słucham?

- Caitlyn? Mówi Troy. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale chyba powinnaś wiedzieć. Mamę właśnie zabrano do szpitala. Serce.

- Nie! Boże, i co?

- Nie wiem. Przed chwilą dzwonili z pogotowia. Właśnie jadę do szpitala Eastside General.

- Zaraz tam będę - powiedziała bez namysłu. - Spotkamy się w szpitalu. Troy, dzwoniłeś do mnie kilka minut temu?

- Nie. Bo co?

- Zadzwonił telefon, odebrałam, ale nikt się nie odezwał.

- To nie ja - powiedział.

Kurczowo zacisnęła palce na słuchawce.

- Pewnie pomyłka - powiedziała, nawet przez moment w to nie wierząc. Zdjęła koszulę nocną, włożyła dzinsy i bluzę. Wsuwając nogi w sandały, poczuła coś szorstkiego.

- Co do diabła? - warknęła i zobaczyła wewnątrz sandałów ciemne plamy. Instynktownie

wiedziała, że te czerwone ślady to krew. Tej nocy, gdy zginął Josh, miała na nogach sandały. Zrobiło jej się niedobrze. Zrzuciła je jakby parzyły. W popłochu znalazła adidasy, włożyła je na nogi i zbiegła szybko po schodach. Gdy była przy tylnych drzwiach, znów zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz.

Numer nieznany.

Serce jej zamarło.

Powinna odebrać; może to w sprawie matki.

Odebrała.

- Halo?

Żadnej odpowiedzi.

- Halo?

Nic, tylko elektryzująca cisza. Przeszły ją ciarki. Musi zdusić ten strach.

- Kto to? Nie, nie chcę wiedzieć. Kimkolwiek jesteś, idź do diabła!

- Ty pierwsza. - Usłyszała chrapliwy szept i poczuła się, jakby właśnie wydano na nią wyrok śmierci. Rzuciła słuchawkę. Kto to jest, u licha?! Dlaczego dzwoni?

Uspokój się!

Cofnęła się i wpadła na blat. Musi jechać do szpitala. Nie ma czasu się teraz zastanawiać, kto ją tak dręczy. Ale gdy wyszła w parną noc, wciąż prześladowały ją te złowieszcze słowa.

„Ty pierwsza”.

Rysujący się w mroku siedmiopiętrowy nowoczesny szpital kontrastował ze starymi budynkami. Caitlyn zaparkowała i zostawiła wiadomość na komórce Kelly.

- Kelly, tu Caitlyn. Właśnie dzwonił do mnie Troy. Chodzi o mamę. Jest około czwartej nad ranem, mamę zabrano do szpitala Eastside General. Nic więcej nie wiem, ale gdy się dowiem, zadzwonię.

Popatrzyła przez szybę na pusty parking i zawahała się.

- Pomyślałam, że chciałabyś wiedzieć. Nic by ci się nie stało, gdybyś ją odwiedziła. Może pora naprawić kilka spraw. - Rozłączyła się, myśląc, że pewnie ją wkurzyła, ale co tam. Sytuacja była wyjątkowa.

Wysiadła z lexusa prosto w parną, ciepłą noc. Od rzeki wiał lekki wiatr, słychać było warkot nielicznych samochodów. Ruszyła chodnikiem i zobaczyła czarnego range rovera Troya i tuż obok hondę Hannah.

Gdy podeszła do wejścia, szklane drzwi się otworzyły. Światła wewnątrz były przygaszone, korytarze ciche i tylko w izbie przyjęć paliło się jasne światło. Caitlyn spotkała się z rodziną w poczekalni.

Przygnębiony Troy stał przy kontuarze, a Hannah siedziała na długiej kanapie i bezmyślnie przeglądała gazetę. Lucille siedziała w fotelu i patrzyła prosto przed siebie. Caitlyn nie potrafiła powiedzieć, czy Lucille jest śmiertelnie zmęczona, czy też w ciężkim szoku. Amanda, po której zupełnie nie było widać, że miała wypadek, przycupnęła na brzegu plastikowego krzesła, Ian przyjechał w mundurze i nieskazitelnej koszuli, czapkę położył na stoliku. Wydawał się zaniepokojony, zdenerwowany. Cały czas spoglądał na zegarek lub obgryzał paznokcie.

- Co z mamą? - zapytała Caitlyn.

- Lepiej. - Troy próbował zajrzeć przez kotary do sali. Z głośników w ścianach sączyła się senna muzyka.

- Dzięki Bogu - odetchnęła Amanda. - Nie wiem, czy przeżyłabym kolejną tragedię.
- Ty byś wszystko przeżyła - powiedziała Hannah, nie podnosząc głowy znad starego numeru „People”. - Jesteś twarda jak skała.
- Skąd wiesz?
- Wiem. - Wolno przewróciła kartkę i Caitlyn mignęło zdjęcie Julii Roberts.
- Więc jesteś jasnowidzem.
- Nie, ja po prostu znam się na ludziach. To całe paranormalne gówno zostawiam Lucille. Amanda już miała odparować, ale ugryzła się w język. Lucille nawet nie spojrzała w ich kierunku.

Troy nie zwracał uwagi na ich przekomarzanki.

- Lekarzom udało się ustabilizować jej stan.
- Miała kolejny atak - odezwała się Amanda.
- Serce?
- Uhm. Dławica?
- Dławica piersiowa - uściśliła Hannah, oderwawszy się na moment od czasopisma. - Ból wieńcowy.

- A nitrogliceryna? Nie pomogła?

- Nie tym razem.

Lucille westchnęła ciężko i splotła dłonie.

- Tym razem nic nie zadziało, więc zadzwoniłam po pogotowie. - Czowała się winna, więc unikała wzroku Caitlyn. Spuściła oczy i siedziała wpatrzona w stolik. - Nic nie pomogło. Miała duszności i skarżyła się na ból. Zaprowadziłam ją do łóżka, podałam lekarstwo, ale jej wciąż się pogarszało. - Zacisnęła usta i potrząsnęła głową. - Zadzwoiłam do doktora Fellersa, ale nie odbierał. Wasza matka była okropnie zdenerwowana i bardzo ją bolało, ale nie chciała, żebym gdziekolwiek dzwoniła. W końcu nie wytrzymałam, zadzwoniłam na pogotowie. Przysłali karetkę.

- Zrobiłaś, co mogłaś - odezwał się Troy.

Hannah przewróciła oczami.

Amanda spojrzała na nią ostrzegawczo, ale najmłodsza siostra nic nie zauważyła.

- Powinnam była wcześniej zadzwonić - wyrzucała sobie Lucille.

- A ty gdzie byłaś, Hannah? - zapytał Troy.

- Nie było mnie - powiedziała ponuro i chwyciła torebkę. - Wychodzę na papierosa.

- Idę z tobą. - Troy sięgnął do kieszeni marynarki i dogonił ją. Szklane drzwi rozsunęły się. Wyszli na zewnątrz i stanęli przy popielniczce.

Caitlyn spojrzała na Amandę.

- Jak się czujesz?

- Tak w ogóle? Po prostu świetnie - odpowiedziała Amanda z ironią. - To był koszmarne tygodnie.

Caitlyn musiała się z nią zgodzić, ale gdy przez mgłę zaczęły się sączyć pierwsze promienie świtu, opanowało ją dręczące przecucie, że będzie jeszcze gorzej.

Musiał działać szybko.

Adam wśliznął się do gabinetu i dokładnie zamknął za sobą drzwi. Coś przeoczył, był tego pewien. Choć przeszukał już każdy kąt, zamierzał zrobić to jeszcze raz, zajrzeć w każdą szparę, zerwać tę cholerną podłogę, jeśli będzie trzeba. Czasu miał coraz mniej.

Boisz się. Nie chodzi o Rebekę, ale o Caitlyn. Przyznaj się, Hunt, jesteś poważnie

zainteresowany, i to nie tylko zawodowo.

Zignorował tę myśl i zabrał się do roboty. Zajrzał wszędzie. Sprawdził szuflady, kartoteki, półki z książkami, stoliki, a nawet obicia kanapy i krzeseł. Zajrzał do szafy, do doniczek, za obrazy, które zdjął ze ścian, i do kieszeni wszystkich ubrań, które znalazł w szafie.

Zrolował dywan, przeszukał łazienkę i gdy na wschodzie zaczęło budzić się słońce, prawie dał za wygraną. Jeśli na twardym dysku nie było informacji, których szukał, to koniec. Coś go jednak dręczyło, coś się tu nie zgadzało. Usiadł na kanapie i rozejrzał się jeszcze raz, przypominając sobie, gdzie stały meble, gdy wszedł tu po raz pierwszy. Zastanowił się nad rzeczami, które stąd wyrzucił... coś mu nie pasowało.

Myśl, Hunt, myśl!

Jeszcze raz spojrzął na biurko, zlustrował całe wnętrze. Meble były nowe. Zrobione tak, żeby wyglądały na starsze, ale kupiono je w ciągu ostatnich kilku lat. Poza kilkoma książkami, parą butów, kurtką i plecakiem wszystkie rzeczy były dość nowe.

No i co z tego?

Zirytowany usiadł w kącie kanapy, tam gdzie zawsze siadała Caitlyn. Wydawało mu się, że czuje zapach jej perfum i serce zaczęło mu mocniej bić. Miała w sobie niewinność i erotyzm. Kusząca mieszanka.

To głupie, głupie, głupie. Jego zauroczenie Caitlyn to jakaś potworna pomyłka. Klęska zawodowa. Katastrofa osobista. Wiedział o tym, ale nie mógł się oprzeć jej urokowi. Lubił na nią patrzeć, kiedy zmagala się z gwałtownymi emocjami, kiedy usiłowała trzymać rezon i śmiechem pokrywała zdenerwowanie. Podobał mu się jej seksowny uśmiech, zmysłowe ruchy. A przede wszystkim czuł, że w głębi, pod pokładami strachu i niepokoju, kryje się inteligentna, bystra, myśląca kobieta. Szkoda, że Caitlyn tak rzadko pozwalała jej dojść do głosu.

Idiota! Nie miał czasu na romans, a już na pewno, nie z kimś tak skomplikowanym jak Caitlyn Bandeaux. Policja zaczęła już węszyć wokół niego, pytali o Rebekę. Jeszcze kilka dni, a może godzin i zorientują się, że podnajmuje jej gabinet i korzysta z jej sprzętu. Wtedy będzie musiał się tłumaczyć. Jej zniknięcie zostanie oficjalnie zaprotokołowane, zaplombują gabinet i dom. Zaczną śledztwo, będą mu się podejrzliwie przyglądać. Miałby ograniczoną swobodę działania. A przecież to on powinien odnaleźć Rebekę.

Mieszkał z nią.

Znał ją.

Rozumiał.

Wiedział, że jest w stanie ją znaleźć.

Ale zaczynał się martwić, że może już nie zdążyć. Czas uciekał. Z każdym dniem nabierał pewności, że Rebeka nie żyje.

Co gorsza, miał złowieszcze przeczucie, że jej zniknięcie jest w jakiś sposób związane z Caitlyn Montgomery Bandeaux.

Rozdział 21

Nie wiem, gdzie ona jest - powiedziała Sugar, stojąc w drzwiach. Caesarina warczała ostrzegawczo.

- Ale Christina Biscayne mieszka tutaj?

Sugar przytaknęła. Nie lubiła policjantów. Nie ufała im. Ale detektyw Reed wyglądał inaczej, miał surową, męską urodę i badawcze spojrzenie. Nie to co ten gburowaty szczył, który przesłuchiwał ją po śmierci Josha. Tamten gliniarz to dzieciak, a ten to

zdecydowanie mężczyzna. Przyszedł z kobietą - jędrne ciało, wyzywające spojrzenie i naprawdę fatalna fryzura.

- Cricket jest dorosła. Czasami nie wraca do domu.
- Będzie później?
- Kto to wie? Mam nadzieję, że tak.
- Nie chodzi do pracy? - zapytała policjantka.
- Chodzi. Na różne godziny.

Wydawało się, że chcą jeszcze o coś zapytać, ale tylko poprosili, żeby Cricket, jeśli się zjawi, zadzwoniła na policję. Sugar stała w drzwiach, patrząc jak detektyw Reed wsiada do samochodu. Ładnie się poruszał. Gdy szedł, stawiając długie, lekkie kroki, spodnie opinały mu się na naprężonych pośladkach. Będąc już w samochodzie, założył ciemne okulary, takie, jakie noszą piloci samolotów. Właściwie nie był przystojny, nie miał hollywoodzkiej urody, ale było w nim coś naturalnie seksownego i męskiego. Policjantka zapaliła papierosa, cofnęła samochód, dodała gazu i z hukiem popędziła wyboistą drogą, zostawiając za sobą tuman kurzu. Sugar wciąż stała w drzwiach, zadając sobie pytanie, gdzie, do diabła, jest jej siostra.

Gdzie ja, do diabła, jestem? Zimno, mokro, ciemno... leżę chyba na jakimś klepisku. Cricket nie mogła się ruszyć, nie mogła unieść głowy, nie miała pojęcia, jak długo już tu jest. Ręce związane z tyłu, nogi spętane, usta zaklejone taśmą. Zresztą i tak nie mogłaby nic zrobić. Odkąd ją tu przywieziono jej własnym samochodem i przewieziono dziecięcym wózkiem do tej brudnej, śmierdzącej dziury w ziemi, była oszołomiona narkotykami, niezdolna do żadnego ruchu. Pod drzwiami widziała błyski światła, gdy jej porywaczka, która mówiła o sobie: Atropos, wychodziła ze swojego pokoju. Godziny - a może dni - mijały. Cricket nie wiedziała dokładnie, ile czasu leży w tej zapomnianej piwnicy.

- Znowu się obudziłaś?

Drgnęła przestraszona. Nie słyszała kroków.

- No cóż, to już długo nie potrwa, prawda?

Goń się, suko! W głowie Cricket panował chaos. Albo bardzo długo spała, albo została czymś ogłuszona. Palilo ją pragnienie i chyba się zmoczyła... pamięta, że chciało jej się siusiu, a teraz już nie...

Zabiłaby tę sukę, ale nie miała ani możliwości, ani siły. Za każdym razem, gdy odyskiwała jasność umysłu i chciała rzucić się na swoją oprawczynię, nagle ogarniała ją senność. Nafaszerowano ją narkotykami, to pewne. Ale gdyby tylko udało jej się dojść do siebie... ta suka już byłaby trupem. Trupem!

- Proszę. Pomyślałam, że możesz czuć się samotna. - Atropos przykucnęła tuż przy niej i włączyła latarkę. Wąski promień światła wydobył z ciemności stare spróchniałe drewno, potłuczone szkło, butelki i coś jakby trutkę na szczury. O nie...

Atropos postawiła na podłodze duży słój. Wydawał się ruszać, oddychać i pęcznieć.

Cricket spociała się cała. Nie mogła oderwać wzroku od słoja. Serce waliło jej nieprzytomnie.

- Patrz! - Atropos skierowała światło latarki prosto na słój. W środku były gniazda pajaków i koronkowe nici pajęczyn rojące się od nowo wyklutych malutkich pajaczków rozłazających się we wszystkie strony. Stare pajaki rozglądały się bacznie, niektóre uniosły przednie odnóża, gotowe pożreć młode innych pajaków. - Hodowałam je od tygodni -

wyjaśniła Atropos.

Cricket zaczęła się trząść.

Atropos wyjęła z kieszeni mniejszy szklany słoik i zbliżyła go do światła. W środku siedziały owady... świerszcze. Trzy czy cztery ciemne świerszcze.

Na miłość boską!

Atropos ostrożnie odkręciła słoik i peseta wyjęła jednego małego świerszcza. Miotał się, próbował wyrwać, ale nadaremnie. Atropos otworzyła słoik z pajakami. Przez krótką dramatyczną chwilę przytrzymała świerszcza nad otwartym słojem, a potem upuściła.

Przerażona Cricket patrzyła. Świerszcz wylądował w pułapce z pajęczyn i przykleił się do nici.

Walczył, ale tylko przez moment.

Pająki rzuciły się do ataku.

Cricket, chora ze strachu, patrzyła, jak walczą. Zwyciężył duży brązowy pająk, zatopił w świerszczu śmiertelny kolec.

Cricket zadygotała. Serce waliło jej jak młotem, żołądek podszedł do gardła.

- Hm, niezbyt miły widok. - Atropos zawiązała wokół słoja splecioną czerwono-czarną nić. - No cóż, przedstawienie skończone. Dobranoc, pchły na noc. Karaluchy pod poduchy, a szczypawy do zabawy.

Przyświecając latarką, weszła na górę po skrzypiących schodach.

Cricket znów ogarnęła ciemność.

Słoik z pajakami stał kilka centymetrów od jej twarzy. Nie musiała być geniuszem, żeby domyślić się, jaki los zgotowała jej Atropos. Do oczu napłynęły jej łzy.

A tuż obok, w ciemnościach czaiły się pająki.

Zrobiłaś to?

Usiłowałaś zabić Amandę?

Jechała przez miasto i znów męczył ją ten okropny głos podobny do głosu Kelly. Omal nie przejechała na czerwonym świetle. Włączyła radio, próbując go zagłuszyć. Nie pomogło. Nie dawał jej spokoju.

A Josh? Zabiłaś go... to takie cholernie wygodne, że nic nie pamiętasz.

Śnił ci się martwy Josh leżący na biurku. A co z Amandą? Nie pamiętasz, jak byłaś w jej garażu? Jak wodziłaś palcami po gładkim lakierze jej małego czerwonego kabrioletu? Czulaś pod palcami nawet najmniejszą skazę na powierzchni składanego dachu.

Potem atak Bernedy. Lekarze mówią, że nie zażyła lekarstwa, że nie było w jej krwi śladów nitrogliceryny, choć Lucille przysięga, że Berneda połknęła pigułkę. Byłaś tam. Poszłaś powiedzieć jej dobranoc. Widziałaś na stoliku fiolkę z nitrogliceryną. Nawet jej dotknęłaś, gdy sięgałaś po chusteczkę... zrobiłaś coś jeszcze? Coś, co siedzi teraz w jakimś ciemnym kącie twojego mózgu, dziurawego jak ser szwajcarski? Boże, trzeba być potworem, żeby próbować zabić własną matkę!

Zaparkowała w bocznej uliczce. Spojrzała na elegancki wiktoriański dom, w którym mieściły się prywatne biura. Z samochodu zobaczyła okna gabinetu Adama. Drugie piętro, tuż pod dachem. Spędziła w szpitalu sporą część dnia i zrobił się już prawie wieczór, ale Adam zgodził się z nią spotkać. Cienie domów i drzew wydłużały się, zapowiadając nadejście zmierzchu.

Czy Adamowi na pewno można ufać? Czy nie kierują nim jakieś ukryte motywy?

Wypadek Amandy, spotkanie z rodziną i ten atak matki wykończyły ją. Zwłaszcza

spotkanie z rodziną. Cały ten melodramat. Wszystkie te sekrety. Wszystkie te cholerne niedomówienia. Nic dziwnego, że co chwila ktoś z Montgomerych dostosował świra.

Czas to przerwać.

Czas w końcu odzyskać równowagę. Przepędzić demony. Adam Hunt jest teraz jej psychoterapeutą i na pewno potrafi jej pomóc. A ona musi komuś zaufać. Nie policji. Nie swojej rodzinie. Nie własnemu umysłowi. Ani nawet nie Kelly.

Więc zamierzasz wypowiadać się jakiemuś zupełnie obcemu człowiekowi?

Caitlyn usłyszała ironiczny głos Kelly.

Jesteś wariatką. Autentyczną wariatką. Tak jak babcia!

- Przestań! - krzyknęła, uderzając pięścią w kierownicę. Zatrąbił klakson i aż podskoczyła.

Ogarnął ją straszny gniew. Miała naprawdę dość własnych lęków i wątpliwości. Dłużej nie będzie już tego znosić. Nie będzie już ofiarą. Przez lata była więźniem własnego umysłu i ma tego dość.

Adam Hunt mógł się okazać jej zbawieniem albo zgubą, ale ważne, że w ogóle był. Bo to jej jedyna nadzieja.

Wysiadła z samochodu. I zanim zdążyła zmienić zdanie, weszła tylnymi schodami do gabinetu Adama.

Drzwi były uchylone.

Zastukała delikatnie; drzwi skrzypnęły i otworzyły się same, odsłaniając pusty, pogrążony w mroku pokój. Przeszedł ją dreszcz. Może to ostrzeżenie, że nie powinna tu przychodzić, nie powinna przekraczać tego progu? Nie, co za bzdury! Po prostu przyszła kilka minut przed czasem. I była zdecydowana zmienić swoje życie. Dzisiaj. Zanim utraci te resztki zdrowia, które jeszcze zachowała.

Lepiej poczekać na krzesle w korytarzu, tam gdzie zawsze czekają pacjenci. Kącik był przytulny. Na stoliku leżały porozrzucone czasopisma i można było napić się zimnej wody. Wiedziała, że Adam spodziewałby się tam ją zastać.

Ale dzisiaj wbiegła tylnymi schodami i nie widziała powodu, żeby trzymać się utartych zwyczajów. Dzisiaj była nową osobą. Odważną, nie zahukaną. Zdecydowaną, nie nieśmiałą. Weszła do ciemnego pokoju. Na stole stały puste kubki po kawie, a w koszu, dyskretnie schowanym za kanapą, leżały zmięte chusteczki. Czy to te, które ona wyrzuciła podczas ostatniej wizyty? Czy Adam miał jeszcze innych pacjentów?

Usłyszała skrzypnięcie i odwróciła się, ale nikogo nie zobaczyła.

Duchy, pomyślała. Lucille mówiła jej, że jeśli się mocno skoncentruje, tak mocno, że żaden dźwięk, nawet bicie własnego serca, nie rozproszy jej uwagi, to usłyszy je.

Adama wciąż nie było. Pociągnęła palcem po jego biurku i zastanowiła się, co on sobie o niej myśli, co zanotował na jej temat i na temat jej rodziny. Czy myśli, że ona traci rozum? Jego notatniki leżały na wierzchu. Wystarczyło wyciągnąć rękę i przeczytać. Dlaczego nie? Przeczyta tylko o sobie, to przecież nic takiego. W końcu to jej życie.

Przygryzając wargi, wzięła notatnik leżący na samym wierzchu, ale usłyszała kroki na schodach i zaraz go rzuciła, jakby parzył jej palec. Szybko podbiegła do kanapy i właśnie zdążyła usiąść, gdy Adam wszedł do pokoju i zapalił światło. Na jej widok cofnął się zaskoczony.

- Caitlyn? - Spojrzał na zegarek. - Nie miałem pojęcia, że się spóźniłem.

- Nie spóźniłeś się. Przyszłam wcześniej, drzwi były otwarte, więc zdecydowałam się poczekać tutaj - uśmiechnęła się, mając nadzieję, że nie wygląda jak przyłapaną na

gorącym uczynku. Z ulgą spostrzegła, że i on się lekko uśmiecha. Twarz miał szczerą. Zatraskaną. - Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego.

- Oczywiście, że nie. - Ale jego głos nie brzmiał tak ciepło jak zwykle. - Wyszedłem kupić kawę. - Pokazał małą, szarą torebkę, otworzył ją i przesywał kawę do słoiczka. Poszedł po wodę do łazienki i włączył czajnik. Czekając, aż woda się zagotuje, usiadł na fotelu i sięgnął po notatnik. Ten, który przed chwilą miała w ręku.

- Chcesz porozmawiać o tym, co przydarzyło się twojej siostrze i mamie? Chyba byłaś zdenerwowana, gdy dzwoniłaś.

- Byłam. Jestem - przyznała, z mocnym postanowieniem, że nie wycofa się, nie posłucha ostrzegawczego głosu. Dzisiaj ma zacząć życie od nowa. Teraz. W tej chwili. Zaciśnęła mocno pięści, aż poczuła wbijające się w skórę paznokcie. Powoli rozprostowała dłonie i zaczęła opowiadać o wypadku Amandy. Opowiedziała o spotkaniu w Oak Hill, o tych rodzinnych rozmowach pełnych aluzji i niedomówień, o humorach Iana i sprzeczce z Hannah. Wspomniała też, że matka bardzo się zdenerwowała, a Lucille była jakaś niespokojna.

- I wszyscy tak dziwnie na mnie patrzyli - dodała, podchodząc do okna, za którym noc ogarniała miasto. - Jakby się bali, że za chwilę dostanę szału i skończę w psychiatryku.

- Boisz się tego?

- Tak! - Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Tak! Tak! Tak! Byłam już w jednym i coś ci powiem, to nie są wczasy. - Uniosła rękę, jakby kierując prośbę do nieba. - Mój Boże, odkąd pamiętam, wciąż słyszałam plotki na mój temat, jaka to jestem dziwna. Niektórzy myślą, że zabiłam Charlesa, nawet niektórzy z rodziny. Przez to, że wyciągnęłam mu z piersi tę przeklętą strzałę. I myślą... Nie wiem, co myślą. Pewnie po prostu, że jestem szalona. - Usiadła na kanapie. - Szalony Kapelusznik - tak o mnie mówią. Chyba to lepsze niż wariatka, i proszę, nie pytaj, czy jestem wariatką, bo naprawdę nie wiem. - Odgarnęła włosy z oczu i z całych sił starała się opanować. - Powinieneś ich widzieć wtedy w domu. Ich wszystkich. Mamę też.

- No cóż, postaramy się, żebyś nie trafiła do szpitala, dobrze? - Uśmiechnął się i jakoś udało mu się przegnać wszystkie jej strachy.

- Też mi na tym zależy.

Popatrzył jej w oczy o sekundę dłużej, niż należało, i poczuła to lekkie podniecenie, łaskotanie koniuszków nerwów, którego doznawała zawsze, gdy spotykała interesującego mężczyznę.

- Wspomniałaś, że twoja mama jest w szpitalu. - Czy to złudzenie, czy jego głos był trochę bardziej szorstki?

- Zdenerwowała się tym wypadkiem Amandy. Zdaje się, że dostała napadu dławicy, gdy szła po schodach do sypialni. Przez chwilę jej stan był krytyczny, ale potem ustabilizował się.

- Cieszę się.

- Ja też - przyznała i zebrała się w sobie. Teraz albo nigdy.

- Adamie... - Jej głos brzmiał nienaturalnie nawet dla niej samej.

Ich oczy znów się spotkały.

- Powinieneś o czymś wiedzieć. Nie sądzę, że jestem szalona, to znaczy, modlę się, żebym nie była... - Jak mogła wyjaśnić to, czego sama nie rozumiała? Ręce jej się spociły, serce waliło. Powoli, z wysiłkiem udało jej się opanować.

- O co chodzi? - Z jego ust zniknęły resztki uśmiechu. Patrzył na nią badawczo, w

napięciu, tak jakby wiedział, co za chwilę usłyszy.

Mimo to ciągnęła dalej.

- Dzieją się dziwne rzeczy. Nie dotyczy to rodziny, ale konkretnie mnie. - Gardło miała tak ściśnięte, że z trudem wypowiadała te straszne słowa. - Poza koszmarami widzę też pewne obrazy, coś w rodzaju déjà vu. Wiążą się one z ostatnimi wypadkami. Obrazy są porwane i nie składają się w sensowną całość. Pamiętam na przykład, że dotykałam samochodu siostry, tego, którym się rozbiła, albo że patrzyłam na lekarstwa stojące w pokoju matki. - Przełknęła z trudem ślinę i poczuła wewnętrzne drżenie. Oto za chwilę zanurzy się w mroku, otworzy drzwi prowadzące na schody ku zakazanej piwnicy, ryzykując, że zatrzasną się za nią, a potem usłyszy zgrzyt przekręcanego klucza i na zawsze zostanie uwięziona w przerażających ciemnościach.

Zamknęła oczy.

- Następnego dnia po tym, jak zginął Josh, obudziłam się i... zobaczyłam krew w sypialni. Cała sypialnia była zakrwawiona. - Trzęsąc się, podwinęła rękawy swetra. - Na łóżku, na firankach, na podłodze, w łazience... o Boże, wszędzie. Na ścianach, na dywanie, rozmazana na umywalce i kafelkach. Szklane drzwi kabiny prysznicowej były pęknięte... ale nie pamiętam, żebym je stłukła. Krew na firankach, o mój Boże... - Głos uwiązał jej w krtani.

Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą twarz Adama, nieruchomą, opanowaną. Tylko napięte kąciki ust świadczyły, że jest wstrząśnięty jej wyznaniem. Caitlyn, nie ma powodu się teraz zatrzymywać, powiedziała sobie. Brnęła dalej.

- Miałam tej nocy krwawienie z nosa i odkryłam... to. - Wyciągnęła ręce, pokazała brzydkie strupy na nadgarstkach. - Nie pamiętam, żebym to zrobiła. Nie pamiętam też krwawienia z nosa. A nawet jeśli to zrobiłam... jeśli się okaleczyłam, nie sądzę, żebym mogła stracić aż tyle krwi. Cała sypialnia i łazienka! Boję się... Jezu, boję się, że w jakiś sposób jestem odpowiedzialna za śmierć mojego męża.

Rozdział 22

Myślisz, że go zabiłaś? - spytał Adam.

- O to właśnie chodzi. Nie wiem. Nie pamiętam. Ale policja mówi, że na miejscu zbrodni znaleziono krew mojej grupy. I jeszcze ta zakrwawiona sypialnia... Oszukiwałam się, że to moja krew, ale to przecież niemożliwe. - Wzięła głęboki wdech. Nie była już taka pewna, czy dobrze zrobiła, wyznając mu prawdę.

- A co pamiętasz? - Jego głos był delikatny, nie oskarżał, nie osądzał.

Opowiedziała tyle, ile pamiętała. Zaczęła od tego, jak czekając na Kelly w barze, wypija trochę za dużo. Potem urwał jej się film, a rano obudziła się w zakrwawionej pościeli.

- To było okropne. Straszne i odrażające. Nie mogłam na to patrzeć, więc zabrałam się do sprzątania. Uprałam bieliznę, pościel, umyłam ściany, umywalkę, dywan i wszystko, co było zabrudzone krwią. Musiałam się tego pozbyć. - Przeczesała włosy palcami, próbowała powstrzymać ból rodzący się u podstawy czaszki. - Myślę, że tracę nad sobą kontrolę. Chyba powinnam iść na policję, ale się boję. Detektyw Reed już traktuje mnie jak główną podejrzaną.

- Myślisz, że byłabyś zdolna do morderstwa?

- Nie! Oczywiście, że nie. - Potrząsnęła głową i opuściła rękawy swetra. - Ale sama nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Widzę obrazy z miejsca zbrodni. Widzę Josha leżącego na biurku. I to jeszcze nie wszystko. - Opowiedziała o swoich przypadkach déjà vu, snach

i obrazach związanych z tragicznymi wypadkami, które wydarzyły się w rodzinie. - Jest jeszcze coś. Mam wrażenie, że jestem obserwowana. Nie wiem, czy to policja pilnuje domu, czy ktoś mnie prześladowa, czy to tylko moja chora wyobraźnia. - Odetchnęła głęboko. - Czuję się, jakbym biegła, ale nie wiem, skąd i nie mam pojęcia dokąd. To mnie niepokoi. Doprowadza do obłądzenia.

- Nie jesteś obłąkana.

- Czekaj. Nie znasz mnie dobrze.

- Wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że nie jesteś obłąkana, to nie podlega dyskusji - powiedział poważnie i odłożył długopis. - Zróbmy sobie przerwę. Oboje jesteśmy zmęczeni. Może pójdziemy na prawdziwą kawę lub na kolację? Ja stawiam i oczywiście nie wliczam tego czasu do rachunku.

- No, nie wiem - wahała się. Wolą być ostrożna.

- Zgódź się - nalegał. - Jestem głodny. Obiecuję, że nie urządzę ci sesji terapeutycznej. - Położył notatnik na biurku i wstał. - Tuż za rogiem jest świetna restauracja. Z prawdziwą miejscową kuchnią. Przejdziemy się.

- Ale...

- Ja stawiam. No chodź. - Ruszył do drzwi, pobrząkując kluczami.

Co to szkodzi? Jest jej psychoterapeutą, ale to nie znaczy, że nie mogą się lepiej poznać, prawda? Och, Caitlyn, pakujesz się w kłopoty. Poważne kłopoty.

Ale to przecież nic nowego.

Gdy wyszli, wziął ją za rękę i poprowadził ulicą, a potem przez plac do dwustuletniego domu. Weszli po schodkach do recepcji, skąd kelnerka zaprowadziła ich na górę do sali. Szerokie drzwi balkonowe prowadziły na lodzie, między stołami stały kwiaty w doniczkach. Ze swojego miejsca mogli widzieć plac i ulicę wysadzaną drzewami. Letni wiatr niósł zapach rzeki, ciepły aromat pieczonego chleba i ledwie wyczuwalną woń dymu papierosowego.

- Czy życzą sobie państwo coś z baru? - zapytała kelnerka, kiedy już wyrecytowała listę dań polecanych przez szefa kuchni.

- Caitlyn? - zapytał, a Caitlyn przypomniała sobie, kiedy ostatni raz piła alkohol. W noc śmierci Josha. W noc, której nie pamięta.

- Mrożona herbata z cukrem - powiedziała.

Dostrzegła błysk rozbawienia w jego oczach.

- Wezmę szkocką. Bez wody.

Gdy kelnerka odeszła, spojrzął na park, gdzie kilka osób spacerowało wśród wysokich, ciemnych dębów. Latarnie rzucały na ziemię jasne kręgi światła. Caitlyn poczuła ukłucie niepokojącej. Czy ktoś czai się w ciemnościach, czy ktoś ich obserwuje? Otworzyła menu, ale nie miała apetytu, więc bez większego zainteresowania przejrzała listę dań.

- Myślisz, że powinnam iść na policję? - zapytała, udając, że studiuje spis przystawek.

- Mieliśmy o tym nie rozmawiać.

Wzruszyła ramionami.

- Chciałam poznać twoje zdanie.

- Nie jestem prawnikiem. Myślę, że chyba będziesz potrzebowała adwokata.

- Właśnie zaczęłam się za kimś rozglądać. Moja siostra jest prawnikiem, mówiłam ci. Nie zajmuje się już prawem karnym, ale dała mi kilka nazwisk i umówiła mnie na pojutrze na spotkanie.

- To dobrze.

- Wszystko tak się zagmatwało. - Znow poczuła znajomy ciężar, jakby dwie tony przygniatały pierś, nie pozwalając oddychać.

Adam położył rękę na dłoni Caitlyn. W jego oczach odbijała się ciemność nocy. Dłoń miał ciepłą. Szorstką. Silną. Jego uścisk uspokoił ją natychmiast.

- Pora, żebyś się odprężyła - powiedział cicho. - Poradzimy sobie z tym.

- Na pewno?

- Tak. - Uśmiechnął się łagodnie. Był przystojny, choć nie należał do mężczyzn od razu rzucających się w oczy. Miał w sobie jednak coś, co przyciągało uwagę i budziło zaufanie. Caitlyn przypuszczała, że pod maską powściągliwości skrywał namiętność i kilka innych sekretów.

- Masz jeszcze jakichś pacjentów? - zapytała, cofając rękę, gdy kelnerka przyniosła napoje.

- Czy już państwo wybrali?

Adam spojrzał na Caitlyn pytająco.

- Co byś chciała?

- Czerwony ryż z krewetkami i smażoną okrą. - Caitlyn uśmiechnęła się z trudem. - Ulubione danie ojca. Prawdziwa południowa kuchnia.

Adam zaśmiał się cicho.

- Poproszę kotlet wieprzowy z chlebem kukurydzianym i sosem beszamelowym.

- Coś jeszcze? - zapytała kelnerka.

- Wino? - Adam uniósł pytająco brew, ale Caitlyn potrząsnęła głową. Lepiej nie ryzykować. - Może kawałek ciasta orzechowego na deser - Adam zwrócił się do kelnerki scenicznym szeptem i podał jej kartę dań.

- Oczywiście.

Po raz pierwszy od śmierci Josha Caitlyn poczuła się bezpieczna. Mogła się wreszcie trochę odprężyć. Adam opowiedział kilka starych dowcipów, rozśmieszył ją i wreszcie przestała się zamartwiać, przynajmniej przez chwilę. Kiedy kelnerka przyniosła talerze, Caitlyn wrócił apetyt i ochoczo zabrała się do jedzenia.

- Chyba jestem ci winna przeprosiny - powiedziała, widząc, że Adam jej się przygląda.

- Za co?

- Za to, że o mały włos nie zepsułam wieczoru - potoczyła wzrokiem po sali - to był świetny pomysł.

- Tak mi się wydawało.

- Myślę, że możemy go jeszcze ulepszyć.

- Jak?

- Możemy zabawić się w doktora. - Uniosła niesfornie brwi, a kiedy zobaczyła jego poważną minę, dodała: - Ja będę doktorem, a ty pacjentem. - Odłożył widelec.

- Caitlyn?

- Będę takim doktorem jak ty. Z tytułem naukowym. Teraz ja zrobię ci psychoanalizę.

- Och! - Roześmiał się szeroko. - A już myślałem...

- Mam cię! - Zachichotała. - Wiesz, ja naprawdę lubię się powygłupiać, tylko ostatnie dni były dość ponure.

Odłożył sztućce, przekrzywił głowę i przyjrzał jej się z uśmiechem.

- Jesteś niesamowitą kobietą, Caitlyn.

- Tak sądzisz? - droczyła się z nim.

- Skomplikowaną.

- O nie. To ja jestem terapeutą, pamiętasz? Moja kolej. - Wycelowała widelcem w jego pierś. - Przestań chociaż na moment. Wiesz, z psychologami jest taki problem, że oni zawsze są w pracy. Każdą napotkaną osobę traktują jak kolejny przypadek. Zaraz by chcieli badać, analizować.

- Uogólniasz.

- Wcale nie.

Wzruszył ramionami. Zobaczyła jego rozbawione oczy, lekko uniesione kąciki ust.

- W porządku, pani doktor, co chciałaby pani wiedzieć?

- Po pierwsze, czy kiedykolwiek byłeś żonaty?

Zmienił się na twarzy.

- Raz.

- Hm.

- Krótko. Dawno temu. Tak jak już mówiłem, nie mam dzieci.

- Spotykasz się z nią?

- Rzadko.

- Masz dziewczynę?

- Teraz? - Potrząsnął głową. - Nie. Pamiętaj, dopiero przyjechałem.

- Ale może w domu czeka na ciebie jakaś kobieta.

- Na środkowym zachodzie? Nie. Nie czeka na mnie żadna kobieta.

- Pomyślałam, że uciekasz przed czymś, przed ponurą, mroczną, posepną przeszłością i dlatego tu przyjechałeś.

- Może uciekłem do czegoś.

- Do czego?

- To się okaże - drażnił się z nią. Uśmiechnął się swobodniej. - Może to było przeznaczenie, los, określony układ planet.

- Tak myślisz? - zapytała rozbawiona.

- Któż to wie? Może to była moja najlepsza decyzja w życiu. Czyż to nie wspaniałe siedzieć tak w restauracji w Savannah, rozkoszować się fantastycznym jedzeniem i towarzystwem pięknej, fascynującej kobiety?

- Która może jest zamieszana w zabójstwo męża - przypomniała mu, niszcząc magiczną atmosferę tego wieczoru.

- Nie mówmy o tym, dopóki nie zjemy kolacji.

- To nie takie proste.

- Spróbuj. - Przywołał kelnerkę i poprosił o ciasto i lody. - Jeszcze tylko kilka minut.

- W porządku. - Starła się jak mogła. Śmiała się, dowcipkowała, pozwoliła się nakarmić kawałkiem ciasta. Spoglądała na ciemny plac, próbując nie wyobrazić sobie czujnych oczu, śledzących z ukrycia każdy jej ruch. Z Adamem była bezpieczna. Ufała mu. Kiedy uregulował rachunek i nie pozwolił jej zapłacić za siebie, nie protestowała. Wyszli razem i gdy na ulicy wziął ją za rękę, również nie protestowała. Podeszli do jej samochodu i poczuła się rozczarowana, że wieczór dobiegł końca.

- Może przyjdiesz jutro - zaproponował. - Możemy porozmawiać, o czym tylko będziesz chciała. Znasz mój domowy numer, prawda?

- W torebce mam wizytówkę.

- To dobrze. Dzwonź o dowolnej porze. - Ścisnął jej dłoń. - Kiedy tylko zechcesz.

- Możesz tego żałować.

- Nie sądzę. - Błysnął białymi zębami. Ich oczy spotkały się i Caitlyn wstrzymała

oddech. Chciał ją pocałować. Była tego pewna. Po plecach przebiegł jej dreszcz podniecenia. Adam pochylił się i musnął ustami jej czoło. - Trzymaj się. - Otworzył drzwiczki.

- Ty też. - Wspięła się na palce i przybliżyła swoją twarz do jego twarzy. - Dziękuję za wspaniały wieczór. - Pocałowała go szybko w usta i wsiadła do samochodu. Kiedy stał bez ruchu, zaskoczony, zatrzasnęła drzwi, przekręciła kluczyk w stacyjce i wrzuciła bieg. Pomachała mu na do widzenia i ruszyła przed siebie. We wstecznym lusterku zobaczyła, że Adam wciąż stoi w tym samym miejscu pod latarnią. Uśmiechnęła się zadowolona. Nigdy by się nie podejrzewała o taką śmiałość, a tu proszę! Zrobiła coś, na co dawna Caitlyn na pewno by się nie odważyła. I strasznie jej się to podobało.

Berneda otworzyła zamglone oczy. Rozejrzała się zdezorientowana. Gdzie ona jest? Wokół panowała dziwna cisza, z korytarza sączyło się słabe światło. Powoli zdała sobie sprawę, że leży w szpitalu, w niewygodnym łóżku, podłączona do jakichś rurek. Umysł miała zmacony, myśli jej się mieszały, wiedziała tylko, że chce wrócić do domu. Do rodzinnej posiadłości, która kojarzyła jej się z lepszymi czasami, do własnego pokoju, do własnego łóżka.

Chciała, żeby zajęta się nią Lucille. Lucille była cierpliwa i miła, w przeciwieństwie do tych szorstkich młodych ludzi, którzy poszturchiwali ją, przekładali i jeszcze nazywali to opieką medyczną.

Co ona robi w tym pokoju? Kolejny atak? Tak... z pewnością. Jej umysł pracował bardzo leniwie. Widziała jak przez mgłę, z trudem rozpoznając kształty. Wszystko było dziwnie zniekształcone. Oblizła usta, język miała spuchnięty. Musieli podać jej silne leki.

Spać. Tak, spać. Już chciała zamknąć oczy, gdy dostrzegła ruch przy drzwiach. Ktoś poruszał się bezszelestnie niczym kot. Kobieta. Pewnie kolejna pielęgniarka. Kolejne tortury. Znowu jakiś zastrzyk albo mierzenie ciśnienia. Kobieta podeszła bliżej, a Berneda poczuła nagle, że coś jest nie tak. Mrużąc powieki, wyteżyła wzrok. Kobieta wyjęła coś zza pleców, a potem, ze zwinnością jadowitego węża, rzuciła się do ataku. Przycisnęła poduszkę do otwartych ust Bernedy. Staruszka chciała krzyczeć, ale tylko zamachała rękami jak marionetka. Kobieta była silna, przerażająco silna.

Berneda próbowała jeszcze walczyć o oddech, ale daremnie. Przeszył ją ostry ból. Zaraz się udusi. Schorowane serce tłukło się niespokojnie w piersiach. Nie! To nieprawda! Kto chciałby ją zabić?

Kobieta jeszcze mocniej ucisnęła jej pierś i przykryła poduszką nos. Płuca Bernedy trawił ogień. Tuż przed śmiercią zobaczyła twarz morderczyni. Znajomą, zniekształconą twarz.

- Jestem Atropos - wyszeptała ochryple do ucha Bernedy. - Nadszedł twój koniec.

Rozdział 23

Adam obudził się zdyszany, zlany potem, z erekcją. Odrzucił kołdrę i poszedł do łazienki. Śniła mu się Caitlyn, całował ją, dotykał jej, prawie się z nią kochał. Pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety.

Ale to był tylko sen.

Piękny sen. Caitlyn na leżaku, na pokładzie luksusowej łodzi, całkiem naga. Miała na sobie tylko okulary słoneczne. Patrzyła na niego z figlarnym, kuszącym uśmiechem. Szedł po drewnianym pokładzie, również nagi. Wiedział, że zaraz będą się kochać.

Podszedł do niej, przyklęknął, pocałował w pepek. Jej skóra była ciepła i miała słonawy smak. Lśniła w słońcu. Przesunął się ku górze i dotknął językiem twardego, spragnionego dotyku sutka.

- Och! - jęknęła, przeciągając się. Leniwie zdjęła okulary i patrzyła na niego z rozbawieniem. Spojrzał jej w twarz. Jednak teraz nie była już Caitlyn Montgomery Bandeaux, była Rebeką. Jej uśmiech stygł, oczy zrobiły się szkliste, rysy rozmazane, a ciało zimne jak marmur.

To był tylko sen, ale uświadomił Adamowi, że jego najgorsze przeczucia mogą się sprawdzić. Rebeka wcale nie pojechała na jedną z tych swoich szalonych wycieczek. Nie wyruszyła na poszukiwanie przygód, raczej przytrafiło jej się coś złego. Być może już nie żyła.

I miało to związek z Caitlyn.

Z notatek, które pozostawiła Rebeka, wywnioskował, że Caitlyn Bandeaux była jej najciekawszym przypadkiem. Planowała poświęcić jej i jej siostrze Kelly więcej czasu i uwagi. Jednak notatki były bardzo chaotyczne. Intrygujące, lecz niekompletne. Wszystko wskazywało na to, że brakuje wielu stron.

Zarzucił ręcznik na szyję i poszedł do gabinetu. Była czwarta nad ranem, ale nie czuł zmęczenia. Odsunął krzesło i włączył komputer. Gdy maszyna budziła się do życia, stanął mu przed oczami obraz Caitlyn. Wyobrazil sobie jej ciemne włosy rozrzucone na poduszce, miękką, jedwabistą skórę... do diabła, zbyt długo nie był z kobietą. Zdecydowanie zbyt długo. Odgonił kuszące myśli i sprawdził pocztę elektroniczną. Czekał na wiadomość od firmy, której powierzył twardy dysk. Liczył, że uda im się odzyskać dane. Ale wciąż jeszcze się nie odezwali.

A czas ucieka.

Wkrótce będzie musiał wyznać wszystko Caitlyn. I policji. I sobie samemu. Za daleko zabrnął. Jego zainteresowanie Caitlyn przekroczyło zawodowe granice. Stapał po cienkim lodzie. Lada chwila tafla się załame, a on zapadnie w ciemną głębię. Wir emocji pociągnie go na dno.

Uważał, że jest fascynująca. Tajemnicza...

I nie było to zasługą okoliczności, w jakich się poznali.

Nie dawała się zaszufładkować. Raz była nieśmiała, a po chwili bardzo pewna siebie. Jej reakcje wydawały się uzasadnione, a niepokój całkiem zrozumiały, ale może były objawem choroby psychicznej?

„Boję się... Jezu, boję się, że w jakiś sposób jestem odpowiedzialna za śmierć mojego męża”.

Morderczynie?

Nie.

Więc skąd te rany na nadgarstkach?

Skąd krew w jej sypialni? Czy to prawda, czy halucynacje?

I co byłoby gorsze?

Przetarł czoło brzegiem ręcznika, poszedł do kuchni i wyjął z lodówki piwo. Nie może związać się z Caitlyn Bandeaux. Nie może. Otworzył puszkę i pociągnął duży łyk. Kogo on, do diabła, oszukuje? Już był związany.

Już było za późno.

Atropos ukryła samochód i przy świetle księżycy pośpieszyła ścieżką na brzeg. Kajak

stał tam, gdzie go zostawiła, wsiadła do niego i ruszyła w górę mrocznej rzeki. Wiosłowała powoli, zmagając się z prądem. Mimo zmęczenia uśmiechnęła się do siebie. Woda zawsze była jej żywiołem, a noc ją podniecała - jak wampira - pomyślała. Spojrzała na księżyc i przypomniała sobie o swoim zadaniu. Kiedyś nie było ono tak oczywiste, teraz podążała już jasno wytyczoną ścieżką. Czując zbliżającą się burzę, skierowała zwinną łódkę do przystani. Wysiadła i szybko poszła dróżką pod górę. Była zmęczona, ale i podekscytowana. Morderstwa zawsze ją wyczerpywały, a jednocześnie napełniały energią. Musiała jednak trochę odpocząć. Zastanowić się nad tym, co zrobiła. Przemyśleć wszystko.

Cicho przemknęła w ciemnościach do swojej samotni i pośpieszyła schodami w dół. Wkrótce będzie świtać. Latarka leżała na swoim miejscu. Atropos rzuciła snop światła na swoją ofiarę. Cricket zamrugowała kilka razy, a jej wzrok powędrował w kierunku słoja z pajakami. Pobladła i szarpnęła się, próbując krzyknąć przez zakneblowane usta. Trzeba ją znów uspokoić.

- Załatwiłam kolejną sprawę - powiedziała Atropos, wyciągając z kieszeni nić życia.

Cricket zamarła.

- Berneda. Znasz ją, to matka rodziny. - Atropos westchnęła i odrzuciła włosy na ramiona. Miała ochotę zapalić... ale jeszcze nie teraz. Cricket wiała się na klepisku, usiłując odsunąć się od słoja. Żałosne. Taka bezczelna dziewczucha, a teraz trzęsie się jak galareta - a wszystko przez kilka małych pajaków. Jak łatwo było poznać ich fobie.

Przerażone oczy spojrzały na Atropos.

- Zgadza się. Ona nie żyje.

Rozległo się przytłumione sapanie, to Cricket spazmatycznie łapała powietrze.

- Jak? Och, miała słabe serce i... drobne problemy z oddychaniem.

Po co strzępi sobie język? Ten żalosny pomiot z nieprawego łoża nigdy nie zrozumie.

- Ale nie martw się, To już niedługo. - Dotknęła nici okręconej wokół słoja. - Popatrz.

Ale Cricket wciąż patrzyła na nią. Patrzyła jak na wariatkę, Atropos to wyczuła. Ona? Szalona? Na moment odżył głęboko skrywany, choć zawsze obecny lęk. Czyżby była niespełna rozumu? Natychmiast odepchnęła od siebie tę okropną myśl. Spojrzała z góry na związaną, zakneblowaną i rozdygotaną kupę ściierwa.

- Już prawie nadeszła twoja kolej - powiedziała, żeby przypomnieć Cricket, co ją czeka.

Skierowała światło na regał i znalazła ukrytą dźwignię. Zgasiła latarkę i znów usłyszała irytujące jęki Cricket. Niewiele brakowało, a złamałaby własne zasady i zabiła ją, zanim nadejdzie jej czas.

Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Cierpliwość jest cnotą.

Ciekawe, kto wymyślił coś tak głupiego?

Atropos już dawno nauczyła się, że do wszystkiego musi dojść sama; nie może czekać, aż ktoś ją wyręczy.

Założyła buty ochronne i weszła do czystego, białego pokoju - swojego sanktuarium, z dala od ohydnych pajaków i jeszcze ohydniejszego związanego ściierwa. W chłodzie tego pomieszczenia mogła zregenerować siły i znaleźć wewnętrzny spokój.

Przez chwilę mogła napawać się swoim sukcesem.

Aż do następnego razu.

Który, wiedziała, wkrótce nadejdzie. Już niedługo.

- ...o Boże, Caitlyn, ona nie żyje. Mama nie żyje! - Głos Hannah zadrżał, przechodząc w gwałtowny, rozdzierający szloch.

Caitlyn znieruchomiała za biurkiem, oderwana od pracy nad projektem. Nie szło jej najlepiej; denerwowała się przed dzisiejszym spotkaniem z prawnikiem, a na dodatek dręczyły ją niejasne myśli i sprzeczne uczucia wobec Adama.

- Poczekaj. - Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. - Uspokój się. - To musi być pomyłka. Musi. Może Hannah znów brała jakieś narkotyki. Już kiedyś przedawkowała LSD, może ma halucynacje. - Mama jest w szpitalu. Pamiętasz? Ma tam doskonałą opiekę i...

- I nie żyje! Nie rozumiesz? Nie żyje!

Caitlyn pokręciła głową. Owszem, matka była schorowana, ale przecież leżała w szpitalu, pod dobrą opieką i właśnie dochodziła do siebie.

- To nie może być prawda.

- Ale jest, na miłość boską! Prawdopodobnie ktoś ją zabił.

- Zaraz, zaraz, to coś nowego!

- Naprawdę? Naprawdę tak myślisz? Nie widzisz, co się dzieje? - wykrzykiwała Hannah.

- Wiem, że już było lepiej, jej stan się stabilizował, tak mówili lekarze, a potem... potem... Troy odebrał rano telefon ze szpitala, dzwonił lekarz dyżurny, powiedział, że mama umarła we śnie. Jak? Jak to się mogło stać?

Caitlyn, oszołomiona, odchyliła się na krześle.

- Nie wiem. Jesteś pewna?

- Zadzwoń sama do tego cholernego szpitala, jeśli mi nie wierzysz. - Hannah znów się rozplakała i dopiero teraz do Caitlyn dotarło, że matka naprawdę nie żyje. Poczowała wielki ciężar na sercu. Matka nie żyje? Czy to możliwe? - Była... była chora. Może po prostu odeszła.

- Tak, akurat! - Hannah głośno pociągnęła nosem. - Myślę, że ktoś jej pomógł. Dlaczego nie zadziałała ta pieprzona nitrogliceryna, co? A Amanda - myślisz, że to zbieg okoliczności, że w tydzień po śmierci Josha miała wypadek? Nie, to jest celowa robota. Ktoś do nas strzela jak do kaczek, po kolei.

Caitlyn zmroziło krew w żyłach. Hannah powiedziała głośno to, o czym ona sama bała się nawet myśleć. Ktoś systematycznie zabija członków ich rodziny. Ale kto? Kto chciał ich śmierci?

A ty, Caitlyn? To ty masz kłopoty z pamięcią. To w twoim pokoju było pełno krwi.

- Co mówią w szpitalu? - zapytała, odpychając natrętne oskarżenia.

- Nie wiem. Troy ma zadzwonić do lekarza dyżurnego i do doktora Fellersa, ale myślę, że w szpitalu będą chcieli chronić własne tyłki.

- Jesteś sama?

- Tak, jeśli nie liczyć Lucille.

- Ona też się liczy. Jak to znosi?

- Już zaczęła pakować swoje rzeczy - powiedziała Hannah głosem pełnym dezaprobaty.

- Co takiego?

- Słyszałaś. Natychmiast kupiła bilet w jedną stronę na Florydę. Powiedziała, że nie ma powodu, dla którego miałaby tu zostać. Nie ma tu własnej rodziny. Jej córka nigdy do niej nie dzwoni i nie przyjeżdża, a teraz jeszcze odeszła mama, więc Lucille przeprowadza się do swojej siostry.

- Tak szybko?

- Myślę, że już dawno to zaplanowała. Wie, że mama zostawiła jej niezłą sumkę, więc wynosi się. Jej samolot odlatuje jutro. Co ty na to? Nawet nie poczekała, żeby skorzystać z tańszej taryfy.

- A pogrzeb... - wymamrotała Caitlyn. - Nawet nie chce być na pogrzebie?

- Kto ją wie? To dziwaczka. Pokręcona, wciąż mówi o duchach. Najwyższy czas, żeby wyjechała. Żadna strata.

- Ale wtedy zostaniesz sama w domu.

- Tylko ja i duchy. - W głosie Hannah znów było słychać typowy dla niej sarkazm. - Jezu, trudno w to uwierzyć. - Caitlyn usłyszała trzask zapalniczki.

- Mogę być u ciebie za pół godziny.

- Nie. Spotkamy się w szpitalu. Troy już tam jedzie, powiedział, że zadzwoni do Amandy. Na razie!

Rozłączyła się, zanim Caitlyn zdążyła powiedzieć, że zadzwoni do Kelly. Zresztą kogo by to obchodziło. Odkąd matka powiedziała, że Kelly dla nich umarła, wszyscy oprócz Caitlyn przestali się z nią widywać, a nawet wspominać ją. Dziwne. Ale przecież jej rodzina w ogóle była dziwna. Caitlyn zadzwoniła do Kelly na komórkę i zostawiła wiadomość.

Chociaż Kelly pewnie tylko wzruszy ramionami.

Nie zależało jej na rodzinie.

Zrozum, Caitlyn, to banda cholernych hipokrytów. Mama się wściekła, że przepuściłam pieniądze z funduszu na tę łódź i nawet jej nie ubezpieczyłam. I ona, i kochane rodzeństwo obwiniają mnie za ten wypadek. Pewnie liczą na to, że odziedziczą też moją część majątku, bo matka traktuje mnie, jakbym nie żyła. Czy ona jest normalna? Czy ktokolwiek w tej rodzinie jest normalny?!

No właśnie, pomyślała Caitlyn, wkładając sweter i obciągając rękawy, żeby zakryć gojące się rany na nadgarstkach. Oskar zobaczył, że sięga po kluczyki.

- Nie teraz - powiedziała przepraszająco. - Ale kiedy wrócę, pójdziemy pobiegać. Zgoda?

- Pies zaskamlał i skoczył na drzwi. Wypuściła go, pognął prosto pod drzewo magnolii, gdzie na pniu wylegiwała się w słońcu jaszczurka. Przerażone zwierzątko schroniło się w gałęziach drzewa, a Caitlyn poszła do garażu.

Znów spotkanie z rodziną.

Kelly pewnie pomyśli, że i ona jest hipokrytką, tak jak cała reszta.

Kelly powinna być zadowolona - myślała Caitlyn, wyjeżdżając z garażu - Montgomerych szybko ubywało. Hannah i Amanda miały rację - członkowie rodziny jeden za drugim padali jak muchy.

Ciekawe tylko, kto trzyma packę.

Bóg?

Czy ktoś bliski i dobrze znany? Ktoś, kto pragnie ich śmierci.

Reed odwiesił słuchawkę, chciało mu się palić. Pozbył się nałogu już dawno temu, ale wciąż zdarzały się takie chwile, kiedy tęsknił za nikotyną. Pracował bez wytchnienia, wypruwał flaki, żeby rozwikłać sprawę Bandeaux. Do diabła, gdy nie wyznaczono człowieka do śledzenia Caitlyn Montgomery, sam się tym zajął. A oprócz tego wykonywał swoje normalne obowiązki.

To jakaś obsesja, powinien więcej spotykać się z ludźmi, używać życia...

Ale nie używał. Każdy jego kolejny związek okazywał się pomyłką. Po przyjeździe do

Savannah przez jakiś czas chodził do knajp na podryw, miał nawet kilka przygód na jedną noc. Seks był niezły, ale trochę jak tania whisky. Następnego dnia Reed czuł się zmęczony, wypluty i zwyczajnie stary. Dał sobie spokój. Nie potrzebował przekrwionych oczu i wyrzutów sumienia.

Ile razy mówił „Zadzwoń do ciebie”, chociaż wiedział, nawet po paru drinkach, że łączy go jak pies i że chodzi mu tylko o jeden numer, o nic więcej.

Może powinien grać w kręgle.

Albo w golfa.

Albo uprawiać wspinaczkę skałkową. Cokolwiek.

Potańczył dwudniowy zarost, dopił resztki zimnej kawy i postanowił przejść się do biura Kathy Okano. Zadać jej kilka pytań. To przecież ona naciskała na przyspieszenie śledztwa w sprawie Bandeaux, a teraz się wycofuje. Niezdecydowana jak dziewczyna.

Przeszedł przez korytarz i już miał wejść do jej gabinetu, gdy drogę zablokowała mu jej sekretarka - Tonya. Wyglądała jak czynna członkini Światowej Federacji Zapaśniczej. Grubo ciosana, zdecydowanie mało kobieca figura, do tego tona makijażu, czarne, wzburzone włosy i cięty język.

- Wyszła.

- Dokąd?

- Była umówiona na lunch - odpowiedziała sekretarka.

- Ale właśnie rozmawiałem z nią przez telefon.

- A, to już wiem, dlaczego wyleciała stąd jak szalona - powiedziała Tonya. - Przekażę jej, że pan był.

- Dzięki - warknął, wsadzając ręce do kieszeni. Zawrócił do swojego gabinetu i przyspieszył kroku, słysząc telefon. Dzwoniła Morrisette.

- Pieprzony dupiek! Powinnaś cię spisać! - wrzeszczała. Pewnie ktoś zajechał jej drogę.

- Za co? - zapytał Reed.

- Cześć! Słyszałaś najświeższe wieści? - zapytała, przekrzykując hałas skrzeczącego radia policyjnego i pędzących samochodów. - Wczoraj w nocy Berneda Montgomery kopnęła w kalendarz.

- Matka?

- Zgadza się, zabrano ją do szpitala, bo miała atak z serca, i w ciągu dwudziestu czterech wykitowała. I co powiesz? Pechowo, nie? Ty! Uważaj! Jak jedziesz, kurwa!

- Opanuj się. Opowiedz mi o Bernedzie Montgomery.

- Niewiele wiem, ale w szpitalu wrze. Wygląda na to, że nie umarła tak po prostu. Broniła się. Niewykluczone, że ktoś wśliznął się do jej pokoju i udusił ją albo podał jakiś środek.

- Cholera! - Amanda Montgomery ostrzegła go, że ktoś próbuje wykończyć całą rodzinę. Zdaje się, że miała rację. - Spotkajmy się w szpitalu.

- Już tam jadę.

Sięgnął po marynarkę i kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się i zobaczył Sugar Biscayne.

- Detektywie Reed? Mogę z panem chwilę porozmawiać? - Jej wczorajsza buta wyparowała bez śladu.

Spojrzał ostentacyjnie na zegarek.

- Jasne. Proszę wejść. - Zaprosił ją do środka.

Była ładną kobietą i wiedziała, jak podkreślić swoje wdzięki. Przykrótka bluzeczka

wyszywana cekinami uwydatniała biust i odsłaniała wciętą talię. Spodenki ledwie zakrywały tyłek, więc długie nogi były widoczne w całej okazałości.

- Chodzi o moją siostrę, Cricket. Chciał pan z nią rozmawiać, a ja pana spławiłam. Prawda jest taka, że nie widziałam jej od kilku dni. I nie miałam żadnej wiadomości. To się czasem zdarzało, ale... boję się...

- Dzwoniła pani do jej przyjaciół? Chłopaka?

Sugar skinęła głową.

- Czy zgłosiła pani zaginięcie?

- Nie. Pomyślałam, że porozmawiam najpierw z panem.

- Słucham.

Usiadła na krześle i założyła nogę na nogę.

- Nie zamierzam zanudzać pana historią mojej rodziny. Wie pan, że jesteśmy spokrewnieni z Montgomerymi i że oni mają ostatnio sporo problemów. To dlatego przyszedł pan do nas. Wie pan też, że sądzymy się z nimi o spadek po naszym dziadku.

- On już od dawna nie żyje. Dlaczego dopiero teraz?

- Bo majątek był zablokowany w funduszach powierniczych obwarowanych klauzulami. Część pieniędzy jest już rozdzielona, ale część została zatrzymana aż do czasu, kiedy umrą wszystkie dzieci Benedicta i ich małżonkowie.

Reed nadstawił uszu.

- Więc to tylko kwestia czasu. Dwójka jego prawowitych dzieci, Cameron i Alice Ann już nie żyją, tak samo Berneda i moja matka, która była...

- Jego nieprawowitą córką.

- Paskudne słowo „nieprawowita” - zamruczała i zaczęła kołysać nogą, uderzając obcasem o stopę. - No więc wynajęliśmy prawnika, Flynna Donahue, żeby pomógł nam odzyskać należną część majątku.

- Co to ma wspólnego z Cricket?

- Nie jestem pewna, ale ostatnio miałam kilka przerażających telefonów. Początkowo je lekceważyłam. Pracuję w klubie, a to wiąże się z pewnym ryzykiem... zawodowym. Pełno tam świrów, niektórzy potrafią iść za mną aż do domu. Potrafią zdobyć mój adres, a nawet numer telefonu. Jestem raczej ostrożna, właściciel klubu też nie podaje nikomu naszych adresów ani telefonów, ale ci zboczeńcy zawsze znajdą sposób. Wystarczy przekupić kogoś z klubu, spisać numer rejestracyjny samochodu, cokolwiek. Ale ostatnio... To nie są telefony od zboczeńców, w stylu „Maleńka, dam ci to, czego naprawdę potrzebujesz”. Te telefony są - straszne.

Nie patrzyła na niego, wzrok miała wbity w podłogę, pocierała nerwowo ramiona.

- Złe... to właściwe słowo. Wyczuwam, że są złe. To nie jakiś jurny palant, któremu staje, jak sobie pogada z tancerką, nie... te telefony są inne. - Podniosła głowę i spojrzała na niego. Była przerażona. Naprawdę przerażona. Przełknęła z trudem ślinę.

- Boję się... Boję się, że ten zboczeniec mógł dopaść Cricket.

Rozdział 24

Detektywie Reed, czy to prawda, że Berneda Montgomery została zamordowana w szpitalu?

Reed wysiadł z samochodu i od razu natknął się na tę upierdliwą reporterkę, Nikki Gillette. Miała na sobie spłowiełe dzinsy, bawełniany T-shirt i sportowe buty. Czekala tutaj, przy bocznym wejściu, podczas gdy większość jej kolegów po fachu rozbiła obóz

przed główną bramą szpitala.

- Bez komentarza.

- To już drugie zabójstwo i trzecie usiłowanie zabójstwa w ciągu dwóch tygodni, jeśli weźmiemy pod uwagę to, co przytrafiło się Amandzie Montgomery. Co to oznacza?

- To oznacza, że dwie osoby nie żyją. Jedna żyje. - Odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

Nie dała się spławić. Musiała prawie biec, ale zdołała dotrzymać mu kroku. Jasne, była szczupła, wysportowana, w świetnej formie. Reed nie znosił tej piegowatej baby o różowawych włosach. Oznaczała kłopoty. Poważne kłopoty. Patrzyła na niego przez ciemne okulary, wydymając gniewnie usta. Ale nie poddawała się. Była przecież córeczką sędziego RONALDA Gillette. Porażka nie była zapisana w jej genach.

- Ale czy w Savannah grasuje seryjny morderca? - zapytała.

- Bez komentarza.

- Detektywie, proszę posłuchać...

- Nie, pani Gillette, to pani posłucha. Mam robotę i brak mi czasu na takie pierdoły. Zrozumiała pani? Kiedy przygotujemy oświadczenie, będzie pani mogła porozmawiać z rzecznikiem policji. Z przyjemnością panią o wszystkim poinformuje. A teraz muszę iść. - Szklane drzwi rozsunęły się i wszedł do środka. O dziwo, nie poszła za nim. Przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na drugie piętro, gdzie czekała na niego kolejna kobieta. Ciężki dzień.

- No, najwyższy czas - zamruczała Morrisette.

Stojący za nią policjant, Joe Bentley, przewrócił oczami, a Reed pomyślał, że Morrisette pewnie już im wszystkim dała popalić. Kolejny policjant z ostrzyżonymi najeża rudawymi włosami i zakrzywionym nosem posłał Morrisette wściekłe spojrzenie, a do Reeda szepnął głośno, tak żeby wszyscy słyszeli:

- Żona pana szukała i, jak Boga kocham, jest wkurzona.

- Goń się, Stevens - odparła Morrisette.

- Ach, zapomniałem, że to przecież ty jesteś głową rodziny i...

- Daruj sobie - warknął Reed. - Nie mamy czasu.

- Dziękuję, kochanie - zaświergotała Morrisette, żeby dolać oliwy do ognia, a potem spoważniała. - Wygląda na to, że ktoś nie mógł się doczekać na kostuchę. - Weszli do pokoju Bernedy Montgomery. Leżała na łóżku z otwartymi oczami utkwionymi w sufit; na stolikach i parapecie stały kwiaty i kartki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Ale w obecnej sytuacji pani Montgomery już ich nie potrzebowała.

Diane Moses i jej ekipa stawili się w pełnym składzie. Pokoje sąsiadujące z pokojem Bernedy zostały odgradzone żółtą taśmą.

- Pracujemy szybko, ale wolno nam idzie. Administracja szpitala nas pogania. Nie podobają im się nasi fani z kamerami koczujący w holu. No i pewnie chcieliby jak najszybciej zrobić użytek z tych łóżek. Wiecie, ile kosztuje jedna noc tutaj? Dużo. Kilka tysięcy. Tylko za sam pobyt. Bez żadnych badań. Więc pewnie chcieliby, żeby to łóżko zwolniło się jak najszybciej. A ją wysłać do kostnicy. I to migiem - powiedziała Diane, gdy jej zespół krzątał się po pokoju. Reed przyjrzał się ofierze. - Spójrz tutaj. - Diane wskazała na nadgarstki Bernedy. - Prawdopodobnie walczyła. Jedna jej ręka była przywiązana do łóżka, żeby nie ruszała nią i nie wyrwała igły od kroplówki, ale i tak igła leżała obok. Na nadgarstku są ślady.

Reed przyglądał się siniakom. Przez co ta kobieta musiała przejść, zanim zginęła!

- Są inne ślady?

- Nie, ale sprawdzamy pod paznokciami. Mamy nadzieję, że zaatakowała zabójcę wolną ręką, i znajdziemy naskórek do badań DNA.

- Jak to się stało? Przecież miała coś z sercem, nie podłączyli jej do monitora?

- Owszem, ale pielęgniarka, która czuwała w dyżurce, pobiegła do innego pacjenta. W pokoju 312 włączył się alarm. Przypuszczam, że nasz morderca wśliznął się tam, odłączył faceta od monitora, a gdy alarm zaczął piszczeć, wszyscy pognali do tamtego pokoju. Morderca zakradł się do Bernedy, wyłączył monitor i załatwił ją. Nie potrzebował wiele czasu. I tak już ledwo żyła.

- Jej alarm się nie włączył?

- Nawet nie pisnął. Był wyłączony, ale na pewno nie przez pielęgniarki. Ktoś wiedział, co robi.

- Wspaniale - warknął. - A ten facet z 312? W porządku?

- Ledwie zipie. Nic nie pamięta. Ale sprawdzamy też jego pokój i pytamy wszystkich z nocnej zmiany, co pamiętają, Jak dotąd nikt nic nie widział. Nic podejrzanego.

- Czas zgonu?

- Między trzecią piętnaście a trzecią dwadzieścia; to znaczy wtedy odezwał się alarm tamtego faceta. Kiedy pielęgniarki wróciły do dyżurki, było już po wszystkim.

- A wcześniej? Została przyjęta chyba wczoraj. Może coś mówiła?

Morrisette potrząsnęła głową.

- Właściwie nie. Otworzyła wieczorem oczy i powiedziała coś niewyraźnie. Pielęgniarka nie mogła zrozumieć. Wydawało jej się, że pacjentka prosi o cukier. Ale to niemożliwe, przecież pani Montgomery miała lekką cukrzycę.

- Lekką?

- Nie brała insuliny. Pokojówka, Lucille, natychmiast się spakowała. Hannah, najmłodsza córka Bernedy, twierdzi, że pokojówka wybiera się do swej siostry na Florydę. Skoro stara wyciągnęła kopyta, to nic tu po niej.

- Rozumiem, że nie jest blisko związana z rodziną.

- Chyba nie, chociaż opiekowała się wszystkimi dziećmi. Z tego co zrozumiałam, dostanie część majątku.

Reed przypomniał sobie detektywa Montoyę z policji w Nowym Orleanie. Twierdził, że córka Lucille zaginęła.

- Wróci na pogrzeb?

- Nie wiadomo. Dla mnie to trochę dziwne, ale przecież w tej rodzinie wszystko jest dziwne.

Trudno nie zauważyć, pomyślał Reed.

- Rodzina jeszcze tu jest?

- W poczekalni. Pomyślałam, że zechcesz z nimi porozmawiać.

- Porozmawiam. - Poszedł za nią korytarzem do poczekalni. Caitlyn, Hannah i Troy siedzieli zgarbieni na niewygodnych kanapach. Amanda stała obok doniczki z palmą. Wszyscy mieli twarze naznaczone bólem.

- Mówiłam panu - odezwała się Amanda, gdy tylko wszedł - mówiłam panu, że tak będzie! - Siniak nad okiem przybrał kolor, którego w żaden sposób nie dało się zamaskować makijażem, ale poza tym nie było po niej widać żadnych skutków niedawnego wypadku. - Widzi pan, co się stało! - ciągnęła wzburzona. - Nasza matka nie żyje. Mój Boże, czy wy kiedyś złapiecie tego psychopatę?

- Robimy, co w naszej mocy.
- To nie wystarcza. Nie widzi pan? Macie coraz mniej czasu. Ten, kto to robi, zwiększył właśnie tempo. Lepiej wynajmiemy prywatnych detektywów.
- Amando, uspokój się - rozkazał Troy. Siedział zgarbiony w rogu kanapy, splecione dłonie zwiesił między kolanami. Twarz miał zbolaną. Wyglądał jakby nie spał od wielu dni.
- Nie mów mi, co mam robić. Ktoś zabił naszą matkę. I myślę, że prywatny detektyw to dobry pomysł. Najwyraźniej szaleje tu jakiś psychopata i wykańcza nas po kolei. Z jakiegoś powodu wziął się na Montgomerych. Nikt z nas nie jest bezpieczny.
- Najmłodsza, Hannah, pociągała głośno nosem i ocierała łzy chusteczką. Patrzyła na Reeda jak na wroga. Caitlyn wyraźnie zeszywniała na jego widok. Oczy miała zupełnie suche.
- Będą mi potrzebne państwa zeznania.
- Świetnie. Myśli pan, że jedno z nas to zrobiło? - Amanda spojrzała na zegarek. - Mam dużo do zrobienia, wie pan, trzeba powiadomić kilka osób, zająć się pogrzebem... - Urwała, na chwilę wypadła z roli kobiety twardej jak skała. - Chciałabym, żeby Ian był w domu.
- Proszę nas zrozumieć. Wiem, że przeżywają państwo trudne chwile, ale my musimy wykonywać swoje obowiązki. Próbuje się dowiedzieć, co się dzieje - tłumaczył, z trudem tłumiąc irytację. Nie tylko oni mieli już tego dość. On też chciał jak najszybciej zakończyć sprawę. - Zaczniemy od pani - zwrócił się do Caitlyn. Sięgnął po dyktafon, a Morrisette otworzyła notatnik. Zanotują zeznania i spróbują zawęzić krąg podejrzanych.
- Gdzie pani była zeszłej nocy około trzeciej?

W pewnym sensie przykro mi z powodu matki, ale nie przyjdę na pogrzeb, więc proszę, nie próbuj mnie namawiać. Zadzwońabym, ale wiedziałam, że będziesz mi prawić morały.

Krótki e-mail od Kelly czekał na Caitlyn, gdy wróciła ze szpitala. Rozmowa z policją wyczerpała ją, traktowali ją jak podejrzaną. Potem przebijala się przez miasto w popołudniowym tłoku; zdarzył się jakiś wypadek i korki były większe niż zazwyczaj. Otworzyła dach, włączyła klimatyzację, ale mimo to wciąż rozpyływała się z gorąca. A teraz, po powrocie do domu, czekało na nią jeszcze to. Świetnie. To tyle na temat poprawy stosunków w rodzinie. Matka nie żyła. Odeszła na zawsze. Czy Kelly tego nie rozumiała? W obliczu śmierci wszystko inne traciło znaczenie. Matka umarła. Caitlyn zamrugła, powstrzymując łzy. Serce jej się ścisnęło. Poradziła sobie podczas tego cholernego przesłuchania, nie załamała się, opanowała emocje, ale wracając do domu, zaczęła tracić kontrolę. Nigdy nie była ulubienicą matki, ale zachowała wiele dobrych wspomnień. Szczęśliwe lata dzieciństwa kojarzyły się właśnie z matką.

Ale trzeba żyć dalej. Nie wolno poddać się rozpacz. Nigdy nie była z matką bardzo blisko, a jednak czuła, że doznała ogromnej straty. Poszłaby pobiegać. Gdyby tylko dało się uniknąć mediów. Przeszedł ją dreszcz, gdy przypomniała sobie, jak zlecieli się do szpitala. Krwiopijcy. Najpierw policja, a potem dziennikarze. Czasami przychodziło jej do głowy, że powinna opowiedzieć detektywowi Reedowi o tej nocy, kiedy zginął Josh, powiedzieć mu o tym, jak obudziła się w zakrwawionej sypialni. I niech się dzieje co chce.

Oszalałaś? Niemal usłyszała głos Kelly.

No cóż, nie miała najmniejszego pojęcia. Z każdym dniem zdawała się pograżać w mrocznej otchłani.

- Opanuj się, Caitlyn. Weź się w garść.

Przynajmniej do jutra. Jutro spotka się z Marvinem Wilderem, prawnikiem poleconym przez Amandę, który poradzi jej, co robić. Usiadła przy biurku i wyłączyła komputer.

- Nie zrobiłam tego. Nie zabiłam Josha - powiedziała na głos, ale wcale nie była tego taka pewna. Zaczęła się zastanawiać, czy byłaby zdolna do morderstwa. Czy mogłaby zabić męża, usiłować zabić siostrę, a potem zamordować własną matkę? Nagle zabrakło jej tchu, chwyciła się biurka, zupełnie roztrzęsiona. Pomóż mi, modliła się w myślach, proszę, pomóż.

Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają.

Skąd to zna? Z jakiegoś starego kazania, które słyszała w dzieciństwie? A może to były słowa ojca, które przypomniła sobie teraz, po tylu latach. Zamknęła oczy. Nie może się teraz załamać. Nie teraz. Nie znowu.

Dobrze by ci zrobiło jakieś wyśmienite martini, usłyszała radę Kelly.

- Nie wystarczy zwykłe martini? - powiedziała na głos i oczywiście nie doczekała się odpowiedzi. Gdyby Kelly tu była, uśmiechnęłyby się figlarnie, oczy by jej pojaśniały i powiedziałyby:

- Nie, Caitie-Did... musi być wyśmienite.

- Oczywiście - powiedziała do pustego pokoju. - Czy jest jakieś inne? - Tak jej się to spodobało, że włączyła komputer i odpowiedziała na list Kelly, zapraszając ją na drinka. Może namówi ją, żeby poszła na pogrzeb. Przecież nie takie cuda się zdarzają.

Tak, cały czas, i to zawsze tobie!

Omam się nie rozplakała, gdy przypomniła sobie o Jamie, Joshu i matce... nie, nie może się poddać. Weźmie się w garść. Szybko skończyła list, wysłała go i przebrała się w strój do biegania. Musi odzyskać jasność umysłu. Nic nie będzie już tak jak dawniej. Wkroczyła w nowy etap swojego życia. Życia bez matki. Serce znów zabolalo, gdy zdała sobie z tego sprawę. Choć prawie nigdy się ze sobą nie zgadzały, kochała matkę. Mimo nieporozumień. Mimo tego, że wiele lat temu matka nie chciała jej uwierzyć. Caitlyn zawstydzona, jękając się, opowiedziała matce o Charlesie... o tym, jak przychodził do jej pokoju późną nocą. I o tym, jak babcia dotykała ją... Ale matka nie uwierzyła.

- O Boże - wyszeptała Caitlyn, gdy odezwały się wspomnienia. Ścisnęło ją w gardle, przygryzła wargę. Ciemne, ponure cienie przeszłości. Charles. Przyszedł do jej pokoju, wśliznął się bezszelestnie do sypialni i zakradł do jej łóżka. Nie wszystko pamiętała. - Nie. Nie... - Usłyszała swój głos, dziwny, zdławiony, jakby dochodził z daleka. Z trudem chwytła oddech. Oparła się całym ciałem o drzwi.

Zadzwoń do Adama. Pozwól mu, żeby ci pomógł.

Chciała tego. Bardzo chciała, ale nie mogła na każdym kroku liczyć na jego pomoc. Z pewnymi rzeczami sama musi sobie poradzić. Później... później zadzwoni.

Dlaczego chcesz to zrobić, Caitie-Did? Pocałowałaś go i spodobało ci się, prawda? Liczysz na więcej? Chcesz go jeszcze raz pocałować, mocno. Zobaczyć, jak zareaguje. Poczuć jego dotyk.

Nie. To będzie spotkanie pacjentki z psychoterapeutą, powiedziała do siebie, schodząc po schodach.

Pewnie. To dlaczego serce bije ci tak niecierpliwie? Co?

Pociągnęła Oskara za smycz i zdawało jej się, że słyszy pełen wyrzutu głos Kelly.

Pobiegła przed siebie, próbując uciec od natrętnych głosów. Biegła chodnikiem, omijając pieszych, spacerowiczów, psy i rowerzystów. Było późne popołudnie, grube różowe chmury zaczęły przysłaniać słońce. Bolesne myśli wciąż nie dawały jej spokoju.

- Hej! Uważaj!

Omali nie wpadła pod riksę, cofnęła się w ostatniej chwili. Przez chwilę dreptała w miejscu, aż na chodniku zrobiło się luźniej i mogła pobiec dalej. Przed oczami miała kalejdoskop obrazów. Josh przy biurku, matka nieżywa na szpitalnym łóżku, ciężko oddychająca Jamie w jej ramionach, strzała w piersi Charlesa, sprężyny łóżka podskakujące w rytm jęków Copper Biscayne... Biegła coraz szybciej, próbując przegonić dręczące wspomnienia. Oskar z wywieszonym językiem starał się dotrzymać jej kroku. Biegła przed siebie na oślep, byle dalej. Szybciej. Krew buzowała jej w żyłach, w piersiach paliło, czuła ból w łydkach, a mimo to wciąż gnała przed siebie. Ale nie mogła uciec od obrazów, stawały jej jak żywe przed oczami. Przypomniała sobie, jak pocałowała Adama, jak go kusiła i jak rozpaczliwie chciała móc mu zaufać; potem zobaczyła swoją sypialnię całą we krwi.

Usłyszała klakson, znów zapomniała się rozejrzeć.

- Patrz, jak idziesz! - krzyczał kierowca pikapa. - Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia!

Zeszła z jezdni, pociągając Oskara za smycz, i omali nie potknęła się o krawężnik. W płucach czuła ogień, pochyliła się, ciężko dysząc, oparła ręce na kolanach i zaczęła głęboko oddychać.

- Przepraszam - zwróciła się do psa, przywiązała go do parkometru, w kieszeni znalazła kilka wymiętych banknotów i weszła do sklepu na rogu, gdzie kupiła butelkę wody.

Przed czym uciekasz, Caitie-Did? Przed tym, co ci się przytrafiło? Czy może przed tym, co naprawdę zrobiłaś?

- Nie - wyszeptała. Wyszła ze sklepu, otworzyła butelkę, pociągnęła łyk i przyklekła obok psa. - No, masz - powiedziała, nalewając wody na dłoń. - Nie każdy kundel dostaje... zobaczmy - spojrzała na etykietkę - najczystsza, naturalna woda źródłana z gór Francji. - Zaśmiała się, a pies zamerdał ogonem. - Chodź, wracamy. Żadnego biegania - powiedziała. Powiew wiatru połaskotał ją w kark.

Obejrzała się, czując na sobie czyjś wzrok. Ale nie zauważyła nic podejrzanego. Dwaj starsi mężczyźni w kapeluszach rozmawiali ze sobą, spoglądając w niebo, kilka osób czekało na autobus, przeszła jakaś kobieta z wózkiem. Żadnych złowrogich oczu. Rozejrzała się po okolicy. Biegnąc, stwierdziła, że dotarła znacznie dalej, niż zamierzała. Wiedziała wprawdzie, gdzie jest, ale była daleko od domu.

- Lepiej już chodźmy - powiedziała do psa. Może w domu zastanie jakąś wiadomość od Kelly. - No chodź - pociągnęła Oskara. Zauważyła, że niebo pociemniało. Nie zrobiło się chłodniej, ale za to parniej. Ulicą ciągnął sznur samochodów, a chodniki zaroily się od pieszych. Czuła, że ktoś ją śledzi. Nie, to paranoja, pomyślała. Więc tak wygląda teraz jej nowe życie... no, może nie całkiem nowe, ale zdecydowanie odmienione. Od śmierci Josha wciąż ma wrażenie, że jest obserwowana. Śledzona?

Spojrzała ukradkiem przez ramię, ale zobaczyła tylko ludzi śpieszących do domów. Nikt za nią nie szedł. Spadły pierwsze krople deszczu, rozprysnęły się na chodniku, spłynęły jej po karku. Zerwał się wiatr, zaszeleścił liśćmi. Przechodnie pochowali się lub wyciągnęli parasolki.

Caitlyn nie miała parasolki.

Za to miała jeszcze półtora kilometra do domu. Kompletnie przemoknie. Wbrew swojej obietnicy przyspieszyła, znów zmuszając psa do biegu. Gnała coraz szybciej, nie zważając na ból mięśni. Gumowe podeszwy butów miarowo uderzały o chodnik. Starła się skoncentrować na oddechu. Minęła okno wystawowe i wydało jej się, że widzi w środku Kelly, ale gdy zatrzymała się, Kelly już nie było... zniknęła... okazała się tylko złudzeniem. Caitlyn pobiegła dalej. Pot mieszał się z deszczem i spływał jej po twarzy, serce waliło jak szalone.

Pędziła bocznymi uliczkami, aż zobaczyła swój dom. Nareszcie! Omal nie zemdląca ze zmęczenia. Pchnęła furtkę, wbiegła po schodkach. Wzięła na ręce mokrego psa i weszła do holu. W łazience na dole znalazła ręcznik, wytarła Oskara, a potem naląła mu świeżej wody. Następnie zajrzała do barku, gdzie znalazła wszystko, co potrzebne do przyrządzenia martini.

Pobiegła na górę, rozbierając się po drodze, i weszła pod prysznic, kątem oka dostrzegając pękniętą szybę. Zakleiła pęknięcie taśmą, ale na długo to nie wystarczy. Gorąca woda ściekała jej po twarzy i po plecach, przynosząc ulgę, mocny strumień masował obolałe mięśnie. Zamknęła oczy. Starła się nie myśleć, jakie to dziwne kąpać się tutaj, spać w tej sypialni, mieszkać w tym domu, którego spokój został pogwałcony. Bez środków nasennych chyba nie umiałaby tu zasnąć.

Musiała się dowiedzieć, co tu się wydarzyło. I to na własną rękę, bo na nikim nie mogła polegać. Ani na policji, ani na Kelly, ani na Adamie. Nie... sama musiała rozwiązać zagadkę. Musiała dotrzeć do zakamarków swojej pamięci... może z pomocą hipnozy... Rebeka zahipnotyzowała ją parę razy i zapewniała później, że osiągnęły duży postęp.

- Powinnyśmy być zadowolone - powiedziała po pierwszym seansie.

- Tak?

- Z pewnością.

- Co się stało?

Rebeka spojrzała na zegarek.

- Powiem tylko, że to przełom. Jeszcze nie wiem, co to wszystko oznacza. Muszę nad tym popracować, ale zapewniam cię, że twój stan znacznie się poprawi.

Były jeszcze kolejne seanse hipnotyczne i kolejne wymijające odpowiedzi, i gdyby nie to, że Caitlyn czuła się lepiej i była bardziej zrelaksowana, to pewnie zirytowałyby ją powściągliwość Rebeki.

- To jakieś bzdury - powiedziała Kelly na wieść o tych metodach. - Jak można poddać pacjenta hipnozie, a potem nie powiedzieć mu, co się zdarzyło podczas seansu? Nawet nie wiesz, czy nie każe ci przypadkiem podskakiwać jak tresowanemu niedźwiedziowi.

- Mylisz się, Kelly.

- Skąd wiesz?

- Wiem i już. Czuję, gdybym robiła coś dziwnego. A ja czuję się wypoczęta.

- Wiesz co, tak naprawdę myślę, że to gusła. Dziwna historia, Caitie-Did. Dziwna historia.

Może Kelly miała rację? Dlaczego doktor Wade wyjechała tak nagle i bez słowa? Owszem, mówiła, że wyjedzie na jakiś czas, żeby uporządkować notatki do swojej książki. Obiecała Caitlyn, że kiedy wróci, znów zaczną się spotykać.

Ale wyjechała wcześniej. Nagle.

W każdym razie Caitlyn odniosła takie wrażenie.

Teraz zaczęła się niepokoić.

A jeśli coś jej się stało? Nie, niemożliwe. Adam mówił przecież, że się z nią kontaktował. Wystarczy poprosić o telefon do Rebeki, i tyle, a potem... potem... no cóż, chyba musi pójść na policję.

Na policję? Oszalałaś? Na litość boską, Caitie-Did, zamkną cię! Nie rób głupstw! Poczekaj. Poczekaj jeszcze jeden dzień. Na Boga, uspokój się.

Ale w żaden sposób nie mogła uspokoić walącego serca. Wcierała szampon we włosy, mydliła ciało, a jej myśli cały czas gnały jak szalone. Wychodząc spod prysznic i sięgając po ręcznik, musiała przytrzymać się ściany. Nogi miała jak z waty.

Zadzwoił telefon.

Nie powinna odbierać; to pewnie znów dziennikarze.

A jeśli to Kelly?

Albo Adam?

Wytarła włosy.

Telefon znów zadzwonił.

Owinęła się ręcznikiem i ociekając wodą, zmusiła nogi do biegu przez sypialnię.

- Słucham? - powiedziała z bijącym sercem, z trudem łapiąc oddech i podtrzymując opadający ręcznik.

- Mamusiu? - usłyszała dziecięcy głos. Był cichy. Przytłumiony... jakby dochodził z bardzo daleka.

Caitlyn omal nie zemdląca.

- Jamie? - wyszeptała. Powoli opadła na materac, próbując zebrać myśli.

- Mamusiu? Gdzie jesteś? - Tak cicho. Tak niewyraźnie.

- Jamie! - Nie, to niemożliwe. Jamie nie żyje. Nie żyje! Odeszła, gdy miała zaledwie trzy lata. Caitlyn zaczęła się trząść. - Kto mówi? - wydusiła z siebie. - Dlaczego mi to robisz, ty sukinsynu?

- Mamusiu? - znów odezwał się delikatny głosik. Jeszcze cichszy. Jakby zmieszany.

Poczuła ból w sercu. Dłoń zacisnęła w pięść, palce wpiły się w koldrę.

- Jamie! - To niemożliwe. Niemożliwe. A może. Gdyby tylko... - Kochanie? - wyszeptała. W głowie jej wirowało, straciła poczucie miejsca i czasu. - Jamie... jesteś tam?

Cisza... tylko jakiś szum... Telewizora?

O Boże! Caitlyn czuła, że coś w niej pęka. W gardle nagle jej zaschło, przełknęła ślinę i szcękając zębami, powiedziała:

- Kochanie? Mamusia jest tutaj. Mamusia jest tutaj...

Trzask!

Połączenie zostało przerwane.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie. - Nie odkładaj słuchawki! Jamie! Córeczko! - Była przerażona, ale przecież wiedziała, że głos w słuchawce nie mógł być głosem jej ukochanego dziecka. Córeczka nie żyje. Tak jak inni. Do oczu napłynęły jej łzy. Sypialnia rozpyłała jej się przed oczami. Ten telefon to potworny, okrutny żart. Zrobił go ktoś, kto chciał doprowadzić ją do ostateczności.

Po omacku próbowała odłożyć słuchawkę, błędząc ręką po szafce.

*Śpij dziecinko i śnij dziecinko,
bo szczęście tak krótko trwa.
Złuda mija razem z nocą,*

nim zabłyśnie ranna mgła.

- Nie! - Wyprostowała się nagle, ręcznik opadł na podłogę. To tylko makabryczny dowcip. Trzęsąc się, próbowała wstać. Nie mogła. Wydawało jej się, że w pokoju pociemniało, przypomniawszy sobie krew rozmazaną po ścianach... odciski dłoni na futrynie. Plamy na firankach. Lepką kałużę na podłodze.

Serca jej łomotało. Waliło jak szalone.

W życiu najpiękniejsza bajka

musi mieć swój kres.

Nie ma szczęścia i radości

bez tęsknoty i bez łez.

Po policzkach popłynęły jej łzy. W ciemności znów usłyszała słabiutki szept swojej córeczki.

- Mamusiu? Mamusiu? Gdzie jesteś?

Rozdział 25

Na biurku Reeda wyrosła sterta nieprzeczytanych papierów zawierających dyrektywy i wytyczne szefostwa zwieńczona kubkiem zimnej, zgęstniałej kawy. Reed studiował listę podejrzanych o zabójstwo Josha Bandeaux. Zabójstwo. Z pewnością zabójstwo.

Lista była długa. Przeglądał jeszcze raz nazwiska. Wszyscy Montgomery i Biscayne'owie, Naomi Crisman, Maude Havenbrooke Bandeaux Springer, Gil Havenbrooke, Lucille Vasquez, Flynn Donahue, klienci Bandeaux, jego były partner w interesach Al Fitzgerald, przyjaciółka Morrisette Millie Torme...

Niemal pół pieprzonego miasta.

Jednak większość z nich miała wiarygodne alibi. Jego ludzie pracowali po dwadzieścia cztery godziny na dobę, dokładnie wszystko sprawdzając. Udało mu się zawęzić grono podejrzanych do najbliższych przyjaciół Bandeaux i oczywiście całej rodziny Montgomerych. Odpadła nawet Millie Torme; nie wyraziła co prawda żalu z powodu przedwczesnej śmierci Josha, ale zapewniała, że ten weekend spędziła u swojej schorowanej matki w Tallahassee. Okazało się, że mówi prawdę, no, chyba że wszyscy sąsiedzi matki Millie, staruszkowie z osiedla emerytów, to wierutni kłamcy.

Millie dała mu do zrozumienia, że Morrisette nie pochwałała jej związku z Joshem Bandeaux. Twierdziła też, że Morrisette nigdy nie romansowała z tym łajdakiem. Ale nie przekonało to nieufnego z natury Reeda.

Pojawiła się jednak nowa komplikacja. Niektórzy podejrzani, nawet jeśli życzyliby sobie śmierci Josha Bandyty, nie mieli motywu, żeby zabić Bernedę Montgomery lub przygotować zamach na życie Amandy Montgomery Drummond.

A pozostali?

Kto to, do diabła, wie?

Ponad połowa z nich miała grupę krwi 0, a policja nawet nie była pewna, czy plamy krwi tej grupy znalezione na miejscu zbrodni pochodzą z nocy zabójstwa, czy może były tam wcześniej. Nawet pokojówka, Estelle Pontiac, nie mogła tego stwierdzić z całą pewnością.

Osobą najbliższą związaną z denatem była oczywiście Caitlyn Bandeaux. Rozmawiała lub była widziana z każdą z ofiar na czterdzieści osiem godzin przed ich zgonem. Dzwoniła do Bandeaux w noc jego śmierci. Jej samochód albo samochód taki jak jej widziano na

miejscu zbrodni. Wygląda na to, że jest ostatnią osobą, która widziała Josha żywego. Policja sprawdziła, co Bandeaux robił w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin swojego życia, ale nie znalazła nic niezwykłego. Sekretarka twierdzi, że zachowywał się normalnie, cokolwiek to, u diabła, znaczyło. Poza tym mieli poszlaki. Caitlyn Bandeaux używała takiej szminki, jak ta znaleziona na kieliszku w zmywarce, miała psa, którego sierść prawdopodobnie odpowiadała sierści znalezionej w gabinecie. Krew jej grupy znaleziono obok krwi Bandeaux. W domu znaleziono też jej odciski palców, chociaż, z drugiej strony, kiedyś tam przecież mieszkała i odwiedzała Josha dość często. Pewnie z tym swoim cholernym kundlem. Hałaśliwy burek należał kiedyś również do Bandeaux.

Nie było niezbitych dowodów, narzędzia zbrodni, świadków zajścia, oskarżeń, wciąż nie było testów DNA, ale był rozwód, pozew o przyczynienie się do śmierci dziecka i problemy Caitlyn ze zdrowiem psychicznym. Wystarczająco dużo poszlak, żeby ją aresztować. Ale chciał czegoś więcej. Chciał dowodu, którego nie będzie można podważyć.

Jeśli chodzi o śmierć Bernedy Montgomery, to w szpitalu nie było wówczas żadnej z podejrzanych osób. Ale zarówno Caitlyn Bandeaux, jak i jej brat i siostra byli w Oak Hill, rezydencji Montgomerych, i każde z nich mogło podmienić tabletki nitrogliceryny.

Ale mógł to też zrobić ktoś inny. Lekarz, ktoś z zewnątrz, jakiś monter albo hydraulik, albo ktoś ze służby.

Potarł kark i ogarnęła go pokusa, żeby wysepić od Morrisette papierosa. Dwa razy rzucił palenie, po pierwszym razie wrócił do papierosów, bo nie wytrzymał napięcia w związku z aferą w San Francisco. Raz się zaciągnął i już był uzależniony. Gdy rzucił palenie po raz drugi, przed przyjazdem do Savannah, znów musiał cierpieć męki.

Zwalczył pokusę i dopiero wtedy wszedł do gabinetu Morrisette. Rozmawiała przez telefon.

- ...w porządku, już jadę. Będę za dwadzieścia minut. - Odłożyła słuchawkę i przewróciła oczami.

- Muszę jechać do domu. Zdaje się, że Priscilla zachorowała na ospę wietrzną. Wybuchła panika. Opiekunka do dziecka szaleje. - Morrisette wzięła torebkę. - Wrócę, jak uda mi się ją uspokoić. Może znajdę kogoś innego do opieki... kogoś, kto nie boi się pieprzonego wirusa. Cholera! To takie wkurzające. - Pogrzebała w torebce, aż znalazła dwie ćwierćdolarówki i paczkę gumy do żucia. - W takim tempie jeszcze przed końcem miesiąca znajdę się w przytułku, a dzieciaki staną się bogate i będą zgarniały dywidendy z jakichś pierdolonych akcji. - Skrzywiła się, słysząc swoje kolejne przekleństwo. Wydobyła z torebki jeszcze jedną monetę i wszystkie trzy wrzuciła do przegródki na ołówki w szufladzie swojego biurka. Leżało tam już tyle monet, że starczyłoby na piwo dla całego wydziału na następny tydzień - no, może tylko po jednym na głowę. - Nic nie mów, dobrze? - poprosiła. - Przynajmniej staram się zmienić coś w sobie.

- I przynajmniej tym razem nie jest to kolejny kolczyk.

- Wiesz co, Reed? - Rzuciła mu spojrzenie, pod którym skuliłby się niejedyn twardy mężczyzna. - Są jeszcze inne części ciała, w które można sobie wsadzić kawałek metalu. Nie tylko kobiety to robią. Myślę, że na Gwiazdkę kupię ci wygrawerowany bolec na fiuta, będzie na nim napisane TEN FIUT TO NIEZŁY BOLEC albo TEN BOLEC TO NIEZŁY FIUT. Zależy, w jakim będę nastroju. To znaczy, czy mnie nie wkurzysz. A jakie masz na to szanse? Zerowe. Aha, wkurzyć to nie przekleństwo.

- Skoro tak mówisz.

- Tak mówię - warknęła. - Chciałeś czegoś czy tylko wpadłeś napsuć mi krwi? - zapytała, gdy lawirowali między biurkami, idąc do wyjścia. Dzwoniły telefony, piszczały pagery, szumiały komputery, słuchać było szuranie nóg i krzeseł, szmer rozmów. Minęli dwóch policjantów prowadzących antypatycznego chłopaka, brudnego, z włosami w strąkach i z miną, która mówiła wyraźnie: „spierdalajcie”. Ręce miał skute kajdankami na plecach i cuchnął gorzałą.

W holu Reed powiedział:

- Miałem znów odwiedzić Caitlyn Bandeaux. Przejrzałem jej billing telefoniczny. Tej nocy, kiedy zginął Bandeaux, dzwoniła do niego. O jedenastej osiemnaście. Rozmawiali przez siedem minut. Ciekawe o czym?

- Tak to może być interesujące - wyznała Sylvie.

- Pomyślałem, że mogłabyś się ze mną zabrać.

- Powiedzmy to sobie jasno. Ja nigdzie z nikim się nie zabieram. Nie jestem towarzyska.

- Coś cię dzisiaj ugryzło?

- Żebyś wiedział. Samotne rodzicielstwo też by miało na ciebie taki wpływ.

- Nie wątpię.

- A już najgorzej, gdy twój były wtyka nos tam, gdzie nie powinien. Bart przychodzi dzisiaj - powiedziała z kwaśnym grymasem. - Nie mogę się już doczekać. Kurewsko się cieszę. - Przewróciła oczami, popchnęła drzwi wyjściowe i wyszła na mokry, parujący parking. - Idę, zanim powiem coś, co będzie mnie kosztować miesięczną pensję. - Stojąc w siąpiącym deszczu przy swojej furgonetce, nagle pstryknęła palcami. - Aha, kilka minut temu dzwoniła Rita, ta od zaginionych. Dzwonił do niej szeryf z wyspy St. Simon's. Wyciągnęli kogoś z wody. Kobieta. Ciało w stanie rozkładu, daleko posuniętego. O ile wiem, brak jakichkolwiek dokumentów. Sprawdzają zgłoszenia o zaginięciach. My też mamy takich kilka na swoim terenie.

- Na przykład Cricket Biscayne i Rebekeę Wade.

Morrisette przesunęła okulary na czubek głowy.

- Do jutra powinniśmy dostać raport.

- Może wreszcie nam się poszczęści - powiedział Reed, ale tak naprawdę w to nie wierzył. Nawet przez chwilę.

- Może. - Sylvie otworzyła drzwi furgonetki. Zdażyła wsiąść do środka, zapalić papierosa i z rykiem silnika wyjechać z parkingu, zanim Reed pokonał niewielki odcinek do swojego starego el dorado. Gdyby włożyć w ten wóz trochę pieniędzy, byłby prawdziwym cackiem. Ale z nędzną tapicerką i powgniataną karoserią wyglądał jak kupa gówna. Choć nie trzeba było spłacać za niego rat. I wciąż był na chodzie, mimo trzydziestu tysięcy kilometrów przejechanych na drugim już silniku. Reed nie miał większych wymagań.

Usiadł za kierownicą i poczuł, jak uginają się stare sprężyny. Powinien włożyć pod tapicerkę nową gąbkę, ale nie miał czasu ani ochoty zabierać się do remontu wraka, przynajmniej nie teraz. Teraz chciał złożyć Caitlyn Bandeaux niezapowiedzianą wizytę, chciał ją zaskoczyć. Od czasu do czasu obserwował jej dom, ale nie zauważył nic szczególnego. Śledził ją trochę, ale nie miał zbyt wiele czasu. Czuł, że spartaczył tę robotę.

Jeszcze nic straconego. Z rana przypuścił atak na Katherine Okano i dowie się, dlaczego wciąż nie ma nakazu przeszukania domu Caitlyn Bandeaux. Przypuszczał, że chodziło tu o znajomości, a nie o procedurę. Montgomery byli hojnymi sponsorami policji i wypchali więcej sędziowskich kieszeni niż ktokolwiek inny. Zawsze wiedzieli, których polityków

wspierać, czasem oficjalnie, czasem pod stołem. Jak na ironię, im lepiej smarowali tryby sprawiedliwości, tym wolniej się one obracały.

Ale to wszystko wkrótce się zmieni.

On tego dopilnuje.

Przekręcił kluczyk. Bestia zakasłała kilka razy, zanim wreszcie ruszyła.

- Teraz lepiej - mruknął. W samochodzie wciąż czuć było zapach papierosa Morrissette. Tak mu się przynajmniej wydawało. Nie mógł się uwolnić od tej kobiety. Włączył wycieraczki i otworzył okno.

Wieczór jeszcze nie nadszedł, ale zwykle jasne ulice pociemniały od ciężkich chmur. Z drzew kapalo, deszcz zacinał, a spod kół pryskały fontanny brudnej wody. Niestety wciąż było gorąco, szyby zaparowały. Włączył klimatyzację i wyjechał z parkingu.

Droga do Caitlyn Bandeaux zajęła mu tylko kilka minut. Urocze gniazdko, pomyślał, patrząc na elegancki, starannie odnowiony dom, zbudowany tuż po wojnie secesyjnej... albo, jak twierdzili miejscowi, po wojnie wywołanej agresją Północy. Takie teksty nie przeszłyby w San Francisco, ale tutaj, w mieście dumnym ze swojej historii, ludzie myśleli inaczej.

Dom w samym sercu zabytkowej dzielnicy, z widokiem na plac musiał kosztować fortunę. Ale dla pani Bandeaux to żaden problem. Miała naprawdę kupę kasy. Zdażył sprawdzić jej wyciągi z banku. Zarabiała trochę, projektując strony internetowe, ale większość jej dochodu i zdaje się dochodu Josha Bandeaux również pochodziła z funduszu powierniczego. Odkrył też coś dziwnego... duże miesięczne przelewy, które nie wyglądały na zwyczajne rachunki. Może jakaś kolejna inwestycja? Może coś jeszcze innego?

Na przykład co?

Szantaż?

Opłacanie czyjegoś milczenia?

Skręcił i zaparkował w bocznej uliczce. Nie chciał, żeby zauważyła jego samochód. Przeszedł przez ulicę w niedozwolonym miejscu, poszedł na tyły domu, od strony garażu, i zajrzał przez wąskie okienko. Chociaż w garażu było ciemno, rozpoznał sylwetkę białego lexusa.

Zatem pani jest w domu.

Świetnie.

Zadowolony okrążył dom i otworzył furtkę. Gdy szedł ścieżką przez ogród, zwymyślała go bezczelna wiewiórka ukryta na gałęzi, wśród liści sasafrasu.

- Cicho bądź - szepnął, a wiewiórka skoczyła na inną gałąź. Jednak nie doczekał się ciszy. Gdy wszedł po schodkach i nacisnął dzwonek, usłyszał jeszcze większy hałas. Kudłaty pies Caitlyn dostał świra i zaczął wściekle ujadać, tak jakby Reed był złodziejem, na tyle głupim, żeby dzwonić do drzwi.

Czekał.

Nikt nie otwierał.

Ale wysoko w powietrzu unosiła się delikatna smuga dymu z papierosa.

Zadzwoił jeszcze raz. Był pewien, że Caitlyn jest w domu, bo światło się paliło, a samochód stał w garażu. Wytarł mokrą od deszczu twarz, przeklął swojego pecha i zamarzył o papierosie. Wciąż tęsknił za uspokajającym działaniem nikotyny.

Nic.

Znowu nacisnął dzwonek. Mocno i natarczywie.

Już miał zrezygnować, gdy usłyszał kroki. Szybkie, lekkie kroki na schodach. Po chwili zobaczył ją przez podłużne okienko przy drzwiach. Piękna twarz i wspaniała sylwetka.

Intrygujące piwne oczy napotkały jego wzrok, ale zamiast strachu zobaczył zawziętość, wściekłość i determinację. Wysunęła wyzywająco brodę, zacisnęła usta. Otworzyła szybko drzwi, ale całym ciałem zastawiła wejście do domu. Rzeczywiście wyglądała groźnie, a przynajmniej starała się tak wyglądać. Czyżby przeszła trening asertywności i wzięła kilka lekcji wschodnich sztuk walki?

- To pan - wycedziła i nawet posłała mu uśmiech, który jednak nie rozjaśnił jej zimnych oczu.

- Pani Bandeaux?

- W czym mogę panu pomóc?

- Mam jeszcze kilka pytań.

Nie poruszyła się. Mokre włosy miała upięte do góry, na twarzy widać było resztki makijażu. Buńczuczna poza zupełnie do niej nie pasowała.

- Do mnie?

- Tak.

Ani drgnęła.

- Obawiam się, że musi pan poczekać. Nie odpowiem na żadne pytania, jeśli nie będzie przy tym mojego prawnika. A jego tutaj nie ma.

Cwana suka.

- To dotyczy tylko pani billingów telefonicznych.

Uśmiechnęła się.

- Nie zrozumiał mnie pan? Poradzono mi nie rozmawiać z panem bez adwokata. Więc nie sądzę, żebyśmy mieli sobie coś dzisiaj do powiedzenia. - Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Przez okienko zobaczył, jak znika w głębi domu.

Co jest, do diabła?

Znów nacisnął dzwonek i czekał. Pies wpadł w szal.

Nikt nie otwierał.

Niech to diabli! Czuł się jak pajac.

- No, otwórz - szeptał. - Wiem, że tam jesteś. - Spojrzał na zegarek. W co ona z nim gra?

Jeszcze raz nacisnął mocno dzwonek.

I czekał. Znów spojrzął na zegarek. Upłynęły trzy minuty, pięć.

- Najświętsza Panienko! - Gdyby tylko miał ten pieprzony nakaz, wyważyłby drzwi. Pies robił taki raban, że zmarłego by obudził. Jezu! Znów nacisnął dzwonek.

Nagle pojawiła się i otworzyła drzwi. Wygląda inaczej, i to nie tylko dlatego, że się przebrała i rozpuściła mokre włosy. Patrzyła zdziwiona, jakby zapomniała, że zostawiła go na ganku. Dżinsy, bluzę i wrogie nastawienie zamieniła na miękką, białą podomkę przewiazaną ciasno w talii. Reed zauważył zagłębienie między jej piersiami, odwrócił wzrok, a potem spojrzął jej w oczy.

- Ach, to pan. - Najwyraźniej była zmieszana. Mokre pasma włosów założyła za uszy. Nie siliła się na uśmiech i wyglądała, jakby miała ochotę przespać następne sto lat. - Przepraszam... Nie słyszałam dzwonka. Brałam prysznic... wcześniej złapał mnie deszcz i...

- Pani pies szczekał jak oszalały.

- Często tak szczeka. Woda leciała. Byłam na górze i... - Przerwała, jakby zdała sobie sprawę, że mówi bez sensu. - Czy mogę panu w czymś pomóc.

- Chciałem zadać kilka pytań. Pamięta pani?
Zmarszczyła brwi.

- Przypuszczam, że chodzi o matkę, ale odpowiadałam już na pańskie pytania w szpitalu. Czy chce pan zapytać o coś jeszcze? - Drżącą ręką odgarnęła z oczu pasmo włosów, sprawiała wrażenie kruchej i delikatnej. Zdruzgotanej. Tak powinna wyglądać kobieta, która straciła matkę.

- Nie chodzi o pani matkę. Jestem tu w sprawie śmierci pani męża.

- Ach! - Jedną ręką chwyciła klapy podomki, zakrywając dekolot.

- Chodzi o pani billingi telefoniczne - powiedział w nadziei, że przypomni sobie, o czym wcześniej mówili, ale patrzyła na niego niepewnym roztargnionym wzrokiem. Jest głupia, zdezorientowana czy tylko gra? Udaje niepoczytalną, żeby uniknąć stryczka? Biorąc pod uwagę jej przeszłość, to najlepsza linia obrony.

- O billingi?

- Wynika z nich, że dzwoniła pani do męża tamtej nocy i rozmawiała z nim przez siedem minut, a potem pojechała do niego.

- Nie. Chwileczkę. Wynika z nich, że ktoś dzwonił z mojego telefonu, zgadza się? Nie z mojej komórki? A potem ktoś pojechał do Josha. Niekoniecznie musiałam to być ja.

- Mam świadka, który widział tam pani samochód.
Spojrzała na niego ostro.

- Przyszedł pan mnie aresztować? - zapytała nagle. Zauważył, że jest blada i wycieńczona. Chora.

- Nie. Po prostu chciałem z panią porozmawiać.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. Będę rozmawiać w obecności mojego prawnika albo po konsultacji z nim. Mogę do niego zadzwonić, jeśli zechce pan poczekać.

- Świetnie.
Otworzyła szerzej drzwi, wszedł za nią do kuchni.

- Chce pan kawy... albo... - Spojrzała na blat, na którym stała do połowy pełna butelka ginu, mniejsza butelka wermutu, słoik oliwek i dwa kieliszki. W jednym kieliszku był alkohol i sądząc z położonej na brzegu pustej wykałaczką, ktoś już z niego pił.

- Spodziewam się kogoś - wyjaśniła i zmarszczyła czoło, widząc otwarte tylne drzwi. Zamknęła je.

- Jeśli chciałby pan martini...

- Nie, dziękuję.

- Tak myślałam. - Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu. Sięgnęła po telefon, z półki nad zlewem wzięła wizytówkę. Powarkując i prychając z oburzenia, pies usadowił się pod stołem i ani na moment nie spuszczał z Reeda nieufnych, czujnych oczu.

Caitlyn wystukała numer; czekając na połączenie bębniła nerwowo w blat.

- Mówi Caitlyn Bandeaux. Jestem klientką pana Wildera. Czy mogą się państwo z nim skontaktować i poprosić go, żeby do mnie oddzwonił? - Podała swój numer telefonu. Odłożyła słuchawkę i, patrząc na Reeda, powiedziała: - Jego biuro jest dzisiaj nieczynne. Nie wiem, kiedy oddzwoni. Więc może odpowiem na jedno pana pytanie. Pyta pan, czy dzwoniłam wtedy do Josha. Otóż nie pamiętam. Powiedziałam wam już wszystko, co pamiętam z tamtej nocy.

- Czy zeszłej nocy odwiedziła pani matkę w szpitalu?

- Nie, ja... - Urwała zaskoczona, a jej blada twarz nabrała kolorów. - Chwileczkę. Pyta mnie pan, czy odwiedziłam w szpitalu matkę i czy ją zabiłam? O Boże, o to panu chodzi,

prawda? - Uniosła ręce w bezradnym geście. Wyglądała, jakby miała się zaraz rozpląkać. Ze złości? Z żalu? - Myślę, że powinien pan już iść. Jeśli ma mnie pan aresztować, to niech pan to po prostu zrobi, proszę, niech mnie pan oskarży i niech to się już wreszcie skończy. Jeśli nie, to proszę poczekać, aż skontaktuję się ze swoim adwokatem. - Była stanowcza, drobne dłonie zacisnęła w pięści, ale Reed wyczuł, że pod pozorną pewnością siebie kryje się lęk.

Spod stołu dobiegło warknięcie.

- Cicho, Oskar!

Reed wiedział, kiedy się wycofać. Gra skończona. Przynajmniej na razie.

- Będę z panią w kontakcie. - Skierował się do frontowych drzwi.

- Nie wątpię, detektywie.

Wyszedł na ganek, ale odwrócił się jeszcze. Stała w progu, sztywno wyprostowana, patrząc mu w oczy. Znów nieustępliwie. Świetna z niej aktorka. Jego nie zdoła przekonać o swojej niewinności, ale ławą przysięgłych będzie manipulować bez trudu.

- Żałuję, ale nie mogę powiedzieć, że jest pan mile widziany. - Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Po raz drugi.

I po raz ostatni.

Więcej się to nie powtórzy.

Już on tego dopilnuje.

Rozdział 26

Babcia Adama często mówiła: „pierwsze koty za płoty”. Jako dziecko - O nie mógł zrozumieć, o co w tym chodzi, tym bardziej że u babci na werandzie zawsze mieszkały jakieś przygarnięte koty; zimą pozwalała im grzać się w kuchni przy piecu. Ale z czasem zrozumiał i do dziś był babci wdzięczny za te mądrości. Niełatwo się poddawał, a nieudane próby skłaniały go do szukania innych rozwiązań.

Właśnie korzystał z babcinych nauk, siedząc przed komputerem i poszukując w internecie informacji o Montgomerych z Savannah. Siedział tak już od kilku godzin, wypił cały dzbanek kawy, a litery na ekranie zaczęły zlewać mu się przed oczami. Chyba zabrął w ślepy zaułek.

Wcześniej czy później policja zorientuje się, że Rebeka zaginęła.

A wtedy to oni przyjdą do niego, a nie on do nich.

Więc trzeba działać szybko, zebrać jak najwięcej informacji. Sporo się dowiedział, dzięki temu, że został psychoterapeutą Caitlyn Bandeaux.

Ruszyło go sumienie. Wykorzystywał ją dla swoich celów. A na dodatek jeszcze się zakochał. Cholernie dobry moment na amory! Nie może się z nią związać, nie może sobie pozwolić nawet na przelotny romans. Zresztą to nie w jego stylu ani w stylu Caitlyn. Na miłość boską, jest jego pacjentką! Powinien trzymać łąpska z dala od niej. Tak, dobrze o tym wiedział, a jednak pragnął jej.

To jej twarz widział, gdy rano budził się złany potem, ze stwardniałym członkiem. To o jej ciele marzył, gdy leżał na łóżku, gapiąc się w sufit. Zastanawiał się, jak smakowałby pocałunek. Prawdziwy namiętny pocałunek. Wyobraził sobie jej rozchylone wargi, swoje dłonie wędrujące po jej plecach coraz niżej i zaciskające się na jędrnych pośladkach.

To była męka.

Od lat nie marzył o kobiecie. Ostatnią kobietą, o której śnił, była Rebeka, ale teraz jej obraz zacierał mu się w pamięci. Caitlyn... Co w niej takiego było? Nie tylko uroda i z

pewnością nie jej kruchość. Nigdy nie pragnął odgrywać roli obrońcy, nie był nieustraszonym rycerzem na dzielnym rumaku. Nie, nie chodziło o to, że budziła w nim opiekuńcze instynkty. I nie chodziło tylko o seks.

Zamknął na moment oczy. Cholera, po prostu bardzo lubił z nią być. Za bardzo. Musi skończyć z tymi swoimi cholernymi fantazjami. Czuł się, jakby stapał po linie nad bezdenną, czarną przepaścią. Jeden błędny krok i runie w dół, a jeśli nie będzie ostrożny, pociągnie za sobą Caitlyn.

Z trudem udało mu się zabrać z powrotem do pracy. Zacisnął szczęki i gapił się w ekran komputera. Ponieważ wciąż nie mógł znaleźć brakujących notatek, zaczął szukać w internecie artykułów dotyczących rodziny Montgomerych. Przeczytał wszystkie zapiski Rebeki na temat innych jej pacjentów i nie znalazł nic szczególnego. Nic, co tłumaczyłoby jej entuzjazm i nadzieję na międzynarodowe uznanie.

Nie dbał o to. Ale musiał się dowiedzieć, jaką tajemnicę kryła Caitlyn Bandeaux. Dlaczego Rebeka tak wiele sobie obiecywała po tej pacjentce? W tym tkwił klucz do jej zniknięcia. Był tego pewien.

Chwycił klucze i zbiegł po skrzypiących schodach. Na dworze wciąż było pochmurno i ponuro, ale prawie tego nie zauważył. Pojechał do redakcji „Savannah Sentinel”, gdzie znudzona recepcjonistka, z paznokciami pomalowanymi na różne kolory, spytała, w czym może pomóc, i znacząco spojrzała na zegar. Było po czwartej.

Kiedy powiedział, że chodzi mu o archiwalne numery gazety, zaprowadziła go do pomieszczenia, gdzie można było obejrzeć stare wydania zebrane na CD-ROM-ie.

- Dużo starsze numery znajdują się na mikrofilmach - dodała, wskazując na czytnik i obrzuciwszy Adama jeszcze raz długim spojrzeniem, wyszła, zostawiając go sam na sam ze sprzętem. - Niedługo zamykamy.

- Nie zajmie mi to wiele czasu - obiecał i usiadł na krześle z połamanym oparciem, jedynym, jakie stało w tym zatechłym pomieszczeniu. Zaczął od najświeższych artykułów, potem cofał się, skacząc po najważniejszych datach. Przeczytał o śmierci córki Caitlyn, o jej ślubie, o fuzji Montgomery Bank and Trust z jakąś mniejszą firmą. Znalazł też wzmiankę o aresztowaniu Hannah Montgomery w związku z narkotykami i o jej późniejszym uniewinnieniu, przeczytał o krótkotrwałym małżeństwie Troya. Były tam też artykuły o małżeństwie Amandy i Iana Drummonda i o śmierci Charlesa Montgomery'ego. Wydrukował wszystko, ale najciekawsze okazały się wiadomości o wypadku na łodzi. Znalazł całą serię artykułów, pierwszy ukazał się w dniu wypadku. Opublikowano zdjęcia obu siostr oraz zdjęcia wraku łodzi.

Okazało się, że Caitlyn dobrze zapamiętała, co się wtedy wydarzyło.

Bliźniaczki popłynęły motorówką na przyjęcie z okazji swoich dwudziestych piątych urodzin. Przez kilka godzin piły i tańczyły, a po północy wsiadły na łódź i odpłynęły. W drodze powrotnej doszło do wybuchu, nie wiadomo, co go spowodowało. Łódź zatoniła. Od tego miejsca wersja Caitlyn i wersja oficjalna różniły się. Adam czytał coraz bardziej przejęty. Szczęki miał zaciśnięte. Według tego, co zamieścił „Sentinel” na pierwszej stronie jakieś dziesięć lat temu, małżeństwo, które ze swej łodzi widziało, jak motorówka rozpada się na kawałki, odnalazło ranną i nieprzytomną Caitlyn Montgomery. Ale tylko Caitlyn. Nie znaleźli Kelly. Co więcej, Kelly nigdy nie została odnaleziona. Ani tamtej nocy, ani następnego dnia, ani w następnym tygodniu.

Serce Adama zabiło mocniej. Caitlyn przeinaczyła fakty. Bezcelnie go okłamała.

Tak jak ty ją. Od samego początku.

- Panie Hunt? - Do pokoju zajrzała recepcjonistka. - Zamykamy.
- Jeszcze tylko chwileczka - obiecał, a kobieta przewróciła oczami, zadzwoniła niecierpliwie kluczami, ale zostawiła go w spokoju.

Znalazł kolejne wzmianki o poszukiwaniach Kelly Montgomery. Przejrzał je pobieżnie i wydrukował.

Po tygodniu odwołano poszukiwania, artykułów na temat wypadku było coraz mniej i pojawiały się coraz rzadziej.

Aż do ostatniej wzmianki o Kelly Griffin Montgomery.

Jej nekrologu.

Ból rozsadzał jej czaszkę, nie pozwalał zebrać myśli. Schroniła się w swoim zacisznym białym pokoju, ale i to nie pomogło. Przed chwilą w sąsiednim pomieszczeniu potknęła się o to ścierwo i omal nie zapomniała włożyć ochraniaczy.

Podeszła do biurka, próbując się skoncentrować. Jest Atropos, tak...

Atropos - Nieodwracalna.

I ma powód, żeby więzić Cricket. Powód?

Myśl, przypomnij sobie, jaka jest twoja misja. Jesteś jedną z trzech bogiń losu, tą najważniejszą.

Tak, Atropos to ona. Przecina nić życia, którą przedzie dla każdego jej siostra Kloto - Prządka, a druga siostra, Lachesis - Udzielająca, skrupulatnie odmierza. Siostry... trzy, silne, wszystkie jednej myśli... Ale myśl była teraz zmacona.

Otworzyła szufladę. Czerwono-czarne, jak krew i jak śmierć, misternie splecione nici życia czekały na swoją kolej. Los. Przeznaczenie. Fatum.

Myśl! Masz zadanie do wypełnienia.

Znalazła dwa zdjęcia swojej ostatniej ofiary, Bernedy... Młoda szczupła kobieta w czarnej sukience do kolan. Przechyla kokieteryjnie głowę, aby wyeksponować piękny profil, kasztanowe włosy spięła na czubku głowy brylantowym diademem. Szczupłe ręce w jedwabnych rękawiczkach, papieros w długiej lufce, cienka smużka dymu - zdjęcie było starannie upozowane. Berneda zupełnie nie wyglądała na matkę kilkorga dzieci.

Ta, która urodziła siedmioro dzieci; ta, która wciąż narzekała na utraconą figurę; ta, która musiała tak się poświęcić dla swoich dzieci. Zdradzana przez rozpustnego męża, oplakująca utraconą młodość i urodę. Ta, którą zabiło słabe serce. Ta, która nienawidziła bękartów spłodzonych przez swego męża i teścia.

Biedna Berneda, tyle wycierpiała.

Wreszcie ustały jej cierpienia, pomyślała Atropos, wyciągając nić życia Bernedy. Otworzyła miękki futerał ze swoimi niezwykłymi narzędziami i wyjęła ukochane nożyczki chirurgiczne. Lśniący stal sprawnie przecięła nić życia Bernedy Pomeroy Montgomery.

Co zrobić z fotografią? Hm... Sylwetka była powodem dumy, a potem rozpacz Bernedy; teraz, po śmierci, zostanie jej pozbawiona. Tak, to dobra myśl. Atropos zabrała się do pracy. Dwoma ciachnięciami nożyczek odcięła głowę i nogi Bernedy. O tak, idealnie. Odcięte kawałki upadły na biurko.

Atropos podniosła je, zestawiała ze sobą i starannie przypięła w odpowiednim miejscu na drzewie klanu Montgomerych. Piękna kształtna głowa zdawała się wyrastać wprost z nóg. Papieros i ramiona były nietknięte, co nadawało Bernedzie dziwny, ale elegancki i intrygujący wygląd. Taki, jakiego zawsze pragnęła. Atropos uśmiechnęła się. Nowo

przycięta i wklejona Berneda stała na gałęzi obok swojego męża - Wiarołomnego. Ubrany był jak na polowanie, bo zawsze był łowcą, choć zwykle polował na kobiety. Jego ciało było nietknięte, jeśli nie liczyć niesymetrycznej dziury w kroku - wyszarpany kawałek zdjęcia w miejscu prawego jądra. Popatrzyła na innych mieszkających na drzewie... Mały Parker, pozbawiony głupiego smoczka, wrzeszczał ile sił w płucach, Alice Ann z głową odcięta i przyklejona pod dziwacznym kątem - tak ją znaleźli, gdy spadła ze schodów w luksusowym zakładzie, w którym zamknęła ją rodzina.

Szkoda, że nie ma więcej czasu. Pragnęła podziwiać swoje dzieło, usiąść wygodnie i nacieszyć nim oczy. Ale jeszcze nie teraz. Czasu jest coraz mniej.

Odnalazła zdjęcie najstarszej córki, Amandy, i odcięła samochód od szczupłej sylwetki. Najstarsza wciąż żyła - taka wola boska - trzeba zająć się nią później. Na samą myśl uśmiechnęła się. Tak, tak... wszystko idealnie się zgadzało. Umieściła zdjęcie niedużego zgniecionego samochodu sportowego na gałęzi Amandy. Chwilowo to musiało jej wystarczyć. Nic życia Amandy nie mogła jeszcze zostać przecięta.

Tak zdecydowała jedna z bogiń losu.

Nadeszła pora dokonać kolejnego wyboru. Usiadła na krześle i zaczęła mieszać zdjęcia. Pośpiesznie odwracała stare fotografie i zauważyła, że niektóre nie są już idealne. Jedne wyblakły, inne pożółkły, jeszcze inne pogięły się i pozalaamywały od ciągłego przekładania.

Upłynęło zbyt wiele czasu. Zbyt wiele lat. Znow poczuła niepokój. Kiedyś była cierpliwa, teraz stała się nerwowa. Drażliwa.

Z pomieszczenia obok dobiegło ją słabe szuranie. Ofiara próbowała się uwolnić... Boże, czy nie czas już na nią?

Czas. Atropos miała coraz mniej czasu, a tyle jeszcze do zrobienia. Nawet nie mogła sobie pozwolić na spokojny wybór kolejnych ofiar. Kiedyś mogła czekać miesiące czy lata, teraz czuła, że musi jak najszybciej dokończyć rozpoczęte dzieło. Szybciej... szybciej.

Odwróciła jedno ze zdjęć i zobaczyła twarz Caitlyn. Znowu. Najwyraźniej los wskazuje na słabszą z bliźniaczek. Ale czy to właściwy moment? Zaplanowała, że Caitlyn będzie ostatnia, że weźmie na siebie winę za wszystkie czyny Atropos. Ale może źle to obmyśliła?

Gdzie, do diabła, jest nic życia tej mizeroty?

Grzebiąc w szufladzie wśród splecionych sznureczków, odpowiednio oznaczonych, Atropos zauważyła, że czas Caitlyn dobiegał już końca. Byli też oczywiście inni. Odwróciła kolejne zdjęcia i ogarnął ją spokój, uczucie błogiego zadowolenia.

Dwie kolejne ofiary... jedna z ponurym wyrazem twarzy, druga, na dalszym planie, próbująca schować się przed obiektywem.

Za późno. Już się nie ukryjesz.

Atropos uśmiechnęła się, nawet odgłosy szamotaniny nie zwały jej spokoju. Cricket szarpała się przerażona. Czuła, co ją czeka. Świetnie. Może czas jej o czymś przypomnieć. Tak, z pewnością. Atropos nigdy wcześniej nikogo nie więziła. Ale jej ofiary wiedziały, z czyjej ręki giną, szczególnie świetnie rozegrała to z Joshem Bandeaux. Odkryła, że powolne psychiczne maltretowanie ofiary dostarcza niezwykłych emocji. Jednak musiała być ostrożna, a w stanie upojenia łatwo stracić czujność. Ale... skoro Cricket już tu jest, przecież można to wykorzystać.

Wiedziała jak. Słyszała, że dziewczyna wierzga i próbuje krzyknąć, więc chyba nadszedł czas dać jej nauczkę. Wyjęła pęsetę. Założyła rękawiczki, zostawiła ochraniacze na buty

przed drzwiami i sięgnęła po latarkę. Poczuła, jak ogarnia ją miłe podniecenie. Piwnica była odrażająca. Idealna. Atropos podeszła ostrożnie, na wypadek, gdyby Cricket jakimś cudem zdołała ją kopnąć, włączyła latarkę i skierowała w jej stronę. Kiepsko wyglądała. Brudna. Zmizerowana. Pewnie z braku jedzenia i wody... minęło już kilka dni. Cricket była harda. Czas znów podać jej prochy, ale najpierw... Tak, najpierw musi dostać nauczki.

Atropos kucnęła obok słoika z kłębiącymi się pajakami. Dziewczyna, wściekła i przerażona, usiłowała krzyczeć, mimo knebla. Atropos mogła się domyślić, co jej ofiara chce powiedzieć. Wstrętne słowa. Ale jakie to ma znaczenie... Atropos powoli odkręciła pokrywkę i obejrzała nić życia. Czas uciekał. Potem, zanurzyła pęsetę w słoju, omijając gęsty fragment sieci, gdzie pełzały dziesiątki malutkich pajaczków.

- Masz szczęście, że nazywasz się Cricket - Świerszcz - powiedziała Atropos, patrząc jej w oczy. Były okrągłe ze strachu.

- Gdybyś nazywała się Laura albo Róża, albo Olimpia, byłoby mi dużo trudniej rozstrzygnąć twój los, ale skoro... - Wyciągnęła ze słoja jedwabisty, tętniący życiem kokon. Zakołysała nim nad głową Cricket.

Dziewczyna popęzła szybko w kąt.

- Na twoim miejscu, nie chowałabym się tam - ostrzegła Atropos. - Widziałam tam szczury, węże i...

Cricket szarpała się wściekle. Atropos miała tego dość. Chwilę pottrzymała kokon nad jej twarzą, a potem upuściła. Cricket wydała z siebie nieludzki dźwięk.

- A teraz... zobaczymy. Nie chcemy przecież rozdzielać dzieci od matki. Jak myślisz, która to... ach, tutaj jest. - Znalazła szczególnie obrzydliwego pajaka, który gapił się na nią przez szkło, widać było jego kądziółki przednie, a we wszystkich czterech parach oczu odbijało się światło. - No chodź. - Z precyzją chirurga Atropos znów wsunęła pęsetę do słoja i chwyciła kawałek pajęczyny z paskudnym pajakiem. Miał lśniący, czarny brzuch z czerwoną plamką w kształcie klepsydry. Atropos była zadowolona... Niektóre z nich sama znalazła, niektóre zamówiła przez internet, zapłaciła za nie anonimowo czekiem i odebrała ze skrytki pocztowej. A ten tutaj, czarna wdowa, z gruszkowatym kokonem na jaja, był jej ulubieńcem. - Cześć, mamuśka - powiedziała, chwytając pajaka szczypcami. Czarna wdowa. Jaka trafna nazwa - Caitlyn Bandeaux zostanie oskarżona nie tylko o zabójstwo Josha, ale i o wszystkie pozostałe.

Taki jest plan.

Cricket skomlała. Szamotała się i drżała, jakby już czuła na ciele każdego pajaka. Po twarzy płynęły jej łzy. Atropos odwróciła się powoli, szczypce zawisły nad głową ofiary. Powoli opuszczała pęsetę, zatrzymała się kilka centymetrów od twarzy Cricket. Niech sobie dziewczyna popatrzy.

- Nie są tak jadowite, jak sądzą niektórzy - powiedziała Atropos. - Ale jeśli ugryzą wiele razy...

Dziewczyna jęczała żałośnie.

Czas z tym skończyć.

Atropos rozluźniła chwyt.

Rozdział 27

Caitlyn przewróciła się na drugi bok, otworzyła oczy i spojrzała na budzik. Ósma trzydzieści? Niemożliwe. Na kamiennej podłodze werandy kładły się długie cienie - zapowiedź nadchodzącej nocy. Pewnie zasnęła po tych kilku drinkach wypitych z Kelly

i... i jeszcze ten przejmujący dziecięcy głosik w telefonie. Mój Boże, myślała, że to Jamie. Przez krótką chwilę myślała, że jej córeczka wciąż żyje. Kto się tak nad nią znęca? Kto wymyślił taki okrutny żart?

Ktoś, kto cię nienawidzi.

Ktoś, kto chce, żebyś się załamała.

Ktoś, kto cię bardzo dobrze zna.

Chyba że wszystko sobie wymyśliłaś. Może to tylko twoja wyobraźnia?

Pojękując, sięgnęła po telefon, żeby sprawdzić, skąd dzwonił ten ktoś, ale w pamięci telefonu nie było żadnych numerów. Może je skasowała?

Myśl, Caitlyn, myśl!

Wróciła z joggingu, brała prysznic... i... i... i co? Co?

- Do diabła. - Nie pamięta ostatnich kilku godzin.

Chociaż nie, pamięta, że przyszedł detektyw Reed. Zgadza się? Tak... i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, mówiąc, że musi skontaktować się z prawnikiem. Ale nie miała wątpliwości, że wróci. Tylko patrzeć, a zjawi się z kajdankami. O Boże, w co ona się wpakowała? Wszyscy w rodzinie umierają... po kolei opuszczają ten świat. Pomyślała ze smutkiem o swojej córeczce, matce, a nawet o Joshu. Był sukinsynem, ale nie zasłużył na tak okropną śmierć... Zamrugnęła oczami. Przypomniała sobie najdrobniejsze szczegóły pewnej rozmowy.

- Napijesz się wina? - drażniła się z nim. - Nie, ty masz przecież alergię...

- Na inne wino. A teraz wynoś się stąd. - Uśmiechnął się zarozumiale i opróżnił kieliszek.

Co za głupiec.

Dreszcz przebiegł jej po plecach.

Co ona zrobiła tamtej nocy? Była tam, w domu Josha, w jego gabinecie... ale on wtedy żył... Więc ta krew... skąd wzięła się ta krew?

Może przyniosłaś ją tutaj, wariatko. Jesteś wystarczająco szalona, żeby coś takiego zrobić. Czy ten odcisk dłoni nie pasował do twojej dłoni?

O Boże, Boże, Boże! Serce zaczęło łomotać, przypomniała sobie tamten ranek, sypialnię we krwi: lepkie prześcieradła, ciemne plamy na firankach i dywanie, pęknięta szyba w łazience.

Błądząc palcami po nocnej szafce, strąciła pilota od telewizora i włączyła lampkę. Rozejrzała się szybko, by upewnić się, że drzwi są zamknięte, a w pokoju nie ma rozmazanej krwi ani niczego niepokojącego. Było cicho. Może zbyt cicho.

Nie zaczynaj od nowa, Caitlyn. Boisz się własnego cienia.

Oskar przeciągnął się i ziewnął, odsłaniając czarne wargi, różowy język i ostre zęby.

- Leniuszek! - podrapała go za uszami. - Tak jak ja. Straszne z nas leniuchy. - Próbowwała opanować narastającą panikę, bez skutku. Z trudem zwlokła się z łóżka. W lustrze w łazience zobaczyła swoją przerażoną twarz. - Weź się w garść - warknęła, zaciskając ręce na brzegu umywalki. - Nie wolno ci się załamać. Tylko nie to! - Odkręciła kran, pochyliła się i opryskała wodą policzki i czoło. Zacisnęła powieki. Teraz kilka głębokich wdechów. Uspokój się, nie słuchaj tych głosów... nie słuchaj.

Powoli otworzyła oczy i groźnie spojrzała na swoje odbicie. Taka słaba. Taka przerażona. Taka krucha.

Weź się w garść! Dobrze, będę dzielna, powiedziała sobie.

Umyła zęby, przeczesła palcami włosy, czując, że powoli się uspokaja. No, teraz

wygląda zdecydowanie lepiej. Przydałoby się pociągnąć usta szminką. Otworzyła szafkę i pogrzebała w kosmetykach. Tylko trzy szminki. A miała cztery. Brakowało jej ulubionej, różowej, tej, którą można kupić wyłącznie u Maxxella. Trochę zdziwiona jeszcze raz przeszukała szafkę. Różowej szminki nie było. Trudno, użyję malinowej, pomyślała. Tamta na pewno jeszcze się znajdzie.

Ostatnio ciągle coś gubiła, zapodziała telefon komórkowy, kosmetyki, ulubione buty...

- Tak to się właśnie zaczyna, wariatko - burknęła, wkładając spodenki i T-shirt. Ślady na nadgarstkach zagoiły się trochę, już nie musi chodzić z długimi rękawami. Przechodząc obok pokoju Jamie, zauważyła, że drzwi są zamknięte... dziwne. Caitlyn rzadko je zamykała, zwykle były otwarte, żeby zawsze mogła tam zajrzeć i przypomnieć sobie swoją małą córeczkę.

Ale przecież wczoraj wpadła Kelly, tak? Na pewno?

Otworzyła drzwi i zalała ją fala wspomnień. „Mamusiu, mamusiu, poczytaj mi bajkę. Tę o króliczku!” Córeczka stanęła jej w oczach jak żywa, z promienną buzią, burzą jasnych loczków, słodkim uśmiechem.

Caitlyn już miała wyjść, z boleśnie ściśniętym sercem, gdy spojrzała na łóżko... coś było nie tak... czegoś brakowało... króliczek. Ulubionego pluszaka Jamie nie było na łóżku ani na regale, ani...

Mamusiu? Gdzie jesteś?

Znów usłyszała w głowie przerażony głos Jamie. Czy jej córeczka... Nie, czy ktoś udawał jej córeczkę, czy to tylko wytwór jej wyobraźni? Jak to Lucille kiedyś powiedziała? „Ty też je słyszysz, Caitlyn, wiem, że słyszysz. Duchy, one do ciebie mówią”. Lucille jest trochę pomyłona, wszyscy tak uważają, i tylko dlatego może wytrzymać z matką. Mogła. Ale głos Jamie był taki rzeczywisty. Dzwoniła...

Caitlyn pobiegła do sypialni jeszcze raz sprawdzić numery dzwoniących, ale wszystkie zostały wykasowane. Ktoś to zrobił. Nie ona. Pamiętałaby.

Mówiłam ci, Caitie-Did, jesteś kurewsko pomyłona! Ile razy słyszała w głowie oskarżycielski ton Kelly. Setki? Tysiące?

Zdruzgotana, przeszła przez korytarz i podeszła do komputera. Otworzyła pocztę i zobaczyła kilka wiadomości od Kelly.

Hej, śpiochu! Co z tobą? Sama mam sobie przyrządzić martini? Wpadłam do ciebie, ale ty robiłaś za śpiącą królową. Zadzwoń do mnie. Buziaki, Kelly.

Kelly tu była? Czy to ona wzięła szminkę i króliczka Jamie? Czy... Tak, na pewno. Otworzyła drugą wiadomość.

Zapomniałam napisać, że zajęłam się detektywem Reedem.

Co? O, Boże!

Przyszedł, gdy spałaś, i kazałam mu spadać. Udawałam ciebie i powiedziałam, że nie będę z nim rozmawiać bez adwokata.

Nie, to się nie zgadzało. Caitlyn pamięta przecież, że przyszedł detektyw Reed. I to ona kazała mu wyjść. Na pewno? Spała, a potem... a potem, o nie! Strach chwycił ją za gardło.

Zanim zaczniesz prawić mi kazanie, uspokoję cię. Ten glina to kupił, tak samo jak kilka dni temu ta wkurzająca dziennikarka, Nikki Gillette.

Oj, niedobrze. Kelly uwielbiała przesadnie dramatyczne gesty i mistyfikację.

Do zobaczenia. Buziaki. Pa!

Caitlyn wyłączyła komputer i objęła głowę rękami. Kelly zaczyna stwarzać problemy.

Ale przecież zawsze tak było.

No dobra, stwarza coraz więcej problemów.

Gdyby tylko porzuciła tę grę pozorów, pogodziła się z rodziną. Wszystko byłoby prostsze. Ale to się nigdy nie stanie. Nigdy.

Spróbowała zadzwonić do siostry, ale odezwała się tylko cholerna sekretarka automatyczna. Tym razem Caitlyn nawet nie zostawiła wiadomości.

Po co Kelly miałyby kraść jej rzeczy? Szminkę? Ulubionego pluszaka Jamie? To nie miało sensu, chyba że... chyba że Kelly próbowała namieszać jej w głowie... ale dlaczego?

Bo zabiła Josha i chce cię wrobić, chce, żeby wyglądało, że łamiesz się i...

- Nie!

Caitlyn nie chciała w to uwierzyć. Zbiegła po schodach. Zapaliła światło w kuchni. Na blacie stały dwa puste kieliszki po martini i otwarty słoik oliwek. Zamarła na progu. Przeszedł ją dreszcz. Nie pamięta, żeby piła z Kelly.

Nie piłaś. Spałaś.

Ale przecież rozmawiała z detektywem Reedem. Przed czy po Kelly? O Boże. Opadła na stojące w kącie krzesło. Oskar patrzył na nią pytająco i walił ogonem o podłogę.

- Ona musi z tym skończyć! - Caitlyn pochyliła się i niemal bezwiednie i podrapała psa za uszami.

- Musi.

Ale sama, z własnej woli, nigdy tego nie robi. Zbyt dobrze się bawi. Od tamtego wypadku cały czas się świetnie bawi. Ale dość tego. Ktoś ją musi powstrzymać. Tym kimś będziesz ty.

- Nie mogę - jęknęła Caitlyn. - Po prostu nie mogę!

Jej własne życie rozpadało się na kawałki. Wszystko się waliło. Dopadła ją klątwa Montgomerych, rodzinny obłęd, przed którym nie było ucieczki. Spanikowana, roztrzęsiona, ukryła twarz w dłoniach.

Na miłość boską, nie załamuj się. Nie teraz!

Podskoczyła na dzwonek telefonu. Cholerni dziennikarze!

Zerwała się i chwyciła za słuchawkę, zanim rozległ się drugi dzwonek.

- Halo? - warknęła.

- Caitlyn? - Głos Adama był łudzaco bliski.

Do oczu napłynęły jej łzy, odetchnęła z ulgą. Tego właśnie potrzebowała. Więc czemu na dźwięk jego głosu chciało jej się płakać?

- Cześć - wykrztusiła niewyraźnie, powstrzymując łzy.

- Dobrze się czujesz?

Nie! Niedobrze. I nigdy nie będę się dobrze czuła. Kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć! Przycisnęła słuchawkę do ucha, osunęła się wzdłuż szafki i usiadła na podłodze.

- Dowiedziałem się o twojej mamie - powiedział. - Bardzo mi przykro.

- Mnie też - przyznała.

- Pomyślałem, że chciałabyś porozmawiać.

- Tak. Chcę. - Skinęła głową, choć nie mógł tego zobaczyć. Musiała się z nim spotkać, dotknąć go, poczuć, że ma w nim oparcie. Że może mu zaufać.

Zaufać? Odbiło ci? Facetowi, który wciska swoje wizytówki na pogrzebie? Psychologowi, który szuka klientów na cmentarzu? Daj spokój, Caitie-Did, to głupota. Chcesz go zobaczyć, bo masz na niego ochotę, i tyle.

W głowie rozbrzmiewał jej głos Kelly. Ostatnio siostra odgrywała jednocześnie rolę sumienia i kata.

- Mogę przyjechać za pół godziny - powiedział, a jego ciepły ton wzruszył ją. Nawet nie przypuszczała, że mężczyzna może być taki delikatny i troskliwy. - A może wolisz przyjść do mnie?

Rozejrzała się po domu, puste kieliszki, na wpół opróżnione butelki, zabłocona przez psa podłoga w kuchni, i wciąż czuła niepokój, wciąż miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

- A może spotkamy się gdzie indziej na neutralnym gruncie - odpowiedział. - W gabinecie albo w kawiarni?

- Wiesz co, a może byś przyjechał po mnie? - Wytarła dłonią resztki łez. - Wtedy zdecydujemy.

- Zgoda.

Odłożyła słuchawkę, wstała i zacisnęła zęby. Musi się trzymać. Musi znaleźć w sobie siłę, żeby się z tym wszystkim uporać. Przegnała dręczące ją demony i zaczęła krzątać się po kuchni. Włożyła kieliszki do zmywarki, butelki wstawiła do szafki, mokrą ścierką wytarła blat i podłogę.

- Zadanie wykonane! - Obrzuciła kuchnię pobieżnym spojrzeniem. - Niemożliwe okazało się możliwe. - Brudną szmatę wrzuciła do kosza na pranie, poszła na górę, przebrała się w długą bawełnianą sukienkę i wygrzebała pasujący do niej sweter, który zasłaniał skaleczenia na nadgarstkach. Przyjrzała się sobie krytycznie w lusterku. Kilka pociągnięć tuszem do rzęs i trochę różu - na nic więcej nie miała czasu. A włosy - lepiej dać sobie spokój. Zbiegła na dół i wykręciła numer Oak Hill. Hannah siedziała tam sama, naprawdę sama, po raz pierwszy w życiu. Caitlyn chciała sprawdzić, jak sobie radzi. Hannah często była nieznośna, ale kto nie był? Kelly, Amanda i Troy też nie są tacy znowu idealni. Jeden sygnał. Czekala, przyglądając się paznokciom. Drugi.

- No, odbierz. - Nic z tego. Trzeci,.. Czwarty... Włączyła się sekretarka. Caitlyn usłyszała delikatny, melodyjny głos matki.

- Dodzwoniliście się do państwa Montgomerych w Oak Hill. Jeśli zechcecie zostawić swój numer telefonu i nazwisko, oddzwonimy...

Mama. Serce jej się ścisnęło. Mama nie żyje. Jak to możliwe? Przypomniała sobie, jak siedziała jej na kolanach. Zapach perfum mieszał się z zapachem dymu papierosowego, a w zielonych oczach matki mieszał smutek. Pamiętała też noc, gdy budził ją odgłos kroków w holu. Czasami kroki były złowieszcze, przerażające, zatrzymywały się pod jej drzwiami, a potem wślizgiwały do środka. Czasami były to kroki matki, która nie mogąc zasnąć, chodziła po schodach i po korytarzu na piętrze...

Z zamyślenia wyrwał ją głośny sygnał sekretarki automatycznej.

- Hannah? Jesteś tam? Mówi Caitlyn. Chciałam tylko zapytać, jak sobie radzisz. Odbierz, jeśli tam jesteś, dobrze? - Czekala. Nikt nie podniósł słuchawki. - Hannah? Oddzwoń do mnie. Aha, jeśli nie będzie mnie w domu, zadzwoń na komórkę. Proszę, zadzwoń.

Odłożyła słuchawkę z niewyraźnym przecuciem, że coś jest nie tak. Ale to przecież żadna nowość. Ostatnio wszystko było nie tak.

Przed domem zatrzymał się samochód i w tym samym momencie Oskar zaczął szczekać nieprzytomnie.

- Zostajesz - powiedziała. Usłyszała kroki na schodkach, a zaraz potem rozległ się dzwonek do drzwi. Wyjrzała przez wąskie okienko i zobaczyła Adama. Jego ciemne włosy błyszczały w świetle lampy. Stał z rękami w kieszeniach, miał na sobie dzinsy, ciemny sweter i adidas.

Jej głupie serce zamarło na moment, gdy ich spojrzenia spotkały się. Przeszedł ją dreszcz

podniecenia. Było w nim coś seksownego i tajemniczego, coś, co kryło się za powierzchownością przystojnego i wysportowanego studenta. Intrygowało ją to. Kusilo. Sprawiało, że chciała lepiej go poznać.

Spójrz prawdzie w oczy, Caitlyn, on po prostu pociąga cię fizycznie. Jak mężczyzna kobietę. Przez moment wyobraziła sobie, że kocha się z nim, ale zaraz powstrzymała szalone myśli. Musi lepiej nad sobą panować. Wyszła i szybko zamknęła za sobą drzwi, żeby Oskar nie zdążył wyskoczyć.

- Cześć. Wyglądasz... - Przyjrzał jej się i potrząsnął głową. - Wyglądasz niesamowicie, ale może nie powinniśmy o tym mówić.

- Co? Chcesz mnie pozbawić komplementów? O, nie! - Mrugnęła do niego i zarumieniła się. - Ty też wyglądasz niesamowicie.

Odchylił głowę, zaśmiał się i wziął ją pod rękę.

- Na razie wystarczy. Musimy dbać o właściwe relacje między pacjentką a terapeutą.

- To okropne - wymruczała.

Noc była cicha, ulice prawie puste. Nawet wiatr nie szemrał w liściach drzew.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Dokąd tylko zechcesz. Tym razem ty wybieraj.

Zastanowiła się przez chwilę.

- A może do Nickelby's? Trzy ulice stąd, za placem. Świetna kawa. I jeszcze lepsze drinki.

Błysnął białymi zębami.

- Prowadź.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - zażartowała, ciągnąc go za rękę.

Gawędząc, zawędrowali do baru. Niewielką salę oświetlały słabe lampy z niebieskimi kloszami, przy małych okrągłych stolikach siedziało kilka par i kilka samotnych osób. Przed mikrofonem stał młody człowiek z gitarą, ale nie śpiewał, tylko nucił i pomrukiwał z cicha, lekko trącając struny. Pewnie sam skomponował melodię i najwyraźniej nie miała ona końca.

Zajęli stolik pod oknem i zamówili mrożoną herbatę i lemoniadę cytrynową z wódką. Po odejściu kelnerki Adam zapytał:

- Jak sobie radzicie, ty i twoja rodzina?

- A jak ci się wydaje? Wygląda na to, że ktoś chce nas wszystkich wymordować. Od tego człowiek się robi nerwowy. - Włożyła do ust orzeszka ziemnego i dokładnie wytarła sól z palców. - I to jeszcze nie wszystko. Jest jeszcze ból po stracie bliskiej osoby. Niestety chodzą parami.

Kelner z niewielką bródką i serwetą owiniętą wokół pasa przyniósł im napoje. Na głowie miał beret przekrzywiony do tyłu, nie wiadomo, czy w ten sposób chciał zmanifestować swój styl, czy ukryć łysinę.

- Czekam na telefon od Hannah. Została całkiem sama w domu. Lucille poleciała na Florydę... - Machnęła ręką. - Nawet nie pytaj, nie wiem, dlaczego. A teraz odeszła mama...

- Urwała i sięgnęła po szklankę. - Przepraszam. Radzono mi, żebym nie zachowywała się jak ofiara, więc nie będę. Ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie czuję się bezradna i nie przeżywam czegoś w rodzaju szoku.

- Tyle się ostatnio wydarzyło.

- Tak - powiedziała niemal szeptem.

- Wcześniej też. Waszą rodzinę dotknęło wiele nieszczęść.

- Jak w greckiej tragedii - zgodziła się. - A jaka jest twoja rodzina?
- Moja rodzina? Niewiele jej mam. Mój ojciec zwinął manatki, gdy byłem małym dzieckiem. Nie bardzo go pamiętam, nie wiem, gdzie teraz jest. Mama, brat i ja mieszkaliśmy z babcią aż do śmierci mamy. Umarła nagle. Guz mózgu. Miałem wtedy jedenaście lat, mój brat szesnaście. Babcia się nami zajęła.

- Gdzie jest twój brat?

- Ostatnio był w Brukseli. Służy w marynarce. W wywiadzie. Nie jesteśmy w bliskich stosunkach.

- Nie masz siostry?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale przypuszczam, że mój ojciec był w stanie spłodzić cały chór żeński.

Zrobiło się jej głupio. Ona przynajmniej miała rodziców. Rodzeństwo. Prawdziwą rodzinę. Może nie idealną, ale jednak rodzinę.

- Przy tobie wychodzę na mazgaja.

- Ja tak nie uważam.

- Naprawdę? To jesteś wyjątkiem - przyznała. - Wszyscy zarzucają mi, że gram ofiarę, że jestem pesymistką, że ciągle się skarżę. - Uśmiechnęła się do niego. - To wpędza w kompleksy. Może dlatego wszyscy uważają, że mam nierówno pod sufitem. Nie myśl, że się nad sobą uzalam, bo wcale tak nie jest. Moje rodzeństwo poważnie podejrzewa, że zwariowałam albo zaraz zwariuję. - Uśmiechnęła się smutno.

- Kto tak mówi?

- Wszyscy. Hannah, Amanda. Troy. Nawet Kelly.

- Siostra bliźniaczka nie staje w twojej obronie? - zapytał, patrząc na nią uważnie.

- Nie utrzymuje kontaktów z resztą rodziny. Myślałam, że o tym wiesz.

- Dlaczego?

- Nie mówiłam ci? Mama zerwała z nią stosunki po wypadku na motorówce. Obwiniła ją za to, że przepuściła spadek i że omal przez nią nie zginęłam.

Adam zmarszczył czoło i wytarł kropelkę wody na szklance.

- Opowiedz mi jeszcze raz o tym wypadku.

- Po co?

- Bo próbuję ci pomóc - powiedział łagodnie.

- O czym tu jeszcze mówić. Wiesz, co się wtedy wydarzyło.

- W porządku, a potem? Kiedy znów zobaczyłaś Kelly?

- Kiedy wypisano mnie ze szpitala. - Do czego zmierzał? Dlaczego tak na nią patrzył?

- Ją też wtedy wypisano, tak?

Gitarzysta przestał wreszcie grać i nagle zrobiło się bardzo cicho. Tylko wentylatory pod sufitem jednostajnie szumiały. Nie lubiła rozmawiać o Kelly, nie w taki sposób. Ale Adam czekał. Wpatrywał się w nią badawczo. Odstawiła szklankę i wzięła głęboki wdech. Najwyraźniej przyszedł czas spowiedzi, jak mawiała jej matka. Wszystkie sekrety musiały wreszcie wyjść na jaw. Drżąc lekko, zaczerpnęła powietrza

- Tak.

- Jak często się z nią spotykasz?

- Nie tak często, jak bym chciała. Ona stale wyjeżdża w interesach.

- Co robi? - zapytał.

- Pracuje w dziale zaopatrzenia jednego z dużych domów towarowych.

- Którego?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Po co te wszystkie pytania? - Kelly nie lubi, gdy mówię o jej życiu osobistym. Ceni swoją prywatność.

- Ale mieszka tu w okolicy.

- Tak. Kiedy wraca. Ma dom nad rzeką.

- Odwiedzasz ją?

- Czasami, ale przeważnie zostawiamy sobie wiadomości na sekretarce lub wysyłamy e-maile.

- A reszta rodzeństwa? Często się z nią kontaktują?

- Nie, mówiłam ci, że stanęli po stronie matki. - Lekkie drżenie powoli narastało, lada chwila przemieni się w potężny dygot. - Oni wszyscy... oni wszyscy zachowują się, jakby nie żyła.

Świat się zatrzymał.

Wypowiedziane słowa zawisły między nimi w powietrzu.

Adam nie odzywał się, patrzył tylko na nią i poczuła, że musi mu wszystko wyjaśnić.

- To działa w dwie strony. Kelly też nie chce mieć nic wspólnego z całą rodziną. Uczucia są odwzajemnione.

- Caitlyn...

W gardle jej zaschło, z trudem przełknęła ślinę.

- Przeczytałem dzisiaj nekrolog Kelly.

Zamknęła oczy.

- Caitlyn, ona nie żyje.

- Nie. - Wiedziała, że do tego dojdzie. Pociągnęła łyżeczek mrożonej herbaty, a potem potrząsnęła głową. - Jej ciało... jej ciała nigdy nie odnaleziono. Oficjalnie. Ale przeżyła wypadek. To był cud... - Udało jej się opanować wewnętrzne drżenie i uciszyć szum w głowie. - Wiem tylko to, co mi powiedziała.

- To znaczy? - Jeśli nie dowierzał, nie dał tego po sobie poznać.

- Że na zmianę to traciła, to odzyskiwała przytomność, że popłynęła z prądem, że wyłowił ją jakiś przemytnik narkotyków. Uratował jej życie... Wolał pozostać anonimowy, bo rozesłano za nim listy gończe. Kelly zaczęła życie od nowa. A rodzina... kiedy próbowałam powiedzieć im, że Kelly żyje, nawet nie chcieli słuchać. Uważają, że cierpię na jakąś chorobę psychiczną... nie, czekaj - „przypadłość”, tak to określała moja matka.

- Rozumiem. - Odchylił się na krześle. Znowu popłynęła muzyka, brzmiała jak lekko zmieniona wersja poprzedniego utworu.

- Nie wierzysz mi.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie musisz. Nikt mi nie wierzy. Albo nie chcą uwierzyć. Moja rodzina jest chciwa. Jeśli Kelly nie żyje, to znaczy, że jej część łupu albo, powiedzmy, spadku, mogą zagarnąć, rozdrapać między siebie.

- Caitlyn...

- Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale za każdym razem, gdy ktoś ją rozpozna, Kelly udaje mnie. Ma teraz nową tożsamość, nowe nazwisko. Nazywa się K.C. Griffin. K jak Kelly, C jak Caitlyn i Griffin - to jej drugie imię.

- I imię twojego przyjaciela z dzieciństwa?

Zrozumiała, dokąd zmierza.

- Tak. - Ze wzrokiem utkwionym w wypalone papierosami plamy wyszeptwała: - Wiem,

co chcesz powiedzieć. Że nie było żadnego Griffina, żadnego przyjaciela z dzieciństwa. Ale mylisz się. On istniał. - Zamrugła kilka razy, przypominając sobie długie, samotne lata dorostania. - Dla mnie on istniał.

Adam wziął jej ręce w swoje dłonie.

- Jeśli był dla ciebie realny, to istniał. Wtedy. A teraz?

Potrząsnęła głową, powstrzymując łzy.

- Teraz wiem, że był wytworem mojej wyobraźni.

- Ale wtedy potrzebnym.

- O tak! - Pociągnęła nosem i przygryzła wargę, przypominając sobie noce, gdy wychodziła przez okno, wspinała się na dach i wpatrywała się w gwiazdy. Obok niej zawsze siedział Griffin. Gotów ją złapać, gdyby się zsunęła, gotów ją pocieszać... Nigdy jej nie zawiódł w przeciwieństwie do innych, w przeciwieństwie do starszego brata, który skradał się korytarzem i wślizgiwał do jej pokoju i do pokoju Kelly, wstrętny, śmierdzący piwem, oblepiający jej policzki plugawymi pocałunkami. W przeciwieństwie do matki, która jej nie wierzyła. W przeciwieństwie do ojca, który rzadko bywał w domu i nigdy nie interesował się swoimi dziećmi.

- Griffin był potrzebny - przyznała.

- Tak jak Kelly teraz? - zapytał delikatnie. Potrząsnęła głową. Nie rozumiał. Nikt nie rozumiał.

- Kelly istnieje, Adamie - upierała się. - Istnieje, tak jak ja istnieję.

Rozdział 28

Reed rozsiadł się w swoim komfortowym fotelu przed telewizorem. Płaski ekran, trzydzieści sześć cali. Telewizor był naprawdę ekstra, kosztował majątek, ale Reed go uwielbiał. Postanowił najpierw zjeść gówniany obiad z mikrofalówki, zerkając przy okazji na mecz, a potem pokręcić się koło domu Caitlyn Bandeaux. Poprosił Morrisette, żeby trochę poobserwowała dom i zgodziła się, mimo że jej córka właśnie przechodziła ospę wietrzną. Reed musiał trochę odpocząć. Pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę i czuł, że trzeba nieco wyhamować, spojrzeć na wszystko z perspektywy.

Zanim Caitlyn Bandeaux znów zatrzaska ci drzwi przed nosem.

Do diabła.

Bravesi przegrywali siedem do jednego pod koniec ósmej zmiany, dwóch zawodników zostało usuniętych. Kiepsko to wyglądało. Metsi mieli dobrą passę.

Reed popił obiad piwem, wyrzucił plastikowy talerz do kosza i wyłączył telewizor. Gdy tylko wyszedł, zadzwoniła komórka. Odebrał, wsiadając do swojego el dorado.

- Reed, słucham.

- Cześć, to ja. - Usłyszał głos Morrisette.

- Już jadę.

- W samą porę. Opiekunka dzwoniła dwa razy.

- Gdzie jesteś?

- W bocznej uliczce naprzeciwko małego baru, który nazywa się Nickleby's. - Podała mu adres. - I wiesz co, nasza wdowa ma chyba randkę. Z tym swoim doktorkiem. Piją drinki. Wyglądają na naprawdę bliskich znajomych.

Ciekawe.

- Będę za dwadzieścia minut. - Wyjechał z podjazdu i ruszył w kierunku miasta. Po chwili znów zadzwonił telefon. Pewnie opiekunka ponaglała Morrisette.

- Reed.
- Mówi Bell, zastępca szeryfa w St. Simons. Chciał pan, żebym zadzwonił, gdy ustalimy tożsamość tej kobiety, którą wyciągnęliśmy z wody na północy wyspy.
Reed skręcił w lewo i czekał w napięciu.
- Tak, zgadza się.
- To Rebeka Wade. Zidentyfikowano ją na podstawie dokumentacji stomatologicznej.
- Wiadomo, kiedy zginęła?
- Trochę już przeleżała w wodzie. Kilka tygodni lub miesięcy. Jeszcze nie ustaliliśmy.
- Przyczyna śmierci?
- Wciąż nad tym pracujemy. Jak tylko dostanę raport z autopsji, to przefaksuję go panu. Ale jest jeszcze coś dziwnego - dodał poważniejszym tonem, zwiastującym kolejne złe wieści. - Chyba powinien pan o tym wiedzieć.
Nie zdążył przyhamować i wpadł w zakręt z piskiem opon.
- Niech pan strzela.
- Jak mówiłem, jej ciało jest w kiepskim stanie... ale lekarz zauważył coś dziwnego, wspomni o tym w raporcie. Wygląda na to, że odcięto jej język.
Reed zacisnął szczęki. Ścisnął mocniej kierownicę.
- A nie zrobiło tego jakieś drapieżne zwierzę?
- Raczej nie. Lekarz mówi, że język został równo odcięty, zawinięty w folię i włożony do jej torebki. To jedyna rzecz, którą miała w torebce. Własny język zawinięty jak pieprzona kanapka z szynką.

Przed domem pozwoliła mu się pocałować.
To był jej pierwszy błąd.
Drugim było zaproszenie go do domu na drinka.
A trzecim pragnienie, by się z nim kochać. Świat jej się walił i rozpaczliwie pragnęła poczuć się bezpieczna w ramionach Adama. Poczuć, że żyje, gdy wokół wszyscy po kolei umierali.
Siedzieli na kanapie, popijając drinki - ona cosmopolitana, a on whisky z lodem.
- Chyba mu się nie podobam. - Adam wskazał brodą Oskara. Pies leżał w przejściu i nie spuszczał oka z Adama.
- Nie jest przyzwyczajony do gości.
- Ale rozpoznaje Kelly?
Caitlyn westchnęła, zastanawiając się, czy dobrze zrobiła, opowiadając mu o siostrze.
- Chciałbyś z nią porozmawiać?
- Świetny pomysł.
- Poczekaj. - Poszła do kuchni, Oskar za nią. Znalazła torebkę, wyjęła telefon i wróciła do salonu. Adam siedział rozciągnięty na poduszkach w rogu kanapy. Włosy miał lekko zmierzwione, na twarzy pojawił się cień zarostu, długie nogi wyciągnął pod stolikiem. Poważnym spojrzeniem śledził każdy jej ruch, gdy usiadła obok niego i zaczęła wystukiwać numer Kelly.
- Może nie być w domu.
- Na pewno.
- Mówię poważnie... - Caitlyn odczekała chwilę, włączyła się sekretarka.
- Cześć Kelly, jestem w domu. Oddzwoń do mnie, dobrze? Muszę z tobą porozmawiać i nie... nie martw się, nie zamierzam przekonywać cię, żebyś poszła na pogrzeb mamy.

Dobrze? Zadzwoń. - Rozłączyła się, spojrzała na Adama i dostrzegła powątpiewanie w jego oczach.

- Wciąż mi nie wierzysz, prawda? No cóż... - Jeszcze raz wystukała numer Kelly i podała mu telefon. - Posłuchaj jej głosu i zostaw wiadomość. Powiedz jej, na miłość boską, że chcesz z nią porozmawiać.

Nie spuszczał z niej wzroku. To było irytujące, że nikt jej nie wierzył, nawet psychoterapeuta. Ale kiedy włączyła się sekretarka Kelly, Adam nawet się nie zawahał.

- Mówi Adam Hunt. Pewnie słyszała pani, że pracuję z pani siostrą Caitlyn. Czy mogłaby pani do mnie oddzwonić? Byłbym bardzo wdzięczny. - Zostawił swój numer, rozłączył się i siedział przez dłuższy czas z telefonem w ręku.

- Wciąż mi nie wierzysz.

- Tego nie powiedziałem. - Oddał jej telefon.

- Mogę to wyczytać w twoich oczach. Wiesz, powinieneś nazywać się Tomasz. Niewierny Tomasz. - Pociągnęła łyk cosmopolitana, czując jak wzbiera w niej złość. Dlaczego przejmowała się tym, co on sobie myśli? Bo był jej psychologiem... nie, chodziło o coś więcej. Chciała, żeby jej wierzył niejako psycholog, ale jako człowiek, jej powiernik, jej przyjaciel, jej... kochanek. Nawet jeśli spotykała się z nim z powodu swoich problemów psychicznych.

- Przecież wiesz, o co mi chodzi - powiedział powoli. - Nikt poza tobą nie ma kontaktu z Kelly.

- Mylisz się. Kelly jest samotniczką, ale ma pracę. Ma klientów, dużo podróżuje.

- Czy ktoś jeszcze z twojej rodziny rozmawiał z Kelly po wypadku?

- Nie, ale... Na miłość boską, po co miałabym wymyślać sobie nieistniejącą siostrę? Ona istnieje. Możesz sprawdzić jej świadectwo urodzenia.

- Nie chodzi o jej narodziny - powiedział. - Martwi mnie raczej jej śmierć.

- Domniemana śmierć. Domniemana. Ona żyje. Wiesz co, namówię ją, żeby się z tobą spotkała. Kiedy oddzwoni, możesz z nią porozmawiać, a jeśli to cię nie przekona, odwiedzimy ją w domu.

- Gdzie to jest?

- Za miastem przy Sorghum Road... Mam adres, gdzieś w gabinecie. Ale listy nie przychodzą do niej na ten adres, odbiera je na poczcie - to pewnie część jej kamuflażu. Mieszka w takim małym, zwyczajnym domku niedaleko Oak Hill, tyle że za rzeką. Jak na ironię. Nie odwiedza Oak Hill, ale od siebie może widzieć, co się tam dzieje. Myślę, że rodzina nawet nie zdaje sobie sprawy z istnienia tego domu.

- Dlaczego?

- Może mój ojciec albo dziadek wiedzieli o nim, moi bracia też mogli go widzieć, gdy chodzili nad rzekę na ryby. Dom jest schowany między drzewami. Nikt nie podejrzewa, że Kelly tam mieszka. - Dokończyła drinka.

- Czy to nie wydaje ci się dziwne?

- Niejedno w mojej rodzinie wydaje mi się dziwne.

Ogarnął ją smutek, gdy przypomniała sobie o tych, których straciła, chłód tak straszny, że żaden alkohol nie byłby w stanie jej rozgrzać. Czuła ból tak głęboki, że nie wierzyła, by kiedykolwiek minął. I coś jeszcze. Strach, że jest w to wszystko zamieszana. Czy mogła sprowadzić cierpienie na tych, których kochała? Czy była tej nocy w domu Josha? I co? Przywiozła do swojego domu wiadra krwi? Czy naprawdę, tak jak twierdził Josh, zaniedbała własne dziecko? Matko Boska, nie... Przeszył ją dreszcz. Czy tego wieczoru,

gdy matkę odwieziono do szpitala, poszła do jej sypialni i podmieniła tabletki nitrogliceryny, a potem zakradła się do szpitala i dokończyła swoje dzieło? Przed oczami skakały jej obrazy, niewyraźne, przerażające... Czy w okresach amnezji przemieniała się w zabójczynię? Jak doktor Jekyll i pan Hyde? Nie... tylko nie to.

- Caitlyn?

Drgnęła, wyrwana z zamyślenia. Adam patrzył na nią zatroskanym wzrokiem.

- Wszystko w porządku?

Skinęła głową, ale chyba jej nie uwierzył, bo objął ją i przytulił. Na wpół leżeli na kanapie, przytuleni do siebie.

- Wszystko będzie dobrze. - Pocałował ją delikatnie w czoło. Jego ramiona były takie silne. Położyła głowę na jego piersi i usłyszała miarowe, uspokajające bicie jego serca, wyczuła słaby zapach wody po goleniu.

- Skąd wiesz?

- Wiem.

- O tak, nie wątpię - drażniła się z nim.

- Zaufaj mi. - Pocałował ją w czubek głowy. - Są rzeczy, które trzeba przyjmować na wiarę.

Zaśmiała się cicho.

- I kto to mówi! Przecież ty mi nie wierzysz. Nie wierzysz, że Kelly żyje.

- Próbuję uwierzyć - zapewnił. Spojrzała mu w oczy i nie mogła się powstrzymać, żeby go nie pocałować. Jego usta smakowały whisky, winem i męskością. Mrucząc, oddał pocałunek, zamknął dłonie w jej włosach.

Caitlyn, nie rób tego, zastanów się.

Zlekceważyła ostrzegawczy głos i uległa. Pragnęła jego dotyku, pragnęła, by jej pożałował. Rozchyliła usta, pieścił językiem jej wargi, przyciskając ją do siebie. Całowali się coraz mocniej, coraz namiętniej, aż poczuła, jak płomień ogarnia całe ciało. Nie protestowała, gdy Adam znalazł suwak jej sukienki i rozsunał go, obnażając jej plecy. Delikatnie przesuwał palcami po kręgosłupie i wśliznął się między uda.

Serce biło jej szybko, poddała się mrocznemu pożądaniu, które błagało o więcej.

- Caitlyn... - powiedział niskim, zachrypłym głosem. Pot wystąpił mu na czoło. - Nie powinniśmy.

- Wiem. - Pocałowała kącik jego ust.

- Będą z tego kłopoty.

- Tylko jeśli na to pozwolimy - wyszeptała, znów go całując. Czowała żar jego ciała, jego pożądanie, pragnienie pulsujące we krwi. Przysunęła się jeszcze bliżej i Adam przestał się opierać.

- Boże, pomóż - wychrypiał, chwycił brzeg sukienki i unióś ją. Muskał jej uda koniuszkami palców. Oszłołomił ją jego zapach i smak, całowała go w usta, oczy, nos, a on ściągnął jej sukienkę, rozpiął stanik, zdjął z siebie koszulę i spodnie. Nie bronili się już. Całował ją tak, jakby nie miał zamiaru przestać. Szybko pozbyli się reszty ubrań. Serce Caitlyn waliło jak szalone. Posadził ją na sobie i unióś biodra, wchodząc w nią. Zaczął pieścić jej piersi w rytm ruchów jej ciała.

Całował długo i namiętnie, z zamkniętymi oczami. Powietrze między nimi zgęstniało, żar był wprost namacalny. Zapadła w niebezpieczny mrok. Ich ciała poruszały się coraz szybciej, pokój wirował... Jej sutki stwardniały pod jego dotykiem, a gdy chwycił brodawkę ustami, krzyknęła. Zamknęła oczy. Czowała, jak narasta w niej pożądanie,

pragnienie wyczerpujące i rozkoszne zarazem. Wiedział, gdzie dotykać jej ciała i jak to robić...

- Och... och... o Boże! - krzyknęła, gdy nadeszła pierwsza fala rozkoszy. Wstrząsnęła nią, przeniosła w inny wymiar. Caitlyn zabrakło tchu, na chwilę odpłynęła.

Czuła każdy mięsień jego ciała.

Krzyknął gwałtownie, wpijając palce w jej pośladki.

Zatracił się w niej. Otworzyła oczy i spojrzała na tego obcego mężczyznę, który wciąż był w niej. Drżąc, zamrugwała gwałtownie. Kelly nagle zdała sobie sprawę, co się stało.

Głupia Caitlyn, kochała się z tym facetem... z tym swoim psychologiem. Niezły paszтет, pomyślała Kelly, wciąż na nim siedząc. Nawet przystojny, męskie rysy i w ogóle. Pieprzony Adonis z kwadratową szczęką, inteligentnym spojrzeniem i zadbanym ciałem. Był w jej typie. Zaczęła się wiercić i Adam jęknął cicho. Podobało jej się to. Absolutne panowanie seksu nad facetem.

Co za jazda!

- Caitlyn? - Uśmiechnął się łobuzersko.

Gdyby tylko wiedział. Caitlyn już nie było... i nie będzie jej przez wiele godzin. Może dni.

- Hm.

- Chodź tutaj - poprosił. Chciał, żeby położyła się obok niego, żeby przytulili się do siebie po tym, co razem przeżyli. Boże, jaki on był przewidywalny. Zawahała się, potem pochyliła, przebiegając palcami po jego piersi. Nawet nie miał pojęcia, że teraz ona zawładnęła słabą, płaczącą Caitlyn. Podniecało ją to. Mruczała, dotykając jego skóry. Tulił ją mocno. Poczula na ramionach jego dłonie jego oddech we włosach. Jak romantycznie. I jak cholernie głupio. Ale mogła grać dalej, przecież nigdy się nie dowie.

Pochyliła się i przywarła ustami do jego piersi. Otworzył oczy, jakby zaskoczony, że znów jest gotowa, że znów rozpiera ją energia. Ale przecież w ogóle jej nie znał. Nie miał pojęcia, że igra z ogniem. Spojrzała mu prosto w oczy, czubkiem języka muskając brodawkę. Gwałtownie wciągnął powietrze.

- Powiedz mi - zapytała - dobrze ci było?

Rozdział 29

Reed spojrzał na zegarek. Było już po pierwszej, psycholog Caitlyn siedział u niej w domu prawie od trzech godzin. Ciekawe, co tam robią?

Nic dobrego. Pamiętał, jak ojciec powtarzał mu, że po północy nigdy nie dzieje się nic dobrego. Reed, wtedy szesnastoletni szczeniak, uważał ojca za idiotę, ale teraz, z perspektywy czasu, stwierdził, że facet miał rację. Zabębnił palcami w kierownicę. Marzył o dobrej kawie. Godzinę temu kupił w całodobowym sklepie kubek kawy. Dawno wystygła, nabierając ohydneho smaku. Sprzedawca, pryszczaty dzieciak, wyglądał blado i niezdrowo, jak narkoman. Ale w jarzeniowym świetle każdy wygląda niezdrowo. Reed omal nie kupił też paczki papierosów, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Teraz, gapiąc się w mrok, czuł, że mógłby zabić za papierosa.

Zmienił Morrisette parę godzin temu i niemal zazdrościł jej, że wraca do dzieciaków, do swojej malej rodziny. Prawie. Obserwował, jak łączy obowiązki ambitnego gliniarza z życiem samotnej matki, i zastanawiał się, skąd czerpie tyle energii.

- Nikotyna i kofeina - odpowiedziała, gdy ją o to zapytał. - Wybrałam całkowicie legalne narkotyki.

Racja, jedno i drugie by mu się teraz przydało. Pohamował ziewnięcie i zaczął się

zastanawiać, czy nie wrócić do domu. Nic się nie działo. Dobrze, że udało mu się dziś namierzyć Lucille Vasquez w domu jej siostry na Florydzie. Zadzwoił tam. Lucille była zmęczona i roztrzęsiona. Przyznała, że od dawna planowała swój wyjazd, ale przed niczym nie uciekała. Zamierzała przyjechać na pogrzeb, ale przedtem musiała odpocząć od tych złych wróżb, nieszczęść i śmierci, i ciężkiej pracy, przecież całe życie ciężko pracowała.

- Wszystko jest w porządku - zapewniała, ale kiedy zapytał o córkę, jej głos przycichł. - Ostatnio niedobrze się między nami układało - zwierzyła się. - Obiecała, że przyjedzie na Boże Narodzenie i omówimy pewne sprawy, ale nie pojawiła się. Pewnie zmieniła zdanie. To wcale nie jest takie dziwne. Kiedyś nie odzywała się do mnie przez osiemnaście miesięcy. Nie przysłała kartki urodzinowej, nie zadzwoniła w Dzień Matki, nie dała mi żadnego prezentu na Boże Narodzenie, nic. Taka już jest.

Kiedy wspomniał, że detektyw Montoya jest zaniepokojony zniknięciem Marty, Lucille westchnęła.

- Ta dziewczyna jest nieprzewidywalna. Pewnie tak jak wszystkie dzieci. Nie wiem. Od samego początku sprawiała problemy. Robiłam, co mogłam, żeby ją dobrze wychować, ale człowiek jest bezsilny. Dzisiaj dzieciaki są takie samowolne. - Rozgadała się, ale gdy wreszcie Reed skończył rozmowę, wiedział o Marcie Vasquez niewiele więcej. Skoro jej matka nie była zaniepokojona, może on też nie powinien się martwić.

Nagle w domu dostrzegł jakiś ruch. Otworzyły się drzwi i w świetle płynącym z holu zobaczył Hunta, który pocałował namiętnie wdowę, a potem pobiegł do samochodu. Reed obserwował ich i zastanawiał się, jaki spisek ukartowali. Nie wiedział, czy pojechać za Huntem, czy lepiej zostać i obserwować dom. Po kolei, wszystkie światła zgasły. Najpierw na dole, potem na górze. Najwyraźniej Caitlyn Bandeaux poszła spać. Sama. Jeśli byli kochankami, dlaczego Hunt nie został na noc?

Reed spojrzął na zegarek i czekał. Dziesięć minut. Ziewnął. Trzydzieści minut w kompletnych ciemnościach. Postanowił dać sobie spokój i jechać do domu. Nie płacili mu za to; zamiast spać, sterczał tu na ulicy wiedziony własną ciekawością i uporem. A jutro czeka go długi dzień. Spojrzął jeszcze raz w ciemne okna, przekręcił kluczyk i ruszył. Gdy odjeżdżał, wydawało mu się, że widzi ruszające się firanki, ale to pewnie tylko złudzenie. Pojechał prosto do domu, rozebrał się, włączył budzik i poszedł spać.

Zasnął w ciągu kilku minut, nie wiedząc, że Caitlyn Bandeaux cierpliwie obserwowała go przez okno i gdy nabrała pewności, że już nie wróci, wymknęła się z domu.

Obleśni faceci oblegali scenę w Pussies In Booties. Siedzieli przy niskim kontuarze wokół parkietu, przed niektórymi stały talerze z jedzeniem, wszyscy popijali drinki, palili, dowcipkowali i ślinili się, gdy Sugar tańczyła na podium. Zrobiła wymach nogą i omal nie straciła dwunastocentymetrowego obcasa, potem przytuliła się do rury, ślizgała się po niej w dół i w górę, wystawiając na pokaz tyłek, o którym wiedziała, że jest niezły.

Ross podkręcił basy, za pierwszym rzędem stałych klientów stało dwóch facetów w dżinsach i roboczych koszulach. Kiwając się w rytm pulsującej muzyki, próbowali przyciągnąć jej uwagę. Tak jakby miała być ich atrakcją dnia. Albo nocy. Zboczeńcy, wszyscy co do jednego.

Rozpoznała kilku stałych klientów. Faceci, którzy ją utrzymywali, choć nigdy nie robiła im żadnych nadziei, nigdy nie posłała im nawet słabego uśmiechu. Dzięki ich forsie płaciła rachunki, ale nie chciała, żeby którykolwiek z nich chciał się z nią związać lub, co

gorsza, by jego pragnienie przerodziło się w obsesję. Słyszała o takich psycholach.

„To ty idź do diabła”.

Te słowa wciąż do niej wracały. Może i ona ma już swojego psychola, który myśli o niej obsesyjnie. Może to ten łysy facet, który zawsze siedzi w kącie tuż przy kurtynie? A może ten z siwiejącą brodą i złym spojrzeniem, który położył pieniądze na scenie dopiero wtedy, gdy zrzuciła spódniczkę i bluzkę i schyliła się po forszę, a on patrzył pożądliwie na jej cycki. Kiedyś widziała jak składa banknoty i liże ich brzegi długim, szpiczastym językiem, cały czas patrząc jej prosto w oczy. Ten facet wzbudzał w niej strach. Był jeszcze taki z płaską twarzą, który kiedyś skrył się w ciemnościach baru i skierował palec prosto w jej krocze, jakby celował z pistoletu.

Musi jak najszybciej z tym skończyć. Zanim spotka ją coś złego.

Zakręciła głową i pociągnęła dłońmi po udach.

Pieniądze Montgomerych to przepustka do wolności i szacunku. Owinęła się wokół rury, a jej długie włosy zafalowały.

Wtedy go zobaczyła.

Skryty w ciemnościach, siedział w kącie z dala od sceny. Śledził każdy jej ruch. Pożądliwie. Chciwie. Mężczyzna, którego ochoczo wpuściła do swego łóżka, choć na próżno starała się zamknąć przed nim swoje serce.

Był szanowany.

Miał pieniądze.

Należał do elity Savannah.

A mimo to pragnął jej; widziała to w jego oczach. Nie podobało mu się, że tak zarabiała na życie, ale jednocześnie podniecało go to. Drażniło i podniecało. Zrobiła więc coś specjalnie dla niego. Wsparała się całym ciałem o rurę, chwyciła w dłonie piersi, dotknęła brodawek, pochyliła się i polizała je.

Rozległy się okrzyki zachwyty. Nie wiedzieli, że tańczy dla jednego mężczyzny, że zbierając z podłogi pieniądze, kręcąc cyckami i tyłkiem przed ich obślinionymi mordami, w myśli pieprzyła się z tym wielkim facetem siedzącym w głębi sali.

Był żonaty, ale to nie zmniejszało jej pożądania. Odwróciła się, prezentując napięte pośladki, i zaczęła lizać rurę. Niemal czuła jego drżenie, gdy odchylony na krześle w jednej ręce trzymał drinka, a drugą dyskretnie schował do kieszeni.

Muzyka ucichła, a ona posłała mu pocałunek, chociaż każdemu facetowi w barze zdawało się, że jej wdzięki sadła niego. Boże, gdyby wiedzieli, jak nimi wszystkimi gardzi. Byli wstrętni. Zawsze tacy będą. Kuszącym, roztańczonym krokiem zeszła ze sceny. Znikła za kurtyną, gdzie przykryła się szlafrokiem i zaczęła ścierać wacikiem makijaż.

Nie przychodził tu często. Nigdy nie zjawiał się w weekendy, gdy schodziło się więcej ludzi. Nie mógł ryzykować, że ktoś go rozpozna. Ale gdy się pojawiał, był to znak. Wiedziała, że za kilka minut przyjdzie za kulisy, przekupi ochroniarza, żeby wpuścił go do tego nędznego pomieszczenia zwanego umownie garderobą. Gdy inna dziewczyna będzie zabawiać tłum, on przyprze Sugar do toaletki, wyjmie ze spodni fiuta, odwróci ją, żeby musiała patrzeć w lusterko, i wejdzie w nią od tyłu.

Bez słowa. Będzie twardy, podniecony jej tańcem. Szybko skończy. Nie ma tu miejsca na uczucie. Twarz mu poczerwienieje, będzie pomrukiwał, a ona uda, że ją to podnieca.

Ale nie podniecało. Nie mogło podniecać. Z brzegiem stolika wbitym w brzuch, przed lustrem z kilkoma świecącymi żarówkami czuła się tanią dziewczyną. Brudną.

Przechodzoną. Gdyby ktoś podniósł kurtynę, nakryto by ich; gdyby następna tancerka przyszła wcześniej, zobaczyłaby ich; gdyby zajrzał tu właściciel knajpy, jej kochanek musiałby zapłacić mu słono za milczenie, a Sugar stałaby się łatwą zdobyczą dla właściciela budy. Ten drań Buddy Hughs w zamian za milczenie zażądałby, żeby traktowała go tak samo jak swojego kochanka.

Ta myśl zaczęła ją dręczyć.

Sugar była dumna z tego, że jest jedną z niewielu „dziewczyn Buddy’ego”, które nie rozłożyły przed nim nóg. Nie chciała tego zmieniać. Jeszcze trochę i położy łapę na części pieniędzy dziadka Benedicta, a wtedy powie Buddy’emu i reszcie tego tałatajstwa, żeby się odwalili.

Mimo pulsującej rytmicznie muzyki, usłyszała, jak otwierają się drzwi na zaplecze i jak jej kochanek nadchodzi szybkim krokiem. Rondo kapelusza zasłaniało mu twarz.

- Widziałem twój taniec - powiedział, wsadził łapę pod szlafrok i zaczął miętosić jej piersi. Poczula ostry ból, a jej sutek natychmiast stwardniał. Kochanek był brutalny, ale nie zbyt brutalny.

- Tak?

- Był tylko dla mnie.

- Jesteś pewien? Skąd wiesz? - droczyła się z nim, patrząc na niego.

- Potrafisz się ze mną drażnić.

- Yhy.

- Potrafisz być suką. - Znów ścisnął jej piersi.

- Potrafię też zająć się tobą - odcięła się, widząc płomień w jego oczach. Był wysokim, wysportowanym mężczyzną, wystarczająco silnym, by odwrócić ją, przerzucić przez ramię lub wcisnąć na swego grubego fiuta. Zadbane ciało i bystry umysł.

- Zobaczmy - powiedział i zdjął z niej szlafrok. Miała na sobie tylko stringi i frędzelki przyczepione do piersi. Obrócił ją, popchnął na toaletkę, rozsunął suwak i natarczywie masując kutasem jej pośladki, wszedł w nią.

Wypięła się, chwycił jej piersi, wielkimi mięsistymi dłońmi pociągnął za frędzelki, bardzo podniecony, jakby zbyt długo powstrzymywał pożądanie.

Przeszył ją krótkotrwały ból, ale nie przeszkadzało jej to. Bo robiła to z nim. Mógłby nawet dać jej klapsa otwartą dłonią.

- O tak, malutka - powiedział, przyciskając ją mocno i jęcząc z rozkoszy. Wygięła się, wiedząc, że lubi, gdy opiera się o niego pupą.

- Lubisz to, prawda? - Z jękiem pochylił się do przodu i ugryzł ją w kark. Niezbyt mocno, tyle żeby zaznaczyć, kto tu jest panem. Zaczęła mrużyć jak na zawołanie i zauważyła, że zwiększył tempo. Słyszała rytmiczną muzykę dobiegającą zza przepierzenia, słyszała wrzaski i gwizdy tłumu. Wreszcie, jęcząc i sapiąc, zaczął szczytować, a potem opadł na nią. Zobaczyła w lustrze jego czerwoną, spoconą twarz i przez moment poczuła odrazę.

Przygniatał ją i omal nie przewrócił, złapała równowagę, przytrzymując się stolika. Włosy miała zmierzwiłone, twarz zaróżowioną, oczy zmęczone. Dziwka. Nie dla tłumu, nie dla swojego szefa, dla nikogo z wyjątkiem tego faceta, który nigdy jej nie pokocha. Nie dlatego, że jej nie lubił, ale dlatego, że należała do innego świata. Była po to, żeby ją pieprzyć. Nie po to, żeby się nią chwalić. Nie po to, żeby się z nią żenić. Znaczyła mniej niż przelotny romans czy flirt, była kimś, przed kim mógł obnażyć swoją obleśną naturę, mógł jej dać klapsa, mógł wylać na nią szampana, a potem go zlizać. Zrobiłaby dla niego

wszystko. Wiedział o tym. Miał władzę i tylko tego, poza seksem, pragnął. Wątpiła, czy zdawał sobie z tego sprawę.

Gdy zapiął spodnie i wygładził koszulę, poczuła wstyd i fala gorąca zalała jej twarz.

Podniosła szlafrok i zarzuciła go na ramiona. Nie zadała ponizającego pytania: „Kiedy znów przyjdiesz?”

- To było dobre. - Uśmiechnął się lekko, poprawił ubranie i zapiął pasek. - Naprawdę dobre.

- Tak.

Na toaletce położył niewielkie pudełko, drobny prezent, którego Sugar nie rozpakuje, póki jej kochanek nie wyjdzie z garderoby i nie zniknie w ciemnościach. Nie były to pieniądze, nigdy nie zostawiał pieniędzy, tylko jakieś babskie błyskotki, nic cennego. Nic trwałego, ale zawsze coś. Poklepał ją po tyłku i wyszedł.

Dopiero później, gdy przyglądała się srebrnemu kolczykowi do wpinania w pępek, zdała sobie sprawę, że kochanek nie pocałował jej. Ani razu. Nie było żadnej czułości ani miłości. Tylko czysty, dziki seks. Początkowo podniecało ją, że pieprzy się z jednym z najbardziej wpływowych facetów w mieście, ale teraz poczuła obrzydzenie, a przynajmniej rozczarowanie. Bez trudu mógł mieć z tuzin kochanek, dziewczyn tańczących dla niego w tym czy innym klubie, w tym czy innym mieście. Sugar nie miała pojęcia, co robił, gdy nie pracował. Wiedziała jedno: że zawsze był gotów i że zdradzał żonę bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Ładne perspektywy.

Chciała iść do domu, napić się zimnej wódki, wziąć długi prysznic. Zmyć z siebie pot. Spłukać brud. Pozbyć się uczucia, że marnuje życie. Znaleźć Cricket.

Coraz bardziej niepokoiła się o siostrę. Cricket nie było w domu już od ponad dwóch dni, nie dała żadnego znaku życia, nic. Jej zniknięcie samo w sobie nie było może niczym niezwykłym, ale w połączeniu z dziwnymi, głuchymi telefonami wydało się Sugar złowieszcze. A jeśli coś się stało?

Wspomniała o tym nawet Dickiemu Rayowi, ale powiedział, że niepotrzebnie się martwi. Jak zawsze.

- Jezu, Sugar, daj jej spokój - powiedział, majstrując przy swojej półciężarówce. Spojrzał na nią spod maski, wytarł brudne ręce w tłustą szmatę i cmoknął głośno. - Daj jej żyć własnym życiem. Nie potrzebuje twojego kwoczego gdakania. A te telefony? Do diabła z nimi, pewnie dzwonią te zboki, dla których tańczysz. Nie trzeba tęgiej głowy, żeby na to wpaść!

Dickie Ray zawsze był idiotą. Jakby miał za mało szarych komórek. To pewnie jego splotził Cameron i kazirodcze geny zrobiły z niego półgłówka. Czytała o tym. Martwiła się. No tak, tutaj akurat Dickie Ray miał rację, zamartwiała się wszystkim.

Jednak nie mogła pozbyć się uczucia, że coś jest nie w porządku.

Przeszła szybko przez ciemny korytarz, potknęła się o wiadro, złapała równowagę, klnąc po cichu, i zbiegła po schodach do tylnych drzwi, gdzie świecił słaby zielonym, potłuczony neon z napisem WYJŚCIE. Noc była bezchmurna, ale ciemna. I cicha. Niemal niepokojąca.

Na parkingu stał tylko jeden samotny samochód.

Stary chevy należący do Cricket.

Za kierownicą siedziała Cricket.

Dzięki Bogu!

Co, u diabła, robiła w samochodzie, w tej części miasta, w środku nocy?

Pewnie czekała na działkę albo już była najarana.

Boże, szaleństwo!

Sugar ruszyła w stronę samochodu, zamierzając wygarnąć Cricket, co o tym wszystkim myśli. Po drodze wpadła w dziurę w asfalcie i boleśnie wykręciła kostkę.

- Aua! Cholera. Niech to diabli! - To nie była jej najlepsza noc.

Zastukała w boczną szybę samochodu, ale Cricket nie reagowała. Z pewnością spała naćpana. W ciemnościach jej skóra wyglądała blado, choć Sugar zauważyła też jakieś plamy. Ciemne, czerwone pręgi i smugi błota. Jakby od kilku dni była w ciągu i jej organizm wreszcie się zbuntował. Sugar znów zaczęła się martwić.

- Hej! - zawołała. Żadnej reakcji. Szarpnęła za drzwi. Były zamknięte. - Cholera, Cricket, otwieraj!

Pochyliła się i zobaczyła w szybie swoje odbicie, a za sobą jakiś ruch. Ktoś biegł do niej cicho. Cholera! Pewnie jeden z tych zboczeńców! Zaczaił się za koszem na śmieci! Obejrzała się i powiedziała:

- Słuchaj, ty pocięty sukinsynu, nie jestem zainteresowana.

Ktoś rzucił nią o samochód.

- Aaaa! - Gwałtownie wypuściła powietrze. Głową uderzyła w ramę drzwi. Poczła eksplozję bólu. Jej torebka przeleciała przez parking. - Kurwa, co się dzieje? - Nie widziała napastnika, twarz miała rozplaszczoną na samochodzie. Zanim zdążyła krzyknąć, poczuła w ustach szmatę o obrzydliwym smaku.

Co się, do diabła, dzieje? Cricket siedzi w samochodzie, a ten dupek co zamierza? Zgwałcić ją? Cholera!

Opanował ją strach. Walczyła z całych sił. Była silna i wysportowana, ale teraz nie mogła się ruszyć.

Wpadła w panikę. To nie może być prawda!

Cricket! Na miłość boską, zrób coś! Dlaczego ona się nie rusza? Dlaczego, do diabła, ona się nie rusza? Dlaczego ma takie szkliste, zaćpane oczy... bladą skórę pokrytą pręgami, kilkanaście śladów na twarzy. O kurwa! Nie! Boże, nie!

Wreszcie Sugar zrozumiała. Zaczęła drapać i próbowała krzyczeć, ale za późno. Pod nos podetknięto jej kolejną szmatę, szarpnęła się, czując zapach eteru. Jej ciało przestało już słuchać poleceń umysłu. Kolana się pod nią ugięły. Nawet mózg chyba przestał działać. Światła parkingu wirowały wolno nad głową, jasne punkty przesuwały się po ciemnym sklepieniu nieba.

Uścisk zelżał. Sugar osunęła się po drzwiach zniszczonego chevroleta i upadła na dziurawy asfalt. Jak przez mgłę doszło do jej świadomości, że napastnik - nie, napastniczka - klnie cicho i krząta się po parkingu, zbierając rozsypaną zawartość torebki Sugar.

Sugar już nic nie obchodziło... jej ciało było bez czucia... jej myśli dryfowały... nawet nie była przerażona, choć pewnie powinna.

Nie miała wątpliwości, że zginie.

Rozdział 30

Reed wyjął z faksu raport z autopsji Rebeki Wade i natychmiast pogрузzył się w lekturze. Przyczyną śmierci było prawdopodobnie uduszenie, a nie utonięcie. Najpierw została zabita, potem odcięto jej język i zapakowano do pustej torebki, a ciało wrzucono do wody.

Kto zadał sobie tyle trudu?

Ktoś chciał w ten sposób coś powiedzieć.

Nie odcina się kawałka ciała, nie zawija się go w cholerną folię i nie wsadza do eleganckiej skórzanej torebki, jeśli nie chce się zwrócić na siebie uwagi. Albo zagrać policji na nosie, mówiąc: „Hej, gliny! Patrzcie. Ja to zrobiłem, głupki. Jestem od was sprytniejszy”.

Poszedł do stołówki, gdzie dolał sobie kawy i przywitał się z kilkoma policjantami. Wciąż studiując raport, przeszedł między boksami do swojego gabinetu. Jak tylko szczegóły dotyczące śmierci Rebeki ujrzą światło dzienne, prasa rzuci się na tę sprawę jak hieny na padlinę. Zaczną się spekulacje na temat seryjnego mordercy, który zabija ludzi powiązanych z Montgomerymi. Nadszedł już chyba czas, by do akcji wkroczyły oddziały specjalne i FBI. To nawet nie taki zły pomysł. Owszem, zawsze były jakieś tarcia, zwykle szło o przepisy albo o zakres kompetencji, ale w zasadzie nie miał nic przeciwko federalnym.

Reed pracował już kiedyś z Vitą „Marilyn” Catalanotto, miejscową agentką. Była w porządku, choć trochę apodyktyczna. Właściwie nawet bardzo apodyktyczna. Przeniesiono ją z Bronksu w Nowym Jorku. To wiele wyjaśniało. Jezu, ostatnio w policji jest pełno kobiet. Wszystko przez te bzdurne gadki o wyrównywaniu szans.

Szumiały maszyny biurowe, za drzwiami dzwoniły telefony. Ktoś opowiedział nieprzyzwoity dowcip, Reed usłyszał tylko końcówkę, po której z boksów pod oknami dobiegł go śmiech. Niewiele go to obchodziło. Miał ważniejsze sprawy na głowie. Przede wszystkim zabójstwa w rodzinie Montgomerych.

Nie żyli córka, matka, ojciec, mąż i teraz pani psycholog, a także kilkoro rodzeństwa Caitlyn Bandeaux. Wygląda na to, że zbliżenie się do niedawno owdowiałej pani Bandeaux jest cholernie niebezpieczne.

Reed usłyszał kroki i podniósł głowę. Wysoki mężczyzna napierał prosto na niego. Miał regularne rysy twarzy, kolor skóry zdradzał latynoskie pochodzenie, ciemna, zadbana bródka zdobiła mocno zarysowaną szczękę.

- Pan Reed? - zapytał, patrząc na niego dużymi, poważnymi oczami. W jednym uchu błysnął kolczyk. Mimo upału młody elegancik ubrany był w czarną skórę. Na pierwszy rzut oka wydawał się twardzielem, ale pod pozorami arogancji Reed dostrzegł szczerą żarliwość.

- Tak, to ja. - Wyprostował się.

- Reuben Montoya z policji w Nowym Orleanie. - Montoya otworzył portfel i Reed spojrzał pobieżnie na odznakę. Wyglądała na prawdziwą. - Słyszałem, że Lucille Vasquez wyjechała z miasta. - Montoya schował odznakę do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Zgadza się. - Reed wskazał mu krzesło. - Pojechała do siostry na Florydę. Szuka pan jej córki, prawda? Marty?

Ciemne oczy Montoi zabłysły, a zaciśnięte usta pobielwały.

- Zniknęła sześć miesięcy temu.

- To pańska znajoma?

- Tak - przyznał Montoya. - Bardzo dobra znajoma.

- Rozmawiałem wczoraj wieczorem z jej matką. Od dawna nie widziała Marty i wcale nie wygląda na zaniepokojoną. Chyba raczej czuje się dotknięta jej milczeniem. W każdym razie nie ma pojęcia, gdzie jest jej córka.

- Jest pan tego pewien?

- Mógłbym się założyć o swoją odznakę, że to prawda.

- Cholera! - Montoya zacisnął usta i pogrzebał w kieszeni kurtki, jakby szukał nieistniejącej paczki papierosów. - Sprawdziłem informacje o zaginionych i dowiedziałem się, że w pobliżu wyspy St. Simons wyłowiono ciało kobiety.

- Pomyślał pan, że to może być Marta? Skąd się pan tak szybko o tym dowiedział?

- Postarałem się. - Był bardzo pewny siebie. Hardy. Reed od razu go polubił. - Przywiozłem dokumentację stomatologiczną.

- Ma pan ją przy sobie? - To już zaczynało wyglądać trochę dziwnie.

- Kopię. Ale do identyfikacji wystarczy.

- Czy nie jest pan w to zbyt mocno zaangażowany? - zapytał Reed.

- Niektórym tak się wydaje. Ale się mylą.

- Może powinien pan trochę odpuścić. Spojrzeć na to z perspektywy... A znaleziona kobieta to nie Marta Vasquez.

- Nie? - Odetchnął z ulgą, unosząc szerokie ramiona. - Jest pan pewien?

Reed podsunął mu raport.

- Tak.

Montoya zaczął czytać. Gdy przeszedł do opisu sekcji zwłok Rebeki Wade, twarz mu stężała.

- Chory sukinsyn z niego.

- Albo z niej.

- Kobieta?

- Bardzo możliwe.

- ...która obcina ofiarom języki.

- Na to wygląda.

- Cholera! - Montoya dopiero teraz usiadł. - Zetknąłem się już z kilkoma pokreconymi facetami. Dwóch miało naprawdę nieźle porąbane. Jeden mówił o sobie Ojciec John, a drugi nazwał się Wybrańcem. Seryjni zabójcy. Obaj mieli dziwne religijno-sadystyczne odchylenie.

- Nasz zabójca wybiera osoby związane z jedną bogatą rodziną - powiedział Reed. Może warto, by Montoya rzucił na sprawę świeżym okiem. Facet miał spore doświadczenie. Reed czytał o tych seryjnych mordercach z Nowego Orleanu. Nieźle świry. To właśnie Montoya pomógł ich złapać.

- Za godzinę miałem jechać do St. Simons, żeby to sprawdzić. - Wskazał na raport.

- Mogę się z panem zabrać? - zapytał Montoya.

- To chyba niezły pomysł. - Reed pomyślał, że przyda mu się wszelka pomoc. Ktokolwiek wykańczał Montgomerych, robił to niezwykle sprawnie i coraz bardziej zwiększał tempo. - Nasza ostatnia ofiara nie wygląda zbyt dobrze - dodał. - Przeleżała trochę w wodzie.

- Nie ma problemu.

Reed spojrział Montoi prosto w oczy, ale ten nie odwrócił wzroku. Nawet nie mrugnął. Nada się. Tropiąc tych zabójców, niejedno już widział.

- Zabieram pana.

- Co Rebeka Wade ma wspólnego z rodziną Montgomerych?

Reed opowiedział mu o jej powiązaniach z Caitlyn Montgomery Bandeaux, gdy z korytarza dobiegły ich szybkie kroki Morrisette. Wpadła do pokoju uśmiechnięta jak kot, który dobrał się do śmietanki.

- Zgadnij, co mam!

- Poza negatywnym nastawieniem do świata?
- Uważaj, Reed, bo nie dam ci papierka, na który tak czekasz. Podpisanego przez samą świątobliwość, sędziego Ronalda Gillette.
- Nakaz przeszukania domu? - Reed sięgnął już po marynarkę.
- Podpisany, opieczętowany i - rzuciła cholerny papier na biurko - oficjalnie dostarczony.
- Chodźmy. - Reed wyszedł zza biurka i wskazał na gościa. - Detektyw Reuben Montoya z policji w Nowym Orleanie, detektyw Sylvie Morrisette.
- Oddelegowany czy na stałe? - zapytała, mierząc wzrokiem młodszego policjanta. Jezu, co się z nią dzieje? Miała już czterech mężów, a sądząc po jej zachowaniu, rozgląda się za mężem numer pięć. Jako zaprzysiężony kawaler, Reed nie rozumiał, czemu koniecznie chciała pędzić do ołtarza z każdym nowym facetem.
- Montoya szuka Marty Vasquez.
- Tej od Lucille, córki pokojówki Montgomerych? - zapytała.
- Właśnie.
- Tak myślałam. - Sylvie pokiwała głową. - Może chce pan z nami iść? - spytała, przeczesując palcami sterczące włosy.
- Już go zaprosiłem - powiedział Reed, gdy schodzili po schodach. Może dzięki Montoi zdołają wyjaśnić nagły wyjazd Lucille. Trochę to podejrzane, że tak szybko zwinęła manatki, ale instynkt mówił Reedowi, że staruszka jest niewinna.
- Może zniknięcie Marty wiąże się z waszą sprawą - zastanawiał się Montoya.
- Być może - przytaknął Reed, choć nie bardzo w to wierzył. - Ale ona nie należy do rodziny. Nasz morderca skupia się na członkach klanu.
- Rebeka Wade jest wyjątkiem, jeśli jej śmierć ma cokolwiek wspólnego z tą sprawą. - Morrisette przestała interesować się gościem, skupiła się znów na śledztwie. Reed otworzył jej drzwi. Na ten przejaw rycerskości przewróciła oczami i mruknęła cicho: „Daruj sobie”. Wyszli na rozpaloną ulicę.
- Może pan pojechać z nami jednym samochodem, Reed wszystko panu opowie.
A ty będziesz pożądanym wzrokiem lustrować towar, pomyślał Reed, ale nie odezwał się. Dobrze, że zdobyli nakaz, wreszcie będzie mógł zajrzeć do domu pani Bandeaux. Zobaczyć, jakiego trupa trzyma w szafie.

- ...więc nie chcę, żebyś sama z kimkolwiek rozmawiała - powiedział Marvin Wilder, odprowadzając Caitlyn do drzwi swojego gabinetu. Był niskim mężczyzną, chyba szerszym niż wyższym. Jego biała czupryna wyraźnie kontrastowała z naturalną opalenizną. W gabinecie więcej miał trofeów golfowych niż dyplomów.

Po spotkaniu Caitlyn wcale nie czuła się lepiej. Miała dość milczenia, wolałaby zrzucić z siebie ten ciężar, ale adwokat radził jej trzymać język za zębami.

- Nie przekazujemy policji żadnych nowych informacji, dopóki nie wróci ci pamięć. Na razie nic nikomu nie mów. Ani policji, ani prasie, nikomu.

- A mojej rodzinie? - zapytała. - Albo psychologowi?

- Caitlyn, proszę, wstrzymaj się kilka dni. Daj mi trochę czasu, żebym zajął się tą sprawą. Znam prokuratora okręgowego. Pozwól, że najpierw porozmawiam z Kathy Okano i zobaczę, na czym stoimy. Poczekajmy.

Poczekajmy, dobre sobie! A tymczasem policja depta jej po piętach. Przypomniała sobie detektywa Reeda stojącego w progu, jego przenikliwy, zimny wzrok. Któregoś dnia spotkała go w kawiarni niedaleko domu. Jakby nigdy nie zamawiał precla. W pobliżu jej

domu. Jasne. Śledził ją, nic dziwnego, że czuła się obserwowana.

Ale czy zabawiałby się w głucho telefony?

Udawałby dziecko?

Nie, na pewno nie.

Był nieustępliwy, zgadza się, a w razie potrzeby byłby może zdolny nagiąć prawo, ale nie zniżyłby się do takich chwytów.

Wyszła z biura prawnika, wsiadła do samochodu. Minęła gabinet Adama - niegdyś Rebeki. Dziwne, że z niego korzystał. Kelly miała rację. Caitlyn czasami czuła, że Adam nie jest względem niej uczciwy, że coś ukrywa. Czasami znów miała wrażenie, że jest z nią absolutnie szczery. Tak czy inaczej, fascynował ją i pociągał. Był w nim dziwny niepokój, skrywana niecierpliwość... ale to tylko dodawało mu uroku.

Ty naprawdę jesteś wariatką, nie? Gorzej - romantyczną wariatką. Co ty o nim wiesz? Nic. Nic poza tym, co sam ci powiedział.

Dreńczona myślami, wyjechała za miasto. Wciąż nie miała wiadomości od Hannah. Zadzwoiła do Troya, który przypomniał jej, że gdy najmłodsza siostra ma problemy, zachowuje się jak ranne zwierzę, które chce w samotności lizać swoje rany. Ale Caitlyn to nie przekonało. Postanowiła zatelefonować do Amandy.

- Mnie też się to nie podoba. - Pojechałabym tam dzisiaj po południu, ale mam kupę roboty. Muszę się też spotkać z pastorem w sprawie pogrzebu mamy. Boże, możesz w to uwierzyć? - Amanda westchnęła. - Spróbuję później tam pojechać... o cholera, mam odebrać Iana z lotniska. Ale potem zajrzę do niej.

- Nie martw się. Jeśli Hannah się do mnie nie odezwie, pojedę do niej po spotkaniu z Wilderem.

- Zadzwoń do mnie później. Tak czy inaczej, chciałabym się dowiedzieć, co powie Marvin. A tymczasem miejmy nadzieję, że Hannah się odezwie. - Głos Amandy drżał lekko ze zdenerwowania. - Zażądałabym policyjnej ochrony, ale wszyscy policjanci to kutasy. Powinniśmy wynająć prywatnych ochroniarzy. Mam zamiar powiedzieć o tym Troyowi, a jeśli nie będzie chciał ruszyć wspólnego majątku, to sama zapłacę za ochronę. Boże, Caitlyn, nie możemy dać się wystrzelać jak kaczki. Ale... no nic, jestem pewna, że u Hannah wszystko w porządku.

Caitlyn znów zadzwoniła do Troya, ale go nie zastała.

Opryskliwa sekretarka twierdziła, że Troy jest na zebraniu i nie można mu przeszkadzać. Więc Caitlyn została z problemem sama. Jechała do Oak Hill, mając nadzieję, że zastanie Hannah całą i zdrową.

Skrzynkę na listy oplatały pajęczyny. Brama była zamknięta na gruby, zardzewiały łańcuch. Ale zamek wyglądał na nowy, a w błocie Adam zauważył świeże ślady opon. Jeszcze raz sprawdził adres. To tutaj, na pewno. Nakłonił Caitlyn, żeby powiedziała mu, gdzie mieszka Kelly. Zgodziła się niechętnie. Nie pamiętała adresu, ale jej opis okazał się wystarczająco dokładny. Sprawdził w urzędzie powiatowym, przeprowadził śledztwo i dowiedział się, że dom został wynajęty przez Kacie Griffin. Od niezbyt dyskretniej recepcjonistki dowiedział się, że czeki przychodziły regularnie jak w zegarku.

No, to do roboty! Wziął ze sobą swoje wytrychy, zamek był na sprężynę i nie stanowił wielkiego wyzwania dla kogoś, kto w dzieciństwie pobierał nauki na ulicy. Otwieranie zamków, uruchamianie samochodów przez zwarcie kabli, wchodzenie i wychodzenie niepostrzeżenie z domu - miał to w małym palcu. Raz omal nie wpadł. Kiedy o wszystkim

dowiedziała się babcia, zaciągnęła go do starszego brata, który był żołnierzem żandarmerii wojskowej. Brat zagroził, że odda Adama w ręce policji. Babcia dała mu jednak jeszcze jedną szansę, ale ku przestrodze zabrała go do więzienia stanowego i oprowadziła po wszystkich piętach. Buczenie i gwizdy, metalowe kraty, drut kolczasty i strażnicy na wartowni... Mały Adaś doszedł do wniosku, że warto porzucić drogę występku.

Jednak stare, nieco zapomniane umiejętności znów się przydały.

Zgrabnie otworzył bramę i zdecydował, że nie będzie wjeżdżał do środka samochodem. Nie chciał znaleźć się w pułapce, zresztą samochód przed domem zdradzałby jego obecność.

Mając to na uwadze, zaparkował prawie kilometr od domu, w nieczynnej żwirowni, i pobiegł z powrotem do starej bramy. Wśliznął się na podwórko i poszedł żwirową ścieżką, która składała się z dwóch bruzd i rosnących między nimi chwastów. Dąb i sosna rzucały cień na dróżkę. Gdzieś tam trawa i chwasty były przygięte. Może Kelly czy też Kacie jest przypadkiem w domu?

Co wtedy?

Możliwe, że to ona zabija.

Ludzie padają jak muchy.

Kimkolwiek jest, na pewno nie chce zostać zdemaskowana, chce chronić swoją prywatność, na którą tak ciężko pracowała. Przeszedł go dreszcz, jakby gdzieś w pobliżu czaiło się zło. Skręcił i zobaczył dom. Nienadzwyczajny. Przynajmniej nie według standardów Montgomerych. Otoczony drzewami, z widokiem na rzekę. Musiał mieć jakieś sto lat, może nawet więcej. Pomalowano go na zielono i brązowo, ale kolory dawno wyblakły. Wyglądał jak mały domek do wypadów na ryby czy polowanie.

Zapukał do frontowych drzwi. Jeśli ktoś je otworzy, Adam będzie szczery i powie, że szuka Kacie, mając nadzieję, że nikogo nie zirytuje i nie zostanie zastrzelony. Ona może być morderczynią, pamiętaj o tym. I nie licz na to, że jest słabą kobietą. Ona umie zabijać.

Zapukał jeszcze raz. Czekał. W napięciu nasłuchiwał, czy z domu nie dobiegają jakieś dźwięki.

Nie słyszał jednak nic poza szumem wiatru w koronach drzew, pluskiem rzeki i pokrzykiwaniem ptaków.

Ostrożnie okrążył nieduży dom, próbując zajrzeć przez okna, ale większość żaluzji była opuszczona. Między żaluzjami a brudnymi szybami wisiały pajęczyny i martwe owady. Jeśli Kelly Montgomery tu mieszka, to straszna z niej fleja. Drzwi frontowe były zaryglowane, nieduże drzwi do garażu w przybudówce też. Za domem, koło werandy zauważył ślady butów i niedopałki papierosów. Ktoś tu był niedawno.

Cicho wszedł po dwóch schodkach, podłoga zaskrzypiała pod jego ciężarem. Sprawdził drzwi werandy. Zamknięte, ale on przecież miał wytrych.

Powoli otworzył drzwi. Potem, powtarzając sobie, że nie jest pospolitym włamywaczem i złodziejem, wszedł do środka.

Odczekał chwilę, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Mieszkanie było strasznie zaniedbane. Pachniało kurzem, pleśnią i dymem. W zrujnowanym kominku z cegieł została kupka popiołu. W oknach wisiały stare, spłowiałe zasłony, na obdrapanych ścianach nie dostrzegł ani jednego obrazu.

Miał uwierzyć, że Kelly Montgomery, rozpieszczona, samowolna i bogata, mieszka tutaj i dojeżdża stąd do pracy?

Nigdy w życiu.

Za nic w to nie uwierzy.

Podszedł do biurka. Telefon mrugał czerwoną lampką. Obok stało zdjęcie małej córeczki Caitlyn, Jamie. Jedyne ukłony Kelly w stronę rodziny? A może coś zupełnie innego? Czuł, że kryje się w tym tajemnica. Coś przeoczył, coś mu się wymykało. Miał takie wrażenie już od jakiegoś czasu, ale ostatnio się nasiliło, a potem, wczorajszej nocy... Jezu, co on sobie myślał?

Nic nie myślałeś. Pozwoliłeś, żeby twój fiut za ciebie myślał.

Włączył sekretarkę, poczekał, aż taśma się przewinie, i usłyszał wiadomość od Caitlyn, tę, którą zostawiła wczoraj w nocy. Potem odsłuchiwał wiadomość od samego siebie. Było to dość osobliwe uczucie.

Skrzywił się.

Przez moment obleciał go strach. Rozejrzał się po ścianach i po suficie, jakby spodziewał się znaleźć miniaturowe kamery albo podsłuch. Jakby podejrzewał, że został tu zwabiony, a teraz zostanie sfilmowany i dokładnie zbadany. Ale po co? O co tu, do diabła, chodzi?

Przemknęło mu przez głowę wspomnienie wczorajszej nocy. Jak to się stało, że dał się ponieść; jak to się stało, że się z nią kochał? Skrzywił się namyśl o swojej obłudzie. Ryzykował wszystko. Swoją pracę. Swoje honor. Swoje cholerne małżeństwo, jakiegokolwiek ono było. A wszystko dla małego bara-bara. Odruchowo potarł serdeczny palec lewej ręki i wyczuł na nim wgłębienie, wciąż widoczne, choć już od dawna nie nosił obrączki. Jak mógł się tak zapomnieć?

Bo ta kobieta cię pociąga. Zaintrygowała cię. Spójrz prawdzie w oczy, zakochałeś się. Ona jest tajemnicą, Hunt, a to jest coś, co lubisz. Pomyśl o Rebecce. Nieprzewidywalna, fascynująca kobieta, która dała ci kilka chwil radości i lata cierpienia. A teraz, chcąc odnaleźć Rebece, odkrył inną kobietę, dużo bardziej skomplikowaną i chyba jeszcze bardziej niebezpieczną.

Przeszedł się po pokojach. Skórzana kanapa, stolik, zakurzony telewizor. Sypialnia ze starym żelaznym łóżkiem i starą kołdrą, łazienka, w której znajdowały się jedynie podstawowe rzeczy: kostka mydła, pasta do zębów, resztki szamponu i małe pudełko tamponów. Kilka ręczników. W kuchni odkrył trzy butelki dietetycznej coli i butelkę keczupu w lodówce, poza tym paczkę chipsów kukurydzianych, puszkę tuńczyka i dopiero co napoczęty słoik masła orzechowego. Kilka talerzy, każdy z innej parafii, zbieranina sztuczków, całkiem jak z wyprzedaży garażowych. Miał uwierzyć, że spadkobierczyni fortuny chciałaby nazywać takie miejsce swoim domem?

Nikt nie nazwałby tego miejsca domem.

Może poza szczurami, węzami i termitami, które na pewno kryły się w zakamarkach, przemykały pod podłogą, pełzały wokół fundamentów.

Podszedł do biurka i otworzył szufladę. Niewiele tam znalazł, tylko kilka zdjęć... wszystkie przedstawiały członków rodziny Montgomerych. Więc ktoś tutaj bywał. Ktoś związany z Caitlyn. Rozejrzał się po raz ostatni i wyszedł tą samą drogą, którą przyszedł. Nie znalazł nic istotnego, nic co pomogłoby mu odnaleźć Rebece.

W końcu pójdzie na policję. Nie ma innego wyjścia. Jakoś zniesie te ich sceptyczne, podejrzliwe spojrzenia. Musi powiedzieć im o Rebecce.

Poza tym była jeszcze Caitlyn. Piękna, tajemnicza Caitlyn. Co, do diabła, miał z nią zrobić?

Sugar otworzyła łzawiące oczy. Było ciemno, leżała w łóżku... ale nie w swoim.

Usłyszała cichą muzykę. Piosenkę... znała ją. Co to było? Może słyszała ją w klubie?

Wyglądając jak tramp,

Nie mogła się ruszyć? W głowie miała zamęt? Co się dzieje?

jak filmowy wamp.

Def Leopard. Tak, Def Leopard, *Posyp mnie cukrem* czy jakoś tak. Co jest, do diabła? Zmrużyła oczy, postarała się zebrać myśli. Przez firanki, poruszone lekkim podmuchem, wpadało do pokoju światło księżycy. Skądś... może z ogrodu?... dolatywał zapach wiciokrzewu. Leżała na plecach na miękkim łóżku, naga... zaraz... nie mogła się ruszać, mąciło jej się w głowie. Widziała nieostro, obraz falował zniekształcony. Nieźle! Jak po LSD. Spróbowała się przekręcić, ale nie dała rady. W końcu uprzytomniła sobie, że jest skrepowana, przywiązana do łóżka. Nogi miała rozsunięte, obie ręce unieruchomione za głową.

Co do diabła?

Poruszyła się i nagle zrozumiała, że nie jest sama. Cholera! Odwróciła głowę i zobaczyła... Jezu! Sugar szarpnęła się w panice. Cricket, też naga, leżała na plecach, głowę miała przekrzywioną na bok i patrzyła na Sugar pustymi oczami. Całe jej ciało pokryte było bliznami, jakimiś krostami czy ukąszeniami...

Sugar chciała krzyknąć, ale nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Spróbowała naprężyć mięśnie, ale na próżno. Widocznie jest otumaniona narkotykami. Usłyszała jakiś ruch, ktoś stanął w nogach łóżka. Sugar rozpoznała swoją oprawczynię. W jej oczach ujrzała wyrok. Straciła wszelką nadzieję.

- Obudziłaś się. Razem z tą dziwką, twoją siostrą, czekałyśmy na ciebie. Wiesz, kim jestem?

Jasne, że wiem, ty suko.

- Jestem Atropos. Jedna z trzech bogiń losu. I tak nie zrozumiesz, kretynko, ale chciałam, żebyś wiedziała. Obserwowałam cię, widziałam, co zrobiłaś... o, tak.

Ogarnął ją zimny strach. Wiedziała. O Boże, wiedziała o jej kochanku. To ona nękała ją tymi telefonami. To ona ją prześladowała.

- Od dawna chciałaś być jedną z Montgomerych, teraz możesz. Wiesz, gdzie jesteś? Domyślasz się?

Co to za chora gra?

- Oak Hill. Zawsze chciałaś zobaczyć, jak tu jest, prawda? I oto jesteś. I możesz tu zostać. - Atropos powoli wyszła z cienia. Podeszła do stołu i podniosła słoik. Miała na dłoniach rękawiczki. - Koniec zgadywanek. Na początek miód, żeby mieć pewność, że reszta się przyklei.

Reszta? Reszta czego? Przerazona Sugar dyszała ciężko. Jezu, to jakiś koszmar. Ta chora suka zabiła Cricket, a teraz... a teraz... Sugar nie czuła lepkiej substancji pokrywającej jej skórę, ściekającej między nogami, po piersiach, wargach i włosach. Myśli jej się płątały. To nie może być prawda. To szaleństwo. Okropny sen.

- Sugar. Takie słodkie imię. Daje tyle możliwości.

Idź do diabła!

Usłyszała szelest rozrywanego papieru. Atropos stanęła nad nią z ogromną torbą.

Przechyliła ją i biały cukier zaczął sypać się na Sugar.

- Takie słodkie imię - powiedziała Atropos i zanuciła:

Niewinna panienko

Sugar chciała krzyczeć. Wrzeszczeć. Nabluzgać tej strasznej, chorej kobiecie. Ale mogła tylko patrzeć.

Posyp mnie cukrem

Jedna torba to za mało. Atropos otworzyła kolejną i nie przestawała sypać, na łóżko, na Cricket, na Sugar. Mówiła coś o owadach i pajakach, o tkankach miękkich, o tym, że Sugar jest dziwką. Szum słodkich kryształków zagłuszał jej słowa. Cukier sypał się na Sugar, na jej włosy, ręce, na całe ciało, wreszcie na twarz. Zachłysnęła się, zakrztusiła, wciąż nie dowierzając. Nie, nie, nie!

Proszę, przestań.

Proszę, niech ktoś mi pomoże.

Rozdział 31

Reed żałował, że nie może być w dwóch miejscach jednocześnie. Razem z Montoyą i Morrisette zajeżdżał przed dom Caitlyn Bandeaux, nie zastał jej i zlecił przeszukanie domu dwóm policjantom. Ufał, że Landon i Metzger porządnie wykonają swoją robotę. On tymczasem pojedzie do St. Simons i jeśli doda gazu, to wróci za kilka godzin. Jeżeli przegapi powrót Caitlyn, zajmie się nią później. Miał nadzieję, że znajdą w jej domu narzędzie zbrodni, ale zadowolony był każdym dowodem, który wskaże na związek Caitlyn z morderstwem.

Droga do St. Simons zajęła im ponad godzinę.

Oglądanie ciała Rebeki Wade nie należało do przyjemności; właściwie nawet nie było konieczne. Reed mógł poprosić o zdjęcia, jednak coś kazało mu przyjrzeć się ciału ofiary osobiście. Żołądek podszedł mu do gardła. Przypuszczał, że i Morrisette, i Montoyą czują się podobnie, ale udało im się nie zwymiotować.

Od zastępcy szeryfa dowiedzieli się czegoś ciekawego.

- ...Dentysta, od którego dostaliśmy dokumentację, znał dość dobrze Rebekeę Wade. Od lat leczyła się u niego i muszę wam powiedzieć, że porządnie się zdenerwował na wieść, że mogła zostać zamordowana. - Zastępca szeryfa, Kroft, starszy, tęgi mężczyzna, pokiwał sam do siebie głową. Wyszli z kostnicy na ostre czerwcowe słońce Georgii. - A najlepsze jest to, że ona była mężatką. Zdaje się, mówiliście, że nie wiecie, czy ma jakichś bliskich. - Kroft zdjął na chwilę kapelusz, żeby przyglądać rzadkie siwe włosy.

Reed skinął głową.

- Niewiele o niej wiemy.

- Dorastała w Michigan, w małym mieście niedaleko Ann Arbor. Dentysta, nazywa się Paxton, Timothy Paxton, znał ją, gdy była jeszcze dzieckiem, znał jej rodzinę, pamięta, że wyszła za męża za kolegę ze studiów. Jej rodzice zmarli kilka lat temu. Paxton jest pewien, że jej mąż nazywał się Hunter, Hunt albo Huntington czy jakoś tak. Nie słyszał, żeby mieli dzieci, ale nie słyszał też nic o rozwodzie.

- Adam Hunt? - zapytał Reed, wymieniając spojrzenia z Morrisette,

- Jakoś tak. Tak. To może być on.

Nie było tu żadnego „może”. Reed był tego pewien. Cholera. Jak mogli to przeoczyć? Wysłuchał zastępcy szeryfa, a potem, w drodze powrotnej do Savannah, podał Montoi więcej szczegółów dotyczących sprawy. Morrisette zadzwoniła do dentysty i w bitwie na słowa pokonała recepcjonistkę, jakąś idiotkę, która nie chciała połączyć jej z gabinetem, tłumacząc, że pan doktor właśnie opracowuje ząb pod koronę. Jakby czyjaś cholerna korona była ważniejsza od śledztwa w sprawie morderstwa! W końcu uzyskała połączenie. Rozmawiając, zatkała sobie jedno ucho ręką. Reed przekroczył ograniczenie prędkości co najmniej o piętnaście na godzinę.

Morrisette rozłączyła się i powiedziała:

- Wygląda na to, że Kroft mówił prawdę. Dentysta to stary przyjaciel rodziny, bardzo się przejął śmiercią Rebeki.

- Co powiedział na temat Hunta?

- Niewiele więcej, niż dowiedzieliśmy się od Krofta. Rebeka poznała go na studiach, oboje studiowali psychologię, mieszkali przez jakiś czas razem, wyszła za niego, a potem doktor Paxton stracił z nią kontakt. Jej rodzice nie żyli od kilku lat. Jej małżeństwo chyba też.

Jechali brzegiem oceanu przez płaskie, bagniste tereny.

- Hunt będzie musiał nam wiele wyjaśnić. Czy ktoś z nim kiedykolwiek rozmawiał?

- Kilka razy próbowałam. Powinna być bardziej uparta - przyznała Morrisette, zmarszczyła brwi i sięgnęła po papierosy. Poczęstowała Montoyę i otworzyła okno. - Dwa razy byłam w jego gabinecie, ale go nie zastałam. Wczoraj do niego dzwoniłam.

- Ale nie oddzwonił.

- Nie.

- Poszukajmy go. Przekażemy mu wiadomość o śmierci żony czy też byłej żony.

Reed zastanawiał się nad rolą Hunta w tej sprawie. Jeżeli w ogóle jest w to zamieszany. Trzeba sprawdzić, czy zgłoszono zaginięcie Rebeki, czy Hunt i Wade byli wciąż małżeństwem, czy Hunt był już kiedyś w tych okolicach i czego tu właściwie szukał. Może wchodził w grę jakiś testament albo ubezpieczenie, a może ktoś jeszcze był w to zamieszany. Hunt i Caitlyn Bandeaux całowali się tak, jakby byli kochankami. Dodał gazu. Przez całą drogę rozmawiali o Adamie Huncie.

Zatrzymał się przed domem Caitlyn, gdzie wciąż trwało przeszukiwanie. Podał kluczyki Morrisette i powiedział:

- Pojedź do Hunta. Powiedz mu o Rebecce Wade. Zorientuj się, co on wie. Ja zabiorę się z Metzgerem. - Potem zwrócił się do Montoi: - Może pan jechać z nią, jeśli pan chce... i niech pan dopilnuje, żeby nie wpakowała się w jakieś kłopoty.

- Pieprz się! - powiedziała Morrisette z błyskiem w oku. - Wal się w tę tłustą, pierdzieloną dupę.

Montoya uniósł brwi.

- Proszę nawet nie pytać. Może po drodze opowie panu o swojej umowie z dziećmi. Ma to pewien związek ze świnką skarbonką.

- Żegnaj, świnko! - powiedziała do Reeda, gdy wysiadł z samochodu i zajęła jego miejsce.

- Radzę zapiąć pasy - ostrzegł Montoyę i poszedł szybko kamienną ścieżką. Kątem oka dostrzegł najeżdżający samochód stacji telewizyjnej. Świetnie. Właśnie tego mu trzeba.

Zanim ekipa wygramoliła się z samochodu, Reed zniknął już w domu, zatraskując za sobą drzwi. Policjanci pozwolili sobie uwięzić psa w pralni, bo jak stwierdził Landon,

„kundel nie zamknął się nawet na chwilę; cały czas ujada”.

- Właścicielka jeszcze nie wróciła?

- Jeszcze nie. - Landon był wielki, czarny i piękny. Na tyle wysoki, że w college'u grał w drużynie koszykówki, i na tyle bystry, że gdy okazało się, że NBA nie puka do jego drzwi, zdobył tytuł licencjata w dziedzinie prawa karnego. Teraz kontynuował naukę, wieczorami chodził na wykłady i ostrzył sobie zęby na posadę Katherine Okano. Miał ogoloną głowę, małą bródkę i sylwetkę, jaką można uzyskać tylko wtedy, gdy do podnoszenia ciężarów podchodzi się z żelazną dyscypliną. - Dobrze, że nakaz pozwala nam przeszukać dom bez obecności właścicielki - dodał.

Reed przytaknął. Przeszukiwanie domu w obecności Caitlyn Bandeaux mogłoby się okazać bardzo uciążliwe.

- Znaleźliście coś?

- Żadnej broni, nic w tym rodzaju, ale chodź na górę. - Landon zaprowadził Reeda na piętro. - Spójrz tutaj... - Wskazał odbarwienia na dywanie. - I tutaj. Popatrz na prysznic. - Pokazał głową w kierunku kabiny z pękniętą szybą. - Wydaje mi się, że plamy na dywanie mogą pochodzić z krwi. Znaleźliśmy też kilka niewielkich plam na listwie przypodłogowej, wezwaliśmy ekipę, żeby to zbadała. Zastosujemy luminol do wykrywania krwi.

- Świetnie. Sprawdźcie to. Sprawdźcie też, jakiej grupy jest ta krew. A może znajdziemy krew różnych grup.

- Ślady wskazują na to, że krwi było dużo, jeśli to w ogóle krew - powiedział Landon. - Ale Bandeaux został zabity gdzie indziej, prawda? W swoim domu? Czyżbyśmy się mylili? Może został zabity tutaj, a potem przewieziony.

- Mało prawdopodobne, jeśli weźmiemy pod uwagę ułożenie ciała, zesztynienie i rozkład krwi w ciele. Wszystko wskazuje na to, że zmarł w swoim gabinecie. Ale jest jedna dziwna rzecz. Na miejscu zbrodni znaleźliśmy za mało krwi.

Landon prychnął.

- Brakowało wam krwi?

- Zgadza się.

- Myślę, że właśnie ją znaleźliście.

- Hannah? - Caitlyn zapukała głośno do drzwi starego domu, który kiedyś był również jej domem. Hannah wciąż nie odpowiadała na telefony. Caitlyn szukała jej prawie cały dzień w mieście, w różnych miejscach, gdzie Hannah często bywała. Wreszcie postanowiła pojechać do Oak Hill i tam zaczekać na siostrę. Nie podobało jej się, że Hannah mieszka sama na tym pustkowiu, w opustoszałej, podupadającej rezydencji. Na rynnach pojawiły się plamy rdzy, okiennice były przekrzywione, na szerokim ganku tynk odpadał od cegieł. Taka młoda dziewczyna nie powinna siedzieć w starym domu na odludziu. Caitlyn zapukała jeszcze raz, ale nikt nie otworzył. Poszła na tyły domu, gdzie na dużej werandzie stał stół i krzesła. Zaledwie kilka dni temu siedziała tutaj z matką.

Wielki Boże, ileż się wydarzyło w ciągu tych kilku dni.

A ostatniej nocy?

Najpierw zaczęłaś całować Adama, chciałaś się z nim kochać, ale co było potem? Znow straciłaś pamięć, co najmniej na kilka godzin...

Wolała nie myśleć o swoich zanikach pamięci; zdarzały się coraz częściej. Czowała, że wszystko wymyka się jej spod kontroli. Policja depcze jej po piętach. Najpierw śmierć Josha i sypialnia cała we krwi... i nawet nie mogła nikomu o tym powiedzieć... Luki w

pamięci, dziwne, wstrętne obrazy, potem śmierć matki. Boże, a teraz niepokoiła się o Hannah.

Miała klucz, zdecydowała się wejść do środka. W domu panował chłód i półmrok. Serce jej się ścisnęło, na widok starego stołu, przy którym jadła z rodzeństwem śniadanie przed pójściem do szkoły. Na tym wieszaku koło drzwi wieszali swoje tornistry i kurtki...

Zaskrzypiała drewniana podłoga.

- Hannah? - zawołała. Dom wydawał się pusty, ale... czy to muzyka? Włączony telewizor gdzieś na górze? - Hannah? Jesteś tu?

Aż podskoczyła na dźwięk swojej komórki. Uspokój się Caitlyn, nie bądź takim kłębkiem nerwów.

Oddychała szybko, spanikowana. Sięgnęła do torebki i odebrała telefon.

- Słucham. - Powiedziała drżącym głosem. Cisza. O nie, tylko nie to! - Halo? - Nic. Rozłączyła się szybko. Wyłączyła telefon. Ktokolwiek ją prześladował, znał też numer jej komórki. Co jeszcze wiedział? Co jeszcze wiedział na temat jej prywatnego życia?

Powinna stąd wyjść. Zamiast tego ruszyła w stronę schodów, niemal pewna, że słyszy ściszone głosy i muzykę. Serce łomotało jej ze strachu. Nie bądź offermą! Wchodziłaś po tych schodach milion razy. Na miłość boską, Caitlyn, nie bądź śmieszna. Jest środek dnia. To był twój dom.

Nabrała powietrza w płuca i weszła na półpiętro. Teraz wyraźnie słyszała muzykę. Może Hannah usnęła przed telewizorem. Drzwi do pokoju siostry były otwarte, a światło zgaszone. Nie grało ani radio, ani telewizor.

Odgłosy dochodziły z pokoju Caitlyn. Tak, na pewno stamtąd. Muzyka. Jakby znajoma. Zawahała się, popatrzyła na promienie słońca wpadające przez kolorowy świetlik i pomyślała: teraz albo nigdy. Mogła nie otwierać tych drzwi, zadzwonić do Kelly albo do Troya, albo do Adama i poczekać, aż przyjadą, albo mogła, do cholery, zebrać się na odwagę i wejść do sypialni. Przecież spała w niej zaledwie kilka dni temu.

Albo... drzwi do pokoju Charlesa były otwarte. Przewyciężyła strach i weszła powoli do środka. Pokój wyglądał dokładnie tak jak przed śmiercią Charlesa, nikt tu niczego nie zmienił. Na półce stały puchary sportowe, na korkowej tablicy wciąż wisiała wyblakła już odznaka ze szkoły średniej, a obok łóżka, w szafce, powinien być pistolet. Otworzyła szufladę, niewielki pistolet leżał na swoim miejscu.

W komorze nie było kuł i nie miała pojęcia, gdzie... Spojrzała na puchar, nagrodę za udział w zawodach strzeleckich. Kiedyś widziała, jak wyjmował naboje z pistoletu i wkładał do tego pucharu. „Dla bezpieczeństwa”, powiedział jej i mrugnął okiem. Czy są tam jeszcze? Sięgnęła po puchar i znalazła pudełko niewielkich nabojów i starą, nierozpakowaną prezerwatywę. Nie zastanawiając się długo, załadowała pistolet i włożyła resztę nabojów do torebki. Teraz była uzbrojona i niebezpieczna.

- Śmiało - wyszeptwała. Spocona, ledwie żywa ze strachu ruszyła w głąb korytarza. Chodnik tłumiał jej kroki. Nacisnęła klamkę.

Otworzyła drzwi i weszła do pokoju.

Dwie kobiety, dwie nagie kobiety leżały związane na łóżku.

Caitlyn wydała stłumiony okrzyk, cofnęła się, zdjeta zgrozą. W pokoju i migał telewizor. Przywiązana do łóżka Sugar Biscayne i jej siostra Cricket patrzyły na nią pustymi oczami. Nie żyły; ich ciała były pokryte ukąszeniami, ugryzieniami i zwałami białego cukru, po którym pełzały owady. Mrówki. Świerszcze. Muchy. Szerszenie. Z niewielkiego odtwarzacza w kącie pokoju dobiegała muzyka, w kółko ta sama piosenka... *Posyp mnie*

cukrem... W telewizorze leciał jakiś program kulinarny.

Cofnęła się, potykając, i omal nie upadła. Zrobiło jej się niedobrze. Pozbierała się jakoś i zbiegła na dół. Musi się stąd wydostać, zanim ten, kto to zrobił, znajdzie ją.

Wypadła z domu, nie zamykając drzwi. Serce waliło jej jak oszalałe. Znalazła kluczyki. Usiadła za kierownicą. Nijak nie mogła trafić kluczykiem do stacyjki.

- Szybciej, szybciej - szeptała, próbując uruchomić samochód. Drżącą ręką przekreśliła kluczyk.

Nic.

O Boże, nie!

Przerażona nacisnęła pedał gazu i spróbowała jeszcze raz.

- Szybciej, szybciej! - krzyczała. Niedobrze. Bardzo niedobrze. Serce podeszło jej do gardła. Jeszcze chwila, a straci przytomność, zapadnie się w czarną otchłań. Nie, nie pozwoli na to. Ale ten cholerny samochód nie chciał zapalić.

Nie wpadaj w panikę. Masz pistolet.

Ale czym był jeden mały pistolet wobec niewidzialnego wroga, który zabijał metodycznie wszystkich po kolei.

Wyjęła telefon, zadzwoniła do Adama i nagrała się na sekretarce.

Zadzwoń po policję.

W głowie miała mętlik. Tak, zadzwoń po policję, to przecież proste. Ale zanim zdążyła nacisnąć klawisz, telefon zadzwonił. Odetchnęła z ulgą.

- Adam? Jestem w Oak Hill. Stało się coś okropnego. One nie żyją, a mój samochód nie chce ruszyć i... i...

- Mamusiu? - usłyszała cichy szept dziecka.

- O Boże, nie! - To niemożliwe. To nie Jamie... a może? Myśli jej się rwały, wszystko zaczęło się płatać.

- Mamusiu... gdzie jesteś...

- Dziecinko! Jamie? Mamusia jest tutaj...

- Mamusiu, boję się...

- Ja też, córeczko, ja też - powiedziała i nagle wszystko wymknęło się spod kontroli, zaczęła tracić przytomność... o Boże... Przeszedł ją dreszcz, chciała pokonać ogarniającą ją słabość, ale przegrała. Nie była już sobą...

Jezu Chryste, pomyślała Kelly, z łatwością zdobywając przewagę nad Caitlyn. Caitlyn zawsze była słaba, miękka. Była jedną z tych głupawych, słabych kobietek, których Kelly nienawidziła. Była ofermą przez duże O.

Ale nie ma jej tu teraz, prawda? Zniknęła. Może tym razem odejdzie na zawsze. Pójdzie sobie. Zniknie. I dobrze. Nadszedł czas, żeby Kelly przejęła kontrolę.

W swoim sterylnym sanktuarium Atropos wyłączyła magnetofon. Instynkt macierzyński Caitlyn był tak przewidywalny. Tak łatwy do rozbudzenia. Wystarczyła taśma z głosem nieżyjącej córki i mamusia natychmiast pędziła na ratunek. Chociaż wiedziała, że dzieciak nie żyje.

Ale przecież Caitlyn zawsze miała nierówno pod sufitem.

W dzieciństwie miała swojego wymyślonego przyjaciela Griffina... bawiła się z nim, kiedy czuła się samotna albo kiedy Kelly jej dokuczała. Griffin pojawił się po tym, jak Caitlyn siedziała zamknięta w sypialni ze zmarłą babcią. Atropos uśmiechnęła się. Babcia nawet się nie domyślała, że ktoś dosypywał jej czegoś do herbaty i że przyczyny jej

niedomagań nie były naturalne.

Więc po tym upiornym poranku ze zmarłą babcią Caitlyn znalazła ukojenie u boku swojego wymyślnego przyjaciela. Wciąż o nim mówiła, aż matka zabroniła jej o nim wspominać. Wszyscy sugerowali, że Caitlyn potrzebuje fachowej pomocy, ale Berneda nie przyjmowała tego do wiadomości. Co w tym złego, że córka wymyśliła sobie przyjaciela? Dziecięca zabawa, i tyle.

Niewidzialny Griffin towarzyszył Caitlyn, gdy znalazła rannego Charlesa. Wymyślony przyjaciel czy pierwsze objawy schizofrenii? Jakie to ma znaczenie? Caitlyn była kopnięta. A po wypadku na łodzi jeszcze jej się pogorszyło.

Myśląc o Caitlyn, Atropos cięła zdjęcia Cricket i Sugar. Zdjęcie Cricket wzięła z jej prawa jazdy, dziewczyna kiepsko na nim wyszła, ale Atropos nie miała wielkich wymagań. Odcięła głowę Cricket i przyczepiła ją do ciała owada... tak, to niezły pomysł. A co do Sugar, tej kurwy... Atropos użyła zdjęcia polaroidowego, które znalazła w portfelu jej kochanka... naga Sugar wyciągnięta na łóżku. Zdjęcie przyprawiało ją o mdłości, ale świetnie pasowało do połamanych opadających gałęzi drzewa Biscayne'ów.

Z rozkoszą okaleczyła to cholerne zdjęcie, odcinając Sugar piersi i krocze. Oba fragmenty przykleiła do niewielkiej torebeczki po cukrze, którą wzięła kilka dni temu z kawiarni. Głowę Sugar wsunęła do środka, tak że wystawały tylko jej oczy. Idealnie. Teraz można zawiesić je obie na odpowiednich niciach życia. Mała Cricket z czułkami, skrzydełkami i owadzimi nogami. Atropos przypięła ją do właściwej gałęzi i pociągnęła nić życia do głównego pnia drzewa. Potem do tej samej powykręcanej gałęzi przymocowała drugą nić i torebkę po cukrze z cyckami i cipą Sugar.

Popatrzyła z podziwem na swoje dzieło, ale tylko przez chwilę. Miała jeszcze dużo pracy, a czasu coraz mniej.

Rozdział 32

Adam nie poszedł prosto do samochodu. Po wyjściu z domu Kacie Griffin rozejrzał się po podwórku. Nie znalazł nic szczególnego poza kilkoma świeżymi plamami oleju w garażu. Potem ścieżką między drzewami poszedł nad rzekę. Dom stał tuż nad wodą, z werandy rozpościerał się widok na drugi brzeg, gdzie mieściła się posiadłość Oak Hill. Nie było przystani, ale wśród wysokich traw ktoś ukrył kajak, w środku leżały wiosła i latarka. Latarka wyglądała na nową, działała, do światła zaraz zleciały się brzęczące owady. Zgasił latarkę i popatrzył na ciemniejącą wodę.

Wyczuwał jakieś zło. W mroku czaiło się coś złowieszczonego. Coś, co jak cień prześladowało Caitlyn.

Coś? Coś? A może wszystko?

Spędził w domu kilka godzin w nadziei, że ktoś się pojawi - Kacie, Kelly czy ktokolwiek inny. Poszedł znów na brzeg i przez nieuwagę wszedł do wody, potem usiadł na płaskim kamieniu i, przyglądając się drobnym falom na rzece, myślał o Caitlyn. Zależało mu na niej. Bardzo zależało. Choć nie powinien sobie na to pozwalać. Była pierwszą kobietą od czasów Rebeki, której pozwolił zbliżyć się do siebie.

Była też najbardziej skomplikowaną kobietą, jaką znał.

Chcesz chyba powiedzieć: najbardziej sfiksowaną.

Caitlyn i Kelly. Bliźniaczki. Tak podobne, a jednak, jak twierdziła Caitlyn, tak różne. Kelly nie żyje. Przynajmniej wszyscy tak myśleli, wszyscy prócz Caitlyn. Jednak ciała Kelly nigdy nie odnaleziono. Rodzina urządziła symboliczny pogrzeb na tym samym

cmentarzu, gdzie leżeli Josh Bandeaux, jej ojciec i bracia. Miała swój grób, widział go, a widok marmurowej płyty z wyrytym nazwiskiem przyprawił go o gęsią skórkę.

Caitlyn nie wierzyła w śmierć siostry. Uważała, że Kelly żyje, ale ukrywa się, nie chcąc utrzymywać kontaktów z rodziną.

Czy to prawda?

Czy Kelly istniała?

Czy była duchem?

Cholera, to musi być przemęczenie. Nie ma żadnych duchów. Tylko wybujała, usługna wyobraźnia. Caitlyn już w dzieciństwie miała wyimaginowanego przyjaciela. A potem nie poradziła sobie ze śmiercią siostry, więc wymyśliła ją sobie, przywróciła do życia.

Podniósł się, otrzepał ręce i spojrzał w kierunku Oak Hill. Dom stał na urwistym brzegu, jakieś osiemset metrów w dół rzeki. Przyglądał się posiadłości Montgomerych i zastanawiał się, jak często robiła to Kacie, kimkolwiek była.

Popatrzył na zdjęcia, które zabrał z jej domu. Przedstawiały Caitlyn, Kelly, Amandę, Hannah, Troya i zapewne Charlesa. Było tam nawet zdjęcie małego dziecka, prawdopodobnie Parkera, który zmarł na syndrom nagłej śmierci łóżeczkowej niemowląt.

Albo został zabity.

Tyle śmiertelnych wypadków? Czy to Kelly jest za nie odpowiedzialna? Może Caitlyn? A może ktoś inny? Musi porozmawiać z Caitlyn, a potem pójdzie na policję i powie wszystko, co wie. Najpierw poradzi Caitlyn, żeby wzięła dobrego adwokata. Nie! Nie możesz nic powiedzieć policji, jesteś jej psychoterapeutą.

Ale musi ją przecież ratować. Przed kim?

Teraz wydawało mu się, że próbuje ją ocalić przed nią samą.

Jeśli to w ogóle możliwe.

Wytracony z równowagi, pobiegł do samochodu. Zapadał zmierzch, na niebie migotały miliony gwiazd, a w powietrzu unosił się zapach rzeki. Słysząc było kumkanie żab i bzyczenie owadów. Wydawało się, że panuje absolutny spokój, ale Adam wyczuwał zło. Wszechobecne odwieczne zło. Otworzył bagażnik, szukając szmaty do wytarcia butów, i natrafił na plecak Rebeki, ten, który znalazł w szafie w gabinecie. Zupełnie o nim zapomniał i przez cały czas woził w bagażniku.

Obok koła zapasowego znalazł starą ściereczkę, osuszył nogawki i buty, wytarł ślady błota. Już miał zamknąć bagażnik, gdy niemal bezwiednie wziął do ręki plecak Rebeki. W środku było kilka rzeczy, które zabrał z jej gabinetu i które zamierzał zwrócić. Kartoteki, dyskietki, kilka zdjęć i notatnik. Wyjął wszystko i przyjrzał się dokładniej plecakowi. Zwyczajny płócienny plecak wzmocniony u dołu skórą. Jeden z pasków był postrzępiony, skóra wytarta i miejscami podarta, zamek błyskawiczny nie dawał się zasunąć. Stary plecak w fatalnym stanie. Czy wciąż go używała? Dlaczego nie kupiła nowego? Przywiązanie? Raczej nie. Uwolniła się od mężczyzn, którzy byli kiedyś dla niej ważni, ale zostawiła sobie stary, zniszczony plecak? Nie, to nie w jej stylu. Podniósł plecak i obejrzał ze wszystkich stron w słabym świetle lampki samochodowej. Nagle zauważył coś dziwnego. Skóra na dnie plecaka była rozdarta i przyszyta do płótna.

Rebecce chciało się zszywać stary zniszczony plecak? Więc dlaczego nie zreperowała przy okazji suwaka?

Ścieg był gęsty, rozcięcie zostało przesyte ręcznie kilka razy. Nie miał noża, kluczem wyciągnął i przeciął nitki. Czuł się jak idiota; pewnie nie było w tym żadnej tajemnicy. Wreszcie udało mu się rozpruć szew. Zajrzał do środka. Wewnątrz znalazł głęboko ukrytą

dyskietkę.

Zaschło mu w gardle. W ułamku sekundy zrozumiał, że dyskietka zawiera to, czego szukał - informacje na temat Caitlyn Montgomery Bandeaux.

Reed wrócił na posterunek razem z Metzgerem. Facet miał dwadzieścia pięć kilo nadwagi. Kiedy nie palił, żuł gumę. Miał żonę, piątkę dzieci i zabójcze stężenie cholesterolu. Był jednym z najlepszych gliniarzy, z jakimi Reed kiedykolwiek pracował.

Reed zostawił Diane Moses i jej ekipę w domu Caitlyn. Gdyby pani Bandeaux wróciła, Diane miała ją zatrzymać i natychmiast do niego zadzwonić. Poprosił też o próbki sierści psa i włosów Caitlyn zebranych ze szczotki. Diane obrzuciła go swoim słynnym spojrzeniem, które mówiło „nie ucz ojca dzieci robić”, więc się zamknął. Diane nie była zbyt sympatyczna, ale znała się na swojej robocie.

Gdy Reed i Metzger wjechali na parking, Morrisette i Montoya wysiadali właśnie z nieoznakowanego samochodu Reeda.

- No i jak? - zapytał, ale kwaśna mina Morrisette mówiła sama za siebie. Wrócili z niczym.

- Dupa. Nie znaleźliśmy Hunta ani w jego mieszkaniu, ani w gabinecie. Gabinet zabezpieczyliśmy. Nie udało nam się skontaktować z nikim z rodziny Montgomerych. Troya nie ma w biurze, sekretarka nie chce nic więcej powiedzieć, choć obiecuje zadzwonić do niego na komórkę. Facet pewnie gra w golfa albo jest z jakąś kobietą, z którą być nie powinien. Amandy też nie ma w biurze, wyszła gdzieś na spotkanie z klientem, sekretarka powiedziała, że spróbuje ją złapać. Wygląda na to, że Sugar Biscayne dołączyła do siostry, bo i jej nie można znaleźć, nikt nie widział jej od wczoraj. Hannah nie odbiera telefonu, zastępca szeryfa pojedzie tam i sprawdzi, co się dzieje. Lucille Vasquez wciąż jest na Florydzie? - zapytała Morrisette, a Reed zauważył, że twarz Montoi stężała.

- O ile wiem, tak, chociaż ma przyjechać na pogrzeb Bernedy.

- Kiedy to - pojutrze?

Reed wzruszył ramionami.

- Wkrótce. Rodzina zażądała wydania ciała.

- Wydaliśmy je? - zapytała, gdy ruszyli w stronę komisariatu.

- Tak. Sekcja zwłok została zakończona. Badania toksykologiczne zrobione. Nie ma powodu, żeby nadal trzymać ciało.

- Czy morderca zostawił jakieś ślady? Czy znaleziono coś w pościeli, w pokoju, pod paznokciami?

- Wciąż sprawdzamy.

- Wiecie co, to jest wkurzające. - Morrisette zsunęła okulary na czubek głowy. - Cała pieprzona rodzinka jest nieuchwytna. Postawiliśmy wszystkich na nogi, żeby znaleźć Hunta i Caitlyn Bandeaux, ale dotąd bez efektów.

- Znajdziemy ich.

Reed po raz pierwszy zobaczył, jak Montoya uśmiecha się.

- To się nazywa pozytywne nastawienie.

- Tak - zgodziła się Sylvie. - Zawsze to lepsze niż siedzieć i płakać. Wśród tych kutasów, których aresztujemy, mamy wystarczająco dużo mazgajów. Nic, tylko użalają się nad sobą. Biedactwa. Przecież to nie ich wina, że zeszli na złą drogę. Mieli trudne dzieciństwo, tatuś bił, mamusia piła, nauczyciel się uwziął... W Nowym Orleanie też macie takich?

Kurwa, ja nie mogę. Na świecie pełno jest płaczkliwych dupków. - Nagle zadzwoniła jej komórka. - Morrisette - warknęła do telefonu. - Tak... jesteś pewien?... W porządku... rozumiem. Nie podoba mi się to. Wezwijcie posiłki i aresztujcie go. Już tam jedziemy. - Rozłączyła się, przybrała poważny wyraz twarzy. - Jedziemy - powiedziała, wracając do samochodu. - Namierzono samochód Hunta. Wygląda na to, że jechał do posiadłości Montgomerych. Ja poprowadzę. I, kurwa, nie próbujcie się ze mną sprzeczać.

Kelly szła w cieniu krzaków, czując w dłoni zimną stal pistoletu. Za plecami miała ogromny, stary dom, w którym jaśniało tylko jedno okno, migotało w nim niebieskie światło telewizora; było to okno jej sypialni. Wokół panowała cisza. Złowroga cisza. Wydawałoby się, że nikogo tu nie ma.

Ale ktoś tu był. Czują to i ciarki przechodziły jej po plecach.

Nauczyła się strzelać dawno temu, jej ojciec na to nalegał. Stary sukinsyn. Dostał to, na co zasłużył. Wszyscy zasłużyli, czyż nie? Cameron, który zginął, wracając od swojej kochanki, stracił wtedy panowanie nad kierownicą i jedno ze swoich jaj. Szalona ciotka Alice, która dała się zamknąć w zakładzie i pozwoliła, żeby reszta rodziny sprzątnęła jej spadek sprzed nosa. Potem Charles zabity strzałą prosto w lodowate, nieczułe serce. Charles zdobywca stał się ofiarą... tak, te śmierci nie były przypadkowe. Nawet Josh... Kiedy Kelly straciła odwagę i stwierdziła, że nie jest w stanie go zabić, ktoś przyszedł z pomocą, oszołomił go narkotykami i pociął mu nadgarstki; Caitlyn piła wtedy w barze i nie wie, co się wydarzyło. To był najodpowiedniejszy moment.

Udając Caitlyn, pojechała jej białym lexusem do domu tego sukinsyna. Nadszedł czas, żeby pozbyć się Josha. Dręczyłby Caitlyn przez lata, niszcząc jej poczucie własnej wartości, a Kelly miała już tego dość. Stała więc na progu ze spreparowaną butelką wina. Udawała Caitlyn.

Podstęp okazał się skuteczny, ale wymagał sprytu i zręczności. Musiała też ugryźć się w język, żeby nie kazać sukinsynowi iść do diabła, gdy otworzył jej drzwi ze słowami: „Co tu robisz, do cholery?”

Jezu, co Caitlyn widziała w tym idiocie? Kelly chciała go z miejsca zabić, ale nie zrobiła tego, wczuła się w rolę potulnej Caitlyn.

Stał na progu i powiedział, że nie chce jej tu widzieć. Jednak w końcu łaskawie zgodził się ją wpuścić. Popełnił błąd, prowadząc ją do gabinetu, gdzie na biurku leżał ten cholerny pozew oskarżający Caitlyn o przyczynienie się do śmierci dziecka. Facet zasługiwał na to, żeby zginąć. Co za chciwy kutas. Kelly cieszyła się, że przyniosła ze sobą wino z fałszywą etykietą. Udawała słabą i udręczoną, wyłamywała palce, tak jak Caitlyn, i Josh spuścił trochę z tonu.

Jezu, zakłamany, dwulicowy sukinsyn.

Miała szczęście tamtej nocy. Tak przynajmniej jej się wtedy wydawało. Josh już wcześniej dużo wypił, dlatego był taki miły. Złagodniał, zaproponował jej nawet kieliszek swojego wina, nie odmówiła. A potem otworzył butelkę, którą przyniosła - tę ze śmiertelną zawartością. Patrzyła zafascynowana, jak Josh Bandyta Bandeaux nalewa sobie wina. Nalewa sobie trucizny.

Piła ze swojego kieliszka i przyglądała się, jak on jednym haustem wychyla chardonnaya z siarczynami.

- Twoja wizyta nic nie zmieni - język zaczął mu się trochę plątać. - I tak wniosę ten pozew i... i... - Potrząsnął głową jakby z niedowierzaniem i dolał wina sobie i Kelly.

Gdy wypił kolejny kieliszek, zaczęła się wahać.

Nagle zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Nie chciała być morderczynią. W żadnym wypadku. Nie potrafiła go zabić. Wpadła w panikę.

- Nie pij więcej - powiedziała stanowczo. - Josh, słuchaj, popełniłam błąd. Poważny błąd.

- Popełniłaś wiele błędów, Caitie. - Oparł się ciężko o biurko, na górnej wardze i na czole pojawiły się kropelki potu.

- Chodzi mi o to, że to wino nie jest takie, jak myślisz - przyznała, patrząc mu prosto w oczy. - Potrzebny ci będzie zastrzyk epinefryny.

- Co takiego?

- I to jak najszybciej, Josh.

Omam nie wypuścił kieliszka z ręki. Sięgnął po butelkę i przeczytał etykietę.

- Tyle razy piłem to wino...

- W butelce jest co innego. Słuchaj, nie ma czasu na wyjaśnienia. Wino, które wypieś, zawiera siarczyny.

- Cholera! Otrułaś mnie? Ty... ty pieprzona suko! Caitlyn... czy... Jezu Chryste, kim ty, do cholery, jesteś? Wynoś się! Natychmiast! - Zrobił w jej kierunku jeden chwiejny krok, nagle szybko zawrócił i ruszył do łazienki, gdzie trzymał swój zestaw przeciwwstrząsowy. Przez otwarte drzwi, w lustrze nad umywalką widziała, jak wstrzykuje sobie zbawienny lek.

Nogi się pod nią ugięły. Dobry Boże, czy naprawdę chciała zabić męża Caitlyn? W głowie jej się kręciło... wszystko wirowało. Chyba zaczyna świrować, tak jak jej siostra. Obrazy przed oczami zaczęły się rozmazywać...

Skradając się teraz w ciemnościach, nie mogła przypomnieć sobie nic więcej z tamtej nocy. Tylko tyle, że czuła się dziwnie, umysł miała zmacony, nogi jak z waty. I że chciała stamtąd wyjść. Kątem oka zauważyła, że Josh wrócił do gabinetu, opadł na krzesło przy biurku, ale zanim zdążyła się do niego odezwać, zanim uświadomiła sobie, co się dzieje, potknęła się i... chyba upadła, uderzając o coś głową. Bo nie pamięta, co było dalej, nie pamięta już nic więcej. Później dowiedziała się, że Josh nie żyje.

Z pewnością został zamordowany przez kogoś, kto po kolei mordował wszystkich członków rodziny Montgomerych.

Ktokolwiek za tym stał, wykazał się dużą dozą ironii, ale był też śmiertelnie niebezpieczny. Kiedyś usiłował zabić bliźniaczki, powodując wypadek na łodzi, a teraz próbował zrobić Caitlyn w zabójstwo Josha.

Kelly, skradając się po cichu, z bijącym sercem, minęła potężny dąb. W powietrzu unosił się mocny zapach rzeki i suchej trawy. Hiszpański mech powiewał złowieszczo, wyglądał jak zjawa przytulona do gałęzi. Zaciśnęła zęby, próbując opanować zimny strach. Wyczuła, że nie jest sama. Że w pobliżu czai się zabójca. Uzbrojona w pistolet, komórkę i małą latarkę, którą znalazła w samochodzie, powoli posuwała się naprzód. Włosy zjeżyły jej się na głowie.

Musi być silna.

Nie może się teraz wycofać i stać się na powrót płacziwą Caitlyn. Nigdy więcej. Nie pozwoli już, żeby jej słaba siostra wciąż była ofiarą. Dość tego. Koniec. Podmuchał wiatru, który potargał jej włosy, zdawał się szydzić z jej odwagi.

Lucille mawiała: „Na plantacji są duchy, nie wiecie o tym? Słyszycie je przecież, prawda? Mówią do mnie i do was też mówią”.

Kelly uważała, że to chore gadanie, ale teraz, słuchając szeptu wiatru, patrząc na

tańczący mech, nie była już taka pewna. Zaciśnęła dłoń na pistolecie. Nie ma zamiaru chować się w samochodzie, jak mysz zagoniona w kąt, i czekać, aż ktoś się na nią - przepraszam, na Caitlyn - rzuci. Od czego pistolet Charlesa?

Zadzwonił telefon. Niepotrzebnie zabrała go z samochodu. Ten, kto na nią czyhał, też musiał to usłyszeć. Schowała się za starym budynkiem pompowni, odebrała telefon, ale nie odezwała się. Jakikolwiek hałas natychmiast naprowadziłby na nią zabójcę. Już miała wyłączyć komórkę, gdy usłyszała płacz dziecka. Żalodne rozpaczliwe zawrodo.

- ...Mamusiu? Gdzie jesteś?

Kelly wstrzymała oddech. Serce ścisnęło jej się boleśnie.

Więc na tym to polega. Ktoś sobie pogrywa na uczuciach Caitlyn, na jej macierzyńskiej miłości i poczuciu winy. A głos Jamie służy za przynętę.

Kelly przyłgnęła całym ciałem do drewnianej ściany, łuszcząca się farba drapała ją w szyję.

- Jestem tutaj, kochanie, idę po ciebie - wyszeptała.

- Jest ciemno, boję się.

Kelly rozejrzała się: pomieszczenia gospodarcze, stary garaż, piwnica na owoce... stajnie i stare baraki dla niewolników.

- Wiem, że się boisz, kochanie. Powiedz mi tylko, gdzie jesteś... Mamusia po ciebie przyjdzie. - Starła się mówić drżącym głosem w nadziei, że ten, kto dzwoni, weźmie ją za Caitlyn. Udając płacz, zapytała: - Jamie? Kochanie, możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś?

- Nie wiem... jest... ciemno... strasznie... jest... jest tu... pełno ziemi i szkła i brzydko pachnie... - Zaczęła płakać i przez chwilę Kelly omal nie nabrała się na tę nieudolną sztuczkę z przestraszonym dzieckiem. Omal. Ale nie do końca.

- Mamusiu, proszę, przyjdź tutaj!

- Już idę - wyszeptała. - Mamusia musi się teraz rozłączyć.

- Nie! Proszę... Kocham cię, mamusiu, tak się boję... - Połączenie zostało przerwane.

Kelly zamarła. Nie spodziewała się, że ten ktoś się rozłączy.

Chyba że już ją namierzył.

Cholera.

Ogarnął ją strach. Musi zachować jak największą ostrożność, pozostać w ukryciu. Bezszelestnie minęła szopę i poidło dla zwierząt. Gdzie tu można się ukryć... gdzie można się ukryć w Oak Hill... jakie dostała wskazówki? Czego dowiedziała się od rozmówcy naśladowującego szept dziecka?

Jest ciemno.

Do diabła, wszędzie tu jest ciemno.

Pełno ziemi i szkła i brzydko pachnie.

Piwnice.

Ale tu było kilka piwnic, które...

Nagle doznała olśnienia. Oczywiście, już wie gdzie.

Bawiła się tam, gdy była dzieckiem.

Adam pędził na łeb na szyję. Caitlyn zostawiła mu wiadomość, że jedzie do Oak Hill. Na szczęście zdążył ją jeszcze odsłuchać, ale zaraz potem bateria się wyczerpała. Nawet nie mógł nigdzie zadzwonić! Zaciśnął dłonie na kierownicy. Nie ma czasu do stracenia.

Całe szczęście, że znalazł w plecaku tę dyskietkę. Włożył ją do laptopa i siedząc w samochodzie, w opuszczonej zwirowni, przejrzał notatki Rebeki. Jak to się stało, że nie

zauważył tego, co teraz wydało mu się tak oczywiste? Przejechał przez most z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę i zobaczył drogę do Oak Hill. Jak mógł być tak ślepy!

Rebeka stwierdziła, że Caitlyn cierpi na dysocjacyjne zaburzenie tożsamości, zwane też rozdzieleniem osobowości lub osobowością wieloraką; zaburzenie to nigdy nie zostało u niej rozpoznane. Z czasem pogłębiało się, a po wypadku na łodzi, w którym omal nie zginęła, Caitlyn przejęła osobowość swojej siostry bliźniaczki. Luki w pamięci spowodowane były tym, że okresowo zmieniała osobowość, stawała się Kelly. Caitlyn utrzymywała siostrę przy życiu, dała jej fikcyjną pracę i wynajęła jej dom nad rzeką. Zawsze w stresie, gdy serce zaczynało jej przyspieszać, gdy w żyłach zaczynała buzować adrenalina, Caitlyn stawała się Kelly.

Tak jak wtedy, gdy się kochali.

To nowe odkrycie, jeśli chodzi o dysocjacyjne zaburzenie tożsamości.

Nikt jeszcze nie opisał przypadku, w którym cierpiący na to zaburzenie przejmowałby w całości tożsamość innej istniejącej osoby. Zwykle osobowości wielorakie były słabo zintegrowanym zlepkiem różnych charakterów. Poza tym poszczególne osobowości nigdy się ze sobą nie porozumiewały. Ten przypadek bardziej chyba przypominał schizofrenię. W każdym razie był wyjątkowy. Nic dziwnego, że Rebeka tyle sobie po tym odkryciu obiecywała. Chciała podpisać umowę na milion dolarów na napisanie książki.

Boże, jaki był głupi.

Ślepy.

Bo popełniłeś błąd. Zakochałeś się w swojej pacjentce; w kobiecie, którą chciałeś wykorzystać do odnalezienia Rebeki.

Zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia, ale zacisnął zęby. Nie ma teraz czasu na skruchę. Nie teraz, gdy życie Caitlyn jest w niebezpieczeństwie.

Spojrzał w lusterko wsteczne i zobaczył migające światła radiowozu. Świetnie. Pomogą mu. Jeśli Caitlyn staje się Kelly, która w jakiś sposób może być odpowiedzialna za śmierć Josha, matki i innych członków rodziny, to jest niebezpieczna.

Nie tylko dla niego.

Dla siebie też.

Jezu, nie. Nie może jej teraz stracić. Nie straci.

Nacisnął pedał gazu, przydrożne drzewa migają za szybą.

Policja pędziła za nim, wyjąc i migając światłami.

Adam miał tylko nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

W piwnicy pod barakiem dla niewolników było ciemno choć oko wykol i cicho jak w grobie. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i jeszcze czegoś... czegoś metalicznego. Koily przełknęła z trudem ślinę i ruszyła schodami w dół. Boże, co ją tam czeka?

Stopnie skrzypiały, zdradzając jej obecność. Wreszcie stanęła na klepisku. Spod ściany zabudowanej półkami na wino wydobywał się srebrzysty strumień światła. Nagle usłyszała, jak z ciemnego kąta wybiega szczur. Omal nie upuściła pistoletu.

Weź się w garść, powtarzała sobie, ale przecież wiedziała, że znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie odrywając wzroku od światła, przypomniała sobie, co kiedyś słyszała. Baraki dla niewolników, nieużywane od pokoleń, wiele lat temu zostały wyremontowane, a w piwnicy zaczęto przechowywać wino. W rodzinie krążyła po cichu plotka, że Cameron kazał wybudować tu sekretny pokój, w którym spotykał się ze swoją kochanką. Czy to możliwe? Czy teraz ktoś jest w tym pokoju?

Kelly postanowiła zaryzykować. Wstrzymała oddech i włączyła latarkę, spodziewając się wystrzału i kulki prosto w serce.

Nic się jednak nie stało.

Szybko omiotła światłem puste wnęki, sterty zapomnianych jutowych worków, potłuczone butelki i gruz... wszystko stare, gnijące...

Nagle zamarła. Pośrodku, na brudnej podłodze, na potłuczonym szkłe, leżał króliczek Jamie - pluszak z klapniętymi uszkami, ten, który powinien leżeć na jej łóżku w domu Caitlyn.

Serce jej się ścisnęło na wspomnienie siostrzenicy, niewinnego dziecka. Jak można było zabrać jej najcenniejszą zabawkę i rzucić tutaj! Jak można tak dręczyć nieszczęsną Caitlyn.

Ten, kto to zrobił, jest chorym, perwersyjnym sukinsynem.

Zaciskając zęby, Kelly skierowała latarkę na ścianę. Snop światła ślizgał się po starych butelkach, nagle zobaczyła błysk metalu, ukrytą dźwignię, której o mały włos nie przeoczyła.

Powoli ruszyła naprzód, minęła króliczka i uzbroiła się w odwagę. Z pistoletem gotowym do strzału nacisnęła dźwignię.

Ściana otworzyła się, szybko i bezszelestnie.

Jasne światło oślepiło Kelly.

Zamrugła powiekami i zobaczyła lampy fluorescencyjne, białe ściany, białe meble, błysk nierdzewnej stali.

Kątem oka dostrzegła ruch w ciemnym kącie starej piwnicy. Ktoś wyskoczył spod starych jutowych worków, wzbijając tumany kurzu. Uniósł nad głową gruby kij.

Kelly wycelowała. Strzeliła, a morderca - o Boże, kobieta - uchyliła się i zamachnęła gwałtownie kijem.

Trzask!

Kelly poczuła straszliwy ból rozsadzający czaszkę.

Zachwiała się.

Pistolet wysliznął się jej z ręki.

Komórka upadła na podłogę.

Byle tylko nie stracić przytomności! Kiedy upadła na zimną, wilgotną podłogę, zobaczyła w ciemnościach błysk. Igła. Cienka. Złowróźbna. Śmiertelna. Jak przez mgłę widziała ostrze wbijające się w ramię.

Wydawało jej się, że słyszy w oddali wycie syren. Potem w klinicznie białym pokoju zobaczyła na białej ścianie groteskowe dzieło sztuki - drzewo z długimi, czarnymi i czerwonymi niemi. Do nici przypięte były zniekształcone ciała... okropne zdjęcia. Przeróżające.

- Jestem Atropos, Caitlyn. - Usłyszała znajomy głos. Powoli ogarniała ją ciemność, która miała pochłonąć ją bez reszty.

Atropos?

- Nadeszła twoja kolej. Czas dołączyć do reszty. - Znajoma twarz zbliżyła się do jej twarzy. Wiedziała już, że zginie. - Zgadza się... nadszedł twój czas - powiedziała Atropos ze złowrogim uśmiechem. - Wreszcie spotkałaś swoje przeznaczenie.

Rozdział 33

Musimy tam wejść - nalegał Adam, szalejąc z niepokoju. Tępy policjant trzymał go na muszce. - Natychmiast! Musimy! Tam jest morderca i...

- Proszę się odwrócić, oprzeć ręce o samochód, a nikomu nic się nie stanie. - W jednej ręce trzymał kajdanki.

- Błagam, niech pan posłucha. Ona jest w niebezpieczeństwie. W poważnym niebezpieczeństwie. Caitlyn Bandeaux. To wdowa po zamordowanym Joshu Bandeaux.

- Wiem, kim ona jest. Proszę się odwrócić.

- Niech mi pan wierzy! Nie ma czasu do stracenia!

- Rób, co mówię! - rozkazał policjant, a gdy Adamowi przyszło do głowy, że mógłby wyrwać mu pistolet, ostrzegł: - Nawet o tym nie myśl.

- Ale musimy jej pomóc. Musimy. Chodzi o jej życie!

Gliniarz zawahał się przez moment i rzucił Adamowi jeszcze groźniejsze spojrzenie. Pewnie słyszał to tysiące razy. Więc usłyszy jeszcze parę.

- Błagam, szybko! Zanim będzie za późno. Muszę wejść do środka...

- Nie ma mowy.

- Ale...

- Dość tego! Odwrócić się!

Adam nie miał zamiaru się poddać.

- Proszę zadzwonić do detektywa Reeda z policji w Savannah. Wydział zabójstw. Proszę mu powiedzieć, że Caitlyn cierpi na rozdwojenie osobowości, że jest Kelly Montgomery.

- Co za bzdury - warknął policjant. - Dość tego pyskowania.

- Nie! Jestem jej psychologiem. Ona tutaj jest. Proszę spojrzeć, to jej samochód, niech pan sprawdzi.

Gliniarz spojrział na białego lexusa i znów nieznacznie się zawahał.

- Nie mamy czasu! Proszę zadzwonić do Reeda. Natychmiast!

- Najpierw proszę położyć ręce na masce.

- A potem zadzwoni pan do niego.

- Potem się zastanowię.

- Cholera! - Adam chciał przywalić skurwielowi w mordę, ale wiedział, że to tylko pogorszy sytuację. Odwrócił się z ociąganiem, zrobił, co mu kazano, i dał sobie skuć ręce.

- Proszę, niech pan zadzwoni!

- Najpierw odstawię cię do pudła.

- Nie ma czasu...

- Właż, kurwa, do środka! - Gliniarz otworzył drzwi, położył dłoń na głowie Adama i niemal siłą wepchnął go do radiowozu, na siedzenie pachnące dość podejrzanie. Moczem? Tak, moczem i detergentem. Udało mu się usiąść tak, by móc coś widzieć przez okno. Gliniarz zatrzasnął drzwi i rozmawiał z kimś przez komórkę. Czas uciekał. Mijały cenne minuty, może decydujące o życiu Caitlyn... O Boże, co robić? Że też dał się zamknąć w tym samochodzie.

- Hej! - Zaczął kopać w szybę. - Musimy tam wejść! Ona tam jest!

- Zamknij się! - warknął gliniarz, ale wyciągnął pistolet. Wyglądało na to, że zamierza wejść do domu. Sam. O Boże, tępy dupek nie wie, co go czeka.

Adam kopał jak oszalały.

Przed oczami stanęła mu twarz Caitlyn - twarz Kelly. Wyobraził sobie jej zakrwawioną twarz, blade usta, szklane, martwe oczy patrzące w sufit. Nie! Nie! Nie! Walił butami w szybę, aż usłyszał syreny. Przez tylną szybę zobaczył dwa wozy policyjne.

Odsiecz? Wrogowie? Nie był pewien.

Samochody zatrzymały się z piskiem opon.

Z radiowozu wysiadło trzech policjantów.
Znów zaczął kopać w szybę, żeby narobić hałasu.
Nagle do środka zajrzał gliniarz, ten który go skuł.
- Jeszcze raz, a zakuję cię w kajdany tak, że się nie ruszysz.
- Zawiadomcie Reeda...
- Posłuchajmy, co on ma do powiedzenia. - Usłyszał inny głos. - Jestem Reed. Proszę wyjść z samochodu. I niech pan nie robi nic głupiego.
Adam wytoczył się z tylnego siedzenia i wyprostował. Wreszcie jakiś rozsądny glina.
- W porządku, Hunt. Co nam pan powie?
Obok Reeda stała policjantka, wysunęła do przodu jedno biodro, zapaliła papierosa i przyglądała mu się uważnie. Podała zapalonego papierosa młodemu wysokiemu mężczyźnie w czarnych spodniach i skórzanej kurtce, potem zapaliła kolejnego.
- Caitlyn Bandeaux to Kelly Montgomery. To znaczy wydaje jej się, że nią jest - powiedział szybko. - Cierpi na dysocjacyjne zaburzenie tożsamości i prawdopodobnie na schizofrenię.
- Dysocjacyjne zaburzenie tożsamości? Co to, do diabła, jest? - zapytała kobieta.
- Rozdwojenie osobowości. - Ten w skórze przyjrzał mu się i zaciągnął się mocno papierosem.
- Pierdoły! - mruknął Reed.
Młody policjant zapytał:
- I co z tego, że ma rozdwojenie osobowości? Po co pan nam o tym mówi? - Wypuścił chmurę dymu.
- To może oznaczać, że znalazła się w niebezpieczeństwie. Albo że sama jest niebezpieczna, wszystko jedno! Musimy ją znaleźć. Natychmiast!
- Co nam pan tu mydli oczy!
- Nie - zaprotestował Adam. - Moja była żona... to ona ją zdiagnozowała.
- Pańska żona? - Reed przyjrzał mu się uważnie. Adam był coraz bardziej przerażony. Tracili czas. Uciekały cenne sekundy.
- Rebeka Wade. Przyjechałem tu, żeby ją odnaleźć. To długa historia. Nie ma teraz na to czasu, już wcześniej zdarzało jej się znikać, od lat jesteśmy rozwiedzeni, ale... - Zauważył, że policjanci wymieniają spojrzenia. - Co takiego? O Boże!
- Obawiam się, że mam dla pana złe wieści - powiedział Reed. Ta noc miała być gorsza, niż mu się wydawało.
Adam przygotował się na najgorsze. Wiedział, co zaraz usłyszy. A mimo to nie był gotów na te okropne słowa.
- Znalezione ciało pańskiej byłej żony. Nie ma wątpliwości, że to Rebeka Wade.
- Gdzie? Jak... - Na moment stracił oddech. Rebeka nie żyje? Energiczna, ciesząca się każdą chwilą Rebeka? Nie... O Boże... Zrobiło mu się niedobrze.
- Znaleźliśmy ją w wodzie niedaleko wyspy St. Simons. Leżała tam przez kilka tygodni.
- Ona... - Potrząsnął głową. - Czy ona...?
- Została zamordowana? - zapytał Reed i skinął głową. - Przykro mi - powiedział i położył Adamowi rękę na ramieniu.
Na myśl o tym, że Rebeka została zamordowana, Adama przeszedł dreszcz. Różnili się, często się kłócili, ale była przecież tak pełna pasji i życia. Adam zacisnął powieki. Nie spodziewał się, że to aż tak zaboli. Ale wiedział, że jeśli nie zacznie szybko działać, ten sam los może spotkać Caitlyn.

- Musimy... musimy ją znaleźć - powiedział. - Caitlyn... musimy ją znaleźć, zanim będzie za późno.

- Zgoda. - Reed spojrział na policjantów. - Chodźmy. Zanim zostanie popełnione kolejne morderstwo. A pan niech wsiada do samochodu.

- Ale...

- Proszę nie dyskutować. - Spojrział na olbrzymiego policjanta, który skuł Adama. - Zostań z nim i wezwij posiłki.

Potem, zanim przeklęty psycholog zdażył zaprotestować, ruszył z Sylvie i Montoyą do tonącego w ciemnościach domu. Unosił się w nim zapach śmierci. Usłyszeli muzykę, jakąś dziwną piosenkę. Reed miał złe przeczucia, coraz gorsze w miarę jak zaglądał do kolejnych ciemnych pomieszczeń. Weszli po schodach na górę i przez otwarte drzwi do sypialni.

- Skurwysyn. Pierdolony skurwysyn - wyrzuciła z siebie Morrisette, patrząc na łóżko. Po ciałach posypanych czymś białym, chyba cukrem, pełzało robactwo.

- Sukinsyn. - Montoyą zacisnął usta w wąską kreskę. Chyba nie po raz pierwszy widział taką scenę.

Gdy Morrisette rozpoznała Sugar i Cricket Biscayne, najpierw zaniemówiła, a potem zaklęła tak siarczyście, że gdyby musiała wrzucić za to pieniądze do skarbonki, nie wyplaciłaby się do końca życia.

- Co za chory sukinsyn?! - zapytała. - Cukier i świerszcze. Takie miały przezwiska... o Boże, wykończmy tego świra.

- Najpierw musimy go znaleźć. Albo ją - powiedziała Reed. - Wezwijcie ekipę do zabezpieczenia śladów. - Wyjrzał przez okno w ciemną noc. - Chodźmy. Jeszcze nie skończyliśmy. Może znajdziemy więcej ciał.

- Jezu - wyszeptała Morrisette.

- Albo zabójcę - dodał Montoyą.

- Racja. Chodźmy. Może uda nam się znaleźć Caitlyn Bandeaux.

- Jeśli nie jest za późno - wyszeptała Morrisette i Reed ze zdumieniem zobaczył, że kreśli na piersiach znak krzyża.

- To ona mogła to zrobić - przypomniał im trzeźwo Reed. Kto to, do diabła, wie? Adam Hunt uważa, że Caitlyn ma rozdwojoną osobowość. To wiele wyjaśniało, ale Reed nie był do końca przekonany. To jakiś psychologiczny bełkot. Jedno, co wiedział, to to, że Caitlyn może być morderczynią.

Albo ta druga, która kryła się pod tą samą postacią.

Ta druga mogła być też wygodną wymówką.

Dopóki nie znajdzie Caitlyn Montgomery Bandeaux, nie będzie niczego przesądzał.

W głowie jej wirowało, zawieszona między życiem a śmiercią raz była Caitlyn, raz Kelly. Leżała na biurku w białym pokoju. Jaskrawe lampy fluorescencyjne oświetlały podłogę wyłożoną płytkami i przykrytą brezentem.

Caitlyn miała otwarte oczy, ale prawie nie mogła się poruszać, z ust ciekła jej ślina, leżała z przekrzywioną głową, policzek spoczywał na zimnym blacie biurka... w takiej pozycji zginął Josh. Pokój wirował, ale jak przez mgłę udało jej się zobaczyć oprawczynię

- Atropos. Krzątała się pracowicie, odmierzała nitki, cięła je długimi nożyczkami. Atropos, pieprzona gadka, pomyślała Caitlyn. Morderczynią, która właśnie mówiła coś sama do siebie, była Amanda, siostra Caitlyn. Miała na sobie fartuch chirurgiczny,

lateksowe rękawiczki, ochronne pantofle i czepek, pod którym schowała włosy.

Caitlyn nie mogła w to uwierzyć. Nie chciała uwierzyć. Amanda, do której zwracała się po pociechę i radę.

Więc to Amanda popełniła te wszystkie okrutne morderstwa?

Amanda? Niemożliwe. Amanda też została zaatakowana. Ale przeżyła. Drzewo, w które uderzyła, było jedynym drzewem w okolicy. Mogła upozorować zamach na swoje życie. Nie, to szaleństwo! Caitlyn czuła pulsujący ból głowy. Nie mogła się ruszyć.

Amanda spojrzała na nią i dopiero teraz Caitlyn zdała sobie sprawę, że jej starsza siostra, splatając czerwone i czarne nici, mówi do niej.

- ...więc widzisz Caitlyn... a może Kelly? Czasami trudno was odróżnić. Kiedy tu przysłaś, byłaś zdecydowanie Kelly.

Co? Kelly jest tutaj? Gdzie?

Amanda przyglądała się Caitlyn w zamyśleniu.

- Musisz być Caitlyn, bo zdaje się, że nic nie rozumiesz. Nawet nie pamiętasz, że Kelly naprawdę nie żyje. Nawet nie wiesz, że czasami stajesz się nią.

Słowa Amandy nie miały sensu, a mimo to, jakąś częścią umysłu, Caitlyn musiała się z nią zgodzić.

- Tak, Caitie-Did, jesteś wariatką. Siedzą w tobie co najmniej dwie osobowości. Kiedy myślisz, że jesteś Kelly, wyglądasz, jakbyś w to wierzyła. I jeszcze ten stary domek... Jezu, ten po drugiej stronie rzeki i te twoje zaniki pamięci. Dopadła cię klątwa Montgomerych. Nie wiedziałaś?

Mylisz się, chciała powiedzieć, to ciebie dopadła. To ty jesteś szalona. To ty masz podwójną osobowość. Amanda i Atropos.

- W każdym razie ci, którzy mieli zginąć, wszyscy pretendenci do fortuny Montgomerych nie zostali tak po prostu zabici. Ich śmierć była zawsze zaplanowana... starannie przygotowana. A wszystko to dzięki mnie. Bo ja jestem Atropos. - Zaczęło się od Parkera. Zabiłam go. Był moim pierwszym i to był... - Zręczne palce Amandy zatrzymały się na moment, gdy zaczęła się zastanawiać. - No cóż, to był właściwie przypadek.

O Boże, Amanda zabiła małego Parkera. Caitlyn omal nie zwymiotowała. To było takie okropne. Takie dziwaczne.

- ...Uduśliłam go, gdy nikt nie widział. Dziecinnie proste - powiedziała Amanda, przypominając sobie zdarzenie z przeszłości. - I naprawdę wyświadczyłam wszystkim przysługę. Cały czas płakał, ciągle miał kolki i... był jak wrzód na tyłku. Wrzaskliwy, zepsuty bachor. Nie mogłam uwierzyć, że matka urodziła kolejne dziecko, po tym jak... No przecież wiesz, że Cameron, kochany tatuś, pieprzył się z innymi. A mimo to wciąż miał czas zrobić matce brzuch i spłodzić kolejnych Montgomerych.

Amanda spojrzała na Caitlyn.

- Możesz to sobie wyobrazić? Mieć dziecko z facetem, który pieprzy swoją przyrodnią siostrę? - Twarz Amandy spochmurniała, usta wykrzywiły się z obrzydzenia. - I to jeszcze nie wszystko. Copper też miała dzieci. Cameron nie potrafił utrzymać kutasa w spodniach. I nie miał zielonego pojęcia o antykoncepcji. Nasz ojciec był chorym sukinsynem. Umiał tylko płodzić kolejne dzieciaki. Z dwiema kobietami! Co za zwyrodniały dupek. Zasłużył sobie na śmierć.

Przegryzła nitkę zębami i spojrzała z dumą na swoje dzieło.

I najwyraźniej zebrало jej się na zwierzenia. Caitlyn rozpaczliwie pragnęła zachować

jasność umysłu.

- Wiesz, Copper nie była jedyna. Tatuś miał jeszcze inne kochanki. - Wysunęła szczękę, przyglądając się siostrze. - Nawet zawsze wierna Lucille mu się nie oparła. Założę się, że nie wiedziałaś. Też bym nie wiedziała, ale podsłuchałam ich rozmowę. Prawdę mówiąc, to była przygoda tylko na jedną noc, a tu bach, zaszła w ciążę.

Caitlyn słuchała wstrząśnięta. Co ta Amanda mówi? Boże, czy ta chora kobieta naprawdę jest jej siostrą, dziewczynką, z którą dorastała?

- Tak, Marta Vasquez, córka Lucille, była naszą siostrą przyrodnią. Ale Lucille udało się przekonać wszystkich, że Marta jest dzieckiem jej byłego męża. Jak myślisz, dlaczego Lucille wyjechała tak szybko po śmierci mamy? Bo zorientowała się, co jest grane. Wiedziała, że ktoś zabija wszystkich związanych z klanem Montgomerych. Tu to miałam szczęście. Marta była na tyle głupia, żeby przyjść do biura, w którym pracuję; wiedziała, że to nasza firma zajmuje się testamentem ojca. Miała zamiar go podważyć, ponieważ dowiedziała się, że też należy do rodziny. Domyślałam się, że Lucille wreszcie powiedziała jej prawdę. Głupia dziewczyna, zamiast pójść do kogoś innego, zaczęła ode mnie. Na szczęście nikt nie wiedział, że się spotkałyśmy. Więc... musiałam improwizować. - Amanda spojrzała na okropne drzewo z połamanymi gałęziami, wśród których było również zdjęcie Marty z dzieciństwa.

Caitlyn poczuła narastające mdłości.

Amanda pokiwała głową, jakby próbowała przekonać samą siebie.

- O tak, Marta musiała odejść. Tak jak i pozostali. - Zawahała się i po chwili dodała: - Tatuś też.

Caitlyn z trudem nadażala za jej wywodem, ale Amanda ułatwiła jej zadanie.

- Tak, zabiłam go. Nie wiedziałaś, prawda? Nikt nie wiedział. Tylko ja. Byłam z nim wtedy w samochodzie, chwyciłam cholerną kierownicę, przekreśliłam i wpadliśmy do rzeki. Trochę pomogło mi, że był pijany, ale - uśmiechnęła się chytrze - najlepsze, że pomajstrowałam wcześniej przy jego pasie bezpieczeństwa. - Spojrzała na Caitlyn, jakby spodziewała się podziwu. - Chociaż z pasem to była prosta sprawa. Dopiero obcięcie jądra to było coś. Mówię ci, musiałam wypłynąć na powierzchnię, a potem zanurkować kilka razy. Dobrze, że potrafię na długo wstrzymać oddech.

Wysportowana Amanda. Oczywiście. Potrafiła pływać, strzelać, biegać, wiosłować... i jeszcze wiele więcej. Zawsze najlepsza. Caitlyn zadrzała. Przypomniała sobie Sugar i Cricket leżące w jej łóżku... pokryte pelzającym robactwem, ich oczy, usta wygryzione. To Amanda je zabiła... wszystkich zabiła.

To samo czekało teraz Caitlyn. To tylko kwestia czasu. Na samą myśl żołądek podszedł jej do gardła.

Amanda westchnęła.

- Zawsze byłaś takim mięczakiem, Caitie. Słaby charakter, co? Kiedy zniknęła Kelly, zmieniłaś się. Ach tak, tym też się zajęłam. Chciałam, żebyście obie zginęły, ale Kelly utonęła, a ty się uratowałaś i przejęłaś jej osobowość. Dziwne, że tylko ja się zorientowałam. Ale reszta rodziny była w takim szoku... Twoja choroba właściwie mi pomogła. Teraz miałam kozła ofiarnego - zawsze, gdy zabijałam, starałam się, żebyś i ty była na miejscu zabójstwa. Sprytne, nie sądzisz?

Ty suko!

Słowa te wydały jej się jakieś obce. Tak jakby pochodziły od kogoś innego - czy to Kelly daje o sobie znać? Nie... Kelly nie zginęła... Ależ tak. Wiedziałaś o tym od dawna, tylko

nie potrafiłaś się z tym pogodzić.

Nie. Ja jestem Kelly.

Co? Nie... ty jesteś Caitlyn. Od zawsze o tym wiedziałaś. Postaraj się zachować przytomność, nie pozwól, żeby Kelly przejęła kontrolę. Musisz być świadoma. Walcz. Musisz się ratować. Caitlyn zadrzała, udało jej się nie zamknąć oczu i zauważyła, że umysł jej się rozjaśnia. W głowie wciąż pulsowało, ale widziała coraz wyraźniej.

Usłyszała hałas i spojrzała na podłogę. O Boże. Hannah, biedna Hannah była skrepowana, oczy miała wielkie jak spodki, po twarzy ściekał jej pot.

Żyje! Żyje! Przez sekundę Caitlyn zobaczyła promyk nadziei, który jednak zgasł szybko. Amanda nie pozwoli im uciec. Cięła czerwone i czarne nitki, kolejny spleciony sznurek, który powiesi na makabrycznym drzewie. Hannah nie wyglądała na otumanioną narkotykami, była po prostu niezmiernie przerażona.

Myśl, Caitlyn, myśl! Musisz ją uratować. I siebie. Musicie się wydostać z tego pokoju. Szybko!

- Ach... - Amanda zauważyła, że siostry wymieniają spojrzenia. - Chyba nie wiedziałaś, że Hannah też tu jest. Czekala na ciebie. Pokazałam jej też tamte dwie - wiesz, te w twoim pokoju, Sugar i Cricket. Po co pchały cholerne nosy w nie swoje sprawy?

Rozległ się jęk zakneblowanej Hannah.

- Zamknij się! - Amanda kopnęła ją, a potem znów spojrzała na Caitlyn. - Zawsze była rozwydrzona. Pyskowała. Ona też oberwie. I Troy... jeszcze nie zaplanowałam dokładnie. Nie będę mogła zrobić cię w to zabójstwo, więc upozoruję jakiś okropny wypadek, coś takiego jak ten pożar, w którym zginęła Copper Biscayne. - Podniosła brwi, dając do zrozumienia, że zabiła również Copper.

Hannah, jęcząc głucho, próbowała przetoczyć się po podłodze.

- Powiedziałaś, żebyś się zamknęła! Chcesz dostać taki sam zastrzyk jak Caitlyn? Jezu, od samego początku zachowujesz się nieznośnie, odkąd zadzwoniłam z domu Caitlyn i udając ją, zaprosiłam cię na kolację do restauracji. I - dodała z perwersyjnym uśmiechem - och, nigdy nie dotarłaś do tej restauracji. Zaginęłaś, prawda? Nikt nie mógł znaleźć biednej Hannah i nawet jej starsza siostra, Amanda, szalała z niepokoju. - Amanda zaśmiała się. - Nie odgrywaj mi tu ofiary. To nie jest mamy horror klasy B.

Hannah mrugała gwałtownie. Była przerażona, oczy miała pełne łez. Caitlyn miała ochotę skulić się, udac, że to tylko sen i że zaraz się obudzi...

Przestań! Na litość boską, Caitie-Did! Nie ma czasu na rozczulanie się nad sobą. Musisz się ratować. Musisz uratować Hannah. Musisz mnie uratować. W głowie Caitlyn huczał głos Kelly.

Co mogłaby zrobić... co? Myśli gonily jak szalone, szukając ratunku. Patrzyła to na przerażoną Hannah, to na przeraźliwie spokojną twarz Amandy... Atropos, która wciąż spletała czerwone i czarne nici.

- Wiesz, wszystko sobie obmyśliłam - powiedziała, jakby zdradzała Caitlyn wielki sekret. - Zawsze zabijałam ich po tym, jak wcześniej spotkali się z tobą. Pamiętasz, jak odwiedziłaś ciotkę Alice Ann? Pamiętasz, jak mi o tym opowiedziałaś? A potem te zamachy na życie Amandy. Zadbałam o to, żebyś wcześniej była w garażu, żebyś dotknęła jej samochodu, żeby znalazły się na nim twoje odciski palców. Musiało to wyglądać jak zamach na jej życie - powiedziała, a Caitlyn zauważyła, że Amanda jest teraz Atropos - morderczynią, zupełnie inną osobowością.

No, Caitlyn, spróbuj się ruszyć. Spróbuj, do cholery!

- Wiedziałam, że nie będziesz nic pamiętać. - Atropos oderwała na chwilę wzrok od swoich nitek. - Nie powinnaś mi mówić o swoich spotkaniach z psychologiem. Ostrzegłam mnie. Wiedziałam, że coś się dzieje, że się zmieniasz, stajesz się silniejsza, ale nie wiedziałam, co jest grane, dopóki nie zobaczyłam, jaka zaszła w tobie zmiana po tych seansach hipnotycznych. Raz widziałam na własne oczy, jak zmieniasz osobowość. Dziwne uczucie, naprawdę byłam pod wrażeniem. Zorientowałam się, jak można sprowokować w tobie taką przemianę, jak można sprawić, że serce zacznie ci szybciej bić, jak przywołać Kelly, gdy będzie mi potrzebna. Ale domyśliłam się też, że Rebeka Wade odkryła twoje rozdwojenie osobowości, więc włamałam się do jej gabinetu. Faktycznie, wszystko było w komputerze. Zrozumiałam, że zamierzała napisać o tobie książkę, byłaś niezwykle przypadkiem. Więc ona też musiała za to zapłacić. To było ciekawe doświadczenie, wrzucić jej narkotyk do kawy, o nie, zaraz, to nie była zwykła kawa. - Zawahała się i podparła brodę palcem. - To była duża kawa z odtłuszczonym mlekiem i z lekką pianką, tak mi się wydaje. - Znów się zaśmiała, rozbawiona swoimi słowami. - Podobał ci się mój pomysł zapożyczony od mafii? Obciąłam jej język, żeby przestała nim mleć, choć i tak przecież już nie żyła.

O Boże, nie. Rebeka też!

Caitlyn poczuła coś. Jakieś mrowienie. Czy to jej wyobraźnia, czy rzeczywiście może ruszać palcem?

Nie słuchaj jej. Rusz się, na litość boską. Rusz się. To twoja jedyna szansa. Głos Kelly krzyczał w jej głowie.

- Ale notatki pani psycholog pomogły mi - ciągnęła. - Podpowiedziały mi, jak przywołać Kelly. Więc znalazłam sposób na wywołanie u ciebie przyspieszonego oddechu i zwiększenie ciśnienia. Wtedy zjawiała się Kelly. A ty nie pamiętałaś, co się z tobą działo. I nie miałaś alibi.

Hannah zajęczała przeraźliwie.

- Sprytnie? - zapytała Amanda, zawiązując sznurek.

Nie, ty wariatko. Psychiczne. Chore. Okropne. Amanda zabiła tylu ludzi, torturowała ich, wykorzystywała, a potem chciała zrobić w to Caitlyn. Ale Caitlyn odzyskała właśnie czucie w nogach i rękach. Nie uniosła głowy i nie dała nic po sobie poznać. Na razie, dopóki nie odzyska sił, lepiej udawać niezdolną do żadnego ruchu.

- A teraz musisz umrzeć tutaj, w tej kryjówce... Zeznam, że było odwrotnie, że to ty mnie tu uwięziłaś. Spójrz. - Podniosła rękę i pokazała śluzę na nadgarstkach. - Kajdanki - wyjaśniła. - Będzie to wyglądało, jakbyś przykuła mnie do barierki w piwnicy. Uwolniłam się, potem była szarpanina, porzucaliśmy stoły, a w końcu cię zabiłam. W obronie własnej, oczywiście.

Zawiązała kolejny sznurek. Czas uciekał.

- Ułatwiłaś mi zadanie... a może to była Kelly... dokonując zamachu na życie Josha. Nie wiedziałaś, że przyjechałam tam przed tobą i widziałam, jak Josh pije wino. Gdy nie patrzył, dodałam mu do wina narkotyk. Uciekłam na patio i obserwowałam. I wiesz co? Wtedy pojawiłaś się ty. Josh nie domyślał się, że w jego winie jest narkotyk, więc nalał ci kieliszek. Świetnie, upiekłam dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Z podziwem patrzyła na swoją pracę. Caitlyn starała się nie ruszać. Zaczynała czuć mrowienie w kończynach, wracało jej czucie w rękach i stopach.

- Wiesz - powiedziała Amanda - sposób, w jaki zginął Josh, był idealny. Nie uważasz? Josh, krwiopijca, sam stracił życiodajną krew. - Skończyła zaplatanie. Caitlyn uważniej

przyjrzała się siostrze. Jak ona mogła mordować wszystkich po kolei, tak metodycznie, z zimną krwią!

- ...z małą Jamie nie było łatwo.

Co? Jamie?

Nie, o Boże... Nie! Nie! Nie! Jej ciałem wstrząsnął ból, szarpał ją wściekłym i pazurami, wdzierał się w każdy zakątek umysłu. Tylko nie dziecko. Proszę, proszę, nie moje ukochane, najdroższe dziecko.

Caitlyn drżała, czuła, że traci świadomość. Nie... nie teraz, nie może się teraz poddać. Nie pozwoli dojść Kelly do głosu. Musi walczyć. Musi wygrać. Caitlyn zawsze była słaba, ale teraz nie zrezygnuje. Nie!

- I tak by umarła - kontynuowała Atropos z błogim uśmiechem. - To wspaniałe dziecko, ale wiemy przecież, że była poważnie chora, że nie było już nadziei.

Serce Caitlyn zamarło. Jak ten potwór może to mówić, tak zimno, tak obojętnie?

- Zrobiłam to z przykrością. Ale musiałam jej pomóc, tak jak matce. Wiesz, że była spadkobierczynią. Przeszkadzała. Zanim to zrobiłam, nagrałam Jamie na taśmę. Leżała w szpitalu i była przerażona. Zesłaś na dół na obiad, to był jedyny moment, kiedy została sama. „Odwiedziłam” ją z dyktafonem w kieszeni. W telefonie słyszałaś głos Jamie i mój udający ją. - Przerwała na moment i dodała wystraszonym głosem: - Mamusiu... mamusiu... gdzie jesteś?

Caitlyn próbowała krzyczeć, próbowała się ruszyć. Jej dziecko! Jej własna siostra zabiła jej dziecko! Poczowała przyływ adrenaliny. Ogarnęła ją wściekłość. Palce zacisnęły się na krawędzi biurka.

Hannah wydała z siebie stłumiony jęk.

- Jesteście takie żalosne. Aż trudno uwierzyć, że mamy wspólne geny. - Spojrzała gniewnie na Hannah, a potem wycelowała palec w Caitlyn. - Teraz ty jesteś problemem. Caitlyn? Kelly? Bliźniaczki. Dwie osoby w jednym ciele? - Amanda zaczęła przemierzać pokój. - Myślę, że najlepiej byłoby przeciąć cię na pół. Przez sam środek. I ułożyć połówki osobno. Ale zrobiłby się straszny bałagan... Już raz narobiłam takiego bałaganu. Utoczenie krwi Josha i rozpryskanie jej w twoim pokoju... myślisz, że to takie łatwe? Byłaś nieprzytomna, a potrzebowałam odcisku twojej dłoni. Na szczęście rozbiłaś sobie nos, gdy upadłaś w gabinecie Josha. Założę się, że wpadłaś w panikę, gdy obudziłaś się następnego ranka, prawda? Myślałaś, że za dużo wypiałaś? - Zaśmiała się szatańsko. Caitlyn przeszedł dreszcz, ale próbowała wziąć się w garść. Mogła się ruszać. Z dużym trudem, ale mogła. Odzyskiwała ostrość widzenia i wydawało jej się, że poza monotonnym głosem Amandy słyszy też czyjeś kroki. Ale to chyba tylko złudzenie.

- Caitlyn, nigdy więcej nie pozwól, żeby ktoś dosypał ci narkotyk do drinka. Traci się wtedy świadomość i pamięć. - Uśmiechnęła się i stanęła obok potwornego drzewa rodowego. - Zresztą my śle, że nie będziesz już musiała się o to martwić. Już o nic nie będziesz się martwić. - Hannah stopniowo przesuwiała się w stronę Amandy. Spojrzała na Caitlyn, która mrugnęła, mając nadzieję, że siostra zrozumie.

Amanda nie przerywała swojej paplaniny, ale jej słowa ledwie docierały do Caitlyn. Skoncentrowała się na próbach poruszenia palcami rąk i nasłuchiwała. Czy to schody skrzypnęły? Omal nie podskoczyła... i poczuła, że odzyskuje kontrolę nad własnym ciałem. Jeśli spróbuje... W skupieniu próbowała podnieść palec prawej ręki.

Hannah zobaczyła ten ruch i zamarła.

Amanda patrzyła z podziwem na swoją pracę.

- A teraz - powiedziała do Caitlyn - najprzyjemniejsza część. Atropos przetnie nic. - Długimi nożyczkami chirurgicznymi przecięła czerwono-czarny sznurek.

Caitlyn znów udało się poruszyć jednym palcem. Z dużym trudem.

- Świetnie - powiedziała Amanda, odłożyła nożyczki na biurko i odwróciła się w stronę groteskowego drzewa. - Wkrótce dołączysz do pozostałych.

Nie, jeśli ja wkroczę do akcji! W głowie zabrzmiał jej głos Kelly. Rusz tą pieprzoną ręką, Caitlyn! Chwyć za nożyczki!

Caitlyn napięła mięśnie i przesunęła powoli rękę. Amanda stała odwrócona do niej plecami. Najwyraźniej myślała, że Caitlyn nie jest w stanie się ruszyć, nie zauważyła też, że Hannah podpełzła powoli w jej stronę. Na tyle blisko, że Amanda mogłaby się o nią potknąć przez nieuwagę.

- Co robisz? - zapytała nagle, patrząc na Hannah. - Nic do ciebie nie dociera. Chyba muszę dać ci nauczkę. - Sięgnęła po nożyczki i podniosła je szybkim ruchem. - Może powinnam ci pokazać, co się stało z Joshem?

Hannah potrząsnęła głową i zaczęła odsuwać się w panice.

- Wykrwawił się na śmierć, po kropelce. - Hannah skuliła się za biurkiem. Nad nią leżała Caitlyn.

Amanda pochyliła się, ale nie rozwiązała Hannah rąk, nie sięgnęła do jej nadgarstków, chwyciła ją za włosy i szarpnęła, odsłaniając szyję.

O Boże!

Pistolet! Gdzie jest ten cholerny pistolet Charlesa?

Caitlyn rozglądała się w popłochu, zobaczyła go w rogu brezentowej płachty, rozpaczliwie daleko. Nie da rady go szybko podnieść. Narkotyk przestawał działać, ale bardzo powoli. Wciąż nie była w stanie się ruszyć. Pokiwała delikatnie palcami u nóg. Nie mogła dłużej czekać. I nie mogła też dosięgnąć tego cholernego pistoletu. Amanda kreśliła linię na szyi Hannah, która zaczęła płakać i skomleć.

- Patrz Caitlyn. Widzisz? - zapytała Amanda. - Będiesz następna. Ten brezent jest po to, żeby nie pobrudzić podłogi. Jak tylko uporam się z Hannah, zajmę się tobą. Za chwilę.

Rozwarła nożyczki. Ostrza błysnęły groźnie. Powoli, zwiększając napięcie, Amanda przyłożyła ostrze do białej szyi Hannah. Na skórze pojawiła się kropla krwi.

Teraz albo nigdy.

Zrób coś. Natychmiast coś zrób!

Caitlyn napięła mięśnie. Gwałtownie wyciągnęła rękę. Kątem oka Amanda dostrzegła to i szybko pociągnęła ostrzem, trysnęła krew. Amanda rzuciła się do Caitlyn z uniesionymi nożyczkami.

- Ty mała suko! Myślałaś, że ci się uda?

Ostrza opadły, skierowane prosto w twarz Caitlyn. Cudem dźwignęła się i przetoczyła, a nożyce uderzyły z całą siłą w biurko. Kopnęła Amandę w brzuch.

Zaskoczona Amanda zatoczyła się do tyłu i potknęła o Hannah, krztuszącą się i plującą krwią. O Boże, to już koniec!

Za ścianą rozległy się głosy.

- Co do cholery? - warknęła Amanda.

- Policja. Otwierać!

- Cholera! - Amanda chwyciła pistolet, oczy błyszczały jej wściekle. Spojrzała na Caitlyn. - To twoja wina, prawda? Ty ich tu sprowadziłaś - syknęła.

- Policja! Otwierać natychmiast!

- Pieprzcie się - mruknęła Amanda i wycelowała pistolet w głowę Caitlyn. - Nie tak to zaplanowałam, Caitie-Did, ale to musi mi wystarczyć.

Hannah przetoczyła się z piskiem w stronę Amandy, plamiąc krwią brezent.

Caitlyn chwyciła nożyczki i rzuciła się na siostrę.

Niezdarnie. Nieudolnie.

Amanda potknęła się, przewróciła na Hannah, a Caitlyn na nią.

Wystrzelił pistolet. Ogłuszający huk wstrząsnął całym pokojem.

Caitlyn poczuła ostry ból w brzuchu. Z całej siły pchnęła nożyczki głęboko w szyję Amandy i przetoczyła się na bok.

Trysnęła fontanna krwi, rozległ się przeraźliwy krzyk Amandy.

Drzwi runęły i do pokoju wpadli policjanci.

Caitlyn z trudem łapała powietrze, wiła się z bólu. Hannah, Boże, proszę, nie pozwól jej umrzeć!

Policjanci wycelowali pistolety w Caitlyn. Ogarnęła ją ciemność, kojąca ciemność, jak balsam na brzuch rozrywany bólem.

- Wezwijcie karetkę - krzyknął ktoś. Głos brzmiał znajomo. Reed. Tak, detektyw Pierce Reed.

- Już jedzie - odezwała się kobieta.

- Potrzebujemy lekarza! Jezu, one wszystkie wykrwawiają się na śmierć!

Głosy dobiegały z oddali, powoli traciła przytomność. Przed oczami jak w kalejdoskopie migały jej obrazy. Kelly jako dziecko, śmiejąca się, drocząca się z nią, biegnąca w słońcu, potem eksplozja, wybuch ognia i światło rozjaśniające noc... Griffin zwierający się w lesie ze swoich sekretów... Babcia z zimnymi oczami i jeszcze zimniejszym dotykiem... Leżący w lesie i krwawiący Charles, który już nigdy więcej nie przyjdzie w nocy do jej pokoju i Jamie, słodka Jamie latem na plaży... a potem Adam. Przystojny. Silny. Ciepły. Z zagadkowym uśmiechem... mądrymi oczami... Ścisnęło ją w gardle. Wyobraziła sobie, co powiedziała by Adamowi, gdyby tylko dano jej szansę jeszcze z nim porozmawiać.

Proszę... Adamie... przepraszam, że nie byłam silniejsza.

Rozdział 34

Adam chodził nerwowo po wykładzinie w pustej szpitalnej poczekalni, między usychającą palmą a oknem wychodzącym na parking.

Od strzelaniny minęło dwanaście godzin. Caitlyn przeżyła. Usunięcie kuli z brzucha wymagało skomplikowanej operacji, zabieg trwał cztery godziny. Amanda nie żyła. I dobrze, pomyślał ze złością Adam. Amanda Montgomery zamordowała i torturowała tylu ludzi.

Życie Hannah wisiało na włosku, transfuzje niewiele pomagały. Pomodlił się za nią i za Caitlyn.

Martwił się o Caitlyn. Była taka delikatna, wrażliwa. Jak ona to wszystko zniesie? Zabiła siostrę. Jak sobie z tym poradzi? I ze świadomością, że jej własna siostra wymordowała prawie całą rodzinę, również małą Jamie? Jak zareaguje, gdy dowie się, że cierpi na dysocjacyjne zaburzenie tożsamości i prawdopodobnie również na schizofrenię? Podrapał się w brodę, poczuł dwudniowy zarost.

Dręczyło go poczucie winy. Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju, rozdzierały duszę. Od samego początku powinien być z nią szczery, powinien zaryzykować i zgłosić

na policji zaginięcie Rebeki. Może wszystko potoczyłoby się inaczej. Może udałoby się ocalić czyjeś życie. Może nie byłoby tej jatki. Może Caitlyn nie musiałaby cierpieć.

Matko Boska, schrzanił sprawę. Gdyby tylko...

- Doktor Hunt? - Podeszła do niego pielęgniarka.

Gwałtownie podniósł głowę.

- Tak.

- Pani Bandeaux obudziła się i właśnie przesłuchuje ją policja. Pytała o pana.

- Chodźmy. - Adam poczuł niewymowną ulgę.

Pielęgniarka nie poruszyła się, patrzyła na niego przenikliwie.

- Musi pan wiedzieć, że może pan tam wejść tylko na kilka minut. Lekarz chce, żeby odpoczęła.

- Oczywiście.

Pielęgniarka uśmiechnęła się.

- Pokój 307. Windy są w końcu korytarza, za rogiem.

- Dziękuję. - Ruszył prawie biegiem w stronę wind. Nie chciał czekać ani sekundy dłużej. Chciał ją zobaczyć, przekonać się na własne oczy, że przeżyła to piekło. Że naprawdę jest sobą, że rozumie swoją sytuację i że... do diabła, za dużo tego.

Nie poczekał na windę, popędził schodami na drugie piętro, przeskakując po dwa stopnie. Okazał się krótkowzrocznym głupcem. Co powie Caitlyn, gdy go zobaczy? Musi powiedzieć jej prawdę. Całą prawdę.

Gwałtownie otworzył drzwi na korytarz, skręcił i omal nie wpadł na Reeda. Detektyw kiepsko wyglądał, włosy miał w nieładzie, krawat przekrzywiony, oczy zaczerwienione. Adam wyglądał pewnie tak samo.

- Mam nadzieję, że już skończyliście.

- Skończyliśmy. Ale chciałem zadać panu jeszcze kilka pytań, żeby wyjaśnić wszystkie wątpliwości.

- Dobrze, ale najpierw...

- Tak, niech pan do niej idzie. Pójdę kupić kawę w barku, jeśli oczywiście dziennikarze mi pozwolą. Wszyscy rzucili się na tę sprawę. - Potrząsnął zmęczony głową. - Właściwie to interesowali się nią od samego początku. Spotkamy się na dole.

- Dobrze. - Adam skinął głową.

Caitlyn nie spała. Leżała na plecach, z podłączoną kroplówką. Włosy miała potargane i wyglądała, jakby w ciągu ostatniej doby straciła pięć kilo. Spojrzała na niego uważnie i zobaczył, że jest wściekła jak diabli.

- Wiedziałeś - zaatakowała, zanim zdołał się odezwać. - Wiedziałeś o rozdwojeniu jaźni! Nie martw się, żeby wszystko było jasne, jestem teraz Caitlyn, nie Kelly.

- Nie wiedziałem. Myślę, że powinienem był się domyślić, ale dowiedziałem się dopiero, gdy znalazłem dyskietkę Rebeki. Miałem ci powiedzieć jak tylko...

- Ty draniu!

- Wiem, jak się czujesz...

- Skąd możesz wiedzieć? Jesteś szalony? - Usłyszała własne słowa i przewróciła oczami.

- Nie masz pojęcia, jak się czuję i przez co przesłama. - Zrobił krok do przodu, ale powstrzymała go spojrzeniem. - A jeśli chodzi o moją terapię, to też udawałeś? Udawałeś? Wiem, że byłeś mężem Rebeki. Nie obchodziłam cię. Chciałeś po prostu odnaleźć swoją żonę i...

- Byłą żonę.

- Wszystko jedno. Zależało ci na niej, byłeś gotów przyjechać tutaj i okłamać mnie, i...
i...
- I zakochałem się w tobie - powiedział spokojnie.
Nagle w pokoju zaległa cisza.
- Zakochałeś się? - wyszeptwała podejrzliwie.
- Tak.
- Przewróciła oczami.
- Daj spokój.
- Zgoda, na początku było inaczej, miałem inne plany, ale przysięgam, Caitlyn, tak się stało.
- Między tymi wszystkimi morderstwami, porwaniami, cholernymi kłamstwami?! Zejdź na ziemię, Adamie. - Zacisnęła szczęki. Zaledwie kilka dni temu dostrzegł w jej oczach błysk szczęścia. Teraz obawiał się, że nigdy więcej go nie zobaczy.
- Przykro mi. - Włożył ręce do kieszeni dżinsów.
- To dobrze. Ale i tak ci nie wierzę.
- Posłuchaj, Caitlyn, naprawdę nie dziwię się, że jesteś zdenerwowana. - Starał się opanować i nie przekonywać jej na siłę, jak bardzo mu na niej zależy. - Posłuchaj, chcę, żebyś wiedziała. Wyślę do ciebie poleconym wszystkie notatki Rebeki, jej zapiski i dyskietkę. Zrobisz z tym, co zechcesz, przekażesz psychiatrze albo policji, jak uważasz. To cenne informacje. Twój przypadek jest wyjątkowy. Bardzo zainteresował Rebeke. Miała już nawet agenta i wydawcę.
- Więc ona też traktowała mnie jak obiekt badań. - Caitlyn próbowała powstrzymać łzy. Udało się, ani jedna nie spłynęła po policzku. - I kosztowało ją to życie.
- Nie wydaje mi się, żeby tak było od samego początku, ale przejrzyś wszystko i sama ocenisz. - Chciał dotknąć jej dłoni, ale wściekłość w jej oczach podpowiedziała mu, że to nie jest dobry pomysł. - Kiedy stąd wyjdiesz i będziesz chciała jeszcze o coś zapytać, z chęcią...
- Nie sądzę - ucięła. Nie nalegał. Przeszła przecież prawdziwe piekło.
- Będę czekał.
- Naprawdę, nie rób sobie kłopotu.
- Uśmiechnął się lekko.
- Żaden kłopot.
- Wracaj do Wisconsin czy Ohio, czy skąd tam jesteś, i zostaw mnie w spokoju.
- Czy tego naprawdę chcesz?
- Tak. - Patrzyła na niego. - A skoro już zapytałeś, to powiem jeszcze, że chcę zapomnieć o tym koszmarze. - Zacisnęła usta. - Chcę odzyskać moją córeczkę. Chcę, żeby moje rodzeństwo i matka żyli. Chcę spotkać się z Kelly, a nie być nią... chcę, żeby to wszystko nigdy się nie zdarzyło, ale przecież się zdarzyło. Nie wiem jak, ale będę musiała nabrać do tego dystansu. I żeby poczuć się lepiej, naprawdę lepiej, będę potrzebowała czasu, mnóstwo czasu.
- Mogę poczekać.
- Daj spokój - powiedziała. - Nikt nie byłby w stanie czekać tak długo.
- Dotknął jej dłoni i delikatnie uścisnął.
- Przekonasz się.

Reed nie lubił zbytnio Hunta, ale podczas rozmowy w bufecie nawet poczuł do niego

sympatię. Albo Hunt był cholernie dobrym aktorem, albo naprawdę zależało mu na Caitlyn Bandeaux. Komuś w końcu powinno. Kobieta straciła prawie całą rodzinę. Przeżył Troy, no i może jeszcze Hannah wyliże się z tego, choć jej stan jest krytyczny. Straciła mnóstwo krwi. Nawet jeśli wyzdrowieje, blizna na szyi będzie stale przypominać jej o drugiej bliźnie - tej na duszy. Boże, czy po czymś takim można jeszcze być normalnym?

Więc nawet jeśli przeżyje, co z jej psychiką... Cholera, ocalali Montgomery zapewnią miejscowym psychiatrom tyle pracy, że do końca życia stać ich będzie na najnowsze modele bmw. Morrisette miała rację. Pieprzone świry.

Adam Hunt - nie kłamał, że jest psychologiem, Morrisette sprawdziła go - siedział zgarbiony na plastikowym krześle i skubał pusty kubek po kawie. Na pewno nie miał nic wspólnego z zabójstwami, ale Reed musiał mu zadać jeszcze kilka pytań.

- Więc nie przekaże mi pan notatek na temat Caitlyn Bandeaux?
- Nie. Już panu mówiłem, to tajemnica lekarska. Musi pan mieć nakaz sądowy.
- Będę miał.
- W porządku. - Usta Adama zacisnęły się w wąską kreskę.
- Chcemy zrozumieć, dlaczego zginęła pańska żona.
- Była żona. Byliśmy już dobrych kilka lat po rozwodzie.
- Ale przyjechał pan tutaj, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje.
- Zgadza się.
- Powinien był pan pójść na policję.

Reed wzruszył ramionami.

- Łatwo radzić po fakcie.

Reed zdawał sobie sprawę, że jeszcze będzie musiał spotkać się z Huntem. Choć zadał mu już tyle pytań, wciąż niewiele wiedział na temat Caitlyn czy Kelly. Hunt nie chciał przekazać policji czy komukolwiek innemu notatek dotyczących Montgomerych. Wyglądało na to, że jest zdecydowany koczować w szpitalu, aż Caitlyn zostanie wypisana do domu. Świetnie. Może pomoże mu odeprzeć atak dziennikarzy.

Reed wrzucił pusty kubek do kosza na śmieci, wyszedł przez tylne drzwi i zobaczył Nikki Gillette czatującą przy radiowozie.

- Detektywie Reed - zawołała, machając ręką. Boże, czy ona nigdy nie rezygnuje?
- Bez komentarza.
- Nawet nie zadałam pytania.
- To dobrze. - Wsiadł do samochodu.
- Niech pan posłucha, mieszkańcy Savannah muszą poznać prawdę.
- Rzecznik policji wystosuje oficjalne oświadczenie.
- Ale to pan prowadził śledztwo. Może mogłabym porozmawiać z panem kilka minut, postawię panu kawę...
- Nie, dziękuję. - Siedział już za kierownicą. Najwyraźniej kobieta nie rozumiała słowa „nie”. Odjechał, spojrzął w tylne lusterko i zobaczył, że dziennikarka stoi nieruchomo z rękami splecionymi na piersiach.

W komisariacie wrzało. Wchodząc pośpiesznie tylnymi schodami, uciekł przed kolejnym dziennikarzem, aroganckim sukinsynem o kwadratowej szczęce. W swoim gabinecie zastał Morrisette.

- Masz coś? - zapytał.
- Sporo. - Wyglądała na piekielnie zmęczoną. - Przeszukują rzekę koło domu, który wynajęła Caitlyn Bandeaux, Kelly alias Kacie Griffin. Jezu, wyobrażasz sobie, żeby ktoś

wynajmował dom dla wytworu własnej wyobraźni? Zastanawiam się, ile ona naprawdę o sobie wiedziała. W każdym razie jakiś wędkarz zauważył coś w rzece i wysłaliśmy tam nurków. Znaleźli białą mazdę. Ma numer rejestracyjny samochodu Marty Vasquez.

- Czy w środku jest jej ciało?

Morrisette spojrzała mu prosto w oczy.

- Jest jakieś ciało.

- Montoya wie?

- Już tam jest.

- Cholera. Jedziemy.

Pognali niemal z prędkością dźwięku. Za kierownicą siedziała Morrisette, dając sobie jednocześnie radę z papierosem, komórką i samochodem. Kiedy przyjechali na miejsce, akurat wyciągano z wody samochód. Za kierownicą tkwiły zwłoki w takim rozkładzie, że nie można ich było zidentyfikować. Kolejna ofiara Amandy Montgomery, tej cholernej psychopatki. Reed widział jej sterylny gabinet z makabrycznym drzewem rodowym. Pokój zabezpieczono i teraz specjalna ekipa badała ślady.

Patrząc na wyłowiony samochód, Reed uświadomił sobie, że ludzie Diane Moses będą mieli dużo pracy.

Montoya już był na miejscu. Wyprostowany jak struna wpatrywał się w samochód. Morrisette i Reed podeszli do niego.

- Wszystko w porządku? - zapytała Morrisette, sięgnęła do torebki po papierosy i poczęstowała Montoyę.

Wziął papierosa i zapalił.

- Tak.

Akurat! - pomyślał Reed.

- To jej samochód?

- Tak.

- Przykro mi - powiedziała Morrisette.

- Wszystkim nam przykro. - Montoya zacisnął szczęki. Zasugerowano mu, żeby nie oglądał ciała w takim rozkładzie, ale on stał nieruchomo i ciemnymi oczami patrzył na to, co zostało z jego dziewczyny. Minie trochę czasu, zanim zostanie sprawdzona dokumentacja dentystryczna, jednak najprawdopodobniej za kierownicą znajdowało się ciało Marty Vasquez. Mięsień na twarzy Montoi drgał nerwowo, ale policjant szybko zaciągnął się papierosem i opanował drżenie.

Ani Reed, ani Morrisette nie mogli już nic więcej zrobić.

Nikt nie mógł.

Caitlyn nie mogła się doczekać powrotu do domu. Męczyła ją beczynność, telefony od dziennikarzy, oglądanie swoich zdjęć w gazetach, badania i ciekawskie spojrzenia psychiatrów. Nawet część personelu traktowała ją inaczej. Kiedy wszyscy myśleli, że śpi, podsłuchiwała, jak pielęgniarki plotkując niej.

Nie, żeby w domu było lepiej.

Przeleżała w szpitalu pięć dni i lekarze zgodzili się ją wypisać. Czy jej się to podoba, czy nie, musi zacząć nowe życie. Jako jedna osoba. Żadnego rozdwojenia... taką przynajmniej miała nadzieję. Adam większość czasu spędzał w szpitalu. Powtarzała mu, żeby poszedł do domu, ale nie miała serca go wyrzucać, chociaż przemknęła jej taka myśl przez głowę.

Adam zadbał też o Oskara, dawał mu jeść i wyprowadzał na spacer.

Ale Caitlyn nie ufała mu. Jeszcze nie. Wciąż mu nie przebaczyła.

To prawda, nadal dręczyło ją podejrzenie, że w innych okolicznościach nawet mogłaby się w nim zakochać...

...ale okoliczności były takie, jakie były.

Nie mogła zapomnieć, że Adam jest wierutnym kłamcą. Perfidnym. Była dla niego tylko interesującym, wyjątkowym przypadkiem. Gdyby napisał o niej książkę, o jej dziwacznej chorobie, mógłby zyskać sławę i pieniądze. Jeśli jego zainteresowanie nie wynika z tego, że jest chciwym sukinsynem, to być może wysiada w szpitalu z poczucia winy.

Nie bez wysiłku włożyła krótkie spodenki i koszulkę. Jeszcze przez kilka tygodni będzie musiała nosić na brzuchu opatrunek, ale dren został już usunięty, a lekarze ocenili stan jej zdrowia jako dobry. Kondycja psychiczna to zupełnie inna sprawa. Od lat jednak nie czuła się tak silna psychicznie jak teraz, osobowość Kelly nie dawała już o sobie znać... ale za to wyostrzył jej się język, stała się bardziej uparta, co było wyraźną pozostałością po silnym charakterze Kelly.

Szczęśliwie Hannah będzie żyła. Nielicznym Montgomerem udało się uniknąć losu, jaki zgotowała im Amanda-Atropos.

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka z wózkiem. Spodziewając się protestów, powiedziała stanowczo:

- Takie są zalecenia szpitala. Czy ktoś po panią przyjedzie?

- Mój brat ma tu być o dziesiątej. - Adam zaproponował, że ją odwiezie, ale odmówiła. Wołała, by przyjechał po nią Troy.

- Więc lepiej chodźmy już. - Pielęgniarka spojrzała na zegarek. - Jest już pięć po.

Salowa ze strzechą mocno skręconych włosów upiętych spinkami pozbierała osobiste rzeczy Caitlyn, pocztówki i kwiaty i położyła na wózku.

Caitlyn wciąż brała środki przeciwbólowe i nasenne. Wciąż śniły jej się koszmary i lekarz polecił jej pewnego psychiatrę. Pierwsza wizyta miała się odbyć za ponad tydzień. Zastanawiała się, czy to się kiedyś skończy, czy kiedykolwiek odzyska równowagę.

Po tym, co przeszłaś, to raczej mało prawdopodobne... nie śpiesz się.

Jadąc na wózku, zastanawiała się nad tym, co się stało w ciągu ostatnich dziesięciu dni. W windzie zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek będzie mogła o tym wszystkim zapomnieć. Boże, jak trudno przyjąć, że Amanda to Atropos, morderczyni, która zabiła tyle osób. Joshua. Jamie. W tyle rzeczy trudno było jej uwierzyć... że Rebeka Wade chciała napisać o niej książkę, że Adam był mężem Rebeki, że Amanda chciała ją zrobić. Ukradła jej szminkę, wyciągnęła z kontaktu wtyczkę zegara, wykradła króliczka, przez telefon udawała Jamie i próbowała doprowadzić Caitlyn do szaleństwa - do jeszcze większego szaleństwa.

I wciąż ją bolało, że Adam tak ją okłamywał. Na samą myśl gotowała się ze złości.

Nie roztrząsaj już tego. Patrz przed siebie.

Daj Adamowi szansę.

Prychnęła z odrazą. Adam ją okłamał. Wykorzystał. Tak jak wszyscy mężczyźni w jej życiu.

Ale od pewnego czasu nie odstępował cię ani na krok. Czy to nic nie znaczy?

To był jej głos, nie brzmiał już jak głos Kelly. Caitlyn zastanawiała się, czy kiedykolwiek należał do Kelly. Kelly nie żyje. Chociaż jej ciała nie znaleziono, wszyscy pogodzili się z tym, że zginęła. Tylko Caitlyn nie chciała tego zaakceptować. Powiedziano jej, że czekają

ją lata terapii i że w końcu uda jej się wchłonąć osobowość Kelly. Trochę to potrwa, ale wreszcie stanie się jedną osobą, szczęśliwą i pewną siebie.

Winda zjechała na parter, drzwi otworzyły się i Caitlyn zamarła. W holu szpitala, koło drzwi czatowało dwóch reporterów: Max O'Dell ze stacji WKAM i Nikki Gillette.

Świetnie.

Właśnie tego potrzebowała.

Dziennikarze dojrzelili ją w ułamku sekundy i rzucili się jak hieny.

- Pani Bandeaux, czy mogę z panią porozmawiać? - Dużymi krokami, z czarującym uśmiechem zbliżał się Max.

- Wie pan, jaki jest regulamin szpitala - odezwała się pielęgniarka.

- Bez komentarza. - Caitlyn odpowiedziała chłodno na jego uśmiech. Potem zwróciła się do Nikki, która z plecakiem zarzuconym na ramię szła szybko w jej kierunku. - Pani też to dotyczy.

Pielęgniarka wypchnęła wózek przez szklane drzwi. Max i Nikki niezrażeni dreptali za nią. Caitlyn z trudem powstrzymała się, żeby nie zrobić awantury.

Na zewnątrz czekał Adam, opierał się o swój samochód. Miał na sobie džinsy i znoszoną skórzaną kurtkę, na widok Caitlyn uśmiechnął się lekko. Otworzył drzwi od strony pasażera.

- Chwileczkę, gdzie jest Troy? - zapytała.

- Coś zatrzymało go w banku.

- Niemożliwe? Rozmawiałam z nim zaledwie godzinę temu.

Oczy Adama zabłysły figlarnie.

- Wypadło mu coś w ostatniej chwili.

- Bzdury.

- Powiedział dokładnie to samo.

- Chyba powinniśmy do niego zadzwonić.

- Moja komórka jest w samochodzie.

- Świetnie, możesz mi ją dać? - zapytała i zorientowała się, że pielęgniarka traci cierpliwość, a salowa już postawiła wózek z kwiatami i prezentami obok bagażnika. W pobliżu krążyli Max O'Dell, Nikki Gillette i kamerzysta, obserwując uważnie całą scenę i na pewno wietrząc sensację.

- No chodź, nie gryzę. - Uśmiechnął się lekko. - To znaczy zwykle nie gryzę.

- Ale może ja gryzę?

- O, ty z pewnością.

Spojrzała na niego uważnie.

- Bardzo śmieszne.

Czy kamerzysta to filmował? Na miłość boską!

- Nie ma nic ciekawszego niż moje wyjście ze szpitala? - zapytała Maksa O'Della, a potem zwróciła się do Adama. - Zmieniłam zdanie. Jedźmy.

Pomógł jej wsiąść do samochodu, a ona zaczęła się zastanawiać, czy właśnie nie popełnia największego błędu w życiu.

Biorąc pod uwagę swoją przeszłość, byłby to niezły wyczyn. Daj mu szansę. Po prostu wysłuchaj go. Co masz do stracenia?

Patrzyła jak wsiada do samochodu i przekręca kluczyk. Pachniał skórą i delikatną męską wodą kolońską. Przypomniała sobie, jak się całowali, przypomniała sobie dotyk jego ust, ale szybko odpędziła od siebie te wspomnienia.

- Ciekawe, czy uda nam się zgubić dziennikarzy - powiedział, wcisnął pedał gazu i wyjechał z parkingu. Zapadła się w wygodny skórzany fotel, zbyt zmęczona, żeby toczyć boje. Patrzyła przez szybę na słoneczne ulice i zastanawiała się nad swoimi uczuciami. Czy popełniłaby błąd, gdyby się w nim zakochała? Czy on może złamać jej serce?

Daj spokój. Twoje serce zostało złamane już dawno temu. Jeśli okaże się nic niewart, wyrzucisz go na zbity pysk. No, Caitie-Did. Zaryzykuj.

Wydawało jej się, że znów słyszy rady siostry, i pomyślała, iż od czasu do czasu nie zaszkodzi wyobrazić sobie, że z nią rozmawia. Czasami musi sobie o niej przypomnieć. Przypomniła więc sobie, jak w dzieciństwie Kelly namawiała ją do wspinania się po drzewach, pływania na głębokiej wodzie, jak się z niej wyśmiewała i droczyła się z nią. Wyglądały tak samo, a były tak różne. Kelly odważna i wysportowana jak Amanda, a jednocześnie kobieca i krnąbrna. Tego dnia, kiedy zdarzył się wypadek, była tak pewna siebie, taka swobodna... Dobrze, że Caitlyn to wszystko pamięta. Wystarczy tylko się pilnować i nie przekraczać pewnej granicy.

Do diabła, Caitie-Did, zdawała się mówić Kelly, daj Adamowi szansę. Jesteś idiotką, jeśli nie widzisz, że cię kocha.

Caitlyn spojrzała na niego. Założył okulary i mknął między samochodami. Zdawało się, że poczuł na sobie jej wzrok, bo usta mu zadrgały, wziął ją za rękę i uściśnął krótko.

Głupie serce zabiło jej mocniej.

- Zajmij się jazdą - powiedziała.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

- No pewnie.

Zaśmiała się i ona też. Może jednak nie był wcale taki zły.

Czas pokaże.

- Więc to już koniec. Sprawa Bandeaux jest oficjalnie zamknięta - powiedziała tydzień później Morrisette, wkraczając do gabinetu Reeda. Machała czekiem i uśmiechała się szeroko.

- Co to? - Reed odchylił się na krześle.

- Pieniądze od Barta. Możesz uwierzyć? Dał pieniądze na dzieci. Po raz pierwszy od lat!

- Klapnęła na brzegu biurka i włożyła czek do kieszeni.

- Wygrał na loterii?

- Mniej więcej. Zmarła jego ciotka i zostawiła mu trochę pieniędzy. Zrobił to - wyciągnęła czek z kieszeni i znów nim pomachała - zanim zdążył wszystko przepuć i zanim kupił sobie nowego pikapa. Odezwało się w nim sumienie i postanowił uregulować wszystkie zaległości, żeby prawnicy nie dobrali mu się do tyłka. Prawdziwy rycerz. Powiedziałam rycerz? Chciałam powiedzieć sukinsyn.

Palcami przeczesła sterczące włosy.

- Więc wszystko już jasne w sprawie Montgomerych?

- Tak sądzę. Mamy jeszcze papierkową robotę do zrobienia, ale sprawa jest zamknięta. Osoba, którą wyłowiliśmy z rzeki, to rzeczywiście Marta Vasquez. Matka zajmuje się jej pogrzebem. Rozmawiałem z nią przez telefon i opowiedziała mi wszystko. Powiedziała, że raz przespała się ze swoim szefem.

Gdy Morrisette uniosła brwi, Reed wzruszył ramionami.

- Raz, tak przynajmniej twierdzi, ale przecież to bez znaczenia. Chodzi o to, że nikt nie przypuszczał, że Marta Vasquez jest kolejnym nieślubnym dzieckiem Camerona. Jezu, czy

ten facet naprawdę musiał co chwilę ściągać portki?

- Marta była kolejną osobą do podziału majątku starego - trochę się spóźniła. O tym, że Cameron jest jej ojcem, Lucille powiedziała jej przez telefon dopiero w zeszłym roku, w grudniu.

- Nie podzieliła się tą wiadomością z Montoyą?

- Nikomu nie powiedziała. Tylko Amandzie, ponieważ Amanda pracowała w firmie prawniczej zajmującej się majątkiem Camerona. - Reed przeciągnął się i rozprostował plecy.

- Gdzie jest Montoyą? - zapytała Morrisette jakby nigdy nic, ale Reed wiedział, o co jej chodzi.

W ciągu tych kilku krótkich dni, które Montoyą spędził w Savannah, widać było, że Morrisette jest nim wyraźnie zainteresowana. Na tym polegał jej problem; zarzekała się, że już nigdy więcej, a potem zakochiwała się pierwszym z brzegu facecie. Reed miał dla niej złą wiadomość.

- Montoyą już wyjechał.

Morrisette przejrzała raporty rzucone na biurko i jeśli nawet poczuła się rozczarowana, to nie dała tego po sobie poznać.

- Wspomniał, że będzie chciał wziąć sobie trochę wolnego. Musi jeszcze tylko przekonać szefostwo.

- Dlaczego nie wróci tutaj?

- Pewnie z powodu złych wspomnień.

- Tak, ale jakaś kobieta mogłaby mu pomóc zapomnieć o Marcie.

Reed spojrzał jej prosto w oczy.

- O ile jakaś kobieta nie zaangażuje się zbyt w związek z facetem młodszym od niej o dziesięć czy dwanaście lat.

- Albo siedem.

- Tak, albo siedem.

Oczy Morrisette zaiskrzyły, ale zdecydowała się zmienić temat.

- Słyszałam, że Dickie Ray Biscayne wciąż walczy o swoją część majątku Montgomerych. Nadal płaci Flynnowi Donahue. Teraz chce również dostać część Cricket i Sugar, a może nawet i część należącą do Amandy. Wiele się nauczył od Josha Bandeaux na temat pozwów sądowych.

- Pazerny sukinsyn.

- Jak oni wszyscy - powiedziała Morrisette. - Ian Drummond, mąż Amandy, otrzymał propozycję sprzedania praw do książki o całej tej historii. Chce również dostać część majątku należącą do żony, chociaż posuwał Sugar Biscayne. Jak na faceta, który właśnie stracił dwie kochanki, to niezłe potrafi zatroszczyć się o własną kieszeń. Widać pieniądze leczą złamane serca.

- O tym nie wiedziałem.

- Hannah planuje się przeprowadzić. Zacząć wszystko od nowa. Zapomnieć o wszystkim. Jeśli to możliwe.

Reed skinął głową.

- Rozumiem ją. Miała romans z Bandeaux. Potem jej siostra próbowała ją zabić. - Potrząsnął głową. W Savannah wybucha wiele skandali, ale żaden nie może się równać z wydarzeniami ostatnich dni. - Do diabła, nawet Rebeka Wade się w to wmieszała.

- I przypłaciła to życiem.

- No, Amanda dotarła do niej jak po sznurku.
- Nomen omen - powiedziała Morrisette i Reed przypomniał sobie nożyczki chirurgiczne i splecione nici Atropos. - Psychopatka! Zabijała dla pieniędzy.
- Nie. - Reed pokręcił głową. - Zabijała dla samego zabijania. - Pomyślał o tych, którzy zginęli, o tym, jak cierpieli, ile wysiłku Amanda jako Atropos włożyła w ich uśmiercenie.
- Dawało jej to niezłego kopa. Udowadniała, że jest bystrzejsza od innych, że zasługuje na majątek starego. Kochała to, podniecało ją to.
- Morrisette skinęła głową.
- Rozumiem. Szkoda. Kurewsko szkoda. - Morrisette sumiennie odkładała pieniądze do cholernej skarbonki, ale nic to nie pomagało. Przynajmniej dzieciaki będą miały zapewnione przyzwoite wykształcenie - do diabła, pójdą pewnie do pieprzonego Harvardu.
- Nie zdziwiłbym się, gdyby Adam Hunt napisał książkę. Tę, o której myślała jego była żona - powiedział Reed. - Słyszałem, że wydawcy już węszą koło niego i koło Caitlyn Bandeaux. Mówi się nawet o filmie. Co ty na to?
- Ktoś pewnie go nakręci. - Podrapała się w łokieć. - Wiesz co, jeśli Amanda zabijała dla pieniędzy, to wcale jej się nie śpieszyło. Najpierw mały Parker, a reszta dopiero wiele lat później. Nie no, to chyba nie jest normalne.
- Nic w tej sprawie nie było normalne. - Reed zastanowił się. - Pomiędzy nami, to myślę, że odbiło jej, to znaczy tak naprawdę odbiło, gdy dowiedziała się, że jej mąż ma romans z Sugar Biscayne. Ale reszty naprawdę nie rozumiem, nie jestem psychiatrą. Czy to nie ironia, że chciała wrobić Caitlyn, wykorzystując jej zaburzenia psychiczne, podczas gdy ona sama była naprawdę niezłym czubkiem? Przecież całe to pieprzenie o Atropos świadczy o tym, że to ona miała rozdwojenie jaźni, no nie? Pozbywając się jej, Caitlyn Bandeaux wyświadczyła podatnikom tego miasta wielką przysługę. - Wyjrzał przez okno. Savannah było jak stara dostojna dama, ciągle miało przed nim jakieś tajemnice. Ciemne, wciąż skrywane sekrety.
- Chciałbyś mieć na sumieniu śmierć siostry? - zapytała Morrisette.
- Wcale by mi to nie dokuczało. Pamiętaj, że ta siostra zabiła moje dziecko, moją matkę, ojca, męża i parę innych osób. Jak bym się czuł, gdybym skrócił jej cierpienia? - Reed uśmiechnął się szeroko. - Dobrze bym się czuł. Zapewniam cię.
- Masz rację.
- Ale jestem pewien, że Caitlyn Bandeaux ma przed sobą lata terapii. A może nawet całe życie.
- Przynajmniej przeżyła. Słyszałam też, że spotyka się z Adamem Huntem.
- Mają romans?
- Morrisette wzruszyła ramionami.
- Przystojniak z niego.
- Kto jak kto, ale ty na pewno się na tym znasz.
- Amen, bracie. Amen! - Uderzyła dłonią w biurko, gdy nagle zadzwieczał jej pager. - Co znowu? - Spojrzała i zeskoczyła na podłogę. - To niania. Muszę lecieć. Biorę sobie wolne do końca dnia, żeby pobyć z dziećmi. Są już zdrowe, więc pójdziemy na basen. Zrobimy zakupy za pieprzone pieniądze Barta. I nie martw się, kupię kolejną skarbonkę. Stara już jest pełna.
- Też świnkę?
- A są jakieś inne? Jeśli będziesz czegoś potrzebował, nie dzwoń. - W mgnieniu oka

znalazła się za drzwiami.

- Jedź ostrożnie - krzyknął za nią. - Pamiętaj, że w tym mieście obowiązują ograniczenia prędkości, których należy przestrzegać.

- Goń się, Reed! - powiedziała, ale usłyszał, że się śmieje. Sylvie Morrisette była w porządku, naprawdę w porządku. Mógł gorzej trafić.

Epilog

Chcesz się przejechać? - zawołała Caitlyn, zbiegając po schodach. - No chodź. - Psiak wystrzelił do przodu i wpadł do garażu. W lexusie leżały już stroiki świąteczne i czerwone gwiazdy betlejemskie, które Caitlyn chciała zawieźć na cmentarz.

Jechała przez miasto. Stare, okazałe domy były ozdobione światełkami, zielonymi gałązkami i wstążkami. Zbliżały się święta, Caitlyn czuła się coraz lepiej. Spotykała się z nowym psychoterapeutą, z którym nie zaangażowała się w żaden osobisty związek, i zastanawiała się, czy pozwolić Adamowi napisać książkę o swojej chorobie. On sam nie prosił jej o to, przez sześć miesięcy nigdy nawet o tym nie wspomniał, a widywali się codziennie. Chciał, żeby się do niego przeprowadziła, i wspominał coś o ślubie, ale nie była jeszcze gotowa. Potrzebowała więcej czasu, żeby dowiedzieć się, kim naprawdę jest Caitlyn Montgomery Bandeaux.

Zaparkowała niedaleko rodzinnej kwatery i pociągnęła Oskara. Wiatr był dość silny, szeleścił suchymi liśćmi i powiewał hiszpańskim mchem. Z Oskarem na smyczy zaniósła kwiaty na groby. Gdy zobaczyła nagrobek Jamie, z trudem powstrzymała łzy.

Ścisnęło ją w gardle, ucałowała koniuszki palców i dotknęła nimi zimnego marmuru.

- Kocham cię - wyszeptała i pomodliła się za niewinną duszyczkę Jamie. Taki ból nigdy nie przemija, wiedziała o tym i pogodziła się z tym.

Wspomnienie piekła, jakie zgotowała im Amanda, powoli blakło, zacierało się w pamięci i już tylko z rzadka budziło ją w środku nocy.

Kątem oka zobaczyła Adama i uśmiechnęła się przez łzy. Umówili się tutaj. W tym miejscu spotkali się po raz pierwszy. Z czasem jej wątpliwości rozwiały się i odkryła, że Adam jest czułym, delikatnym, troskliwym kochankiem, że potrafi być i cierpliwy, i pełen namiętności. Gdy kochali się po raz pierwszy od jej wyjścia ze szpitala, obawiała się, że osobowość Kelly znów da o sobie znać. Niepotrzebnie. Przez całą noc, gdy się całowali, dotykali, badali swoje ciała, była sobą.

Byli wtedy na spacerze z Oskarem. Nagle niebo pociemniało. Zerwali się do ucieczki przed rześnistym deszczem, popędzili do domu i przemoczeni wpadli do kuchni. Zawadziła nogą o smycz Oskara, Adam próbował ją złapać, ale przewrócili się. Upadła na niego, Adam przyciągnął ją do siebie, przycisnął swoją twarz do jej piersi, a potem zaczął ją całować. Żarliwie odpowiedziała na jego pocałunki i gdy leżeli tak złączeni, z ciałami śliskimi od wody, czuła wyraźnie każdy dreszcz emocji, każdy jego dotyk - jego ręce na pośladkach, jego język na jej sutkach, jego twardy członek dotykający jej brzucha. Wreszcie wsunął się między jej nogi i kochał się z nią tak, jakby nigdy nie miał przestać.

Nawet teraz wszystko dokładnie pamiętała. Osobowość Kelly nie zawładnęła nią. Mijały tygodnie i tożsamość Kelly zdawała się zanikać. Caitlyn wiedziała, że któregoś dnia stanie się w pełni sobą, a Adam będzie wtedy przy niej. Odwróciła się, powstrzymując łzy.

- Cześć - powiedziała, gdy podszedł bliżej.

- Cześć. - Zobaczył łzy w jej oczach. - Wszystko w porządku?

- To ty jesteś psychologiem. Ty mi powiedz.

- Z zawodowego punktu widzenia, muszę przyznać, że jesteś beznadziejnym przypadkiem.

Uderzyła go w ramię.

- A chcesz wiedzieć, co prywatnie o tym myślę?

Uniosła brwi.

- Jesteś zupełnie w porządku. - Objął ją rękami. - A może nawet więcej. Jesteś idealna.

Zaśmiała się.

- Boże, wystarczy już. Idealna? - Pomyślała o tym, co przeszła, o tym, co razem przeżyli. Jak dobrze ją znał! - Musisz częściej spotykać się z ludźmi.

- Słuszna uwaga. Co powiesz na kolację?

- Hm. Może.

- Ja przygotuję.

Znów się zaśmiała.

- W takim razie chyba zrezygnuję.

- Jesteś niedobra.

- Najpierw idealna, teraz niedobra, i to wszystko w ciągu dziesięciu sekund. To rekord.

- Daj spokój, chodźmy do domu. Sama możesz coś przygotować.

Przewróciła oczami, a Oskar biegał wkoło nich, oplątując ich smyczą.

- Nic z tego. Zjedźmy gdzieś na mieście.

- Jak sobie chcesz. - Pocałował ją w usta. Czowała się bezpiecznie. Czowała się spełniona.

- Zdaje się, że właśnie zmieniłam zdanie - powiedziała, a jej oczy błyszczały figlarnie. - Zostańmy w domu. Przez całą noc.

- Więc czekają nas pizza i piwo.

- Na początek - powiedziała i ostrożnie, by się nie potknąć, rozplatała smycz. - Potem, kto wie. Może odegramy jakąś psychodramę.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- To może być niebezpieczne, nie sądzisz?

- Nie, nie sądzę - powiedziała i znów go pocałowała. Wzięła go za rękę i pociągnęła w kierunku samochodu. - Ja wiem.

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować Bucky'emu Burnsedowi rzecznikowi policji w Savannah, który nadał właściwy kierunek moim wysiłkom. Okazał mi nieocenioną pomoc, odpowiadając na moje liczne pytania, i wskazał błędy, które popełniłam. Niestety na potrzeby tej książki i opisywanej historii musiałam nagiąć zasady i zmienić nieco procedury policyjne.

Poza tym, tak jak zawsze, podczas pisania mogłam liczyć na wsparcie wielu innych osób, które pomogły mi zbierać informacje, zorganizować warsztat pracy, były recenzentami książki i wspierały mnie duchowo.

Na szczególne podziękowania zasługują: Nancy Berland, Kelly Bush, Nancy Bush, Matthew Crose, Michael Crose, Alexis Harrington, Ian Kavanaugh, Aria Melum, Ken Melum, Ari Okano, Betty i Jack Pedersonowie, Sally Peters, Robin Rue, John Scognamiglio i Larry Sparks.

Jeśli kogoś pominęłam, serdecznie przepraszam. Wszyscy jesteście wspaniali!